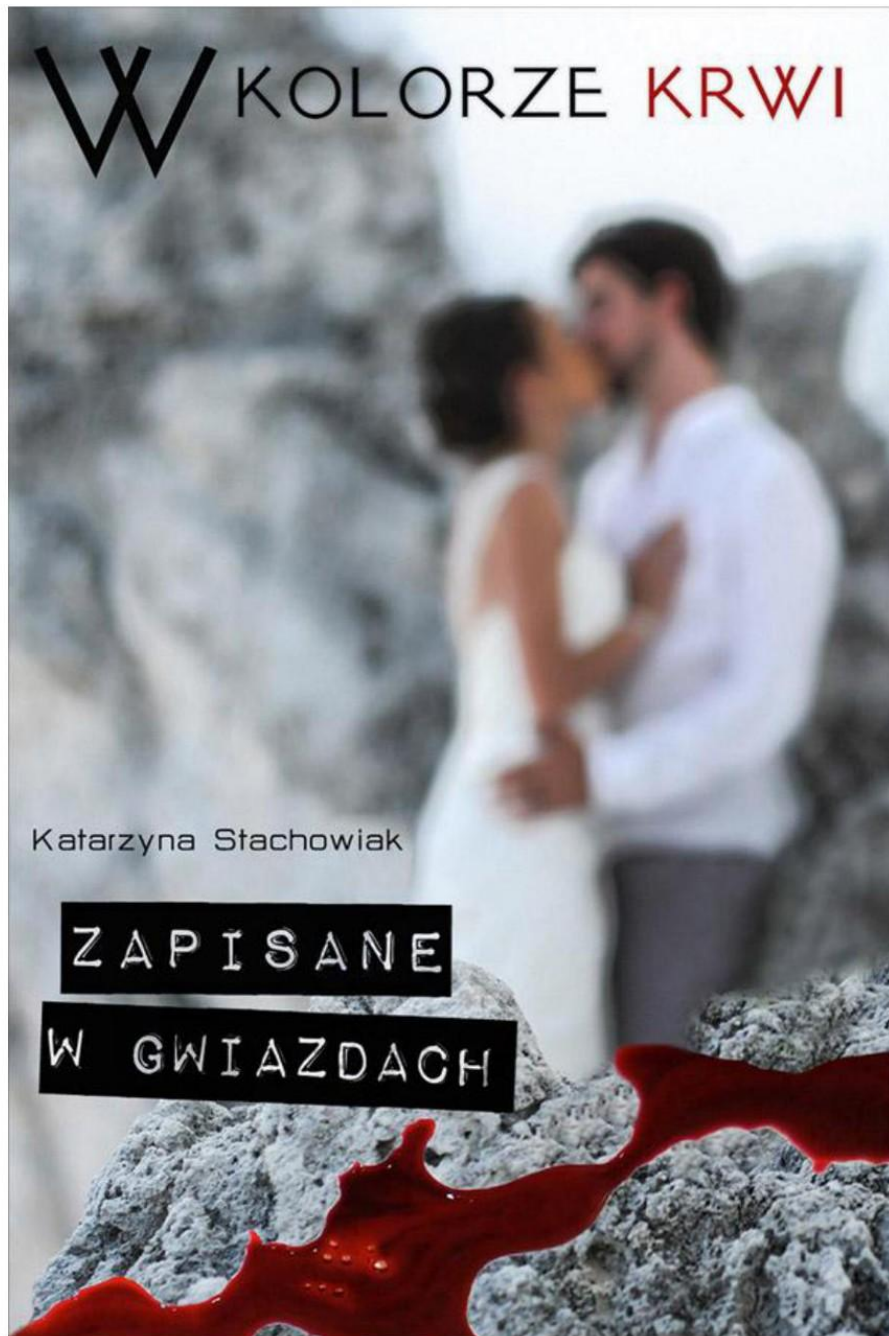


W KOLORZE KRWI

Katarzyna Stachowiak

ZAPISANE
W GWIAZDACH



Katarzyna Stachowiak

**W kolorze krwi.
Zapisane w gwiazdach**

Po prostu pamiętaj.

W DRODZE

Szara furgonetka minęła właśnie Kansas City i zmierzała drogą numer dwadzieścia dziewięć w stronę Sioux Falls. Kierująca pojazdem dziewczyna mocno dociskała pedał gazu, aby przed świtem odjechać jak najdalej od Elizabeth Town. Podróżowanie tylko pod osłoną nocy było im trochę nie na rękę, ale niestety jako zwykłe wampiry, nie mogli poruszać się w świetle dnia. To zdecydowanie mogło opóźnić ich ucieczkę, jednak Basit zdecydował, że nie będą robić zbędnych przestojów, i w ciągu dnia Justin oraz Monique po prostu schronią się z tyłu furgonetki. Sam bardzo dobrze orientował się już w prowadzeniu samochodu i korzystając z nawigacji, bez problemu mógł zastąpić kierowcę.

Swoim pomysłem podzielił się w myślach z Justinem i uzyskał jego pełną aprobatę. Monique okazała mniejszy entuzjazm, jeśli w ogóle entuzjazmem można nazwać ponure spojrzenie jakim obdarzyła Justina, a następnie Basita, gdy usłyszała o tym zamiarze. Nie uśmiechało się jej spędzać kilku godzin dziennie w bezpośrednim towarzystwie jakiegoś człowieka, którego krwi nie wolno jej było spróbować. Toż to prawie jak tortury! Jak Justin może się zgodzić na coś takiego? Podróżować razem z człowiekiem i nie móc zaspokoić pragnienia? I w dodatku ten czarnowłosy wampir, którego także porwali. Wprawdzie otrzymał pchnięcie srebrnym ostrzem umaczanym w zmielonym głogu, ale nie wiadomo na jak długo pozo-

stanie zamroczony. Był jednym z Patronów, a to dawało mu nad nimi przewagę. Nie mogła jednak zaprotestować, gdyż obaj mężczyźni podjęli już decyzję i wcale nie pytali się jej o zdanie, tylko po prostu informowali co ma zrobić.

Godziny podróży upływały w milczeniu. Jechali bez postojów, byle jak najdalej. Nie włączali ogrzewania, gdyż nie odczuwali mrozu panującego na zewnątrz, jednak z tyłu furgonetki dawał się on Barbarze dotkliwie we znaki.

Skulona w rogu samochodu, z kolanami podciągniętymi pod brodę, starała się opanować drżenie i chociaż trochę rozgrzać swoje zziębnięte ciało. Delikatna, zwiewna sukienka nie była odpowiednia na taką pogodę, a krótkie, futrzane bolerko nie dawało zbyt dużo ciepła. Od czasu do czasu dmuchała w skostniałe dłonie i rozcierała zdrętwiałe stopy. Zdjęła z nóg niewygodne, lekkie pantofelki, które pełniły bardziej funkcję dekoracyjną, niż tę przynależną obuwiu. Były doskonałe na salę balową, ale nie na zimową wyprawę w nieznane.

Spojrzała w stronę leżącego nieopodal Rodericka. W ciemności panującej wewnątrz pojazdu widziała tylko zarys jego sylwetki. Nie wiedziała czy żyje, a bała się do niego zbliżyć, aby sprawdzić. Lękała się, że faktycznie będzie martwy, a tak mogła się łudzić, że lada moment otworzy te swoje piękne, czarne oczy, i spojrzy na nią. Czas jednak mijał, a on nawet nie drgnął. Na wybojach, od czasu do czasu, jego głowa podskakiwała do góry, z łoskotem uderzając w podłogę furgonetki. Czy jeśliby żył, jego ciało byłoby tak bezwładne?

Ostrożnie przesunęła się w jego stronę. Zauważyła, że nawet klatka jego piersiowa nie unosiła się pod wpływem oddechu. W pierwszej chwili spanikowała, ale szybko ochłonęła przypominając sobie, że wampiry nie muszą oddychać, a robią to tylko z przyzwyczajenia. Pochyliła się nad mężczyzną i rozchyliła jego rozdartą koszulę. Na lewej piersi wymacała ranę po pchnięciu sztyletem, z której wolno sączyła się cienka stróżka krwi. Czuła tę ciecz pod palcami i wiedziała co to takiego. Rany zadane wampirom powinny momentalnie się goić, dlaczego więc ta nadal krwawi, chociaż minęło już tyle czasu?

Oderwała kawałek materiału z dołu swojej sukni i złożony go w kostkę, przyłożyła do krwawiącego miejsca. Lekko ucisnęła ranę. Tylko tyle mogła zrobić.

Jeszcze bardziej przysunęła się do mężczyzny i uniósłszy jego głowę, położyła ją na swoich kolanach.

– Tylko nie umieraj – szeptała, przytrzymując jednocześnie jedną ręką prowizoryczny opatrunek, a drugą głaszcząc splątane włosy mężczyzny. – Nie zostawiaj mnie tu samej, proszę cię. Tak bardzo się boję. Nie możesz mnie teraz zostawić. Proszę Ericku, zostań ze mną.

* * *

Adam wraz z Lucasem uprzątnęli rezydencję Robillardów. Prochy Yadiry zostały zebrane i wsypane do niewielkiej urny – to Caroline nalegała, aby jej szczątki przechować do czasu, aż nie odwiezie ich do Benacantil. Gorzej miała się sprawa z martwą dziewczyną z pokoju Rodericka. Po wspólnej naradzie postanowili spalić za-

krwawione rzeczy, a ciało zabrać gdzieś do lasu i zakopać. To nastręczyło im wielu trudności, gdyż wykopanie dołu w zamarznętej ziemi nie należy do czynności łatwych i przyjemnych. Na szczęście Lucas, dysponując nadludzką siłą, uporał się z tym szybciej niż Adam. Specjalnie przygotował głębszy dół, aby odnalezienie ciała nie było możliwe. Po zasypaniu i wyrównaniu ziemi, naznosili jeszcze śniegu i starali się rozłożyć go w miarę naturalny sposób. Choć wybrali miejsce trudno dostępne i nieuczęszczane, to jednak woleli dopilnować wszystkich szczegółów.

Gdy wreszcie pozbyli się obciążających dowodów, postanowili zgłosić na policję zaginięcie Barbary. O Rodericku i jego udziale w tym zdarzeniu, woleli nie wspominać, słusznie biorąc pod uwagę, że gdyby policja zaczęła grzebać w dokumentach, mogłaby się zdziwić odkrywając niektóre fakty z przeszłości bruneta. Osoba, która się nie urodziła, która nie ma rodziców... To na pewno wzbudziłoby podejrzenia i mogło im zaszkodzić.

Lucas szalał z niepewności. Jeździł po okolicznych drogach, wybrał się do Springfield oraz do Kansas City, ale nigdzie nie trafił na ślad porywaczy. Nikt nie widział ich samochodu i oprócz faktu, że była to furgonetka, nie wiedzieli o nim nic więcej. To był misternie przygotowany plan i doskonale wybrana data jego realizacji. W taki dzień jak koniec roku, nikt nie zwraca uwagi drobnostki, liczy się jedynie przyszykowanie kreacji i fryzura. Porywacze mogli działać zupełnie spokojnie, niezauważeni przez nikogo. Jeśli obmyślił to Roderick, to zasługiwał na miano geniu-

sza. Jednak wydawało się, że mózgiem operacji był ktoś znacznie potężniejszy – Basit.

Caroline znowu dręczyły wyrzuty, że obwiniała niewinną Yadirę, a nie zwróciła uwagi na jej towarzysza. No i Roderick. Miała tyle sygnałów, że coś z nim jest nie tak, a jednak je zlekceważyła. Tak bardzo wierzyła w siłę rodziny. Wyrocznia miała rację – to nie rodzina jest jej oparciem. To nie z nimi powinna być. Oni potrafią zranić, odwrócić się od niej, zdradzić... Może faktycznie jej miejscem jest Benacantil? Może wstępując w jego mury, dałaby wolność tym, którym tak bardzo starała się pomóc? Nie potrzebowali jej, a ona uszczęśliwiała ich na siłę. Jej bezmyślny upór właśnie przynosił owoce.

Teraz Lucas zrozumiał, co znaczy bezsilność. Jego nienawiść do Rodericka jeszcze bardziej się spotęgowała. Pragnął odnaleźć bruneta i wyrwać mu serce z piersi. Już raz stracił przez niego siostrę. Biedna Elizabeth zakochała się w takim potworze! A teraz, po stu pięćdziesięciu latach, ten drań, wrócił i ponownie niszczy mu życie! I dlaczego? Z jakiej przyczyny? Dla zwykłego kaprysu? Jak można być tak bezduszną istotą?

Najgorsza była świadomość, że może już nigdy nie zobaczyć Barbary żywej. Jeśli Roderick ją skrzywdzi... On jest zdolny do morderstwa, nie ma żadnych zahamowań. Jakie cierpienia przygotował dla swojej ofiary? A może oszczędzi ją ze względu na dziecko? Przecież to w końcu jego potomek. Czy to dziecko, może ocalić jej życie? Ale jeśli właśnie dlatego ją porwał?

Te myśli... Tak ich dużo... Kłębiam się pod czaszką i sprawiają ból. Dlaczego zostawił ją samą przed szkołą? Dlaczego poszedł po ten głupi sok? Ścisnął w dłoni pierścionek zaręczynowy i raz za razem wyrzucał sobie swój postępek. Gdyby mógł cofnąć czas, nigdy by tak nie uczynił. Byłby z nią non stop, ochraniał przed całym złem tego świata. Och, dlaczego wtedy jej posłuchał?

* * *

W Sioux Falls furgonetka skręciła w dziewięćdziesiątkę i prostą drogą, zmierzała do Seattle. Pierwszy raz zatrzymali się na stacji benzynowej tuż za Sioux, aby zatankować samochód i kupić coś do jedzenia dla porwanej dziewczyny. Sami mieli przygotowany dla siebie zapas krwi, który trzymali w kabinie, w małej, turystycznej lodówce.

Monique weszła do sklepu i na chybił trafił wybrała garść jakichś batonów, kilka puszek z coca colą oraz dwie paczki chipsów. Normalnie nie zapłaciłaby za te rzeczy, ale Basit nalegał, aby zachowywali się tak jak ludzie, wbrew więc własnym przekonaniom, rzuciła ze złością sprzedawcy zwitek banknotów i nie czekając na resztę wróciła do samochodu.

Dopiero gdy odjechali ze stacji, Basit nakazał Monique zatrzymanie pojazdu na poboczu i otworzenie tylnych drzwi. Powoli zaczynało świtać, więc zrozumiała co to oznacza. Oto mieli teraz jechać razem z tymi... Tu zabrakło jej słów na nazwanie Barbary i Rodericka. Naburmuszona, ale milcząca wykonała polecenie Patrona.

Barbara słysząc szcęk otwieranego zamka jeszcze bardziej skuliła się w rogu auta. Roderick nadal był nieprzytomny, ale nie wyczuwała pod palcami płynącej krwi, znaczyło to więc, iż wreszcie rana zaczęła się zasklepiać.

– Jak się czujesz? – Usłyszała męski głos, dolatujący od otwartych drzwi. Po chwili kucał koło niej jakiś mężczyzna.

– Zimno mi – wydusiła z siebie.

– Monique, przynieś koc z kabiny – rzucił mężczyzna do kogoś na zewnątrz. Chwilę trwało zanim do środka weszła kolejna postać i cisnęła w stronę Barbary wełniany pled. Barbara z wdzięcznością otuliła się grubym materiałem. Może pachniał niezbyt przyjemnie, ale dawał takie błogie uczucie ciepła.

– Myślę, że powinnaś skorzystać z toalety – zauważył mężczyzna. – Wy ludzie macie swoje potrzeby. Cóż, Monique będzie ci towarzyszyć.

– Chyba nie chcę teraz – zaczęła Barbara, ale jej przerwał.

– Wkrótce zacznie świtać. Będziemy jechać przez cały dzień i uwierz mi, nie zatrzymamy się na żaden postój, aż do wieczora. Nie sądzę, abyś tak długo wytrzymała.

Bała się, ale posłusznie wstała z miejsca i przesunęła do wyjścia. Gdy zeskoczyła na ziemię, momentalnie za rękę złapała ją dziewczyna nazywana Monique.

– Chodź – rzuciła krótko, ciągnąc ją w śnieżne zaspę. Barbara rozejrzała się dookoła, ale nie zobaczyła nigdzie żadnego budynku. Stali na poboczu drogi. – No tu możesz.

– Dziewczyna pchnęła ją do przodu. – Tylko szybko!

– Ale tu wszystko widać...

– Myślisz, że interesuje nas twój tyłek? Nie marudź głupia, tylko rób, jeśli masz ochotę. Justin mówił, że nie zatrzymamy się aż do wieczora.

Wstydziła się, tym bardziej, że dziewczyna cały czas się jej przyglądała z sarkastycznym uśmiechem na twarzy, ale przemyślawszy opcję spędzenia całego dnia bez dostępu do toalety, uznała, że musi się poddać.

Z prawdziwą ulgą wróciła do furgonetki i na powrót okryła się ciepłym kocem, ponownie składając głowę Rodericka na swoich kolanach. Gdyby widziała w ciemności, dostrzegłaby ironiczny uśmiezek, jaki pojawił się na twarzy Monique.

– Pewnie jesteś głodna. – Justin wcisnął do jej dłoni batona i puszkę z napojem.

Była bardzo głodna. Pospiesznie rozerwała opakowanie i ugryzła pierwszy kęs.

Mężczyzna odsunął się od niej i usiadł pod boczną ścianą. Koło niego przycupnęła Monique. Drzwi zostały zamknięte, a po chwili do uszu Barbary doleciał dźwięk uruchamianego silnika. Zdziwiła się, że tych dwoje będzie jej teraz towarzyszyć.

Zjadła batona, żałując, że był tak mały. Nie zaspokoila głodu, ale chociaż trochę go oszukała. Dobrze, że w ogóle dali jej coś do jedzenia. Jakie mają wobec niej plany? Po co ją porwali? Będą chcieli okupu? Od Lucasa? Dopiero teraz spostrzegła, że zgubiła swój pierścionek zaręczynowy.

– Dlaczego mnie porwaliście? – zapytała, zbierając się na odwagę. – Czego ode mnie chcecie?

– Zamknij się – warknęła dziewczyna, ale Justin ją uciszył.

– Miałaś być dla niej miła, Monique – upomniał stanowczym tonem. – To matka naszego wybawcy. Okazuj jej trochę więcej szacunku. Dzięki temu dziecku poznamy prawdziwą wieczność.

– Moje dziecko... – Mimowolnie dotknęła ręką swojego brzucha. A więc o to im chodziło. To jest to, o czym mówiła Caroline. To dziecko jest wyjątkowe i ma moce... I oni je chcą... O Boże! Oni je zabijają! Nie! Nigdy do tego nie dopuszczę!

„Och Ericku, dlaczego jesteś nieprzytomny” – pomyślała. „Oni chcą skrzywdzić nasze dziecko”.

Leżał bez ruchu, nieświadomy tego, co działo się wkoło niego. Srebrne ostrze, którym go zraniono, przebiło aortę i wprowadziło do niej drobinki głogu, które wraz z krwiobiegiem zostały rozprowadzone po całym ciele. Całe szczęście, że przed wyjściem z domu posilił się ludzką krwią – dzięki temu był silniejszy, a jego organizm mógł zwalczać truciznę szybciej. Potrzebował wprawdzie czasu, ale rana nie była śmiertelna.

* * *

Barbarę zbudziło ze snu szarpnięcie. Otworzyła oczy, nie bardzo wiedząc gdzie jest i co się dzieje. Na wpół przytomnym wzrokiem starała się przeniknąć ciemność, ale nic nie widziała. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie,

że została porwana i wiozła ją jakąś furgonetką w bliżej nieokreślonym kierunku. Spostrzegła także, że nie ma wewnątrz jej towarzyszy – znowu była sama z Roderickiem. Wywnioskowała, że jest noc, ponieważ już dwukrotnie, za każdym razem w ciągu dnia, Justin i Monique przebywali razem z nią. Wyglądało to trochę tak, jakby obawiali się światła słonecznego. Czyżby byli inni niż Lucas, Caroline i Roderick?

Zaczęła sobie przypominać wszystkie opowieści o wampirach i powoli dotarło do niej, że to muszą być takie istoty, jak te, które opisywano. Bojące się światła, żyjące w mroku nocy, bezwzględne i okrutne. Ta świadomość nie wpłynęła na poprawę jej samopoczucia. Na szczęście wobec niej zachowywali się w sposób grzeczny, chociaż oschły. Obserwując przez kilka dni relacje zachodzące pomiędzy jej porywaczami, wywnioskowała, że szefem jest Basit i to jego słuchają pozostali. Odkryła również, że Monique darzy uczuciem Justina, ale on traktuje ją trochę lekceważąco, jakby wstydził się, że mógłby się z nią związać.

Nie rozmawiała z nimi. Dawali jej jeść, pić, wyprawiali do toalety. To wszystko. No i dnie spędzali razem, ale było to nader osobliwe, milczące towarzystwo.

Wysupłała się z koca i wymacała ręką, czy w pobliżu nie leży jakiś baton. Znalazła jednego, więc zajęła się jedzeniem. Monotonny szum silnika działał na nią usypiająco, co miała robić w tym ciemnym miejscu? Gdy zjadła, ponownie sięgnęła po koc, ale w tej chwili usłyszała do-

datkowy, dziwny dźwięk. Znieruchomiła, nasłuchując i wtedy zrozumiała, że to cichy jęk Rodericka. Pierwszy odgłos jaki wydał od dwóch dni. Pochyliła się nad nim.

– Ericku, słyszysz mnie? – zapytała, przybliżając usta do jego ucha.

– Barbara – wymamrotał niewyraźnie.

– Tak, to ja – odpowiedziała, głaszcząc go po twarzy. – Wreszcie jesteś.

Przez chwilę milczał, wpatrując się w nią. Dziwił się, że trzyma go na kolanach, że tak czule gładzi jego policzek. Podobało mu się to, ale wiedział, że coś jest nie tak. Może to tylko sen, jakiś zwariowany, nierealny psikus umysłu.

– Gdzie jesteśmy? – Poruszył się i podpierając na łokciach, podciągnął do góry. Oparł plecy o ścianę i zaczął rozglądać dookoła, szacując sytuację.

– W furgonetce.

Dopiero teraz przypomniał sobie, co się stało. Dotknął dłonią rany na piersi.

– Długo tu jesteśmy? – zapytał.

– Chyba dwa dni. – Owinęła się kocem, bo chłód panujący wewnątrz auta był przeraźliwy, mimo iż na jej prośbę włączono ogrzewanie.

– Dwa dni – powtórzył. – Jak się czujesz? – zapytał z troską w głosie.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała. – Dają mi jeść i pić. I dali koc. Nie wiem, gdzie jedziemy. Im chodzi o nasze dziecko... – dokończyła ciszej.

– Nasze dziecko?

No tak! Jak mogła być taka głupia, aby mówić przy nim coś takiego! On nie chciał tego dziecka! Ono nic dla niego nie znaczyło!

– To znaczy moje i Lucasa. Tak jakoś szybko mi się powiedziało – wyjaśniła, próbując ukryć swoje zażenowanie.

– Nie pozwolę cię skrzywdzić – zapewnił, chwytając nagle jej dłonie. – Uwierz mi, że wszystko będzie dobrze.

– Wierzę ci – szepnęła, mimowolnie przytulając się do niego. Była spragniona bliskości kogoś znanego. Wreszcie przestała czuć tę paralizującą samotność.

Jej zachowanie kompletnie go zaskoczyło, ale mimo to nie dał tego po sobie poznać. Objął ją, mocno przyciskając do siebie. Uratuje ją dla Lucasa i odda mu prosto w ramiona. Już raz doprowadził do tego, że Westmoore stracił kogoś bliskiego, drugi raz nie dopuści do takiej sytuacji. Jego uczucia się nie liczą! Ważne, aby Lucas był z osobą, którą kocha. Z Barbarą!

* * *

Barbara opowiedziała Roderickowi o porywaczach i ich zwyczajach, tak iż wiedział, że nad ranem znowu przyjdą na tył furgonetki. Rozmyślał nad sposobami oswobodzenia Barbary i doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, gdy zaatakuje ich, kiedy tylko otworzą drzwi. Prawdopodobnie nie spodziewają się, że już odzyskał siły i element zaskoczenia, przeważyłyby szalę zwycięstwa na jego stronę. Wprawdzie nie czuł się jeszcze najlepiej i nadal odczuwał dziwną słabość, ale musiał zaryzykować.

Wnioskując po tym, co powiedziała Barbara, był nieprzytomny przez dwa dni, czyli przez ten czas się nie posilał. Krew wypita tuż przed wyruszeniem na odsiecz, została zużyta w procesie regeneracji organizmu. Sztylet najpewniej był czymś posmarowany i wprowadził jakąś truciznę do krwioobiegu. Jeśli będzie czekać dłużej, osłabnie jeszcze bardziej, gdyż raczej wątpliwe jest, aby porywacze mieli zamiar go karmić. Zapewne zdają sobie sprawę, że może przetrzymać długo bez pożywienia, a dzięki temu nie będzie sprawiał kłopotów. Tylko co się stanie, gdy doprowadzony do ostateczności, ogarnięty szaleńczą rządzą, rzuci się na Barbarę, aby zaspokoić głód?

Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie, gdyż wcześniej uda mu się oswobodzić. Gdy samochód zatrzymał się, podszedł do samych drzwi i czekał, aż te się otworzą. Barbara skulona z tyłu, w rogu pomieszczenia, w myślach modliła się o powodzenie tego planu. Szczęknął otwierany zamek. Roderick rzucił się na osobę, która stała w otwartych drzwiach i zwaliwszy się na nią, przycisnął do ziemi. Z całej siły zadał cios prosto w twarz.

Monique zobaczyła jak z furgonetki wyskakuje jakaś postać i przygniata Justina. Bez chwili namysłu pospieszyła mu na ratunek. Złapała Rodericka za ramiona i szarpnęła. Odskoczył od Justina i wykonując półobrót, kopnął dziewczynę prosto w brzuch. Siła uderzenia odrzuciła ją kilka metrów dalej, jednak przez ten ułamek sekundy Justin zdążył się podnieść i zdzielić Rodericka w głowę. Cios był potężny, ale Robillard go wytrzymał.

Mimo niewielkiego zamroczenia, przeszedł do kontrataku. Zarzucił Justynowi ramię na szyję i zmusił go do przyklęknienia. Zacisnął ucisk.

Nagle jego ręka zwiotczała, tracąc całkowicie czucie. Jakiś dziwny paraliż objął całe jego ciało. Poczuł, że ciemnieje mu przed oczami, a zmysły odmawiają posłuszeństwa. Osunął się na ziemię, niczym szmaciana lalka.

Basit wolnym krokiem zbliżył się do leżącego i kopnął go nogą. Popatrzył na Justina, który właśnie podniósł się z klęczek i rozcierał szyję. Monique wygramoliła się z zaspy i otrzepawszy ubranie, podeszła do mężczyzn.

– Szybko się ocknął – zauważył Justin. – Twarda z niego sztuka.

– Nie zapominaj, że to Patron – rzuciła zgryźliwie dziewczyna. – Na takich trzeba uważać, bo w najmniej oczekiwanym momencie mogą ci wbić kołek prosto w serce. – Powiedziała to specjalnie, aby dopiec również Basitowi, ale on udał, że nie zrozumiał aluzji. Jeszcze raz kopnął leżącego.

– „Mamy wszystko przyszykowane”. – Ignorował Monique i zwracał się tylko do Justina. – „Musicie go spętać. Nie chcemy podobnych numerów.”

– Jasne. – Justin natychmiast pomaszerował do kabiny i wkrótce przyniósł stamtąd płócienny worek. W międzyczasie Monique wyprowadziła Barbarę na zewnątrz. Przechodząc obok leżącego Rodericka, Barbara zwolniła kroku, ale strażniczka natychmiast pchnęła ją, aby szła szybciej, o mało jej przy tym nie przewracając.

Pospiesznie skorzystała z toalety pod gołym niebem, a chociaż było bardzo zimno, nabrała trochę śniegu w dłoń i obmyła sobie nim twarz. Monique cały czas uśmiechała się złośliwie, widząc jej zabiegi kosmetyczne.

– No dość tego upiększania – warknęła. – Bo jeszcze za piękna będziesz. Wracamy.

– Byłaś kiedyś człowiekiem? – zapytała cicho.

Monique zatrzymała się i spojrzała jej prosto w twarz. – To nie twój pieprzony interes – wysyczała. – Teraz jestem twoim najgorszym koszmarem i niech tak pozostanie.

Nie odzywały się więcej do siebie. Gdy wróciły do furgonetki, nie zobaczyły już leżącego przed nią Rodericka. Barbara przestraszyła się, co wampiry mogły z nim zrobić, ale gdy wepchnięto ją do środka, i gdy doczołgała się na swoje miejsce w rogu pomieszczenia, odkryła, że Robillard również jest wewnątrz. Podczas jej nieobecności dwaj mężczyźni skuli ręce Rodericka kajdanami i przeciagnawszy przez nie łańcuch zamocowali go na haku, wbitym w sufit furgonetki. Brunet klęczał teraz na podłodze samochodu, z wysoko wyciągniętymi rękoma, których przeguby ścisnęły żelazne obręcze. Łańcuch, napięty do granic możliwości, uniemożliwiał mu jakiegokolwiek ruchu. Nogi miał również skute.

– Ericku! – przypadła do niego i delikatnie uniosła jego zwieszoną głowę. Spojrzał na nią tymi swoimi pięknymi oczyma.

– Wszystko dobrze – wyszeptał. – Nic mi nie jest. Przepraszam, że nie dałem rady cię uwolnić.

– Ależ co ty...

– Uratuję cię. Kiedyś cię uratuję...

– Cóż za urocza scena! – Monique zaklaskała w dłonie. – Och! Bis, bis! Jakbym widziała tragicznych kochanków. Spójrz Justin na tę scenę.

– Przymknij się – uciszył ją jej towarzysz i rzucił w stronę Barbary papierową torebkę. – A tu masz swoje żarcie.

Drzwi zostały zamknięte. Barbara usiadła tuż przy Rodericku i otworzywszy pakunek, wyjęła jakąś suchą bułkę. Była tak głodna, że właściwie nie obchodziło jej co je, ważne, że jadła. Justin z Monique usiedli pod przeciwległą ścianą i znowu zapadło kłopotliwe milczenie.

Roderick obserwował dwójkę wampirów. Widział, że byli inni niż on. Bali się światła słonecznego, dlatego w czasie dnia chowali się z tyłu furgonetki. To byli ci, nazywani plebsem, żołnierze Patronów. Nie potrafili narzucać swojej woli, nie potrafili przekazać daru nieśmiertelności. Z nimi dałby sobie radę, ale Basit przewyższał go siłą. Może gdyby udało się mu przekonać tych tutaj, że Basit tylko ich wykorzystuje... Może wtedy mieliby szansę na ratunek?

– Hej – zawołał. – O co wam chodzi?

Nie odpowiedzieli mu.

– Mówię do was. Czego od nas chcecie? Nigdy nie miałem nic przeciwko takim jak wy, wręcz uważam, że to, co wam zrobiono, jest złe. Ja też nie miałem wyboru, przemieniono mnie w chwili, gdy umierałem. Nikt nie

pytał się o moje zdanie.

– Ale miałeś to szczęście, że przemieniła cię pierwsza z pierwszych. My jak widzisz, nie mieliśmy aż tak dobrze – odburknęła Monique, chociaż Justin próbował ją powstrzymać przed zabieraniem głosu. – Jak to jest być z klasy panów? Jak to jest posiadać moce i chodzić w promieniach słońca? Jak to jest udawać człowieka?

– Naprawdę jest mi przykro za to, co was spotkało...

– Gówno prawda! – krzyknęła. – Skąd niby masz wiedzieć, co my czujemy? Jesteśmy zwierzyną, która kryje się w mroku. Znienawidzeni przez ludzi i przez naszych stwórców. Musimy zabijać, aby żyć, i tylko to daje nam satysfakcję. Odebrano nam wszystko, co mieliśmy, pozabawiono rodzin, życia, godności... A ty mówisz, że jest ci przykro? To trochę za mało, prawda? Przybyliście nie wiadomo skąd i zrobiliście sobie plac zabaw. Tylko po cholere to z nas zrobiliście zabawki? Ja miałam życie! Może nie było idealne, ale kto takie ma? Było moje! Tylko moje! I przestało nim być. Kim jestem teraz? Mnie nie ma! Tylko mrok... Pieprzę ciebie i tobie podobnych! Nie mam ochoty z wami gadać! Żyjesz tylko dlatego, że płynie w tobie krew najwyższego! Gdy nie będziesz już nam potrzebny, wtedy sama, własnoręcznie wyrwę ci to twoje patronie serce. I zdepczę je jak robaka... Tak jak wy chcieliście zdeptać nas. A teraz zamilcz już! Bo dam słowo, że jeszcze chwila, a nawet Justin, ani ten twój braciszek, nie powstrzyma mnie przed skopaniem ci tyłka.

– Monique, więcej godności – upomniał ją Justin. – To

tylko przedmiot, który jest potrzebny do odprawienia rytuału. Szkoda na niego marnować słów.

– Wiem najdroższy... – W jej głosie słycać było dziwną tęsknotę. Mówiąc do Justina, zmieniała tembr głosu, tak jakby chciała się mu przypodobać albo oczarować. Barbarze wydało się, że słyszy pocałunek.

– Nigdy więcej tego nie rób – szept Justina nie brzmiał zbyt przyjemnie. – Jesteśmy w pracy, nie na wycieczce krajoznawczej. Bądź profesjonalistką, a nie podlotkiem!

Roderick odgadł prawdę. Zagłębił się w umyśle Justina i Monique. Znał sekret mężczyzny. Być może to jest klucz do ich uwolnienia. Szkoda, że nie mógł im narzucić swej woli, prawdopodobnie Basit o to zadbał, używając jakiejś przynależnej tylko jemu mocy. Zdradzona kobieta jest zdolna do wszystkiego i pała rządzą zemsty, a jeśli tą kobietą dodatkowo jest wampirzyca? Tak, to może być przepustka do wolności. Tylko potrzebny jest odpowiedni moment.

* * *

Caroline przejrzała rzeczy Rodericka, ale nie natrafiła na nic podejrzanego, jeśli nie liczyć ogromnej ilości pustych butelek po whisky i kilku działek heroiny. Robillard nadużywał alkoholu i narkotyków w sposób wręcz przerażający. Co tak bardzo chciał zagłuszyć? Przed czym szukał ucieczki?

Te wszystkie kobiety, te próby zatracenia się w szaleństwie. Jakże musiał się czuć zagubiony i samotny! Być może nie rozumiała go i to doprowadziło do tragedii.

Kolejną rzeczą, która dała Caroline do myślenia, był zwykły zeszyt, znaleziony na półce z koszulami. Wtknięty pomiędzy ubrania, tak jakby ukryty. Otworzyła go i przekartkowała. Nie wierzyła w to, co zobaczyła. Na każdej stronie wykaligrafowane, narysowane, wykreślone było imię – Barbara. Tysiące razy. Proste, pochylone, pogrubione... Każde inne, ale takie samo. Barbara... Dlaczego Roderick tyle razy napisał imię dziewczyny Lucasa?

Siedziała na łożu Robillarda i wertowała zeszyt. Bezmyślnie wpatrywała się w ten sam napis, zdobiący każdą kolejną kartkę. Roderick musiał mieć obsesję na punkcie Barbary. To by wyjaśniało, dlaczego zaplanował porwanie.

– Znalazłaś coś? – Do pokoju, bez pukania, wszedł Adam. Pospiesznie zamknęła brulion i wstała z łóżka. Nie chciała, aby zobaczył zapiski Rodericka. Podeszła do szafy i na powrót schowała zeszyt pomiędzy koszule.

– Nic – odpowiedziała, zamykając szafę. – Tylko notatnik z rachunkami.

– Z rachunkami? – Wyglądał na zaskoczonego.

– Zdaje się, że prowadził rejestr wypitego alkoholu. A ty dowiedziałeś się czegoś na policji? – Szybko zmieniła temat.

– Nic. Gliny jak zwykle nic nie wiedzą. Mam wrażenie, że nawet porządnie nie zabrali się do roboty.

– Znamy ich zapach, rozpoznamy ich wszędzie.

– Tak, ale najpierw musielibyśmy wiedzieć, gdzie się ukryli. Potrzebujemy jakichś namiarów. Czegokolwiek.

Wiemy tylko, że ta furgonetka to Peugeot Boxer – chociaż tyle ustaliła policja na podstawie śladu opon i rozstawu osi kół. Ile takich samochodów może jeździć po drogach Ameryki?

– Czyli jednak coś robią.

– Ale w tempie żółwia. A ja mam tak siedzieć i czekać, aż te dranie zabiją Barbarę? Wiesz, co ja czuję?

– Rozumiem. – Zbliżyła się do niego i objęła go. – Ta bezsilność jest najgorsza, ale nie póki co nie możemy nic zrobić. Musimy czekać.

– Na co? Na przysłanie jej zwłok? – Wyswobodził się z uścisku. – Lucas, chociaż próbuje, nie traci nadziei, a my tkwimy tutaj jak kołki w płocie Zazdroszczę mu tej desperacji.

– My też nie rezygnujemy i nie zrezygnujemy nigdy – zapewniła. – Ale nie mamy żadnego śladu, bez sensu byłoby jeździć po kraju, jeśli nie wiemy w którą stronę się udali. Na razie pewne jest tylko to, że Barbara żyje. Patronom zależało na jej dziecku, więc dopóki nie urodzi jest bezpieczna. Ten maluch jest bardzo ważny i wątpię, aby Basit pozwolił ją skrzywdzić przed porodem.

– Czyli mamy około pięć miesięcy czasu – zadrwił. – I ja mam przez te wszystkie dni czekać spokojnie, aż zdarzy się cud i trafimy na ślad mojej siostry? Na pewno dobrze się ukryją, nie będziemy nic o nich wiedzieć! Z każdą chwilą są coraz dalej od nas. Gdzie jadą? Mogą być wszędzie!

Caroline nie chciała go martwić, więc nie powiedziała

nic na temat wyjątkowych zdolności Basita, do przyjmowania wyglądu dowolnej osoby. Sama była świadkiem tego, że potrafił objąć urokiem także tych, którzy mu towarzyszyli. Szansa na odnalezienie Barbary była zerowa. Nie mieli szans w starciu z najwyższym Patronem. Tylko ktoś z członków Rady Najwyższej, mógłby nawiązać z nim telepatyczną więź. Yadira kiedyś o tym wspomniała. Ci, którzy przybyli z Wiecznej Krainy, mogli się nawzajem odszukać, łączyło ich coś ponadnaturalnego.

– Muszę jechać do Benacantil!

– Co? – Szeroko otworzył oczy. – O czym ty do cholery mówisz? Chcesz udać się do Hiszpanii, kiedy tutaj ważą się losy mojej siostry? – Wyglądał na naprawdę zszokowanego.

– Tylko oni mogą nam pomóc – wyjaśniła. – Pierwsi z pierwszych są ze sobą połączeni nadnaturalną więzią. Myślę, że będą w stanie namierzyć, gdzie ukrył się Basit. To nasza jedyna nadzieja, więc warto zaryzykować. A przy okazji odbiorę moją zdolność przewidywania przyszłości. Te wizje teraz bardzo by się przydałyby.

– Pojadę z tobą! Nie puszcę cię samej, bo wiem, co może ci tam grozić. Kiedy się tam zjawisz i powiesz im o śmierci Yadiry i zdradzie Basita...

– To zbyt niebezpieczne – zaprotestowała.

– Nic mnie to nie obchodzi! – krzyknął ze złością. – Ty ryzykujesz, Barbara ryzykuje, dlaczego ja mam się chować jak tchórz? Jesteśmy w tym wszystkim razem i nie zamierzam stać z tyłu. Caroline, obiecałaś, że nie będziesz

traktować mnie ulgowo! To moja siostra! Muszę coś zrobić!

– Bardzo mi kogoś przypominasz – zamyśliła się. – Jesteś taki jak Lucas. On dla Elizabeth też był gotów na wszystko... Naprawdę chcesz jechać ze mną do Benacantil?

– Tak. Ta beczynność mnie zabija! Nie wytrzymam tego. Jeśli uważasz, że tylko oni mogą ją odnaleźć, to musimy tam jechać! Idę zarezerwować bilety!

* * *

Lucas zatrzymywał się na każdej stacji benzynowej, przy każdym mijanym motelu. Wszędzie wypytywał o furgonetkę Peugeot Boxer i pokazywał zdjęcie Barbary. Niestety nikt nie widział podobnie wyglądającej dziewczyny, ani nie zwrócił szczególnej uwagi na taki samochód. Owszem, furgonetki przejeżdżały często, ale czy akurat przejeżdżała ta, o którą pytał, nikt nie potrafił mu odpowiedzieć. Gdyby jeszcze dysponował zdjęciami porywaczy. Wprawdzie miał przy sobie prawo jazdy Rodericka, ale zdjęcie umieszczone na nim było dość małe i nie dało się go powiększyć, nie tracąc przy tym na jakości obrazu.

Czwartego dnia po porwaniu, zatrzymując się na stacji w pobliżu Sioux Falls, jak zwykle wyjął zdjęcie i pokazał ją pracownikowi obsługi.

– Widział pan może tę dziewczynę? – zapytał.

– Ładna. – Mężczyzna zerknął na fotkę. – Ktoś z rodziny? Uciekła, tak?

Nie ponowił pytania, gdyż zajął do jego myśli i tam uzyskał odpowiedź. Schował zdjęcie do kieszeni płaszcza, a wyjął prawo jazdy Rodericka.

– A może tego?

– Nie. – Przelotnie rzucił wzrokiem na dokument. – Zresztą proszę pana, ja się nie przyglądam twarzom klientów. Przychodzą, płacą za benzynę, kupują żarcie... Nie mam czasu się im przyglądać, czy też zapamiętywać. Musze pilnować, aby nic nie zwinęli, bo musiałbym płacić z własnej kieszeni.

– Samochodów też pan nie obserwuje – dorzucił Lucas – więc pytanie o furgonetkę Peugeot Boxer, nie ma większego sensu, prawda?

– A wie pan, miałem ostatnio taką przygodę. – Mężczyzna podrapał się po głowie. – To było w pierwszy dzień nowego roku. Jakoś tak nad ranem. Siedziałem i się nudziłem, bo to raczej martwa pora i wtedy właśnie podjechał taki samochód, o jakim pan mówi. Szara furgonetka.

– W pierwszy dzień nowego roku nad ranem? – powtórzy wolno. To by pasowało.

– Tak. Nie żebym się szczególnie przyglądał, ale ta dziewczyna, która robiła tu zakupy...

– To nie była ta z fotki? – wolał się jeszcze raz upewnić.

– Nie! Skądże! Ta była tak... No jak to panu powiedzieć... No dziwna była. Miała taką ponurą minę, jakby miała ochotę mi dowalić. Nawet się przez chwilę obawiałem, bo byłem z nią sam w sklepie. Pochodziła po sali,

powybierała jakieś tam rzeczy, ale nawet nie patrzyła, co bierze. Po prostu zgarnęła je i już. A gdy podeszła do kasy, to spojrzała na mnie takim upiornym wzrokiem, że aż po plecach przeszły mi ciarki. Miała takie dziwne spojrzenie. Jak morderca. Okropność.

– Jak ona wyglądała. – Poczuł, że prawdopodobnie trafił wreszcie na jakiś ślad. – Co takiego było w tym spojrzeniu?

– Taka średniego wzrostu była... Raczej szczupła. Szatynka. Długie, proste włosy. Była nienaturalnie blada, jakby chora... Tak, teraz tak sobie myślę, że musiała być chora, bo pod oczami miała ciemne sińce. Chyba przy chorobach nerek ma się takie, nie? Słyszałem na Discovery Channel, że...

– Widział pan z kim była? – przerwał mu zdecydowanym tonem.

– No z kimś tam była...

– Ma pan w sklepie i na zewnątrz monitoring? – Uważnie rozejrzał się dookoła.

– A kto go nie ma? Takie czasy, drogi panie. – Wzruszył ramionami.

– Chciałbym zobaczyć zapis z tamtego dnia – powiedział to wolno, jednocześnie intensywnie wpatrując się w oczy mężczyzny. Sprzedawca bez słowa sprzeciwu podszedł do drzwi wiodących na zaplecze i otworzywszy je, ruchem ręki zaprosił Lucasa do środka.

– Tu są zapisy z ostatnich dziesięciu dni. – Wskazał na płyty leżące przy komputerze ustawionym na niewielkim

metalowym biurku pod oknem.

– Są datowane?

– Tak.

– Ok. – Lucas dosunął do biurka obrotowe krzeselko i sięgnął po pudełeczka. Kolejno przekładał je, zerkając na daty, aż dotarł do tej z pierwszego stycznia. Otworzył kieszeń napędu CD/DVD i włożywszy do środka płytę, czekał aż na monitorze pokaże się obraz. – Dam sobie radę, pan może wracać do pracy – rzucił do mężczyzny.

* * *

Lucas siedział przed monitorem i wpatrywał się w zastopowany obraz. Trochę niewyraźny, zamazany, ale jednak nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Oto widział furgonetkę zaparkowaną przy stanowisku drugim, a przed nią dwóch mężczyzn, wśród których rozpoznał Basita. Tego drugiego nie znał, ale domyślał się, że to jego pomocnik, tak samo jak ta dziewczyna. Ale gdzie jest Roderick? Uważnie, klatka po klatce oglądał film. Wiedział już kogo szuka i miał numer rejestracyjny furgonetki. No i rysopisy poszukiwanych osób.

– Znajdę cię Barbaro – wyszeptał. – Odpowiedzą mi za wszystko.

* * *

Furgonetka od dobrych kilku godzin stała zaparkowana. Gdzie? Tego Roderick nie wiedział. Klęczał w środku, spętany kajdanami, nie mając możliwości sprawdzenia, co się dzieje. Barbara spała w rogu pomieszczenia, ale przez sen co chwilę kaszłała, a rodzaj tego

kaszlu trochę go niepokoił. Tak dziwnie, świszcząco oddychała. Czyżby była chora? Ta myśl zaniepokoiła go i spowodowała, że spróbował wyszarpnąć łańcuch, ale niestety nie dał rady wyrwać haka wbitego w sufit. Kajdany tylko mocniej werżnęły się w przeguby jego rąk, raniąc je aż do krwi. Zrezygnował z kolejnych prób zerwania kajdan, nie był na to wystarczająco silny. Nie czuł bólu, ale z każdą chwilą ogarniało go coraz większe pragnienie. Najgorsze było to, że Barbara pachniała tym czymś, co mogłoby przynieść mu ukojenie. Starał się nie zwracać na to uwagi, ale za każdym razem, gdy wciągał powietrze, od nowa przeżywał katusze. W końcu przestał oddychać.

Z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy. Co mogą planować tamte wampiry? Czyżby dojechali już na miejsce? Ale dlaczego w takim razie ich stąd nie zabiorą? Dopiero teraz dotarło do niego, że musi być bardzo zimno, a samochód ma wyłączony silnik, więc nie pracuje ogrzewanie. Barbara... Znowu o niej pomyślał. Musi ją obudzić! Nie powinna spać, bo jeszcze zamarznie!

– Barbara! – zawołał półgłosem. – Barbaro, obudź się!

Ileż by dał, aby móc do niej podejść, przytulić. Ogrzałby ją swoim własnym ciałem. Nie może się jej nic stać! Ona musi żyć.

– Barbaro – powtórzył głośniej.

– Nie... – szepnęła, poruszając się niespokojnie.

– Barbaro, musisz wstać. Obudź się!

– Ja... – Była taka zaspana. Z trudem otworzyła oczy. Szczelniej otuliła się kocem, czując przeraźliwy chłód.

Nawet podłoga i ściany samochodu wydawały się jej lodowate. Zakaszłała, zakrywając usta dłonią.

– Stoimy od dłuższego czasu – wyjaśnił. – Wyłączyli ogrzewanie.

– Gdzie jesteśmy? – Przysunęła się do niego bliżej. Zagryzł wargi, gdyż jej zapach był taki intensywny, tak bardzo go nęcił. Nawet nie oddychając go czuł.

– Nie wiem. – Nie myśleć o tym. Nie myśleć...

– Jest tak zimno...

To pieprzone pragnienie! Gdyby był człowiekiem...

– Nie zasypiaj! – krzyknął, dostrzegając, że znowu przemyka oczy. – Nie możesz spać. Nie teraz! Barbaro!

– Ale ja nie mam siły... Tylko na chwilę...

– Nie! Musisz się do mnie przytulić. Musisz mi zaufać...

– Przytulić?

– To, albo zamarznięcie, wybór należy do ciebie. – Jakimże musi być głupcem, proponując jej coś takiego. Jednak widocznie chęć życia była u niej silniejsza, niż odraza do niego, gdyż przysunęła się tak blisko, iż poczuł bicie jej serca. Tak wyraźnie, tuż przy swojej skórze. Nie mógł jej dotknąć, gdyż ręce miał unieruchomione, ale każdą komórką swego ciała czuł ją tak wyraźnie.

– Obejmij mnie – szepnął.

Posłusznie wysunęła dłonie spod koca i objęła go za ramiona. Przyłgnęła do niego całą sobą. Nie mógł się powstrzymać i zaciągnął się jej zapachem. Kwiatowa woń, przypominająca odrobinę Elizabeth. Że też wcześniej tego

nie skojarzył! A może tylko teraz tak mu się wydaje? I ta krew... Tyle jej... Ciepła, świeża.

Zamknął oczy i zaczął myśleć o drzewach. Setki drzew. Jedno przy drugim. Liście kołyszą się na wietrze, szumią łagodnie, trącane wiatrem. Drzewa, las, spokój... Krew, świeża krew...

Usłyszał cichutkie westchnięcie dziewczyny, a za chwile znowu atak kaszlu wstrząsnął jej ciałem. Oparła policzek o jego klatkę piersiową. Zrobiła to tak ufnie, tak naturalnie, jakby wcale nie z musu.

– Będzie dobrze. – Jakoś tak mimowolnie musnął wargami jej włosy, ale na szczęście nie poczuła tego. Co by sobie o nim pomyślała? A co już myśli? Chyba nic nie może bardziej mu zaszkodzić. Jest przecież bestią, potworem zabijającym ludzi. Nawet niedawno zabił kolejną dziewczynę... Ale jej nie mógłby skrzywdzić. Prędzej sam sobie wbiłby kołek prosto w pierś.

Zamek w drzwiach zazgrzytał i po chwili do środka weszły trzy osoby. W jednej z nich Roderick rozpoznał Justina, ale pozostałe dwie widział pierwszy raz w życiu.

– Heh, ale scenka – parsknął niższy z mężczyzn, obdarzony niezwykle dużym, garbatym nosem. – Toście sobie parkę przygarnęli. Ta mała, nie powiem apetyczna sztuka i sam chętnie bym się z nią zabawił, ale po jakie licha ciagniecie ze sobą to ścierwo?

– Jest ważny dla całości planu – wyjaśnił spokojnie Justin. – To tylko stan przejściowy. Po wszystkim dostanie to, na co zasłużył.

– I bardzo dobrze. – Wyższy, łysiejący mężczyzna, z uwagą obwąchał Barbarę

– Zostaw ją! – warknął Roderick, szarpiąc się na łańcuchu.

– Wściekłe to bydle – zarechotał właściciel krzywego nosa. – I jak broni samicy. Jeszcze można by pomyśleć, że to jego kobieta. – Schwycił Barbarę za ramiona i odciągnął od Rodericka. – Gdy będzie po wszystkim, to ja zamawiam godzinkę z tą kocicą.

– To i mnie wpiszcie na listę – dodał drugi nieznajomy. Razem z Justinem zajęli się łańcuchami Robillarda.

Barbara została wywleczona na zewnątrz i pchnięta na śnieg. Upadła twarzą w zaspę, ale szybko się podniosła. Rozejrzała się dookoła, ponownie zanosząc głębokim, dudniącym kaszlem. Furgonetka stała przed drewnianą szopą, a obok znajdował się inny samochód, wyglądający na solidniejszy i wyposażony w większe koła.

Zbir podszedł do niej i obwąchał dokładnie dookoła. Z rozmysłem polizał po policzku, po czym zamlaskał usatysfakcjonowany. Barbara wzdrygnęła się i cofnęła do tyłu, sprawiając, że krzywonosy zarechotał nieprzyjemnie. Chwycił ją za włosy i przyciągnął do siebie.

– Co za ostra sztuka. – Śmiał się obleśnie ukazując żółte zęby. – Lubię takie, zwłaszcza, gdy dzięki mojej perswazji przestają być harde. – Wyciągnął zza pasa nóż i przybliżył do twarzy dziewczyny.

– Ej ty! – Ciszę rozdarł krzyk Monique. – Za bardzo sobie pozwalasz! Ta mała jest nam potrzebna. Przynajm-

niej na razie...

– A czy ja coś robię? – Zbir spojrział na wampirzycę. – Chciałem tylko wziąć sobie mały upominek... – Błyskawicznym ruchem ciała, odcinając długi pukiel włosów Barbary.

Monique dopadła do niego i potężnym pchnięciem odrzuciła od dziewczyny.

– Czy ja ci pozwoliłam? – zapytała, groźnie marszcząc brwi.

– Ok. Ok. – Schował nóż z powrotem, a odcięte pasmo włosów przyłożył do nosa. – Już mam to, co chciałem. Twojej pupilce nic się nie stało.

– Dziękuję. – Barbara z wdzięcznością spojrzała na Monique. Nigdy nie myślała, że będzie jej za coś wdzięczna, jednak teraz naprawdę czuła ulgę, iż wampirzyca stanęła w jej obronie.

– Nie myśl, że zrobiłam to z troski o ciebie. – Dziewczyna obrzuciła ją nieprzychylnym spojrzeniem. – Sama chętnie bym cię poszatkowała, ale masz coś, co jest nam niezbędne.

– Dlaczego jesteś taka? – zapytała, z trudem chwytając powietrze.

– Jaka?

– Wredna, okrutna...

– Dobre pytanie! Sama chciałabym wiedzieć. Kiedyś byłam miłą, sympatyczną dziewczyną, kochającą balet. Taniec był całym moim życiem. I wiesz co? Nagle zjawił się ktoś, kto pomyślał, że mogę zasilić szeregi jego armii.

Nie pytał mnie o zdanie, po prostu to zrobił. Obudziłam się jako nowa ja. Właśnie taka wredna i okrutna jak mnie nazwałaś. Więc może zamknij ten głupi pysk, bo nie ręczę za siebie!

Umilkła spłoszona i odwróciła się w stronę samochodu, skąd właśnie trzech mężczyźni wyprowadzali słaniającego się na nogach Rodericka. Popychali go, szturchali, obrażali, a on zdawał się lekceważyć ich obelgi, całą swoją uwagę koncentrując na Barbarze. Widząc jej zaleknione spojrzenie uśmiechnął się pocieszająco, pragnąc w ten sposób dodać jej otuchy. Odpowiedziała uśmiechem.

Mężczyźni otworzyli tylne drzwi drugiego samochodu i weszli tam razem z Roderickiem.

– Możesz się teraz umyć – zadrwiła Monique. – Następny przystanek będzie w o wiele zimniejszym miejscu.

Nie wiedziała, czy to tylko żart czy nie, ale wolała nie marnować okazji. Pospiesznie wzięła w zgrabiące dłonie trochę śniegu i rozprowadziła po twarzy. Jej policzki zaczerwieniły się pod wpływem zimna. Przesunęła się nieznacznie w bok, bardziej za drzewo, aby w spokoju skorzystać z toalety. Ciągle wstydziła się spojrzeń innych, które bardzo ją krępowały, jednak Monique nie zamierzała niczego jej ułatwić. Specjalnie odwróciła się w jej stronę i nie spuszczała z niej wzroku. Barbara starała się na nią nie patrzeć.

Z prawdziwą ulgą wsiadła do nowego samochodu, tym bardziej, że wewnątrz okazał się o wiele bardziej komfortowy, a co więcej z tyłu, pod ścianą, zamontowano trzy

wygodne, siedzenia. Dodatkowo ktoś położył na nich dwa grube koce.

Roderick znowu klęczał na posadzce, ponownie skuty kajdanami, z rękoma wysoko wyciągniętymi do góry. Stalowy łańcuch naciągnięto do maksimum, tak aby uniemożliwić mu jakikolwiek ruch.

Rozwinęła dodatkowy koc i opatuliła się nim szczelniej. Było jej tak zimno, tak przeraźliwie zimno. Usiadła na fotelu i podkuliła pod siebie nogi. Wreszcie nie czuła chłodu bijącego od podłogi, ale mimo to, miała wrażenie, że ze wszystkich stron otacza ją mroźna tafla. Czy już nigdy nie będzie jej ciepło? Marzyła o słońcu, o gorącym piasku... Oddałaby wszystko, żeby nie czuć tego przejmującego, wszechobecnego zimna, zdającego się docierać aż do samych kości. Kaszel ostatnio coś za często ją męczył, no i ten ból przy oddychaniu... Miała wrażenie, że powietrze nie może się przecisnąć przez ściśnięte gardło.

– Wszystko gotowe. – Justin zajrzał do środka. – Dzięki chłopaki.

– Wiesz, że zawsze możesz na nas liczyć. Jakbyście mieli już dość tej małej – tu zbir wskazał głową na wnętrze furgonetki, dając do zrozumienia, że chodzi mu o Barbarę – to wiecie, gdzie można nas znaleźć.

– Jasne – potwierdził Justin. – Gdy przestanie być nam potrzebna, dostaniecie ją do swej dyspozycji.

– I to rozumiem! – Krzywonosy cały czas przyciskał odcięty pukiel włosów dziewczyny do twarzy, zaciągając się jego zapachem. – Już się nie mogę doczekać, jak będzie

piszczyć, gdy... – Nie dokończył, gdyż jego towarzysz dzielił go ręką przez głowę.

Monique wyminęła Justina i wsiadła do tyłu. Stała przed Barbarą i popatrzyła na nią z irytacją. Zrzuciła pozostały koc na podłogę i zajęła fotel najbardziej oddalony od dziewczyny.

Justin także wskoczył do środka, a ktoś z zewnątrz zamknął za nim drzwi. Usiadł pomiędzy Barbarą a Monique i utkwiał wzrok w Rodericku. Zastanawiał go ten Patron, bo nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego. Miał wrażenie, że ten młody mężczyzna mimo, iż należy do najwyższej kasty, nie jest jednak taki jak pozostali. Właściwe to nawet ciekawe. Ktoś, kto powinien być czystym złem, potrafił zachować ludzkie uczucia. Nawet bardziej ludzkie niż ci, którzy śmiali się nazywać ludźmi. Przecież nikt mu nie kazał ratować Barbary, ryzykować własnego istnienia. Zrobił to dobrowolnie. Patron, poświęcający się dla człowieka? Może nie wszyscy są potworami? A jeśli nie, to czy to coś zmienia?

* * *

Znowu byli sami. Musiała być noc, bo porywacze opuścili tył furgonetki. Wewnątrz panowała cisza, przerywana tylko pokasływaniem Barbary. Ataki kaszlu nasiliły się w ciągu ostatnich godzin. Roderick przysłuchiwał się im z coraz większym zaniepokojeniem. Nawet gdy zasypiała, jej oddech był taki dziwnie świszczący, przyspieszony, nienaturalny. Nie mógł do niej podejść, ale instynktownie wyczuwał, że jest z nią coraz gorzej.

Siedziała skulona na fotelu, opatulona trzema kocami, a i tak trzęsła się z zimna. Jej całe ciało pokryte było kropelkami zimnego potu. Za bardzo nie wiedziała, co się z nią dzieje. Czasami miała wrażenie, że tylko śpi. Budziła się i znowu zasypiała, nie nawiązując kontaktu z rzeczywistością. Właściwie jedynym łącznikiem z realnym światem było tylko to zimno. Okropne, przejmujące, zdające się pochłaniać ją bez reszty. W przebłyskach świadomości przypominała sobie, gdzie się znajduje, ale nie zdążyła się nawet tym przejąć, gdyż natychmiast odpływała w niebyt.

Chwilami miała wrażenie, że ktoś woła jej imię. Dołatywało do niej z daleka, jakby musiało się przedzierać przez kilka warstw zasłon. Nie wiedziała, kto ją woła, nie rozpoznawała głosu, ale w pewien sposób działało to na nią kojąco. Śniła, a w swoich snach widziała przedziwne sceny – coś jakby migawki z filmu. Widziała jakiś dom, otoczony ogrodem. Wąskie dróżki ukryte wśród wypielegnowanych, starannie przystrzyżonych żywopłotów, prowadzące gdzieś, gdzie czuła, że musi się udać. Szła pospiesznie, krążąc w tym dziwnym labiryncie. Kolejne alejki, kolejne szpalery krzewów. I nagle prześwit! Alejka kończy się małą polanką otworzoną na staw. Obok stawu stoi pochylona wierzba płacząca, muskająca swoimi zwieszającymi się smutnie gałęziami, ciemną tafłę wody. Tuż obok wierzby leży powalony pień drzewa. Pokryty mchem, na wpół zmurszały... Ten widok jest tak znajomy, tak swojski.

Nagle zrywa się wiatr. Ciemne chmury zasnuwają niebo. Nie ma już polanki, nie ma alejek, nie ma wierzby i stawu. Jest za to kościółek, niewielki budynek, bardziej kaplica niż prawdziwa świątynia. Drzwi otwierają się i wolno wchodzi do środka. Na podłodze, tuż przed jej stopami tworzą się przedziwne kolorowe obrazy. Patrzy przed siebie i widzi ołtarz – ma wrażenie, że musi do niego dojść. Już tak niedużo drogi zostało...

– Elizabeth... – Ten głos. Coś jej przypomina. Ale dlaczego woła na nią tym imieniem? Elizabeth?

– Barbaro!

Z trudem otworzyła oczy. Gdzie jest? Gdzie podział się ten ołtarz? I to zimno... Znowu czuje ten chłód! Nie chce go czuć! Nie teraz! Zamknąć oczy, zapomnieć, nie istnieć....

– Barbaro... – Głos nie rezygnuje, raz za razem powtarza jej imię. Dlaczego nie pozwoli jej odejść. Dlaczego tak usilnie próbuje zatrzymać w tym zimnym, złym miejscu? Nieważne... To już nie ma znaczenia. Nie chce tu być. Musi znowu zamknąć oczy, musi odpłynąć w ten świat snu.

– Barbaro! – Roderick szarpnął się na łańcuchach. Żelazne kajdany zagłębiły się w jego skórę, aż do samych kości. Kolejne szarpnięcie. Coś jest nie tak! Barbara potrzebuje pomocy, a on jest unieruchomiony. Zebrał w sobie wszystkie siły i z impetem, nie zważając na obrażenia jakich doznawał, zaczął rzucać się na wszystkie strony, powodując hałas. Tylko tak mógł zwrócić uwagę pory-

waczy. Chwilę to trwało, ale wreszcie samochód się zatrzymał. Kolejne sekundy ciągnęły się w nieskończoność, jednak wreszcie drzwi zostały otworzone.

– Co jest do cholery? – Monique nie była w najlepszym humorze. Przez ostatnie kilometry, prowadząc samochód, miała możliwość zaobserwować przypadkiem coś, co nie przypadło jej do gustu. Spojrzenia jakie Justin i Basit wymieniali między sobą nie pozostawiały zbyt dużo złudzeń. Tak nie patrzy na siebie szef i zwykły pracownik. Tych dwóch musiało coś łączyć... Nie chciała o tym myśleć, ale z każdą chwilą była coraz bardziej pewna, że jej przypuszczenia muszą być słuszne.

– Musicie jej pomóc. – Wskazał głową na Barbarę. – Coś z nią jest nie tak.

– Jasne, że nie tak! – zadrwiła. – To człowiek, więc jest inna od nas.

– Proszę cię, zobacz co u niej – teraz już niemalże błagał. Niech tylko nie zamyka tych cholernych drzwi! Niech sprawdzi co z Barbarą!

– Hej ty! – krzyknęła nie wsiadając jednak do środka. – Hej ty, panna, jak się czujesz?

Odpowiedział jej tylko świszczący oddech dziewczyny. Zastanawiała się przez chwilę nad tym, co zrobić, ale wreszcie, z nieukrywaną niechęcią, podeszła do Barbary.

– Co z tobą? – Trąciła ją ręką. Dostrzegła czerwoną twarz dziewczyny, pokrytą kropelkami potu.

– Justin – wrzasnęła, odwracając się w stronę drzwi. –

Chodź no tu, natychmiast! Z tą małą jest coś nie tak!

Za moment na tył furgonetki przyszedł Basit. Odepchnął Monique i pochylił się nad dziewczyną. Odwinął poły, zasłaniającego ją koca.

– Co się stało? – Także i Justin przybył na wezwanie.

Basit spojrział na niego i przesłał mu swój przekaz myślowy. Justin zmarszczył czoło.

– Cholera – zaklął. – Tego nam tylko było trzeba. I co teraz?

– Co z nią? – Roderick szarpnął się na łańcuchu. Monique zlekceważyła to, ale jej towarzysz spojrział na mężczyznę.

– Kiepsko – wyjaśnił. – Jest nieprzytomna. Chyba potrzebuje lekarza. Z ludźmi zawsze są problemy. Słabe to takie, bezbronne... Byle wietrzyk i już chore...

– I co zrobimy? – Monique podparła się pod boki. – Przecież potrzebujemy jej dziecka. Może wydobędziemy je już teraz?

– Nie – krzyknął Roderick, ale nie zważała na jego sprzeciw.

– Krwi malucha pewnie wystarczy dla nas. Ile to trzeba wypić? Łyk, dwa? No i mamy ofiarę z tego drugiego. Może nie musimy czekać tyle czasu.

– Nie możecie tego zrobić! – Szarpał się coraz mocniej, wprawiając furgonetkę w wibracje. – Ona musi żyć!

– Raczej bez pomocy lekarskiej nie ma na to szans. – Justin ciągle telepatycznie komunikował się z Basitem. To oni obaj właśnie podejmowali decyzję. – Dziewczyna nie

przeżyje. Musimy spróbować z tym, co mamy, albo...

Basit skinął głową, brał pod uwagę także drugą możliwość. Gdyby teraz podali Barbarze swoją krew, mogliby ją uzdrowić, ale dziecko by umarło. Będąc jednak zdrową, mogłaby ponownie zająć w ciążę. To trochę odsunęłoby w czasie realizację planu, ale zapewniłoby większą skuteczność.

– Możemy dać jej naszej krwi – dokończył Justin. – To ją uleczy.

– A dziecko? – zainteresowała się Monique. – Na nim nam zależy, nie na niej.

– Będzie mieć kolejne. Przeprowadzimy jeszcze raz Obrządek Początku. – Wzruszył ramionami.

– To potrwa – zauważyła. – Nie lepiej uprościć sprawę.

Justin ponownie naradzał się z Basitem, który zdecydowanie pokręcił głową i wyjąwszy z kieszeni nóż naciął sobie prawy nadgarstek. Przybliżył rękę do ust dziewczyny.

– Poczekajcie! – Krzyk Rodericka brzmiał rozpaczliwie. – Jest jeszcze jeden sposób, abyście ocalili i matkę, i dziecko.

Basit zastygł w bezruchu i zwrócił twarz w jego stronę.

– O czym mówisz? – Justin zadał pytanie.

– Możecie jej dać moją krew – wyjaśnił. – Jestem ojcem tego dziecka i istnieje szansa, że moja krew go nie zabije.

Basit wyprostował się i podszedł do Rodericka. Długo i uważnie patrzył mu w oczy, chcąc wybadać o czym myśli. Tarcza chroniąca Robillarda była nadwątlona długim postem, więc Patron nie miał z tym większych problemów. To co wyczytał w umyśle mężczyzny, sprawiło, że zmienił zdanie. Odwrócił się do Justina.

– „Nie wiemy, jak zareaguje dziecko, ale jest szansa, że faktycznie mu to nie zaszkodzi. W jego żyłach płynie ta sama krew i chociaż jest ludzka, to ma w sobie cząstkę jego mocy. Taką uśpioną odrobinę... Możemy spróbować. Zawsze możemy później przejść do planu b.”

– Ok. – zgodził się Justin.

– I co robimy? – Monique była wściekła, że znowu pozostaje na marginesie. Tych dwóch najwyraźniej nie chciało dopuścić jej do głosu.

– Długo pościeś – Justin jeszcze trochę powątpiewał, ale nie zamierzał sprzeciwiać się szefowi. – Jesteś słaby, ale twoja krew zachowała swoje właściwości.

– Wy chyba żartujecie – roześmiała się Monique. – Nie, no co wy wyrabiacie?

Justin nie słuchał jej, zbliżył się do Rodericka i odpiął łańcuch, którym ten był unieruchomiony. Nie rozkuł jednak jego rąk, ani nóg, nadal pozostawiając je spętane. Szarpnął mężczyznę za ramię i przywlókł do fotela na którym leżała dziewczyna.

Basit podał Justinowi nóż, który ten natychmiast przyłożył do dłoni Rodericka i przycisnął mocno do skóry. Trzymając rękę Robillarda, przybliżył ją do twarzy Bar-

bary i patrzył jak czerwone krople skapują wprost na jej usta. Gdy uznał, że już dosyć, odepchnął bruneta do tyłu, tak iż ten zatoczył się i upadł na ścianę. Natychmiast dopadła do niego Monique i powtórnie naciągnęła łańcuch.

– Musimy czekać. – Justin spojrzał na Basita. Patron nie okazał już jednak zainteresowania tą sprawą. Wyszedł z samochodu, udając się do kabiny. Monique zamierzała właśnie zrobić to samo, ale Justin ją zatrzymał.

– Ty zostajesz – powiedział krótko.

– Co? – Aż zatrzęsło ją z oburzenia. – Chyba żartujesz?

– Ktoś musi jej doglądać – wzruszył lekceważąco ramionami – a ty jesteś kobietą.

– Ale nie niańką! – Dopadła do Justina i złapała go za poły kurtki na wysokości piersi. – Nie taka była umowa! Nic nie mówiłeś, że będę musiała troszczyć się o jakiegoś człowieka! – Słowo „człowiek” wymówiła z prawdziwą pogardą. – Sam sobie jej doglądaj, bo ja nie mam zamiaru!

– To rozkaz Basita – wyjaśnił spokojnie.

– Basita? – Puściła jego kurtkę. – No teraz to już przesadziłeś. Żaden pieprzony Patron nie będzie mi rozkazywał! Słyszysz? Żaden! To są śmiecie, kompletne zera! Widzisz, co nam zrobili? I ty chcesz go słuchać?

– Wybacz Monique, ale to sprawa wyższej rangi. Ona musi żyć i ty tego dopilnujesz, bo jeśli nie... – umilkł wymownie.

– Dobra. – Uderzyła dłońmi o uda. – Wynoś się do tego swojego pieprzonego Basita! Zostanę z nimi! Myślisz,

że nie? Zrobię to, ale nie dlatego, że jakiś porąbany Patron mi każe, ale dlatego, że mam dość życia w tej postaci. Tylko ta kretynka, może zwrócić nam wolność.

– Grzeczna dziewczynka. – Uśmiechnął się do niej i wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi.

Monique odwróciła się do Rodericka i popatrzyła na niego z wyższością. – O tobie nic nie wspominali – zaznaczyła. – Nie jesteś taki ważny, jakby się wydawało.

– I co z tego? – zapytał.

– To, że nie muszę być wobec ciebie uprzejma! – Gwałtownym ruchem uderzyła go z całej siły w policzek i z satysfakcją przyglądała się jak na rozciętej wardze pojawiła się krew. – Nie masz wystarczająco siły, aby się uwolnić. Jesteś głodny? No tak, dawno nie jadłeś! Biedaczek! – Roześmiała się szyderczo. – A co my tu mamy? – Skierowała wzrok na nadal nieprzytomną Barbarę. – Świeżutka, ciepła krew. Nie masz ochoty na łyceczek? Chciałbyś spróbować? Chciałbyś poczuć tę tętniącą żyłę, ten słodkawy smak...

Nie odzywał się, tylko patrzył jej prosto w oczy. Czytał w jej myślach jak w otwartej księdze.

– A mnie wydaje się, że coś innego bardziej cię interesuje – odezwał się spokojnym tonem. – Nie zastanawia cię, dlaczego nadal stoimy? Dlaczego nie ruszyli, mimo iż wszystko już załatwili? I dlaczego ciebie tu zamknęli? Aż tak bardzo jesteś potrzebna, aby opiekować się Barbarą?

– Czy ty coś insynuujesz? – Przysunęła twarz bliżej do niego, tak iż jej oczy znalazły się zaledwie kilka centyme-

trów od jego.

– Myślę, że sama zdajesz sobie sprawę, o co w tym wszystkim chodzi. Ktoś robi cię w konia.

– Justin mnie kocha! – krzyknęła.

– Naprawdę w to wierzysz? – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – Czy tylko próbujesz udawać, że wierzysz?

– On nie mógłby mnie oszukać – zniżyła ton głosu. W jej źrenicach zamigotały złowrogie błyski. Zza pasa wyjęła sztylet i przyłożyła ostrze do piersi mężczyzny. – Wiesz co to jest? – zapytała. – Czyste srebro – sama odpowiedziała na pytanie.

– To może powinnaś bardziej uważać, bo zrobisz sobie krzywdę? – zaproponował. – Takie małe dziewczynki nie powinny bawić się bronią.

– Tak uważasz? – Docisnęła ostrze i zakreśliła nim okrągły kształt na ciele Rodericka. – Ups.

Zagryzł wargi, gdyż nawet powierzchowna rana zadana srebrem sprawiała prawdziwie fizyczny ból.

– Widzę, że przeszła ci ochota na rozmowę. – Przesunęła sztylet wyżej, znacząc krwawą pręgą tors Robillarda. – A może oszpeci ci tę piękną buźkę?

– Myślisz, że zależy mi na wyglądzie? – zadrwił.

– A na czym ci zależy? – wyszeptała prosto do jego ucha. – Zaraz, poczekaj, niech zgadnę... Na niej! – Spojrzała w stronę Barbary. – Nie zabiję jej, ale mogę dokonać małej korekty wyglądu.

Odsunęła się od niego i podeszła do dziewczyny. Pokazała z daleka Roderickowi, że nadal trzyma w dłoni

sztylet.

– Zostaw ją! – Ponownie się szarpnął. – Ona jest niewinna! To zwykła dziewczyna, którą wplątaliśmy w nasze sprawy. Też kiedyś byłaś taka. Za co chcesz ją ukarać? Za to, że kiedyś ktoś ciebie źle potraktował?

– Źle? – Błyskawicznie dopadła do niego. – Zabito całą moją rodzinę, a ja musiałam na to patrzeć! Umierali w męczarniach. Rozrywano im gardła, wyszarpywano serca... Nawet mojemu braciszкови! On miał tylko roczek. Leżał w łóżeczku, nie mógł się bronić... A ta kobieta podeszła do niego. Widziałam jak wyciąga do niej rączki... A ona śmiała się, gdy podnosiła go do góry, a następnie wgryzła w tę malutką szyjkę. Nawet nie zdołał krzyknąć... Dookoła było tyle krwi... Tak dużo... Wszędzie. Chciałam zamknąć oczy, ale mi nie pozwolili. Czekałam kiedy zakończą moje cierpienia. Modliłam się o szybką śmierć, ale nie dostałam tej łaski. Stałam się taka jak oni! I ty śmiesz mówić, że ktoś mnie źle potraktował?

– Kocham tę dziewczynę. – Nie odrywał od niej wzroku. – Wiem, że nie powinienem, ale nie potrafię zapanować nad tym uczuciem. Jeśli masz ochotę kogoś torturować, to wybierz mnie. Ja zniosę wszystko. Tylko błagam, miej litość dla niej. Miej tę litość, której inni wobec ciebie nie mieli.

Opuściła rękę i nóż sam wypadł jej z dłoni. Samochód ciągle stał, a z zewnątrz nie dolatywały żadne odgłosy. Ten Patron miał rację – wiedziała o co chodzi. Dostrzegła spojrzenia jakimi Justin obdarzał Basita, zaobserwowała

niby przypadkowe dotknięcia. Poczwała żal, wielką, przytłaczającą stratę. Znowu była całkiem sama. Znowu nie miała z kim stawić czoła ciemnościom. W pewien sposób nawet zazdrościła tej dziewczynie, że ma kogoś, komu tak bardzo na niej zależy, że gotów jest poświęcić samego siebie.

Stała przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się nad tym, co zrobić. Wreszcie zrezygnowała z dalszej dyskusji i podniósłszy nóż z podłogi, schowała go za pas spodni. Roderick dopiął tego, co zamierzał. Ziarnko niepokoju zostało zasiane w sercu Monique i właśnie puściło pierwszy kiełek. Zemsta to słodycz dla odrzuconych, oszukanych. Jedyna nadzieja dla tych, którzy przegrali.

* * *

Mijały godziny, ale Roderick nie potrafił dokładnie określić ile już upłynęło czasu, od momentu gdy podali Barbarze jego krew. Do tej pory nadal nie odzyskała przytomności, ale chociaż jej oddech stał się mniej świszczący i nie przerywały go ataki kaszlu.

Monique nie odzywała się do Rodericka, zupełnie ignorując jego obecność, a gdy w ciągu dnia dołączył do nich Justin, także i jego starała się nie dostrzegać. Urażona w swojej dumie, targana wątpliwościami i domysłami, postanowiła okazać mu lekceważenie. Niestety zawiodła się bardzo, gdyż Justin wcale nie nalegał na jakieś szczególne względy z jej strony. Po prostu usiadł na wolnym fotelu i zamknawszy oczy, zapadł w drzemkę. To dopiero rozwścieczyło Monique.

Roderick obserwował wszystko bardzo uważnie, gdyż tylko w ten sposób mógł uzyskać niezbędne informacje. Monique kochała Justina, była z nim od wielu lat, ten jednak najwyraźniej przez cały ten czas tylko udawał uczucie do niej. Tak naprawdę zainteresowany był kimś zupełnie innym – Patronem z odległego Benacantil. To bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności. Oczywiście nie dla samej zainteresowanej. Ale kto przejmowałby się jakąś wampirzycą?

Z zapadnięciem zmroku, Basit zajrzał na tył furgonetki, aby sprawdzić stan zdrowia Barbary. To, co zobaczył, najwyraźniej trochę go uspokoiło, ponieważ pozwolił Monique na powrót do kabiny. Wprawdzie panna Bennett nadal była nieprzytomna, ale proces uzdrawiania został już zapoczątkowany i postępował dalej.

Znowu zostali sami. Roderick również drzemał, gdyż jego wyczerpany, osłabiony brakiem życiodajnej substancji organizm, nie radził sobie z natłokiem bodźców. Pragnienie stawało się coraz uciążliwsze, a wysuszone gardło piekło niczym rana. Gdyby tylko mógł się napić... A przecież krew była w zasięgu jego wzroku. Nawet nie patrząc na Barbarę, słyszał bicie jej serce oraz pulsującą w żyłach krew. Starał się o tym nie myśleć, nie zwracać na to uwagi, ale nie potrafił. To było silniejsze od niego. Jedynie krótkie, chwilowe drzemki pozwalały mu na oderwanie się od rzeczywistości i chociaż nie pomagały na długo, to jednak dawały odrobinę wytchnienia.

– Ericku... – Głos Barbary wybudził go z letargu.

Podniósł głowę i spojrzał w kierunku dziewczyny. Zauważył, że poruszyła się niespokojnie.

– Jak się czujesz? – zapytał..

– Co się dzieje? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Jest mi tak dziwnie słabo. Kręci mi się w głowie...

– Będzie dobrze – zapewnił. – Wszystko będzie dobrze. Byłaś trochę chora, ale...

Czuła mdłości, a w dodatku cały świat oszalał i wirował jej przed oczami. Mimo panującej ciemności, miała wrażenie, że tysiące malutkich iskier otacza ją z każdej strony, tworząc świetlne kręgi. Czy to normalne?

Myślenie sprawiało jej sporo problemu, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy. Przebłyśki świadomości układały się w jej głowie w przedziwną mozaikę, która nie potrafiła przybrać odpowiedniego kształtu.

– Skąd wzięłeś się przed szkołą? – Jej głos brzmiał tak, jakby dolatywał z bardzo daleka.

– Przed szkołą?

– Dlaczego przyszedłeś mnie uratować, przecież jestem dla ciebie nikim?

Nikim? Szaleństwo ogarniało jego umysł. Ona miała być dla niego nikim? Ona? Ta, o której śnił i marzył? Ta, przez którą stracił nadzieję? Ona miała być nikim? Och, gdyby znała prawdę! Gdyby wiedziała, co do niej czuje? Jak tęskni i wariuje, będąc z dala od niej. Jak cierpi, widząc ją w ramionach Lucasa.

– Nie jesteś nikim! – Musiał to wreszcie z siebie wykrzyczeć. – Nigdy nie byłaś! Dla ciebie wyrzekłem się

Elizabeth!

– Byłeś tam – mówiła dalej, nie zważając na to, co przed chwilą powiedział. – Mówiłeś, że mnie uratujesz. Ale dlaczego ty?

– Bo cię Kocham! Rozumiesz? Kocham! Oszalałem z miłości do ciebie! Sprawiałaś, że na nowo odkryłem w sobie to uczucie, którego już prawie nie pamiętałem. Stałaś się dla mnie kimś bardzo ważnym. Straciłem Elizabeth, nie potrafiłem jej odszukać, a w pewnej chwili już nawet nie chciałem, bo byłaś ty. Barbaro, nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile dla mnie znaczysz. Wymawiać twoje imię, patrzeć na twoją twarz, słuchać twego głosu... To wszystko czego pragnę, ale nie mogę tego mieć. Jesteś dziewczyną Lucasa...

– Lucas – powtórzyła przeciągając każdą literę. – Gdzie jest Lucas? On dał mi pierścionek, taki śliczny z granatowym oczkiem. Zapytał, czy chcę być jego żoną. Zgubiłam pierścionek – zauważyła ze smutkiem. – Dlaczego go zgubiłam? Dlaczego byłeś przed szkołą? Gdzie oni nas wiozą?

– Barbaro! – Teraz do niego dotarło, że ona nie słucha jego słów, nadal jest nieprzytomna. – Barbaro!

Dziewczyna westchnęła i nie odezwała się więcej. Ponownie zanurzyła się w błogiej nieświadomości. Wyznanie Rodericka nie dotarło do niej, a szkoda, bo sprawiłoby jej wiele radości. W końcu na te słowa czekała.

* * *

– Wysiadka! – Justin szeroko otworzył drzwi

i wskoczył do środka furgonetki. Kilkoma zwinnymi ruchami odpiął łańcuch ograniczający ruchy Rodericka i pchnął mężczyznę w stronę wyjścia. – No dalej, nie guzdraj się! – ponaglił go. – Dojechaliśmy do celu.

– A ona? – Odwrócił głowę w stronę nieprzytomnej Barbary.

– Nie martw się o nią. Nie zostawimy jej tutaj. Jest cenniejsza od ciebie. – Monique stała przed niedużym drewnianym domem, zbudowanym z grubych, nieociosanych pali, tuż obok drzwi wejściowych, do których prowadziły dwa kamienne schodki.

Roderick pokonując krótką odległość dzielącą samochód od budynku, przyjrzał się okolicy. Dostrzegł wysokie drzewa i mnóstwo śniegu – wszystko zdawało się tonąć pod białymi zwałami.

Dom był drewniany, postawiony na niewysokiej podmurówce. Robillard doliczył się dwóch, niewielkich okien od strony frontowej oraz dostrzegł komin, ledwie widoczny spod śnieżnej czapy. Zaciągnął się mroźnym powietrzem, próbując wyłapać jakieś zapachy, ale oprócz woni lasu i zwierzyny, nie poczuł nic. Czyżby byli w jakiejś totalnej głuszy?

Justin kopniakiem otworzył drzwi i wprowadził Rodericka do ciemnego przedsionka. Z prawej strony widoczne było wejście do pokoju, ale mężczyzna ominął je i podszedłszy do klapy w podłodze, jednym, silnym szarpnięciem podniósł ją do góry. Nie zadając sobie więcej trudu, po prostu zepchnął Robillarda w dół.

Do domu wszedł Basit niosący na rękach bezwładne ciało Barbary. Również podszedł do otworu w podłodze.

– Nie wygląda najlepiej. – Justin popatrzył na dziewczynę. – Nadal nie odzyskała przytomności.

– „Odzyska” – rzucił krótko Patron, schodząc po schodach w dół. Justin postępował tuż za nim.

Pomieszczenie na dole było dość obszerne, prostokątne, pozbawione okien i kominka. Podłogę stanowiły bele drewna, zaś ściany murowane kamieniem. Pod jedną z krótszych ścian ustawiono sporą ilość drewnianych skrzyń, oznaczonych dużym, czarnym napisem „Materiały wybuchowe”. Pod drugą ścianą stało posłanie zbite z prostych, nieoheblowanych desek, przykryte słomą i wyliniałymi skórą. Obok znajdował się niewielki stolik z kulawą nogą oraz żeliwny piecyk typu koza, z którego wychodziła długa, pordzewiała rura, mająca swój wylot w niewielkim otworze wybitym w ścianie tuż przy suficie. Przez tą nieszczelność do pomieszczenia wpadało mroźne powietrze wraz z drobinami śniegu, powodując, że temperatura wewnątrz była niewiele wyższa niż ta na dworze. Siarczasty mróz zdawał się przenikać przez ściany i docierać do każdego zakamarka piwnicy.

Basit podszedł do prowizorycznego łóżka i położył na nim Barbarę. W tym samym czasie Justin podźwignął z podłogi Robillarda i zaciągnawszy w kąt pod schodami, powtórnie przypiął łańcuchami do ściany.

– Wasze nowe gniazdko – zaśmiał się. – Czujcie się jak u siebie w domu.

– Pić – wyszeptał Roderick. Nie miał już siły dłużej znosić tego pragnienia.

– Ale masz wymagania. – Uśmiech nie schodził z ust wampira. – Niestety takich luksów dla ciebie nie przewidujemy. Byłbyś zbyt silny. Nie martw się, jeszcze długo pociągniesz.

– Boję się o nią...

– Jesteś dobrze spętany, nie zerwiesz się z łańcucha, a ona lepiej zrobi, gdy będzie się trzymać od ciebie z daleka. – Justin podszedł do piecyka i wrzucił do niego kilka szczap drewna, które leżały tuż obok. Wyciągnął z kieszeni zapałki. Po chwili nikły płomień rozjaśnił mroczne wnętrze.

– Jak przyjemnie – zażartował. – Od razu czuć ciepło domowego ogniska.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Roderick, gdy obaj mężczyźni wchodzili już po schodach. Początkowo nie odpowiedzieli, ale gdy znaleźli się na górze, Justin pochylił się nad otworem i krzyknął.

– W bardzo odległym i niezamieszkanym miejscu. Tu dokona się twój żywot.

ULTIMATUM

Caroline dobrze pamiętała to miejsce – przecież była tu tak niedawno, chociaż wydawało się jej, że minęły już całe wieki od tego momentu. Znowu szła tunelem, zmierzając wprost w stronę wind. Adam chciał przyjść razem z nią, ale tak długo mu tłumaczyła, że wreszcie zgodził się poczekać w hotelu. Nie mogła pozwolić, aby wystawił się na niebezpieczeństwo, przecież wchodząc tutaj pozbywała się wszystkich swoich mocy, stawała się zupełnie bezbronna i nie mogłaby zapewnić mu ochrony.

Turystów nie było dziś zbyt wielu. Ten sam bileter albinos, stał przy wejściu do wind. Od razu ją poznał, bo spojrzał na nią z nieukrywanym zaciekawieniem. Pewnie zastanawiał się, dlaczego wróciła tak szybko.

– Co za niespodzianka – rzucił beznamiętnym tonem.
– Czyżbyś przemyślała propozycję Najwyższych? I gdzie podziałaś Yadirę i Basita?

– Muszę zobaczyć się z Radą. – Nie miała zamiaru wtajemniczać go w zawłość sprawy.

– Będą zaskoczeni tak samo jak ja. – Podeszedł do wiszącego na ścianie aparatu i wybrał jakiś numer. Powiedział coś do słuchawki, ale ponieważ nie miała tu swoich mocy, nie usłyszała z daleka, o czym mówił. Gdy zakończył połączenie, zawrócił do niej i zapraszającym gestem otworzył drzwi windy.

– Jedź na górę. Pamiętasz gdzie prowadziła cię Yadi-
ra?

Skinęła głową, chociaż nie była pewna, czy będzie potrafiła odszukać kamień otwierający tajne przejście.

– Już na ciebie czekają.

Winda ruszyła do góry. Caroline zacisnęła dłoń, na przewieszanej przez ramię torbie. Właściwie nie powiedziała temu strażnikowi, że jednak wróciła razem z Yadirą. Wewnątrz torby miała ukrytą niewielką urnę ze szczątkami tego, co zostało z Wyroczni.

Podróż nie trwała długo. Wysiadła i nawet nie patrząc na widoki, ruszyła w stronę baszty. Bez problemu otworzyła drewniane, okute żelazem drzwi. Który to kamień? Patrzyła na ścianę zbudowaną z omszałych głazów. Dotknęła jednego, ale nie odsłoniła przejścia. Uważniej przyjrzała się przeszkodzie, która odgradzała ją od tajnego tunelu. Nagle dostrzegła jeden kamień, wyglądający na bardziej wypolerowany, jakby czystszy. Różnica była niewielka, ale jednak przy długim i intensywnym wpatrywaniu się, można było ją wychwycić. Przyłożyła dłoń do zimnej powierzchni.

Ściana rozsunęła się ukazując zejście w dół. Przekroczyła próg i wzięwszy do ręki jedną z dwóch, umieszczonych przy wejściu pochodni, zaczęła schodzić. Za sobą usłyszała szcęk zasuwanego wejścia. Odruchowo obróciła się do tyłu, aby zobaczyć kamienną ścianę. Po przejściu nie było już śladu, tak iż ktoś niezorientowany nigdy nie pomyślałby, że za tym murem może kryć się coś więcej.

Z powrotem spojrzała w dół tunelu. Kręte schody, w blasku padającym od pochodni, wydawały się jej jeszcze

bardziej strome niż poprzednio, chociaż tym razem prze-
zornie założyła wygodne tenisówki. Ostrożnie schodziła,
uwważając na każdy krok.

Wreszcie dotarła do końca schodów i zatrzymała się
przed kolejnymi drzwiami, za którymi znajdowała się komnata
Rady. Przez moment się zawahała. Czy postępuje słusznie?
Czy nie spotka ją kara za to, co przytrafiło się Wyroczni?
Czy nie będą chcieli zatrzymać jej tu siłą. Za późno na
zmianę decyzji. Odetchnęła głębiej i zdecydowanym ru-
chem ręki pchnęła ciężkie wrota.

Sala wyglądała tak, jak kilka miesięcy temu. Te same
portrety zdobiące ściany, ta sama szachownica na podło-
dze. I to samo podwyższenie ze stołem i wysokimi krze-
słami, tylko teraz jedno z miejsc było puste.

Caroline włożyła pochodnię do uchwytu zamocowa-
nego na ścianie i ruszyła w stronę siedzących w milczeniu
członków Rady. Podchodząc bliżej, zauważyła, że tym
razem nie ukrywali swoich twarzy w połach kaptura. Pa-
trzyli na nią, nie okazując żadnych emocji.

Zbliżyła się do stołu i otworzywszy torbę, wyjęła
z niej urnę. Ostrożnie postawiła ją na blacie.

– Odwiozłam waszą siostrę – przemówiła lekko ła-
miącym się głosem. – Została zdradzona, tak samo jak ja.

Olegario wyciągnął ręce i ujął w nie metalowy po-
jemnik. Wolno obracał go w dłoniach. Reina i Aisha
przyglądały się temu w pełnym skupieniu. Milczeli nie
odzywając się w ogóle do Caroline.

– Przyjechałaś tu tylko po to? – zapytał wreszcie

mężczyzna.

– Barbara została porwana, a jedynie wy możecie namierzyć Basita. Wiem, że działał w porozumieniu z Roderickiem, ale nie mam pojęcia gdzie się udali. Jeśli połączycie się z nim w sposób ponadzmysłowy...

– Zastanawiałaś się dlaczego mielibyśmy to zrobić? – przerwał jej. – Dlaczego uważasz, że będziemy chcieli to zrobić?

– Aby pomścić Yadirę...

– Jej już nie ma i nasza zemsta nic jej nie pomoże. – Reina dotknęła jedną dłonią matowej powierzchni urny. – Musimy myśleć o sobie i własnym przetrwaniu. Zostało nas już tak niewielu.

– Nie rozumiem was. – Caroline z niedowierzaniem pokręciła głową. – Basit porwał Barbarę i ma szansę zrealizować plan Yadiry. Wypełni przepowiednię, a was to nic nie obchodzi? On wróci, a wy nadal pozostaniecie tu uwięzieni!

– Niech wraca, jeśli odpowiada mu rola przegranego. Odeszliśmy z Wiecznej Krainy, chociaż nikt nas do tego nie zmuszał. To była nasza decyzja. Wybraliśmy inny styl życia i chociaż nasze oczekiwania względem niego okazały się mylne, to jednak nie zegniemy karku, przyznając się do błędu. Może nasze istnienie tutaj nie jest takie, jakiego byśmy chcieli, ale mamy szansę to zmienić. Jeszcze wszystko można naprawić. Na Ziemi są istoty stworzone przez takich jak my. Jeśli wzmocnimy swoje szeregi, jeśli zyskamy ich szacunek i posłuch, możemy zrealizować

zamysł Duncana.

– Duncana? Przecież mówiliście, że odcinacie się od niego. – Zmiany nastrojów Patronów zaczynały już męczyć Caroline. Raz zapewniali, że są przeciwnikami księcia, innym razem chcieli realizować jego plan. Podejrzała, że sami nie wiedzą, co powinni uczynić. Lata zamknięcia w Benacantil zrobiły swoje. To już nie były dumne, pewne siebie istoty, jakie przybyły przed wiekami na Ziemię. Obecnie stali się garstką wyrzutków, szukających dla siebie miejsca.

– Plan Duncana był dobry, tylko wykonanie kiepskie. Pominęliśmy kilka szczegółów, o których teraz będziemy już pamiętać. Mamy moce i możemy je odpowiednio wykorzystać.

– Nie rozumiem was. Zachowujecie się raczej jak banda dzieciaków, która nie wie, na który plac zabaw się udać.

– Przestań Caroline! To nie nasz los cię interesuje! – Aisha wstała z miejsca i podszedłszy do Caroline, przyłożyła obie dłonie do jej skroni, w tym momencie w powietrzu pojawił się przezroczysty obraz – projekcja wprost z umysłu dziewczyny.

Nagle rozległ się jakiś hałas i oczy wszystkich skierowały się na drzwi. Caroline również zerknęła w tamtą stronę i zamarła. Na progu stał Strażnik Wrót, trzymający za ramię... Adama.

– Caroline... – Adam spojrzał na blondynkę przepraszającym wzrokiem.

– Kogo nam tu przyprowadziłeś? – Olegario wstał z krzesła. – Przecież to człowiek! Już stąd czuję jego smród! – krzyknął oskarżycielsko.

– Przyszedł za nią. – Strażnik wskazał głową na Caroline. – Śledził ją.

– To jej ukochany – Aisha ponownie schwyciła głowę dziewczyny i wyświetliła projekcję dotyczącą jej związku z Bennettem. Mężczyzna z niedowierzaniem patrzył na ten przedziwny seans, w którym odgrywał jedną z głównych ról.

– Kochasz człowieka. – Reina westchnęła przeciągle. – Jesteś jedną z nas, a wiążesz się z człowiekiem? Z kimś, kto jest jeno pokarmem?

– Nie krzywdźcie go! – krzyknęła. – On tylko chciał mnie chronić. Przyszedł tu, bo bał się, że wyrzadzicie mi krzywdę.

– On chciał chronić ciebie? – Olegario wyglądał tak, jakby nie zrozumiał jej słów. – Patron ma być chroniony przez człowieka?

– Spokojnie. – Reina uciszyła go gestem ręki, zmuszając, aby usiadł. – Caroline, może wyjaśnisz nam wszystko od początku, bo teraz to już zupełnie się pogubiliśmy. Przyjechałaś tu z tym człowiekiem, aby prosić nas o odnalezienie jakiejś dziewczyny? Uważasz, że naszym obowiązkiem jest odszukać Basita i go ukarać, ale wydaje mi się, że masz w tym własny interes? Mam nieodparte wrażenie, że starasz się nas wykorzystać. Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Poniekąd jest tak, jak mówisz, ale jednak mylisz się.
– Caroline nie odrywała wzroku od Adama. – Barbara to moja przyjaciółka. Przeze mnie została wplątana w to całe zamieszanie z przepowiednią ze Zwoju Cienia. Ona chce tylko normalnego, spokojnego życia. Nie chce być matką wybrańca. Basit ją skrzywdzi. Na pewno to zrobi. Nie chcę jej stracić, bo to członek mojej rodziny. Nie wiem, czy wiesz, co to jest rodzina, ale mam nadzieję, że w swoim długim życiu miałaś kogoś, za kogo oddałabyś wszystko. Rodzina to właśnie ktoś taki, dla kogo jesteś skłonna do największych poświęceń.

– Ludzie są dziwni. – Aisha wróciła na swoje miejsce.
– Daleko im do nas. To tylko słabe istoty, które przez swoje uczucia popełniają błędy. Aby przetrwać, trzeba być ponad to.

– Czyżby? – Caroline zatoczyła ręką ruch dookoła, wskazując na powieszzone na ścianach obrazy. – Oni nie przetrwali. Dlaczego? Może właśnie przyczynił się do tego brak uczuć, bo nie spieszyliście im z pomocą, gdy was potrzebowali? Może łatwiej wam było ich zabijać, aby odebrać im władzę.

– Bezczelna! – Olegario aż się zatrząsł z oburzenia. – Twoje zachowanie nam ubliża. Jesteś córką Duncana, pierwszego przybocznego Źródła Wszelkiego Stworzenia, a zwracasz się przeciwko nam? Może nadszedł czas, abyś poznała prawdę. – Mężczyzna okrążył stół i podszedłszy do niej, ujął ją pod ramię i poprowadził do ściany, znajdującej się naprzeciwko podwyższenia. Zatrzymał się

przed dużym portretem przedstawiającym przystojnego, młodego, jasnowłosego mężczyznę o zimnym, okrutnym spojrzeniu. Caroline rozpoznała go bez problemu. Tych oczu, które pamiętała z wrzosowisk, nie mogłaby zapomnieć nigdy.

– Twój ojciec – ciągnął Olegario – pierwszy z pierwszych, najwyższy z najwyższych. To on wyznaczał kierunek i pilnował równowagi sił. To on stał się istotą, która śmiała przeciwstawić się odwiecznym prawom naszej krainy. Zbuntował się przeciwko wszelkim regułom, namówił nas, abyśmy dołączyli do niego. Opowiadał o świecie wolnym od zakazów i nakazów, o wolności i niepodzielnej władzy. Ulegliśmy tym wizjom, dołączyliśmy do niego. Odrzuciliśmy nasze przywileje i przybyliśmy tu, gdzie mieliśmy znaleźć dla siebie nowy dom. Ale szybko odkryliśmy, że to był błąd. Aby tu istnieć, musieliśmy przyjąć materialne ciała i uwięzić się w nich na wieki. Na początku byliśmy pełni zapachu, ale niestety Duncan inaczej widział naszą rolę. To on chciał być panem, a my mieliśmy stanowić jego świtę. Zaczął tworzyć swoich poddanych i likwidować ich według własnego uznania. Robiliśmy to samo, aby mu dorównać. Każdy kolejny krok, był takim samym błędem. Oszołomieni pierwszymi zwycięstwami nad siłami światłości, które przybyły tu za nami, aby nas wyeliminować, czuliśmy się niezniszczalni. Uragaliśmy wszelkim świętościom. Nasze istnienie stało się zależne od śmierci innych. Zabijaliśmy, aby żyć i to sprawiało nam przyjemność, ale Duncan ciągle

chciał więcej i więcej. To on sprawił, że powołani przez nas do życia, obrócili się przeciwko nam. Myśleliśmy, że śmierć Duncana to zmieni, ale gdy wreszcie został unicestwiony, zrobiło się jeszcze gorzej. Dopóki żył, trzymał wszystko w garści, gdy umarł, wewnętrzne spory o władzę doprowadziły do naszego rozpadu. Wreszcie została nas tylko garstka. Jesteśmy wyrzutkami, istotami dla których nie ma miejsca w żadnym ze światów. Przez twojego ojca, Caroline... Tylko przez niego.

– Gdy byłam tu pierwszy raz, inaczej przedstawialiście całą sprawę? – zauważyła. – Tworzycie historię w zależności od okoliczności? Teraz chcecie zrobić z Duncana kogoś, kim wcale nie był! Jestem pewna, że to wasze kolejne kłamstwo! Tak samo jak to, że nie zabijacie ludzi!

– A może właśnie teraz mówię ci prawdę? – Olegario roześmiał się. – Ty chcesz wierzyć w to, co jest ci wygodne. Boisz się przyjąć prawdę, ale niestety tym razem nie kłamię. Duncan to najczystsze zło w ludzkiej postaci. To on wystąpił przeciwko świętości, to on pragnął własnego świata i władzy. To jego ludzie tak przeróżnie nazywają: raz Szatanem, raz Lucyferem, a czasem po prostu Księciem Ciemności.

– Nie! – krzyknęła rozpaczliwie. – To nie jest prawda!

– Ależ jest moja droga i ty o tym wiesz. Jak myślisz, dlaczego nie zabiliśmy ciebie i tych twoich podopiecznych? Bo jesteście jedynymi istotami, które łączą w sobie zarówno pierwiastek boski, jak i ludzki. Płynie w was krew

Duncana – najwyższego z najwyższych, ale zarazem zrodziliście się na Ziemi i jesteście w pewien sposób ludźmi. To czyni was wyjątkowymi. Możecie stworzyć nowy początek. Inni pójdą za waszym przykładem. Znowu będziemy potęgą. Odbudujemy naszą władzę i podporządkujemy sobie ten świat.

– To kompletne bzdury! – Zacisnęła pięści, wizja snuta przez Olegaria nie przypadła jej do gustu. Ci Patroni nie chcieli wracać, oni marzyli o opanowaniu Ziemi. Ilu ludzi musiałoby zginać, aby tak się stało? Nie zamierzała im w tym pomagać. Nigdy!

– Jesteś taka zaślepiona Caroline. – Uśmiechnął się ironicznie. – Odrzucasz coś, co jest częścią ciebie. Tu jest twoje miejsce, Caroline. Tylko tu możesz być sobą i nauczyć się korzystać z przynależnych ci mocy. Nie powinnaś stąd odchodzić.

– Mylisz się, jestem inna niż ojciec. Nie chcę być taka jak on i nigdy nie będę. Nie zamknę się w Benacantil – zaprzeczyła.

– Skrzywdzisz wielu ludzi. Ty nie możesz być dobra, to silniejsze od ciebie. Jesteś egoistyczna, próżna, zła... Walczysz z tym, ale któregoś dnia nie dasz rady. Tylko przysparzasz bólu sobie i swoim bliskim. Widzisz, jak oni cierpią? Przez ciebie Barbara może zginąć. To ty będziesz za to odpowiedzialna, bo nie chcesz zaakceptować tego, co jest nieuniknione.

– Nie zostanę z wami! – Czuła, że za chwilę się rozpłacze, ale ze wszystkich sił starała się powstrzymać łzy.

– Trudno... Jak chcesz... Nie będę cię zmuszał. – Odszedł od niej, a zbliżył się do Adama. – Ale gdybym tak zabił twojego chłopaka? Czy jego życie coś dla ciebie znaczy? Popatrz, możesz go uratować, wystarczy że zgodzisz się do nas dołączyć!

– Nie! – krzyknęła próbując biec w stronę Bennetta, ale spojrzenie Olegaria unieruchomiło ją w miejscu. Stała jak sparaliżowana, mogąc tylko patrzeć na to, co robił Patron.

– Przyjechałaś tu, aby prosić nas o pomoc w odnalezieniu twojej przyjaciółeczki i myślałaś, że bez problemu spełnimy tę prośbę? Dlaczego w takim razie ty nie chcesz zrobić tego, o co my błagamy? Chcemy tylko, abyś została wśród nas, tu gdzie jest twoje miejsce. Czy to tak dużo? – Schwycił Adama za głowę i przechylił tak, że odsłonił jego szyję. Przybliżył wargi do pulsującej, widocznej żyły. – Życie tego nieszczęśnika, tak jak i życie Barbary, spoczywa w twoich rękach. Możesz ich ocalić, ale możesz też zlekceważyć naszą propozycję. Nikt nie będzie cię zatrzymywać. Możesz wyjść i żyć swoim nudnym życiem... Jaka naprawdę jesteś Caroline? Zostaniesz z nami i ocalisz ich, czy wybierzesz własną wolność?

– Puść go – wyszeptała. – Zostanę z wami. Możecie zrobić ze mną co tylko zechcecie, ale jego wypuście.

– Zuch dziewczyna! – Olegario odsunął się od Adama. – To chyba twoja najmądrzejsza decyzja.

– Nie możesz tego zrobić Caroline. – Adam próbował wyszarpnąć się Strażnikowi, ale nie miał wystarczająco

siły. Albinos trzymał go za ramię i nie zamierzał puszczać.

– Wybacz. – Nie patrzyła w jego oczy, nie mogła.

– Nie chcę życia bez ciebie!

– Wzruszające. – Olegario zaklaskał w dłonie. –

Chyba jednak mam czułe serce. Rozbroiliście mnie tą melodramatyczną sceną. Dam wam jeszcze trochę czasu.

– Co? – Jakoś nie wierzyła w dobre intencje Patrona.

– To, co usłyszałaś. Mamy dużo czasu, właściwie całą wieczność. – Roześmiał się. – Wiemy ile dla ciebie znaczy ta przyjaciółeczka, możesz więc jechać i odnaleźć ją, a przy okazji wyrównasz rachunki z Basitem. Przekaż mu pozdrowienia od nas. Bardzo gorące pozdrowienia – podkreślił dobitnie. – Gdy to zrobisz, wrócisz i pomożesz nam odbudować potęgę Patronów.

– Zabijecie tylu ludzi... – szepnęła cicho.

– A kto by się przejmował robakami? – zadrwił. – Ale znaj nasze serce, w którego istnienie wątpiłaś – pozwolimy żyć twoim przyjaciółom. Nikt ich nigdy nie skrzywdzi, a z czasem może i oni zasilą nasze szeregi. Czyli co, umowa stoi? – zapytał, wyciągając do niej prawą rękę.

Tylko w ten sposób mogła odnaleźć Barbarę i ocalić Adama. Tylko jej poświęcenie, mogło zmienić przeznaczenie. Zrobiła już tyle złych rzeczy... Zgodziła się na śmierć Elizabeth, odepchnęła Angelinę, gdy ta potrzebowała jej wsparcia, zabiła lisicę, chociaż wiedziała, że w norze płaczą małe. Doprowadziła też do zagłady rodzinę Rodericka, uczyniła z niego potwora, właściwie to jej dłonie były splamione krwią każdej z jego ofiar.

– Gdzie jest Basit? – zapytała z rezygnacją, podając mu z ociąganiem swoją prawą dłoń. Ona już podjęła decyzję, a oni o tym wiedzieli..

Reina przymknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Nikt się nie odezwał, a spojrzenia wszystkich zwróciły się na Patronkę. Cisza przedłużała się.

– Są na Alasce. – Reina gwałtownie otworzyła powieki. – Nie zobaczyłam dokładnie miejsca, gdyż Basit zorientował się, iż nawiązałam z nim połączenie i je zablokował. Wiem tylko, że jest tam las, jakiś budynek i bardzo dużo śniegu.

– Alaska?

Reina wstała z miejsca, a Aisha pospieszyła za nią i razem opuściły komnatę.

– Masz to, po co przybyłaś. – Olegario patrzył na Caroline przenikliwym wzrokiem, nie wypuszczając jej dłoni. – Gdy doprowadzisz sprawę do końca, przyjedziesz tu, tak jak obiecałaś. Mam nadzieję, że jesteś honorowa i dotrzymasz słowa.

– Wrócę – zapewniła.

– Jeśli nie ty, to ktoś z twoich bliskich, komu dałaś swoją krew. – Wreszcie puścił jej rękę i ruszył w stronę wyjścia, ale jeszcze na moment się zatrzymał. – Tobie pozostawiam wybór.

Caroline wolnym krokiem podeszła do Adama. Strażnik odsunął się na bok, zwalniając ramię Bennetta, tak iż ten mógł objąć swoją ukochaną.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał, obsypując poca-

łunkami jej policzki.

– Dlaczego przyszedłeś za mną? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Alaska – powtórzył. – To jak szukanie igły w stogu siana.

– Ale w mniejszym stogu niż cała Ameryka.

Płomienie pochodni, rzucały krwawy blask na ich twarze.

* * *

Barbara ocknęła się z dziwnego snu i ze zdziwieniem spostrzegła, że leży na czymś, co przypomina łóżko. Na pewno nie znajdowała się już w furgonetce. Ostrożnie wymacała ręką siano i zwierzęce skóry, jakimi przykryto posłanie. Otulając się kocem, podniosła się do pozycji siedzącej i rozejrzała po pomieszczeniu. Dostrzegła niewielki piecyk i poczuła przyjemną falę ciepła płynącą od niego.

Wstała z łóżka i trzymając koc, owinięty wkoło sylwetki, podeszła do piecyka. Z prawdziwą przyjemnością wyciągnęła ręce, aby ogrzać je w ciepłe bijącym od płomieni. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że nie wie gdzie jest Roderick. Odwróciła się do tyłu, starając się przeniknąć wzrokiem półmrok.

Posuwając się wolno wzdłuż ściany, dotarła do drewnianych skrzyń, ale ponieważ było ciemno, nie dostrzegła napisu na nich umieszczonego i nie wiedziała, co zawierają.

Kolejne kroki przybliżyły ją do stromych, drewnia-

nych schodów, które kończyły się pod sufitem – widocznie tam było wyjście z tego pomieszczenia. Za schodami odkryła wnękę, ale gdy zamierzała zajrzeć do środka, powstrzymał ją głos Rodericka.

– Nie zbliżaj się Barbaro...

– Jesteś! – ucieszyła się. – Tak się bałam, że zamknęli mnie tu samą...

– Lepiej by było, gdyby tak zrobili – odpowiedział ze smutkiem, wyczuwalnym w głosie. – Nie podchodź do mnie.

– Co się stało? Dlaczego? Jak się tu znaleźliśmy?

– Dojechaliśmy na miejsce i nas tu przyprowadzili. Byłaś nieprzytomna.

– Nieprzytomna? – Próbowwała sobie przypomnieć ostatnie wydarzenia, ale jedyne co pamiętała, to moment, gdy zmieniali samochód.

– Chorowałaś.

– Długo? – Musiała dowiedzieć się jak najwięcej.

– Trochę... Ale na szczęście wszystko jest już dobrze.

– A co z tobą? – Nadal stała tuż przy schodach. Nie rozumiała dlaczego nie może zbliżyć się do swojego współtowarzysza niedoli.

– Nic mi nie jest.

– To dlaczego nie mogę podejść?

– Jestem głodny – odpowiedział krótko i umilkł.

Chwilę trwało zanim pojęła, o co mu naprawdę chodzi. Był głodny? No tak! To wampir, a przecież odkąd ich porwali, ani razu nie widziała, aby się posilał. Odruchowo

cofnęła się o krok.

Uśmiechnął się widząc to. Bała się go. Tak, bez wątplenia czuła przed nim strach. I bardzo dobrze! Tylko w ten sposób może być bezpieczna. Nie powinna mu ufać! On sam sobie w tej chwili nie mógł zaufać.

– Jak długo? – zapytała, a on w lot zrozumiał, że chodzi jej o to, jak długo pościł.

– Za długo...

– Może poproszę ich, aby coś ci dali? Na pewno mają, przecież sami się posilają.

– To na nic. Nie chcę, abym odzyskał siły. Dopóki poszczę, jestem bezbronny.

– A gdybyś... – zastanawiała się nad czymś intensywnie. – A gdybyś napił się tylko trochę?

– Wybacz Barbaro, ale jak zapewne wiesz, nie mam żadnych możliwości... ”Oprócz ciebie” – dodał w myślach.

– Ja jestem. – To było bardzo głupie z jej strony. – Gdybyś napił się tylko odrobinę...

– Nie! To nie wchodzi w rachubę! – Szarpnął się na łańcuchu. – Idź stąd, niech nie czuję twojego zapachu!

– Tylko troszkę – kusiała. – Chyba taka odrobina mi nie zaszkodzi? – Zanim zdążył krzyknąć, uczyniła dwa kroki dzielące ją od niego. Stała tuż obok, twarzą w twarz z Roderickiem. Podsunęła mu swoją lewą dłoń pod same usta.

– Odejdź. – Zamknął oczy, aby jej nie widzieć, ale to nie pomogło, gdyż bardzo wyraźnie czuł zapach. – Jesteś

jeszcze słaba...

– Ty też. – Postanowiła postawić na swoim. Ostatnio zrobiła się bardzo uparta.

– Barbaro, musisz żyć – próbował ją przekonać, mimo iż z każdą sekundą coraz bardziej pragnął skorzystać z tego zaproszenia.

– Jeśli ty nie przetrzymasz, to jak ja się uwolnię? Musisz być ze mną. – Teraz wytoczyła sensowny argument.

Jeszcze przez moment się wahał. Jej krew pachniała tak cudownie... Tylko kilka kropelek... Tylko trochę, aby zagłuszyć najgorsze pragnienie. Otworzył usta i dotknął wargami jej skóry.

– Przepraszam – szepnął niewyraźnie, wgrzyzając się w delikatne ciało.

Krzyknęła, czując ból. Chciała wyszarpnąć dłoń, ale powstrzymała się przed tym. Szeroko otwartymi oczami, wpatrywała się w niewyraźną, ciemną sylwetkę Rodericka.

Krew... Jakże cudownie gasiła ogień, palący gardło. Każdy kolejny łyk przynosił ukojenie i spokój. Mógłby się tak zatracić i pić, pić bez końca. Ale ten smak... Przypomniało mu się coś już dawno zapomnianego. Jakieś dziwne, ale niezwykle intensywne uczucie. Przez moment miał wrażenie, że znajduje się na stopniach ołtarza w małej, wiejskiej kapliczce. Spojrzał na Barbarę, lecz zamiast niej zobaczył swoją zmarłą żonę. Elizabeth... To niemożliwe! To nie może być prawda! Barbara nie jest Elizabeth! Nie może nią być! Tylko nie ona! Nie ona!

Jednak wiedział, że krew nie kłamie. Zbyt dobrze pamiętał ten smak... To w ciele Barbary skrywała się dusza jego żony.

Gwałtownym ruchem oderwał się od przegubu jej ręki. Odrzucił głowę do tyłu, dysząc ciężko, jak po długim, męczącym biegu. Co ma zrobić? Co zrobić, o Boże? Nie wierzył w Boga, ale w tym momencie do niego skierował swoje modły.

– „Jeśli jesteś, jeśli naprawdę jesteś, to pomóż mi. Co mam zrobić? Jak dalej żyć? Utraciłem ją, pozwoliłem jej umrzeć, a później przez tyle lat szukałem jej nowego wcielenia. Straciłem nadzieję, zagubiłem drogę, a teraz oto poznaję ją, ale nie mogę się z tego cieszyć. Ta którą kocham, z którą połączyły mnie więzy silniejsze niż śmierć, nie może być moją. Jak dalej żyć, patrząc na jej szczęście u boku innego? Czy mam prawo zniszczyć ich uczucie? Czy powinienem walczyć o coś, co mi się należy? Dlaczego ona? Dlaczego właśnie ona?”

Niebo nie miało dla niego żadnej odpowiedzi. Milczało jak zwykle, obojętne na wszelkie modlitwy. Roderick czuł na wargach krew Barbary, krew Elizabeth. Jego pragnienie w tej chwili nie miało już znaczenia. Nigdy nie mógłby jej skrzywdzić, gdyż przed wiekami stali się jednością. Teraz zrozumiał swoje sny, swoje durne marzenia. W pierwszej chwili jej nie rozpoznał, ale jego serce od początku znało prawdę. To serce, było przyczyną cierpień. Walczyło z rozumem, który nie chciał przyjąć do wiadomości bolesnej prawdy. Zatracił się w szaleństwie, aby nie

myśleć, aby nie czuć...

Barbara opuściła rękę, odruchowo zaciskając na ranie drugą dłoń. Oparła się plecami o schody. Lekko kręciło się jej w głowie, w końcu dopiero co odzyskała przytomność, a tu jeszcze dobrowolnie dała się napić swojej krwi Roderickowi...

– Pierwszą i ostatnią osobą, która ofiarowała mi swoją krew, była Elizabeth. Połączyliśmy się wtedy na wieki. Dziś ty zrobiłaś to samo... – mówił wolno, spokojnie, tak jakby zastanawiając się nad każdym słowem. – Powinienem cię powstrzymać, powinienem sam być wystarczająco silny... To co zrobiłaś... Ja...

– Przepraszam. – Zawróciła do łóżka i usiadła na jego brzegu. – Chyba niezbyt dobrze się czuję – wymamrotała niewyraźnie.

– Co ci jest? – zaniepokoił się tonem jej głosu. Czyżby napił się za dużo jej krwi? Ale przecież tylko spróbował... Zaledwie kilka łyków. Owszem, był spragniony, ale gdy poczuł ten smak, gdy go rozpoznał... Jeśli jednak ją skrzywdził?

– Lucas – szepnęła cichutko. – Chciałabym żeby tu był. Żeby mnie przytulił. Jest mi tak słabo.

– Barbaro! – Szarpał się na łańcuchu, ale zbyt mało krwi wypił, aby móc go rozerwać. Dlaczego wspomniała o Lucasie? Dlaczego właśnie teraz, kiedy ją odnalazł?

– Tuż przed porwaniem poprosił mnie o rękę – mówiła dalej. – Dał mi taki śliczny pierścionek, a ja go zgubiłam. Musiał upaść w śnieg, gdy mnie złapali. Nawet nie zdą-

żyłam dać mu odpowiedzi. Myślisz, że jeszcze będę mogła mu to powiedzieć?

– Co takiego? – Nie, niech tylko tego nie mówi!

– Że go kocham i chcę z nim być. On jest taki dobry... Pewnie bardzo się martwi moim zniknięciem. Wiesz, ja nigdy nikogo nie kochałam. Nie wiedziałam, jak powinna wyglądać miłość. Chciałam czegoś zapierającego dech w piersiach, a tymczasem to jest prostsze. Wystarczy być przy kimś, czuć jego bliskość i wiedzieć, że ten ktoś cię nie zawiedzie. Nie okazywałam Lucasowi uczucia, tak jak na to zasługiwał. Właściwie nawet odtrącałam go, ale nie dlatego, że go nie kochałam, tylko dlatego, że chciałam czegoś niemożliwego.

– Wiem Barbaro. Ty i Lucas jesteście dla siebie stworzeni. Tworzycie cudowną parę. Obiecuję ci, że uwolnimy się stąd i wrócisz do niego. Zrobię wszystko, aby tak się stało. Lucas, to jedyna osoba, która naprawdę cię kocha. – Nie mógł jej powiedzieć tego, co odkrył. Bardzo chciał to uczynić, ale nie miał prawa niszczyć jej życia. Był tylko zrozpaczonym, zatacającym się w szaleństwie, wampirem. Nawet cieszył się teraz, że nie pamiętała tego, co powiedział do niej, gdy była chora, gdy wyznał jej swoje uczucia. Lepiej jak pozostanie dla niej tylko towarzyszem niedoli, kimś, kto nic nie znaczy w jej życiu. Raz już doprowadził do jej śmierci, skazał na cierpienie. Drugi raz do tego nie dopuści. Cóż znaczy jego poświęcenie, wobec tego, że Barbara będzie wreszcie szczęśliwa? Nie ma powodu tego zmieniać.

– Tak – przyznała, chociaż w głębi duszy poczuła dziwny, przejmujący ból. Gdyby Roderick znał jej prawdziwe uczucia... Gdyby wiedział, co skrywa jej serce... Lepiej, że nie wie! I nigdy nie pozna prawdy!

Zapadła cisza. Przytłaczająca, denerwująca cisza, w której słyhać tylko uderzenia własnego serca. Tyle się dziś zdarzyło, a oni nadal byli sobie obcy. Tacy dalecy, tacy obojętni. Dwie samotne istoty, które przypadkowy los rzucił razem gdzieś w nieznane miejsce. Gdyby znali sekrety swoich serc... Tak niewiele brakowało do szczęścia, ale jednocześnie tak dużo. Zbyt dużo.

* * *

Caroline z Adamem wysiadając z samolotu na lotnisku Teda Stevensa i zmierzając do sali przylotów, nerwowo rozglądała się dookoła, wypatrując wśród oczekujących twarzy Lucasa. Westmoore przybył tutaj już wczoraj, korzystając z własnego samochodu. Oni niestety mieli dłuższą drogę do przebycia, gdyż aby dotrzeć z Benacantil na Alaskę, musieli kilka razy przesiąść się na samolot.

– Jesteście! – Lucas chwycił siostrę w ramiona.

– Masz jakiś ślad? Trafieś na coś? – Adam od razu przeszedł do konkretów.

– Nic. – Pokręcił głową, odsuwając się od Caroline i wyciągając dłoń do Bennetta. – Zapadli się jak pod ziemię. Po prostu nagle ślad po nich zaginął.

– Wiemy, że są na Alasce, a to już coś – przypomniała Caroline.

– Czyli do przejrzenia mamy tylko obszar miliona siedemset siedemnastu tysięcy ośmiuset pięćdziesięciu czterech kilometrów kwadratowych.

– Cholera – zaklął Adam.

– Znajdziemy ją – uspokoiła go Caroline, chociaż sama raczej w to wątpiła. Odnalezienie Barbary mogłoby graniczyć z cudem, ale teraz już nie mogli liczyć na nic więcej.

MONIQUE

Monique od kilku dni uważnie obserwowała Justina. Jego zachowanie dawało jej dużo do myślenia. Zawsze, gdy podchodziła do niego, odsuwał się natychmiast, tak jakby jej dotyk był mu wyjątkowo nieprzyjemny. Odkąd dołączył do nich Basit, unikał jakiegokolwiek kontaktu z nią, ani razu nie przytulił, ani nie pocałował. Nawet nie spali razem.

Dom składał się z dwóch pomieszczeń, z których jedno wyposażone było w piec, a drugie stanowiło niewielki składzik. To właśnie w tym składziku musiała nocować, gdy tymczasem Basit i Justin zajęli większą izbę. Tłumaczenie Justina, że jest przybocznym Patrona, musi więc być w jego pobliżu, jakoś do niej nie przemawiało.

Początkowo próbowała walczyć o swoje, ale wystarczyło jedno spojrzenie Basita, aby zrezygnowała z awantur. Najwyższy z najwyższych już zdecydował, jak wszystko ma wyglądać, a ona musiała się podporządkować. Właśnie – musiała! Patronowi!

Posłusznie wyniosła się do wskazanego pomieszczenia, ale podejrzenia pozostały. Coś, co zatliło się już podczas podróży, teraz przybierało na sile. Z ukrycia przyglądała się zachowaniu Justina. Jego gesty kierowane ku Basitowi były aż nadto wyraźne. Te niby przypadkowe dotykanie dłoni, odgarnianie włosów z czoła, to wpatrywanie się w oczy... Czuła wściekłość, ogromną, bezgraniczną złość. Przez tyle lat była razem z Justinem, oddała

mu całą siebie, a teraz zrozumiała, że to nie ona jest miłością jego życia.

Może łatwiej byłoby jej, gdyby rywalką była kobieta. O tak, wtedy byłoby łatwiej! Jednak z Basitem nie mogła rywalizować. Patron – wyniosły, dumny, wywodzący się z miejsca, o którym nawet nie miała pojęcia. Istota tak potężna, że aż budząca strach. To dlatego ich zabijali, dlatego że się bali się... Och, oddałaby wszystko, aby i Basit był martwy. Dlaczego właśnie ten Patron niszczy jej życie?

Zastanawiała się co będzie później, gdy już dokonają obrzędu i wrócą do Wiecznej Krainy. Kim wtedy się stanie? Tamten świat nie był jej domem, nigdy tam nie była. Urodziła się na Ziemi i pamiętała swoje ludzkie życie. Zepchnięta w mrok, odrzucona przez wszystkich, początkowo starała się zachować ludzką naturę. Walczyła z instynktem, który opanowywał jej zmysły. Poddała się, gdy zrozumiała, że przestała być człowiekiem. Wtedy poznała Justina...

Znalazł ją w wąskim zaułku Montmartre, gdy kończyła się posilać jedną ze swoich ofiar. Wystraszona, obdarta, brudna od krwi... Wyglądała jak dzikie zwierzę, które tylko przybrało ludzką postać. Justin ubrany w elegancki, brązowy, szeroki płaszcz, z melonikiem na głowie i z laseczką w dłoni przypominał bardziej filantropa, przemierzającego uliczki Paryża w poszukiwaniu osób potrzebujących pomocy, niż kogoś takiego jak ona. Jednak od razu wyczuła, że nie jest człowiekiem. Zawar-

czała na niego, dając do zrozumienia, że nie podzieli się swoim łupem. Nie odrywając warg od szyi ofiary, piła zachłannie.

Justin zatrzymał się tuż przed nią i patrzył na całą scenę. Nie ruszał się z miejsca, tylko spokojnie przyglądał wszystkiemu. Gdy skończyła się posilać i odrzuciła od siebie zwłoki, wyjął z kieszeni płaszcz dużą, jedwabną chusteczkę i podał jej.

– Wytrzymaj twarz – polecił.

Nie ufała mu, zresztą jak nikomu, ale sama nie wiedząc dlaczego, wzięła do ręki delikatny materiał. Przez chwilę miała w palcach przyjemny w dotyku jedwab, próbując uzmysłwić sobie coś, co nagle pojawiło się w jej umyśle. Wspomnienie tak odległe, że wręcz nierealne, przypominające sen. Zaskowytała tęsknie, wtulając policzek w chusteczkę.

– Jak masz na imię? – zapytał, patrząc na nią uważnie i śledząc każdy jej ruch, tak jakby sprawdzał, czy to zwierzę, którym niewątpliwie obecnie była, ma jeszcze szansę stać się na powrót człowiekiem. Przynajmniej kimś, kto przypomina człowieka...

– Monique. – Z trudem wypowiedziała jedno słowo. Już tak dawno do nikogo się nie odzywała, tym bardziej do kogoś takiego jak on. Do kogoś przez kogo straciła rodzinę i swoje poukładane, bezpieczne życie.

– Ile masz lat?

Potrząsnęła głową na znak, że nie ma pojęcia. Nie liczyła przecież czasu od momentu przemiany. Ostatnie

urodziny, jakie obchodziła w rodzinnym gronie, były wtedy gdy skończyła dziewiętnaście lat.

– Ja jestem Justin. – Wreszcie podszedł do niej i przykucnął obok. Odebrał od niej chusteczkę i ostrożnie dotknął nią kącika jej warg. Drgnęła, gwałtownie cofając głowę, ale on nie zważając na ten unik, powtórzył próbę. – Nie bój się – przemawiał łagodnie, próbując ją zjednać – jesteśmy tacy sami. Wiem, co czujesz. – Powtórzył ruch ręką i starł z jej policzków i warg ślady krwi. – I widzisz, już lepiej. Tak się ubrudziłaś. Nie można zachowywać się jak zwierzę. Widocznie długo musiałaś być całkiem sama. Nikt nie nauczył cię, jak żyć we tej nowej postaci. Chcę ci tylko pomóc. Możesz mi zaufać. Masz gdzie mieszkać?

Ponownie potrząsnęła przecząco głową. Noce spędzała na ulicach Paryża, w ciągu dnia przesiadywała w starych kryptach cmentarnych.

– Chodź ze mną. – Wyciągnął do niej dłoń. – Zaopekuję się tobą. Nauczę jak żyć. Potrzebujesz kogoś, kto się o ciebie zatroszczy.

Patrzyła na niego nieufnie. Coś podpowiadało jej, że nie powinna mu ufać, że najlepiej zrobiłaby uciekając, jednak inna część jej duszy tak bardzo pragnęła wytchnienia. Wyciągnięta w zapraszającym geście dłoń mężczyzny była zapowiedzią lepszego życia. Życia, gdzie nie będzie już strachu.

– Pomogę ci – zapewnił i uśmiechnął się nieznacznie.

Ciągle drżąc, zdecydowała się podać mu swoją dłoń. Podniósł się, pomagając wstać i jej.

– Chodźmy stąd – szepnął. – Czuję zbliżających się ludzi. Lepiej, żeby nas nie zobaczyli.

Poszła z nim, pozwalając się prowadzić ku nieznanemu. Zawierzyła mu i jak później wielokrotnie sądziła, było to najlepsze, co spotkało ją w życiu. Była pewna, że zostanie z Justinem już na zawsze. Przynajmniej myślała tak, dopóki nie zjawił się Basit.

Monique przewróciła się na drugi bok, na swoim niezbyt wygodnym, wąskim łóżku. Skupiła się, nasłuchując odgłosów dochodzących z pokoju zajmowanego przez mężczyzn. Dlaczego Justin ją odtrącił, dlaczego wybrał Basita? Czy to dlatego, że zadawanie się z Patronem nobilitowało go? Że czuł się dzięki temu ważniejszy? Może tak... Ona była tylko zwykłą, nikomu niepotrzebną istotą, która zatraciła swoje człowieczeństwo i stała się maszynką do zabijania. Z takimi osobami nie można stworzyć poważnego, trwałego związku. Cóż miała do zaoferowania Justinowi, oprócz swego uczucia? Nic!

Nie mogła dziś spać. Tyle myśli kłębiło się w jej głowie. Usiadła i oparła plecy o zimną ścianę. Za oknem hulał wiatr, przeciskając się przez niewielkie szpary. Nie używali pieca, gdyż nie czuli mrozu, ale właśnie teraz, poczuła wewnętrzny chłód płynący od serca. Jakieś dziwne przeczucie nie dawało jej spokoju. Ostrożnie wstała z łóżka i bezszelestnie przemieściła się do pomieszczenia obok. Stała w progu, patrząc przerażonym wzrokiem na scenę, której nigdy nie chciałyby zobaczyć.

Zagryzła wargi i uciekła, zanim zajęci sobą mężczyźni

ją dostrzegli. Miała dowód, teraz już nie było nadziei. Wszystko, czego tak się obawiała, okazało się prawdą. Jak teraz żyć?

* * *

Barbara spała niespokojnie. Śniło się jej, że stoi w pięknie urządzonej sypialni i wpatruje się w swoje odbicie widoczne w lustrzanej tafli toaletki. Kryształowe zwierciadło odbijało jej sylwetkę, spowitą w niezwykle piękną, niebieską suknię. Szerokie fałdy krynoliny niczym kielich rozkwitłego tulipana opadały do dołu, przypominając jej kreacje z „Przeminęło z wiatrem”.

Dobrze się czuła w takim epokowym ubraniu. Elegancko a zarazem powabnie. I ten kolor, tak pasujący do barwy jej oczu. Skupiła wzrok na tym elemencie swojej twarzy. Błękitna tęczęwka przykuwała uwagę. Gdy ponownie zerknęła na całość lustrzanego odbicia dostrzegła niesamowitą zmianę. Oto nie rozpoznała już swoich rysów twarzy. Nadal czuła się sobą, ale osoba, którą widziała w zwierciadle nie była nią. Dopiero po dłuższej chwili odkryła skąd zna to oblicze.

Elizabeth! Żona Rodericka! Dama z portretu! Tylko skąd u licha wzięła się w tym lustrze? Wyciągnęła dłoń i dotknęła szklanej tafli. Kobieta z drugiej strony zwierciadła zrobiła to samo. Ich dłonie zetknęły się ze sobą. Poczuli zimno, bijące od szkła. Elizabeth uśmiechnęła się do niej smutnie.

Chciała ją o coś zapytać, ale nie wiedziała o co. Tyśiące niezrozumiałych obrazów przemknęło przez jej my-

śli, a w każdym z nich pojawiał się Roderick. Nagle zniknął pokój, zwierciadło i Elizabeth. Nie było niczego, tylko pustka. Barbara znalazła się w środku niczego, ze wszystkich stron otoczona przez mrok. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Miała wrażenie, że coś zatyka jej usta, tamując oddech. Niczym macki ośmiornicy, jakaś niewidzialna siła otuliła ją i ciągnęła gdzieś wprost w nicość.

* * *

Monique nie powiedziała Justinowi o tym, co widziała. Nie chciała odsłaniać przed nim swojej duszy. Zresztą cóż miała mu powiedzieć? Że jest zazdrosna? Że jest wściekła? O nie! Nie pokaże swojej słabości!

Starła się omijać Justina, a na jego pytania odpowiadała półsłówkami. Na szczęście nie zauważył zmiany jej zachowania, pochłonięty bez reszty obecnością Basita. Zresztą to właśnie Patron pierwszy poznał jej myśli – przed nim nic nie można było ukryć. Popatrzył na nią przenikliwym spojrzeniem i uśmiechnął się triumfująco. No cóż, była dla niego tylko zwykłym pionkiem, nie wartym uczuć.

Od tego momentu Monique skoncentrowała się na wykonywaniu swoich obowiązków. Rąbała drewno na opał dla uwieczonych w piwnicy, zносиła im pożywienie oraz wyprawiała się na łowy. Zapas ludzkiej krwi, jaką zgromadzili jadąc tu i jaki otrzymali od pomagających w realizacji planu dwóch wampirów, powoli się kurczył, chociaż ograniczyli jej spożycie do minimum. Postanowili więc na pewien czas zastosować dietę mieszaną, czyli połączenie krwi ludzkiej i zwierzęcej. Owszem taka dieta nie

przypadła im do gustu, ale z konieczności musieli podporządkować się okolicznościom. Ponieważ teren, który wybrali był niezamieszkały, coraz częściej pożywali się krwią upolowanej zwierzyny, ludzką zostawiając sobie tylko na wyjątkowe okazje.

Domek, w którym przyszło im spędzić najbliższe, zimowe miesiące, był wymarzoną kryjówką. Wcześniej zajmowali go terroryści – stąd zapasy materiałów wybuchowych, zgromadzone w piwnicy. W pewien sposób likwidując tych ludzi, przyczynili się do uratowania bardzo wielu istnień. Paradoksalne, ale prawdziwe. I co więcej, to właśnie Justin i Monique odwalili całą brudną robotę. Basit zjawił się dopiero teraz, na gotowe.

– Monique! – Justin wyszedł przed dom i spojrzał na rąbiącą drwa dziewczynę. – Dużo ci jeszcze zostało?

– A bo co? – odgarnęła włosy z czoła.

– Trzeba zanieść żarcie tej małej.

– A ty nie możesz? – Z trudem hamowała nerwy.

– Jestem trochę zajęty.

– Czym?

– Nie uważam za konieczne, abym musiał się tobie tłumaczyć. – Odwrócił się i wszedł do środka. Odrzuciła siekiere i pobięła za nim. Z impetem wpadła do pomieszczenia zajmowanego przez obu mężczyzn. Basit siedział na krześle przy oknie i najspokojniej czytał jakąś książkę, a Justin jak gdyby nigdy nic masował mu plecy i ramiona.

Patron spojrzał na dziewczynę znad otwartej książki.

Sarkastyczny uśmiezek był aż nazbyt wymowny. Zaciśnięta zęby i wyminawszy mężczyzn, podeszła do metalowej skrzyni, w której trzymali zapas krwi. Ponieważ temperatura w pomieszczeniu była minusowa, nie potrzebowali do tego celu lodówki. Otworzyła wieko i wyjęła przezroczysty woreczek oznaczony symbolem ARH+ i napisem Fairbanks Memorial Hospital.

– Uważaj, nie mamy tego zbyt dużo – upomniał Justin. Spiorunowała go wzrokiem.

– Po takim wysiłku należy mi się chyba odrobina ludzkiej krwi – warknęła, wychodząc z pokoju i zabierając po drodze papierową torbę z prowiantem dla Barbary.

– Chyba się domyśla, co jest między nami. – Justin pochylił się do ucha Basita. – Boję się, aby nie było z tego kłopotów.

– „Ona jest nieszkodliwa” – zignorował jego obawy. – „Nie zawracaj sobie nią głowy. Ona z nami nie pójdzie”.

– Nie zabierzemy jej do Wiecznej Krainy? – Ta wiadomość go zaskoczyła.

– „Nie. Robactwa nam nie trzeba. Tylko ty i ja.” – Basit uniósł głowę, patrząc mu prosto w oczy.

* * *

Monique usłyszała pytanie Justina – „Nie zabierzemy jej do Wiecznej Krainy?” Podejrzewała, że tak się stanie i jak widać wcale się nie myliła. Justin nie dość, że ją zdradził, to jeszcze oszukał.

Podeszła do klapy w podłodze i jednym szarpnięciem, podniosła ją do góry. Zeszła po schodach do piwnicy,

zamykając za sobą wejście. Pierwszy raz zasunęła zasuwkę, uniemożliwiając otworzenie jej od zewnątrz. Potrzebowała czasu i nie chciała, aby któryś z mężczyzn pozostających na górze mógł jej przeszkodzić. Jeśli Justin ją zdradził, zasługiwał tylko na jedno – nigdy nie zobaczy Wiecznej Krainy! Jeśli ta dziewczyna i jej dziecko umrą, nie będą mieli istoty łączącej w sobie siły światła i ciemności. O tak! To wspaniała zemsta! I nie ważne co z nią zrobią! Grunt, że nie dostąpią wywyższenia.

Barbara spała, nieświadoma obecności Monique, która tymczasem stanęła nad jej łóżkiem i w milczeniu wpatrywała się w twarz dziewczyny. Oto zaraz plan Basita legnie w gruzach. Zasłużył sobie na to! Wstrętny, ohydny Patron! Odłożyła papierową torbę i woreczek z krwią na stolik, po czym wyjęła zza pasa mały sztylet. Przez chwilę obracała go w dłoniach, ciągle intensywnie przyglądając się Barbarze.

– Nie rób tego.

Drgnęła, a nóż wyslizgnął się z jej rąk i z łoskotem upadł na podłogę. Hałas jednak nie zbudził Barbary. Podniosła sztylet i wolnym krokiem zbliżyła się do wnęki, w której uwięziony był Roderick.

– Niby dlaczego miałabym cię posłuchać? – zapytała.
– Jak śmiesz mi rozkazywać?

– Nie rozkazuję. Ja proszę. Wiem, co czujesz, ale to co chcesz zrobić, nie jest dobrym wyjściem. Jeśli ją zabijesz, oni zrobią to samo tobie. Zginiesz.

– Tak bardzo przejmujesz się moim losem? – zadrwiła.

– Mówisz tak, bo chcesz ją ocalić.

– Masz rację. Ta dziewczyna wiele dla mnie znaczy. Kocham ją, chociaż ona nie ma o tym pojęcia. Nikomu nie pozwolę jej skrzywdzić.

– Nikomu? – Nóż błysnął w jej dłoni. – Ciekawe jak zamierzasz tego dokonać, zwłaszcza teraz, gdy jesteś spętany.

– Poczekaj – zawołał za nią, widząc, że ponownie kieruje się w stronę Barbary. – To nie jest zemsta. Robisz błąd. Oni i tak będą razem, nieważne czy tu, czy w Wiecznej Krainie. Tylko ty zostaniesz ukarana. Jesteś wspaniałą dziewczyną, zasługujesz na miłość. Justin jest głupcem, że cię nie docenia.

– A ty potrafiłbyś docenić? – Zatrzymała się i cofnęła do niego. Zmarszczyła czoło, myśląc nad czymś intensywnie. Jeśli Justin właśnie zabawiał się ze swoim ukochanym, to co jej szkodziło, zrobić to samo? Zemścić się, odegrać. Przecież nie jest gorsza! Też może mieć swojego Patrona!

Szybko poluzowała łańcuch, tak iż Roderick wreszcie mógł opuścić ręce. Z ulgą rozcierał poranione nadgarstki.

– Jeśli chcesz, aby ona żyła, to musisz coś dla mnie zrobić.

– To nie jest rozwiązanie. – Pokręcił głową, odczytując jej myśli. – Powinnaś mieć do samej siebie trochę więcej szacunku.

– Właśnie na tym mi zależy. Jeśli on tam... Jeśli jest z tym... – Nie potrafiła wypowiedzieć tego na głos. –

Przyrzekam, że was uwolnię, pozwolę wam uciec. Obiecuje, że to zrobię, musisz tylko...

Gdyby był silniejszy, mógłby ją teraz łatwo pokonać, jednak długi post zrobił swoje. Nie miał szans w walce z nią. Jego ciało nie potrafiło się szybko zregenerować, moce zostały osłabione.

– To jak? – Przytknęła nóż do jego piersi i czubkiem ostrza odsunęła koszulę, ukazując bliznę po ranie, jaką zadała mu ostatnio. – Pozwolisz mi się odegrać czy mam się zająć tą małą?

Spojrzał na śpiącą Barbarę. Obiecał, że ją uratuje, że odwiezie do Lucasa. Elizabeth, jego ukochana Elizabeth... Kiedyś poniosła dla niego najwyższą ofiarę, czy on teraz mógłby odmówić uczynienia tego samego dla niej? Powoli przeniósł wzrok na Monique. Miał tyle kobiet, wszystkie traktował jak chwilowy lek na zapomnienie, co mu szkodzi zrobić to jeszcze raz? Ale wtedy było łatwiej, bo sądził, że już nigdy jej nie odnajdzie. Teraz, kiedy wreszcie odkrył jej nowe wcielenie, czuł, że gdyby to zrobił, zdradziłby ją. Jednak teraz to była jedyna możliwość ratunku. Niby tak niewiele, a zarazem tak dużo – zaprzeczenie samemu sobie. Kolejny raz... Dla Barbary, tylko dla niej. Ostatni raz.

Skinał głową i wyciągnąwszy rękę, dotknął policzka Monique. Odgarnął jej włosy za ucho. Już po chwili zdzierał z niej kurtkę i pospiesznie odpinał guziczki granatowej bluzki. Przypadła do niego. Ich ciała napierały na siebie, zatracając się w czysto zwierzęcej żądzy. Nie zwracali uwagi na nic, aby tylko jak najszybciej zaspokoić

swoje pragnienie.

Nie zauważyli momentu, w którym Barbara się przebudziła i odwracając głowę w bok, w niewielkim blasku rzucanym przez płonące w piecyku drwa, dostrzegła jakiś ruch na podłodze, w pobliżu wnęki pod schodami. Odgłosy jakie doleciały do jej uszu, sprawiły, że poczuła jakby ktoś wbił jej nóż prosto w serce. Posapywania i jęki były nad wyraz wymowne.

Roderick spojrział w kierunku łóżka i zamarł w bezruchu. Jego wzrok napotkał przerażone spojrzenie Barbary. Monique także spostrzegła dziewczynę. Roześmiała się radośnie i z jeszcze większą pasją oddała się pocałunkom.

– Ach Rodericku – zajęczała specjalnie przeciągle. – Jesteś boski. Och tak, tak! Nie przestawaj! – Chciała, aby Barbara to usłyszała, aby nie miała żadnych złudzeń. Ją zraniono – niech inni też cierpią.

Barbara skuliła się na posłaniu i naciągnęła koc na głowę. Dłońmi zatkała uszy. Nie chciała słyszeć tych odgłosów. Roderick... Jak on mógł? Przecież ofiarowała mu swoją krew... Oddała mu samą siebie... Jak mógł tak szybko zapomnieć się w ramionach Monique? Monique?

Caroline miała rację! Miała zupełną rację! Roderickowi nie można ufać, ani obdarzyć go uczuciem! Że też była tak głupia, aby stracić dla niego głowę! Snuła jakieś nierealne marzenia, gdy tuż obok miała Lucasa. Tak, Lucas to zupełne przeciwieństwo Robillarda. Zawsze miły, oddany, pełen miłości. On nie mógłby jej zranić. To ona go

raniła, unikając jego pocałunków i pieszczot. Och, jakże chciałaby cofnąć czas.

Roderick trzymał w ramionach nagie ciało Monique. Pochylał się nad nią, a ona z ironicznym uśmiechem widocznym na ustach, patrzyła na jego twarz. Wpijała palce w jego ramiona. Znał jej myśli i żałował, że nie może jej po prostu zabić. Tylko ona jedna mogła im pomóc. Sam nie miał szans w starciu z Basitem, przynajmniej nie teraz, gdy był głodny. Zresztą nawet nie wiedział, gdzie się znajdują. W umyśle Monique odczytał jedynie, że są na Alasce, ale w którym miejscu? Jak daleko od siedzib ludzkich?

– Uwolnię was – przypomniała szeptem, tak aby Barbara jej nie usłyszała. – Jeśli będziesz się ze mną kochał, zrobię to. Masz wybór, a cena nie jest wysoka. Chcesz, abym ją wypuściła?

Barbara nie spała. Miał świadomość, że to co zobaczyła, ją zszokowało. Sam czuł się podle. Kochać się z inną, na oczach ukochanej kobiety, nawet jeśli ta nic nie wie o jego uczuciach ani ich nie odwzajemnia? To zbyt dużo, nawet jak dla niego. Ale czy jest inne wyjście? Mógłby odepchnąć od siebie Monique, podejść do Barbary i wszystko jej wytłumaczyć. Mógłby, ale nie zrobił tego. Musiał ją uratować, a to był jedyny sposób. Trudno, najwyżej go znienawidzi, i tak jest jej obcy. Ona już dokonała wyboru – kocha Lucasa i to z nim chce spędzić życie. Zamknął oczy i poddał się rytmowi narzuconemu przez swoją partnerkę.

* * *

Monique podniosła się z podłogi i ostentacyjnie przeciągnęła, prężąc swoje nagie ciało. Niby od niechcienia sięgnęła po koszulkę, którą bardzo powoli założyła na siebie.

– Już rozumiem Justina – odezwała się do nadal leżącego Rodericka. – Jeśli wszyscy Patroni są tak wspańniętymi kochankami jak ty, to wiem, dlaczego wybrał Basita.

– Możesz skończyć ten temat? – zapytał cicho. Pogardzał sam sobą, ale zdawał sobie sprawę, że to co uczynił, było konieczne. Nie miał innego wyjścia.

– A dlaczego? – roześmiała się. – Tego się nie da z niczym porównać. Jesteś prawdziwym mistrzem. – Schyliła się po swoją bluzkę, spodnie i kurtkę. Trzymając ubranie w dłoni, podeszła do Barbary i rzuciła nim w nią. – Zakładaj, byle szybko! – warknęła nieprzyjemnym tonem. – I nie udawaj, że śpisz, bo doskonale wiem, że wszystko słyszałaś. Panna skromnisia, zawstydzila się. No rusz się! – Schwyciła za róg koca i siłą ściągnęła okrycie z dziewczyny.

Roderick momentalnie zerwał się z ziemi i dopadł do wampirzycy. Zacisnął dłoń na przegubie jej ręki.

– Czego od niej chcesz?

– Niczego. – Bez trudu odepchnęła go od siebie. – Chciałeś, abym was uwolniła.

Barbara skuliła się na łóżku, chowając głowę między skrzyżowanymi ramionami. Nie chciała patrzeć na Monique, a przede wszystkim na Rodericka. To co zrobił, było

takie okropne... Nawet nie mogła o tym myśleć.

– Ubieraj się – powtórzyła Monique. – Nasza parka z góry zaraz zacznie coś podejrzewać. Nie mamy zbyt wiele czasu, a ty się ociągasz. Ty zresztą też. – Spojrzała wymownie na Rodericka i oblizwała wargi. – Chociaż bez ubrania prezentujesz się bardzo apetycznie. Miło by było mieć takiego Patrona tylko dla siebie...

Pochylił się i podniósł swoje spodnie oraz podartą koszulę. Milcząc, ubrał się pospiesznie, gdy w tym czasie Monique podeszła do drewnianych skrzyń, stojących w drugim końcu pomieszczenia. Obserwował ją i widział, jak otwiera wieko i coś wyjmuje. Zajrzał do jej umysłu i aż gwizdnął, gdy odgadł jej zamiary. Naprawdę chciała ich uwolnić.

– Ubierz się Barbaro w te rzeczy – zwrócił się do dziewczyny, nadal bez ruchu siedzącej na posłaniu. – Nie pytaj o nic, tylko to zrób. Wrócisz do Lucasa.

Z pewnym ociąganiem wzięła do ręki bluzkę wampirzycy i założyła ją na swoją zniszczoną suknię balową. Próbowwała również założyć spodnie, ale okazały się dla niej zbyt szczupłe. Za to z prawdziwą przyjemnością okryła się krótką, wełnianą kurteczką, która chociaż zbyt lekka na warunki tu panujące, jednak chroniła trochę przed mrozem.

– Gotowe. – Monique wróciła do nich i stanęła na wprost Barbary. – No mała, będziesz wolna. Twój piękniś cię stąd zabierze. Wiem, wiem, jesteś mi dozgonnie wdzięczna – zaśmiała się – ale nie musisz kłopotać się

podziękowaniami. Ktoś już to za ciebie zrobił i nie powiem, żeby nie było mi przyjemnie. Na dworze jest zimno, więc weź koce. A ty... – spojrzał na Rodericka – musisz być szybki. Gdy otworzę klapę i wyjdę na górę, masz odczekać, aż wejdziesz do pokoju Basita. Później najszybciej, jak tylko będziesz potrafił, znikaj stąd.

– Nie wiem, czy dam radę. Długo pościłem.

– Zaraz temu zaradzimy. Znaj moje serce. – Odwróciła się w stronę stoliczka i podniosła z niego papierową torbę z prowiantem, który przyniosła dla Barbary, odkrywając leżący pod spodem foliowy woreczek, pełen czerwonej cieczy. – Mój ulubiony smak. – Wzięła do ręki pojemnik z krwią i przyglądała się mu z namysłem. W pewnej chwili, jakby od niechcienia, rzuciła go w stronę Robillarda. Roderick złapał przedmiot w locie. Nie namyślając się długo, oderwał czop, zamykający otwór wylotowy i przytknął go do ust. Pił łapczywie, nie patrząc na zszokowaną Barbarę i śmiejącą się ironicznie Monique. W ciągu kilku chwil opróżnił cały woreczek, a następnie już pusty, odrzucił na podłogę.

Czuł jak wraca mu moc. Wreszcie się posilił. Po tylu dniach postu, jeśli nie liczyć tych kilku kropel, które dała mu Barbara, znowu był sobą. Rzucił się na Monique i przycisnął ją do ściany. Jego dłonie zacisnęły się na szyi wampirzycy. Z łatwością mógłby ją zabić.

– Kochany, teraz nie czas na powtórkę – zadrwiła. – Z chęcią ległabym w twoich ramionach, ale naprawdę nie mamy na to czasu. Chcesz ją uratować?

Poluzował uścisk na szyi Monique. Nawet gdyby pozbawił ją życia, to w starciu z Basitem nie miałyby żadnych szans. Wystarczyłoby jedno spojrzenie Patrona, aby padł jak martwy. Tylko Monique mogła zapewnić im wolność.

– Ja dotrzymam swojej części umowy – patrzyła mu prosto w oczy. – Wypuszczę was. Możecie uciec. Dasz radę dotrzeć do ludzkich osad. Przeżyjesz, chociaż jesteś Patronem i powinieneś szczeznąć, tak jak pozostali. Będziesz nadal mógł prowadzić swoje nędzne życie. Pić, szaleć, zabawiać się z kobietami. Szczęściary z nich... Umrzeć w twoich ramionach? Toż to rozkosz. Tylko widzisz... Ta mała nie ma szans.

– Co? – Gwałtownie ją puścił.

– Jesteśmy na Alasce. Bardzo daleko od cywilizacji. W promieniu kilkuset mil masz tylko lasy i śnieg. Całe mnóstwo śniegu. Żaden człowiek tego nie przetrzyma. To długie dni drogi w zamieciach śnieżnych, przy minusowej temperaturze. Już po niej.

– Samochód – przypomniał. – Macie samochód.

– Mamy, ale odkąd tu przyjechaliśmy, śnieg padał przez cały czas. Wiesz jak wygląda jedyna droga? Zobaczysz. Specjalnie wybraliśmy to miejsce. Nikt tu nie dotrze, aż do wiosny... Czyli tak do maja.

– Nie! To nie może być prawda!

– Niestety jest. Obiecałam, że was uwolnię, ale nie mówiłam nic, że ona przeżyje. Martw się o siebie.

– Uratuję ją! – Uderzył pięścią w ścianę, tuż przy

głowie dziewczyny.

– Zrób to, ale najpierw zastosuj się do moich wskázówek. Ja wchodzę na górę, ty czekasz. Gdy znajdę się w pokoju Basita bierzesz tą małą i...

Nie słuchał, co mówiła dalej. Zawrócił do Barbary, stojącej przy piecyku. Popatrzył na jej drobną sylwetkę, potargane włosy, które kiedyś zostały ułożone w koka, ale obecnie pojedyncze pasma wymsknęły się ze wsuwek i luźno okalały twarz, opadając na plecy i ramiona. Krótszy kosmyk, obcięty przez zbira, smętnie sterczał nad uchem. Kurtka wampirzycy okrywała dziewczynę do pasa, a poniżej zwieszały się smętne fałdy podartej, ubrudzonej, sukni balowej. W dodatku była boso. Czy miała szansę przetrwać w tej głuszy? Bez dachu nad głową, bez ciepłego pieca, bez pożywienia? Nawet bez porządnego stroju? Musiał spróbować!

Podał jej torbę z prowiantem, a następnie wziął trzy koce, leżące na łó¿ku i otulił nimi dziewczynę. Wzdrygnęła się, gdy ją dotknął, ale nie protestowała. Gdy już ją zabezpieczył, tak jak najlepiej potrafił, wziął ją delikatnie na ręce i przytulił do siebie.

– Gotowy? – Monique ruszyła w stronę schodów, ale na moment jeszcze zatrzymała się i otworzyła zaciśniętą pięść. Na dłoni trzymała niewielki, okrągły przedmiot z małym przyciskiem po środku. – Pamiętaj, musisz być naprawdę szybki – powtórzyła – Długo nie utrzymam bariery myśli i Basit dowie się o naszych planach. Będę koncentrować się na czymś innym, ale on jest cholernie

silny.

– Dziękuję – szepnął. – Jesteś bardziej ludzka niż myślisz. Nie zasłużyłaś na los, który ci zgotowano.

– Wzruszające – zaśmiała się. – Bo się rozplączę. – Boso, ubrana jedynie w cienką koszulkę, weszła po schodach i drugą, wolną ręką odsunęła zasuwkę. Odepchnęła klapę, wychodząc na zewnątrz.

* * *

Drzwi do izby zajmowanej przez Basita i Justina były zamknięte. Stała przed nimi, próbując opanować emocje. Nie mogą spostrzec, że coś jest nie tak, przynajmniej nie do momentu gdy... Musi być całkiem spokojna.

Przyłożyła dłoń do szorstkiego drewna i przez chwilę gładziła deskę. Może to jej ostatnie odczucia? Raz już umarła, wtedy, gdy przemieniono ją w potwora. Justin zwrócił jej pozory życia, nauczył co znaczy kochać i wierzyć w kogoś. Oddała mu całe swoje istnienie, każdą chwilę swego życia. Dla niego gotowa była zabijać bez mrugnięcia powieką. I po co to wszystko? Po to, aby dziś stać tu, przed tymi zamkniętymi drzwiami?

Może tak miało być? Może musiała przejść przez to wszystko? Śmierć najbliższych, ich krzyki i krew... Ten obraz prześladował ją przez całe życie, nigdy nie mogła się go pozbyć. To nieprawda, że wampiry nic nie czują, że dzieci mroku są pozbawione jakichkolwiek emocji. Jej uczucia były bardzo silne, tylko zduszone przez wszechogarniającą, zwierzęcą rządzą. Czuła silniej niż za życia, ale na pierwszym miejscu znalazła się teraz potrzeba za-

spokożenia pragnienia krwi. Wszystko inne wydawało się mniej istotne.

Kiedy poznała Justina, nauczyła się panować nad swoją naturą. Odkryła znaczenie słowa miłość i nawet cieszyła się z tego swojego, nowego istnienia. Owszem, tęskniła za słońcem, możliwością normalnej egzystencji, ale z drugiej strony miała wszystko, co było jej potrzebne. Aż do dzisiaj...

Skoncentrowała myśli na uczuciu, na całej miłości, którą czuła do Justina. Nie myśleć o niczym więcej. Tylko miłość. To ważne. To bardzo ważne. Tylko miłość.

Nie zastanawiając się dłużej, zdecydowanym ruchem uderzyła w drzwi, które z łoskotem odbiły się od ściany. Przekroczyła próg, wpatrując się w przedziwną scenę. Oto na środku pokoju stał Basit, a przed nim klęczał Justin i...

– Widzę, że miło spędzacie czas – odezwała się, podchodząc bliżej. To o czym marzyła, to co było sensem jej życia, zostało zbrukane. Wybawca, towarzysz niedoli, ukochany... Kimże był teraz? Patrzyła jak podnosi się z klęczek, jak spogląda na nią z zaskoczeniem i irytacją. Nie myśleć o niczym innym, tylko o miłości.

– Nie umiesz pukać? Jeśli jest zamknięte, to znaczy, że... – odezwał się, próbując ukryć zmieszanie.

Basit jak zwykle milczał, ale jego intensywne spojrzenie zdawało się przewiercać umysł Monique. Wiedziała, że długo nie utrzyma bariery, a tyle jeszcze chciała powiedzieć.

– Wybrałeś go, bo on ma władzę? Bo obiecał ci powrót

do Wiecznej Krainy? Muszę cię rozczarować. Twój Patron się myli. A wiesz dlaczego?

– Wyjdź stąd Monique. Pogadamy, gdy się uspokoisz. Wszystko ci wytłumaczę.

– Ale ja jestem spokojna. Już nigdy nie będę bardziej spokojna. Kochałam cię, naprawdę cię kochałam, a ty...

– Nic nie rozumiesz! – krzyknął. – Nie mogłem być z nim, żyliśmy w dwóch różnych światach. Ukrywaliśmy swoje uczucie, aby doprowadzić nasz plan do końca. Musieliśmy myśleć o ważniejszych sprawach, niż to co nas łączy. Zjawiałaś się, gdy byłem taki samotny... Nie chciałem cię skrzywdzić.

– Nie skrzywdziłeś, aby kogoś skrzywdzić trzeba sprawić mu ból. Przecież wampiry nie znają miłości, litości, ani współczucia. Prawda? Nie czują bólu. Jesteśmy martwi, ale tobie udało się zabić mnie po raz drugi. Mam nadzieję, że tym razem na dobre. A oto dowód mojej wdzięczności, za to wszystko, co od ciebie dostałam. – Błyskawicznie znalazła się przy Justinie i objąwszy go, zacisnęła palce, na trzymanym w dłoni detonatorze. Uczyniła to w tej chwili, gdy Basit właśnie przebił się przez jej barierę ochronną. Twarz Patrona wykrzywił nie-naturalny grymas wściekłości, a z jego okaleczonego gardła wydobył się okropny skrzek. Było warto! O tak, było warto.

ŚNIEŻNE PUSTKOWIE

Potężny huk przetoczył się po lesie. Podmuch eksplozji był tak silny, że z pobliskich drzew posypały się na zbiegów całe kaskady śniegu. Roderick biegł najszybciej jak mógł, byle znaleźć się w bezpiecznej odległości od miejsca wybuchu. Trzymał w ramionach opatuloną kocami Barbarę i bezgłośnie modlił się o ratunek dla niej.

Biegł długo, przedzierając się pomiędzy wysokimi drzewami. Jego nogi zapadały się w śniegu, powyżej kolan. Gdyby był człowiekiem, już dawno by zamarznął. Ubrany jedynie w cienkie spodnie, podartą, jedwabną koszulę i eleganckie, wyjściowe buty, nie miałby żadnych szans w starciu z bezduszną przyrodą. Dziś po raz pierwszy w swym długim istnieniu, dziękował za to, kim się stał.

Wreszcie dotarł na szczyt wzniesienia. Zatrzymał się, patrząc na widok, jaki rozpostarł się przed jego oczyma. Linia lasu, została za nimi, a pusta przestrzeń z przodu, pozwalała dokładnie zlustrować okolicę. Rozglądał się, szukając śladów cywilizacji, ale widział tylko białe połacie ziemi, porośnięte aż hen po horyzont drzewami, przykrytymi grubą warstwą śniegu oraz majaczące w oddali góry.

Byli sami, pośrodku niczego. Z dala od uczęszczanych tras i siedzib ludzkich. Czyżby historia znowu miała się powtórzyć? Znowu miał ją stracić? Teraz, gdy dopiero odnalazł?

Zacisnął mocniej ramiona na drogocennym ładunku. Miłość jego życia, jedyny pomost łączący go ze światem

ludzi. Kobieta, dla której zaparł się swojej krwiożerczej natury bestii. Musi żyć! Musi przetrwać! Ocali ją, wbrew wszystkiemu! Obiecał jej to i dotrzyma słowa. Za każdą cenę. Nawet jeśli sam musiałby to przypłacić życiem. Zresztą cóż znaczyło jego marne istnienie, w porównaniu z nią i jej dzieckiem?

– Co z nami będzie? – Jej stłumiony szept doleciał do jego uszu.

– Będzie dobrze. Jesteśmy wolni i wkrótce wrócisz do Lucasa – zapewnił. – Weźmiesz z nim ślub i będziecie bardzo szczęśliwi.

– A wiesz, gdzie trzeba iść?

– Na południe. – Starał się, aby w jego głosie nie było słychać lęku – przecież wampir nie powinien się bać. Przed nim długa droga, ale jeśli się postara, da radę. Musi dać. Barbara, ona nie... nie może umrzeć.

* * *

Nie wiedziała jak długo ją niósł. Zawinięta w koce, wtulona w jego ramiona, nie potrafiła jednak pozbyć się okropnego, wszechogarniającego uczucia chłodu. Zimno zdawało się przenikać przez wszystkie warstwy materiału i docierać aż do jej wnętrza. Jej całe ciało dygotało, próbując znaleźć chociaż odrobinę ciepła.

Koce zrobiły się sztywne od mrozu, nawet koszula Rodericka, do której przytulała twarz, ziębiła jej policzki. Uniosła głowę i spojrzała na mężczyznę. Na jego rzesach i włosach dostrzegła biały szron. Na powrót ukryła się w fałdach koca, obserwując jak z jej ust wydobywa się

obłoczek pary.

Uczucie chłodu było przejmujące, obejmowało całe jej ciało. Bose stopy początkowo piekły, ale teraz po prostu już ich nie czuła. Tak jakby w ogóle ich nie miała. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, ale była zbyt zmęczona, aby znaleźć wytłumaczenie. Pragnęła jedynie zasnąć i obudzić się w innym, cieplejszym miejscu.

Znowu zapadała w krótkie drzemki, z których coraz trudniej było się jej obudzić. Zresztą nawet nie chciała tu wracać, bo i po co? Do tego mrozu? Do tej pustej, śnieżnej krainy? Do tego mężczyzny, który wprawdzie ją uratował, ale dla którego nic nie znaczyła? Miała już dość wszystkiego. Tam, we śnie, była sobą. Widziała miejsca, których nie знаła, ale które jakimś dziwnym trafem wydawały się jej bliskie. Ogród z urokliwym zakątkiem nad stawem. Pochylona płacząca wierzba, zwieszająca swoje gałęzie wprost ku ciemnej tafli wody. Mała kapliczka przystrojona kremowymi różami.

A najdziwniejsze w tym śnie było to, iż widziała w nim Rodericka. Chociaż może to nie był on? Ten mężczyzna z marzeń, tak podobny do Robillarda, był jednak zupełnie inny. Delikatny, czuły... Obejmował ją i całował w tańcu, a jego pocałunki sprawiały, że nie chciała się obudzić. Ach, zostać na zawsze w jego ramionach! Nie wracać do tego złego świata!

– Barbaro! – Ten głos ciągle ją wzywał. Nie pozwalał na ukojenie. Sprawiał, że cudny świat odpływał w dal, a ona budziła się w tej mroźnej krainie.

– Pozwól mi odejść – wyszeptała wreszcie za którymś razem. To było jedyne o czym mogła myśleć. – Już dość...

– Dasz radę. – Przyspieszył kroku, przedzierając się przez kolejne śnieżne zaspy. – Tylko nie śpij. Błagam, tylko nie śpij.

Nienawidziła go za to. Zatrzymywał ją na siłę, chociaż tak bardzo chciała stąd odejść. Zapaść w sen, który daje ukojenie i nigdy się nie kończy.

* * *

W końcu zaczął tracić nadzieję. Ile można tak iść i iść? Tylko śnieg i śnieg. Tysiące kilometrów kwadratowych białego pustkowia. Kogo chciał oszukać, że uda się mu ją uratować? Chyba tylko samego siebie. Nie miał szans! Monique miała rację. On, jako wampir przetrwa, ale ona... Tylko po co mu to wieczne istnienie, jeśli ją znowu straci? Gdyby śmierć była prostsza... Chętnie usiadłby pod jednym z drzew i tuląc w ramionach tę, która była dla niego sensem życia, zasnął wraz z nią.

Nie mógł się zatrzymać. Musiał iść dalej. Tam gdzieś jest ratunek. Daleko, ale jeśli da z siebie wszystko, może zdoła tam dotrzeć. Nie może robić postojów. Nie może pozwolić jej spać.

Kilkakrotnie budził Barbarę i za każdym razem bał się, że już nie przerwie jej snu. Słyszał bicie jej serca i wiedział jak zwalnia. Coraz spokojniej, spokojniej... Wrywał ją śmierci, ale ta biała pani, coraz częściej wyciągała po nią swe kościste dłonie. Jeśli ją straci...

Nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć. Iść! Ciągłe do

przodu! Ten cholerny las musi się w końcu skończyć! Przeklęty Basit, że też takie miejsce wybrał na swoją kryjówkę. Zaprawdę miał genialny plan, który z pewnością by wypalił, gdyby nie jeden drobny szczegół – Monique. Jakże ta dziewczyna musiała być zdesperowana, że skazała się na unicestwienie, byle tylko ukarać mężczyznę, który ją zdradził!

Roderick współczuł Monique, właściwie nawet było mu jej żal. Rozumiał co czuła, w momencie gdy zrozumiała, że straciła wszystko. On też to przeszedł. Też został sam, bez szans, bez perspektyw. I zatracił się w szaleństwie. Szukał ukojenia w ramionach kolejnych kobiet, swoje smutki topiąc w alkoholu. Stał się kimś, kogo się brzydził. Nawet nie był już bestią, tylko kimś znacznie gorszym.

Przypomniawszy sobie Yadirę i chwile z nią spędzone. Tak nisko upadł, sięgnął samego dna. Po czymś takim już nigdy nie będzie sobą. Zwykły śmieć, istota nurzająca się w brudach rynsztoka. Nawet to co zrobił, aby uratować Barbarę, było takie haniebne. Jak mógł na jej oczach, uprawiać seks z Monique? Co ona sobie o nim pomyślała? Pewnie już nigdy nie potraktuje go z szacunkiem, a zresztą nawet na niego nie zasługuje. Jak może oczekiwać szacunku od Barbary, gdy sam nie szanuje siebie?

Nagle do jego nozdrzy doleciał zapach, który sprawił, że wszystkie obawy gdzieś znikły. Ludzie! Tak! Czuł to wyraźnie! Zapach był wprawdzie przytłumiony, widocznie ludzie, którzy tu byli, już dawno się stąd wynieśli, ale zo-

stało coś, co mogło uratować Barbarę.

Biegł jak oszalały, czując coraz intensywniejszą ludzką woń. Śnieg znowu zaczął sypać i białe płatki wirowały wkoło, ale on nie zwracał na nie uwagi. Byle do przodu! Byle tam, gdzie jest ratunek! Już niedaleko.

Drzewa, drzewa i jeszcze raz drzewa. Biały puch spowijający wszystko i wszechogarniająca cisza. Kolejne kroki, kolejne przedzieranie się przez głębokie zaspę.

– Nie śpij – powtarzał w kółko. – Nie śpij.

Jej oddech owiewał mu pierś. Żyła, na szczęście żyła. Już tak blisko – w oddali, poprzez gęstwinę pni, dostrzegł ściany budynku. Jeszcze kilka kroków... Malutka, drewniana chatka zdawała się przez przypadek zostawiona na tym odludziu. Ciemnobrązowe ściany, malutkie okno i solidnie wyglądające drzwi, przed którymi się zatrzymał. Mocnym kopniakiem otworzył wejście i przekroczył próg chatki.

Wewnątrz było ciemniej niż na dworze, ale on doskonale widział w ciemności. Całą chatkę tworzyła jedna, niewielka izba wyposażona w murowany piec i solidne, drewniane łóżko. Pod oknem stał stół i dwa proste krzesła. Nieopodal drzwi znajdował się ręcznie sklecony regał, zastawiony metalowymi puszkami, zaś przy samym łóżku ustawiono duży, drewniany kufer z okuciami po bokach i na wieku. Jeden róg pomieszczenia odgrodzono niskim parawanem, wydzielając część przeznaczoną na toaletę, jeśli toaletą można nazwać pordzewiałe wiadro i miskę.

Roderick położył Barbarę na łóżku i zamknąwszy

drzwi, podszedł do pieca. W skrzyni ustawionej tuż obok, znalazł kilka szczap drewna, a szukając dalej natrafił na zapalki, leżące na jednej z półek oraz siekierę. Miał nawet na tyle szczęścia, że odnalazł jakieś stare gazety, które doskonale mogły posłużyć jako rozpałka. Trochę problemu sprawiło mu rozniecenie ognia, gdyż drewno było zmarznięte, ale w końcu sobie z tym poradził i czerwone płomienie zapłonęły we wnętrzu pieca.

Wyswobodził Barbarę ze zwojów grubych koców, przy okazji widząc, że dziewczyna ściska w dłoni papierową torbę z prowiantem przyszykowanym przez Monique. Wyjął pakunek z jej rąk i odstawił na stolik. Zebrał pledy i rozłożył na podłodze, w pobliżu pieca, aby trochę je ogrzać, a następnie zdjął z Barbary kurtkę i bluzkę wampirzycy. Gdyby nie była w ciąży, dałby jej ponownie swojej krwi, jednak w obecnej sytuacji byłoby to nad wyraz ryzykowne. Nie wiedział co zrobić, ale miał pewność, że nie może jej stracić. Nie po raz kolejny.

Była taka zimna, wręcz lodowata. Jej zazwyczaj śniada cera, nabrała barwy sino-białej. Serce biło tak wolno, zbyt wolno.

– Barbaro! – rozcierał jej zmarznięte stopy, a jednocześnie nie spuszczał wzroku z twarzy. Zamknięte powieki, zaciśnięte usta... Dlaczego los tak okrutnie się z nim obchodzi? Ile jeszcze ma znieść? Jeśli ona umrze... Tylko nie to! Tylko nie to!

Nie reagowała na jego wołanie, ani dotyk. Leżała bez czucia, wydając się martwa. Jak mógł ją zatrzymać? Jak

mógł wyrwać z uścisku śmierci? Ostrożnie położył się obok niej, przytulając do siebie. Jego ręce intensywnie rozcierały zmarznięte ciało dziewczyny, próbując pobudzić krążenie. Miał świadomość, że to mogłoby się jej nie spodobać, ale nie miał innego wyjścia. Dotykanie jej i powstrzymywanie swej żądz było dla niego prawdziwą torturą. Tyle lat jej szukał, tyle wytrzymał, a teraz czuł się taki słaby. Zupełnie bezradny i zagubiony. Najchętniej zerwałby z niej tę podartą suknię i obsypał jej ciało setką pocałunków, jednak to nie byłoby właściwe. Był dla niej tylko obcą osobą, kimś nic nie znaczącym. Ona miała swoje życie, swoją miłość, a on dał słowo, że pomoże jej do tego wrócić.

A obietnica, którą złożył jej przed laty? A przysięga, że ją odnajdzie? Czy one przestały już obowiązywać? Czy został z nich zwolniony? Nieważne! Liczyło się jedynie to, co było dla niej dobre, a jej szczęściem mógł być tylko związek z Lucasem. Nie mógł się temu przeciwstawić, nie mógł sprawić jej cierpień. On może czuć ból, ona nie powinna go nigdy więcej zaznać.

* * *

Barbara znajdowała się w jakimś dziwnym zawieszaniu pomiędzy życiem a śmiercią. Nie czuła zimna, nie czuła bólu ani głodu. Było jej nawet w pewien sposób przyjemnie. Wreszcie pozbyła się wszystkich zmartwień i obaw. Nie musiała się już przejmować swoim związkiem z Lucasem ani uczuciem jakie odkryła do Rodericka. To wszystko było już tak daleko stąd. Nie chciała do tego

wracać, nie chciała znowu cierpieć.

Dookoła siebie widziała tylko dziwną, oślepiającą jasność, która zdawała się ją spowijać. To światło było takie kojące i miłe. Miała wrażenie, że oto znajduje się tam, gdzie powinna. Dostrzegła twarze jakichś ludzi, których nigdy wcześniej nie widziała. Uśmiechali się do niej zachęcająco. Wyciągali do niej swoje ręce. Nie bała się ich, bo miała świadomość, że nie chcą jej skrzywdzić. Nie wiedziała, skąd o tym wie, ale była tego pewna. Patrzyła na nich i odwzajemniała ich uśmiechy. Uważnie przyglądała się każdemu, starając się odszukać kogoś znajomego. Tak, to musiało być przecucie. Wśród tylu obcych, sympatycznych twarzy, jedna przyspieszyła bicie jej serca. Wyteńczyła wzrok i rozpoznała swego ojca. Szedł do niej z szeroko rozwartymi ramionami. Podbiegła do niego, rzucając się mu prosto w objęcia.

– Moja mała córeczka – wyszeptał, odgarniając jej włosy z czoła i patrząc prosto w oczy. – Jesteś już taka dorosła.

– Co to za miejsce? – Przytuliła się do niego. Podświadomie znała już odpowiedź na to pytanie. Ojciec nie żył, więc jeśli znowu go spotkała, musiała trafić tam, gdzie przebywali zmarli. Gdzie? Do nieba? Do piekła?

– To nasz dom. Nasz prawdziwy dom. Stąd pochodzimy i tu wracamy.

– Czy ja umarłam? – Nie czuła lęku, zadając to pytanie. Kiedyś bała się śmierci, ale teraz wydawała się jej czymś cudownym. Wreszcie nie czuła bólu, była wolna

i bezpieczna. Ten stan nawet się jej podobał i uznała, że nie potrzebuje niczego więcej do szczęścia. Nie myślała o ziemskim życiu, o tym, co pozostawiła za sobą. To już nie miało najmniejszego znaczenia. Liczyło się wieczne tu i teraz.

– A czymże jest życie? – zapytał filozoficznie. – Teraz dopiero naprawdę żyjesz. Tamten świat to tylko etap, tu jesteś u siebie.

U siebie... Tak, była pewna, że wreszcie znalazła się tam, gdzie powinna. Całą sobą oddała się błogości, która zaczęła wypełniać jej serce.

– Wybacz, ale jeszcze nie teraz. – Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna zjawił się nagle i położył dłoń na ramieniu Barbary. Błogość zniknęła, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Spojrzała na intruza, który w tak brutalny sposób zmałował szczęście. Jego twarz wydała się jej znajoma. Gdzieś już go widziała. Kiedyś dawno, bardzo dawno temu... W umyśle Barbary pojawiły się niewyraźne obrazy, które jednak nie układały się w logiczną całość. Przeraziła się ich. Nie chciała o tym myśleć, nie chciała powracać wspomnieniami do ziemskiego życia, gdyż to łączyło się z bólem. Mocniej wtuliła się w ramiona ojca, jakby szukając w nich ochrony.

– Daj jej spokój bracie. Już dosyć przeszła. Niech zazna ukojenia – zaprotestował ojciec, dostrzegając gest Barbary. Spróbował odgrodzić ją od nieznanego, ale tamten najwyraźniej nie zamierzał tak łatwo rezygnować.

– Jeszcze nie czas – powtórzył brunet. – Jej misja nie

dobiegła końca. Musi wrócić.

– Ale dlaczego ona? Czy mało już wycierpiała? – W głosie ojca pojawiła się nuta rezygnacji. Zdawał sobie sprawę, że nie może się przeciwstawić. W końcu był tylko jednym z wielu, którzy tworzyli wieczność.

Ciemnowłosa mężczyzna nie odpowiedział. Wyciągnął rękę i ponownie dotknął ramienia Barbary. Poczowała, że uścisk ojca zelżał.

– Musisz wrócić Barbaro. – Nieznajomy delikatnie wyswobodził ją z objęć ojca, który nie próbował go powstrzymać. Stał bezradnie, patrząc z bezgranicznym smutkiem na swoją córkę.

– Ja... – zająknęła się. Pragnęła tu zostać, ale jednocześnie miała dziwną pewność, że ten mężczyzna ma rację. Że zapomniała o czymś istotnym, o czymś, co pozostawiła bardzo daleko stąd.

– W głębi duszy wiesz o tym i czujesz to. Twoja misja jeszcze się nie zakończyła. Na Ziemi cię potrzebują. Kiedyś obiecałem, że zwrócę ci wszystko, co przeze mnie straciłaś. – Brunet poprowadził ją wśród szpaleru nieznanych osób. Wszyscy patrzyli na nią uśmiechając się, ale jednocześnie dostrzegała w ich wzroku współczucie. Zawahała się i zwolniła kroku.

– Nie lękaj się, nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy. Wrócisz tu, ale jeszcze nie teraz. – Jej przewodnik przemawiał czule, jak do wystraszonego, zagubionego dziecka.

– Kim jesteś? Znam cię, ale nie wiem...

– Pamiętasz mnie z innego życia. – Uśmiechnął się,

a Barbara patrząc na niego dłużej nabrała pewności, że może mu ufać. To było zupełnie irracjonalne, ale nagle uświadomiła sobie, że nieznajomy ma rację. Cień wspomnień prześladował ją, ukazując rozmazane obrazy, wśród których rozpoznała twarz bruneta. Pamiętała go, była pewna, że go pamięta, tylko nie mogła przypomnieć sobie szczegółów z nim związanych. – Spotkaliśmy się dawno temu.

– Nie mogę sobie przypomnieć. – Potarła czoło dłonią.
– W mojej głowie panuje taki chaos. Jesteś mi bliski, ale nie wiem skąd.

– Nie myśl o tym teraz. Wszystko zrozumiesz w swoim czasie. Chodź.

Ponownie pozwoliła, aby ją poprowadził, ale nagle dostrzegła, że zmierzają w kierunku smugi cienia. Zadrżała. Ciemność przybliżała się z każdym krokiem, a wraz z nią coraz bardziej czuć było chłód. Barbara ponownie miała ochotę zawrócić, pobiec do ojca, ale nie uczyniła tego. Wbrew logice postanowiła zawierzyć swemu przewodnikowi.

Słoneczna jasność została w tyle. Znaleźli się w strefie cienia, który niczym wilgotna, nieprzyjemna mgła otoczył ich z każdej strony. Z trudem postępowali dalej, gdyż ciemność zdawała się spowijać ich warstwami na podobieństwo zwojów grubej tkaniny. Nagle to dziwne uczucie minęło i zatrzymali się tuż przy krawędzi ogromnej przepaści.

Barbara spojrzała w dół. Ogromna, czarna, bezdenna

jama ziała przeraźliwym chłodem. Z jej głębi dolatywały jęki i zawodzenia, które paraliżowały zmysły. Wszystkie lęki wróciły wraz z bólem, który opanował jej ciało. Przypomniła sobie ostatnie wydarzenia. Zachwiała się na nogach, ale mężczyzna podtrzymał ją ramieniem.

– Co z dzieckiem? – zapytała, odruchowo dotykając brzucha.

– Będzie dobrze. Masz na to moje słowo.

– Boję się.

– Wiem i dlatego pójdę z tobą. Gotowa?

Odwróciła się do tyłu, pragnąc ostatni raz spojrzeć na jasność, którą zostawiła za sobą, ale przez czarną mgłę nie przenikał ani jeden słoneczny promyk. Zacisnęła powieki, aby powstrzymać łzy. Zostać było łatwiej, powrót wiązał się z kolejnymi cierpieniami. Na Ziemi zostawiła Rodericka, Adama, ciotkę... No i dziecko... Musiała wrócić. Co ciekawe nie pomyślała o Lucasie, nie dla niego zdecydowała się na ponowny ból życia.

– Tak – szepnęła.

Mężczyzna objął ją i razem z nią rzucił się w dół przepaści. Nie otwierała oczu, bojąc się tego, co mogłaby zobaczyć. Wtulała głowę w jego ramiona, szukając w nich ciepła. Straszliwy chłód ogarnął jej całe ciało. Płuca nie potrafiły zaczerpnąć lodowatego powietrza, które niczym sztylet zadawało niemiłosierny ból. Chciała krzyknąć, ale z jej ust wydobyło się tylko westchnienie.

– Jestem przy tobie Elizabeth – usłyszała cichy głos i przez malutką chwilę była pewna, że go rozpoznaje.

Gwałtownie otworzyła powieki, a jej wzrok napotkał spojrzenie Rodericka.

* * *

– Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości. Bardzo mi przykro... – Szeryf zza biurka spoglądał na siedzących na wprost niego gości. Przez lata służby, przywykł już do przekazywania rodzinom takich strasznych wieści, ale za każdym razem czuł ten sam ucisk w żołądku. Wcale nie jest tak prosto powiedzieć komuś, że jego bliski nie żyje. Że wszystkie marzenia, nadzieje i plany, legły właśnie w gruzach. Tym bardziej, gdy sprawa dotyczy tak młodej osoby.

O dziwo, jego obecni rozmówcy zachowali spokój – pewnie to wynik szoku. Dopiero gdy napięcie puści, dotrze do nich tragiczna prawda. Na razie siedzieli sztywno wyprostowani i patrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Czy jest pan zupełnie pewien? – Pierwszy odezwał się brat ofiary.

– Niestety – bezradnie rozłożył ręce – nie mam co do tego żadnych wątpliwości. To byli psychopaci... W piwnicy ich domu znaleźliśmy ludzkie kości a w lodówce pojemniki z krwią – starał się mówić w sposób jak najdelikatniejszy. To, co grupa operacyjna policji znalazła w podejrzanym budynku nieopodal granicy z Kanadą wyglądało jak scena z koszmarnego horroru. Stosy gnijących kości, pokrytych pełzającymi robakami, smród rozkładających się ciał. I te zniekształcone twarze ostatnich ofiar: wśród nich byli mężczyźni, kobiety a nawet

dzieci. Tylko prawdziwy szaleniec mógłby dokonać takiej zbrodni.

– Ale nie macie jej ciała! – Lucas Westmoore odsunął krzesło i wstał z miejsca. Widział obrazy w umyśle stróża prawa, i mimo iż sam był wampirem poczuł mdłości.

Szeryf zauważył jego kurczowo zaciśnięte pięści. Westchnął przeciągle i również podniósł się z fotela. Podeszedł do szafki, z której wydobył dwa plastikowe worki. Wolnym krokiem zawrócił do biurka i położył na blacie przyniesione przedmioty.

– To chyba rozwieje państwa wątpliwości.

Lucas momentalnie znalazł się przy biurku i wziął do rąk pierwszą z foliowych saszetek. Spojrzał na zamknięty wewnątrz kawałek materiału. Oderwana plisa sukienki balowej Barbary. Poznał ją od razu, chociaż była przybrudzona i upstrzona rdzawymi plamami. Nie musiał nawet otwierać torebki, aby mieć pewność, że to ślady krwi. Jej krwi... Sięgnął po drugi dowód rzeczowy, ale nie podniósł go. Zamarł wpatrując się w pukiel długich, kasztanowych włosów.

– Co oni jej zrobili? – wyszeptał.

– Nie znaleźliśmy ciała panny Bennett – wyjaśnił spokojnie szeryf. – Mamy za to stuprocentową pewność, że odcięty pukiel włosów należał do niej. Wykonaliśmy wiele badań i wiemy, że grupa krwi obecna na materiale, jest inna, niż denatki... To znaczy zaginionej – poprawił się szybko. – Przypuszczamy, że była przewożona jeszcze z kimś. Pewnie starała się temu komuś pomóc, albo ten

ktoś, może sam porywacz, został ranny i jego krew przypadkowo znalazła się na jej ubraniu. Zresztą ta krew jest bardzo dziwna. Nasz patolog, był pod wrażeniem jej właściwości. To zapewne działanie jakiegoś, nieznanego nam narkotyku...

– Co jest z tą krwią nie tak? – Caroline nerwowo przełknęła ślinę. Jeśli to krew wampira, to nie powinna się tu znaleźć.

– Wyizolowano w niej pewne komórki... To coś jak system wspomagania. Patolog sam nie wiedział, co to takiego. Jakby to powiedzieć... Osoba, która ma takie wartości krwi nie powinna żyć. Właściwie nie wyizolowano żadnych krwinek białych... Zlecimy dokładniejsze badania, aby mieć więcej danych, ale na razie chciałem okazać państwu te przedmioty, aby mogli państwo sami dokonać identyfikacji zwłok... to znaczy materiału.

– Możesz mi to pokazać? – Caroline podniosła się z krzesła i wyciągnęła do Lucasa dłoń.

Bez słowa spełnił jej prośbę.

– Co pani robi? – Szeryf rzucił się w stronę Caroline, która otworzyła swoją torebkę i schowała do jej wnętrza zafoliowany przedmiot. – Tak nie wolno!

– Bardzo mi przykro. – Spojrzała mężczyźnie prosto w oczy. – Przykro mi, że to pana spotkało, ale zgubił pan najważniejszy dowód.

– Zgubiłem dowód. – Szeryf zastygł w bezruchu.

– Proszę mnie zaprowadzić do patologa, który wykonał badania – wydała polecenie, nie odrywając od niego

swego wzroku.

– Oczywiście. – Spojrzenie mężczyzny stało się puste, tak jakby jego mózg został całkowicie odłączony od świadomości i wykonywał tylko polecenia wydawane przez Caroline.

Lucas zagryzł wargi, bo on już znał prawdę. W tym niepozornym strzępie rozpoznał materiał, z jakiego uszyta była suknia balowa Barbary. Tak pięknie w niej wyglądała w ten wieczór. Gdyby wiedział, że widzi ją ostatni raz... Nawet nie mógł o tym myśleć. Stracił ją! Naprawdę ją stracił! I to w momencie, gdy tak naprawdę jeszcze nie była jego.

Patrzył, jak szeryf wychodzi z gabinetu, a za nim podąża Caroline. On nie miał siły ruszyć się z miejsca. Miał wrażenie, że nogi przyrosły mu do podłogi. Nawet najmniejszy krok byłby ponad jego, nadludzkie przecież, siły.

Adam pierwszy przemógł się i podszedł do biurka, gdzie nadal leżał drugi dowód rzeczowy. Spojrzał na foliową torebkę, wpatrując się intensywnie w zamknięte w niej kasztanowe pasmo.

– Czy to są włosy Barbary? To nie mogą być jej włosy, prawda? – Gwałtownie odwrócił się w stronę Lucasa. – Powiedz, że to nie jej. Przecież szeryf mówił, że ta krew na materiale... nie była Barbary.

– Bardzo chciałbym cię zapewnić, że Barbara jest cała i zdrowa. Pragnąłbym sam w to wierzyć, ale... To był fragment jej sukienki... a na biurku leży pukiel jej włosów. Wieźli ją tym samochodem. Przykro mi...

– Nie! Nie wierzę! – Adam uderzył Lucasa obiema pięściami prosto w klatkę piersiową. Teraz on zaprzeczał temu, co usłyszał. Negował prawdę, próbując znaleźć dla siebie racjonalne wytłumaczenie. Barbara musiała żyć. – Jestem jej bratem! Wiedziałbym, gdyby coś się jej stało! Przecież musiałbym to poczuć!

– Oddałbym wszystko, aby ona żyła. – Lucas schwycił Bennetta za przeguby rąk i ścisnął mocno. – Nawet nie wiesz, jaki czuję ból. Odebrano mi kobietę mego życia... Jedyłą istotę, z którą chciałem być. Drugi raz straciłem kogoś mi najbliższego i za każdym razem osobą odpowiedzialną za to był Roderick. Ten plugawy robak skazał na śmierć moją siostrę, a teraz zabił Barbarę. Twoja strata jest wielka, ale moja jest bezgraniczna. Kiedyś pragnąłem wieczności, dziś zrezygnowałbym z niej, gdybym tylko mógł powtórnie zobaczyć uśmiech Barbary. Gdybym znowu mógł trzymać ją w ramionach... Moje istnienie bez niej będzie takie puste. I nie mam go jak zakończyć... To kara, najgorsza z możliwych. To przekleństwo! Jak mam żyć bez niej? Jak mam budzić się rano, wiedząc, że już nigdy jej nie zobaczę? Jak mam zasypiać z myślą, że kolejny ranek przyniesie to samo cierpienie?

– Ona nie umarła! – zapewnił Adam, ale jego słowa wywołały tylko grymas na twarzy Lucasa.

– Żyć złudną nadzieją? Tego chcesz? – Puścił jego ręce i podszedł do drzwi. – Twój ból kiedyś minie, jesteś tylko człowiekiem. My, wampiry chociaż wydajemy się bezduszni, odczuwamy wszystko setki razy mocniej, dla-

tego blokujemy nasze uczucia. W chwili, gdy ją pokochałem, odsłoniłem swoje wnętrze. Teraz cierpię, a wierz mi, ta rana niczym zadana srebrem, nigdy się nie zablizni. Pozostawi po sobie ślad, który do końca wieczności będzie mi przypominał, że ona umarła przeze mnie. To tylko moja wina! Zostawiłem ją samą! Poszedłem po ten głupi sok! Zachciało mi się oświadczać na balu! Kretyn ze mnie! Zabiłem ją tak samo, jak Roderick zabił Elizabeth.

– Ona żyje! – powtórzył Adam z pewną zaciętością słyszaną w głosie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Lucas tak uparcie obstaje przy tym, iż Barbara zginęła.

– Niestety Adamie... – Lucas chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Bennett go nie słuchał. Wyminął Westmoora, szarpnął za kłamkę i wybiegł na korytarz.

* * *

Adam krążył po ulicach Fairbanks, nie zważając na chłód i ciemności panujące dookoła. Było mu wszystko jedno. Barbara nie żyła. Jego siostra... Jego malutka siostrzyczka.

Przypominał sobie momenty z ich przeszłości, z czasów dzieciństwa. Wspólne zabawy w ogrodzie, spacer po miejskim parku i odwiedzanie Muzeum Sztuki. Pamiętał jej rozpacz po śmierci ojca. Był wtedy dla niej jedynym oparciem. A później przyszedł huragan... Gdyby nie jego decyzja o wyjeździe do ciotki Aleny, Barbara nadal by żyła. Chciał ją chronić, a przyczynił się do jej śmierci. To on był winien! Tylko on! To miejsce było przeklęte – ojciec wiedział co robi, gdy uciekał jak najdalej

od Elizabeth Town. Prosił, aby nigdy tam nie wracali... A on go nie posłuchał. Skazał swoją siostrę na śmierć. I to w taki okrutny sposób! Co ona musiała czuć, jadąc tyle tysięcy kilometrów z tyłu furgonetki? Jak bardzo się bała? O czym myślała w ostatnim momencie swego życia?

Zawiódł jako brat, zawiódł jako mężczyzna. Jest nikim! To on powinien być martwy, nie ona! Przecież to wszystko przez niego!

Mijał budynki, nie zatrzymując się przy żadnym. Nie wiedział gdzie idzie, nie znał tego miasta. Śnieg skrzypiał mu pod stopami, a zimne podmuchy mroźnego wiatru szczypały w twarz i tamowały oddech. Zmarznięte dłonie schował do kieszeni puchowej kurtki, zaś na głowę naciągnął kaptur.

Wszystko się skończyło, nic już nie miało sensu. Jak może dalej żyć, będąc szczęśliwym u boku Caroline? Nie może! Nawet nie chce! Umrzeć, przestać istnieć! Barbara była sama, gdy najbardziej go potrzebowała. Nikt nie wyciągnął do niej pomocnej ręki. Jej strach musiał być ogromny!

Potrącił jakiegoś przechodnia, ale nawet nie powiedziawszy przepraszam, szedł dalej. Skręcił w kolejną uliczkę i przeszedłszy kilka kroków, znalazł się na pustej przestrzeni. Przed sobą nie miał już żadnych budynków. Przyspieszył, zapadając się po kolana w śniegu. Z trudem torował sobie dalszą drogę, wreszcie zupełnie bezsilny upadł w biały puch. Jego ciałem wstrząsnął szloch.

Wyciągnął dłonie z kieszeni i zdjął kaptur z głowy.

Zdecydowanym ruchem rozpiął kurtkę, a zdjawszy ją z siebie, odrzucił do tyłu. Było mu wszystko jedno, nie chciał już żyć. Łzy płynęły mu po twarzy, zamarzając na rzęsach. Biały obłoczek pary wydobywał się z jego ust. Jak długo to potrwa? Ile potrzeba czasu, aby wreszcie przestać czuć? Aby zapaść się w nicość?

– Nie możesz mnie zostawić! – Caroline pojawiła się nie wiadomo skąd. Nie widział, jak nadchodziła, ani którą drogą przyszła. Dopadła do niego i objęła go ramionami. – Jesteś wszystkim, co mi zostało.

– Nie mogę Caroline. Nie mam siły... Nie mogę...

– Proszę! – Wypuściła go z objęć i pobiegła po jego odrzuconą kurtkę. Już po chwili otulała go puchowym okryciem. – Potrzebuję cię.

– A ja potrzebuję jej! – krzyknął. – Barbara nie powinna była umrzeć! Była taka młoda... To nie może być ona! – Nagle spojrzał na blondynkę i zapytał z nadzieją. – Ty widziałaś ten materiał... Czy to naprawdę fragment jej sukienki? A te włosy? Może oni się mylą?

Chciała zaprzeczyć, ale nie potrafiła skłamać. Od razu rozpoznała okazany strzępek – w końcu sama pomagała Barbarze dokonać wyboru stroju. Razem oglądały materiał, przymierzały... To była jej suknia. Jej... I włosy... Nawet bez badań DNA wiedziała, że ten pukiel ścięto Barbarze.

Wolno skinęła głową. Dostrzegł ten gest i krzyknął niczym zranione zwierzę. Ponownie chciał zedrzeć z siebie okrycie, ale Caroline trzymała go mocno, uniemożliwiając

zdjęcie kurtki. Także zaczęła płakać, a jej łzy skapywały na jego włosy. Tuliła go do siebie, jak małe dziecko i cały czas nie zwalniała uścisku.

– Dlaczego nie pozwolisz mi odejść? – zapytał. – Dlaczego nie pozwolisz mi dołączyć do niej?

– Bo cię kocham! – Wreszcie wypuściła go z objęć, ale za to chwyciła jego głowę i zmusiła, aby spojrzał jej prosto w oczy.

– Co ty chcesz... – Szarpnął się.

– Ona umarła, ale ty musisz żyć. – Jej głos drżał od emocji, ale starała się zachować spokój. – Nie zapomnisz o Barbarze, ale jej wspomnienie nie będzie wywoływać u ciebie bólu. Nie jesteś niczemu winny. Masz żyć i być szczęśliwy. Szczęśliwy – powtórzyła ciszej.

Patrzył na jej pełne łez oczy i nie rozumiał, co do niego mówi, a mimo to z każdą chwilą czuł coraz większy spokój. Niepokój, poczucie winy i ból zaczęły tracić na sile, oddalały się i stawały mniej istotne. Powoli docierało do niego, że Barbara naprawdę umarła, ale już nie chciał do niej dołączyć. Miał po co żyć. Mógł kultywować pamięć o swojej siostrze, a poza tym siły dodawało mu uczucie do Caroline.

– Barbara umarła – szepnął.

– Tak, umarła. – Oderwała dłonie od jego głowy. Nie tak to wszystko miało wyglądać. W swojej wizji widziała szczęście, dla tego szczęścia poświęciła życie Elizabeth, a tymczasem nadal tkwili zanurzeni w rozpacz. Straciła swoją rodzinę, doprowadziła do tyłu tragedii... I w imię

czego?

– Caroline, teraz mam tylko ciebie. – Tym razem to on złapał ją za ramiona i przycisnął do siebie. Jego wargi przyłgnęły do jej ust. – Ty jesteś moją mocą. Gdybym stracił i ciebie...

– Nie stracisz – zapewniła, chociaż pamiętała o obietnicy złożonej Patronom. Nie mogła złamać raz danego słowa. Gdyby tak zrobiła, zachowałyby się jak Duncan, jak jej ojciec, a nie chciała być taka jak on. Nigdy, przenigdy! Musiała wypełnić przyrzeczenie dane w Benacantil.

Adam... Jeszcze nie teraz, jeszcze zbyt wcześnie. Teraz jej potrzebuje, ale kiedyś... Kiedyś będzie musiała go zostawić. Honor jest ważniejszy niż miłość.

* * *

Agent specjalny John Murdock nie był szczęśliwy z tego przydziału. Nie należał do miłośników zimy, śniegu i mrozu. Właściwie powinien teraz znajdować się na South Beach i wygrzewać w południowym słońcu. Porządny urlop należał mu się i zapewne spędziłby go tak, jak zamierzał, gdyby nie kolejne wydarzenia, jakie miały miejsce w Elizabeth Town. Ostatnio o tej zabitej dechami miejscinie, zrobiło się bardzo głośno. Tyle niewyjaśnionych spraw w przeciągu tak krótkiego okresu czasu, wskazywało, że coś jest na rzeczy. Dodatkowo zaginięcie agenta Kingsleya Duncana... O tak, to było bardzo dziwne. Zajął się sprawą zabójstwa Nathaniela Barnes'a, chociaż nigdy nie przyjmował takich, wydawałoby się banalnych, spraw.

Murdock zastanawiał się, jak to się stało, że oddał Kingsleyowi swoje zadanie. To on powinien przyjechać do Elizabeth Town i przeprowadzić śledztwo. Jednak to agent Duncan udał się na miejsce zbrodni i przepadł jak kamień w wodę. I jeszcze ten wybuch w hotelu, w którym się zatrzymał...

Po zniknięciu Kingsleya, zaczęli uważniej monitorować sprawy, dotyczące Elizabeth Town i okolicy. Zaskakująco duża liczba zaginięć, dawała do myślenia. Ostatnią zgłoszoną osobą była niejaka Barbara Bennett, która zniknęła w trakcie balu noworocznego.

Murdock przeklinał w myślach przestępców, którzy wybrali sobie taką porę roku na porwanie. Przez nich musiał zrezygnować z miłego, wielce zasłużonego wypoczynku i nie bacząc na okropną pogodę, przybyć najpierw do Elizabeth Town, a następnie udać się na Alaskę.

Siedząc w niewielkim pomieszczeniu biura szeryfa, wertował stosy dokumentów, starając się znaleźć coś ważnego. Mimo iż termostat ustawiony był na dwadzieścia stopni Celsjusza, to on i tak odczuwał ziąb panujący na zewnątrz. Dodatkowo ten mrok. Czy tu nigdy nie świeci słońce? Jak można żyć w wiecznej ciemności?

Wściekłość ogarniała go na samą myśl o tym śledztwie. Dlaczego miejscowe gliny nic nie potrafią zrobić porządnie? Gdzie zabezpieczenie miejsca przestępstwa? Gdzie dbałość o dowody rzeczowe? Przez ich opieszałość i nieumiejętność, kilka ważnych śladów zostało bezpowrotnie utraconych.

Akta sprawy... Kolejny problem. Nic tu do siebie nie pasowało. Adnotacja o znalezionym dowodzie rzeczowym, wstępne informacje o przeprowadzonych badaniach i nagle czarna dziura. Nie ma dowodu, nie ma wyników badań, dodatkowo patolog zarzeka się, że nie przeprowadził analizy. Dziwnym zbiegiem okoliczności awaria komputera wykasowała część informacji, a co ciekawsze właśnie te dotyczące sprawy Bennettówny.

Szeryf nie potrafił racjonalnie wyjaśnić, w jaki sposób zgubił jeden z dowodów rzeczowych i gdzie zapodział wszystkie dotyczące go akta. Policjant, który jako pierwszy dotarł na miejsce i odnalazł fragment materiału i pukiel włosów, zarzekał się iż widział dokładnie zakrwawioną tkaninę, czyli dowód ten istniał. Dodatkowo informacje przekazane w toku śledztwa wyraźnie wskazywały na to, że badanie tkaniny zostało przeprowadzone i wyizolowano krew, która się na nim znajdowała. Ta krew miała mieć dziwne właściwości... Jakie? Tego niestety nikt nie wiedział, a patolog przysięgał, że nigdy nie dostał do badania rzeczonego dowodu.

Czy jest możliwe, aby ktoś zastraszył lekarza i wymógł na nim zatarcie śladów? To wydawało się całkiem prawdopodobne. Patolog jako jeden z nielicznych miał dostęp do dowodu i spokojnie mógł wykasować wszystkie dane. Pytanie tylko – dlaczego miałby to robić? Dla pieniędzy? Może. Ze strachu? Również możliwe. Kto jednak byłby na tyle potężny, żeby zastraszyć przedstawiciela władzy i zmusić go do ścisłej współpracy? To by

świadczyło o tym, że zamieszana jest w to naprawdę potężna organizacja. Ale która? Agent Murdock rozważał wszelkie dostępne opcje, jednak nie potrafił dopasować odpowiednich elementów.

A jeśli to nie żadna znana organizacja, tylko jakaś nowa, psychopatyczna grupa? Jeśli to ludzie ze skrzywioną psychiką, którzy odnajdują przyjemność w dręczeniu i zabijaniu oraz spożywaniu swoich ofiar? Może wyglądają niepozornie i potrafią wprowadzić w błąd, a jednocześnie niczym ośmiornica wyciągają swoje macki, opanowując coraz większe kręgi społeczeństwa. Może docierają do samych władz i dlatego tak trudno ich znaleźć? Może nawet Kingsley współpracował z nimi?

Murdock nie zdawał sobie sprawy, jak blisko był odkrycia prawdy, snując te swoje rozważania. Gdyby potrafił zrozumieć dwoistość świata i odrzucić naukę, dostrzegłby ukryte oblicze Ziemi, skryte w mroku. Czy jednak, gdyby nawet dowiedział się o istotach, które swój początek wzięły w Wiecznej Krainie, mógłby w to uwierzyć? Pewnie zaskoczyłoby go odkrycie, że nie wszyscy ludzie go otaczający, są naprawdę ludźmi.

SAMOTNOŚĆ WE DWOJE

Barbara siedziała na pledzie rozłożonym koło pieca i grzała się w ciepłe bijącym od płonących drewn. Wreszcie nie czuła chłodu. Spojrzenie utkwiała w płomieniach i objawszy nogi ramionami, oparła podbródek o kolana.

Była sama, zupełnie sama, ale nawet cieszyła się z tej chwili samotności. Wreszcie nie musiała unikać spojrzeń Rodericka, ani męczyć się w jego towarzystwie. Była mu wdzięczna za uratowanie życia, ale scena z Monique, którą zobaczyła wtedy w piwnicy, ciągle stała jej przed oczami, powodując skrepowanie i złość. A może zazdrość? Dlaczego Roderick interesował się każdą kobietą, oprócz niej? Nawet teraz, gdy zostali odizolowani od reszty świata w tej malutkiej chatynce, zatopionej wśród śniegu, nie była dla niego odpowiednią towarzyszką. Całymi dniami milczał, a jeżeli się odzywał to tylko półsłówkami. Zrobił się mrukliwy, wręcz oschły. Owszem dbał o nią, przygotowywał posiłki, pilnował, aby wszystko zawsze zjadła, ale robił to jakby z musu. Tak, jakby był to dla niego przykry obowiązek.

Chata myśliwska, w której się znaleźli, na szczęście była dobrze wyposażona. Oprócz niezbędnych sprzętów, odnaleźli ukryte w skrzyni grube, ciepłe ubrania, które wprawdzie były dla Barbary zbyt obszerne, ale wystarczył kawałek sznurka i mogła przewiązać spodnie w pasie. Za długie nogawki wywinęła do góry, tworząc szerokie mankiety. Luźna, flanelowa koszula wprawdzie nie była zbyt

elegancka, ale za to jak najbardziej odpowiednia w tych warunkach.

Co do wyżywienia, również mieli sporo szczęścia. Właściciel chaty, opuszczając ją przed zimą, pozostawił całkiem spory zapas puszek pełnych przeróżnych potraw. Gulasz, kiełbaski, fasola... Wybór może nie był zbyt imponujący, ale zaspokajał głód. Dodatkowo Roderick sam wyprawiał się na polowania i przynosił upolowaną zwierzynę.

Lubiła, gdy wychodził na te swoje łowy. Miała wtedy czas tylko dla siebie i nie musiała czuć tego dziwnego zakłopotania. Mogła spokojnie posiedzieć przed otwartymi drzwiczkami pieca i wpatrywać się w ogień. Mogła leżeć na pledzie i oddawać się rozmyślaniom. A ostatnio miała o czym myśleć.

Ile czasu minęło już od balu i porwania? Kilka tygodni? Miesiąc? Może dłużej... Co przez ten czas działo się w domu? Co z Lucasem, Caroline i Adamem? Jak ciotka Alena przyjęła wiadomość o jej zaginięciu? Czy jej szukają?

Smuciło ją, że stała się przyczyną zmartwień tylu osób. Pewnie zadrezczają się jej losem. Och, gdyby mogła jakoś ich powiadomić, że żyje i ma się dobrze. Ile jeszcze potrwa, zanim ktoś ich tu odnajdzie?

Wiedziała, że nie mają szans sami dotrzeć do ludzkich osad. Byli zdani na siebie przez następne, długie, zimowe miesiące. Z jednej strony cieszyła się z tego, bo jakoś tak podświadomie pragnęła przebywać w towarzystwie Rode-

ricka, z drugiej jednak drżała na samą myśl, że on znajduje się w pobliżu. Czasem ukradkiem dotykała swojego amuletu i dziękowała w duchu Caroline za to, że go jej dała. Dzięki temu nie musiała się obawiać, iż Robillard pozna jej myśli. Nie chciała odsłaniać przed nim swoich tajemnic.

Kochała go – tego była pewna i to miłością szczerą, bezgraniczną i zupełnie niezrozumiałą. Po tym wszystkim, co o nim słyszała, po tym co zobaczyła, nadal nie potrafiła wyrzucić go ze swego serca. To głupie serce, wbrew rozumowi, pragnęło bliskości Rodericka i nie zważało przy tym na konsekwencje.

Być z nim razem pod jednym dachem, widzieć codziennie jego twarz i nie móc zdradzić swoich uczuć. Męczarnia i koszmar. Trzeba uważać na każde słowo, na każdy gest... Tylko chwile, gdy opuszczał na krótko chatę, były tymi, w których nie czuła skrepowania. Tęskniła za nim, wyczekiwała powrotu, ale jednocześnie nie musiała udawać.

Roderick, Roderick, Roderick... Napawała się dźwiękiem jego imienia, nigdy jednak go tak nie nazywała. To starodawne imię wywoływało u niej uśmiech szczęścia i przypominało coś niezrozumiałego. Coś, co kojarzy się z domem i spokojem. Dziwne. Może to dlatego, że ją uratował? I to nie jeden raz. Zawdzięczała mu życie, chociaż czasem zastanawiała się, jak taka pozbawiona uczuć osoba potrafi jednak okazać tyle litości? Pamiętała ich wspólny wyjazd do Springfield. Tamten dzień był taki magiczny – to właśnie wtedy poczuła łączącą ich więź. Więź? Nic ta-

kiego nigdy nie miało miejsca, to tylko jej wymysły, pragnienie czegoś niemożliwego.

Ogień w kominku zaczął dogasać, podniosła się więc i dorzuciła dwa polana. Odwróciła się w stronę drzwi, nasłuchując czy przypadkiem nie wraca Roderick, jednak oprócz przeraźliwego szumu wiatru, żaden inny odgłos nie doleciał do jej uszu. Ponownie usiadła na pledzie, opierając plecy o łóżko, gdy nagle doznała dziwnego uczucia. Znieruchomiała, zaskoczona tym wrażeniem. Może to tylko złudzenie? Skupiła się na sygnałach dochodzących z wnętrza jej ciała. Nie, to nie pomyłka! Naprawdę to czuła! Rozchyliła koszulę i obniżając pas spodni, odsłoniła wyraźnie zaokrąglony brzuch. Jej dziecko. Dziś pierwszy raz poczuła jego kopnięcie. Jeszcze bardzo delikatne, przypominające bardziej muśnięcie skrzydeł motylka, ale jednak tak inne od tego, co do tej pory знаła.

Przyłożyła obie dłonie do brzucha. Tak niewiele ją dzieliło od tej kruszynki, która kryła się w jej wnętrzu. Kiedyś jej nie chciała... Teraz żałowała swoich wcześniejszych słów. Jak mogła nie chcieć tego dziecka? Bała się, że jego ojcem jest Nat... Do tej pory trudno było jej zrozumieć Obrządek Początku, ale jednak podświadomie wierzyła, że to Robillard dał mu życie. Może nie w sposób ludzki, ale na pewno ta magia, której doświadczyła, była prawdziwa.

Drzwi trzasnęły i, wraz z mroźnym podmuchem wiatru, do izby wszedł Roderick. Pierwszy raz od wielu, wielu lat, a dodatkowo pierwszy raz od czasu swojej przemiany,

nie był spowity w czern. Granatowa, flanelowa koszula i sprane, jeansowe spodnie oraz, ciężkie, brązowe trapery dziwnie na nim wyglądały, ale jednak pasowały mu. Jego policzki i brodę pokrywał zarost, który dodawał mu męskości i pewnej dzikości. Stojąc tak, oprószony śniegiem, z zamarzniętymi kropelkami wody na włosach, prezentował się jak prawdziwy poszukiwacz złota lub myśliwy. Dodatkowo w prawej ręce trzymał jakieś nieduże, futrzaste zwierzątko. Z rozmachem rzucił zdobycz na stół i otrzepał ubranie. Po chwili zdjął mokrą od śniegu koszulę i podszedłszy do pieca, powiesił ją na haku wbitym tuż obok.

Barbara mimowolnie spojrzała na jego idealnie wyrzeźbione ciało, na jaśniejsze blizny widoczne na klatce piersiowej. Zapragnęła dopaść do niego i dotknąć dłonią tych szram. Zawstydziała się swoich myśli i szybko umknęła wzrokiem w bok, byle nie patrzeć na niego.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, zerkając na jej odsłonięty brzuch. Dopiero teraz przypomniała sobie, co robiła, zanim przyszedł.

– Ok. – odpowiedziała krótko, pospiesznie podciągając spodnie i opuszczając koszulę.

– Jesteś głodna? – Nie drażył dalej tematu, a gdy zaprzeczyła ruchem głowy, udał się za parawan, gdzie w misce czekała woda, i umył ręce oraz twarz. Nie zakładając koszuli, wyszedł na chwilę przed chatę, aby wylać brudy i nabrać czystego śniegu. Barbara patrzyła za nim, wstrzymując oddech. Działał na nią w taki niesamowity

sposób. Nigdy nie czuła czegoś takiego, nawet do Lucasa, z którym przecież miała związać swoją przyszłość. Czy można kogoś kochać tak bardzo, że aż braknie tchu?

* * *

Roderick leżał bez ruchu na pledzie rozłożonym przy łóżku i w pełnym skupieniu wsłuchiwał się w oddech Barbary. Słyszał jak niespokojnie wierciła się na pościeli, przekręcając z boku na bok, jak wzdychała ze smutkiem, widocznie rozpamiętując ostatnie wydarzenia lub użalając się nad swym losem. No tak, z czego miałyby się cieszyć? Z tego, że utknęła z nim sam na sam, na tym mroźnym odludziu? Że najbliższe miesiące spędzi w towarzystwie obcej istoty? Pewnie żałuje, że to nie Lucas jest tu z nią. O tak, wtedy wszystko byłoby inaczej.

Udawał, że śpi, gdyż nie chciał zwracać na siebie jej uwagi. Starał się nawet wstrzymywać oddech, aby mogła zapomnieć o jego obecności. Żałował, że nie może powiedzieć jej prawdy, że nie wolno mu wyznać jej swoich uczuć.

Odkąd przybyli do tej chaty, starał się jej unikać. Wyprawiał się na polowania częściej niż powinien, tylko po to, aby być jak najdalej od niej. Przebywanie w jej bliskości było prawdziwą katorgą. Patrzyć na nią, widzieć ją, czuć jej zapach, wiedzieć kim jest, a jednocześnie nie móc schwycić w objęcia i całować... Nigdy nie myślał, że los może przyszykować mu aż takie tortury. Cierpiał, szukając Elizabeth, ale nie zdawał sobie sprawy, że gdy ją wreszcie odnajdzie, może być jeszcze gorzej.

Dlaczego właśnie Barbara? Tyle kobiet na świecie, a dusza Elizabeth odrodziła się w jej ciele. Jakby na złość... Jednak serce faktycznie się nie myli. Ono od razu odgadło prawdę. Zadreczał się tym, nie wiedząc jak to możliwe, że pokochał kogoś innego niż Elizabeth, a to cały czas była ta sama osoba. Gdyby nie wpływał na jej myśli próbując sprawić, aby pokochała Lucasa... Pamiętał, że miała wątpliwości, że szukała potwierdzenia swoich uczuć. Zabawił się w Boga i tak, jak mówiła Caroline, wszystko tylko skomplikował. A teraz było już za późno na zmiany. O wiele za późno.

Stracił ją, tym razem na zawsze. Wtedy, gdy pozwolił jej umrzeć, miał chociaż nadzieję, że ją odnajdzie, teraz nie miał już nic. Była z Lucasem i to z nim planowała swoją przyszłość. Całą wieczność. Jak będzie mógł żyć, widząc ich szczęście i wiedząc, że on swoje pogrzebał na zawsze?

A najgorsze dopiero przed nim... Gdy minie zima i śniegi stopnieją, będą mogli wrócić do cywilizacji. Odda ją prosto w ramiona Lucasa... I nigdy nie zdradzi mu prawdy. Nigdy!

Oddech Barbary stał się spokojniejszy i od dobrych kilku minut nie zmieniła pozycji – musiała wreszcie zasnąć. Roderick uniósł się na łokciach i podciągnął wyżej. Spojrzał na twarz śpiącej. Włosy w nieładzie okalały jej lico i rozsypywały się niczym wachlarz na poduszce. Wyglądała tak słodko i bezbrinnie. Mimowolnie poczuł skurcz serca.

Ostrożnie wstał z podłogi i przysiadł na brzegu łóżka.

Patrzył na nią, napawając się jej widokiem. To były te chwile, kiedy mógł być blisko niej. Wyciągnął dłoń i dotknął jednego z jej loków. Pogładził dłonią ciemne pasmo włosów. Jego Elizabeth... Po tylu latach...

Gdyby nie to, kim się stał, mógłby spróbować zaważyć o jej uczucie. Może miałyby szansę? Jednak teraz, gdy przekroczył granicę, nie miał prawa wymagać od niej uczuć. Te wszystkie kobiety... Nic nie znaczące miłości, towarzyszki na jedną noc. Zatracał się z nimi, aby ukoić ból, który trawił jego serce. Może wybaczyłyby mu te kobiety? Może zrozumiałyby, że w chwili gdy stracił nadzieję, potrzebował czegoś, co pozwoliłoby zagłuszyć wszystkie uczucia? Że musiał podeptać moralność i prawo. Czy jednak wybaczyłyby mu Yadire? Czy nie czułaby do niego obrzydzenia po tym wszystkim, co było jego udziałem?

Gardził sobą i swoimi czynami. Gdyby mógł cofnąć czas, naprawiłby wszystko, co zniszczył. Nie popełniłby tylu błędów. Był śmieciem, marnym robakiem, zgnilizną toczącą owoc. Jego istnienie nie miało żadnego sensu. Musi ją uratować – tylko to było pewne. Reszta w tej chwili nie miała żadnego znaczenia. Stracił swoją szansę.

– Nawet nie wiesz jak bardzo cię kocham – szepnął cicho, zniżając głowę i wargami muskając jej włosy. – Nigdy się tego nie dowiesz. Będziesz szczęśliwa z Lucasem. Jestem dla ciebie nikim i nikim pozostanę. Nie mogę dać ci tego, czego bym pragnął. Zniszczyłem wszystko, podeptałem naszą miłość. Stałem się kimś gor-

szym niż byłem, gdy poznałaś mnie pierwszy raz przed półtora wiekiem. Wieczna miłość? To zdarza się tylko w bajkach – nasze uczucie zostało wystawione na ciężką próbę i jej nie przeszło. Zdradziłem cię tyle razy, tyle razy sam się poniżyłem... Czuję się taki zbrukany i nie chcę, abyś ty znalazła się w tym cuchnącym rynsztoku. Zasługujesz na szczęście, a ja dopilnuję, abyś je otrzymała. – Jego usta przesuwają się po pasmach jej włosów. To jedyna pieszczota, na jaką mógł sobie teraz pozwolić.

Nieostrożnie przysunął się zbyt blisko i jego włosy opadły na jej policzek, łaskocząc ją. Barbara poruszyła się przez sen, a on momentalnie odsunął się w bok, ukrywając w mroku. Dziewczyna otworzyła oczy i usiadła na pościeli. Starła się wzrokiem przeniknąć panującą ciemność. Nie widziała go, chociaż zdawało się jej, że czuła jego obecność.

– Ericku! – zawołała niepewnie. – Jesteś tu Ericku?

Milczał, wstrzymując oddech. Za żadne skarby świata nie chciał teraz się przed nią ujawnić. Nie w tym momencie, gdy cały płonął z pożądania. Wystarczyłoby tak niewiele, aby nie był w stanie powstrzymać swojej żądzy.

Barbara westchnęła i na powrót położyła się na łóżku. Gdy się obudziła, miała dziwne wrażenie, że Roderick jest koło niej, że całuje jej włosy. Pewnie to sen. Tak, tylko sen. Przecież w realnym życiu Robillard nie zrobiłby czegoś takiego! Dla niego nie była kobietą, dla niego nie była nikim ważnym! Jednak żałowała, że to tylko sen. Najbardziej na świecie pragnęłaby, żeby Roderick naprawdę trzymał ją

w swoich ramionach i obsypywał pocałunkami. Nieznane jej dotąd uczucie powodowało, że czuła dziwne mrowienie na samą myśl o tym. Poczuc jego dotyk, poznać smak pocałunków... Dlaczego to tylko sen?

* * *

Alena Bennett stała na zaśnieżonym cmentarzu i wpatrywała się w przekrzywiony krzyż, zdobiący mogiłę jej męża. Przyszła tu, aby się pomodlić, chociaż nigdy nie była szczególnie wierzącą osobą. Odkąd dowiedziała się o porwaniu Barbary, modliła się często, zanosząc do Boga błagania, aby oszczędził to biedne dziewczę. Cóż takiego zrobiła Barbara, że na swej drodze napotykała same przeszkody? Nie poznała matki, która zmarła tuż po porodzie, utraciła ojca, jej rodzinne miasto zostało spustoszone przez huragan, a ona sama rzucona w nieznane miejsce tak daleko od domu, gdzie się wychowała. Jednak radziła sobie jakoś w tych wszystkich sytuacjach. Na pewno nie było jej łatwo, ale zadomowiła się w Elizabeth Town, poznała nowe koleżanki, kolegów... Nawet zaczęła chodzić z Natem. No właśnie, kolejny cios. Ledwie odnalazła uczucie, a już je straciła. Śmierć Nata była taka niespodziewana. Aż dziwne, że Barbara tak szybko się po niej otrząsnęła i skierowała swoje zainteresowanie w inną stronę. Może niezbyt właściwą, ale jednak Westmoore to porządny człowiek. Naprawdę zależało mu na niej. Cóż, miłość nie wybiera, a Barbara miała tendencję do gmatwania sobie życia.

Ciąża, ukrywanie wszystkiego w tajemnicy... Jakież

to musiało być dla niej trudne, a kiedy wreszcie zaczęło się układać, zdarzyła się ta tragedia. Kto mógł ją uprowadzić i po co? Czy to ma związek z tym, kim byli jej przodkowie, kim ona sama jest? Ale przecież o tym nikt nie wie. To najpilniej strzeżona tajemnica. Sekret, który nigdy nie powinien ujrzeć światła dziennego. A jeśli jednak ktoś o tym wiedział, jeśli to były te inne istoty, które chciały opanować Ziemię? Martin mówił, że nie jest ich już wielu, ale że nadal próbują odzyskać władzę. Tylko po co była im potrzebna Barbara?

Alena nie mogła tego wszystkiego zrozumieć, ale żyła nadzieją, na szczęśliwe zakończenie. Nadzieję utraciła po telefonie od Adama. Wprawdzie odnaleziono jedynie pułki włosów Barbary, ale według słów osób prowadzących śledztwo, porywacze byli wyjątkowymi psychopatami, którzy nie tylko w wyjątkowo brutalny sposób mordowali swoje ofiary, ale także spożywali ich ciała. Cóż za okrutny koniec! Barbara... Miała przecież niespełna osiemnaście lat. Za miesiąc obchodziłaby urodziny. Urodziny...

– Boże, dlaczego pozwoliłeś na to? – W głosie pani Bennett słychać było wyrzut. – Co chciałeś tym osiągnąć? Zabrałeś to dziecko do siebie, bo tam jest jej miejsce? Ale my ją kochaliśmy! Była taka młoda! Mogła jeszcze pobycć wśród nas! Co z tego, że to nie Ziemia jest jej prawdziwym domem? Martin też nie pochodził stąd, a pozwoliłeś mu dożyć starości. Ja powinnam odejść stąd pierwsza, nie ona! Dopiero zaczynała życie. Zabrałeś ją i jej nienarodzone maleństwo! Jak tak można?

Alena położyła dłoń na krzyżu i zacisnęła na nim palce. Przy Adamie starała się zachować spokój, ale nie potrafiła powstrzymać łez, gdy była sama. Ta stara, zmęczona życiem kobieta, która zazwyczaj wyglądała na oschłą i pozbawioną uczuć, płakała niczym małe dziecko. Z jej piersi wydobywał się urywany, spazmatyczny szloch.

– Pani Bennett. – Nie zauważyła kiedy nadszedł Lucas. Puściła krzyż i odwróciła się w jego stronę. Spojrzała na naznaczoną cierpieniem twarz mężczyzny. Wiatr targał mu włosy i szarpał poły długiego, szarego płaszcza.

– Ciągle nie mogę uwierzyć... Jak to się mogło stać? Dlaczego? Panie Westmoore, dlaczego?

– Sam chciałem uzyskać odpowiedź na to pytanie. Ona była dla mnie wszystkim. Wszystkim... Nie mam pojęcia, jak sobie dalej bez niej poradzę. Straciłem sens swego życia.

– Och, tak mi przykro! Pan stracił nie tylko ją, ale i dziecko. – Alena przypadła do Westmoora i wtuliła zapłakaną twarz w jego ramiona. – Zawiodłam! Nie dopilnowałam Barbary.

– To nie pani wina. – Za bardzo nie wiedział jak się zachować, ale pogłodził kobietę po plecach, gestem pełnym współczucia. – Jedyнным winnym tej tragedii jestem ja.

– Była taka młoda. Przecież dopiero zaczynała życie... – szlochała, zdając się nie słyszeć jego słów. – Nawet prawdziwego pogrzebu nie możemy jej wyprawić. Jakież ten los jest niesprawiedliwy!

– To nie los! – zaprzeczył. – To ludzie, którzy ją porwali. – Nie mógł powiedzieć o udziale istot nadprzyrodzonych, nie chciał zdradzić się przed nią ze swoją tajemnicą. Gdyby wyznał jej prawdę, przyznałby się do tego, kim jest.

– Jakże musiała być przestraszona, sama w takich warunkach... Na pewno bardzo się bała... O Boże! Jak oni mogli jej to zrobić? Jak mogli? Ten agent... Murdock, on mówił, że odnaleziono pasmo jej włosów... Te bestie ponoć zamordowały wiele osób... Jedli swoje ofiary! – Wstrząsnęła się z obrzydzenia. – Boże, przecież to okropność! Czy oni ją torturowali? – Uniosła głowę i spojrzała badawczo prosto w oczy Lucasa, czekając na odpowiedź, której jednak nie otrzymała.

Milczał, patrząc przed siebie na przysypane śniegiem mogiły. Czuł w swoim sercu ogromną, przytłaczającą pustkę, która uniemożliwiała mu zebranie myśli. Był niekompletny, tak jakby ktoś pozbawił go najistotniejszej części. Bez Barbary nic już nie mogło być takie samo. Świat istniał nadal, słońce wschodziło i zachodziło, wiatr wiał, śnieg prószył, ale to wszystko działo się wbrew logice. Przecież zabrakło najważniejszego elementu. Przecież już nigdy nie ujrzy jej uśmiechu, nie usłyszy jej głosu, nie będzie wpatrywał się w te cudowne, błękitne oczy. Jak ma żyć? Do cholery, jak ma dalej żyć?

* * *

Angelina Stewart leżała na białym leżaku, ustawionym na tarasie luksusowej willi i znudzonym wzrokiem

wpatrywała się w trzymany w dłoniach kolorowy magazyn. Przewracała kartkę po kartce, nie interesując się żadnym artykułem. Ubrana w skąpy, turkusowy kostium kąpielowy, chroniła się przed zbyt intensywnym słońcem pod ogromnym, rozłożystym, słomianym parasolem. Obok leżaka znajdował się stolik, na którym stała się wysoka szklanka z napojem oraz leżało kilka czasopism.

– Ciągłe tu siedzisz? – Z białego, parterowego budynku wyszła młoda kobieta o niezwykle intensywnym, czerwonym kolorze włosów. Jej smukłe, opalone ciało okrywał jednoczęściowy, seksownie powycinany, zielony kostium kąpielowy.

Kobieta podeszła do wolnego leżaka i położyła na nim, trzymany dotąd w ręku, biały ręcznik kąpielowy.

– Nie masz ochoty popływać?

– Nie sil się na uprzejmości. – Angelina nawet nie spojrzała na przybyłą. – Dobrze wiem, że z trudem tolerujesz moją obecność.

– Przesadzasz. – Kobieta wzruszyła ramionami i podeszła do brzegu basenu, zbudowanego w kształcie półokręgu. Odbiła się od marmurowych kafli i wskoczyła do mieniącej się błękitem wody. Krople rozprysły się na wszystkie strony, ochlapując przy tym pannę Stewart.

– Ej, mogłabyś uważać! – krzyknęła, odkładając magazyn na stoliczek i sięgając po wydanie codzienne gazety.

– Woda jest cudowna! – Rudowłosa wynurzyła się z odmętów, prychając radośnie. – Lepiej wskakuj.

– Instynkt macierzyński się w tobie odezwał? – za-

drwiła. – Jestem pod wrażeniem.

– Skoro już tu przyjechałaś i obiecałaś, że nikomu nie zdradzisz kim jesteś, to co nam szkodzi spędzić razem trochę czasu?

– Wybacz, ale nie. – Otworzyła gazetę na wiadomościach z kraju i zagłębiła się w lekturze. Nie interesowało ją wprawdzie co gdzieś się dzieje, ale tylko w ten sposób miała nadzieję uniknąć dalszej konwersacji z matką. Kobieta zresztą dalej już nie nalegała, tylko rozgarniając wodę rękoma, odpłynęła na drugi koniec basenu.

Wzrok Angeliny prześlizgiwał się po kolejnych artykułach, nie zastanawiając się nad ich treścią, gdy nagle dostrzegła coś, co spowodowało, że jej serce gwałtownie stanęło. Przestała oddychać, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Musiała przeczytać dwa razy, zanim zrozumiała.

„Seria tajemniczych zaginięć, jaka miała miejsce w ciągu ostatnich miesięcy, została wyjaśniona. Dzięki szeroko zakrojonej akcji policyjnej udało się namierzyć kryjówkę porywaczy, zlokalizowaną na terenie stanu Alaska nieopodal granicy z Kanadą. W piwnicach stojącego na uboczu domu natrafiono na szczątki wielu brutalnie zamordowanych osób. Według naszych informacji porywaczami byli psychopaci, którzy najprawdopodobniej spożywali ciała swoich ofiar oraz pili ich krew. Ostatnią ofiarą „krwawych potworów” była osiemnastoletnia Barbara B., mieszkanka Elizabeth Town, która została uprowadzona z balu noworocznego. Niestety porywaczom udało się zbiec. Policja jest na ich tropie.”

Angelina szczególną uwagę zwróciła na imię ostatniej ofiary. Barbara B. z Elizabeth Town? Czyżby chodziło o Barbarę Bennett? Czy to możliwe? A jeśli tak, co na to Lucas?

Zerwała się z leżaka i szybko pobiegła do wejścia. Niczym burza wpadła do przestronnego, nieskazitelnie czystego holu, ozdobionego antyczną, białą rzeźbą, przedstawiającą kobietę unoszącą nad głową dłoń z pękiem winorośli.

Kiedy prawie dwa miesiące temu Angelina zjawiała się w tym domu, wszystko totalnie ją zaskoczyło. Nie tak wyobrażała sobie rezydencję drapieżnej gwiazdy rocka, jaką знаła z teledysków i zdjęć zamieszczanych w czasopiśmie. Spodziewała się posępnego domu, pełnego zbędnych gadżetów, kapiącego od kiczowatego przepychu, a tymczasem zastała niski, biały budynek, przypominający wyglądem hacjendę, z ogromnym tarasem, z którego schodziło się do basenu, oraz z widokiem na ocean. Wismukłe palmy rosły w ogrodzie, przewyższając ściany budowli. Wnętrze urządzone z prostotą i niebanalnym smakiem. Wszystko było jak najlepszej jakości i wszędzie królowała biel i odcienie beżu.

Nawet Red Sun była inna niż na zdjęciach. Owszem, jej czerwone włosy, stanowiły znak rozpoznawczy, ale bez tony makijażu na twarzy, wyglądała na o wiele młodszą niż faktycznie. Cóż, operacje kosmetyczne czynią cuda, a Red Sun nie żałowała na nie kasy.

Bose stopy Angeliny wydawały głuchy dźwięk, ude-

rzając o marmurowe, beżowe kafle. Dobiegła do szerokich, również marmurowych schodów i w kilku susach, nie zważając na to, iż służba może zauważyć jej dziwne zachowanie, dostała się na górę. Wśród rzędu białych drzwi, bezbłędnie odkryła te, które prowadziły do jej pokoju.

Jej pokoju? No w pewnym sensie tak. Red Sun łaskawie zgodziła się użyczyć jedną ze swoich gościnnych sypialni. Cóż, miała albo taką możliwość, albo alternatywę, że Angelina uda się do prasy i opowie wszystkim prawdziwą historię swojego życia. Tę, w której wcale nie jest ukochaną córeczką chronioną przez troskliwą matkę przed paparazzi i brudami świata show biznesu, ale niechcianym dzieckiem. Dzieckiem, którym wspinała gwiazda rocka nigdy się nie interesowała i porzuciła zaraz po porodzie, ale na którego temat podczas wywiadów opowiadała ckliwe, wymyślane historie. Wiadomość o rzeczywistych relacjach łączących ją z córką na pewno stałaby się hitem numer jeden i mogła zniszczyć jej karierę. Tego Red Sun wolą unikać, dlatego tak wspinałomyślnie zaakceptowała pomysł zatrzymania się tu Angeliny.

Panna Stewart weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Z szuflady toaletki wyjęła wyłączoną komórkę i nacisnąwszy przycisk włączyła ją. Poczekała aż aparat zaloguje się do sieci. Sygnał nadchodzących wiadomości nieodebranych pikał i pikał, ale pominęła to. Otworzyła spis kontaktów. Do kogo zadzwonić? Caroline? Przez chwilę wahała się i już miała wybrać połączenie, ale powstrzymała się przed tym. Caroline na pewno i tak nie

chciałaby z nią rozmawiać, nie po tym, co zrobiła. To nie był dobry pomysł. Może Lucasa? Nie, lepiej nie. Jeśli faktycznie ta informacja dotyczyła Barbary, to nie może do niego zadzwonić. Nie w ten sposób. Erick? O tak, to jest myśl. Wybrała numer i czekała, ale usłyszała tylko zgłoszenie poczty głosowej.

Flo! Olśniło ją w pewnym momencie. Przesunęła listę do nazwiska przyjaciółki. Wolny sygnał utwierdził ją w przekonaniu, że to najwłaściwszy wybór.

– Angelina? – W głosie koleżanki wyraźnie było słychać zaskoczenie.

– Tak to ja – odpowiedziała pośpiesznie. Tak bardzo chciała od razu zapytać wprost o Barbarę, ale przecież nie wypadało. – Co u Ciebie?

– Dziękuję za zainteresowanie. Pomijając fakt, że wyjechałaś po raz drugi bez jakiegokolwiek poinformowania mnie i nie odzywałaś się przez prawie dwa miesiące, to wszystko układa się doskonale.

– Wiem, zachowałam się podle, ale musiałam opuścić Elizabeth Town.

– Twoja sprawa. – Flo wydawała się być obrażona, a może po prostu faktycznie było jej już wszystko jedno? Cóż, w końcu przestały się przyjaźnić.

– Jak tam w szkole? – zapytała.

– Również dobrze. Przygotowuję się do wyjazdu na uczelnię.

– Cieszę się. A Lucas? – O to było najłatwiej zapytać, tym bardziej, że Flo zdawała sobie sprawę z uczuć jakie

względem niego żywiła Angelina.

– Już nas nie uczy.

– Nie? – To ją zaskoczyło. Czyżby, aż tak przeżył śmierć Barbary?

– Na balu, o którym zapomniałaś, ujawnił przed wszystkimi swój związek z Barbarą i zrezygnował z pracy. To było wtedy kiedy ona... – Flo umilkła.

– Coś się stało? – Udawała, że niczego się nie domyśla.

– Barbara nie żyje.

– Co takiego? – Była bardzo przekonująca, udając całkowitą niewiedzę.

– Wszystkie media o tym trąbią. Nie słyszałaś o porywaczach – kanibalach? Gdzie jesteś, że o tym nie wiesz?

– W pewnym uroczym miejscu. – Wyszła na niewielki balkon, z którego roztaczał się cudowny widok na ocean. – Więc mówisz, że Barbara nie żyje... Jak Lucas sobie radzi? Musi być chyba bardzo przybity?

– Nie wiem. Już ci mówiłam, że nie uczy w naszej szkole. Raczej unika ludzi. Z tego co mówili inni, wnioskuję, że całe dnie spędza w domu. Zresztą co mu się dziwić?

– No tak...

– Powiesz mi dlaczego zadzwoniłaś, bo jakoś nie wierzę, abys się po prostu stęskniła. Tak nagle?

– No to trzymaj się ciepło. Odezwę się do ciebie wkrótce. – Rozłączyła się, nie czekając na dalsze pytania

koleżanki. Ona już dowiedziała się wszystkiego co istotne. Lucas jej potrzebował i mimo, iż uciekła z Elizabeth Town, teraz musiała tam wrócić.

Trzymając telefon w dłoni, weszła do pokoju i spod łóżka wyciągnęła walizkę. Otworzyła ją szeroko. Czas wracać. To odpowiedni moment.

* * *

Caroline otworzyła drzwi rezydencji Robillardów i uczyniwszy dwa kroki do przodu, zatrzymała się na progu. Jej wzrok od razu natrafił na portret Elizabeth, wiszący na wprost wejścia. Smutne spojrzenie żony Robillarda, wydawało się teraz jeszcze bardziej łzawe.

Podeszła do obrazu i stanęła tuż przed nim. Wyciągnęła rękę, dotykając palcami chropowatej faktury płótna.

– Przepraszam, że cię okłamałam. Nie chciałam tego! Ja naprawdę wierzyłam, że kiedyś wszyscy będziemy szczęśliwi... Ale Roderick bez ciebie nie potrafił istnieć. Stał się potworem. Najgorszym z najgorszych. To przeze mnie, przez to, że was rozdzieliłam. Że pozwoliłam ci umrzeć. A teraz jego już nie ma... i nigdy już ciebie nie odnajdzie. Gdziekolwiek jesteś Elizabeth... Tak mi przykro... Tak bardzo przykro.

* * *

Roderick nie wracał i nie wracał, mimo iż już dawno powinien być z powrotem. Barbara na początku nie przejmowała się przedłużającą nieobecnością Robillarda, ponieważ lubiła te chwile samotności, jednak z czasem zaczęła się niepokoić. Jego polowanie wyjątkowo się

przedłużyło, a właśnie nadciągnęła prawdziwa zamieć śnieżna. Wichura ze zdwojoną energią uderzała w ściany chaty, sprawiając, że wszystkie deski skrzypiały i wydawały odgłosy przypominające pokutne jęki. Na dodatek ogień w kominku przygasł, a ona nie potrafiła go rozpalić.

Ponure wycie wiatru zdawało się przybierać na sile. Barbara miała wrażenie, że lada moment chatynka zostanie zdmuchnięta z powierzchni ziemi. Tak bardzo się bała. Jeśli chata naprawdę się zawali, to przygniecie ją ciężarem, swoich ścian i dachem.

Mimo iż Roderick zabraniał jej wychodzenia na zewnątrz, podjęła decyzję, która w tym momencie wydawała się jej jak najbardziej właściwa. Z trudem uchyliła drzwi, siłując się wichurą. Mroźny powiew owionął jej ciało, przenikając przez kilka warstw koców i grube ubranie. Drzwi trzasnęły, zamknięte gwałtownie przez kolejny podmuch. Ciężkie buty z cholewami nie ułatwiały jej chodzenia, ale postawiła w nich kilka kroków. Nie mogła iść dalej, gdyż wiatr uniemożliwiał jej poruszanie się. W mroku panującym na zewnątrz nic nie było widać, a grube płatki śniegu, które zdawały się sypać z każdej strony, nie tylko z góry, dokładnie uniemożliwiały zobaczenie czegokolwiek.

– Ericku! – krzyknęła, przystając.

Mroźny wiatr tamował jej oddech i szczypał w twarz. Cofnęła się do tyłu, pragnąc z powrotem wejść do budynku, ale nie potrafiła otworzyć zatrzaśniętych drzwi.

Przez chwilę szarpała się z nimi, ale nie miała wystarczająco siły. Rozpląkała się z tej bezsilności i ukucnąwszy na progu, skuliła pod kocem. O Boże, niech Roderick już wraca, niech wraca! Tak bardzo go teraz potrzebuje.

Śnieg sypał na nią, przykrywając białą kołderką utworzoną z płatków. Pamiętała, że najgorszą rzeczą, jaką można zrobić na mrozie, jest zaśnięcie, ale walka z sennością okazała się ponad siły. Ten chłód, to straszne zmęczenie... Wszystko zaczęło się jej plątać. Miała wrażenie, że jest w Elizabeth Town na Pikniku Założycielek. Siedziała przy fontannie z boku placu, opierając głowę o ramię Nathaniela. Barnes miał twarz zwróconą w jej stronę i uśmiechał się do niej. Jednak nie był to uśmiech radości. Twarz chłopka wykrzywiał grymas wściekłości.

– Masz to, na co zasłużyłaś – wysyczał wprost do jej ucha. – Twój koniec będzie gorszy niż mój.

Chciała krzyknąć, ale nie mogła. Nat ze złowrogim błyskiem w oku złapał ją za ramiona i cisnął na ziemię. Śmiejąc się, zrywał z niej kolejne warstwy odzieży, powodując, że czuła coraz większy chłód. Gdy była już zupełnie naga, popatrzył na nią z obrzydzeniem.

– Nie, proszę – wyszeptała bezgłośnie.

Twarz Nata rozplynęła się w ciemności. Nie było już nic, tylko wszechogarniająca pustka. I to straszne zimno.

* * *

Zamieć śnieżna zaskoczyła Rodericka, gdy był już niedaleko domu. Mógł przyspieszyć, ale nie miał zamiaru tak szybko wracać. Nawet przebywanie na dworze

w takich warunkach, było lepsze niż obecność Barbary, która sprawiała mu tyle bólu. Nie spieszył się, napawał wzrok widokiem milionów wirujących śnieżnych drobinek. Przyglądał się białym płatkom, które pokryły jego ubranie. Nie czuł zimna i warunki tu panujące nie stanowiły dla niego przeszkody. Gdyby był sam, na pewno już dawno powróciłby do cywilizacji. Jednak Barbary nie mógł narażać na niebezpieczeństwo.

Ile czasu spędzili już w tym odosobnieniu? Nie liczył dni, a zresztą zlewały się one w jedno z nocami i trudno było dokładnie określić upływający czas. Z Barbarą mógłby spędzić tu całą wieczność, tylko na Boga, nie w ten sposób! Patrzeć na nią i nie móc jej dotykać? Najgorsza z możliwych katuszy.

Chata była coraz bliżej. Nadal nie przyspieszał kroku, chcąc jak najdłużej odwlec moment spotkania z Barbarą. Znowu zobaczy jej włosy, jej oczy. Znowu poczuje jej zapach. Właściwie cały czas go czuł, ten zapach nie odstępował go ani na chwilę. Przymknął powieki, przywołując pod nimi obraz dziewczyny. Aż jęknął myśląc o niej.

Nie wolno mu! Nie wolno! Precz głupie myśli! Precz obrazy sprawiające ból. Ona już nigdy nie będzie jego. To zamknięty rozdział. Tamta Elizabeth, a ta Barbara, to mimo wszystko dwie różne osoby. Odebrał Lucasowi siostrę, chociaż teraz odda mu kobietę jego życia. Chociaż tyle...

Podchodząc do drzwi wejściowych z przerażeniem zauważył niewielki kształt leżący na progu. W pierwszej

chwili pomyślał, że to zaspą śnieżną, ale intuicja podpowiadała mu, że się myli. Nie! To nie może być Barbara! Przypadł do niej i obiema rękoma odgarnął śnieg z okrywającego ją koca. Nie słyszał bicia jej serca...

Wziął ją na ręce i jednym, silnym kopniakiem otworzył zatrzaśnięte drzwi. Wszedł do środka i od razu spostrzegł, iż ogień w piecu zgasł. Nie miał jednak czasu, aby go rozpalać. Zamknął drzwi i położył Barbarę na łóżku. Pospiesznie wysupłał ją z kolejnych warstw koca, a następnie bez wahania rozpiął jej koszulę.

Przyłożywszy obie dłonie do mostka dziewczyny, rozpoczął masaż serca. Trzydzieści ucisków, a następnie dwa wdechy. Koniuszki jego palców dotknęły amuletu i poczuł oparzenie, ale nie zwrócił na to uwagi. Teraz liczyła się tylko ona. Pochylił się nad jej twarzą i przytrzymując jedną ręką podbródek, zbliżył swoje usta do warg Barbary. Raz, dwa... I znowu trzydzieści ucisków. Dwa kolejne wdechy. Oddychaj Barbaro! Oddychaj!

* * *

Stała na łące pełnej kwiatów. Wkoło unosił się cudowny aromat ziół. Spojrzała na swoje szaty i dostrzegła, że ubrana jest w zwiewną, długą, białą suknię. Jej ręce ginęły w szerokich rękawach.

– Tak bardzo chcesz już zakończyć swoją ziemską wędrówkę? – Znała już ten głos. Odwróciła się do tyłu i zobaczyła ciemnowłosego, potężnego mężczyznę o ciemnej karnacji. Gdzieś już go widziała... – To jeszcze nie twój czas. Nie możesz go zostawić.

– Kogo? – zapytała.

– Wasza miłość jest wieczna. Przekracza granice czasu i poznania. Należysz do niego, tak jak on należy do ciebie. Nie broń się przed tym uczuciem, pozwól mu się ponieść. Tylko w ten sposób odnajdziesz szczęście. Obiecałem ci to kiedyś i chcę dotrzymać słowa. Wróć do niego Elizabeth i bądź z nim. Kochaj go.

Elizabeth? Jaka Elizabeth? Przecież to nie jej imię? Dlaczego ten mężczyzna tak ją nazywa? Właśnie chciała zadać mu to pytanie, gdy nagle polana pełna kwiatów i mężczyzna zniknęli. Nawet biała szata, w jaką była ubrana, rozplynęła się we mgle. Była całkiem naga i znowu czuła straszny chłód. Jakiś ogromny ciężar przygniatał jej klatkę piersiową. Krztusiła się, nie mogąc złapać oddechu i czując, że naprawdę nadchodzi jej kres. Ucisk zelżał, a jej płuca wypełniły się powietrzem. Zakasłała gwałtownie, a z każdym kolejnym kaszlnięciem wracało do niej życie.

Nie wiedziała czy to sen, czy jawa. Ostatnio często znajdowała się w takim dziwnym stanie. Leżała bez ruchu, wpatrując się w twarz Robillarda. We wzroku Roderick widziała tyle uczucia, tyle miłości, że aż wydało się to jej nieprawdopodobne. Tak, to tylko sen. Piękny sen, ale niech nigdy się nie kończy!

– Jak się czujesz? – Usłyszała jego głos. Czyżby brzmiała w nim troska?

– Zimno mi – wyszeptała cicho. Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Pospiesznie wstał z łóżka i podszedł do pieca. Chwilę trwało zanim rozpałił ogień, ale wkrótce płomienie

objęły w posiadanie podrzucone do paleniska drwa. Roderick wziął jeden z suchych koców i gestem pełnym troski otulił ciało dziewczyny. Na powrót przysiadł na brzegu łóżka.

– Zimno mi – powtórzyła, szcękając zębami.

Położył się koło niej, wyciągając wzdłuż jej ciała. Teraz dzielił ich tylko szorstki materiał koca. Przez tkaninę czuł bicie jej serca – znowu biło tak jak zawsze. Objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

Westchnęła, opierając głowę o jego bark. Ten gest go zaskoczył, nie spodziewał się czegoś takiego. Znieruchomiał, zastanawiając się nad tym, co nią kierowało. Może po prostu skłoniło ją do tego zimno? Na pewno! Po cóż by miała się do niego tulić? Zwłaszcza teraz, gdy widziała...

– Dobrze, że jesteś. – Jej głos był taki cichutki, z trudem rozróżniał słowa, tym bardziej, że dygotała jak w febrze. Sen, który śniła, był taki przyjemny, tylko skąd wziął się w nim ten straszny chłód?

– A gdzie mam być? – zapytał czule. – Zawsze będę tam gdzie ty.

Tak, to sen. Jednak tylko sen. W prawdziwym życiu Roderick nie powiedziałby czegoś takiego. Nie jej. Mógł się kochać z każdą kobietą, tylko nie z nią. Nawet Monique nie przepuścił! O tak, tego nie mogła mu wybaczyć! Ciagle pamiętała tamtą scenę. Tych dwoje razem...

Ale teraz śni. Teraz to ona ustala reguły. Chociaż dziś zrobi to, o czym marzyła. To jej sen. Tylko jej. I będzie z nim.

– Dlaczego to mówisz? – Wyciągnęła dłoń spod koca i dotknęła jego policzka. Pod palcami poczuła szorstki zarost. Nie golił się tyle dni, ale był przez to jeszcze bardziej męski.

Nie odpowiedział na pytanie. Schwycił jej dłoń i przycisnął do swoich warg. Jego pocałunek sprawił, że poczuła falę ciepła. O tak, tego potrzebowała, aby zagłuszyć ten przeraźliwy chłód.

– Przepraszam! – Oderwał usta od jej skóry i chciał wstać, ale złapała go za poję koszuli. W tym śnie nie pozwoli mu odejść. Nie dziś! Usiadła i przyciągnęła go do siebie, tak jak małego, bezbronного dzieciaka.

– Czego ode mnie chcesz? Uratowałem cię dla Lucasa. Będiesz mieć swoje szczęśliwe, poukładane życie.

– Zimno mi. – Wolniutko odpinała kolejne guziczki jego koszuli, a on się temu nie sprzeciwiał. Patrzył na nią tymi swoimi pięknymi oczyma. Jej dłoń spoczęła na jego piersi, a palce odszukały ślady blizn. Jęknął pod wpływem tego dotyku i schwycił ją za ramiona, na powrót położył na łóżku. Pochylał się nad nią, a jego ciemne włosy opadały mu na twarz.

Ta scena wydała się jej dziwnie znajoma, ale nie wiedziała skąd. Wysiłała umysł, aby przywołać zapomniane obrazy, jednak nie potrafiła zrozumieć swoich odczuć.

– Zabijasz mnie – jęknął. – Nie potrafię być z tobą, ale nie mogę też być bez ciebie. To najgorsza z możliwych tortur. Dlaczego właśnie ty? Na Boga, dlaczego to ty?

Zarzuciła mu ręce na szyję, przyciągając go do siebie jeszcze bliżej. Była słaba i wiedziała, że łatwo wyswobodziłby się z jej objęć, jednak tego nie zrobił. Kolejny dowód, że to sen – w realnym życiu po prostu by ją odepchnął.

– Nie zostawiaj mnie samej – wyszeptała prosto do jego ucha. Jej oddech lekko go łaskotał, przypominając coś, co utracił tak dawno temu. Elizabeth, jego Elizabeth. Tak jak wtedy, w jej pokoju...

– Nie zostawię cię – powtórzył, całując jej powieki. Zamknęła oczy, oddając się jego pocałunkom. Przez moment w jej umyśle znowu pojawił się dziwny obraz – coś jakby kadr z kostiumowego filmu. Dwoje ludzi w strojach z epoki, całujących się na tle płaczącej wierzby. To miejsce... Staw, powalony pień drzewa... Znała je aż zbyt dobrze. Tak często nawiedzały ją w snach.

Całował ją z takim uczuciem i delikatnością, pobudzając wszystkie zmysły. Drżała już nie z zimna, ale z pragnienia. Nigdy nie kochała się z żadnym mężczyzną, jeśli nie liczyć Nata... Wtedy to był jej pierwszy i ostatni raz. Na samą myśl o kontakcie fizycznym dostawała mdłości. Jednak teraz, w tym śnie, była zdecydowana.

Jego usta i dłonie błędziły po całym jej ciele. Pozwalała mu na pieszczoty, sama nie wiedząc jak je odwzajemniać. W pewnym momencie, pogrążona w marzeniach, usłyszała cichy syk Rodericka, a po chwili poczuła zapach spalenizny. Otworzyła oczy i zobaczyła jak Robillard patrzy na swoją prawą dłoń. Dostrzegła ślad po oparzeniu

i od razu zrozumiała skąd się wziął. Przypomniała sobie o naszyjniku, który spoczywał na jej piersiach. Miała go na sobie cały czas. Jej nie wyrządzał szkody, ale jeśli dotknie go wampir... Nie chciała, aby to, co spotkało Kingsleya, przytrafiło się Roderickowi. Zacisnęła dłoń na talizmanie. Mogła go zdjąć, ale wtedy odkryłaby przed Robillardem wszystkie swoje sekrety. Wprawdzie to tylko sen, ale po co kusić los? Obróciła amulet tak, żeby wisior znalazł się na plecach.

A jeśli to nie sen? Teraz dopiero o tym pomyślała. Czy we śnie odczuwałaby wszystko tak wyraźnie? Przestraszyła się tej myśli, ale za chwilę się uspokoiła. Ależ oczywiście, że to sen. Wyszła przed chatę i drzwi się zatrzasnęły – nie mogła wrócić do środka. Śnieg padał i było tak przeraźliwie zimno... Zasnęła i umarła... Tego miejsca nie ma. Nie ma ich. Jest tylko bezmiar śniegu i oszałamiający mróz. Pewnie leży w zaspie, przysypana grubą warstwą śniegu i czeka na swój koniec. Może to już ostatni taki sen? Może nie będzie innych? Trzeba go dośnić do końca. Chociaż tyle...

– Kochaj mnie – powiedziała, ponownie przyciągając go do siebie. – Jeśli jutra ma nie być, to niech będzie dzisiaj.

Zatracili się w uczuciu, które ich przepęłniało. Dwa serca, spragnione swojej bliskości, dwie dusze połączone na wieki. Dwa ciała, które stały się jednością. Tak bliscy sobie, a zarazem tak dalecy...

SKRADZIONA MIŁOŚĆ

Tej nocy kochali się jeszcze kilkakrotnie i za każdym razem Roderick miał świadomość, że robi coś złego. Nie powinien się tak zachować, nie powinien dopuścić do takiej sytuacji! Gardził sobą, ale nie potrafił odmówić sobie kolejnej chwili przyjemności. Właściwie było mu już wszystko jedno. Gdy zobaczył ją umierającą, gdy nie słyszał bicia jej serca, zrozumiał, że oddałby wszystko, aby chociaż jeszcze jeden, jedyny raz poczuć jej bliskość.

Kiedy wreszcie jej serce drgnęło, gdy znowu złapała oddech, był najszczęśliwszą istotą na Ziemi. W tym momencie nie myślał racjonalnie. Jakoś tak bezwiednie poddał się uczuciu, które wypełniało całe jego wnętrze.

Te wszystkie kobiety, które przewinęły się przez jego sypialnię, to były tylko tanie dziwki, osoby na jedną noc. Nic nie znaczyły, po prostu zapełniały tę okropną pustkę, jaka go otaczała. Do żadnej nie czuł niczego oprócz pogardy. Sarah... Przypomniawszy sobie bibliotekarkę, którą początkowo uznał za wcielenie Elizabeth. Nawet jej nie potrafił okazać miłości. Starał się, naprawdę się starał, ale mimo wszystko była dla niego nikim. To wtedy zrozumiał, że został zupełnie sam. Od tej chwili zaczął się staczać po równi pochyłej. Alkohol pity bez umiaru, kolejne romanse, zabójstwo tej kobiety w Springfield.

Był potworem, najgorszym jakiego tylko można sobie wyobrazić. Nie zasługiwał na nic więcej, jak tylko potępienie. Dlaczego wplątał w to Barbarę? Dlaczego nie miał

w sobie więcej siły?

To, co przeżył z Yadirą, pozbawiło go reszty godności. Był tylko zabawką w jej rękach, ale godził się na takie traktowanie, wręcz uzależnił się od niej. Na jedno jej skinięcie gotów był na wszystko. Zawładnęła nim, ale to nie była miłość, tylko obsesja. Chora żądza. Seks z nią, był inny niż wszystko, co do tej pory znał – bez jakichkolwiek ograniczeń, bez zahamowań. Dał się ponieść, ale gdy nadeszło otrzeźwienie, pozostał mu tylko bezgraniczny wstyd.

Wszystko, co robił w ostatnim czasie, nie przysporzyło mu chwały. Jediną dobrą rzeczą było uratowanie Barbary, ale nawet i tutaj zawiódł. Dzisiejsza noc była tego najlepszym przykładem. Czy prawdziwy przyjaciel byłby w stanie wykorzystać chwile słabości? Nie! Nie! Po sto-kroć nie!

Leżał bez ruchu, wsłuchując się w równy oddech Barbary. Dziewczyna spała, z głową opartą o jego ramię. Czuł jej ciepło, jej zapach. Wszystkimi zmysłami chłonał jej bliskość. O tym marzył, tego pragnął i oto miał to teraz. Jednak nie tak, jak powinno to wyglądać. Nie w ten sposób. Barbara jest dziewczyną Lucasa, to Westmoora kocha, nie jego. Będzie żałować swego czynu i znienawidzi go jeszcze bardziej.

* * *

Barbara otworzyła oczy. Miała dziwne wrażenie, że wydarzyło się coś ważnego. Spojrzała w bok i dostrzegła, leżącego obok niej Rodericka. Więc to jednak nie sen?

Jasne, że nie! Ta noc była najprawdziwsza, do tej pory czuła na sobie jego pocałunki.

Westchnęła, przeciągając się i wtulając w ramiona mężczyzny. Było jej tak dobrze, tak jak jeszcze nigdy w życiu.

– Już nie śpisz? – zapytała, głaszcząc jego klatkę piersiową.

– Nie. – W jego głosie nie słychać było radości. Brzmiał dziwnie obco, sucho.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się. Była taka szczęśliwa, taka pełna wiary i nadziei. Kochając się z Roderickiem, nabrała pewności, że nie jest mu obojętna. Jego czułe gesty, słowa pełne miłości i pocałunki tylko ją w tym utwierdziły. Najpierw myślała, że to sen, ale szybko odkryła, że wszystko dzieje się naprawdę. Poczowała się niezręcznie, wręcz głupio, ale on był taki delikatny, taki czuły... Na pewno nie udawał, przecież tego nie można udawać! Zapomniała się w jego ramionach. Kochali się intensywnie, kilka razy, przeżywając wspólnie niewysłowioną rozkosz. Naprawdę połączyło ich uczucie, nie tylko zwykły seks.

– A co się miało stać? – odburknął mało uprzejmie.

Z wrażenia zaschło jej w gardle. Odsunęła się od niego i usiadłszy na łóżku, otuliła nagie ciało kocem. Ogarnęło ją przerażenie, połączone ze wstydem. Czego się spodziewała? Na co liczyła? Caroline przecież ją ostrzegała. Roderick nie szanuje kobiet, traktuje je tylko jak przedmiot. Byle zaliczyć kolejną. Spał z Angeliną, z Monique,

z wieloma innymi, których imion nawet nie znała. Wreszcie przespał się i z nią. Monique miała rację – jest prawdziwym mistrzem w dziedzinie seksu. To, co przeżyła z nim, sprawiło, że nawet teraz, czując wstyd, jednocześnie potrafiła myśleć tylko o tym, aby ponownie znaleźć się w jego ramionach.

– Ja... – zająknęła się. – Bo my dziś w nocy... – Trudno jej było o tym mówić, a on tego nie ułatwiał. Wstał z posłania i sięgnął po leżące na podłodze spodnie. Patrzyła na jego nagie ciało, walcząc z ogarniającym ją pożądaniem. Dlaczego czuje do niego coś takiego? Dlaczego właśnie do niego? Lucas tyle razy próbował się do niej zbliżyć, a za każdym razem go odtrącała, a tu wystarczyła chwila, aby całkowicie straciła głowę.

– Nie musisz mieć wyrzutów sumienia. – Założył spodnie i zapiął je w pasie. – To był tylko czysty seks.

– Tylko seks – powtórzyła.

– Lucas nie musi się o tym dowiedzieć. Byliśmy tu długo, zupełnie sami, cóż stało się...

– Stało się... – ponownie powtórzyła. Czyli dla niego był to nic nieznaczący epizod. Kolejna zaliczona panienska.

– Potrzebowałam bliskości kogoś, tak jak i ja potrzebowałam kobiety. Nie jestem Lucasem i daleko mi do niego. Wiem, że to w jego ramionach wolałabym spędzić tę noc. Udawajmy więc po prostu, jakby nic się nie wydarzyło.

W ramionach Lucasa. On myśli, że ona i Lucas... Że byli ze sobą? No tak, przecież są parą, planują wspólną

przyszłość. Niech tak myśli, niech nigdy nie pozna prawdy. Nie spała z żadnym mężczyzną, jeśli nie liczyć Nata. Roderick był jej pierwszym, prawdziwym kochankiem. I nie chciała już mieć innego.

– Idę po wodę. – Narzucił na siebie flanelową koszulę i założywszy buty na nogi, schwycił do ręki dzbanek. Nawet nie oglądając się na Barbarę wyszedł z chaty.

Śnieg nadal prószył, ale teraz były to pojedyncze, drobne płatki. Wichura również ucichła. Dojście do przełęczy zajęło mu dłuższą chwilę, jako iż musiał przedzierać się przez świeże zasy, ale nawet cieszył się z tego. Wreszcie mógł spokojnie pomyśleć.

Rano, gdy się obudził, miał nadzieję, że Barbara coś do niego czuje. Gdy się kochali, odniósł wrażenie, że nie jest jej obojętny. Pomylił się jednak. Barbara była kobietą, doskonale potrafiła udawać. Nic dla niej nie znaczył, był tylko namiastką tego, co właśnie potrzebowała. Musiała być bardzo spragniona seksu, skoro tak ochoczo rzuciła się mu w ramiona. Owszem, za pierwszym razem być może nawet dobrze nie wiedziała, co się z nią dzieje, ale kolejne razy, były już zupełnie świadome. Nie pozwalała mu oddalić się chociażby na kilka centymetrów. Wtulala się w niego tak zaborczo, niemalże nachalnie. Zdawała się błagać o więcej i więcej.

Nie powinien tego robić, nie powinien jej ulegać. Zaspokoila swoje pragnienie, a teraz potraktowała go jak śmiecia, którym zresztą był. To Lucas przez resztę życia będzie zasypiać i budzić się u jej boku. To Lucas będzie

całować jej ciało. Nie!

Ogarnęła go wściekłość, niemalże ślepa furia. Zatrzymał się przed jednym z drzew i odrzuciwszy dzban, zaczął walić obiema pięściami w gruby pień. Uderzał raz za razem, tak jakby atakował prawdziwego wroga. Na jego głowę sypały się kaskady śniegu, spadające z konarów. Po chwili rozległ się trzask i potężne drzewo złamało się jak zwykła zapałka. Z głośnym hukiem powaliło się na kolejne drzewa. Tumany białego puchu wzbiły się do góry.

Odskoczył na bezpieczną odległość i stał tak, lekko pochylony do przodu, z włosami opadającymi na czoło i oczy. Dyszał ciężko, ale nie ze zmęczenia.

Dlaczego Barbara? Dlaczego właśnie ona? To pytanie ciągle nie dawało mu spokoju. Po co los dał mu poznać potęgę wiecznej miłości, aby później tak okrutnie sobie z niego zakpić? Wszystko na świecie sprzysięgło się przeciwko niemu, a on nie miał już sił na dalszą walkę. Jedyne, co pozostało mu do zrobienia, to odprowadzić Barbarę do Lucasa. Tak, tylko tyle. Później nie będzie już nic... Przestać istnieć, wreszcie przestać istnieć.

* * *

Angelina wysiadła z taksówki przed domem Westmoora i poprawiając kołnierz futra, popatrzyła na kałuże widoczne na podjeździe. Nie lubiła chłodu i deszczu, a właśnie taka pogoda powitała ją po powrocie do Elizabeth Town. Pannie Stewart brakowało słońca, które przecież tak lubiła. Grube warstwy chmur zasłaniały niebo, sprawiając, że panował nieprzyjemny półmrok. Wzdry-

gnęła się na samą myśl o kolejnych, chłodnych miesiącach. No cóż, dla Lucasa była gotowa na takie poświęcenie.

Omijając kałuże, podeszła do drzwi wejściowych i przyłożyła dłoń do dzwonka. Jedno krótkie naciśnięcie i cisza pełna oczekiwania. Nikt nie otworzył, w ogóle z wewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy. Może go nie ma?

– Mam na panią czekać? – Taksówkarz wychylił się przez okno samochodu.

– Nie trzeba – odpowiedziała, nawet nie oglądając się na niego. Ponownie nacisnęła dzwonek.

Taksówkarz zasunął szybę auta i wolno wykręcił na podjeździe. Po chwili wyjechał na drogę. Angelina puściła przycisk, a dłoń położyła na gałce. Przez moment zastanawiała się, co zrobić, jednak zanim wykonała kolejny ruch, drzwi gwałtownie zostały otworzone, a ona, całkowicie zaskoczona, tracąc oparcie dla ręki, poleciała do przodu, prosto w ramiona Lucasa.

– Co tu robisz? – zapytał, zdecydowanym ruchem odsuwając ją od siebie. – Ponoć uciekłaś z Elizabeth Town.

– Właśnie wróciłam. – Wyprostowała się pośpiesznie, starając udawać obojętność.

– Widzę – burknął mało uprzejmie. – Tylko czemu do mnie?

– Słyszałam o...

– Tak, pewnie. – Przesunął się w bok, pozwalając jej wejść do środka, a gdy znalazła się w holu, zamknął za nią drzwi. – I pełna współczucia postanowiłaś się tu zjawić? –

zadrwił.

– Jak zwykle musisz być nieprzyjemny. – Uderzyła go torebką. – To ja przez pół świata lecę, aby cię wesprzeć na duchu, a ty...

– Przepraszam. – Dotarło do niego, że zachował się niegrzecznie. Wspomnienie ich ostatniego spotkania sprawiło, że zmienił swoje nastawienie. Angelina pokazała wtedy swoją drugą twarz, wcale nie była taka próżna i zapatrzona w siebie. – Gdzie byłaś, i dlaczego opuściłaś miasto nic nie mówiąc o tym Caroline?

– Nie byłam tu mile widziana.

– To ty tak uważasz. Daj futro. – Pomógł jej zdjąć okrycie, a następnie odwiesił na stojący przy wejściu wieszak. Razem weszli do salonu.

Angelina rozejrzała się po pomieszczeniu, przypominając sobie swoją ostatnią obecność w tym miejscu. Od tego czasu niewiele się zmieniło, chociaż... Tak, to rzucało się w oczy. Cierpienie Lucasa było aż nazbyt widoczne – dwa duże zdjęcia Bennettówny ozdabiały jedną ze ścian, a całe mnóstwo mniejszych fotek poprzyczepiano w różnych miejscach, nie omijając również okien. Nawet na blacie wyspy, oddzielającej część wypoczynkową od kuchennej, leżał ich cały plik. Angelina podeszła bliżej i wzięła do ręki kolorowe fotografie. Piknik Założycielek, Barbara w różowej, epokowej sukni.

– Zostaw to. – Wyszarpnął zdjęcia z jej rąk.

– To straszne, że jej już nie ma. – Popatrzyła na niego. Zobaczyła z jaką tkliwością wpatruje się w wizerunek

uśmiechniętej Barbary. – Naprawdę ją kochałeś.

– A myślałaś, że udaję? Kochałem ją najbardziej na świecie. Właściwie pokochałem ją od pierwszego wejrzenia. Miała coś takiego w swoim spojrzeniu... Czuję się przy niej sobą. Wreszcie znowu byłem sobą. Dla niej byłem gotowy na wszystko.

– No to powinieneś mieć więcej wyrozumiałości dla mnie – zauważyła ze smutkiem. – Ja to samo czuję do ciebie.

– Nie mów tak. – Odłożył plik fotek na blat i podszedł do okna. Prawą dłonią pogładził zdjęcie przedstawiające zamyśloną twarz Barbary. – Ja do ciebie nigdy nic nie czułem. Byłaś dla mnie tylko uczennicą. Nikim więcej... Moje serce należało i należy wyłącznie do niej.

– Aż zbyt dobrze dałeś mi to odczuć.

– Nie wracajmy do tego. Straciłem ją i nie wiem, jak dalej będę żyć. Na razie to wszystko jest zbyt świeże. Czasem budzę się i myślę, co będziemy dziś robić razem, gdzie pójdziemy... A wtedy przypominam sobie, że już nic nie zrobimy razem, że już nigdy nie będzie nas... To tak, jakby ktoś wyrwał mi serce. Już nie chcę tej wieczności, już nie chcę tej męczarni.

– Ja też jestem sama. – Przesunęła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu. W pierwszej chwili chciał ją strząsnąć, ale się powstrzymał. Widział myśli Angeliny i wiedział, że była całkiem szczera. – Wróciłam, bo wiem, że mnie potrzebujesz. Może jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale tylko ja mogę ci pomóc, bo tylko ja na-

prawdę cię kocham. Kocham cię bezwarunkowo, po prostu za to, że jesteś. Wiem, że jeszcze zbyt wcześnie, abyś mógł pomyśleć o mnie cieplej, ale pamiętaj, że jestem tu i zawsze będę. Poczekam jak długo będzie trzeba, w końcu mam przed sobą całą wieczność. – Wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go prosto w usta.

– Angelino. – Cofnął się o krok.

– Nic nie mów – szepnęła. – Jestem pewna, że kiedyś poczujesz do mnie to, co ja do ciebie.

– Czy ty sama się słyszysz! – krzyknął. – Barbara dopiero co umarła, a ty przyjeżdżasz tu, aby powiedzieć mi, że mnie kochasz i będziesz na mnie czekać? To nie ciebie kocham, nie z tobą chcę być! Ty dla mnie nic nie znaczysz! Nic! Jesteś mi całkowicie obojętna! Nigdy nie poczuję do ciebie tego, co do Barbary! Nie jesteś nią do cholery! Nie jesteś!

– Co tu się dzieje? – Do pokoju weszła Caroline i zatrzymała się widząc blondynkę. – Angelina? Wróciłaś? – Zaskoczenie panny Westmoore było aż nazbyt widoczne.

– Mój powrót niezbyt was ucieszył – Angelina wzruszyła ramionami i spojrzała na Caroline – ale faktycznie wróciłam.

– Martwiłam się o ciebie. Gdzieżeś do licha była? – Blondynka postąpiła w jej stronę. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co powinna zrobić, jak zareagować.

– A czy to istotne? Nie chcieliście mnie tutaj, to zesłałam wam z oczu. Powinniście się cieszyć.

– Mylisz się kochana. – Wolno dobierała słowa. –

Nigdy nie powiedziałam, ani nie dałam ci odczuć, że nie jesteś tu mile widziana. Troszczyłam się o ciebie, byłaś członkiem mojej rodziny. Owszem, może nie zachowałam się w porządku, gdy dowiedziałam się o twoim romansie z Roderickiem, ale było to wynikiem mojej troski o ciebie. Nie chciałam, aby cię skrzywdził, a byłam pewna, że tak się stanie. Zachowałam się głupio idąc z nim do łóżka. Wiem, osądziłam cię, nie pozwalając ci nawet się wytłumaczyć, ale to tylko dlatego, że poczułam się jak matka, która przyłapuje swoje dziecko na czymś zakazanym.

– Wątpię.

– Gdy odeszłaś, zrozumiałam, że popełniłam błąd. Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo się bałam, że sama sobie nie poradzisz? Nie byłaś na to przygotowana. Jak rozwiązałaś problem picia krwi? Nie zrobiłaś czegoś głupiego?

– Możesz być spokojna, pamiętałam twoje opowieści z Benacantil i skorzystałam z podobnego sposobu. Płaciłam pewnemu rakarzowi, a on dostarczał mi bezpańskie zwierzęta. Może to niezbyt wykwintny posiłek, ale jednak gasi pragnienie. Jestem bardziej obrotna, niż myślisz. Potrafię się o siebie zatroszczyć. Wizja, którą mi kiedyś pokazałaś, nigdy się nie spełni.

– Dobrze, że wróciłaś. – Caroline, z westchnieniem ulgi, objęła Angelinę. – Powinniśmy trzymać się razem. Już dość straciliśmy. Roderick i Barbara...

Na dźwięk imienia Barbary, Lucas wyminął dziewczyny i wyszedł z salonu. Bez słowa udał się na górę do swego pokoju. Angelina wyswobodziła się z objęć panny

Westmoore i wzrokiem odprowadziła mężczyznę. Caroline bez trudu, już po samym spojrzeniu blondynki, zorientowała się, o co chodzi, a gdy zajrzała do jej umysłu, tylko się w tym utwierdziła. No tak, nic się nie zmieniło, Angelina nadal jest beznadziejnie zakochana w Lucasie.

– Dla niego to zbyt wcześnie – powiedziała cicho, ale bardzo wyraźnie. – Nie wymagaj, aby o niej zapomniał. To pierwsza kobieta, którą naprawdę pokochał. Będzie cierpiał i nikt nie ukoi jego bólu. Nikt, nawet ty. Nawet nie próbuj...

– Chcę tylko być przy nim. Kiedyś zrozumie, a wtedy...

– Mam nadzieję... Naprawdę bym chciała, aby mógł być jeszcze kiedykolwiek szczęśliwy. Oddałabym za to wszystko.

– Będzie – obiecała Angelina. – Dlatego wróciłam.

* * *

Myśli Barbary przez cały czas były skoncentrowane na tym, co wydarzyło się w nocy. Raz za razem wspominała chwile spędzone w ramionach Rodericka i chociaż bardzo się starała, nie potrafiła wykrzesać w sobie jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Wręcz przeciwnie – wiedziała, że bez chwili wahania powtórzyłaby to wszystko ponownie.

Czasami we wspomnieniach pojawiał się Lucas, ale był tak odległy, tak nierealny... Nie chciała o nim myśleć, nie chciała się przejmować. Kochała Rodericka i to jego pragnęła. Dla niego byłaby gotowa na każde poświęcenie.

Ach, te jego silne ramiona, te oczy, w których głębi można się zatracić... Pamiętała każdą, najdrobniejszą bliznę na jego ciele. Marzyła, aby się do niego przytulić, aby czuć jego pocałunki...

Nie kochał jej, nie odwzajemniał jej uczuć – tego była pewna. Bardzo wyraźnie dał jej o tym znać dziś rano, po przebudzeniu. Dla niego był to tylko czysty seks, nic więcej... Dla niej to było wszystko. Oddała się mu, nie dlatego, że potrzebowała bliskości kogokolwiek, ale dlatego, że to właśnie był on. Była z Lucasem tyle czasu i nigdy nie posunęli się dalej niż kilka niewinnych pocałunków. Jakoś instynktownie rozumiała, że to nie jest ten właściwy mężczyzna. Czuła coś do niego, ale to jednak nie była miłość. Teraz miała już stuprocentową pewność. Lucasa kochała jak brata, jak najlepszego przyjaciela, nie jak Rodericka...

W milczeniu zjadła śniadanie, zerkając ukradkiem na Robillarda, zajętego ostrzeniem znalezionej w chacie sztyletu. Obserwowała jego pochyloną sylwetkę, jego włosy opadające na czoło i oczy. Tak mocno zaciskał wargi, jakby był strasznie zdenerwowany. Może jest zły na siebie, że się z nią przespał? Może żałuje? Może jest aż tak mu obrzydła?

Gdy wyszedł na polowanie, odetchnęła głęboko. Położyła się na łóżku i patrząc w stronę rozpalonego pieca, znowu pograżyła się we wspomnieniach ostatniej nocy. Nawet nie spostrzegła, kiedy zasnęła.

Ciemnowłosy, potężny mężczyzna, ubrany w białe,

zwiewne szaty, zjawił się nagle – tak jakby po prostu wyłonił się z ciemności i podszedł do łóżka, na którym spała. Stał przy jej głowie. W jego oczach migotały odblaski, płonących płomieni.

– Barbaro. – Wyciągnął dłoń i dotknął jej ramienia. – Barbaro.

Gwałtownie usiadła, odzyskując świadomość. Mrugała powiekami, chcąc się pozbyć resztek snu. Znała skądś tego mężczyznę!

– Co pan tu robi? – krzyknęła w popłochu.

– Spokojnie, to ja. – Uśmiechnął się do niej, a jego uśmiech podziałał na nią niezwykle kojąco. Wszystkie obawy gdzieś zniknęły. – Poznaliśmy się w innym świecie, chociaż tak naprawdę znamy się dużo dłużej.

– Kim pan jest? – zapytała już spokojniej.

– Kiedyś ci powiem, a na razie myśl o mnie jak o przyjacielu. – Usiadł na brzegu łóżka, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Położył dłoń na ręce dziewczyny. – Musisz słuchać swego serca, ono jest najmądrzejsze. Wsłuchaj się w nie i podążaj za jego rytmem.

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Nic na świecie nie dzieje się bez przyczyny. Każda, najdrobniejsza rzecz jest elementem większej całości. To, że narodziłaś się, jak i to, że znajdujesz się teraz w tym miejscu, zostało zapisane w gwiazdach już bardzo dawno temu. Twoje przeznaczenie Barbaro... Nie odrzucaj go, nie walcz z nim. Niech serce cię prowadzi, bo ono najlepiej zna drogę.

Drzwi do chaty otworzyły się i do środka wszedł Roderick. Barbara na moment spojrzała w stronę Robillarda, a gdy ponownie przeniosła wzrok na swojego rozmówcę, zauważyła, że miejsce, które przed chwilą zajmował, było puste.

– Gdzie... – chciała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle. Zamknęła oczy, przerażona głośnym biciem swego serca. Bum, bum, bum, bum... Ten dźwięk zdawał się rozsadzać jej czaszkę. Taki wyraźny, dudniący. Bum, bum, bum... Uniosła obie dłonie do głowy, zatykając uszy, ale to nie pomogło. Hałas stawał się nie do wytrzymania.

Krzyknęła, próbując zagłuszyć ten przeraźliwy dźwięk, i otworzyła powieki. Leżała na łóżku, w tym samym miejscu, gdzie się położyła. W chacie nie było nikogo więcej: ani tajemniczego nieznajomego, ani Rodericka.

Przyłożyła dłoń do serca i wsłuchiwała się w jego spokojne bicie. Sen. Kolejny sen z pogranicza jawy. Cóż za okropne przeżycie. Dlaczego rozum płata jej takie figle?

Roderick wrócił bardzo późno. Nie miała zegarka, aby odmierzać godziny, ale była pewna, że musiało minąć dużo czasu od jego wyjścia, gdyż kilkakrotnie dokładała drwa do ognia i zjadła posiłek, szumnie nazwany obiadem. Pieczone mięso jakiegoś zwierzęcia, którego nazwy nawet nie знаła, a które było dość twarde i niesmaczne; stawało jej w gardle, ale instynkt przetrwania zmuszał ją do pochłaniania kolejnych kęsów. Zapasy puszek kurczyły się w zatrważająco szybkim tempie, a przecież czekało ich jeszcze wiele dni na tym pustkowiu.

Kolację także zjadła w samotności, a później usiadła w pobliżu pieca i tak jak to miała w zwyczaju, zapatrzyła się w płomienie. Maluszek znowu zaczął rozrabiać, więc odsłoniła brzusek i gładziła go w tym miejscu, gdzie akurat otrzymała lekkiego kuksańca. Jej twarz rozpromieniła się dziwnym blaskiem, pełnym czułości i macierzyńskiego ciepła. Ile jeszcze czasu zostało do porodu? Który to może być miesiąc? Do tej pory się nad tym nie zastanawiała, ale brzuch rósł jej coraz szybciej i stawał się bardziej widoczny – już nie mogła go ukryć. Gdy ją porwali, była w trzecim miesiącu. Być może teraz jest w piątym, szóstym... Tyle się wydarzyło...

Powrót Rodericka przerwał jej rozmyślenia. Mężczyzna wszedł do chaty i rzucił na stół dużą rybę. Spojrzała na niego i aż krzyknęła. Jego flanelowa koszula i grube spodnie były całe sztywne od lodu. Czarne włosy Robillarda pokrywały małe, zamarzniete kropelki wody, wyglądające niczym rozsypane diamenty.

– Co się stało? – Podniosła się i podeszła do niego.

– Łowiłem ryby – burknął niechętnie, starając się rozpiąć zamarzniete guziki. Szło mu to dość nieporadnie, jako że ręce miał także zgrabiałe od mrozu.

– Ryby? Jakżeś to robił? – zaciekawiała się i mimo sprzeciwu mężczyzny sama zabrała się za rozpinanie guziczków jego koszuli. Zimny materiał ziębił jej palce, ale nie zwracała na to uwagi. Sprawnie poradziła sobie z opornymi zapięciami. Nie mogła oprzeć się pokusie i niby od niechcienia musnęła palcami odsłoniętą pierś

Rodericka. Był taki lodowaty.

– Dziękuję – odwrócił się od niej i zdjął koszulę. – Nurkowałem w przerębli – odpowiedział tak, jakby było to coś najnormalniejszego w świecie.

– Nurkowałeś w przerębli ? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Ryby są bardzo zdrowe. – Wzruszył ramionami. – Musisz się dobrze odżywiać. – Wszedł za parawan, aby się rozebrać dalej i obmyć w ciepłej wodzie.

Stała niezdecydowana po środku pokoju i patrzyła raz na leżącą na stole rybę, raz na parawan, zasłaniający Robillarda. Dla niej tak ryzykował. Chciał, aby się dobrze odżywiała. Zależy mu? Czyżby mu zależało? Wspomnienie wspólnej nocy wróciło ze zdwojoną siłą. Ten dotyk... Pragnęła go całą sobą.

Przymknęła oczy, chcąc pozbyć się tego obrazu, ale w tej chwili usłyszała głośnie bicie swego serca. Takie samo jak we śnie. Bum, bum, bum... Słuchaj głosu swego serca?

Przyłożyła dłoń do zawieszzonego na szyi talizmanu i zacisnęła palce na wisiorze. Teraz patrzyła już tylko na parawan, zza którego widoczna była głowa i ramiona Rodericka. Zdecydowanym ruchem przełożyła amulet na plecy i rozpiąwszy guziczki swojej koszuli, podeszła do mężczyzny.

Bum, bum, bum... Obie dłonie położyła na jego plecach. Odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

– Barbaro...

– Ciii – uciszyła go, pospiesznie zsuwając ze swoich ramion koszulę. Stała przed nim naga i drżąca, ale nie czuła wstydu.

Patrzył na nią z zaskoczeniem doskonale widocznym na twarzy. Grudki lodu oszraniające jego włosy zaczęły się roztopiać i jako krople wody skapywały na ramiona i klatkę piersiową. Obserwowała drogę takiej kropli, wstrzymując oddech.

– Czego ty ode mnie chcesz? – krzyknął.

Nie odpowiedziała, tylko wspięła się na palce i przywarła ustami do jego warg. W pierwszej chwili chciał ją odepchnąć, ale coś wewnątrz duszy, powstrzymało go przed tym. Wbrew rozumowi odwzajemnił pocałunek. Żar namiętności wybuchł ze zdwojoną siłą. Nie miał siły z tym walczyć. Nie zastanawiał się, dlaczego, ani co kierowało Barbarą. Jego marzenia właśnie stawały się rzeczywistością. Co z tego, że później będzie czuł wyrzuty sumienia? Co z tego, że to niewłaściwe? A niech piekło pochłonie Ziemię! Niech ogień piekielny strawi wszystko!

Podniósł ją na ręce i przeniósł na łóżko. Przytuliła się do niego, obejmując prawą ręką szyję mężczyzny. Lewą dłonią gładziła jego blizny. Ogrzewała go swoim ciepłem. Położył ją ostrożnie na pościeli i uniósł nad nią. Nie potrafił odmówić czegoś, czego sam pragnął. Nawet, jeśli to dla niej tylko seks, nic więcej. Dla niego to było wszystko. Chociaż tyle mógł mieć. Chociaż tyle...

* * *

Leżeli koło siebie, wtuleni w swoje ciała, zasłuchani

w bicie swoich serc. Nawet jeśli to nic nie znaczyło, to było piękne. To, co kiedyś utracił, znowu stało się rzeczywistością. Czy będzie potrafił żyć, kiedy ponownie mu to odbiorą? Czy zdoła podnieść się po kolejnej stracie?

Jego wieczna miłość... Zaprawdę nic nie mogło ich rozdzielić. Pokonali czas i śmierć. Znowu są razem, choć jednak osobno. Ale ta chwila trwa, jest tu teraz. To wszystko, za czym tęsknił, o czym marzył. Sens istnienia i pragnienie bycia człowiekiem. Gdyby tak czas stanął w miejscu? Właśnie ta chwila trwająca wieczność?

Zaciągnął się jej zapachem, muskając wargami jej długie włosy.

– Kiedyś w nocy śniłeś mi się – szepnęła. – Miałam wrażenie, że jesteś obok mnie i całujesz moje włosy.

– Dziwne masz sny – odpowiedział, nie zdradzając, że to była prawda.

– A ja tobie nigdy się nie śniłam? – zapytała, niby od niechcienia.

– Ty? Nie – skłamał. – Pewnie śnisz się komuś innemu, kto cię kocha.

Westchnęła cicho. Jego słowa ją raniły, ale przecież sama się o to prosiła. Wiedziała, że on nic do niej nie czuje, a mimo to chciała się z nim ponownie kochać. Przystąpiła na układ mówiący tylko o czystym seksie, bez miłości. Ale jak pozbyć się uczuć? Jak je w sobie zdusić?

– Ojej – nagle roześmiała się, wprawiając go tym w zdziwienie. Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Co cię tak bawi?

– Daj rękę! – Chwyliła jego dłoń i przyłożyła do swojego brzucha. Poczłł coś dziwnego, jakby jakiś ruch z głębi jej ciała.

– Co to? – Uniłł się do pozycji siedzącej i patrzył na jej brzuch. Nadal trzymała jego rękę przyciśniętą do ciała i zaśmiewała się radośnie.

– Dżidziłł – powiedziała w końcu. – Od kilkunastu dni go czuję, ale teraz dał prawdziwy popis. Może czuje, że tatuś jest obok i chce się przywitać.

Tatuś? Dopiero po fakcie dotarłł do niej, że nie powinna tego mówić. On nie chciał tego dziecka, nie uważał się za jego ojca. Stał się nim przez przypadek. To Lucas będzie jego ojcem. Tylko Lucas. Zmieszała się i chciała coś powiedzieć, załagodzić sytuację, ale spostrzegła, że to wyznanie wywarłł na Rodericku niespodziewane wrażenie. Twarz mężczyzny była dziwnie rozpromieniona, uśmiechnięta, jego oczy błyszczwały ciepłym blaskiem, a dłłł, którą dotykał jej brzucha, czule gładziła skłłrę.

– To nasze dziecko? – zapytał cichutko, tak cicho, że ledwie go usłyszala.

– Tak – potwierdziła.

– Dziecko – powtłłrzył, pochylając głłwę nad jej brzuchem. Jego wargi dotknęły niewielkiego wybrzuszenia, widocznego pod skłłrą.

Czy mogła pragnąć czegoś więcej? Była tu, w tej opuszczonej, zagubionej wśród śniegów Alaski chacie, wraz z mężczyzną, którego kochała ponad życie i dzieckiem, które było ich częścią. Łzy mimo wolni po-

jawiły się w jej oczach, ale były to łzy szczęścia.

Roderick uniósł wzrok na nią, a uśmiech widoczny na jego twarzy powoli gasł, aż zupełnie zniknął. Płakała... Nie chciała tu z nim być. Nie chciała mieć z nim dziecka. To nie on jest jej ukochanym. Może próbować się oszukiwać, udawać, ale nigdy nie zdobędzie jej serca. To, czego pragnął, nigdy się nie spełni. Jest sam, już na zawsze.

* * *

Angelina stała na wprost portretu Elizabeth i przechyliwszy głowę na bok, przyglądała się żonie Rodericka. Elizabeth... Tak, naprawdę nią była. Wiedziała o tym, a teraz jej umysł odzyskiwał wspomnienia dostępne tylko pani Robillard. Jakby odsłaniał odcisnięty przypadkowo ślad.

Nie miała pojęcia, jak to się stało, ale była pewna, że przez chwilę nią była. Czowała się jak ona, wiedziała to co ona... To w niej zostało. Może początkowo nie potrafiła tego zrozumieć, ale jednak zaszła w niej jakaś zmiana. Na lepsze?

Na pewno, to że zdecydowała się zadzwonić do matki, było wynikiem tego dziwnego stanu. Nigdy, przenigdy nie brała pod uwagę możliwości skontaktowania się z Red Sun, jak nazywała swoją rodzicielkę. Pierwszy raz od kilkunastu lat, widziała matkę i rozmawiała z nią. Może nie były to kontakty pełne uczucia, ale zawsze stanowiły jakiś postęp w ich wzajemnych relacjach. Przez kilka tygodni żyły pod jednym dachem i jakoś się tolerowały. Owszem, może nie zwierzały się sobie i nie były najlepszymi przy-

jaciólkami, ale jednak nie toczyły bezustannych sprzeczek. Dodatkowo, gdy Angelina zdecydowała się wrócić do Elizabeth Town, Red Sun odwiozła ją swoim samochodem na lotnisko i chociaż nie opuściła limuzyny, nie chcąc stać się obiektem powszechnego zainteresowania, to jednak zanim córka wysiadła, złapała ją na moment za przegub ręki i powiedziała coś, co bardzo zaskoczyło pannę Stewart.

– Cieszę się, że wreszcie mogłyśmy się spotkać. Może nie byłam idealną matką, ale to nie znaczy, że nie chciałam nią być. Po prostu nie potrafiłam. Myślałam, że będzie ci lepiej będąc wraz z ojcem, z dala od tego świata, który stał się moim domem. Wybrałam życie, które wcale nie jest takie cudowne, jak się niektórym wydaje. Muszę ciągle udawać kogoś, kogo nawet nie lubię. Nie jestem Red Sun, to tylko maska. Żałuję, że nie poznałaś mnie takiej, jaką jestem naprawdę.

– Twój wybór. – Wyszarpnęła rękę. – Jeśli wolałaś karierę od rodziny, to ja już na to nic nie mogę poradzić. Baw się dobrze.

Wysiadła z samochodu, ale czuła żal, że powiedziała matce coś takiego. Może, gdyby zareagowała inaczej na to wyznanie, ich stosunki uległyby dalszej zmianie? Może mogłyby poczuć więź je łączącą?

Prawdziwa Angelina nie przejmowałaby się czymś takim, nawet nie zwróciłaby na to uwagi, ale ta Angelina, która przez chwilę była Elizabeth, czuła i rozumiała znacznie więcej.

– Naprawdę myślisz, że nią byłaś? – Caroline zeszła z góry po schodach i zatrzymawszy się na jednym ze stopni, oparła dłonie o balustradę. Uważnie patrzyła na Angelinę.

– Kim? – W pierwszej chwili nie zrozumiała, ale po chwili dotarło do niej, że koleżanka mówi o Elizabeth.

– Tak. – Skinęła głową. – Wiem, że brzmi to trochę nieprawdopodobnie, ale jestem pewna, że przez chwilę byłam nią... To nie ja kochałam się z Erickiem, to była ona. Nie wiem, jak to się stało, ale to była ona. Czułam całą jej miłość i desperację. To tak, jakby chciała odzyskać coś straconego.

– Co jeszcze pamiętasz?

– Niewiele. Są to raczej urywki wspomnień. Pamiętam noc i śnieg... Samochód stojący przy cmentarzu... Bardzo jej zależało, aby tam pojechać. I rozmawiała z jakimś mężczyzną. A wcześniej była u Lucasa. Wtedy spojrzał na nią inaczej, bo była inna niż ja.

– Co robiłaś w nocy koło cmentarza? – zainteresowała się Caroline. – I co to za mężczyzna?

– Nie wiem. Naprawdę tego nie wiem. Ona chciała coś zrobić, nie chciała opuszczać mojego ciała, a on ją namawiał. Tak bardzo pragnęła zostać. Martwiła się, że nie pomoże swojemu ukochanemu. Myślała o nim cały czas. To taki ogrom miłości.

– I nigdy już nie będą razem... – Panna Westmoore puściła poręcz i wolnym krokiem pokonała kilka ostatnich schodków. Podeszła do Angeliny i stając obok niej, rów-

nież spojrzała na portret. – Kiedyś sprawiłam, że się rozstali, ale myślałam, że to tylko chwilowa rozłąka. W swojej wizji widziałam szczęście. Mieli być znowu razem... Pomyliłam się. Umarła przeze mnie, a ja na to pozwoliłam. Nie zatrzymałam jej, kiedy mogłam, i przez moją ambicję zginęła Barbara.

– Czy myślisz, że Lucas o niej zapomni? – zapytała.

– O Barbarze? Nigdy. On ją naprawdę kochał.

– A czy będzie mógł pokochać mnie?

– Chciałabym... Będzie taki samotny, gdy ja odejdę...

– Odejdiesz? – Angelina żywo się zainteresowała. –

Chcesz wraz z Adamem wyjechać stąd?

– Nie z Adamem. Sama. – Smutny uśmiech pojawił się na ustach Caroline. – Obiecałam i muszę dotrzymać słowa. Właściwie już powinnam odejść, ale nie mogę zostawić Lucasa.

– A Adam?

– On jest człowiekiem, jemu będzie łatwiej...

– Chcesz rzucić na niego urok?

– To będzie konieczne. Raz już to zrobiłam... Adam musi być szczęśliwy.

– A ty Caroline?

– Moje szczęście nie jest istotne. Zrobiłam tyle złych rzeczy... Nie zasługuję na nie.

– Czy Lucas o tym wie?

– Gdyby wiedział, starałby się mnie zatrzymać, a ja nie mogę złamać danego słowa. Moje przeznaczenie jest w Benacantil.

– Czyli koniec?

– Może chociaż wy zaznacie trochę szczęścia. – Caroline ujęła dłoń Angeliny i ścisnęła ją. – Z całej mojej rodziny tylko wy dwoje...

* * *

Ciotka Alena weszła do pokoju Barbary i zamknawszy drzwi, oparła się o nie plecami. Smutnym wzrokiem potoczyła po pomieszczeniu. Wszystko zostało tu tak, jak było w momencie, gdy Barbara wychodziła na bal. Na krześle wisiał jej szlafrok, a na biurczku leżała szczotka, którą czesała włosy. Zdawało się, że właścicielka tego pokoju, wróci lada moment i dokończy lekturę czytanej ostatnio książki, która leżąc na łóżku grzbietem do góry, nadal na nią czekała.

Jednak Barbara już nie wróci. Już nigdy nie przekroczy progu tego pokoju. Nie usiądzie przy biurku i nie położy się na łóżku. Spędziła tu tylko kilka miesięcy, ale Alena miała wrażenie, że była z nią całe życie. Przyzwyczaiła się już do tej nieśmiałej dziewczyny, która pragnęła tylko odrobiny miłości. Może była dla niej zbyt oschła? Może nie poświęcała jej wystarczająco dużo czasu? Nie przejęła się zbyt zabięciem jej psa, a powinna okazać więcej współczucia. Nawet po śmierci Nata nie była dla niej oparciem. Uważała, że surowością i bagatelizowaniem problemu, odniesie lepsze rezultaty. Myliła się. Teraz to wiedziała, ale już nie mogła cofnąć czasu.

Podeszła do łóżka i wzięła do rąk książkę.

– Carlos Ruiz Zafon „Cień wiatru” – odczytała napis

na okładce. Ostrożnie spojrzała na stronę, na której Barbara zakończyła czytanie. – „Zadziwiające, jak osądzamy bliższych, nie zdając sobie sprawy z podłości naszego lekceważenia, dopóki ich nam nie zabraknie, dopóki nie zabiorą ich nam. Zabierają, bo nigdy do nas nie należeli...”.[1]

Odłożyła książkę na swoje miejsce, rozmyślając nad przeczytanymi słowami. To było takie prawdziwe, jakby odnoszące się do jej życia... Czyżby Barbara przypuszczała, co ją czeka? Nie! Skądże! Niemożliwe!

– Tu jesteś ciociu? – Do pokoju zajrzał Adam.

– Tak. – Powoli odwróciła się w jego stronę.

– Nie powinnaś tu przychodzić. – Ze smutkiem rozejrzał się po pokoju. – Tutaj ma się wrażenie, że ona ciągle żyje... Ten pokój zdaje się na nią czekać.

– Też tak to odbieram. Gdy tu wchodzę, czuję jej obecność...

– Może powinniśmy sprzątnąć jej rzeczy? – Wycofał się na korytarz, nie miał siły dłużej tu przebywać. Dopóki tu nie wchodził jakoś sobie radził, gdy jednak zaglądał do tego pokoju, jeszcze bardziej odczuwał jej brak.

– Jeszcze nie teraz. – Ciotka podążyła za nim i zamknęła za sobą drzwi. – Mamy czas. Poczekajmy...

– Na co ciociu? Barbara odeszła...

– Tak długo jest z nami, jak długo pamiętamy. Niech ten pokój nadal czeka na nią. Niech nadal będzie tak, jakby jeszcze miała wrócić.

[1] *Carlos Ruiz Zafon, Cień wiatru, Izzak Monfort (Miasto Cieni, 1954, 44) ZAGUBIONE SERCA*

Szkoła wydawała się Angelinie zupełnie innym miejscem niż kiedyś. Niby ci sami uczniowie, te same klasy, znajomi nauczyciele... Jednak nic nie było takie samo. Nic! Brakowało czterech osób: Nathaniela, Barbary, Caroline i Lucasa... Bez Westmoora zajęcia z historii przestały być już takie zajmujące. Nowy nauczyciel, tęgi, łysy mężczyzna o czerwonej, nalanej twarzy, z ogromną brodawką zdobiącą jego podbródek, nawet w jednej dziesiątej nie umywał się do Lucasa. Dodatkowo przemawiał tak monotennie, w sposób nużący i usypiający, że przebrnięcie przez jego lekcję było nie lada wyczynem.

Flo nie okazała radości z powrotu Angeliny, przez te dwa miesiące znalazła sobie nowe towarzystwo i nie zamierzała z niego rezygnować. Wszystkie przerwy spędzała w towarzystwie Zaca, który nie odstępował jej nawet na krok, zupełnie ignorując przy tym obecność panny Stewart. Nikt już nie podziwiał Angeliny, nikt nie zabiegał o jej akceptację i to bynajmniej nie z powodu Caroline, gdyż Westmoorówna, nie wróciła do szkoły – zakończyła już swoją edukację.

Angelina czuła się trochę wyobcowana. Straciła nawet najzagorzalszych wielbicieli, którzy zawsze zachwycali się jej wyglądem, tabuny chłopców nie ustawiały się już w kolejkę, aby z nią porozmawiać. Mijała kolegów na korytarzu uśmiechając się do nich, a oni odwzajemniali uśmiech i szli dalej, nawet nie przystając na moment.

Zapomnienie boli. Wystarczyły dwa miesiące, aby przestała cokolwiek znaczyć, aby stała się nikim – zwykłą,

normalną dziewczyną. A przecież nie była taka jak inne, miała sekret, który kryła na dnie swojej duszy. Czuła swoją odrębność bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Wreszcie do niej dotarło, że świat ludzi, to już nie jest jej miejsce. Te wszystkie osoby przeminą, odejdą w zapomnienie, a ona będzie nadal tak samo piękna i młoda jak teraz. Już nie musiała udowadniać, że jest kimś lepszym, po prostu nim była.

Jadąc do szkoły i wracając po lekcjach do domu, miała czas na rozmyślanie o swojej przyszłości. Niezwykle długiej przyszłości. Teraz, gdy nie było już Barbary, jej miłość do Lucasa mogłaby wreszcie zostać odwzajemniona. Na razie Westmoore unikał jej towarzystwa, pogrążał się w rozpacz, ale przecież kiedyś ta żałoba minie. Gdy zostaną sami...

Nie chciała przyspieszać biegu wydarzeń, postanowiła wyciszyć się i zwolnić tempo. Pośpiech nie był wskazany, a ona miała przecież tak dużo czasu. Całe mnóstwo. Skoncentrowała się na nauce, uznając, że tylko w ten sposób zagłuszy w sobie pragnienie bycia z Lucasem. Nie było łatwo, tym bardziej, że wszystko w szkole przypominało jej nauczyciela. Pracownia historyczna, korytarz, nawet parking przed szkołą. Czasem miała wrażenie, że za moment samochód Westmoora wyłoni się zza zakrętu i zaparkuje koło niej. Wyobrażała sobie taką chwilę, ale ona nigdy nie nastąpiła.

Caroline ze zdziwieniem obserwowała zmianę zachowania swojej podopiecznej. Miejsce upartej, zapa-

trzonej w siebie dziewczyny, zajęła miłą, sympatyczną, a co więcej uczuciową osobą, która przejmowała się losem innych, nie tylko swoim.

Wiele wieczorów przegadały razem, opowiadając o swoich wątpliwościach, tęsknotach, nadziejach. Angelina słuchała zwierzeń Caroline i pocieszała ją, gdy ta płakała. Rozstanie z Adamem było nieuniknione i zbliżało się z każdym dniem coraz bardziej. Na razie nie potrafiła rozmawiać na ten temat z Bennettem, ale wyczuwała jego obawy i była świadoma, że również i on się tym zadrecza.

Angelina wspierała Caroline, starała się jej wytłumaczyć, że może nie powinna dotrzymywać słowa danego Patronom, że miłość jest ważniejsza niż obowiązek, jednak Westmoorówna nie słuchała. Czuła się winna wszystkiemu i nie chciała, aby znowu ktoś przez nią ucierpiał. Uważała, że odchodząc, ocali swoich najbliższych, tych którzy jeszcze pozostali przy życiu.

Dni mijały tak szybko, a każdy kolejny nie przynosił niczego nowego. Z nastaniem marca, Alena Bennett zdecydowała się na wyprawienie Barbarze symbolicznego pogrzebu. Chciała uczcić pamięć dziewczyny, której życie zostało przerwane w tak brutalny sposób. Miało to być pożegnanie z Barbarą. Ostateczne i nieodwołalne.

Pusta, jasnobrązowa trumna, ozdobiona srebrnymi okuciami stała w kaplicy, przystrojonej specjalnie sprowadzonymi różami. To Lucas zamówił kwiaty i zadbał o wyjątkową oprawę uroczystości.

Przystrojone białym kwieciem ławki kaplicy, zapeł-

niły się szybko uczniami i nauczycielami szkoły, do której uczęszczała Barbara oraz zwykłymi mieszkańcami miasta. Każdy chciał wziąć udział w tym smutnym wydarzeniu. Historia porwania dziewczyny była znana każdemu, nawet lokalna telewizja ze Springfield przysłała swojego reportera.

Adam wraz z ciotką Aleną siedzieli w pierwszym rzędzie, wpatrując się pustym wzrokiem w katafalk. To był dla nich ciężki moment, dziś definitywnie i ostatecznie uznawali, że Barbara odeszła na zawsze. Nawet nie mogli pochować jej ciała, tak jak to było zwyczajowo przyjęte. Pusta trumna to wszystko, co mogli jej teraz zaoferować.

Caroline wspierała Adama, trzymając przez cały czas kurczowo jego dłoń w swoich rękach. Nie mówiła nic, bo słowa były zbędne. Liczyło się tylko to, że była tu z nim dzisiaj, i że czuł jej obecność.

Lucas... On jeden nie zajął siedzącego miejsca, chociaż takowe na niego czekało. Od razu po wejściu do kaplicy, skierował się do ołtarza i zatrzymał przy trumnie, na której ustawiono duże, kolorowe zdjęcie Barbary. Położył dłoń na chłodnym wieku i przez całą uroczystość nie wykonał najmniejszego ruchu. Stał niczym posąg, z wzrokiem utkwionym na fotografii, z twarzą ściśniętą ogromnym bólem. Wszyscy patrzyli na niego z zainteresowaniem, współczując mu bardzo jego straty. Nauczyciel, zakochany z wzajemnością w swojej uczennicy, rezygnujący dla niej z pracy i w tak dramatycznych okolicznościach tracący miłość swego życia.

Kwartet smyczkowy skończył grać suitę nr 3 Air Johanna Sebastiana Bacha i na mównicę wszedł szczupły, poważny, około pięćdziesięcioletni mężczyzna, będący pastorem. Przez chwilę milczał, jakby jeszcze wsłuchiwał się w przebrzmiałe takty muzyki.

– Drodzy bracia i siostry. – Powiódł spojrzeniem po zebranych w kaplicy. – Zebraliśmy się tu dzisiaj, aby oddać hołd pamięci, tragicznie zmarłej Barbary Bennett. Ta młoda, śliczna, radosna, pełna życia dziewczyna, tak niedawno pojawiła się w tym mieście, ale mamy wrażenie, jakby od zawsze była częścią naszej społeczności. Jej serdeczny śmiech jeszcze brzmi w naszych uszach. Jej drobna sylwetka, zdaje się przemykać przed naszymi oczyma. Któż z nas nie uronił łzy na wieść, jaki okrutny los został jej zgotowany? Cienka nić życia została przerwana w sposób tak dramatyczny. – Zawiesił głos, potęgując wrażenie jakie wywarły jego słowa. – Nasze łzy już nie zwrócą jej życia. Płaczemy, bo czujemy bezsilność, żal i ból. Płaczemy, bo nasze serca nie chcą się pogodzić z tą stratą. Barbara była pąkiem kwiatu, który nie zdążył rozkwitnąć. Była płomieniem świecy, targanym przez wiatr. Zgasła tak szybko.... Zbyt szybko... a przecież dopiero zaczynała swoją podróż przez życie. Miała tyle planów, marzeń... Los ciężko ją doświadczył. Nigdy nie poznała swojej matki, dwa lata temu straciła ojca, huragan Katrina odebrał jej dom. To u nas, w Elizabeth Town znalazła dla siebie przystań, to u nas odnalazła miłość swego życia. Może niektórzy z was, nadal burzą się, że jak to uczennica

i nauczyciel... Że to wstyd i hańba. Oskarżacie ich o niemoralność. Nie róbcie tego! Ja powiadam wam, miłość nie zna granic wieku, nie patrzy na pochodzenie, rasę, wyznanie. Miłość rozkwita w miejscach, o których nawet nie śnimy. Niczym ziarno, potrafi przyjąć się w najbardziej nieurodzajnej glebie. Nie potępiajmy tej miłości. Kochała i była kochaną. Uczucie to coś, co nadaje sens życiu. Jej życiu nadało. Dziś, gdy ona odeszła, on stoi u jej trumny. – Spojrzenie pastora spoczęło na milczącym Lucasie. – Jest tu z nią, a jego twarz wyraża wszystko. Miłość to największa z cnót, nie każdemu dano poznać jej prawdziwy smak. Oni ją poznali. Może ich uczucie trwało tylko chwilę, ale dla takiej chwili warto żyć. Jak możecie mówić, że to grzeszna miłość? Jak możecie ich potępiać? Bóg błogosławi tym, którzy się miłują. Bóg wybacza błędy. A czy miłość może być błędem? Spójrzcie na cierpienie tego mężczyzny i zajrzyjcie we własne serca. Tam znajdziecie odpowiedź. – Po kaplicy rozszedł się szmer rozmów, które jednak ucichły, gdy tylko pastor zaczął kontynuować swoje przemówienie. – Dziś żegnamy Barbarę Bennett: siostrę, wnuczkę, ukochaną, przyjaciółkę, zwykłą dziewczynę. Ten symboliczny pogrzeb, ma stanowić dla nas pomost pomiędzy światem żywych i zmarłych. Taki los czeka każdego z nas. Śmierć przychodzi i zabiera, jednych szybciej, innych później. Ją zabrała zbyt szybko. Możemy zadawać sobie pytanie – dlaczego? Po co to się stało? Jak Bóg mógł do czegoś takiego dopuścić? To boli i będzie boleć długo. Ten ból nie zniknie nigdy, na zawsze

pozostawi po sobie ślad. Wielu z was, uważa to za niesprawiedliwość, ale zapewniam was, że Bóg miał w tym swój plan. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Może trudno nam to sobie uzmysłwić, ale Ziemia to tylko pewien etap. Pojawiamy się tu, spełniamy powierzona nam rolę i odchodzimy tam, gdzie jest nasze miejsce – do domu Ojca. Barbara już tam jest i czeka na nas. Dobry Ojciec Niebieski tuli ją w swoich ramionach i osusza łzy. Wieczna szczęśliwość to nasze przeznaczenie. Podążając ścieżką prawdy, zbliżamy się ku niemu. To bolesne rozstanie nie jest ostateczne. Kiedyś znowu wszyscy będziemy razem. Nasz smutek i łzy, przemienią się w radość. Nie traćcie wiary, nadziei ani miłości. Pan jest naszym domem i drogowskazem. Pamiętajmy o słowach psalmu: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: orzeźwia moją duszę. Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię. Choćbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza. Stół dla mnie zastawiasz wobec moich przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest przeobfity. Tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia i zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy.”[1] Amen.

Zebrani w kaplicy podnieśli się z ławek i wraz z kapłanem odmówili modlitwę, jedynie Lucas milczał, nie reagując na żadne słowa. Jego zaciśnięte usta świadczyły

o desperacji. Angelina nie wytrzymała tego, nie zważając na gest Caroline, próbującej ją zatrzymać, podeszła do Lucasa i wzięła go pod ramię. Nie spojrział nawet na nią, ale pozwolił, aby go trzymała. Słowa pastora docierały do niego niczym przez gęstą mgłę. Znał ich znaczenie, ale nie zastanawiał się nad sensem. To wszystko było zbędne, bo i tak nie mogło przywrócić życia tej, którą tak kochał.

Adam wyswobodził swoją dłoń z uścisku Caroline i wyjmując z kieszeni złożoną na czworo kartkę papieru, podszedł do trumny. Stał przodem do zgromadzonych. Patrzyli na niego w milczeniu, wyczekując tego, co miał powiedzieć.

– Nie jestem dobrym mówcą – odezwał się cicho, ale odchrząknął i zaczął mówić głośniej. – Nie chciałem tu dziś wystąpić. Nie wiem, co powiedzieć, gdyż żadne słowa nie oddadzą tego smutku, który czuję. Barbara była moją siostrą... Moją jedyną rodziną. Teraz zostałem już całkiem sam. Pozwólcie, że zamiast przemowy, która i tak mi nie wyjdzie, przeczytam wam, wiersz napisany przez moją siostrę. Tak, niewielu z was wie o tym, że Barbara pisała. Lubiła przelewać na papier swoje odczucia, ale po śmierci naszego ojca zamknęła się w sobie. Ten wiersz jest jej ostatnim. Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad jego wymową, aż do teraz...

Gdy nadejdzie kres mych dni,
Kiedy droga skończy się,
Nie współczujcie wtedy mi
Ja zapadnę tylko w sen.

I nie płaczcie po mnie ludzie,
Którzy kochaliście mnie,
Wasz płacz już mnie nie obudzi
I nie słyhać go w mym śnie.
Nie żałujcie mego życia,
Jakie było każdy wie,
To co boli to przeminie,
To co rani, zniknie też.
Mnie nie będzie między wami
Lecz nie smućcie przecież się,
Pozostanę wspomnieniami...
Cicho sza... Ja tylko śpię...

Po wygłoszeniu wiersza w kaplicy zapanowała cisza, przerywana tylko pojedynczymi odgłosami. Adam złożył kartkę i schował ją do kieszeni. Odwrócił się w stronę trumny. Czule pogładził dłonią chłodne wieko, a następnie położył dłoń na ramieniu znajdującego się obok Lucasa. Westmoore spojrział na niego i skinął głową. Odsunęli się od katafalku, stając kilka kroków dalej. Przy akompaniamencie kwartetu smyczkowego, solistka zaproszona ze Springfield odśpiewała „Ave Maria” Bacha. Jej przejmująca interpretacja, wywołała łzy u wielu mieszkańców Elizabeth Town.

Czterech roślących pracowników domu pogrzebowego podeszło do trumny, a jeden z nich zdjął zdjęcie Barbary i postawił jej na ołtarzu, opierając o świecę. Jednocześnie unieśli lekką, pustą trumnę i oparli ją na ramionach, ustawili się na wprost wejścia. „Requiem” Mozarta poze-

gnało kondukt opuszczający kaplicę.

Tuż za trumną kroczył Lucas wraz z uczeptioną jego ramienia Angeliną. Panna Stewart nie puszczała go ani na moment, a on nie protestował. Pozwalał się prowadzić, tak jak małe dziecko. Nie zważał na spojrzenia zebranych, mijanych w drodze do wyjścia. Współczuli mu, ale on miał to gdzieś. Na co mu ich współczucie i żal? Czy to zwróci jej życie?

Za nimi postępowała ciotka Alena wsparta na Adamie, który drugą ręką ścisnął dłoń Caroline. Reszta mieszkańców szła w niedalekim odstepie od nich, szeptem komentując między sobą, tę całą, jakże wzruszającą uroczystość. Każdy z uczniów Elizabeth Town High School niósł w dłoni jedną, długą, białą różę. Flo przytulona do Zaca, Abel ze smutnie spuszczoną głową, całe mnóstwo innych młodych ludzi, którzy nawet nie zawarli znajomości z Barbarą. Wszyscy byli tu dzisiaj i wszyscy mieli w oczach łzy.

Drzwi kaplicy zamknęły się z głuchym łoskotem za ostatnim wychodzącym. Na pustym ołtarzu, oparta o zgaszoną świecę, pozostała fotografia Barbary. Nagle pomiędzy opustoszałymi ławkami pojawiła się dziewczyna w błękitnej sukni balowej. Wolnym krokiem posuwała się wzdłuż nawy, przystając na moment przy pierwszym rzędzie. Wyciągnęła dłoń i ostrożnie oberwała jeden z ozdobnych, białych kwiatów, którymi było udekorowane wnętrze.

– Gdyby oni wiedzieli – szepnęła, zbliżając się do oł-

tarza i kładąc różę koło zdjęcia Barbary. Jej twarz rozpromieniła się uśmiechem. Ona знаła prawdę.

* * *

Dźwięk dzwonka do drzwi, natarczywie przerywał ciszę panującą w domu Lucasa. Westmoore nie chciał dziś widzieć nikogo i miał zamiar zlekceważyć ten odgłos, ale osoba stojąca przed wejściem, chyba nie zamierzała tak łatwo zrezygnować.

– Zaraz! – krzyknął w stronę holu, nieporadnie podnosząc się z kanapy, na której leżał. Było to o tyle trudniejsze, że tuż po powrocie z cmentarza postanowił się upić do nieprzytomności i właśnie starał się spełnić swoje postanowienie. Pięć pustych butelek po wódce świadczyło o tym, że szło mu całkiem nieźle, a kolejne dziesięć jeszcze pełnych, dawało pewność, że jego plan się powiedzie. Nie tak łatwo spić wampira, ale próbować warto.

Potyając się o butelki, przewracając je na podłogę, wreszcie dotarł do holu i przytrzymując się ściany podszedł do drzwi. Przekręcił klucz tkwiący w zamku. Dzwonienie ustało, a próg mieszkania przekroczyła Angelina.

– I po coś tu przyszła? – Oparł się o ścianę, zdecydowanie tak czuł się pewniej.

– Coś ty z siebie zrobił? – Odpowiedziała pytaniem na pytanie, pospiesznie zamykając drzwi i obejmując go ramieniem.

– Nie potrzebuję pomocy – wybełkotał, ale dał się zaprowadzić z powrotem do salonu. Angelina podprowa-

dziła go do jednego z foteli i pomogła usiąść.

– Widzę. – Rozejrzała się po pokoju. – Jest gorzej niż myślałam.

– A czego się spodziewałaś? – Spróbował sięgnąć po leżącą nieopodal butelkę, ale uczynił to tak niefortunnie, że przewrócił się na podłogę.

– Lucas! – Dopadła do niego i dźwignęła do góry.

– Zostaw mnie! – krzyknął. – Wszyscy mnie zostawcie! – Złapał butelkę i odkręciwszy nakrętkę przytknął ją do ust. Pił łapczywie. Alkohol spływał mu po brodzie na koszulę, ale nie zważał na to. Odepchnął Angelinę od siebie, tak iż poleciała na przeciwległą ścianę.

– Nie zostawię cię. – Otrzepała się i ponownie podeszła do niego. Siedział na podłodze z opróżnioną już butelką w dłoni. Kiwał się w prawo i lewo, jakby zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością. Dookoła niego leżało pełno rozrzuconych zdjęć Barbary.

– Jej już nie ma! – Krzyknął, rzucając butelką przed siebie. Szkło uderzyło o kant wyspy oddzielającej część wypoczynkową od kuchennej i rozprysło się na tysiące kawałków. – Nie ma jej! A ja jestem! Dlaczego ja jestem?

– Może dlatego, że jesteś mi potrzebny? – Ukucnęła koło niego i położyła mu dłonie na ramionach. Zmusiła, aby spojrzął w jej oczy. – Wiem, że tego nie rozumiesz, ale ja naprawdę cię kocham. Nie potrafię wymazać ciebie z mego serca. Rozumiem, że może nigdy nie odwzajemnisz tego uczucia, ale już sama świadomość, że jesteś, że usłyszę twój głos, że cię zobaczę, dodaje mi sił. Nie od-

pychaj mnie ciągle. Pozwól mi przy tobie być. Nie chcę niczego więcej.

– Ale ja cię nie Kocham!

– To także wiem... – Objęła go i przytuliła do siebie. – Jesteśmy tacy sami. Ty straciłeś miłość swego życia, ja nigdy nie będę z tym, którego pragnie moje serce. Dobrana z nas dwójka.

– Ona odeszła – wyszeptał, tak jakby wcale nie słuchał jej słów. – Jej już nie ma... Nie ma...

Gładziła go po plecach, napawając się tą bliskością, której nigdy wcześniej nie zaznała. Marzyła, aby przyłgnąć do niego całą sobą, aby scałować łzy, które pojawiły się w jego oczach. Ale to by było zbyt szybko. Lucas nie był na to gotowy. Jeszcze nie teraz. Czas jest najlepszym lekarzem i potrafi zagoić najgorsze rany.

– Ciii – uciszyła go, kołysząc delikatnie w swoich ramionach. Ufnie oparł głowę o jej ramię i niczym zmęczony dzieciak, przymknął powieki. Spłynęła na niego dziwna błogość i spokój, o którym już prawie zapomniał.

Nie przestawała go kołysać, jednocześnie nucąc kołysankę, jaką w dzieciństwie śpiewał jej ojciec. Czowała jak ciało Westmoora odpręża się, jak napięcie i ból ustępują. Lucas kiedyś zrozumie, że są sobie pisani. Nic na świecie nie dzieje się bez przyczyny. Jej los był nierozzerwalnie spleciony z tym mężczyzną.

* * *

Dni tak szybko mijają, zbyt szybko. Roderick z niepokojem patrzył na coraz rzadsze opady śniegu, na

topniejące zaspę. Tu, w tym odciętych od świata zakątku, odnalazł to, za czym tak gonił, to czego szukał. Znowu miał rodzinę i dom. Nie chciał wracać do cywilizacji, do tego życia, które było mu sądzone. Barbara i dziecko... Teraz byli tak blisko, a wkrótce ich utraci. Wiedział, że to co połączyło go tu z Barbarą, jest tylko złudą, namiastką czegoś, co kiedyś mu odebrano, co pozwolił sobie odebrać. Nie miał do tego prawa, ale tak bardzo tego pragnął.

Od tamtej pamiętnej nocy, gdy myślał, że powtórnie ją straci, gdy nie słyszał bicia jej serca, wszystkie kolejne spędzili razem. Udawali bliskich sobie ludzi, spragnionych swojego towarzystwa i czułości. Niekiedy miał wrażenie, że to, co ich łączy, jest prawdziwe, ale zdawał sobie sprawę, że to tylko jego pobożne życzenie. Barbara kochała Lucasa i to z Westmoorem chciała spędzić resztę swego życia. Tuląc ją w ramionach, obsypując pocałunkami, będąc z nią jednością, zapominał o tym, ale gdy tylko odzyskiwał rozum i zdolność racjonalnego myślenia, rozumiał, że seks a miłość to dwie różne sprawy. Dla Barbary był tylko zabawką umilającą samotne noce i dni. Nie mógł liczyć na nic więcej.

Czasem leżał przy boku Barbary, z głową opartą o jej pierś i patrzył na jej poruszający się brzuch. Lubił te momenty. Barbara gładziła go po włosach, a on delikatnie głaskał skórę dziewczyny, wyczuwając pod palcami ruchy swojego dziecka. To uczucie nie było mu znane nigdy wcześniej. Nawet nie zdawał sobie sprawy z istnienia emocji temu towarzyszących. Wszystkie złe wspomnienia

odchodziły w niepamięć, a liczyło się tylko tu i teraz.

– Czy myślisz, że oni nas jeszcze szukają? – Tym pytaniem Barbara w dość brutalny sposób przerwała mu chwilę zadumy.

– Na pewno. Lucas, nigdy nie przestanie cię szukać – zapewnił poważniejąc. Wyprostował się i popatrzył na nią. W jego oczach dostrzegła lęk, którego wcześniej nie widziała. Usiadła gwałtownie na łóżku, otulając się kocem.

– To już niedługo prawda? – zapytała szeptem, po chwili żałując, że zadała to pytanie.

Zamiast odpowiedzieć skinął tylko głową.

– Jesteś dla niego wszystkim.

– Lucas... – wolno wymówiła jego imię. Już prawie zapomniała, jak brzmi wypowiedane na głos. To nie to imię chciała powtarzać w nieskończoność.

– Obiecałem, że wrócisz do Lucasa i dotrzymam słowa. – Odwrócił głowę w bok. Nie mógł patrzeć jej prosto w oczy. Po co miała widzieć jego łzy?

– Będiesz mógł widywać się z dzieckiem. Nikt ci tego nie zabroni – obiecała pospiesznie. – Lucas zrozumie, że masz do tego prawo.

– Nie! Lepiej nie! – zaprotestował gwałtownie. – Niech to będzie tylko wasze życie.

– A ty? – Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka. – Co z tobą?

– Mną się nie przejmuj. – Z trudem przełknął ślinę. – Wiesz, już trochę tęsknię za tymi wszystkimi kobietami... Nie jestem typem, któremu wystarcza jedna dziewczyna.

Lubię różnorodność i ten dreszcz emocji. Dziś ta, jutro inna, a pojutrze może nawet dwie na raz.

Zabolało. Znowu ją zranił. Wiedziała o tym, ale ciągle się łudziła. Nie mogła jednak pokazać po sobie, jak bardzo ją to dotknęło. Uśmiechnęła się jak gdyby nigdy nic. Żałował swoich słów, ale musiał je powiedzieć, chociaż były kłamstwem. Już nigdy więcej nie zwiąże się z żadną kobietą. Barbara była jego ostatnią. Jeśli nie ona, to już żadna.

Ujął dłoń, którą dotykała jego policzek i pocałował jej wewnętrzną stronę. Jego usta musnęły każdy paluszek i powędrowały do przegubu. Tu zatrzymały się, wyczuwając niewielkie zgrubienie. Zerknął i dostrzegłszy ślady po ugryzieniu, przypomniał sobie moment, gdy dała mu napić się swojej krwi. Wtedy, gdy rozpoznał, że to ona... Czubkiem języka powiódł po niewielkiej, zaokrąglonej bliźnie. Czy gdyby jej powiedział, co znaczył ten gest, mogłoby to coś zmienić? Miała prawo wiedzieć, że dając mu swoją krew, związała się z nim na zawsze. Stali się jednością, tak jak kiedyś przed wiekami. Nic nie mogło rozerwać tych więzów, silniejszych niż czas i śmierć. Nic, oprócz Lucasa...

Wzdrygnęła się na ten dotyk i poczuła nową falę pożądania obejmującą we władanie jej ciało. Każdy, najmniejszy ruch Rodericka rozpalał w niej niespotykaną namiętność, czegoś takiego nigdy nie doznała. Nie była w stanie dużej się opierać. Położyła się, przyciągając go do siebie.

Już nigdy żadna... Ale jeszcze dziś... ty...

* * *

Angelina nie odstępowała Lucasa na krok. Opuściła rezydencję Robillardów i przeniosła się do domu Westmoora. Caroline nie była z tego powodu zadowolona, ale jej sprzeciw i tak był bezcelowy. Angelina nie miała zamiaru słuchać nikogo, oprócz własnego serca.

Lucas nawet nie oponował, gdy zjawiała się u niego z dwiema wypchanymi walizkami. Wzruszył jedynie ramionami i powiedział, że może się rozgościć jeśli tak bardzo jej zależy. Zależało. Poszła na górę i zajęła wolną obecnie sypialnię Caroline.

Początki były trudne. Westmoore całymi dniami siedział w swoim pokoju i pił alkohol, roztrzaskując puste butelki o ściany. Przestał polować, gdyż każde wyjście poza mury własnego domu, było dla niego ponad jego siły. Caroline zaopatrzyła lodówkę, ale zapasy topniały, a Lucas nadal nie poczuwał się do żadnego obowiązku. Angelinie nie pozostawało nic innego, jak samej zatroszczyć się o niezbędny pokarm.

Nie było to dla niej łatwe. Do tej pory nigdy nie polowała, a w Elizabeth Town niestety nie było bezdomnych zwierząt, które można by wykupić od bezdusznego, łasego na pieniądze raka. Pierwsze polowanie było dla niej prawdziwym koszmarem. Nieprzyzwyczajona do szybkiego biegu, bez sprawnej koordynacji ruchowej, nie potrafiła zdać się na swój instynkt. Biegała po lesie, węsząc zwierzynę, ale mimo iż widziała ją w oddali, nie mogła dopaść i dokonać dzieła. Gałęzie krzaków niemiłosiernie

smagały ją po twarzy, hacząc o ubranie. Wilgotna ziemia rozchlapwała się na wszystkie strony, brudząc ją. Włosy potargane przez wiatr dopełniały widoku totalnej porażki.

Nie płakała, nie załamywała się. Nie mogła. Schowała dumę do kieszeni i udała się do Caroline na naukę. Panna Westmoore ulitowała się nad tym okazem nieszczęścia, które jeszcze nie tak dawno było dumną, pewną siebie dziewczyną, i wytłumaczyła na czym polegają prawdziwe łowy. Wspólne polowanie było dla Angeliny swoistą szkołą życia, nigdy jeszcze nie widziała Caroline w akcji. Z pewnym przerażeniem przyglądała się jak blondynka powala sarnę na ziemię, jak rozrywa zębami jej szyję. Jednak widok krwi i jej zapach podziałały na nią niczym afrodyzjak. Zrozumiała, że musi pozbyć się sentymentów i uprzedzeń. Wreszcie pozwoliła dojść do głosu swojej prawdziwej naturze. Najgorszy był pierwszy, samodzielny raz, ale po złapaniu królika, poczuła w sobie taką moc, że aż sama się zdziwiła. Była dumna z tego osiągnięcia i nabrała pewności. Gdy upolowała lisa, jej duma nie miała granic.

Lucas nie wnikał jak zdobyła krew. Po prostu pił to, co przyniosła, tak jakby jej obowiązkiem było dbanie o jego sytość. Nie protestowała, dla niego była gotowa na każde poświęcenie. Nie oczekiwała nawet jego podziękowań, liczyło się tylko to, że mogła mieszkać w jego domu i się nim zajmować. Lucas wręcz przywykł do tego, że to teraz Angelina zajmuje się wszystkim i odgradził się od reszty świata, ją czyniąc swoim jedynym pośrednikiem

z rzeczywistością.

Zamknięty w swoim pokoju, opróżniał kolejne butelki wódki z nadzieją, że może przy następnej, jego umysł odpłynie, pozwalając znaleźć ukojenie. Myśli plątały mu się, ale nadal nie był na tyle pijany, aby stracić kontrolę nad swoimi zmysłami. Czasem wykrzykiwał imię Barbary, a czasem szeptał je cicho, z twarzą ukrytą w poduszce.

Angelina stała na korytarzu za zamkniętymi drzwiami i nasłuchiwała odgłosów dobiegających z jego pokoju. Wiedziała, że nie może ulżyć mu w cierpieniu, że sam musi się na to zdobyć. Za każdym razem, gdy słyszała jej imię, czuła jak cienkie ostrze zagłębia się w jej serce. Tak bardzo by chciała, aby o niej zapomniał, aby wreszcie przestał cierpieć, ale była zupełnie bezsilna.

Kolejne dni, kolejne oczekiwanie na cud, który nie nadchodził. Angelina prała, prasowała, gotowała, sprzątała, polowała... Robiła to wszystko, czego nigdy nie potrafiła. Zrezygnowała ze studiów, odrzucając otrzymane stypendium w New York Film Academy, chociaż aktorstwo było jej marzeniem od zawsze. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby teraz zostawić Lucasa samego. Przecież tak bardzo jej potrzebował.

Minał marzec i zaczął się kwiecień. Świat zaczął budzić się do życia. Świeża zieleń pokryła ziemię, a tysiące kwiatów rozbłysło gamą kolorów. Angelina próbowała namówić Lucasa na spacer po ogrodzie, ale ciągle zdecydowanie odmawiał. Tylko w swoim pokoju czuł się bezpieczny, a obecność kolejnych butelek wódki pozwa-

łała mu na oderwanie się od rzeczywistości.

Już nawet nie miał siły wymawiać jej imienia. Trzymał w dłoni plik zdjęć Barbary i przeglądał je raz po raz. Te błękitne oczy, te falujące, ciemne włosy... Miał wrażenie jakby ciągle tu była. Jakby nigdy nie umarła. W pewnym momencie, pochłonięty wpatrywaniem się w fotografię Barbary, poczuł, że nie jest sam w pokoju. To dziwne uczucie było na tyle silne, że go zaniepokoiło. Odłożył zdjęcia na bok i rozejrzał się dookoła. Wzrok zasnuła mu mgła, potarł więc oczy dłonią, próbując się jej pozbyć.

– Nie zadreńczaj się tak Lucasie. – Usłyszał głos, który wydał mu się dziwnie znajomym. Ze zdziwieniem spostrzegł jak tuż koło łóżka, niczym zjawa, wyłania się z niebytu postać kobiety ubranej w błękitną suknię balową. Chwilę trwało, zanim zrozumiał kto to taki. Elizabeth...

Dziewczyna pochyliła się nad nim i dotknęła jego czoła. Wyraźnie poczuł chłód jej dłoni.

– Kim jesteś? – Z trudem sformułował to proste przecież zdanie.

– Nie wiesz? Twoją siostrą. – Uśmiechnęła się do niego. – Nie widziałeś mnie tyle lat, ale ja byłam tu przez cały czas. Obserwowałam co porabiasz.

– Ty umarłaś...

– Ty także, ale ja jestem na innym poziomie egzystencji. – Usiadła koło niego, rozkładając równo, fałdy swojej szerokiej krynoliny. – Nie mogę patrzeć jak się zadreńczasz. Wydaje ci się, że straciłeś miłość swego życia.

– Bo straciłem – przerwał. – Barbara była dla mnie wszystkim.

– Wiele dla ciebie znaczy – przyznała – ale czy ty znaczysz dla niej tyle samo? Czy to z tobą chce być?

Zaskoczyło go, że mówi o tym w czasie teraźniejszym. Przecież Barbara umarła!

– Planowaliśmy wspólną przyszłość...

– Nie kochany braciszku, to ty ją planowałeś. Nigdy nie zapytałeś się, czego ona naprawdę chce. Uznałeś, że jeśli ty ją kochasz, to ona też musi odwzajemnić to uczucie. A do miłości nie można nikogo zmusić.

– O czym mówisz? Dlaczego się tu zjawiasz? Dlaczego teraz?

– Każdy ma swoje przeznaczenie i nie można go zmieniać. Ja musiałam wtedy umrzeć, aby dziś być tu... To długa droga i pełna cierpienia, ale nic nie jest proste. Twój żal i ból to tylko ułamek tego, co czułam ja i Roderick.

– Pozwolił ci umrzeć! Był na tyle zadufany w sobie, że wierzył, iż cię odnajdzie! Głupiec! Nigdy już nie będziecie razem! Nigdy! Ty błąkasz się gdzieś po świecie, a on przestał istnieć.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz – westchnęła ciężko. – Właśnie teraz jesteśmy sobie najbliżsi. Nasza miłość pokonała śmierć i czas. Tylko ty stanąłeś na drodze naszego szczęścia.

– Co ty wygadujesz? Jesteś tylko marą senną. Nie istniejesz! To wymysł mojego umysłu! – Zatkał dłońmi uszy, aby nie słyszeć jej głosu.

– Nie rozdzielaj nas – szepnęła, wstając z łóżka. – Przestań wreszcie myśleć o Barbarze, a skoncentruj się na kimś, kto naprawdę cię kocha. Angelina... Znam jej uczucia i wiem, że nigdy by cię nie skrzywdziła. Byłaby z tobą na dobre i złe, aż do skończenia świata. Pozwól jej na to. Możesz być szczęśliwy i ja też... Zwróć Barbarze wolność.

– Ona umarła! – krzyknął, chwytając leżącą obok butelkę i rzucając ją w stronę Elizabeth. Szklany przedmiot przeleciał przez postać jego siostry i z łoskotem rozbił się o drzwi. Elizabeth spojrzała na rozsypane na podłodze okruchy szkła. Jej sylwetka stawała się coraz jaśniejsza, aż całkowicie stopiła się z tłem.

Podniósł się z łóżka i rozejrzał po pokoju. Był sam, nigdzie nie czuł obecności nikogo innego. Pijackie zwidy, jak nic pijackie zwidy. Kopnął nogą butelki stojące koło szafki nocnej. Miał dość takiego życia, miał dość wszystkiego. Poszedł do łazienki i wszedł do kabiny prysznicowej.

Stał w ubraniu pod prysznicem i pozwalał, aby strumienie lodowatej wody spływały mu na głowę i ramiona. To zimno przynosiło ukojenie, jakby zamrażało cały ból, który skrywał się w jego wnętrzu.

Nie ma Barbary i jego żal nie zwróci jej życia. Nic go nie zwróci. Te łzy są daremne, tak samo jak unikanie ludzi. Trzeba zacząć żyć, chociaż życie sprawia cierpienie. Chciał wieczności, więc ją ma. Tylko do siebie może mieć o to pretensje.

Kimże się stał? Kimś takim jak Roderick? To porównanie nie przypadło mu do gustu. Zaciśnął pięści i z całej siły uderzył w obłożoną kafelkami ścianę. Marmur popękał pod siłą ciosu, a Lucas ponowił uderzenie. Walił tak długo, aż jego dłoń zrobiła się cała czerwona od krwi. Wtedy dopiero przestał.

Długi, lodowaty prysznic i wyładowanie emocji na ścianie, pozwoliło mu dojść do siebie. Wyszedł z kabiny i nie zważając, że woda skapuje z niego na podłogę, udał się do swojego pokoju. Zatrzymał się przed lustrem i posepnym wzrokiem spojrzął na swoje odbicie.

Nie chciał być taki jak Roderick, nie chciał zatracić się w szaleństwie. Przede wszystkim był człowiekiem i nadal pragnął nim pozostać. Trzeba zacząć żyć, tak jakby wszystko było w porządku. Trzeba zacząć udawać, choć tak bardzo boli życie... Podjął decyzję, chociaż nie przyszło mu to łatwo. Podeszedł do drzwi i przekręcił klucz. Zanim otworzył, zaczerpnął głęboko powietrza. Wolno postawił nogę za próg. Jeszcze się wahał, jeszcze czuł opory. Łatwiej było po prostu nie istnieć.

Na korytarzu zobaczył Angelinę. Jej poszarzała twarz, poplątane w nieładzie włosy, zmięte ubranie – to wszystko rzuciło mu się w oczy. Niczym nie przypominała tej dziewczyny, którą kiedyś znał. I dlaczego? Przez niego! To on do tego doprowadził! Miał się za kogoś lepszego niż Roderick, a tymczasem był taki sam jak on. Identyczny. Ale już dość! Teraz znowu będzie sobą.

– Lucasie – wyszeptała Angelina na jego widok.

Postąpił w jej stronę, zbierając w sobie wszystkie siły. Elizabeth miała rację; Angelina była tu i będzie do końca świata. Tylko ona jedna mu pozostała. Znał jej uczucia i wiedział, że jest dla niej wszystkim. Tak bardzo ją ranił...

Zdawał sobie z tego sprawę, ale jednocześnie miał świadomość, że nie potrafi jej pokochać. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Może kiedyś...

– Naucz mnie życia od nowa. – Wyciągnął do niej dłoń. – Nie obiecuję ci niczego, bo nie mogę, ale chcę spróbować. Nie wiem, co przyniesie przyszłość, nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek o niej zapomnę... Jeśli wystarczy ci to, co teraz mogę ci zaoferować...

– Wystarczy – przerwała mu, nie pozwalając dokończyć zdania. Z ufnością przypadła do niego, nie zważając, że się pomoczy, a on nieporadnie objął ją w pól. To nie była Barbara... Nie była...

* * *

Barbara stała przy oknie i czułym gestem gładziła swój sporych rozmiarów brzuch. Dziecko ostatnio wierciło się znacznie częściej i gwałtowniej, sprawiając jej przy tym ból. Miała wrażenie jakby ta kruszynka próbowała rozprostować się wewnątrz, nie zważając na małą objętość pomieszczenia. Czasem brzuch twardniał niczym kamień, powodując że mimowolnie w jej oczach pojawiały się łzy. To było okropne uczucie, tak jakby wszystko ciągnęło się do dołu, próbując wyrwać z ciała, a dodatkowo płuca nie mogły zaczerpnąć powietrza. W takich momentach bała się, że zaczyna rodzić, jednak na szczęście skurcze ustę-

powwały, a oddech wracał do normy. Nie potrafiła obliczyć ile czasu spędziła na tym odludziu, ale podświadomie była pewna, że to jeszcze zbyt wcześnie na poród.

Chodzenie zaczęło sprawiać jej sporo trudu, więc poruszanie się po izbie ograniczyła do minimum. Roderick starał się jak najmniej czasu spędzać poza domem, jakby sam bojąc się o jej bezpieczeństwo. Zrobił się bardzo opiekuńczy i we wszystkim ją wyřęczał. Między nimi układało się wręcz wzorowo. Kochali się rzadziej niż na początku, ale dużo czasu spędzali leżąc razem przytuleni, objęci ramionami, zapatrzeni w siebie. Nawet nie musieli nic mówić, wystarczyło, że czuli swoją obecność.

Śnieg na zewnątrz wyraźnie topniał, a ostatnie opady były kilkanaście dni temu. Barbara miała przeczucie, że lada dzień ich pozorne szczęście zostanie przerwane. Powrót do cywilizacji wydawał się nieunikniony, tym bardziej teraz, gdy termin porodu zbliżał się nieubłaganie. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby urodzić w tej chacie, z dala od pomocy medycznej. Bała się tego, chociaż z drugiej strony za nic w świecie nie chciałaby rezygnować z tego, co tu odnalazła, nawet jeśli było tylko iluzją.

Brzuch znowu stwardniał, a nieprzyjemne uczucie sprawiło, że Barbara zachwiała się na nogach. Na szczęście złapała się parapetu i tylko dlatego nie upadła. Z trudem podeszła do łóżka i usiadła na nim. Chwilę trwało, zanim ułożyła się w wygodnej pozycji.

Oddychała równomiernie, starając się zachować spokój. Zaraz minie, zaraz minie. Trzymała dłoń na brzuchu,

czując jak bardzo jest twardy. Za długo... A Rodericka nie ma. Oddychać, oddychać... Uffff. Minęło.

Zbyt często pojawiają się te skurcze. To niedobrze. A może tak powinno być? Nigdy nie była w ciąży, nawet nie zdążyła nic na ten temat poczytać. Nie wiedziała, jak to wszystko wygląda. Z filmów pamiętała tylko przeraźliwy krzyk kobiet rodzących dziecko i wołanie lekarzy, że już widać główkę. Nie myśleć o tym. Nie teraz. Spokojnie. Jeszcze jest czas.

Nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła. Chwilowy sen przyniósł jej ukojenie, jednak nie trwał długo. Obudziła się czując kolejne, bolesne poruszenie się dziecka. Syknęła cicho, podciągając się wyżej. Zrobiło się zimniej, więc spojrzała na piec i dostrzegła, że ogień ledwie się tli. Jeszcze chwila i zgaśnie.

Zwlekła się z pośłania i podtrzymując ręką brzuch od dołu, podeszła do pieca. Przychyliła się po leżące w wiadrze drwa. Nagle poczuła przejmujący ból, dobywający się z jej wnętrza. Pociemniało jej w oczach. Krzyknęła, opadając na kolana. Ból nie ustępował, był coraz bardziej przejmujący. Coś ciepłego i lepkiego poleciało jej między nogami. Przewróciła się na podłogę i sięgnęła dłonią do przemoczonych spodni. Gdy uniosła rękę do góry spostrzegła, że jest cała czerwona. Krew...

– Ericku – szepnęła, kuląc się z bólu. – Ericku, gdzie jesteś?

[1] *Księga Psalmów*, Psalm 23

TRUDNY POWRÓT

Roderick odkrył coś niezwykłego. Uganiając się za zwierzyną, zapędził się dziś trochę dalej niż zazwyczaj i oto leżał teraz wśród pokrytych śniegiem zarośli obserwując rozpościerającą się poniżej kotlinę. Na płaskim terenie, otoczonym ze wszystkich stron porośniętymi lasem wzgórzami, uwijała się grupka ludzi, ubrana w ciepłe mundury wojskowe. Ze stojącego w pobliżu helikoptera wyjmowali tajemniczo wyglądające przedmioty i składali je pod ustawionym nieopodal brezentowym zadaszeniem. Roderick odczytał napis na boku helikoptera „US Army”.

Cywilizacja. Tak mało brakowało, a mogliby już do niej wrócić. Gdyby podszedł do nich, gdyby opowiedział... Jeszcze nie teraz! Jeszcze nie może jej stracić. Tych kilka tygodni spędzą razem i to wystarczy mu na resztę życia.

Ostrożnie wycofał się do tyłu, pozostając niezauważonym i przyspieszywszy biegu, jak najprędzej chciał się stamtąd oddalić, tak jakby nigdy nie dotarł do tego miejsca. Jakby nie widział tych ludzi i ich sprzętu. Mieli nadajniki radiowe, łączność satelitarną... Tak niewiele brakowało... Nie! Nie! Nie!

Biegł coraz szybciej, przerażony samą myślą, że kres szczęścia jest tak blisko. Te wszystkie noce, te wszystkie dni... Dlaczego teraz, a nie kilka miesięcy temu? Wtedy byłoby mu łatwiej. Dziś bez Barbary nie wyobrażał sobie dalszego życia. Przecież to była jego Elizabeth! Ta oczekiwana i ubóstwiana ponad wszystko!

Gdy w oddali zobaczył prześwitujące między drzewami ściany chaty, zwolnił. Pozwolił, aby emocje opadły i oddech wyrównał się. Nie chciał pokazać po sobie zmieszania. Przeszedł kilka kroków i nagle poczuł coś niepokojącego. Intensywny zapach krwi... Znał go, rozpoznałby wszędzie.

Kilkoma susami pokonał pozostałą odległość dzielącą go od wejścia i wbiegł do domu. Jego wyostrzony wzrok bez problemu dostrzegł skuloną postać, leżącą w pobliżu pieca. Podbiegł do niej i delikatnie dźwignął na ręce, przenosząc na łóżko.

Jęknęła i otworzyła oczy. Jej twarz była nienaturalnie blada, pokryta drobnymi kropelkami potu.

– Uratuj nasze dziecko – wyszeptała z trudem, kuląc się jednocześnie z bólu.

Nie wiedział, co robić, ale jednego był pewien – nie mógł jej stracić. Nie w taki sposób. Teraz, gdy ją odnalazł, nie mógł pozwolić, aby znowu odeszła. Co innego, gdy będzie żyć szczęśliwie u boku innego, a co innego, gdy umrze. Za wszelką cenę musiał ją uratować, chociaż podświadomie zdawał sobie jednak sprawę, że to wykracza poza jego możliwości.

– Uratuj nasze dziecko – powtórzyła, jednocześnie zaciskając kurczowo dłoń na jego ręce. – Kiedyś tak bardzo go nie chciałam... Czy myślisz, że to kara za to? Za to, że byłam tak podła? Że myślałam tylko o sobie? Ale ja zrozumiałam... Naprawdę zrozumiałam. Tak bardzo je kocham. Rosło we mnie, czułam je... – mówiła wolno, robiąc

długie przerwy dla wyrównania oddechu. Raz po raz zagryzała wargi, próbując powstrzymać okrzyk bólu.

Roderick nie mógł zebrać myśli, bo wszystkie jednocześnie kłębiły się mu w głowie. Tamci ludzie... Ratunek... Lucas... Koniec...

– Uratuję – zapewnił, sięgając po koc i otulając nim Barbarę. Wziął ją na ręce i przytulił do siebie. Podjął decyzję, chociaż nie było to łatwe. W progu jeszcze na moment zatrzymał się i spojrzał na wnętrze chaty. Tu spędził najszcześniejsze chwile swego życia. Ale to nie było jego szczęście – ukradł je. Był tylko marnym złodziejaszkiem, który żył iluzją, a teraz nadszedł czas, aby oddać to, co mu się nie należało.

Otwarta chata została za nimi. Nie miał sił zamykać drzwi. Było mu już wszystko jedno. Ten etap właśnie się zakończył, a zaczynało się cierpienie. Ale ona będzie żyć. Ona i ich dziecko.

Biegł po swoich śladach, wiedząc, że z każdym kolejnym krokiem przybliża się do kresu. Odległość była spora, ale pokonał ją w szybkim tempie. Jeszcze kilka pagórków, jeszcze kilka drzew. Przystanął w miejscu, w którym poprzednio leżał. Jego sylwetka była wyraźnie widoczna na tle ośnieżonych krzaków.

Zauważyli go od razu. Na dole zrobiło się małe zamieszanie, ale natychmiast cztery karabiny zostały wycelowane w dziwnego przybysza, który schodził wolno, ostrożnie stawiając stopy na śliskim podłożu, uważając, aby nie upuścić jakże cennego bagażu. Gdy był już na dole,

pięciu żołnierzy otoczyło go z każdej strony, a czterech pozostałych nadal celowało w niego z broni.

Ten widok nawet go rozśmieszył, gdyż gdyby chciał, łatwo poradziłby sobie z nimi wszystkimi. Ich karabiny były zupełnie bezużyteczne w walce z takim wrogiem jak on.

– Coś ty za jeden? – Wysoki, postawny żołnierz, będący najwyższym rangą, pierwszy zadał pytanie.

– Pomóżcie jej – wyciągnął przed siebie ręce, na których trzymał podłużny kształt, zawinięty w koc. – Błagam, pomóżcie jej.

Dowódca skinął głową, dając znak dwóm żołnierzom, aby zobaczyli, co takiego trzyma przybysz. Młodzieńcy z pewną obawą odebrali od niego dziwny pakunek i rozwinęli pled, w jaki był zawinięty.

– To kobieta! – krzyknął jeden z nich.

– Kobieta? – Dowódca zerknął z zaciekawieniem, cofnął się jednak dostrzegając ślady krwi na kocu. – Co się stało? – zapytał rzeczowo, zwracając się do Rodericka. – Skąd się tu wzięliście?

– Ona jest w ciąży. Chyba zaczęła rodzić... Ale to za wcześnie... Coś jest nie tak... Musicie jej pomóc! – Nie odpowiedział na ostatnie pytanie, ale dowódca widząc powagę sytuacji nie drażył tematu. Gestem nakazał żołnierzom przeniesienie Barbary do helikoptera. Roderick postępował krok w krok za nimi, nie odstępując ukochanej.

– Mamy tu dwójkę ludzi. Nie wiem co to za jedni. Facet i kobieta. Ona jest w ciąży i chyba rodzi. Coś jest nie

tak, bo jest bardzo dużo krwi. – Dowódca połączył się z bazą i przekazał krótki meldunek. Przez chwilę w milczeniu czekał na odpowiedź. – Ok. przyjąłem. Powiadomcie szpital w Anchorage, że lecimy.

Roderick osunął się na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Koniec. Nadszedł koniec.

* * *

Agent Murdock wreszcie czuł się spełnionym człowiekiem. Nie dość, że sprawa porwania Barbary Bennett została zakończona, to jeszcze otrzymał awans i znaczącą podwyżkę. Również dwa tygodnie spędzone na słonecznej plaży Miami zrobiły swoje. Towarzystwo pięknych, młodych, opalonych blondynek – to było to, czego potrzebował. Wreszcie ktoś go docenił. Co z tego, że zaginięcie Bennettówny zakończyło się tragicznie, że nie odnaleźli sprawców brutalnych zabójstw? Najważniejsze, że doceniono jego zaangażowanie w śledztwo i przypisano zasługę odkrycia kryjówki psychopatów, odpowiedzialnych za liczne porwania, morderstwa i kanibalizm.

Murdock miał jedną wadę, był łasy na wszelkie komplementy i nie uznawał racji innych osób. Zawsze wszystko wiedział najlepiej i uważał się za nieomylnego. Dlatego też nie podejrzewał, co może oznaczać dźwięk telefonu dzwoniącego u niego w mieszkaniu o godzinie trzeciej nad ranem.

Podniósł słuchawkę i lekko zaspanym głosem przedstawił się.

– Murdock. Słucham.

To co usłyszał, sprawiło, że momentalnie zerwał się na równe nogi i podtrzymując słuchawkę brodą, zaczął wciągać spodnie.

– Jasne, zaraz będę. – Rozłączył połączenie i pobiegł do łazienki, aby wypłukać zęby. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze wiszącym nad umywalką.

– Cholera – wypluł płyn. – Diabli nadali tę Barbarę

* * *

Roderick nie pozwolił ani na moment rozdzielić się z Barbarą. W helikopterze siedział tuż koło dziewczyny, trzymając ją za rękę. Przez cały lot zaciskała palce na jego dłoni, a czyniła to tak mocno, że aż paznokcie wbijały się w skórę, znacząc ją krwawymi śladami. Nie zwracał na to uwagi, w końcu nie czuł bólu fizycznego, za to ból jego duszy wręcz odbierał mu zmysły. Z rozpaczą patrzył na nienaturalnie bladą twarz ukochanej kobiety, naznaczoną grymasem cierpienia. Oddałby wszystko, aby móc jej ulżyć, ale mimo iż był niepokonaną istotą, nie potrafił zaradzić tej sytuacji. Karmiąc Barbarę swoją krwią skazałby dziecko na okrutny los. Już poprzednim razem, gdy Basit chcąc ratować dziewczynę podjął decyzję o podaniu jej wampirze krwi, bardzo ryzykowali. Na szczęście był to dopiero początkowy okres ciąży i organizm Barbary miał szansę ochronić maleństwo przed zgubnym wpływem tego specyfiku. Gdyby jednak otrzymała krew teraz, a dziecko przyszło na świat, stałoby się wybrykiem natury – istotą nieśmiertelną, która na wieki pozostanie noworodkiem. Nie mógł uratować Barbary, jednocześnie nie narażając

życia niewinnej istotki.

To był dylemat moralny, podobny do tego sprzed stu pięćdziesięciu lat. Tylko wtedy na szali było życie Elizabeth albo ich marna egzystencja. I to Elizabeth dokonała wyboru, a on jej na to pozwolił. Czy teraz miał prawo sam podjąć decyzję? W końcu Barbara błagała go, aby ratował jej dziecko. Czy mógłby, kierując się własnym egoizmem, postąpić inaczej? A czy ona by mu to wybaczyła?

Nie odzywała się, wydając się pogrążoną we śnie, jednak od czasu do czasu otwierała oczy i spoglądała na niego. Uśmiechał się wtedy do niej, tak jakby chciał zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Dodawał jej odwagi, sam czując pełno obaw. Jedno wiedział, na pewno już nigdy nic nie będzie takie samo. Oto z każdym przebytym kilometrem zbliżali się do kresu wspólnego życia. Te kilka chwil, które były im dane, właśnie dobiegają końca.

Helikopter wylądował na lotnisku, gdzie czekał już zespół ratowników medycznych z powiadomionego o zdarzeniu szpitala. Sprawnie przetransportowano Barbarę do ambulansu i podłączono przenośne USG oraz kroplówkę. Sanitariusze ulitowali się nad Roderickiem i pozwolili mu usiąść w szoferce samochodu, tak aby nie rozstawał się ze swoją towarzyszką.

Po przybyciu do szpitala natychmiast zabrano Barbarę na dalsze badania, prosząc Rodericka, aby został w poczekalni. Tu jedna z sióstr przyniosła mu ciepłą kawę i kanapkę z serem, ale nawet nie tknął pożywienia. Stał, czujnie nasłuchując, czy przypadkiem Barbara go nie

wzywa. Po kilku niezwykle długich minutach wyszedł wreszcie do niego lekarz, który przyjmował dziewczynę.

– Pan jest ojcem?

– Tak – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Sytuacja jest ciężka. – Mężczyzna patrzył na niego uważnie. Cały personel szpitala, a nawet żołnierze pomagający w transporcie Barbary do Anchorage, byli pod wrażeniem tego, o czym opowiedział im Roderick. Długie, zimowe miesiące spędzone w najdzikszym zakątku Alaski, z dala od cywilizacji, zasługiwały na uznanie. Mało kto potrafiłby tego dokonać. – Doszło do odklejenia łożyska i masywnego krwotoku. Musimy wykonać cesarskie cięcie. Nie ma czasu do stracenia, mimo to nie wiem, czy uda się uratować dziecko. Jego tętno jest bardzo słabe...

– Dziecko? – powtórzył, analizując to, co powiedział lekarz. Dziecko może nie przeżyć... A Barbara?

– Zrobimy co tylko w naszej mocy. Nie będę przed panem ukrywał, że sytuacja jest poważna... Wszystko w rękach Boga.

– Chcę być przy niej! Muszę być przy niej! Ona mnie potrzebuje! – krzyknął, próbując podejść do drzwi, ale lekarz powstrzymał go.

– Proszę mi wierzyć, że w tym momencie pana pomoc na wiele się nie zda. Pana żona będzie nieprzytomna, dostanie narkozę. Nawet nie będzie zdawać sobie sprawy z pana obecności. My zajmiemy się wszystkim. Naprawdę znajduje się w dobrych rękach. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. A pan... Pan może pomóc, ale w inny

sposób. Na końcu korytarza jest kaplica, gdyby chciał pan... Modlitwa czasem potrafi działać cuda.

– Barbara... – Już nie patrzył na lekarza. Odwrócił się do niego plecami i ruszył przed siebie korytarzem, za bardzo nie wiedząc dokąd zmierza. Ta sama pielęgniarka, która wcześniej przyniosła mu kawę, podeszła teraz do niego i ująwszy delikatnie pod ramię, w milczeniu doprowadziła do kaplicy. Tu puściła go, wycofując się bezszelestnie do tyłu. Sam wszedł do pustego pomieszczenia, gdzie w centralnym punkcie, pod jedną ze ścian ustawiony był niewielki ołtarz. Dwa rzędy prostych ławek z oparciami dla klęczących, raczej nie zachęcały do zajęcia miejsca.

Podszedł do ołtarza i zatrzymał się, wpatrując w wiszący ponad nim duży, drewniany, prosty krzyż.

– Jeśli istniejesz, jeśli naprawdę jesteś, to mi jej nie odbieraj. Pozwól jej żyć i pozwól żyć naszemu dziecku. Niech będzie szczęśliwa z Lucasem. Skaż mnie na najgorsze potępienie, ale miej litość dla niej. To ja jestem winny, to ja jestem potworem. Tacy jak ja, nie powinni chodzić po Ziemi. Nie wierzę w ciebie, ale jeśli to pomoże, to przysięgam, uwierzę. Uratują ją, bo ja już nie potrafię.

* * *

Wiał delikatny wietrzyk, roznosząc zapach świeżych kwiatów. Promienie słońca czule muskały, spragnioną ciepła ziemię. Angelinie wreszcie dziś udało się namówić Lucasa na wspólne łowy. Początkowo wzbraniał się przed tym, ale jego opór słabł. Wreszcie zgodził się na tę eska-

pade.

To nie było jego pierwsze wyjście z domu od czasu żałoby. Od kilkunastu dni, systematycznie starał się oswajać ze światem. Wraz z Angeliną spacerowali po ogrodzie, później w okolicach domu, a następnie zaczęli wyprawiać się na pobliskie wzgórza.

Powoli uczył się tego, co wydawało mu się już prawie niemożliwe. Zapach ziemi, powiew wiatru, dotyk traw. Znowu to wszystko czuł i wiedział, że chce to czuć. Barbara odeszła, ale świat istnieje nadal. Nadal wschodzi słońce, nadal świeci księżyc. Chmury kłębią się na niebie. Zwykle, codzienne, niezauważalne rzeczy, a przecież tak istotne.

Każdy nowy dzień dawał mu więcej nadziei, że będzie lepiej. Nie dziś, nie jutro, ale kiedyś... Najważniejsze, że znowu nabrał chęci do życia. I wszystko to dzięki Angeli-
nie.

Caroline cieszyła się z powrotu dawnego Lucasa, chociaż jednocześnie jego proces ozdrowiania oznaczał dla niej powrót do Benacantil. Odwlekała ten moment, ale wiedziała, że jest on nieunikniony.

Las powitał Lucasa chłodem. Cienie rzucane przez wysokie drzewa otulały ziemię. Chodził pomiędzy pniami, obwąchując je, gładząc dłonią chropowatą korę. Angelina stąpała tuż obok, czujnie węsząc zwierzynę. To ona pierwsza wyczuła sarnę.

– Polujemy? – zapytała, patrząc na niego.

Skinał głową.

Wskazała kierunek i pobiegła w tę stronę. Szybko ją dogonił. Pęd wiatru rozwiewał mu włosy i muskał jego twarz. Czuł jej zapach i sprawiał mu on przyjemność. Pomyślał, że jeszcze nigdy nie polował z kobietą. Ta myśl nawet go rozbawiła. Z Barbarą byłoby to niemożliwe, dopóki byłaby człowiekiem. A czy zechciałaby kiedykolwiek stać się taka jak on? Czy miałyby na to tyle odwagi? Pamiętał, jak bardzo przerażona była, gdy poznała prawdę o nim. Może faktycznie nie byli sobie sądeni?

Z Angeliną wszystko było prostsze. Czuł się przy niej swobodnie, bo nie musiał udawać kogoś, kim nie był. Pić krew przy Barbarze? Nigdy! Przy Angelinie – bez problemu. To przecież panna Stewart przez ostatnie tygodnie, dostarczała mu pożywienie, które sama, własnoręcznie zdobywała. Pełne poświęcenie. Teraz to zrozumiał.

Ścigali się, przekomarzając między sobą. Nawet sarna przestała ich obchodzić. Po prostu biegli, odnajdując w tym czystą przyjemność. Gałązki krzaków smagały ich po twarzy, szarpały ubranie. Śmieszyło ich to. Zatracili się w szybkości i w obcowaniu z naturą. Ich śmiech roznosił się echem po całym lesie. W końcu opadli na mech i leżąc na plecach, zapatrzyli się w błękitny prześwit, widoczny pomiędzy wysokimi koronami drzew.

– Życie nie jest takie złe – odezwał się wreszcie.

– Masz rację – przyznała, ciesząc się, że to powiedział. Obróciła się na bok i spojrzała na niego.

Nie patrzył w jej stronę, skupiony na podziwianiu skrawków nieba. Promienie słoneczne przebijały się przez

te prześwity i czule pieściły jego twarz. Przymknął oczy, poddając się przyjemnemu uczuciu. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka. Delikatnie powiodła palcem w kierunku ust.

– Nie psuj tego – powiedział cicho.

– Nie psuję. – Cofnęła rękę, a on otworzył powieki i zwrócił głowę w jej stronę.

– To jeszcze nie jest miłość, ale nie jesteś mi obojętna, jeśli dasz mi więcej czasu...

– Przepraszam. – Gwałtownie usiadła i odwróciła się od niego. Te wszystkie uczucia, które skrywała w swoim wnętrzu, wzbierały w niej niczym wysoka fala, która lada moment przerwie tamę.

– To ja przepraszam. – Również usiadł i przyciągnął ją do siebie. – Byłaś przy mnie, gdy najbardziej cię potrzebowałem. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Na pewno nie byłbym dzisiaj tutaj... Jestem głupcem Angelino. Czy ty chcesz takiego głupca?

– Tak – wyszlochała, wtulając twarz w jego ramiona. Delikatnie uniósł jej podbródek do góry i nie zastanawiając się dłużej nad tym, co robi, pocałował ją prosto w usta. Ochoczo oddała pocałunek. Ich wargi napierały na siebie z pasją i namiętnością. Całe oczekiwanie wreszcie znalazło dla siebie ujście. Nie mogli się już od siebie oderwać.

I wtedy zadzwonił telefon komórkowy Lucasa.

– Nie odbieraj – wyszeptała, nie przerywając pocałunków, ale on już wyciągał z kieszeni aparat i patrzył na wyświetlacz.

– To Adam. – Odsunął się od niej i nacisnął przycisk odbierający połączenie. – Słucham.

Przez chwilę panowała cisza, niemiłosierna, wręcz przytłaczająca cisza, a twarz Lucasa zmieniał się z każdym usłyszonym w słuchawce słowem.

– Czy jesteś pewien? – zapytał w końcu, a gdy uzyskał potwierdzenie, rozłączył rozmowę. Spojrzał na zaskoczoną Angelinę. – Ona żyje! – krzyknął podnosząc się z ziemi i otrzepując ubranie. – Słyszysz Angelino? Żyje!

– Kto? – zapytała, chociaż już wiedziała. Poczowała jak serce zaczyna jej zwalniać, aż w ogóle przestało bić.

– Ona żyje! – Schwycił ją za rękę i poderwał do góry. – Żyje! Dzwonił Adam! Znaleźli ją na Alasce! Jest w szpitalu w Anchorage! Rozumiesz Angelino? Żyje! Barbara! Moja miłość!

Z trudem hamowała łzy. Jeszcze czuła smak jego pocałunków, jeszcze nie zdążyła zapomnieć jego dotyku. Barbara żyje... Och, jak jej nienawidziła. Dlaczego żyje? Po co? Właśnie teraz, gdy szczęście było tak blisko.

* * *

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Co za ironia, gdy byli w osamotnionej, zsypanej śniegiem chacie, czas płynął szybko, teraz, gdy wazą się jej losy, każda sekunda wydaje się nieskończonością.

Wskazówka na zegarze zawieszonym nad salą operacyjną, wskazywała piętnaście minut po godzinie trzeciej po południu. Ile czasu spędził w kaplicy? Pięć minut, może dziesięć. Tutaj, przed drzwiami, stoi od dobrych trzydzie-

stu, a przez ten czas nikt nie wyszedł z sali. Mógłby tam wejść, gdyby skorzystał ze swoich zdolności. Tak, koniecznie musi to zrobić. Już dłużej nie wytrzyma tej niepewności.

Zdecydowanym ruchem pchnął drzwi odgradzające go od Barbary i wszedł do przedsionka prowadzącego do sali operacyjnej. Niezatrzymywany przez nikogo przekroczył jej próg. Znalazł się w dużym, jasnym pomieszczeniu, na środku którego stał stół operacyjny, oświetlony okrągłą lampą. Wśród czterech, zebranych przy nim osób, odzianych w długie, zabrudzone krwią fartuchy oraz maseczki zakrywające dolną część twarzy, Roderick bez trudu rozpoznał lekarza w okularach, z którym rozmawiał na korytarzu. Pod jedną ze ścian dostrzegł dwie kobiety, zajmujące się malutką, pomarszczoną istotką, leżącą na specjalnym blacie, przeznaczonym najpewniej do badania noworodków.

Dzięki swojej nadprzyrodzonej zdolności mógł poruszać się po całej sali, pozostając niewidocznym dla obecnych tu ludzi. Roderick nie był niewidzialny, nie mógł pozbyć się własnego ciała – po prostu oddziaływał na percepcję innych sprawiając, iż nie zauważali jego obecności. Istniał poza ich możliwościami postrzegania, niczym duch.

Przez chwilę rozglądał się dookoła, pragnąc zorientować w sytuacji a następnie, wiedziony impulsem, od razu podszedł do dziecka. Zatrzymał się przy stoliku i z napięciem popatrzył na czerwoną, pomarszczoną

skórkę, łysą główkę, pokrytą niewielkim, ciemniejszym meszkiem, zaciśnięte powieki oraz nieruchome rączki i nóżki maleństwa. Jego córka... Wzruszenie na moment odebrało mu zdolność logicznego myślenia. Zapragnął wziąć dziecko na ręce i przytulić do siebie, szybko jednak ochłonał. On nie mógł teraz jej pomóc. Tylko ci ludzie byli w stanie utrzymać ją przy życiu.

Dziewczynka wyglądała jak martwa, nie poruszała się, nie płakała. Do jej buzi podłączona była cienka, plastikowa rurka, z drugiej strony zakończona gruszką, którą obecnie jedna z lekarek systematycznie uciskała. Roderick zrozumiał, że w ten sposób dostarczają małej tlen. Klatka piersiowa dziecka unosiła się rytmicznie, zgodnie z kolejnymi wtłoczeniami powietrza.

Patrzył na swoją córkę, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu. Nie mógł jej stracić! Nie dałby rady przeżyć jej śmierci! Jeśli istniejeś Boże, to miej to dziecko w swojej pieczy.

– Cholera, ciśnienie spada! Nie opanujemy tego krwotoku! – usłyszał krzyk za swoimi plecami i ten krzyk go otrzeźwił. – Nie mamy wyjścia, musimy usunąć macicę.

– Ona jest jeszcze taka młoda... Nie będzie mogła mieć dzieci...

– Ale będzie żyła! To jedyne wyjście. Tracimy ją!

Błyskawicznie odwrócił się i już po chwili znajdował się przy stole operacyjnym. Barbara. Leżała taka bezbronna, podłączona do tylu urządzeń. Niewidoczny dla lekarzy, pochylił się przy jej głowie i wyszeptał do ucha.

– Jestem tu Barbaro. Nie możesz mnie opuścić. Masz wspaniałą córkę. Jest śliczna, doskonała... Musisz żyć, bo ona cię potrzebuje... bo ja tak bardzo cię kocham.

– Co z dzieckiem? – Lekarz nie odwracając się od stołu operacyjnego, rzucił za siebie pytanie skierowane do dwóch kobiet zajmujących się noworodkiem.

– Nie jest zbyt dobrze. Zabieramy ją na OIOM. – Maleństwo znajdowało się już w inkubatorze, a lekarki nie zaprzestając wentylacji, wywiozły je z sali operacyjnej.

– Miejmy nadzieję, że przeżyje. Wycinamy! – zdecydował lekarz w okularach i pochylił się nad ciałem Barbary.

Czas włókł się niemiłosiernie długo. Zapach krwi był taki intensywny, wypełniał całe pomieszczenie, wdzierał się do najgłębszych zakamarków umysłu, przywołując wspomnienia innej chwili sprzed stu pięćdziesięciu lat. Roderick ponownie czuł się zupełnie bezsilny, gdyż nie mógł jej pomóc, nie przemieniając w potwora. Kolejny raz stawał przed tym samym dylematem.

- Ciśnienie nadal spada.
- Migotanie komór!
- Zatrzymanie akcji serca.
- Cholera! Defibrylator!

Cienka, prosta linia na monitorze akcji serca, była jak wyrok. Nie musiał jednak patrzeć na ekran, aby usłyszeć tę ciszę. Jej serce nie biło. Wiedział, co to oznacza.

Lekarz przyłożył dwie końcówki defibrylatora do jej piersi i krzyknął.

– Do dwustu! Odsunąć się!

Ciałem Barbary wstrząsnął dreszcz. Na monitorze pokazał się skok linii, tworząc zygzak, ale był to tylko jednorazowy incydent. Pionowa kreska nie pozostawiała nadziei.

– Do trzystu! – krzyknął ponownie lekarz.

– Barbaro kocham cię! – wyszeptał Roderick, całując ją w czoło. – Uratuj ją Boże! Tylko ty możesz to zrobić! Uratuj ją...

Kolejny wstrząs i nagle... Linia wyraźnie drgnęła i zaczęła pokazywać wykres pracy serca.

– Mamy ją!

– Udało się. W ostatniej chwili. – Lekarz odetchnął z ulgą. – Siostró proszę obetrzeć mi czoło.

Roderick, nadal pozostając niewidocznym dla innych, opuścił salę operacyjną i dopiero znalazłszy się na korytarzu zrezygnował ze stosowanej filtru percepcji. Wiedziony silną, wewnętrzną potrzebą, udał się w stronę szpitalnej kaplicy. Przed wejściem do środka zatrzymał się na moment. Pochylił głowę w geście pełnym pokory, po czym otworzył drzwi. Wolnym krokiem podszedł do ołtarza.

– Dziękuję – powiedział klękając i unosząc wzrok na wiszący na ścianie krzyż. Niepokonany, nieśmiertelny Roderick, czuł się teraz zaledwie marną, kruchą istotą, nic nie znaczącą w obliczu mocy Boga.

* * *

Roderick stał przed szklaną szybą i patrzył na inku-

bator, w którym znajdowała się jego córka. Córka... Napawał się dźwiękiem tego słowa, bo było dla niego zupełną nowością. Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach nie myślał, że zostanie kiedykolwiek ojcem. Teraz jednak był pewien, że tego właśnie pragnął przez całe życie. Jego istnienie nabrało wreszcie sensu.

– W chwili obecnej stan zdrowia pańskiej córki jest bardzo poważny, ale stabilny. – Lekarka opiekująca się noworodkami wyszła do niego, aby poinformować o stanie dziecka. – Proszę wziąć pod uwagę, że urodziła się na początku siódmego miesiąca i jest bardzo maleńka. Jej organy jeszcze nie są zdolne do samodzielnego funkcjonowania. Płuca nie podjęły pracy i na razie musieliśmy podłączyć małą do respiratora. Monitorujemy jej funkcje życiowe. Miejmy nadzieję, że nie nastąpi pogorszenie.

– Jakie pogorszenie? – Nie odrywał wzroku od szyby, za którą widział malutkie, pomarszczone ciało. Częstkę siebie samego. Od chwili, gdy ją zobaczył, poczuł z nią niewysłowioną więź.

– Żadnego scenariusza nie można wykluczyć, ale bądźmy dobrej myśli. Najważniejsze, aby płuca zaczęły funkcjonować i aby nie doszło do poporodowego zapalenia płuc. Zrobimy dziecku niezbędne badania, w celu wykluczenia wystąpienia ewentualnego wylewu – to niestety częste u tak maleńkich wcześniaków.

– Ale będzie żyć? Prawda? Będzie żyć? – Bardzo chciał usłyszeć potwierdzenie.

– Za wcześnie, aby o tym mówić, ale bądźmy dobrej

myśli. Obecnie, dzięki postępowi medycyny potrafimy utrzymać przy życiu nawet dzieci urodzone w dwudziestym piątym tygodniu. Pańska córka jest starsza, ma większe szanse. – Lekarka położyła mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się. Chciała dodać otuchy, ale on tego nie potrzebował. Jedyne co mogłoby mu teraz pomóc to pewność, że Barbarze i ich córce nic nie będzie.

– Proszę pana. – Lekarz operujący Barbarę wyglądał na zmęczonego. Stanął koło Rodericka i spojrzał na leżące w inkubatorze dziecko. – Z pańską żoną jest wszystko w porządku. Napędziła nam trochę strachu, ale opanowaliśmy sytuację. Niestety podczas operacji wyniknęły pewne komplikacje i musieliśmy usunąć macicę... Bardzo mi przykro, ale pańska żona nie będzie mogła mieć więcej dzieci.

– Najważniejsze, że żyje. – Odetchnął głośno, nie przywiązując wagi do ostatniej wiadomości. Było mu zupełnie obojętne, czy Barbara będzie mogła mieć jeszcze dzieci, czy też nie. Liczył się fakt, że żyła. – Czy mogę ją zobaczyć?

– Proszę bardzo. Zaraz powinna się wybudzić. Leży w sali pooperacyjnej. – Pokazał ręką koniec korytarza. – Jeszcze jedno – zatrzymał na moment Rodericka – woli jej pan sam powiedzieć, co się stało, czy to ja mam przekazać złe wiadomości? Rozumiem, że są państwo młodzi, chcieliby mieć jeszcze dzieci... – urwał, patrząc ze smutkiem na podłączonego do respiratora malucha. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy...

– Doceniam to i dziękuję panu za wszystko. Sam jej to powiem. – Uścisnął prawą rękę lekarza i odszedł w stronę wskazaną przez swego rozmówcę.

– Od razu widać, jak bardzo ją kocha – Lekarka odprowadziła wzrokiem Rodericka. – Takiego uczucia można pozazdrościć. Szkoda, że los tak bardzo ich doświadczył. Oby tylko to małżeństwo przeżyło. Ich jedyne dziecko... I nie będą mogli mieć więcej... Taka tragedia.

– A słyszeliście już najnowsze wieści o naszej parze z odludzia? – Do lekarzy podeszła młoda, czarnoskóra pielęgniarzka.

– Najnowsze? Czyżby byli wyjątkowo groźnymi przestępcami, poszukiwanymi przez policję? – zażartował mężczyzna.

– Nie są przestępcami, ale policja faktycznie ich poszukuje. To znaczy jej... I ona wcale nie jest jego żoną.

– Co takiego? – zaciekawiał się. – Skąd o tym wiesz?

– Policja powiadomiła rodzinę tej dziewczyny i przed chwilą dzwonił do nas jej narzeczony. Już tu jedzie.

– Ciekawa sprawa. – Doktor podrapał się po nosie. – Ale to już nas nie dotyczy. My zrobiliśmy to, co mogliśmy. A ty masz tę swoją miłość, której tak można pozazdrościć. – Porozumiewawczo mrugnął do młodszej koleżanki po fachu.

* * *

Mgła otępienia powoli ustępowała, a przebijał się przez nią uporczywy ból. Ten ból promieniował z wnętrza ciała, działając otrzeźwiająco na zmysły. Barbara miała

niezwykłe przeświadczenie, że odkryła coś ważnego. Jednak z każdą sekundą, gdy mózg budził się z uśpienia, traciła rozeznanie, o co mogło chodzić. Gdzieś w zakamarkach umysłu kołatała się jej jedna myśl, będąca sensem wszystkiego, chociaż jednocześnie wydająca się abstrakcyjną i odległą. Wreszcie i to uległo zamazaniu pozostawiając tylko ból, który był tak intensywny, że zmusił ją do otworzenia oczu.

Zamrugła powiekami, pozbywając się resztek otępienia. Otaczające ją przedmioty nabrały realnych kształtów. Nie знаła tego miejsca, ani stojącej obok łóżka kobiety. Gdzie podziała się drewniana chatka skryta wśród śniegów Alaski? Gdzie Erick? Czy to wszystko był tylko sen? Czy te miesiące na śnieżnym pustkowiu nigdy się nie wydarzyły?

Wyciągnęła dłoń i dotknęła do brzucha. – Moje dziecko... – wyszeptała w przerażeniu. To nie był sen. Urywki wspomnień zaczęły układać się w obrazy, na podstawie których powoli, z niemałym trudem, rekonstruowała ostatnie wydarzenia. Helikopter, żołnierze, szpital... – Gdzie moje dziecko?

– Proszę się uspokoić. – Pielęgniarka podłączająca kroplówkę, uśmiechnęła się do niej uspokajająco. – Wszystko będzie dobrze. Zaraz przyjdzie do pani mąż.

Mąż? Erick? Jest tu? Nadal tu jest? Odetchnęła z ulgą. Nie zostawił jej, chociaż mógł.

– Mam pani naszyjnik. – Pielęgniarka wyjęła z kieszeni fartucha amulet Billa. – Podczas operacji nie

można mieć na sobie żadnej biżuterii, a nie było czasu, aby przekazać go pani mężowi. Dlatego pozwoliłam sobie przechować go do czasu, aż odzyska pani świadomość.

Wolną ręką, do której nie miała podłączonego wenflonu, z trudem ujęła ten tak ważny przecież przedmiot. Jak mogła o nim zapomnieć? Przez chwilę była zupełnie bezbronna i gdyby Roderick teraz wszedł, poznałby jej najskrytszą tajemnicę. Sekret, którego nie może mu wyjawić.

– Dziękuję. Pomoże mi pani? – zwróciła się do pielęgniarki z prośbą o pomoc z założeniem amuletu. Sama nie byłaby w stanie tego zrobić, a tylko mając go na szyi mogła ukryć swoje myśli.

– Oczywiście. – Kobieta sprawnie przełożyła rzemyk przez głowę dziewczyny. Barbara westchnęła z ulgą i zacisnęła dłoń na medalionie. Była bezpieczna, jej myśli nadal pozostawały skryte przed Robillardem.

W tym momencie w progu sali stanął Roderick. Dostrzegła go od razu i jeszcze mocniej ścisnęła obręcz amuletu. Tak niewiele brakowało, aby odsłoniła przed Erickiem swoje prawdziwe uczucia.

– Jesteś – szepnęła.

– Jestem. – Momentalnie znalazł się koło niej. – Byłem tu przez cały czas.

Pielęgniarka dyskretnie opuściła pomieszczenie zostawiając ich samych.

– A moje dziecko? Co z nim? Nic nie chcą mi powiedzieć... – puściła amulet i ponownie dotknęła dłonią do

brzucha, który teraz był dziwnie płaski. – Co z moim dzieckiem? Proszę cię, powiedz mi prawdę. Ja muszę wiedzieć...

– Żyje. To dziewczynka. Jest wcześniakiem i musiała trafić do inkubatora. Zajmują się nią dobrze. Możesz być spokojna. – Wolał oszczędzić Barbarze szczegółów. Nie chciał, aby martwiła się stanem dziecka. Wierzył, że małenstwo da radę i wyzdrowieje. W końcu w żyłach tej malutkiej istotki płynie jego krew. Jest wojownikiem, tak jak i on, i da radę wygrać ze śmiercią. Po prostu musi. Wierzył w to za siebie i za Barbarę..

– Dziewczynka. .. – powtórzyła. – Widziałeś ją?

– Jest śliczna. Doskonała. Taka malutka. Ma wszystkie paluszki i taki ciemny meszek na główce.

– Damy jej na imię Hope. – Rozmarzyła się. – Niech będzie taką naszą nadzieją.

– Oczywiście... – zgodził się, głaszcząc jej włosy. Nadzieją? Teraz najbardziej potrzebował właśnie nadziei.

– Zaczerpnął głęboko powietrza i spojrzał jej prosto w oczy. – Jest coś, o czym musisz wiedzieć... – zaczął.

* * *

Agent Murdock stał w progu sali i patrzył na leżącą na łóżku Barbarę. Obok niej, na plastikowym, szpitalnym krześle siedział czarnowłosa mężczyzna z głową pochyloną do przodu i opartą czołem o poduszkę dziewczyny. Najwidoczniej oboje spali.

– Co z nią? – Zatrzymał przechodzącą obok pielęgniarkę i pokazał jej swoją odznakę.

– Sytuacja opanowana. Wszystko będzie w porządku – odpowiedziała, przystając przy nim.

– A ten facet? – Wskazał głową na Rodericka.

– To on z nią był. Właściwie uratował ją i dziecko.

Uratował. Ciekawe. Agent ponownie spojrzął na Robillarda, a w tej samej chwili ten podniósł głowę i odwrócił w jego stronę. Murdock jeszcze nigdy nie widział tak przenikliwego wzroku. Czarne oczy mężczyzny, zdawały się pałać jakimś dziwnym blaskiem.

Roderick wstał z krzesła i podszedł do agenta. Dobrze wiedział, kim ten jest i nawet nie zerknął na okazaną legitymację.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań. – Murdock przepuścił go w przejściu i razem zatrzymali się na korytarzu.

– Jeśli to niezbędne...

– Dokładnie. Więc nazywa się pan – zerknął do wyjętego z kieszeni notesu – Erick Robillard i z tego co się orientuję, jest pan potomkiem założycieli Elizabeth Town.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedział, jednocześnie przypominając sobie moment, gdy kupił tę ziemię i po raz pierwszy przybył, aby założyć tam osadę.

– Co pan robił na Alasce razem z Barbarą Bennett? Miał pan coś wspólnego z porwaniem?

– Tak – potwierdził, a widząc zdziwione spojrzenie agenta, dokończył spokojnie. – Także zostałem porwany.

– Nikt nie zgłosił pana zaginięcia – zauważył Murdock.

– Widocznie nikt nie odczuł mojego braku. – Wzruszył ramionami.

– I Barbara Bennett potwierdzi pańską wersję?

– O tym, sam się pan przekona, gdy ją zapyta.

– Trudny z pana rozmówca.

– Każdy mi to mówi.

– Jak udało się wam uciec?

– Mieliśmy szczęście?

– Pan się ze mnie nabija?

– Nie bardziej niż pan ze mnie – odparował.

– To może powie mi pan, kto was porwał? – Murdock nie lubił takich ludzi, wręcz nie cierpiał osobników, którzy śmieli z niego kpić.

– Bardzo niegrzeczne osoby. – Roderick dokładnie znał jego wszystkie myśli i miał z tego niezły ubaw. Postanowił jeszcze trochę podreżczyć agenta, a następnie zakończyć tę, nic niewnoszącą rozmowę. – Niestety nie przedstawili się nam.

– Chce mi pan wmówić, że w pojedynkę udało się wam pokonać dziesiątki kilometrów w minusowej temperaturze, w wysokich zaspach śniegu, podczas zamieci?

– Nic nie chcę panu wmówić, odpowiadam tylko na zadawane pytania.

– Jakoś panu nie wierzę. Temperatura na Alasce w zimie, w tym rejonie spada poniżej trzydziestu stopni Celsjusza. Nie ma szans, aby ktokolwiek bez odpowiedniego przygotowania i ekwipunku, przetrwał w takich warunkach. Musieliby wam pomagać sami diabli.

– Może pomagali. – Już miał dość. Spojrzał agentowi głęboko w oczy i nakazał natychmiastowe zakończenie rozmowy.

– Nie mam więcej pytań. – Murdock schował notes do kieszeni. Wszystkie pytania, które chciał jeszcze zadać, nagle straciły na ważności i wydały się mu po prostu idiotyczne. Cała ta sprawa była głupia. Pewnie coś przeoczyli, ale po co drażnić temat, po co wracać do przeszłości? Dobrze jest tak jak jest. Nagroda została przyznana, awans był całkowicie zasłużony, a najważniejsze – Barbara żyła. Kolejna sprawa zakończona sukcesem. Murdock nie brał pod uwagę innej możliwości, nie miał zamiaru od nowa przerabiać tej historii. Alaska nie jest jego ulubionym miejscem na świecie. Postanowił przygotować notatkę do raportu, wyjaśniającą cudowne odnalezienie Barbary, ale jednocześnie pozwalającą na definitywne zamknięcie dochodzenia, bez konieczności powrotu do niego. W końcu porywacze mogli wpaść w jakąś rozpadlinę skalną, zamrznąć w niej, a ich ciała nigdy nie zostaną odnalezione. Tak, to doskonałe zakończenie.

* * *

Barbara trzymała kurczowo dłoń Rodericka i bała się ją wypuścić. Ile jeszcze mogą być razem? Pewnie niewiele. Za moment wszystko się skończy. On odejdzie i nigdy już nie wróci. Nigdy... Nie mogła nawet o tym myśleć. To, co do niego czuła, te wszystkie wspólne dni i noce spędzone na Alasce... Jak będzie mogła żyć bez niego, udając szczęście u boku Lucasa? To niewykonalne! To ponad jej

siły.

Gdy przekazał jej wiadomość, że już nigdy więcej nie będzie mogła mieć dzieci, przyjęła to ze spokojem. Właściwie nawet poczuła ulgę. Jako żona Lucasa nie miała co liczyć na potomstwo, a sama myślała, że mogłaby spodziewać się dziecka kogoś innego niż Rodericka, wydawała się jej wręcz nieprawdopodobna.

Siedział koło jej łóżka, zdając sobie sprawę z tego, że to ich ostatnie wspólne chwile. Jej ciepły dotyk, jej zapach... Jego Elizabeth... Odnalazł ją po tylu latach i ponownie musi opuścić. Ponownie musi pozwolić jej odejść. Teraz już jednak na całą wieczność. Nigdy nie dowie się, ile dla niego znaczy, nigdy nie pozna prawdy. Na zawsze pozostanie dla niej tylko towarzyszem niedoli, który przez moment udawał kogoś więcej.

– Ericku – szepnęła niepewnie, a on natychmiast pochylił się nad nią i z troską popatrzył na jej nadal tak przeraźliwie bladą twarz.

– Ja chciałam... – W myślach staczała walkę z uczuciem i rozumem. Może powinna mu wyznać, co czuje? Może powinna zapomnieć o tym, co słuszne? I wystawić się na pośmiewisko? Przecież jest dla niego nikim! Spał z nią, tylko dlatego, że nie było innej kobiety. Sam mówił, że już tęskni za tą różnorodnością.

– Co chciałaś? – Pogładził ją po policzku, napawając się tym dotykiem. Pragnął złapać ją w objęcia, przycisnąć do siebie i całować. Powstrzymywał się ostatkiem sił.

– Ja... – Głos jej drżał od tłumionych emocji. Czy

wyznać mu prawdę? Czy narazić się na śmieszność?

Był tak blisko, jego włosy opadały na jej czoło, delikatnie łaskocząc ją po twarzy. Przymknęła oczy, przypominając sobie chwilę, kiedy się kochali. Westchnęła cicho na to wspomnienie. Ileż by dała, aby to mogło się jeszcze powtórzyć.

Patrzył na jej zamknięte powieki, na twarz rozświetloną delikatnym uśmiechem. Jego usta zniżyły się jeszcze bardziej i zawisły kilka milimetrów nad jej wargami. Wstrzymał oddech, próbując się powstrzymać. W tym momencie ona otworzyła oczy i ich spojrzenia napotkały się.

Tkwili tak bez ruchu, zapatrzenie w siebie, wsłuchani w bicie swoich serc. Niezwykła więź, która połączyła ich przed wiekami, nic nie straciła na swej sile. Ta miłość była wieczna, nic nie mogło ich rozdzielić. Nic, tylko oni sami...

– Roderick? – Wyprostował się gwałtownie, słysząc ten głos. Odwrócił się i zobaczył, stojącego w progu Lucasa. Wzrok mężczyzny wyrażał tyle nienawiści... Robillard chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili, Westmoore runął na niego z impetem i przygwoździł do ściany. – Ty świnię! Ty pieprzony dupku! – Lucas z całej siły ścisnął go za gardło. – Jak mogłeś? Zabiję cię!

– Lucasie! – Do sali wpadła Caroline, a zaraz za nią Adam i razem podbiegli do rozwścieczonego Westmoora. Złapali go za ramiona i próbowali odciągnąć od bruneta. – Zostaw go! Zostaw!

– Zabiję! Ten podły pies nie ma prawa chodzić po ziemi! Zabiję!

– Lucasie. – Dopiero głos Barbary, podziałał na niego. Zwolnił uścisk na szyi Robillarda i odwrócił się w stronę dziewczyny. Zobaczył jej przerażone, pełne bólu spojrzenie.

– Zabij mnie – odezwał się Roderick – bo sam nie potrafię się zabić. Wyświadcz mi tę przysługę.

Caroline badawczo spojrzała mu prosto w oczy, jednak wytworzył wkoło siebie barierę, której nie mogła pokonać. Nie widziała jego myśli.

– Roderick mnie uratował – szepnęła Barbara. – Walczył w mojej obronie i był ranny. Gdyby nie on, nie było by mnie tu dzisiaj.

– Uratował? – Lucas szarpnął za bluzę Rodericka i uniósłszy ją do góry, spojrzał na jego tors. Bez problemu zauważył blizny, zadane srebrem. Każda z nich była świadectwem stoczonej walki. Walczył w obronie Barbary? Ale dlaczego?

– Tylko dzięki niemu żyję...

Gwałtownie puścił Rodericka. Wymijając Adama i Caroline, podszedł do łóżka Barbary. Przytulił ją do siebie jak najdroższy na świecie skarb. Żyła. Tyle czasu spędziła sama, gdzieś wśród śniegów Alaski, zdana jedynie na łaskę Rodericka. A jeśli coś ich połączyło? Tak! Gdy tu wszedł, zauważył, jak patrzyli na siebie... Poczuł ukłucie zazdrości. Ale czy to ważne? Liczy się to, że ją odzyskał. Że jest tu z nią. Że ten pogrzeb był niepotrzebny.

– Jak przetrwaliście tyle miesięcy? – Caroline zadała pytanie, które dręczyło Lucasa. – Byliście całkiem sami... I jak udało się wam uciec?

– Monique nam pomogła – odpowiedział, odsuwając się na bok. Pochylił głowę tak, iż włosy zasłoniły mu oczy, ale bacznie obserwował Lucasa tulącego Barbarę. Jakże mu tego zazdrościł.

– Monique?

– To długa historia. – Lekceważąco machnął ręką.

– Mamy czas – przypomniała Caroline, po czym zwróciła się do Barbary. – Bardzo się cieszę, że nic ci nie jest. Nawet nie wiesz, co przeżywaliśmy, gdy myśleliśmy, że straciliśmy cię na zawsze. Te wszystkie dni to był prawdziwy koszmar.

– Dla mnie też – odpowiedziała Barbara, sprawiając, że Roderick poczuł, jak ziemia osuwa mu się spod stóp. Te wszystkie dni to był dla niej koszmar? To wszystko, co ich połączyło? Bawiła się nim. Tylko tyle...

– Ale wreszcie jesteś. Najważniejsze, że żyjesz... Gdy poczujesz się lepiej, wszystko nam opowiesz. A dziecko? – Caroline rozejrzała się dookoła. – Słyszeliśmy, że urodziłaś.

– Dałam jej na imię Hope.

– Dziewczynka. – Panna Westmoore zaklaskała radośnie w ręce. – Muszę ją koniecznie zobaczyć. Chodź Adamie – złapała brata Barbary za rękę – zobaczymy to maleństwo, a gołąbeczki zostawmy same. Niech się sobą nacieszą.

– Tak. – Był zbyt oszołomiony, aby coś powiedzieć. Jego siostra żyła. Wyprawili jej pogrzeb, a ona żyła. Cieszył się, ale jednocześnie czuł taki dziwny ucisk w gardle. To wzruszenie odbierało mu mowę.

– I ty też Rodericku. Zostawmy ich samych. – Caroline ujęła Robillarda pod ramię. – Zaprowadzisz nas do dziecka?

Skinął głową. Widok Lucasa, obejmującego Barbarę był dla niego zbyt bolesny. Miłość jego życia, tulona w objęciach przez innego... Nie! Ale żyła i to było najważniejsze.

– Dziękuję stary, że ją ocaliłeś – szepnął Adam, gdy zmierzali na oddział intensywnej terapii. – Yadira... ona powiedziała, że to ty porwałeś Barbarę. Myśleliśmy, że jesteś sprawcą wszystkiego. Przepraszam...

Yadira? No tak, mógł się tego domyślać, urażona w swej dumie, poprzysięgła mu zemstę, nawet jeśli miałyby to być zemsta z za grobu. Jakimże był głupcem, że dał się jej omotać! Nigdy nie zetrze z siebie tej hańby.

– Nie przejmuj się – odpowiedział niby niedbale. – Przywykłem do bycia tym złym. Uratowałem ją dla kaprysu, nie doszukuj się w tym żadnych podtekstów. Równie dobrze to ja mogłem ją porwać.

Adam zatrzymał się w pół kroku i ze zdziwieniem popatrzył na Robillarda. Takiej odpowiedzi się nie spodziewał.

– Spokojnie – Caroline jak zawsze wystąpiła w roli mediatora. – Nie czas teraz na takie rozmowy. Barbara żyje

i to jest najważniejsze.

Jednak i ona czuła w głębi duszy, że to wszystko wcale nie jest takie proste. Roderick nie należał do osób, które robią coś bez namysłu, dla zwykłego kaprysu. Skąd znalazł się na balu? Skąd wiedział o porwaniu? Dlaczego nie powiadomił ich o planach Basita? Dlaczego nie szukał wsparcia, tylko próbował załatwić tę sprawę samodzielnie?

Czyżby notatnik, który znalazła ukryty pod koszulami w jego szafie był odpowiedzią na wszystkie pytania? Roderick zakochał się w Barbarze? Stała się jego obsesją? Czy na tym śnieżnym pustkowiu połączyło ich coś więcej, w końcu kiedyś Barbara przyznała, że Robillard nie jest jej obojętny. Tak! Coś musiało się stać! Dziś, gdy weszli do szpitalnego pokoju, mogli zauważyć tych dwoje, jak patrzyli sobie prosto w oczy. To spojrzenie było wielce wymowne i Caroline miała nieodparte przeczucie, że gdyby zjawili się kilka chwil później trafiliby na scenę pocałunku.

Przeraziła się tą myślą, gdyż zdawała sobie sprawę do czego byłby zdolny Lucas. Jeśli faktycznie między Barbarą a Roderickiem coś zapłonęło, to trzeba jak najprędzej zgasić ten płomień, zanim spopieli wszystko.

Podeszli do dużej szyby, oddzielającej oddział intensywnej terapii noworodków od korytarza. Roderick stanął i wskazał głową na widoczny w dali inkubator. Mała kruzynka, otoczona niezliczoną ilością rurek, kabli i aparatów, leżała bez ruchu, a jej klatka piersiowa unosiła się rytmicznie pod wpływem powietrza wtłaczanego za

pomocą respiratora. Caroline zadrżała na ten widok.

– Jaka ona maleńka – szepnęła ze łzami w oczach.

– Czy wszystko będzie z nią dobrze? – Adam mimowolnie zacisnął dłonie. Czuł ogromną bezradność.

– Możecie pogadać z lekarzem. – Roderick udawał obojętność. Nie był już tu potrzebny. Wykonał swoje zadanie, a teraz powinien zniknąć, odejść jak najdalej. Zapomnieć... Nie! Zapomnieć nigdy nie zdoła!

– To twoja córka – przypomniała Caroline, przenosząc wzrok z dziecka na Robillarda. – Co czujesz, gdy ją widzisz? – zapytała badawczo, mając nadzieję, że może odsłoni swoje prawdziwe uczucia.

– Nic! To tylko mała, bezbronna istota, która nie ma ze mną nic wspólnego. Lucas będzie dla niej najlepszym ojcem. – Jego oczy lśniły dziwnym blaskiem. Caroline wiedziała, co to oznacza. W duszy Rodericka trwała straszna walka. Starał się oszukiwać sam siebie, ale jego wzrok zdradzał wszystko.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytała podejrzliwie.

– Dajcie mi już święty spokój! Mam zamiar wreszcie dobrze się bawić! Te wszystkie tygodnie spędzone w odosobnieniu, wreszcie się skończyły.

– Co zamierzasz?

– Nie twój interes! To moje życie i mój wybór. – Włożył ręce do kieszeni spodni i odwróciwszy się plecami do szyby, oddzielającej go od malutkiej Hope, ruszył korytarzem w stronę wyjścia. Caroline popatrzyła za nim.

Skrywał coś w głębi swojej duszy. Miała pewność, że

coś ukrywa. Udawał kogoś, kim wcale nie był. Przez chwilę czuła, że to ten sam Roderick, którego знаła w czasach Elizabeth, ale tak szybko przybrał maskę obojętnego, zimnego typa. Nie był taki. To tylko pozory. Jego oczy nie kłamały. Dlaczego jednak odstawia tę całą szopkę? Co chce tym osiągnąć? Chyba, że... Ta myśl, wydała się Caroline wręcz nieprawdopodobne. Zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad tym intensywnie. Czy to możliwe, żeby Barbara była Elizabeth? A jeśli Roderick o tym wiedział? A jeśli... Nie! To absurd! Barbara kocha Lucasa, Lucas kocha Barbarę, a Roderick może to wszystko zepsuć. Najlepiej dla wszystkich byłoby gdyby zniknął z ich życia.

Szedł przed siebie, mijając kolejne sale. Nie zatrzymywał się, chciał odejść jak najdalej i nigdy już tu nie wracać. Przechodząc obok pokoju zajmowanego przez Barbarę, mimowolnie zwolnił. W szparze uchylonych drzwi dostrzegł Lucasa, całującego twarz dziewczyny. Tulił ją do siebie, a ona odwzajemniała uścisk. Koniec! Wszystko skończone! Już nie ma powrotu. Elizabeth nigdy nie wróci. Jak żyć? Jak do cholery ma teraz żyć?

* * *

To takie niesamowite, wręcz nierealne – trzymać Barbarę w objęciach, czuć jej zapach. Znowu z nią być. Wszystko, co złe, przeminęło. Odzyskał ją i teraz już nic nie mogło stanąć na drodze ich szczęścia.

Angelina... Lucas nie myślał w tej chwili o pannie Stewart, która przecież pomogła mu przejść przez najgor-

sze. Była przy nim przez wszystkie te dni, kiedy stracił sens życia. Cierpliwie znosiła humory zrozpaczonego mężczyzny, dbała o wygodę. Stała się niemalże jego służącą, sama nie dostając nic w zamian. Zapomniał o niej tak łatwo. Całkowicie wymazał ze swojej pamięci, a przecież niewiele brakowało, aby wtedy w lesie... Nieważne!

Z nabożną czcią wpatrywał się w blade oblicze Barbary. Jej wielkie, niebieskie oczy, wydawały się jeszcze większe, a sine obwódki, które się pod nimi utworzyły, potęgowały to wrażenie. Ile musiała wycierpieć, ile musiała znieść na tym odludziu? Nierówno obcięte nad prawym uchem włosy, które powoli odrastały, przypomniały mu o dowodzie rzeczowym okazanym przez szeryfa.

– Chciałabym zobaczyć Hope. – Prośba Barbary wyrwała go z rozmyślań. W pierwszej chwili nawet nie zrozumiał, o co jej chodzi, dopiero po namyśle uzmysłowił sobie, że mówi o dziecku.

– Teraz? – Ten pomysł nie wydał mu się dobry. Od czterech dni był razem z nią w szpitalu, ale ani razu jeszcze nie widział dziecka. Nie chciał go widzieć. Wystarczy, że Caroline i Adam rozpływali się nad urodą malucha. Co go obchodzi meszek na jego główce? Przybiera na wadze? Niech przybiera! Tak jakby to miało dla niego jakieś znaczenie!

To dziecko nie było jego! Mimo iż bardzo się starał, nie potrafił zapomnieć, kto tak naprawdę jest jego ojcem. Roderick! Ze wszystkich istot na całym świecie – właśnie on! Już Nat byłby lepszy, już łatwiej byłoby mu znieść tę

myśl. Dziecko Rodericka. Dziecko Barbary.

– Jeszcze jej nie widziałam. – Barbara ścisnęła dłoń Lucasa i spojrzał na niego błagalnie. – Gdybyś mnie tam zawiózł...

– Jutro – zapewnił pospiesznie. – Dziś już jest zbyt późno.

– Proszę...

– Barbaro, wzmocnij się, nabierz sił. Dziecko potrzebuje silnej, zdrowej matki. Teraz musisz myśleć wyłącznie o sobie. Zadbać o siebie – tłumaczył jej, aby tylko odwlec chwilę, gdy będzie musiał zobaczyć maleństwo. – Jutro cię do niej zabiorę. Obiecuję.

– Na pewno?

– Tak. Nie mógłbym cię okłamać.

Okłamać... Przymknęła powieki, znowu myślami zwracając się ku Roderickowi. Nie powiedziała Lucasowi o tym, co działo się w chatce myśliwskiej. Nie wyznała mu swojego sekretu. Nie potrafiła go zranić. Kłamała... Ciagle kłamała i miała to robić już do końca życia.

– Panie Westmoore. – Do sali zajrzał dyrektor szpitala i na powitanie skinął głową Barbarze. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałbym zamienić z panem kilka słów.

– Czy to konieczne? – Odwrócił się w jego stronę.

– Tak. Chodzi o kwestie finansowe. Wyniknęły pewne problemy...

– Problemy?

– To tylko formalność. Potrzebujemy kilku pana pod-

pisów i numeru karty.

– Nie chciałbym zostawiać narzeczonej samej...

– Wróci pan w ciągu kilkunastu minut – zapewnił dyrektor. – Przepraszam, ale takie są wymogi.

– I tak chce mi się spać. Idź. – Barbara uśmiechnęła się do Lucasa.

– Zaraz wracam. – Pochylił się nad nią i złożył na jej ustach długi pocałunek. Zbyt długi. Wszystko w niej sprzeciwiało się tej czułości, ale nie dała tego po sobie poznać.

Pierwszy raz od czasu, gdy znalazła się w szpitalu, nie było przy niej nikogo. Przymknęła oczy, wsłuchując się w przytłumione odgłosy dobiegające z korytarza. Chciała zasnąć, ale sen nie nadchodził. Gładziła dłonią prześciera-
dło, rozprostowując pomarszczony materiał. Ogromny, przytłaczający żal ścisnął jej serce. Od kilku dni nie widziała Rodericka i domyślała się, że raczej już go nie zobaczy. Nawet nie przyszedł się pożegnać. Po tym wszystkim, co wydarzyło się między nimi...

Nagle drzwi otworzyły się i ktoś podszedł do jej łóżka. Poczowała delikatny dotyk na swojej dłoni. Jeszcze zanim uniosła powieki, była pewna, że to on. Jednak przyszedł!

Stał tuż obok a widząc, że się budzi, pospiesznie cofnął rękę, którą gładził jej skórę. Zauważyła, że znowu ubrany był na czarno, znowu elegancki i czarujący jak zawsze.

– Ty... – wyszeptała niepewnie. Czekwała na jego przyjscie, ale jednocześnie wątpiła, aby zdecydował się ją

odwiedzić. W końcu nic dla niego nie znaczyła. Te wszystkie piękne dni i noce, które spędzili razem w leśnej chatce, wydawały się teraz jedynie snem.

– Chciałem cię zobaczyć...

Chciał ją zobaczyć? Jej serce zaczęło szybciej bić. Bum, bum, bum... Jak wtedy, we śnie.

– Cieszę się, że przyszedłeś – odpowiedziała z trudem.

– Myślałam, że wyjechałeś.

– Masz teraz lepsze towarzystwo niż ja – zaśmiał się, ale nie był to radosny śmiech, raczej pełen szyderstwa.

– Ocaliłeś mi życie, a ja nawet nie zdążyłam ci podziękować.

– Nie musisz.

– Dzięki tobie mam Hope. Dałeś mi ją dwa razy. Wtedy gdy... – zająknęła się na wspomnienie tamtej chwili – gdy dopełniłeś Obrządku Początku i teraz, kiedy nas uratowałeś.

– Znalazłem się tylko w odpowiednim miejscu, w odpowiednim czasie. – Zbagatelizował sprawę.

– Gdyby nie ty...

– Może lepiej nie gdybajmy – zaproponował odwracając się do niej plecami i podchodząc do drzwi. To nie był dobry pomysł, że się tu dziś zjawiał. Myślał, że śpi... Pokusa była zbyt wielka. Musiał ją zobaczyć, chociaż nie powinien. Po co wciąż na nowo rozdrapywać ciągle krwawiącą ranę? – Życzę ci wszystkiego najlepszego. I Hope także. Mamy... masz wspaniałą córkę.

– Nawet jej jeszcze nie widziałam. – Pragnęła go za-

trzymać, ale nie wiedziała jak. – Caroline mi o niej opowiada, ale to nie to samo. Tyle czasu nosiłam ją pod sercem, czułam jej ruchy, a teraz nawet nie mogę na nią spojrzeć, nie mogę przytulić...

– Jeszcze nie widziałaś Hope? – Już trzymał rękę na klamce, ale cofnął ją i odwrócił się w stronę dziewczyny. To, co mówiła, wydało się mu takie nieprawdopodobne. Jak to, Lucas nie zabrał jej do dziecka? Nie pokazał go?

Przecząco pokręciła głową.

Bez chwili wahania zawrócił, a podszedłszy do łóżka pochylił się i najdelikatniej jak potrafił wziął Barbarę na rękę. Jednak mimo to i tak skrzywiła się z bólu. Rana po operacji nadal jej dokuczała utrudniając w pełni sprawne poruszanie się.

– Przepraszam – wyszeptał.

– Co robisz? – zapytała niepewnie.

– To co powinien zrobić ktoś inny – odpowiedział. Przycisnął do siebie drobne ciało, okryte cienką, szpitalną koszulą, po czym ruszył w stronę drzwi. Wtuliła się w jego ramiona, czując się tak jak wtedy, wśród śniegów Alaski.

Szybko pokonali odległość dzielącą ich od oddziału intensywnej terapii noworodków. Roderick zatrzymał się przed szklaną szybą i wskazał głową na stojący pośrodku inkubator.

– To jest Hope – powiedział głosem drżącym od emocji. Spojrzała tam, gdzie pokazywał. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Hope – powtórzyła, dotykając dłonią zimnej szyby.

Ledwie widziała tę drobniutką postać. Jej dziecko... – Tyle tych maszyn... O Boże, czy to ją boli? Jest taka samotna, pośród tych wszystkich urządzeń. Nie mogę jej przytulić... Ona mnie potrzebuje!

Popatrzył na nią i nagle zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi z napisem „Wstęp tylko dla personelu”.

– Tu nie wolno wchodzić! – Dyżurna pielęgniarka podbiegła do nich, ale wystarczyło jedno spojrzenie Rodericka, aby grzecznie usunęła się na bok. Nikt nie mógł mu przeszkodzić w zobaczeniu własnego dziecka.

Tulił do siebie Barbarę, a ona czule gładziła dłonią inkubator, w którym leżała ich córeczka. Malutkie ciało dziecka unosiło się przy każdej kolejnej dawce, wtłaczanego do płuc powietrza. Drobna figurka, przypominająca bardziej lalkę niż człowieka, zdawała się ginać w plątaninie rurek i przewodów. Pisk maszyny monitorującej funkcje życiowe systematycznie przerywał ciszę. Na szczęście według zapewnień lekarzy stan zdrowia dziewczynki ulegał powolnej, stopniowej poprawie. Nie doszło do wylewu, a wszystkie inne parametry świadczyły o coraz lepszym przystosowywaniu się organizmu do podjęcia samodzielnej pracy bez potrzeby wspomagania całym tym skomplikowanym osprzętem.

– Jaka ona piękna. – Uśmiech rozjaśnił twarz Barbary.
– Nasze dziecko.

Nie mówił nic, nie potrafił. Jego dziecko. Czuł to wszystkimi swoimi zmysłami. Ta kruszynka była częścią jego, chociaż nie dał jej życia w tradycyjny sposób. Gdyby

był człowiekiem... Nienawidził się za to, kim jest. Pogardzał samym sobą. Obrządek Początku, o którym nie miał nawet pojęcia, sprawił, że oto stał się ojcem. Nigdy nie sądził, że spotka go coś takiego. Teraz jednak był pewien, że nie zrezygnowałyby z tego za żadne skarby świata. Może i stracił Elizabeth na zawsze. Może już nigdy nie zazna szczęścia, ale ta mała kruszynka, to bezbronne dziecko jest częścią jego i ma szansę na normalne życie. Przynajmniej ono.

Mocniej przytulił do siebie Barbarę, a ona uniosła na niego rozświetlone radością oczy. Nie zdołał się powstrzymać przed tym, co nim zawładnęło. Pocałował ją z całą pasją i namiętnością, na jakie tylko było go stać. Odwzajemniła pocałunek i oplotła ręce wkoło jego szyi.

Nie! Nie może jej tego zrobić! Nie po tym wszystkim, co uczynił złego! Jest tylko śmieciem nie zasługującym na miłość! Nie ma prawa niszczyć jej życia! Elizabeth kiedyś poświęciła się dla niego, teraz czas, aby on zrezygnował z własnego szczęścia. Barbara zasługuje na wszystko, co najlepsze, a on nie mógłby jej tego dać. Nie po tym, kim się stał.

– To pożegnanie Barbaro – szepnął, odsuwając usta od jej warg. Przyszło mu to z prawdziwym trudem, ale jednak zdecydował się na ten gest. – Żyj i bądź szczęśliwa. Wypełniłem swoją obietnicę. Niech będzie tak, jakbyśmy nigdy się nie spotkali.

Nie odpowiedziała nic. Właśnie straciła ostatnią nadzieję. Nadszedł moment, którego tak bardzo się obawiała.

Pozwoliła, aby odniósł ją do pokoju i położył na łóżku. W milczeniu patrzyła na niego, z trudem powstrzymując szloch. Nie pocałował jej więcej. W ogóle się nie odezwał. Otulił ją kołdrą i opuścił salę. Miała wręcz wrażenie, że niczym zjawa rozpląnął się w powietrzu.

Czy to wydarzyło się naprawdę? Może to kolejny sen? Dotknęła dłonią do ust, na których ciągle czuła jeszcze jego smak. Był tu? Pocałował ją? Ale po co miałyby to robić?

– Przepraszam kochanie. – W tym momencie wrócił Lucas. – Wybacz, że tak długo mnie nie było, ale formalności zawsze są kłopotliwe. W każdym razie wszystko już załatwiłem i...

– Nie opuszczaj mnie więcej! – krzyknęła rozpaczliwie, wybuchając spazmatycznym szlochem. – Proszę, nie zostawiaj mnie samej!

– Kochanie! – Dopadł do niej i pochwycił w ramiona. Mocno przytulił do siebie, nie zważając, iż mimowolnie sprawia jej ból. – Nigdy cię nie opuszczę. Zawsze będę z tobą. Przez całą wieczność.

Nadal płakała, nie potrafiąc pohamować przepelniającej ją żalości. To nie jego pragnęła. To nie z jego ust chciała usłyszeć te słowa. Roderick odszedł, a jej pozostał Lucas. Namiastka czegoś, co było już nieosiągalne. Czy można oszukać własne serce i wmówić mu, że potrafi pokochać kogoś innego? Czy można oszukać własne zmysły, powtarzając aż do znudzenia, że miłość nie jest najważniejsza? Czy można okłamać kogoś, kto obdarza nas uczuciem? Czasem trzeba, bo inaczej życie byłoby

prawdziwą torturą. Dlatego będzie kłamać, dlatego będzie oszukiwać innych i przede wszystkim samą siebie. Nie pozwoli się skrzywdzić. Będzie szczęśliwa mimo wszystko. Na przekór światu. Będzie szczęśliwa. Musi być...

* * *

Lucas ze złością popatrzył na puste łóżko Barbary. Znowu wyszła z sali i zapewne tak jak wczoraj, przedwczoraj, i przez wszystkie poprzednie dni, odkąd pozwolono jej chodzić, wybrała się do dziecka. Nie rozumiał tego jej głupiego uporu. Stać kilka godzin przy czymś przypominającym akwarium i wpatrywać się w nieruchome małństwo? Już rybki są ciekawsze, bo przynajmniej pływają. Takie dziecko tylko leży, a pisk aparatury nieprzyjemnie drażni uszy.

Nie lubił tego miejsca. Po prostu nie cierpiał. Hope w pewien sposób odbierała mu Barbarę, absorbowała całą jej uwagę. Próbował zrozumieć, co też takiego dziewczyna widzi w tej pomarszczonej istotce, ale nie znalazł nic tłumaczącego to irracjonalne zachowanie. Widocznie matki nie myślą logicznie, jeśli potrafią zachwycać się czymś tak paskudnym.

Zrezygnowany udał się na OIOM, gdzie nadal przebywała mała Hope. Oczywiście Barbara stała przy inkubatorze i jak zwykle czułym wzrokiem wpatrywała się w to coś pokraczego.

– Dziś otworzyła oczy – krzyknęła radośnie na jego widok. – Ma takie granatowe, śliczne oczka. Patrzyła na mnie. Naprawdę patrzyła.

– Po to są oczy, aby nimi patrzeć. – Nie okazał entuzjazmu. Podszedł do niej i objął ją od tyłu w pasie. Oparł brodę o jej ramię. – Rozmawiałem z twoim lekarzem. Możesz wracać do domu.

– Możemy wracać? – Była taka podekscytowana.

– Ty możesz. Ona musi zostać. Jeszcze jest zbyt mała.

– To ja też zostaję. – Cała jej radość ulotniła się w jednej chwili. – Nie wracam bez Hope.

– Kochanie, to dziecko wymaga specjalistycznej opieki lekarskiej, nie można go stąd zabrać. Ty jednak jesteś już zupełnie zdrowa. Pomyśl o ciotce, która na ciebie czeka w Elizabeth Town. Opłakała twoją śmierć... Nie chcesz się z nią zobaczyć?

– A Hope?

– Hope! Hope! Hope! – Zdenerwował się. – Ciągłe tylko to dziecko. Przestań wreszcie myśleć tylko o nim. Gdzie w tym wszystkim miejsce dla mnie?

Umilkła, skupiając całą uwagę na swojej córeczce. Nie mogła jej zostawić. To, o co prosił Lucas, było niewykonalne. Nie mogłaby tak po prostu wrócić do domu i nie przejmować się losem Hope? Poza tym ta maleńka kruzynka była jej jedynym łącznikiem z Roderickiem, czymś, co pozwalało jej nadal żyć. Bez niej straciłaby sens istnienia.

– Lekarz jeszcze dziś podpisze twój wypis. – Poinformował beznamiętnym tonem.

– Nie. – Wyswobodziła się z jego uścisku. – Nie wracam bez niej.

– Głupoty gadasz.

– Nie! Wrócę tylko z nią. Ona jest częścią mnie. Myślałam, że to zaakceptowałeś, ale widzę, że stanowi to dla ciebie problem. Jeśli będę musiała wybierać między tobą a dzieckiem, zawsze wybiorę dziecko.

Zacisnął pięści. Roderick! Wszystko przez tego drańia! Jego cholerne dziecko!

– Ok! Porozmawiam z lekarzem o transporcie Hope do Springfield.

– Dziękuję.

– Zaraz wracam. – Przelotnie spojrzął na maleństwo i spróbował przekonać samego siebie, że będzie umiał być dobrym ojcem. Chciał w to uwierzyć, ale nie potrafił. To dziecko było mu zupełnie obce, nie czuł z nim żadnej więzi. Dla Barbary... Nigdy nie myślał, że to będzie takie ciężkie.

ŚCIEŻKI LOSU

Roderick stał na wysokiej skarpie i patrzył przed siebie, wprost na lazurową toń Morza Tyrreńskiego. Tafla wody była spokojna, niemalże gładka jak lustro, zlewająca się przy widnokręgu w jedno z błękitem nieba. W oddali, na linii horyzontu, majaczyła sylwetka statku, zdającego się wyłaniać wprost z chmur.

Lekki wietrzyk rozwiewał czarne włosy mężczyzny, co chwilę przesłaniając mu oczy, jednak ten nie reagował. Niczym wykuty w czarnej skale, stał milczący, jakby nieobecny duchem.

Nie wrócił do Elizabeth Town. Nie mógł. Wszystko tam przypominałoby mu Barbarę. Postanowił pojechać do Castiglioncello, gdzie przed laty przybył wraz z Kyle'em.

Ile czasu minęło od jego ostatniego pobytu tutaj? Ponad sześćdziesiąt lat, ale miał wrażenie, że od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku nic się nie zmieniło. Wtedy też był taki pogodny, słoneczny, ciepły dzień i nic nie zapowiadało mającej nastąpić tragedii...

Wojna przyniosła ogrom cierpień wielu ludziom. Niczym niszczycielska lawina ogarniała swoim zasięgiem coraz większe części świata, wszędzie zbierając śmiertelne żniwo. Przebywał wtedy w Brazylii, ale postanowił wrócić do Europy, aby zapewnić ochronę tym, którzy byli mu przecież tak bliscy – potomkom Kyle'a.

Nadal mieszkali w swoim majątku ziemskim, otoczonym przez winnice. Z dala od wszelkiej zawieruchy

wojennej. Obserwował ich z oddali. Widział, jak prowadzą zwykłe, uporządkowane życie. Byli szczęśliwi i bezpieczni, tym bardziej, że on znajdował się w pobliżu.

Tamtego dnia wybrał się rano na polowanie – od kilku dni pościł i czuł, że nadszedł najwyższy czas, aby wreszcie pomyśleć o sobie. Nie chciał polować w okolicy domu Robillardów, aby nie zakłócać ich normalnej egzystencji. Specjalnie wybrał się dalej w głąb lądu. Pogoda była idealna, a on zachłysnął się tą swobodą i beztróską, zapominając o wojnie i jej okropieństwach. To wszystko wydawało mu się takie odległe i nierealne. Słońce świeciło, wiał lekki wietrzyk, od winnic czuć było zapach winorośli. Sielski, pagórkowaty krajobraz włoskiego południa i niesamowicie błękitne niebo, czegoż więcej potrzeba do szczęścia?

Wracał niespiesznie poboczem drogi, kryjąc się w cieniu drzew przed palącym słońcem. Nagle usłyszał dźwięk silnika samochodu. Zdażył się schować pomiędzy krzakami, gdy nadjechała kawalkada wozów wojskowych. Obserwował, jak zmierzały w kierunku majątku ziemskiego, który przed chwilą mijał. Patrzył za nimi dobrze wiedząc, co oznacza taki oddział żołnierzy. Oni nie jechali na wycieczkę krajoznawczo–turystyczną.

Ruszył dalej, próbując przekonać samego siebie, że to nie jego sprawa i nie ma powodu przejmować się losem mieszkających w pobliżu osób. Jednak radosny nastrój letniego dnia, gdzieś się ulotnił. Śpiew ptaków brzmiał dziwnie obco, a ziemia wydała się spalona promieniami

słonecznymi. Nie może pozostać obojętnym!

Ale to nie jego sprawa! Nie zna tych ludzi! Co niby miałby zrobić? To nie jego rodzina! Jest wojna, codziennie ginie wiele tysięcy osób, cóż więc znaczy te kilka trupów więcej! Najważniejsze, że Robillardowie są bezpieczni.

Nie oglądał się za siebie. Zacisnął pięści i szedł do przodu, starając się skoncentrować myśli na czymś innym. Jeden krok, drugi... To nie jego sprawa! Nie ocali całego świata! Ale niektórych może... Przynajmniej powinien spróbować.

Zatrzymał się, jeszcze przez chwilę niepewny swojej decyzji. Obcy ludzie... Dlaczego nie może o tym zapomnieć? W końcu zawrócił i przemykając pomiędzy drzewami, niezauważony przez nikogo, dotarł do pierwszych zabudowań.

Na niewielkim, kwadratowym dziedzińcu piętrowego, murowanego dworku, stał duży wóz ciężarowy z brezentowym tyłem. Tuż obok zaparkował odkryty samochód wojskowy, za którym ustawiły się dwa motocykle z przyczepkami pasażerskimi. W chwili obecnej pojazdy były puste, gdyż żołnierze, którzy nimi przyjechali, znajdowali się w pobliżu stajni, zamykającej jeden z boków dziedzińca.

Roderick przemieścił się za samochód, skąd miał doskonały widok na to, co działo się przed budynkiem gospodarczym. Zobaczył czternastoosobową grupkę ludzi: kobiety, mężczyzn i dzieci. Każda z osób miała ręce uniesione do góry i założone za głowę. Widać było, że zostali

oderwani od swoich codziennych zajęć. Niektórzy mężczyźni mieli jeszcze na nogach charakterystyczne gumaki, jakie zakłada się idąc w pole, zaś kobiety w białych fartuchach musiały zostać odciągnięte od prac kuchennych – ich stroje były pobrudzone mąką, widocznie przygotowywały obiad. Wszyscy zostali ustawieni pod ścianą, a oddział niemieckich żołnierzy celował do nich z karabinów.

Stojący z boku dowódca, ubrany w nieskazitelnie czysty, świeżo odprasowany mundur, oraz błyszczące niczym lustrzana tafla oficerki, wyjął z kieszeni na piersi złotą papierośnicę i teatralnym gestem wydobywszy z jej wnętrza papierosa, włożył go spokojnie do ust. Chwilę trwało zanim schował z powrotem swoje złote cudo, a jeden z dwóch adiutantów usłużnie podsunął mu zapaloną zapalniczkę. Papieros zaczął się tlić. Mężczyzna zaciągnął się głęboko, delektując jego smakiem, po czym spokojnie wydmuchnął obłoczek dymu. Wolnym, pełnym dostojeństwa krokiem przeszedł tuż przed szpalerem żołnierzy, rzucając pełne pogardy spojrzenia na ustawionych pod ścianą ludzi.

– Zachciało się wam partyzantki? Występujecie przeciwko Rzeszy Niemieckiej? – zapytał, przystając na wprost szczupłego, ciemnowłosego mężczyzny, który najwyraźniej był właścicielem tego majątku ziemskiego.

– Nic nie zrobiliśmy – odpowiedział zapytany, odważnie patrząc w oczy oficerowi.

– Kłamiesz! – Dowódcę z równowagi wyprowadziło

harde spojrzenie mężczyzny. Przestał się uśmiechać i z rozmachem wymierzył Włochowi policzek.

Stojąca obok kobieta, zaniósła się szlochem, który tylko wpłynął na poprawę humoru wojskowego. Ponownie się uśmiechnął, ale nie był to uśmiech radości, czy też sympatii. Czaiła się w nim perfidia i okrucieństwo. Od-rzucił tłącego się papierosa, po czym dokładnie rozdeptał go obcasem. Z namysłem, przedłużając teatralnie czyn-ność, wyjął z kabury pistolet i przystawił go do głowy płaczącej.

– Może to odświeży ci pamięć! To jak? Wystąpiłicie przeciwko Rzeszy Niemieckiej, czy mam odstrzelić jej tę piękną główkę? – ponowił pytanie, zwracając się do tego samego mężczyzny i jednocześnie odbezpieczając broń. – Zastanów się dobrze, zanim udzielisz mi odpowiedzi.

– Wystąpiliśmy...

Oficer roześmiał się, tak jakby usłyszał dobry dowcip. Jeszcze przez chwilę trzymał broń przyłożoną do skroni kobiety, ale najwyraźniej nie miał ochoty brudzić sobie dłoni czymś takim jak własnoręczne wykonanie wyroku.

– No to mamy winnych. – Schował pistolet do kabury i strząsnął z klapy munduru niewidoczny pyłek. Pełnym dostojeństwa krokiem odszedł na bok, nie patrząc na ustawionych pod ścianą nieszczęśników.

Roderick obserwował wszystko z ukrycia, ciągle wa-hając się, czy powinien zainterweniować. W myślach po-wtarzał sobie, że całego świata nie uratuje, że przecież mogło go tu dziś nie być. Mogło, ale jednak jest!

– Mamo, kiedy oni pozwolą mi wrócić do zabawy? – Nagle usłyszał głos małej, ciemnowłosej dziewczynki, która stała uczepiona spódnicy płaczącej kobiety. Spojrzał na dziecko i poczuł ukłucie w sercu. Elizabeth chciałaby, aby pomógł tym ludziom. Nie mógł jej zawieść. Jednak zanim podjął decyzję do jego uszu dobiegł opanowany, pozbawiony uczuć głos niemieckiego dowódcy.

– Cel! Pal!

Odwrócił się w stronę skąd padły te słowa. Zobaczył uśmiech na twarzy oficera. Rzucił się do przodu w momencie, gdy huk wystrzałów odbił się echem od ścian budynków. Nawet nie było słychać krzyków ofiar. Ludzie po prostu padli na ziemię, jak kręgle przewrócone toczącą się kulą.

Przez moment panowała cisza, którą jednak przerwał nieludzki, wręcz przerażający wrzask. To wycie zmroziło oprawców. Zaskoczeni, skonsternowani rozglądali się dookoła, szukając źródła dźwięku.

Robillard dopadł do oficera i zanim ten zorientował się w sytuacji, wgryzł się w jego tętnicę szyjną. Strumień krwi trysnął na nieskazitelnie czysty mundur, na te wypolowane oficerki. Roderick ze wstrętem wypluł czerwoną ciecz, która dostała się mu do ust. Nie pił krwi ludzkiej od prawie stu lat i nie zamierzał tego zmieniać, tym bardziej, że należała ona do tak perfidnego osobnika.

Żołnierze po chwilowej dekoncentracji, zlokalizowali źródło zagrożenia, a myśląc, że mają do czynienia ze zwykłym partyzantem, wycelowali w niego swoje kara-

biny. Dwaj adiutanci próbowali podejść do Rodericka od tyłu, ale błyskawicznie wyciągnął z kabury martwego dowódcy pistolet i odrzuciwszy już niepotrzebne ciało, wystrzelił do jednego z przybocznych. Zaśmiał się nienaturalnie, widząc jak żołnierz osuwa się na kolana. Wykonał koziołka w powietrzu i momentalnie znalazł się za plecami drugiego adiutanta. Schwycił go w pasie, uniemożliwiając jakikolwiek ruch i gruchocząc przy tym kości. Czuł jak te pękają pod jego naporem. Trzymając przed sobą ciało swojej kolejnej ofiary, odwrócił się w stronę zszokowanych żołnierzy z plutonu egzekucyjnego. Seria z karabinów dosięgła tej jego dziwnej, ludzkiej tarczy, dziurawiąc ją jak sito. Roderick pchnął trupa przed siebie i postąpił do przodu. Kule trafiały w niego raz za razem, a on śmiał się jak opętany, widząc przerażenie tych, którzy dopiero sami uznawali się za panów życia i śmierci.

Skoczył do pierwszego z brzegu żołnierza i błyskawicznie wyrwał mu karabin z ręki. Zamachnął się, i jednym ciosem kolby zgruchotał czaszkę zaskoczonych mężczyzny. Korzystając ze swej nadludzkiej szybkości, po kolei rozprawił się z każdym z oprawców. Łamał im karki, rozszarpał gardła, roztrzaskiwał czaszki. Nie znał umiaru, ani litości. Krew pokryła dziedziniec, rozlewając się niby rzeka. Pograżony w szaleństwie, pastwił się nad trupami zabitych żołnierzy. Wreszcie przestał.

Wyprostował się i potoczył wzrokiem dookoła. Ciała zabitych rozrzucone były dookoła, niektóre nie miały głów, inne pozbawione były kończyn. Sam to zrobił. Stąpając

pomiędzy zwłokami, podszedł do ściany stajni i popatrzył na tych, których nie zdołał uratować. Zawiódł, kolejny raz zawiódł.

Nagle usłyszał coś dziwnego. Bicie serca. Nie jego serca. Ten dźwięk był taki wyraźny, serce biło szybko, jakby ogarnięte przerażeniem. Rozejrzał się, dokładnie lustrując okolicę i wtedy spostrzegł małą dziewczynkę, tę samą, która wcześniej pytała o to, kiedy będzie mogła wrócić do zabawy. Dziewczynka leżała wtulona w ramiona matki i z lękiem patrzyła na Rodericka.

Pochylił się nad dzieckiem i wyswobodził z objęć nieboszczki. Mała, ciemnowłosa dziewczynka o niezwykle zielonych tęczówkach, dygotała niczym z zimna, ale to nie chłód, tylko przejmujący, paraliżujący strach w ten sposób ujawniał swoją władzę nad nią. Dostrzegł draśnięcie na jej ramieniu i zrozumiał, że dzięki poświęceniu matki, która zasłoniła dziecko własnym ciałem, kula zaledwie ją musnęła.

– Już wszystko dobrze – starał się przemawiać spokojnym, ciepłym tonem, aby trochę uspokoić roztrzęsioną dziewczynkę. – Nie zrobię ci krzywdy.

Patrzyła na niego w milczeniu. Dopiero teraz zrozumiał, jak strasznie musi wyglądać z twarzą całą we krwi, z ubraniem podziurawionym od kul. Mała na pewno widziała wszystko, co zrobił.

– Mamusia. – Dziewczynka odwróciła się w stronę ciała kobiety.

– Ciii – wziął ją na ręce i przytulił do siebie tak, aby

nie widziała zwłok matki. Przerazenie dziecka było ogromne. Nawet nie płakała, tylko dygotała niczym galareta. Zasłonił jej oczy dłonią, idąc przez pobojuwisko, które jeszcze kilka minut temu było zwykłym dziedzińcem.

– A Pan Miś? – zapytała niepewnie, cichutkim głosem, a on zrozumiał, że mówi o swojej zabawce.

– Jak masz na imię? – Udał, że nie usłyszał jej pytania, kierując się w stronę zagajnika.

– Honoria.

– Ile masz lat?

– Sześć.

– Dobrze Honorio. – Zabudowania zostały za nimi i znaleźli się w lesie. Posadził dziewczynkę na trawie i ukucnął koło niej. – Poczekasz tu na mnie, a ja zaraz wrócę z Panem Misiem, dobrze?

Skinęła głową na znak zgody. Zielone oczy wpatrywały się w niego z lękiem.

– Gdzie go zostawiłaś?

– W kuchni, szykowaliśmy tort, bo mam dziś urodziny i...

– Zaraz wrócę z Panem Misiem. – Obiecał. – A ty się stąd nie ruszaj.

W szybkim tempie przebył odległość dzielącą go od dworku. Starał się nie patrzeć na rzekę krwi, chociaż jej zapach tak bardzo go nęcił. Wszedł do budynku mieszkalnego i kierując się węchem, dotarł do kuchni. Mąka rozsypana na podłodze, dzieża z ucieraną masą czekoladową... Gdzie do cholery może być ten miś? Chwilę

trwało, ale wreszcie dostrzegł go pod stołem. Przybrudzony mąką, brązowy, pluszowy miś z czerwoną kokardką pod szyją. Podniósł go i otrzepał.

Odkręcił kran i obmył twarz z krwi. Patrzył jak zabarwiona na czerwono woda, znika w rurze odpływowej. Miał wrażenie, że zmywa z siebie cały brud świata.

Z ulgą opuścił dom. Będąc na dziedzińcu, zawrócił na moment do stajni. Podeszedł do zwłok kobiety, która własnym ciałem osłoniła dziecko. Obrócił ją na plecy i spojrzał w otwarte oczy, identyczne jak Honorii. Położył dłoń na powiekach nieszczęśnicy, zamykając je delikatnie. Ostrożnie rozchylił kołnierzyk bluzki nieboszczki, po czym odpiął złoty łańcuszek z krzyżykiem, jaki miała powieszony na szyi. Ścisnął go w dłoni.

Zanim opuścił miejsce tragedii, wyjął z samochodów zapasowe kanistry i rozlał paliwo, obficie polewając wszystkie ciała oraz pojazdy. Odnalazł w kieszeni martwego adiutanta pudełeczko zapalek i wydobywszy jedną, wskrzesił ogień. Przez chwilę patrzył na niewielki płomyczek, który miał zatrzeć wszystkie ślady jego obecności. Rzucił płonąca zapalną wprost w kałużę benzyny.

Nie wiedział czy Honoria nadal będzie na niego czekać. Może po tym, co zobaczyła, uciekła do ludzi we wsi? Jaki los ją spotka? Czy ludzie ją ukryją, czy też wydadzą w ręce okupantów? Ulżyło mu, gdy zobaczył, że dziewczynka siedzi w tym samym miejscu, co ją zostawił.

– Oto i Pan Miś. – Podał jej zabawkę.

Bez słowa wzięła od niego pluszaka i przytuliła do

siebie.

– A to dała mi dla ciebie twoja mamusia. – Przykucnął przy niej i założył jej na szyję łańcuszek z krzyżykiem.

Nadal milcząc uniosła jedną rączkę i dotknęła krzyżyka.

Bała się go. Bała, ale jednocześnie podświadomie wyczuwała, że jej nie skrzywdzi. Widziała wszystko, co zrobił tym ludziom, obserwowała każde z okropieństw, których był sprawcą. Gdy urywał im głowy, gdy wgryzał się w szyję. Widziała, jak strzelali do niego, a on śmiał się z tego. I żadna kula nie zrobiła mu krzywdy. Może to anioł, o jakim zawsze mówiła mamusia? Wieczorami kazała się jej do niego modlić. Może ten anioł przyszedł i ją uratował. Tylko dlaczego nie pomógł mamusi, ani tatusiowi, ani Eleonore, ani Giuseppe...

Była zbyt mała, aby to wszystko zrozumieć. Dziwny nieznajomy przyniósł jej misia i łańcuszek mamy. Mimo tych wszystkich strasznych rzeczy, które zrobił, nie mógł być przecież taki zły.

Wziął ją ponownie na ręce, zastanawiając się, co teraz uczynić. Mógłby ją zaprowadzić do jakiegoś sierocińca, ale wiedział, że to delikatne dziecko nie nadawało się do takiego miejsca. Mógłby również powierzyć ją jakiejś porządnej rodzinie, ale w pewien sposób czuł się za nią odpowiedzialny. To on nie zdołał uratować jej rodziny. To przez jego opieszałość zginęli. Powinien ponieść za to karę.

Nie wrócił do willi wynajętej w Castiglioncello – bał

się, że ktoś mógłby rozpoznać małą. Chociaż miał opiekować się rodziną Kyle'a, to jednak uznał, że Honorii jest teraz bardziej potrzebny. Razem pojechali do Neapolu, gdzie zamieszkali w zabytkowym, uroczym pałacyku, usytuowanym nad samą zatoką.

Honorio była bardzo cichym, zamkniętym w sobie dzieckiem. Większość czasu spędzała siedząc na parapecie okna i wpatrując się w widoczne za szybą morze. Nie wypuszczała ze swych dłoni Pana Misia, który stał się dla niej magicznym wręcz amuletem.

Grzecznie schodziła do jadalni na posiłki, zajmowała miejsce za stołem i czekała, dopóki służąca nie nałoży jej jedzenia na talerz. Czasem zerknęła na siedzącego po przeciwnej stronie stołu Rodericka, ale nigdy nie odezwała się do niego nawet jednym słowem. Zamilkła, jakby w tej nienaturalnej ciszy odnajdując dla siebie ukojenie.

Roderick kilka razy zabrał Honorię na plażę oraz rejs małym stateczkiem. Widział jej myśli, więc wiedział, że jest zadowolona, jednak nawet i wtedy nie przerwał swego milczenia.

Pewnego wieczoru, gdy tak jak to miał w zwyczaju, przyszedł otulić ją kołderką, trafił akurat na moment, gdy klęczała przy łóżeczku i złożonywszy dłonie, modliła się cichutko.

– Opiekuj się Boże moimi rodzicami oraz Eleonore i Giuseppe. Dziękuję ci także, za tego anioła, którego mi wysłałeś. On zajmuje się mną i kupuje różne rzeczy. Jest dobry, ale boję się go.

Wycofał się za drzwi, nie zdradzając swojej obecności. Począł, aż położyła się do łóżka i dopiero wszedł do pokoju. Otulił ją kołdrą, ale zamiast wyjść, przysiadł na brzegu i pogłaskał ją po główce.

– Nie chcę, abyś się mnie bała Honorio. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Przepraszam, że nie uratowałem twoich bliskich. Myślę, że najlepiej zrobię jeśli znajdę dla ciebie jakąś inną, miłą rodzinę. Potrzebujesz mamusi i tatusia, a ja ci ich nigdy nie zastąpię.

– Nie zostawiaj mnie – pisnęła, siadając na łóżku. W jej oczach dostrzegł ogromny, wszechogarniający lęk, ale nie przed nim. Mała bała się, że odda ją komuś innemu. – Ja będę grzeczna. Naprawdę będę grzeczna. I Pan Misiu też będzie grzeczny. Obiecuję!

– Honorio! – Złapał ją w objęcia, a ona wtuliła się w jego ramiona i szlochała spazmatycznie. – Nie jestem dobrym opiekunem. Nie jestem nawet człowiekiem. Musisz mieć normalne dzieciństwo. Ja ci takiego nie zapewnię.

– Jesteś moim aniołem. – Spojrzała na niego oczami pełnymi łez, a jej spojrzenie go rozbroiło. Mocniej przytulił ją do siebie.

– Nie zostawię cię – zapewnił. – Zostaniesz ze mną tak długo, jak tylko będziesz chciała.

Została. Po wojnie zabrał ją ze sobą do Paryża i Londynu. Podróżowali po Europie, poznając zabytki i miło spędzając czas w luksusowych rezydencjach. Lata miały niepostrzeżenie pomiędzy jednym wyjazdem

a drugim. Wszędzie towarzyszył im Pan Miś, z którym Honoria nigdy się nie rozstawała. Miała już wtedy szesnaście lat i rozumiała coraz więcej. Nadal uważała Rodericka za anioła, ale nigdy nie zapytała, kim naprawdę jest. Coraz częściej patrzyła na niego nie jak na opiekuna, ale jak na mężczyznę. Dostrzegał jej myśli i zrozumiał, że mała, bezbronna dziewczynka, którą uratował, stała się kobietą. Nie mógł jej dłużej okłamywać.

Tamtego dnia siedzieli na tarasie domu wynajmowanego w Monte Carlo. Honoria popijała herbatę z porcelanowej filiżanki i od niechcienia przeglądała kolorowe czasopismo, których cała sterta leżała na stojącym w pobliżu wiklinowym stoliczku. Patrzył na nią, zastanawiając się, jak powiedzieć jej prawdę. Rozważał też opcję wymazania wspomnień o nim, ale nie potrafił się na to zdecydować, zbyt wiele łączyło go z tą dziewczynką. Więcej niż z Kyle'em.

– Honorio – odezwał się w końcu. – Myślę, że nadszedł czas, abyśmy porozmawiali.

– Czy zrobiłam coś złego? – Pospiesznie odłożyła gazetę na stoliczek.

– Nie, jesteś bardzo grzecznym dzieckiem... to znaczy kobietą – poprawił się szybko. – Stałaś się kobietą i chyba nie możemy już dłużej razem mieszkać.

– Dlaczego?

– To nie jest właściwe. Ludzie wprawdzie nie wiedzą, że jesteś dla mnie obcą osobą, ale ja sam dostrzegam niestosowność tej sytuacji.

– A gdybyś się ze mną ożenił? – zaproponowała nieśmiało, od razu wstydząc się wypowiedzianych przez siebie słów. Jak mogła w ogóle coś takiego powiedzieć?

– Aby się z kimś ożenić, trzeba kogoś kochać – wyjaśnił spokojnie. – Dużo dla mnie znaczysz, ale to nie jest taka miłość, jaka powinna być w małżeństwie. I uwierz mi, nigdy się taką nie stanie.

– Dlaczego? Jestem aż tak brzydka? – W jej oczach zaszklily się łzy.

– Nie skarbie, jesteś śliczną dziewczyną, ale ja już mam żonę – westchnął.

– Żonę? – Wyglądała na zszokowaną.

– To bardziej skomplikowane. – Wstał z krzesła i podszedł do balustrady tarasu. Spojrzał na morze. – Nie jestem człowiekiem...

– Jesteś aniołem – szepnęła z nabożną czcią...

– Nie, nie jestem aniołem. Jestem kimś znacznie gorszym. Pewnie już zauważyłaś, że się nie starzeję, że nie można mnie zabić w tradycyjny sposób... Żyję na świecie od kilkuset lat... Tak, tak, od kilkuset. Moje istnienie nie jest naturalne i nie jest sprawką Boga.

– Kim w takim razie jesteś? – zapytała z drzeniem w głosie.

Odwrócił się w stronę Honorii. Jego sylwetka była bardzo wyraźna na tle błękitu nieba.

– Jestem wampirem – powiedział wolno. – Aby żyć, muszę pić krew.

Skuliła się na krześle, obejmując rękoma swoje

szczupłe ramiona. Nagle, chociaż dzień był gorący, poczuła dziwny chłód.

– Wampiry nie istnieją.

– Tak samo jak anioły, a ty brałaś mnie za jednego z nich.

– Nie jesteś wampirem! – krzyknęła, zrywając się z miejsca. Chwyciła ze stoliczka filiżankę i uderzywszy nią o zaokrąglony kant blatu, rozbiła ją na kilka kawałków. Zanim zdążył zareagować, jednym z odłamków specjalnie zraniła się w wewnętrzną stronę dłoni. W miejscu rozcięcia pokazała się krew.

– Nie musisz tego robić. – Błyskawicznie znalazł się koło niej i wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, przyłożył do rany. – Nie piję ludzkiej krwi.

– Nie wierzę ci. – Patrzyła mu prosto w oczy. – Nie jesteś wampirem!

Rozpiął koszulę na swoich piersiach i sięgnął po nóż do gazet, leżący obok czasopism. Bez mrugnięcia powieką, wbił sobie ostry przedmiot w ciało i pociągnął do dołu, znacząc podłużną linię. Odłożył zakrwawiony sztylecik z powrotem na stół. Zobaczyła, jak poważna przecież rana, goi się błyskawicznie. Jak ciało zrasta się, przykrywając rozcięte miejsce.

– Teraz znasz już prawdę.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego skóry, w miejscu gdzie jeszcze przed chwilą widoczna była głęboka rana. Ciało wyglądało na nietknięte.

– Nie ważne kim jesteś, nigdy nie uwierzę, że nie ze-

słał cię Bóg. Uratowałeś mnie wtedy i byłeś przy mnie zawsze. Ja też chcę być przy tobie.

– To niemożliwe Honorio. – Pokręcił przecząco głową. – Teraz musisz zająć się swoim własnym życiem. Ty nie masz tyle czasu, co ja.

Nie chciał marnować jej przyszłości, wiedział, że przy nim nie zazna szczęścia, ale nie potrafił jej odtrącić. Przez kolejne cztery lata nadal byli razem, podróżując po świecie i udając normalną rodzinę. Właściwie nawet byli rodziną – na pewno z tą dziewczyną czuł większy związek niż z Kyle'em. W dniu dwudziestych urodzin Honorii, w czternastą rocznicę jej uratowania, zdecydował się jednak odejść. Nie powiedział jej o tym osobiście, nie potrafił. Napisał krótki list i gdy spała, zostawił w jej pokoju. Zabezpieczył dalsze losy dziewczyny, zapisując sporą kwotę pieniędzy i dom w Neapolu. Ten sam, w którym mieszkali na początku.

Kilka lat później, będąc przejazdem w okolicy, udał się do Neapolu, chcąc sprawdzić, jak potoczyło się życie Honorii. Zdziwił się, gdy odkrył, że nie zamieszkała w ofiarowanym jej domu i nie korzystała z pozostawionych pieniędzy. Znalazła dla siebie przystań w niewielkim klasztorze usytuowanym na wysokiej skarpie, z okien którego roztaczał się niesamowity, piękny widok na zatokę i pełne morze.

Wiedziony wewnętrzną potrzebą odwiedził ją, a ona przyjęła go z nieukrywaną radością. Spowita w długie, białe szaty, z białym welonem skrywającym włosy, nie

przypomniała w niczym tej małej, cudem ocalałej dziewczynki, którą przygarnął. Honoria zaprowadziła go do klasztorного pokoju spotkań, a gdy zasiedli po dwóch stronach dębowego stołu, wyciągnęła ręce przez całą szerokość blatu i ujęła jego dłonie.

– Cieszę się, że mnie odwiedziłeś. Często myślałam o tobie. Odszedłeś tak nagle... Ten list...

– Czy jesteś szczęśliwa? – zapytał, przerywając jej. Nie chciał już do tego wracać. Właściwie żałował, że zdecydował się tu przyjść.

– A czymże jest szczęście? Ja znalazłam spokój w obecności Boga.

– Boga nie ma – zaprzeczył. – Gdyby był, nigdy bym nie powstał.

– Mylisz się Rodericku. Bóg pozwalając ci istnieć, miał w tym swój cel. To, że mnie uratowałeś, jest jego zamysłem. Nic nie dzieje się bez przyczyny... – wyjaśniła spokojnie.

– Wybacz Honorio, ale już dawno przestałem wierzyć.

– Kiedyś znowu uwierzysz. Jestem tego zupełnie pewna. – Uśmiechnęła się do niego. – Będę się o to modlić do końca swego życia. Mam nadzieję, że kiedyś wrócisz tu i powiesz mi, że moje modły nie poszły na marne. Jesteś moim aniołem. Moim prawdziwym aniołem.

Statek widoczny na horyzoncie, zniknął już poza linią widnokregu, jakby przekraczając granicę pomiędzy ziemią a niebem. Roderick oderwał się od swoich wspomnień. Te lata tak szybko mijają, cóż znaczą przy wieczności, którą

ma przed sobą? Wieczność bez Elizabeth, bez Barbary... Jak ma dalej żyć, jak ma odnaleźć sens swego istnienia, kiedy każda sekunda zabija w nim resztki człowieczeństwa? Nie chciał ponownie stoczyć się na dno, z którego dopiero co z takim trudem się odbił. Ale gdzie szukać oparcia?

Skierował się wąską ścieżką w dół zbocza. Nie zwracał uwagi na zapierające dech widoki. Cóż mu z tego piękna świata, kiedy nie ma z kim go dzielić? Oczy Barbary mają taką samą barwę jak to niebo...

Poczuł, że musi porozmawiać z kimś, podzielić się swoimi problemami. Wreszcie chciał powiedzieć o tym wszystkim, co skrywał w głębi swojej duszy. Kto mógłby go zrozumieć i wesprzeć radą?

Honorio... Nie bez przyczyny tu przyjechał. Jakoś tak podświadomie wiedział, że tylko ona jedna, jest w stanie go wysłuchać. Była jedynym człowiekiem, któremu potrafił zaufać. Jeśli jeszcze żyje... Dla niej czas nie stał w miejscu, a on od tamtych odwiedzin w klasztorze, nie miał okazji nigdy więcej jej zobaczyć. Nie, okazji miał, gdyż często przyjeżdżał do Włoch, unikał z nią spotkań, ponieważ czuł żal, że stał się odpowiedzialny za jej los. Gdyby wtedy oddał ją komuś na wychowanie, gdyby wymazał wspomnienia, może byłaby szczęśliwą, radosną kobietą, mającą dom i rodzinę. Przez własną głupią ambicję, sprawił, że zamknęła się w klasztorze, rezygnując z przyjemności jakie niesie zwykłe życie. Tak, czuł się winny i nie mógł znieść jej widoku. Te jej zielone oczy,

patrzące na niego z taką troską i tkliwością... Pamiętał je jako przerażone, pełne bólu oczy małej dziewczynki, którą wyrwał z objęć śmierci.

Jeśli Honoria żyje... Przyspieszył kroku, tak jakby od jego szybkości zależało to, czy zastanie ją jeszcze żywą. Biegł, przeskakując przez krzaki, zbaczając ze ścieżki. Tylko Honoria zrozumie i poradzi, jest przecież tak blisko Boga, w którego nie wierzył, ale który wysłuchał jego nieporadnej modlitwy. Jeśli ten Bóg istnieje i jeśli ma wobec niego jakiś plan, to tylko ona jedna, będzie mogła mu to wytłumaczyć.

* * *

Alena Bennett stała na werandzie i od dobrych dwóch godzin wypatrywała przyjazdu samochodu. Gdy zadzwonili do niej ze Springfield, że już wylądowali, nie potrafiła znaleźć dla siebie miejsca. Przygotowała uroczysty obiad, upiekła ciasto, wysprzątała i wypucowała całą kuchnię oraz hol. Wywietrzyła i odkurzyła pokój Barbary, a teraz pozostało jej tylko niemiłosierne oczekiwanie, które dłużyło się wprost w nieskończoność.

Z napięciem patrzyła jak drogą od cmentarza nadjeżdża jakiś samochód. Już miała nadzieję, że to ten, na który czekała, ale gdy pojazd zaparkował na podwórku i wysiadła z niego Angelina, zrozumiała, że to nie ten.

– Jeszcze nie przyjechali? – Panna Stewart spojrzała na kobietę.

– Niestety. – Bezradnie rozłożyła ręce. – Dzwonili z trzy godziny temu, że już są na lotnisku i jak do tej pory

się nie zjawili.

– Proszę się nie martwić. – Angelina weszła po schodach na werandę i serdecznym gestem przytuliła kobietę do siebie. – Zaraz przyjadą. Może po prostu coś ich zatrzymało.

– Wiedzą, że tak się denerwuję. – Alena pokręciła głową. – W ogóle o mnie nie myślą.

– A cóż tak pięknie pachnie? – Blondynka zerknęła w głąb domu. – Czyżby ciasto kakaowe?

– Upiekłam na powitanie. Mam nadzieję, że Barbara się ucieszy. Mieszkała u mnie kilka miesięcy, a ja nawet nie dowiedziałam się, co ona lubi. Nie byłam dobrą opiekunką... Ale najważniejsze, że mam kolejną szansę.

– No tak...

– Chociaż pewnie on mi ją stąd zabierze – westchnęła z rezygnacją. – Teraz, gdy mają dziecko, będą już pewnie zawsze razem.

Lucas... Zagryzła wargi na samą myśl o tym. Jej Lucas. Och, dlaczego Barbara nie umarła?

– Jada! – krzyknęła Alena, patrząc w stronę cmentarza. – Jada! – Zbiegła na dół, zostawiając Angelinę samą. Blondynka nerwowo przełknęła ślinę. Jej dłonie bezwiednie szarpały róg przewieszzonego przez szyję jedwabnego, seledynowego szaliczka.

Samochód Lucasa zatrzymał się tuż obok auta panny Stewart i jak na komendę, równocześnie otworzyły się trzy pary drzwi. Westmoore, jego siostra oraz Adam wysiedli z pojazdu. Ciotka Alena dobiegła do nadal zamkniętych

drzwi po stronie przeciwnej kierowcy i sama pociągnęła za klamkę.

– Barbaro! – Nie zdołała powstrzymać łez, które obficie popłynęły z jej oczu. Lucas delikatnie, ale stanowczo odsunął kobietę od drzwiczek i pomógł wysiąść Barbarze. Widać było, że dziewczyna z trudem rozprostowała sylwetkę. Popatrzyła dookoła, jakby na nowo zapoznając się tym miejscem. Prawie rok temu przyjechała tu pierwszy raz. Wtedy też wysiadła z samochodu, nie wiedząc co ją czeka. Nie знаła swojej przyszłości, nie miała pojęcia o tajemniczym świecie i istotach będących jego częścią składową. A teraz znajdowała się w środku tego wszystkiego...

Wolniutko, stawiając nogę za nogą, podeszła do schodów i położyła dłoń na poręczy, nie zdążyła jednak wejść, gdyż Lucas schwycił ją na ręce i wniósł na górę.

– To jeszcze nie ten moment, ale już przeniosę cię przez próg – szepnął jej cicho prosto do ucha, jednak stojąca w pobliżu Angelina usłyszała to. Mocniej szarpnęła szalik, zaciskając go na szyj tak, iż gdyby była człowiekiem na pewno by się udusiła. Jej Lucas... Jej miłość... Z trudem hamowała płacz, chociaż łzy same napływały jej do oczu. Caroline przechodząc obok niej, delikatnie wzięła ją pod ramię i wprowadziła do środka domu.

– Wiedziałaś, że on kocha tylko Barbarę – przypomniała cicho, nachylając się do koleżanki. – Pomogłaś mi i jestem ci za to wdzięczna, ale teraz nie możesz zakłócać ich szczęścia.

– A czy zakłócam? – Angelina zatrzymała się i popatrzyła na Caroline ze złością. – Przecież staram się, jak najbardziej tylko mogę. Będę udawać radość, ogromną, monstrialną radość, jeśli tylko jemu to sprawi przyjemność.

– O czym mówicie? – Adam objął Caroline od tyłu w pasie. – Wreszcie mam wszystkie swoje dziewczyny w jednym miejscu.

– Wszystkie swoje dziewczyny? – Panna Westmoore odwróciła się do niego i lekko pacnęła w ramię. – Oświecisz mnie, o kim mówisz?

– Ciebie i Barbarę oczywiście. – Pocałował ją w policzek. – Przecież widzisz moje myśli.

– No i jesteśmy w komplecie! – Lucas zatrzymał się na pierwszym stopniu wiodącym na piętro i skierował przodem do pozostałych. Nadal ścisnął w ramionach Barbarę, która oplótła rękoma jego szyję.

– Nie, nie jesteśmy – upomniała go łagodnie. – Nie ma z nami Hope.

Zmarszczył czoło, ale nic na to nie odpowiedział, tylko mocniej przytulił ją do siebie i udał się na górę.

– Zapraszam na obiad. – Ciotka Alena gestem ręki pokazała pozostałym drzwi do jadalni. – Zaraz podaję. Mam nadzieję, że oni też do nas dołączą, bo nawet nie zdążyłam się przywitać. – W głosie kobiety słychać było zawód.

– Dołączają, dołączają. – Caroline uśmiechnęła się do niej. – Wreszcie są w domu i muszą się sobą nacieszyć.

Dajmy im kilka minut.

– Ale żeby tak bez ślubu... – Ciotka pokręciła głową.

– Żyjemy w dwudziestym pierwszym wiek ciociu. – Śmiech Adama rozniósł się po całym mieszkaniu. – Nie zapominaj, że mają już nawet dziecko.

– Byle szybko wzięli ślub. – Westchnęła z rezygnacją, zmierzając do kuchni.

– „Oby nigdy nie wzięli” – pomyślała Angelina, a Caroline, która usłyszała jej myśli, spojrzała na nią ze smutkiem. Czyżby panna Stewart miała stać się przyczyną kolejnych kłopotów?

* * *

Roderick zmierzał klasztornym krużgankiem na spotkanie z Honorią. Z siostrą Honorią. Dwa kroki przed nim szła zakonnica, która wskazywała mu drogę.

Po wąskich, kamiennych schodach weszli na kolejne piętro i przeszli przez tonący w półmroku korytarz. Mimo iż było bardzo gorąco, tu wewnątrz tych grubych, zabytkowych murów czuć było chłód.

Roderick przyglądał się mijanym miejscom i dziwił, jak ktoś może sam z nieprzymuszonej woli, zamknąć się w takim odosobnieniu. Jego przewodniczka, około trzydziestoletnia kobieta w okularach, mogłaby przecież być teraz czyjaś żoną, matką... Patrzył na jej biały, obszerny strój z szerokimi rękawami, w których ręce były prawie niewidoczne. W ogóle cała postać kobiety spowita była bielą i spośród tych wszystkich warstw garderoby, jedynie twarz pozostała odkryta, chociaż biały czepek nasunięty

wysoko na czoło oraz materiał szczelnie otulający uszy i szyję niewiasty, sprawiały, że jej lico wydawało się takie niewielkie. Biały welon okrywał włosy niewiasty i opadał z tyłu sięgając do połowy pleców.

– To tu. – Siostra zatrzymała się przed masywnymi, dębowymi, zaokrąglonymi u góry drzwiami i zastukała w metalowe okucie.

– Proszę. – Z wnętrza pokoju doleciał do nich kobiecy głos.

Zakonnica nacisnęła klamkę. Otworzyła ciężkie wrota i odsunęła się na bok, przepuszczając Rodericka, aby mógł wejść do środka. Sama jednak pozostała na korytarzu i gdy gość przekroczył próg, cicho zamknęła drzwi.

– Dobrze cię widzieć po tylu latach. – Od zasłanego mnóstwem papierów biurka podniosła się szczupła, lekko przygarbiona zakonnica o nadzwyczaj pogodnej, niemalże promieniującej dobrocią twarzy. Jej strój był troszkę inny niż siostry przewodniczki. Owszem, również biały, tak samo szczelnie otulający ciało, ale bardzo szerokie rękawy habitu zostały zszyte z resztą stroju w taki sposób, że tworzyły rodzaj płaszcza – gdy unosiło się ręce, sprawiały wrażenie skrzydeł.

Zakonnica okrążyła biurko i podeszła do stojącego przy drzwiach Rodericka. Z każdym jej krokiem, nabierał coraz większej pewności kogo ma przed sobą. Nie poznał jej z wyglądu, bo w niczym nie przypominała tej roześmianej dziewczyny, którą zostawił przed kilkadziesiąt laty, ale myśli staruszki nie mogły kłamać. Spojrzał

w zielone, nadal pełne życia i młodości oczy, i wtedy dostrzegł małą, przerażoną dziewczynkę, wydartą z ramion śmierci.

– Honoria – wyszeptał.

– Poznałeś mnie, chociaż tak bardzo się zmieniłam? – Uśmiech nie schodził z jej naznaczonej piętnem czasu twarzy. Objęła Rodericka i przytuliła do siebie. – Ty za to nadal jesteś tak samo piękny i młody jak wtedy. Ile to już lat?

– Zbyt wiele.

Podprowadziła go do kanapy stojącej pod oknem i zachęciła, aby usiadł. Sama zajęła miejsce obok, nie przestając patrzeć na niego z podziwem. Jej pierwsza i jedyna miłość. Jej anioł, któremu zawdzięczała życie.

– Cieszę się, że mnie odwiedziłeś. Już myślałam, że zapomniałeś o starej znajomej. No teraz, to dosłownie starej.

– Nie mów tak Honorio.

– Kiedy to prawda. Miałeś rację mówiąc, że ja nie mam tyle czasu... Ale dobrze spożytkowałam ten, który był mi dany. A jak twoje życie?

– Do dupy – powiedział, ale ugryzł się w język. Nie powinien w ten sposób odzywać się przy osobie duchownej.

Roześmiała się, wcale nie czując się tym urażona. Od wielu lat pomagała zagubionym, odrzuconym, zepchniętym na margines, tym którzy stracili sens życia, i nasłuchiwała się wielu gorzkich, pełnych żalu słów. Słów

gniewu i bezsilności. Roderick też był zagubiony, samotny... Gdyby taki nie był, nigdy by tu nie przyszedł.

– Jest aż tak źle? – zapytała po krótkiej chwili milczenia.

– Bardzo.

– Opowiesz mi?

– Może najpierw ty powiesz mi co u ciebie? – zaproponował.

– U mnie jak widzisz bez zmian. Ciągłe tu jestem, a Bóg nie powołał mnie jeszcze przed swoje oblicze. Czasem czuję się już taka zmęczona... Zostałam przełożoną i wiąże się to z dodatkowymi obowiązkami... Ostatnio otworzyliśmy dom dla matki z dzieckiem i rozpoczęliśmy program „Przyszłość naszych dzieci”.

– Co to za program?

– Staramy się zdobyć fundusze na kształcenie najuboższych dzieci z rodzin patologicznych i sierot. Chcemy, aby miały taki sam start w przyszłość jak dzieci z normalnych domów.

– Dołożę datek.

– Wiem, wiem Rodericku. Zawsze mówiłam, że jesteś aniołem.

– Nie jestem!

– Uratowałeś mnie, a dzięki temu ja mogę ratować innych. Czy uważasz, że nie ma w tym ręki Boga? To on kierował twoimi krokami. Ja jestem pewna, że to część jego wielkiego planu.

– W takim razie dlaczego moje życie jest takie bez-

nadziejne? Dlaczego spotkałem Elizabeth, dlaczego ją pokochałem a później musiałem stracić? Dlaczego nie potrafiłem jej odnaleźć? A teraz, gdy wreszcie ją znalazłem... Dlaczego muszę ponownie się jej wyrzec? Co Bóg chce tym osiągnąć? Dlaczego nie pozwala mi zaznać szczęścia?

– Elizabeth to twoja żona, o której kiedyś mi wspomniłeś?

Skinął głową na potwierdzenie.

– Co się z nią stało?

– Umarła... Pozwoliłem jej umrzeć, chociaż mogłem dać jej nieśmiertelność. Rozumiesz Honorio? Trzymałem ją w ramionach, gdy wydawała ostatnie tchnienie i nie zrobiłem kompletnie nic.

– Dlaczego?

– Nie chciałem jej skrzywdzić, nie chciałem, aby stała się takim potworem jak ja.

– To dobrze Rodericku...

– Nieprawda! Gdy już czułem, że odchodzi, zrozumiałem, że bez niej nie dam rady być człowiekiem. Podjąłem decyzję i tak niewiele brakowało, abym jednak wyrządził jej tę krzywdę... Ale to ona mnie powstrzymała. Uratowała mi życie, a ja nie uczyniłem tego samego dla niej.

– Ona jest już u Boga. Wierzę w to. – Sięgnęła po jego dłoń i nakryła ją swoją pomarszczoną, wychudzona ręką.

– Nie ma jej tam. – Widać było, że cierpi. – Ona się odrodziła.

– Człowiek nie może się odrodzić...

– Ja też miałem kilka wcieleń, zanim stałem się tym, kim jestem. Pamiętam wszystkie. Zawsze byłem wojownikiem, samotnym, milczącym... Nigdy nie zaznałem miłości. Dopóki nie spotkałem jej...

Wstała z kanapy i podeszła do biurka. Przełożyła kilka papierów leżących na blacie, nawet nie patrząc, co bierze do ręki. Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, gdyż to co mówił, było takie inne od tego, czego uczyła religia.

Ukrył twarz w dłoniach. Jednak przyjście tutaj nie było najlepszym pomysłem.

– Jeśli ludzie rodzą się kilka razy, to może Bóg chce im w ten sposób dać szansę na dostąpienie wieczności? Może pozwala naprawić to, co nie udało się im w poprzednim wcieleniu? – Honoria intensywnie myślała nad tym, jakiej odpowiedzi może mu udzielić.

– Twoja wiara jest naprawdę bezgraniczna. – Odsłonił twarz i także wstał z kanapy. Podeszedł do okna i wyjrzał przez nie na dziedziniec.

– Czymże jest życie bez wiary? Przyszedłeś tu, domyślam się więc, że i ty szukasz dla siebie wytłumaczenia tego wszystkiego. Nie należysz do osób, które odwiedzają takie miejsca, jak to.

– Znalazłem ją! – krzyknął głosem pełnym bólu. – Po tylu latach odkryłem wreszcie jej nowe wcielenie. Moje serce poznało ją od razu, zanim ja sam zrozumiałem... Kocham ją jeszcze bardziej niż wtedy. Jest inna, ale to ona! Jej oczy, jej serce, jej dusza!

– To dobrze Rodericku. Cieszę się, że znowu masz

swoją miłość. W czym więc jest problem?

– Nie mam jej... Ona nie należy do mnie. Jest związana z kimś innym... Kocha jego, a on świata poza nią nie widzi. Tworzą wspaniałą parę. Są szczęśliwi, a ja... Ja patrzę na to i czuję, jak moje serce pęka. Kocham ją Honorio! Dla niej mógłbym wszystko. Ona jest moim człowieczeństwem i siłą. Kiedy jej nie widzę, tracę zmysły. Nie wiem, co robić, zupełnie nie mam pojęcia.

Zbliżyła się do niego i położyła mu prawą dłoń na ramieniu.

– Jeśli ją kochasz, powinieneś o nią walczyć. Przynajmniej spróbować. Ja spróbowałam, chociaż od samego początku wiedziałam, że nie mam żadnych szans. Nigdy nie traktowałeś mnie poważnie, zawsze uważałeś, że jestem tą małą, bezbronną dziewczynką... Nawet gdy byłam już kobietą. A ja nie potrafiłam pokochać nikogo więcej. Byłeś moją jedyną miłością i jesteś nią nadal.

– Honorio – odwrócił się w jej stronę i znowu spojrzął w te zielone oczy. Widział jej wszystkie myśli i wiedział, że mówiła prawdę. – Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

– Nie skrzywdziłeś. To było moje przeznaczenie, a ty mi je wskazałeś. Dzięki miłości do ciebie, pokochałam Boga i mogłam nieść dobro. Może teraz nadszedł czas, abym to ja pomogła tobie? Może to właśnie plan Ojca?

– Jaki plan?

– Nie wiem, ale on kieruje naszymi wszystkimi krokami. To, że mnie uratowałeś, że dzięki tobie odnalazłam sens życia, to wszystko znaki. Może tak miało być? Przy-

jechałeś tu, więc mniemam, że coś się stało. Co takiego?

– Ona umierała... Pierwszy raz od czasu przemiany modliłem się naprawdę z głębi serca. Prosiłem Boga, aby ją ocalił. Byłem przy niej, jej serce stanęło... Wiedziałem, że ją tracę i wtedy zdarzył się cud. Bo to musiał być cud. Nie pojmuję tego, chociaż bardzo się staram. Jeśli to naprawdę uczynił Bóg, to czemu nie chce pozwolić mi na szczęście? Dlaczego tak bardzo mnie doświadcza? Dlaczego sprawia, że budzi się we mnie bestia? Nie znasz mnie dobrze Honorio, nie wiesz o wszystkich moich uczynkach. Dla ciebie jestem aniołem, ale daleko mi do niego. Zabijałem tylko po to, aby ugasić pragnienie, oddawałem się rozpuście o jakiej nawet nie słyszałaś. Niszczyłem, bo to sprawiało mi przyjemność. Czy mam prawo prosić Boga o wybaczenie? Czy ja w ogóle mam prawo do czegokolwiek? Po co istnieję? Honorio, po co to wszystko? Jaki to plan, powołał mnie do życia?

– Spokojnie Rodericku. – Wreszcie przestała się uśmiechać. Pełna skupienia wzięła do rąk powieszony na szyi różaniec i ucałowawszy krzyżyk odmówiła szeptem „Zdrowaś Maryja”. – Opowiedz mi wszystko od początku, tak jakbyś był na spowiedzi. Chcę posłuchać historii twojego życia.

– To długa opowieść i zniecierpliwisz mnie po niej.

– Zaufaj mi. Uczucie nienawiści jest mi zupełnie obce. Mogę ci tylko współczuć, bo widzę twoje cierpienie. Cokolwiek zrobiłeś, zostało ci wybaczone. Bóg wspiera tych, którzy żałują za swe czyny i którzy w nim pokładają na-

dzieję. Ty żałujesz... Opowiedz mi swoją historię.

* * *

Lucas nie opuszczał Barbary nawet na sekundę, jakby bojąc się, że gdy tylko się odwróci, ktoś może znowu ją porwać. Wprawdzie Barbara nie była zbyt zachwycona tym, iż wprowadza się do jej pokoju, ale pod wpływem argumentacji Caroline i Adama zgodziła się na ten krok. Ciotka Alena nie zdążyła zaprotestować, gdyż Lucas skorzystał ze swoich nadprzyrodzonych umiejętności i wmówił jej, że to, iż zamieszka z nim już teraz, przed ślubem, jest i jej marzeniem. Bez słowa sprzeciwu przyniosła mu dodatkową pościel, ścieląc jakby nigdy nic na łóżku Barbary.

Pierwsza noc we własnym domu. Barbara czekała na powrót, ale nie spodziewała się, że tak to będzie wyglądać. Po zakończeniu uroczystego obiadu, przeprosiła wszystkich za swoją niedyspozycję i udała się na górę. Lucas także pośpiesznie wstał od stołu i nie tracąc jej z oczu, podążył za nią. Angelina zacisnęła dłonie na kolanach, patrząc za nimi. Ból jaki wywoływał w niej ten widok, był wręcz nie do zniesienia.

– Dasz radę? – Caroline spojrzała na nią współczująco.
– Może lepiej jeśli wrócimy już do domu?

– Nie. – Udała obojętność. – Po co kończyć tak miły wieczór. Musicie nam wszystko opowiedzieć.

– Koniecznie – przyłączyła się ciotka Alena. – Lucas tak mało mówił na ten temat. Jak oni tam dali sobie radę przez tyle czasu? Ten Erick to musi być bardzo dzielny

mężczyzna. Uratował ją i się nią zajął. Szkoda, że nie przyjechał razem z wami. Chciałabym mu osobiście podziękować.

– Właśnie, gdzie on jest? – zainteresowała się Angelina.

– Wyjechał bez pożegnania. – Caroline wolno złożyła serwetkę i położyła ją na stole. – To typ samotnika, którego trudno zrozumieć.

– Ciekawe, co robili przez tyle czasu zupełnie sami? – Na twarzy Angeliny pojawił się obłudny uśmiezek. – Tyle miesięcy siedzieli w zasypanej śniegiem chacie i nic? Erick to wyjątkowo piękny mężczyzna i gdybym ja znalazła się z nim sam na sam...

– Dokładnie wiemy, co byś wtedy zrobiła – przerwała jej sucho Caroline, ciesząc się, że akurat Alena wyszła do kuchni i nie słyszy tej części rozmowy. – Pamiętam tamten wieczór. Byłaś z nim sam na sam i wszyscy wiemy, czym to się skończyło.

– Ale to nie byłem ja... – oburzyła się. – Zresztą, co innego jeden raz pod wpływem chwili, a co innego wiele samotnych, mroźnych dni i nocy na pełnym odludziu. Jakoś nie wierzę, aby Barbara była taka święta.

– Może nie myśl tyle o tym, tylko skoncentruj się na czymś bardziej interesującym? – Caroline nie chciała się przyznać, ale i ona podejrzewała, że na Alasce wydarzyło się coś ważnego. Wspomnienie momentu, gdy weszła do szpitalnego pokoju i zobaczyła jak Barbara i Roderick patrzą na siebie, prześladowało ją przez cały czas.

* * *

Barbara wyszła z łazienki ubrana w niebieską, bawełnianą piżamkę zdobioną drobnym, kwiatowym wzorem. Stała przed lustrem i spokojnie zaczęła rozczesywanie długich włosów. W lustrzanym odbiciu widziała rozebranego Lucasa, który w samych bokserkach leżał na łóżku i patrzył na nią.

Specjalnie przedłużała czesanie, aby tylko jak najdłużej odwlec chwilę, gdy będzie musiała położyć się koło niego. Najchętniej uciekłyby stąd daleko, ale wiedziała, że to niewykonalne. Czuła się jak zwierzątko prowadzone na rzeź, które zdaje sobie sprawę z nieuchronności swego losu, ale jednocześnie nie ma szans na ocalenie. Trudno, w końcu sama podjęła taką decyzję. Jeśli może mieć do kogoś pretensję, to tylko do samej siebie. Po co kłamała? Po co udawała coś, czego nie czuła?

A gdyby teraz wyznała prawdę Lucasowi? Gdyby powiedziała mu wszystko o swoim uczuciu do Rodericka i o tych nocach, i dniach na Alasce? Znienawidziłby ją po tym! Poczuliby do niej obrzydzenie! Zostawił... Bała się samotności, ale jednocześnie pragnęła jej najbardziej na świecie. Już lepiej być samotną niż ciągle kłamać. Tak! Musi mu powiedzieć! Musi wszystko wyznać! Nie może być tchórzem przez całe życie!

Myliła się, że dla dobra dziecka powinna zdecydować się na związek z Lucasem. Takim postępowaniem wyrządziłaby tylko krzywdę wielu osobom, a przede wszystkim samej sobie. Koniec oszukiwania, koniec życia

w kłamstwie. Podjęła decyzję! Odetchnęła głębiej, zbierając się do wyznania prawdy.

– Lucasie... – zaczęła z drzeniem w głosie. Nie zdążyła jednak odwrócić się w jego stronę, gdy on, najwyraźniej znudzony długim oczekiwaniem, nagle wstał i znalazłszy się tuż koło niej objął ją w pasie od tyłu.

– Pięknie pachniesz – wyszeptał. – Brakowało mi twego zapachu. Myślałem, że już go nigdy nie poczuję. – Odgarnął jej włosy za uchem i czule pocałował to miejsce. – Gdy myślałem, że umarłaś... Wariowałem z rozpaczy...

– Proszę, nie mów o tym..,

– Ciii kochanie, pozwól powiedzieć mi wszystko. – Delikatnie obrócił ją w swoją stronę. Zauważyła, że był nad wyraz poważny, nawet smutny. – Muszę ci to powiedzieć, bo inaczej nie mógłbym zaznać spokoju. Gdy ciebie nie było... Gdy byłem pewien, że umarłaś... To był straszny czas w moim życiu. Straciłem sens istnienia. Pragnąłem zakończyć swoją egzystencję. Zacząłem pić... Stałem się taki jak Roderick...

Drgnęła słysząc imię ukochanego.

– Nie, nie stałem się taki jak on – poprawił się szybko, mylnie interpretując jej zachowanie. – Nikogo nie zbijałem, nie rzuciłem się w wir rozpusty. Po prostu zatraciłem się w swoim smutku. I wtedy pojawiła się Angelina... To ona pomogła mi wyjść ze skorupy, w której się zamknąłem.

– Angelina... – powtórzyła cicho.

– Tak. Była przy mnie i cierpliwie znosiła moje hu-

mory. Dzięki niej zrozumiałem, że muszę żyć dalej... Wybacz skarbie. Wybacz moja miłości, ale tak niewiele brakowało, abym cię zdradził... Uwierz mi, nie kocham jej i nigdy nie pokocham, ale wtedy... Nie zrobiłem tego jednak. Los nade mną czuwał. A teraz wróciłaś i jesteś tutaj. Błagam, wybacz mi, że na moment spojrzałem na inną kobietę.

– Ja... – zastygła w bezruchu, próbując zebrać myśli.

– Wybacz skarbie, bo nie wyobrażam sobie bez ciebie życia! Gdybym cię teraz stracił... Boże, tylko nie to! Kocham cię Barbaro. Tylko ciebie jedną! W chwili, gdy cię poznałem, wiedziałem, że nasze losy są ze sobą nierozdzielnie splecione. Bez ciebie nie ma mnie! – Opadł na kolana i przytulił policzek do jej brzucha. – Ukarz mnie, ale nie odchodź. Nie zostawiaj! Tego bym nie zniósł!

Szczotka wypadła z dłoni Barbary, z łoskotem upadając na podłogę. Ściśnięte gardło nie potrafiło wyartykułować żadnego słowa.

– To wszystko jest jak zły sen. Śniłem, że cię straciłem, ale obudziłem się, a ty jesteś obok mnie. I będziesz już zawsze, prawda?

Milczała, sparaliżowana okropnym strachem i niemocą, która objęła we władanie całe jej ciało. Niczym widz, patrzyła jak Lucas podnosi się z klęczek, jak podchodzi do łóżka i wyjmuje coś spod poduszki. Obserwowała, gdy wracał do niej i ponownie klękał. Podświadomie czuła, że wie, co zaraz się wydarzy. Nie myliła się.

– Pamiętasz go jeszcze? – Lucas ujął prawą dłoń

dziewczyny. – Nie udzieliłaś mi wtedy odpowiedzi. Myślałem, że nigdy już jej nie usłyszę. Czy wyjdiesz za mnie Barbaro? – ostrożnie wsunął klejnot na jej palec.

– Ja... – Z trudem przełknęła ślinę. Cała przemowa, którą sobie przygotowała, właśnie rozmyła się w nicości. Spojrzała na swoją dłoń, na której lśnił piękny brylant, otoczony wianuszkami szmaragdów. Ten sam, którego zgubiła w dniu porwania.

– Czy wyjdiesz za mnie? – powtórzył. – Błagam, daj mi szansę. Nie odbieraj mi słońca twego uśmiechu.

Gdyby to Roderick zadał jej to pytanie, krzyknęłaby bez wahania, że tak. Z jaką radością przystałaby na jego propozycję. Gdyby to Roderick... Ale on nigdy jej tego nie zaproponuje. Dla niego na zawsze pozostanie tylko jedną z pańienek, które zaliczył. Pewnie nawet wkrótce zapomni jej imię. Sam powiedział, że dziś ta, jutro inna, a później może nawet dwie jednocześnie. Wzdycha do niego, marzy o nim, ale to nigdy się nie spełni. Tylko dziecko jej po nim pozostało. A Lucas... Wyznając mu teraz prawdę, skrzywdziłaby go bardziej niż kłamiąc.

– Tak – odpowiedziała.

– Moja jedyna! – Lucas momentalnie wyprostował się i chwycił ją w objęcia. Obsypywał twarz Barbary pocałunkami, nie zważając, że ta pozostaje obojętna, jakby nieobecna duchem. – Jestem taki podekscytowany, że ogłosiłbym tę radość całemu światu! Nikt nas nigdy nie rozdzieli. Tylko ty i ja, na zawsze.

* * *

Honorina nie spała. Nie mogła zasnąć po tym, co opowiedział jej Roderick. Żyła już długo na świecie i miała do czynienia z różnymi przerażającymi historiami, ale spowiedź Robillarda była jedyna w swoim rodzaju. Cały ogrom cierpienia, bólu, krzywd jakie wyrządził swoim ofiarom, przytłaczała teraz przygarbionym upływającym czasem ramiona poczciwej zakonnicy. Nie była gotowa na to, co usłyszała. Jej anioł, jej wybawca... Morderca, bezwzględna bestia z piekła rodem, nurzająca się w bezkresie rozpusty i wszelkiego zgorszenia. Jak miała mu pomóc? Jak miała mu wytłumaczyć, że wszystko jest częścią boskiego planu. Życie Rodericka na pewno nią nie było.

Honorina opuściła swoją celę klasztorną i wyszła na dziedziniec, skąd przedostała się na taras widokowy, z którego roztaczała się przepiękna panorama na zatokę i pełne morze. W mroku nocy widziała migające światła portu i gwiazdy rozsiane po nieboskłonie. Pomiedzy jednymi i drugimi zacierała się granica, a wszechobecna czerń otulała wszystko niby dobra matka dziecicę.

Palce Honorii prześlizgiwały się po kolejnych paciorkach różańca, a usta bezgłośnie odmawiały litanie. Czy jej modlitwa mogła uratować jego duszę? Czy on w ogóle ma duszę? Co zrobić? Jak dać nadzieję tam, gdzie już jej nie ma?

Wiatr targał połami habitu zakonnicy, rozwiewając szerokie rękawy, które łopotały niczym skrzydła. Skończyła modlitwę i z czcią ucałowała krzyż różańca. Oparła się o kamienną balustradę. Taka trudna decyzja, ale trzeba

ją podjąć. Nie może zostawić Rodericka samego teraz, kiedy tak bardzo jej potrzebuje. Może tylko ona jedna jest w stanie ulżyć jego nadludzkemu cierpieniu?

Zsunęła z głowy welon i odpięła nasunięty na czoło czepek. Chwilę trwało, zanim wyswobodziła się z materiału szczelnie opasającego skronie, uszy oraz szyję. Spod zdjętej, białej tkaniny na jej plecy rozsypały się długie, siwe włosy. Podjęła decyzję.

* * *

– Ale matko przełożona, jak tak można? – Siostra Livia przestała już płakać, teraz tylko z niekłamanym przerażeniem patrzyła na kobietę, która zawsze była dla niej wzorem świętości.

– Czasem tak trzeba. – Honoria podeszła do półeczki wiszącej nad biurkiem i zdjęła z niej Pana Misia. Czule pogładziła zakurzony plusz. Ostrożnie schowała maskotkę do walizki, a następnie zasunęła wieko. Już nie miała na sobie białego obszernego habitu, tylko prostą, szarą sukienkę do połowy łydki oraz również szare, niemodne, wiązane buty. Siwe włosy zaplecione w warkocz upięła z tyłu głowy. Wyglądała jak zwykła, normalna kobieta, która nie wie, czemu znalazła się w klasztornej celi.

– A dom dla matki z dzieckiem? A nasz program? A ci ludzie, którym pomagamy? – wyliczała Livia, starając się przekonać Honorę do zmiany decyzji. – Co z nimi?

– Kochana, dacie sobie radę i beze mnie. Człowiek pojawia się, robi to, co mu powierzono, a następnie odchodzi. Taka kolej rzeczy. Kiedyś i tak by mnie zabrakło.

– Ale nie w taki sposób! Co ja powiem pozostałym siostronom?

– Powiesz im, że Bóg powierzył mi inne zadanie, trudniejsze od tych, które tutaj wykonywałyśmy.

– To przez tego mężczyznę – zauważyła ze smutkiem zakonnica. – Gdy on się wczoraj zjawił, wszystko się zmieniło.

– To bardzo nieszczęśliwa osoba. – Honoria wzięła uchwyt walizki do ręki i podeszła do Livii. – To ktoś, kto zgubił drogę do domu Ojca. Pamiętasz przypowieść o pasterzu i jego owieczkach? Dobry pasterz nie opuści jednej owieczki, nawet jeśli musiałby opuścić stado.

– Och, matko przełożona! – Zakonnica znowu wybuchła płaczem. Honoria postawiła walizkę na ziemi i przytuliła do siebie płaczącą.

– Bóg kieruje naszymi losami i wskazuje nam ścieżki. W tym miejscu nasze drogi rozchodzą się, ale obie zmierzamy ku temu samemu celowi. Spotkamy się tam kiedyś... Nie trać wiary sestro.

* * *

Rodericka obudziło pukanie do drzwi. Wstał z łóżka i w samych bokserkach podszedł, aby otworzyć. Zanim przekreślił klucz w zamku, już wyczuł kogo zobaczy za progiem. Zdziwił się bardzo, bo tego się nie spodziewał.

Otworzył drzwi i przeżył kolejne zaskoczenie. Zamiast zakonnicy spowitej w biel, dostrzegł starszą, siwą kobietę z walizką w dłoni.

– Naprawimy to, co zepsułeś. – Kobieta weszła do

pokoju i postawiła walizkę na podłodze, koło swoich nóg. Odwróciła się w stronę nadal stojącego przy drzwiach Rodericka. Spojrzała na jego potargane w nieładzie włosy, na jego smukłą sylwetkę, na blizny, które znaczyły jego tors, a które już wiedziała, w jaki sposób powstały. – Nigdy nie widziałam cię w negliżu – zauważyła ze śmiechem – chociaż mieszkaliśmy razem przez czternaście lat. Hmm. Gdybym zobaczyła, to pewnie nie wstąpiłabym do zakonu.

Pospiesznie udał się do sypialni i wrócił dopiero, gdy się ubrał. Przez ten czas Honoria zdążyła już obejrzeć pokój i odsłonić ciężkie rolety. Przez odsłonięte okna wewnątrz apartamentu zalało światło słoneczne.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś. – Nie zauważyła, kiedy się pojawił, ale na dźwięk jego głosu odwróciła się w stronę, skąd dobiegał. Stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Znowu ubrany na czarno, znowu taki elegancki i emanujący dziwną siłą. Działał na nią jak magnes, chociaż przecież była już starą kobietą.

– Kiedyś ty pomogłeś mi, teraz pora abym ja spłaciła swój dług.

– Ale opuścić zakon?

– Bóg jest zawsze w moim sercu, a ty potrzebujesz pomocy bardziej, niż ci wszyscy ludzie, którymi się zajmowałam. Siostry dadzą sobie radę beze mnie.

– Twoja wiara mnie zaskakuje.

– Nie śmieć się Rodericku. Sam mówiłeś, że Bóg wysłuchał twojej modlitwy i zwrócił jej życie. Modlitwa ma wielką siłę, a ja przez całe życie modliłam się za ciebie.

– I co chcesz zrobić?
– Naprawimy to, co zepsułeś przez te wszystkie lata.
– Dobrze wiesz, że to niemożliwe. Nie zwrócę życia ludziom, którym je odebrałem...

– Życia nie, ale jest powiedziane „Dobrem, zło zwyciężaj”.

– Nie rozumiesz Honorio? Ja nie jestem człowiekiem! Wyglądam tak jak człowiek, czuję tak jak człowiek, ale nim nie jestem. Do cholery nie jestem!

– Dla mnie zawsze...

– Tak wiem, dla ciebie zawsze będę aniołem – przerwał jej. – Chcesz zobaczyć swego anioła? Chcesz przekonać się, jaki jest naprawdę? Chcesz Honorio? Jeszcze masz czas, możesz wrócić do klasztoru i dalej być szczęśliwa. Nie powinienem nigdy się tu pojawiać. Nie powinienem zakłócać ci spokoju.

– Już zdecydowałam...

– A więc dobrze! – Błyskawicznie znalazł się przy lodówce i otworzywszy ją, wyjął z wnętrza plastikowy woreczek, taki w jakich w szpitalach przechowuje się krew. Uniósł go do góry, pokazując zaskoczonej kobiecie ciemnoczerwoną zawartość. – Oto twój anioł! Mówiłem ci o tym, ale lepiej jak zobaczysz na własne oczy.

Oderwał czop zamykający otwór i przyłożył do ust woreczek z krwią. Czerwona strużka spływała mu z kącika ust, kapiąc na czarną koszulę. Pił nie odrywając się od tego specyficznego naczynia, dopóki nie wypił wszystkiego. Pusty woreczek zmiażdżył w dłoni i rzucił do kosza. Honoria

dostrzegła jego drugie, bardziej mroczne, ale jeszcze piękniejsze oblicze. Wyostrzone rysy, nienaturalna bladość przywodząca na myśl marmur, dziwnie błyszczące oczy. Wargi mężczyzny były całe bordowe od krwi, ale językiem oblizwał usta, zlizując z nich ostatnie krople tego niezwykłego eliksiru.

– I co? Nadal chcesz mi pomóc? Nadal uważasz, że zasługuję na wybaczenie? To była krew Honorio. Ludzka krew!

– Wiem Rodericku. – Podeszła do niego i położyła mu obie dłonie na ramionach. –Bóg wybaczy Ci twe winy, ale musisz tego chcieć. Robiłeś i dobre rzeczy, a ja postaram się, abyś już nigdy nie skłonił się ku tym złym.

ŚLADY PRZESZŁOŚCI

Caroline leżała u boku Adama i wsłuchiwała się w spokojny oddech mężczyzny. Nie spała, gdyż jej głowa zaprzątnięta była przeróżnymi myślami. Przede wszystkim wyjazd do Benacantil. Teraz, gdy wszystko wreszcie zaczęło się dobrze układać, nic już nie powinno przeszkodzić w wypełnieniu zobowiązania danego Patronom. Adam... Uniosła głowę i spojrzała na śpiącego mężczyznę. Jej prawdziwa, jedyna miłość. Będzie musiała go opuścić, zostawić, zapomnieć. Nie! Tego nie można zapomnieć! Jak wymazać z pamięci wspomnienia wspólnych chwil, chociażby takich jak ta, gdy czuje jego ciepło koło swojego ciała?

Obietnica zobowiązuje. Kimże by była, gdyby złamała słowo? Potwierdziłaby tylko, że jest taka sama jak jej ojciec. Że jest czystym złem. Jeśli Duncan przed wiekami przybył na Ziemię, aby ją sobie podporządkować, jeśli podeptał święte prawo i wyrzekł się najwyższego dobra, to ona ma obowiązek, aby wreszcie zakończyć ten spektakl. Aby dać przykład, iż można żyć inaczej. Nie trzeba przecież zabijać, nie trzeba kierować się tylko instynktem. To uczucia są najważniejsze i im powinno się podporządkować życie.

Nie można zabijać? A co sama zrobiła? Upolowała lisicę, chociaż wiedziała, że w norze czekają młode. Oszukuje samą siebie, utrzymując, że jest lepsza niż Duncan. Jest taka sama! Dokładnie identyczna! To, że nie

zabija ludzi, nie ma znaczenia. Zrobiła dość złych rzeczy. Robillardowie... Skazała ich na śmierć, w chwili gdy się u nich zjawiała. Stary książę nie chciał przystać na propozycję, był przeciwny używaniu magii. Odprawił ją z zamku i zakazał wpuszczania, ale się nie poddała. Wiedziała o jego najstarszym synu Rodericku, który słynął ze swojej niezwykłej urody i powodzenia u płci pięknej. Czy to szlachcianki, mieszczeni, czy zwykłe chłopki, każda wysławiała go pod niebiosa i zabiegała, aby znaleźć miejsce w jego łóżu. Cóż, młodzieniec był spragniony życia i nie odmawiał chętnym, których nie brakowało. Caroline postanowiła wykorzystać tę jego słabość.

Okazja nadarzyła się bardzo szybko, kiedy Roderick wraz ze swymi braćmi i rycerzami, wyprawili się na łowy. Niezauważona przez strażę, dostała się do jego namiotu i poczekała, kiedy po suto zakrapianej uczcie przy ognisku, wróci do siebie spać. Ilość wypitego trunku zamroczyła mu zmysły, ale nie na tyle, aby nie dostrzec urody blondynki. Spędzili upojne chwile na posłaniu z kozich skór, a urok osobisty Caroline sprawił, iż Roderick zrozumiał, że pomoc w zwalczeniu Duncanów jest priorytetem i trzeba zrobić wszystko, aby dopiąć celu. Bez problemu zgodził się zostać mediatorem w sprawie.

Od tej pory zaczął systematycznie tłumaczyć ojcu wszelkie zalety skorzystania z oferty Caroline. Książę nadal był przeciwny, ale kolejne noce, jakie blondynka spędziła w komnacie Rodericka, zaczęły przynosić rezultaty. Opór starego Robillarda słabł, aż zupełnie zgasł. I o to

chodziło. Caroline będąc Patronem, w dodatku spokrewnionym bezpośrednio z Duncanami, nie mogła wystąpić przeciwko nim, ani zmusić kogokolwiek, aby zrobił to w jej imieniu. To musiała być samodzielna decyzja osób przystępujących do walki. Dlatego nie użyła swojej mocy, aby nakazać Robillardom posłuszeństwo. Oni sami, musieli tego chcieć, a ona mogła tylko im pomóc w realizacji planu.

Zginęli przez nią. Stary książę, jego dwaj synowie Cedric i Godric oraz Roderick... Tylko Roderickowi podarowała nieśmiertelność. Nie potrafiła go stracić, miała nadzieję, że może będą razem. Stara księżna tak strasznie płakała i błagała o ratunek dla ostatniego syna. Caroline stała, patrząc z przerażeniem na zakrwawione ciało młodzieńca, z którego bardzo szybko, zbyt szybko, uchodziło życie. Żaden lekarz, żadne zioło nie mogło już go uleczyć. Wahala się tylko przez moment. Wspomnienia wspólnych chwil pozwoliły jej podjąć decyzję, a płacz lady Robillard, tylko utwierdził ją w przekonaniu, że robi dobrze. Dała mu swoją krew. I stworzyła potwora, który ją za to znienawidził.

Przez długie lata czuła się za niego odpowiedzialna, ale nie potrafiła mu pomóc. Unikał jej towarzystwa, gardził nią. Nie słuchał, gdy próbowała do niego przemówić. A ona zrozumiała, że od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok. To nie Roderick był jej sądzony. Wkrótce to odkryła, widząc w swojej wizji Elizabeth.

Elizabeth była jego jedyną miłością. Jedyną nadzieją

i promyczkiem radości. I to znowu ona – Caroline, odebrała mu to szczęście. To dziwne, że po tym wszystkim, jeszcze miał na tyle siły, że potrafił z nią rozmawiać, że wybaczył kłamstwa, kiedy wreszcie wyszły na jaw. To w końcu Roderick odnalazł ją w lesie po przemianie i troskliwie otoczył opieką. Miał w sobie tyle ludzkich odczuć. A potem znowu stał się bestią...

W Anchorage, gdy weszła z Adamem i Lucasem do szpitalnej sali, gdzie leżała Barbara, zobaczyła wyraz twarzy Rodericka. Robillard wytworzył wkoło siebie barierę, tak aby nie można było przez nią odczytać myśli, ale w jego wzroku dostrzegła coś takiego... To jak patrzył na Barbarę, jak się nad nią pochylał. Była pewna, że gdyby zjawili się kilka sekund później, staliby się świadkami ich pocałunku. Czyżby Roderick poczuł coś do tej dziewczyny? Ale jakim cudem? Przecież jego serce biło tylko dla Elizabeth! Wszystkie kobiety, które przewinęły się przez jego łóżko, były tylko nic nieznaczącym epizodem, jednorazową przygodą. To, co dostrzegła pomiędzy Roderickiem a Barbarą, nie wyglądało na coś tak mało istotnego. Dodatkowo jej niepokój potęgował notes odnaleziony w szafie Robillarda.

Panna Westmoore była osobą bardzo spostrzegawczą, a dodatkowo posiadała zdolność dedukcji. Powoli składała ze sobą poszczególne fakty i utworzyła z tego obraz, który ją zaniepokoił. Teraz, leżąc w ramionach swego chłopaka, analizowała każde spojrzenie Barbary, którego była świadkiem – to jak Barbara patrzyła na Rodericka, a jak

spoglądała na Lucasa. Gdy jej wzrok spoczywał na Robillardzie, na jej twarzy pojawiał się jakiś błogi spokój, coś na kształt natchnienia, uduchowienia. Patrząc na Lucasa, wyglądała tak jak zawsze, po prostu nie okazywała żadnych emocji.

Czyżby Barbara nie kochała Lucasa? Przecież nie mogłaby, aż tak udawać! Caroline pamiętała jej rozterki, wahania i wreszcie podjętą decyzję. Ale przecież Barbara odkryła w sobie potęgę uczucia do Lucasa, dopiero po ingerencji Rodericka w jej umysł. Być może, gdyby nie to, Barbara nigdy nie zdecydowałaby się na związek z Westmoorem... Przecież... W tym momencie Caroline naszła pewna myśl, która zburzyła jej spokój. Pospiesznie wstała z łóżka i bezszelestnie wyszła na korytarz.

Rezydencja Robillardów pogrążona była w ciszy. Caroline zeszła na dół i stanęła przed portretem Elizabeth. Ze szczególną uwagą wpatrywała się w twarz sportretowanej kobiety. Po prostu nie mogła od niej oderwać wzroku. Powoli zaczynała rozumieć coś, czego do tej pory nie zauważała. Te oczy... Ten sam smutek widziała w szpitalu, gdy Barbara spoglądała na Rodericka. Czyżby to był znak? Czy aż tak mogłaby się pomylić? A jeśli Barbara to Elizabeth?

Zadrzała, zdając sobie sprawę, że to może być prawda. Nie! Nie! To absurd! Niemożliwe! Nagle zapragnęła natychmiast to sprawdzić. Nie wytrzyma już ani chwili dłużej. Jeśli Barbara to Elizabeth, to przecież nie może związać się z Lucasem!

Tak jak stała, w samej zwiewnej koszuli nocnej, wybiegła z domu i w błyskawicznym tempie pomknęła w kierunku domostwa Bennettów. Dotarłszy pod dom, odbiła się od ziemi i bezszelestnie wylądowała na parapacie okna Barbary. Przez uchyloną szybę zajrzała do pokoju.

Barbara spała, przytulona do ramienia Lucasa. Wyglądała na spokojną i szczęśliwą. Przez sen uśmiechała się leciutko. Lucas wyczuł Caroline i momentalnie zerknął w stronę okna, a dostrzegłszy za nim blondynkę, ostrożnie, tak aby nie obudzić swojej dziewczyny, wstał z łóżka. Już po chwili stał razem z Caroline pod drzewem, nieopodal domu.

– Czy coś się stało? – zapytał.

– Nie, dlaczego?

– Zjawiasz się tak w środku nocy. Chyba nie chcesz, abym uwierzył, że po prostu zapragnęłaś nas tylko zobaczyć?

– Nie, skąd. Miałam jedynie straszny sen i chciałam się upewnić, czy wszystko u was w porządku – wytłumaczyła się pośpiesznie,

– Przecież nie masz już swoich wizji...

– Zgadza się, ale tak jak ci mówiłam, to był sen. Strasznie głupi sen, ale nie mogłam się powstrzymać, aby nie zjawić się tu i nie sprawdzić, czy wszystko ok.

– Sprawdziłaś?

– Tak.

– No to dobranoc. – Odwrócił się od niej z zamiarem powrotu na górę, ale zatrzymała go.

– Między tobą, a Barbarą wszystko dobrze się układa?
– Tak, a dlaczego pytasz? – Spojrzał na nią ze zdziwieniem. – Poprosiłem ją o rękę, a ona się zgodziła.
– To dobrze – odetchnęła z ulgą. – Nic się między wami nie popsuło?
– Na pewno nie. Jesteśmy szczęśliwą parą, która wkrótce powie sobie sakramentalne tak.
– Cieszę się bardzo.
– Cokolwiek ci się śniło, to był tylko sen. – Podszedł do niej i przytulił ją do siebie. – Jeszcze nigdy nie byłem taki szczęśliwy jak teraz. Odzyskałem Barbarę i już nic nas nigdy nie rozdzieli.
– Mam taką nadzieję. – Uśmiechnęła się do niego, ale w głębi duszy nadal czuła niepokój. To spojrzenie Rodericka... Ten smutek w oczach Barbary... Oby to było tylko złudzenie.

* * *

Honorcia i Roderick stali przed tym, co kilka wieków temu było siedzibą Robillardów. Po okazałym zamczysku pozostały tylko nagie ściany, które niby wyrzut sumienia, górowały nad pozarastanym krzakami terenem. Droga dojazdowa kończyła się przed ogromnym otworem, który kiedyś zamykany był solidną bramą i kratą, ale obecnie pozbawiony tych zabezpieczeń, po prostu zapraszał każdego do odwiedzenia ruin.

Weszli na dziedziniec, tak samo zaniedbany i naderwany zębem czasu, jak mury otaczającego go zamku. Roderick podszedł do kamiennej studni usytuow-

anej po środku placu i zajrzał do środka, ale jedyne co dojrzał to stosy gruzu i różnorodnych śmieci. Szklane butelki po wódce i puszki od piwa, jasno świadczyły o tym, że to miejsce szczególnie upodobali sobie amatorzy mocniejszych trunków.

– Kiedy byłeś tu ostatni raz? – Honoria zadarła głowę do góry i spojrzała na zniszczone wieże.

– Wtedy, gdy umarłem. – Powiódł dłonią po obmurowaniu studni. – Nigdy więcej tu nie wróciłem. Nie mogłem.

– Cóż, widać nikt nie zadbał o to miejsce.

– Tam była kaplica. – Wskazał ręką na ruiny budowli, która sądząc po kształcie musiała być kiedyś zwieńczona okrągłą kopułą.

Podeszli do otwartych drzwi, z których ocalało zaledwie jedno skrzydło, i po ukruszonych schodkach dostali się do środka. Wewnątrz panował półmrok i przejmujący chłód. Honoria dostrzegła fragmenty ław, przeznaczonych dla wiernych, oraz stół, który zapewne kiedyś był ołtarzem. Osiem posągów kamiennych aniołów z poobtrącanymi skrzydłami zdobiło kolumny, podtrzymujące sklepienie i odgradzające główną nawę od bocznych.

Roderick od razu po wejściu, skierował się do lewej, bocznej nawy, a podszedłszy do ściany, popatrzył na marmurową płytę. Z trudem odczytał zatarte częściowo napisy.

„Iustitia et pietas duo sunt regnorum omnium fundamenta”[1] głosiło wyryte u góry hasło, będące mottem

rodziny Robillardów, a poniżej znajdował się tekst upamiętniający wybudowanie kaplicy.

„Deo Optimo Maximo[2]. Roku pańskiego 1643 wielce zacny Aelfric Cedwig Robillard, książę i pan Bewcastle, i księżna Mildburg, jego szlachetna małżonka, dziękując za narodziny pierworodnego syna, nazwanego na cześć sławetnych przodków Roderick Hearn Aelfric, postawili tę kaplicę ku chwale imienia Pana Przenajświętszego i pamięci przyszłych pokoleń, które rozślawią nazwisko Robillard i w świat poniosą jego chwałę.”

– Chwała Robillardów przeminęła. – Honoria stanęła tuż za plecami Rodericka i ze smutkiem pokiwała głową. – Zostały jeno ruiny. Nie zadbałeś o swoje rodzinne gniazdo. A gdzie groby twoich przodków?

Nie odpowiedział, tylko wyszedł z kaplicy. Odłamki gruzu skrzypiały pod podszewkami jego butów. Gdy znalazł się na dziedzińcu, z jednego z okien wzleciał do góry czarny ptak, kracząc przy tym przeraźliwie. Roderick powiódł wzrokiem za nim.

– Teraz mieszkają tu tylko kruki. – Honoria stąpała ostrożnie, w jej wieku przechadzki po takich rumowiskach, nie należały do najłatwiejszych.

Przez pozbawioną zabezpieczeń bramę wydostali się z powrotem na zwirowaną drogę i okrążywszy mury zamku, zeszli wąską, pozarastaną ścieżką w dół.

– Tu był cmentarz. – Roderick przystanął, rozglądając się dookoła. – Kiedyś otaczał go niski, kamienny murek. Tu leżeli moi dziadkowie, tu pochowaliśmy ojca i braci.

– Czas nie zachował ich mogił. – Honoria zaczęła rozgarniać gęste krzewy w poszukiwaniu śladów dawnych nagrobków, ale to Roderick pierwszy znalazł pękniętą płytę, która kiedyś przykrywała miejsce spoczynku jego bliskich.

– Moja matka – szepnął, wyrywając chwasty, które zasłaniały pokruszony kamień. – A tu leży mój brat. – Wskazał na kolejny kawałek marmuru.

Honoria przedostała się do niego i przykucnęła przy płycie.

– „Księżna Mildburg Robillard, żona księcia Aelfrica Robillarda, pana Bewcastle” – odczytała cicho. – „Zmarła roku pańskiego 1666”.

– Ja ją zabiłem. – Ukląkł obok nagrobka. – Zabiłem wszystkich. Namówiłem ojca, aby przystał na plan Caroline. Byłem taki głupi.

– Każdy może popełnić błąd – zapewniła, podnosząc się do góry. Stała koło niego i położyła mu dłoń na ramieniu. – Ważne, że to rozumiesz i żałujesz.

– Ale nie mogę tego naprawić – krzyknął z bólem. – Nie zwrócę im życia!

Przez wszystkie te lata, nie potrafił tu wrócić. Wyrzuty sumienia, lęk przed tym, co może zobaczyć, sprawiały, że szerokim łukiem omijał tę okolicę. Najpierw udał się do Alston, majątku matki i mieszkał tam przez krótki okres czasu, jednak nie potrafił zapanować nad pragnieniem krwi i informacje o jego nader przerażającym stylu życia zaczęły krążyć po okolicy. Wtedy sprzedał obie posiadłości

i zabrawszy co cenniejsze rzeczy, pojechał do Szkocji, tam gdzie nikt go nie znał. Starał się żyć między ludźmi, jednak prędzej czy później i tak musiał zmieniać miejsce pobytu, aby nie skoncentrować na sobie podejrzeń.

Przemieszczał się po całym kraju, odnajdując miejsca położone z dala od cywilizacji, które obierał sobie za główne pola dla swoich łowów. Majątek Westmoorów był dla niego terenem łowieckim już od dobrych dwustu lat, gdy nagle pojawiła się Elizabeth. Wtedy po raz pierwszy zastanowił się nad swoim dotychczasowym życiem. Wtedy po raz pierwszy od dnia przemiany, przestał pić ludzką krew.

Chciał być człowiekiem. Oddałaby za to wszystko. Przy Elizabeth było mu łatwiej wyobrazić sobie, że jest taki jak wszyscy. Ona dodawała mu mocy. Ale ją stracił. Pozwolił, aby umarła. Cierpiał najgorsze katusze, kiedy zrozumiał, że już nigdy jej nie odnajdzie. Zatracił się w szaleństwie, które pozbawiło go resztek człowieczeństwa. Ale pojawiła się Barbara. To dziwne uczucie, które do niej odkrył, napawało go strachem i kolejnymi wyrzutami sumienia. Jak mógł się tak pomylić? Jak mógł od razu nie spostrzec, że to nowe wcielenie Elizabeth?

Kochał ją. Był tego pewien, jak jeszcze niczego w życiu. Chciał spędzić z nią każdą chwilę wieczności. Zasypiać w jej ramionach i budzić się u jej boku. Całować ją oddychając jej powietrzem.

Pomyślał o Hope – ich córeczce. Mała, bezbronna istotka, która tak dzielnie walczyła o życie. Wierzył, że

wygra tę walkę. Żałował, że nie może być przy niej, nosić jej na rękach, kołysać do snu. Chciał być ojcem, chciał poczuć to wszystko, co przynależne rodzicom... Ale nigdy tego nie pozna.

– Nie wiem, jak zmazać swoje winy... Nie wiem, jak odbudować to, co zniszczyłem. Mój ojciec kochał tę ziemię, a ja sprawiłem, że wszystko obróciło się w ruinę. Przyniosłem hańbę nazwisku i stałem się zwiastunem śmierci. Może nie powinienem tu wracać? Jestem zbrodniarzem, który odwiedził miejsce dokonanej przez siebie rzezi. To moje ofiary tu leżą. Ojciec, matka, bracia... Setki, bezimiennych wieśniaków i rycerzy. Nie naprawię tego nigdy Honorio. Może tylko moja śmierć zadośćuczyni tej zbrodni.

– Nie mów tak Rodericku. Bóg dał ci szansę. Spróbuj z niej skorzystać.

– Szansę? O jakiej szansie ty mówisz? O tej, że tu z tobą przyjechałem? Czy o tej, że odnalazłem Elizabeth, która teraz jest dziewczyną innego?

– Mówię o tym, co powinieneś zrobić – wyjaśniła spokojnie. Przez lata spędzone w zakonie, nauczyła się cierpliwości i pokory.

– Tak? Więc powiedz mi, co według ciebie powinienem zrobić, aby Bóg uznał, że zasługuję na litość? Aby wreszcie przestał mnie gnębić?

– Zwrócił życie Elizabeth i ty to nazywasz gnębieniem? Zastanów się mój drogi. Twoja modlitwa została wysłuchana – to dobry znak.

– A jak to tylko zbieg okoliczności?
– Nie ma zbiegów okoliczności.
– To co mam zrobić? Powiedz mi Honorio!
– Powinieneś zadbać o to miejsce. Uciekłeś stąd, nigdy nie wracałeś, a to twoje gniazdo rodzinne. Powinieneś kultywować pamięć o nim. Może twojej rodziny już nie ma, ale niech ludzie pamiętają o Robillardach – to przecież było marzeniem twego ojca. Fundując zamkową kaplicę, chciał nieść chwałę waszego nazwiska. Zadbaj o to, aby to miejsce znowu zaczęło tętnić życiem, aby ludzie tu przyjeżdżali. Aby znowu mówiło się o Robillardach z Bewcastle. Do kogo należy teraz ta ziemia?

– Nie wiem. Cała moja rodzina przestała istnieć przeze mnie. Nikt się nie ostał, oprócz mnie. Sprzedałem włości osobie, która dawała najlepszą cenę, nie interesując się, kto to taki.

– No to musimy się tego dowiedzieć. Chodź, pójdziemy do wsi. Tam na pewno uzyskamy jakieś informacje.

* * *

W niewielkim, położonym na uboczu pubie, było jeszcze dość luźno. Starszy, brodaty barman korzystając z wolnej chwili, rozwiązywał krzyżówkę, od czasu do czasu zerkając znudzonym wzrokiem na powieszony pod sufitem niewielki, kolorowy telewizor.

Trzech, stałych bywalców tego przybytku, siedziało przy swoim ulubionym stoliku w rogu sali i popijając wolno piwo, rozprawiało o polityce Wielkiej Brytanii

względem napływającej fali imigrantów. Widać temat ten bardzo ich interesował, gdyż podczas rozmowy żywo gestykulowali rękoma i od czasu do czasu uderzali pięścią w blat stołu.

– Powiadam wam, te brudasy rozkradają nasz kraj! – Rudowłosa mężczyzna, będący dumnym posiadaczem imponującego zarostu, starł z wąsów piwną pianą. – Przyjeżdżają tu nie wiadomo skąd i odbierają miejsca pracy naszym ludziom.

– Dokładnie – zawtórował mu chudy, posepny jegomość o długiej, bladej twarzy i łysiejącej czaszce. – Pracują za niższą stawkę i są dla nas konkurencją.

– To zwykłe świnię. Pełno ich wszędzie. Ino patrzeć, jak przyjadą i tutaj. – Trzeci z mężczyzn, do tej pory nie biorący udziału w dyskusji, opróżnił do końca kufel i zawołał w stronę barmana. – Hej Joe, do pełna!

Barman niechętnie oderwał się od krzyżówki i ruszył w stronę stolika. W tym samym momencie drzwi wejściowe otworzyły się na oścież i do środka pubu weszła dziwna para: niezwykle urodziwy, ubrany na czarno mężczyzna i starsza, siwowłosa kobieta w niemodnej, szarej sukience.

Przybysze, odprowadzani wzrokiem stałych bywalców lokalu, podeszli spokojnie do jednego z wolnych stolików i zajęli miejsca.

– Co to za jedni? – Rudowłosa nachylił się ku barmanowi i wskazał głową na nowych gości.

– Pierwszy raz ich widzę. Pewnie przyjezdni.

– Ano właśnie. O tym mówiłem. Dolej Joe, póki jeszcze tu pracujesz, bo nigdy nic nie wiadomo...

– Nie wyglądają na takich, co szukają pracy – powątpiewał posepny mężczyzna. – Są zbyt dobrze ubrani.

– Chcą uspić naszą czujność i wygryźć nas z posad. Nie daj się zwieść. Jak nic przyszli tu na przeszpiegi. Idź Joe, zobacz czego chcą, tylko bądź ostrożny.

Barman wziął pusty kufel i ruszył w stronę baru, po drodze jednak zatrzymując się przy stoliku przybyłych.

– Zamawiają coś państwo? – zapytał nieufnie.

Roderick dobrze słyszał całą rozmowę i widział myśli mężczyzn, dlatego też uśmiechnął się, próbując zyskać przychylność barmana, a wyjąwszy z kieszeni banknot dziesięciofuntowy położył go na blacie stołu.

– Tylko wodę. Jesteśmy tu przejazdem. Oglądaliśmy tutejsze zabytki. Macie wspaniałą historię.

– Eee zabytki. – Barman podrapał się po głowie. – No akurat tu dużo tego nie ma. Musielibyście jechać do...

– Widzieliśmy ruiny zamku – przerwała mu Honoria.
– Do kogo należała ta posiadłość?

– Ruiny – powtórzył barman. – Aaa, chodzi wam o posiadłość Robillardów. To byli wielcy panowie, ale podpisali pakt z siłami nieczystymi.

– Co zrobili? – Roderick nerwowo zacisnął palce na wyjętej z uchwytu papierowej serwetce.

– Przeszli na stronę zła! – krzyknął z rogu sali rudowłosy, który bacznie przysłuchiwał się całej rozmowie. – Podpisali pakt z Szatanem, ale na szczęście zginęli.

– Joe, gdzie moje piwo?

– Już! – Barman pokręcił głową, sięgnął po leżący na stoliku banknot i schowawszy go do kieszeni fartucha wrócił za kontuar.

– Uspokój się. – Honoria nachyliła się w stronę Rodericka. – To było wieki temu. Wiadomo, że historia czasem jest wypaczana.

– Dlaczego uważa pan, że Robillardowie podpisali pakt z szatanem? – Zdecydowanym ruchem odsunął krzesło i wstawszy z miejsca, podszedł do trzech, siedzących pod ścianą mężczyzn.

– To znana opowieść. Taka z dziada pradziada.

– Może mi ją pan opowie? – Roderick zajął wolne krzesło przy stoliku. – Jestem bardzo ciekawy.

Honoria nie chciała zostawiać go samego, gdyż zdawała sobie sprawę, że to co mogą opowiedzieć mężczyźni, nie jest tym, co Robillard pragnąłby usłyszeć. Taka prawda może być bardzo bolesna. Zbliżyła się do bruneta i stanęła ze jego plecami.

– No Robillardowie byli właścicielami tej ziemi. – Rudowłosy upił łyk piwa z kufła. – Rządzili mądrze i sprawiedliwie, ale marzyło się im coś więcej. Dlatego weszli w układy z siłami zła. Sprowadzili na okolicę nieszczęście. Zaatakowali szacowną rodzinę Duncanów, mieszkającą w sąsiednim majątku. Wiele osób zginęło podczas bitw. Oj, to były krwawe czasy.

– Duncanowie byli tymi dobrymi? – Roderickowi coraz trudniej było zachować spokój.

– Tacy zupełnie dobrzy to oni nie byli. Można powiedzieć, że trafił swój na swego. Nawzajem się wyżynali, przy okazji gęsto ścieląc trupem okolicę. W każdym razie obie rodziny doprowadziły się do unicestwienia. Ocalał jedynie najstarszy syn Robillardów. O, ten to był diabeł wcielony. Mówili ludzie, że był martwy i ożył. Zabił własną matkę i uciekł stąd. Pewnie wrócił do samego piekła. No, ale majątek został wtedy bez dziedzica. Ludzie pokradli, co mogli, a resztą zajął się czas i obrócił w ruinę. Ponoć ktoś kupił posiadłości, ale zamek był przeklęty i nikt nie odważył się w nim zamieszkać.

– To kto jest teraz właścicielem tych ziem? – Honoria ścisnęła ramię Rodericka, dając mu znak, aby się nie odzywał.

– Lady Katherine, wdowa po hrabim Ramsey. – Rudowłosy prychnął z pogardą, tak jakby samo wymówienie imienia obecnej właścicielki posiadłości, było czymś nagannym. Tylko Roderick odgadł jego myśli i zrozumiał dlaczego z takim lekceważeniem wypowiadał się o spadkobierczyni majątku. Wielbicielka czarnej magii? Zaprawdę intrygujące.

– Gdzie ją można znaleźć? – zapytała Honoria, która nie potrafiła czytać w myślach.

– Znaleźć? – Barman, trzymający w dłoni drewnianą tacę, podszedł do stolika i postawił na nim napełniony kufel piwa, oraz dwie szklanki z wodą. – Jeśli nie podróżuje po świecie, to bawi albo w Londynie, albo w Alston, gdzie ma swoją letnią rezydencję. Ale jeśli mam być

szczerzy, to odradzam państwu wszelkie kontakty z tą wiedźmą.

– Tfu na psa urok! – Splunął przez ramię posepny, łysiejący mężczyzna. – Że też ziemia nosi takie zakały. Jak nic to ona przyczyniła się do śmierci hrabiego, a teraz wydaje jego pieniądze na te swoje bezeceństwa. I na takich ludzi nie ma prawa...

– Bardzo panom dziękujemy. – Honoria niemalże zmusiła Rodericka, aby wstał z krzesła i pociągnęła go w stronę wyjścia. Nie lubiła słuchać plotek, które zazwyczaj nie były zgodne z prawdą, a tylko szkalowały dobre imię niewinnych osób. Jej wiara, nie pozwalała osądzać kogoś bez należytych dowodów.

– A woda? – Barman wskazał na napełnione szklanki.

– Pragnienie nam już minęło. – Uśmiechnęła się przeprasząco. – Reszty nie trzeba.

– Kolejni cudzoziemcy! – Rudowłosy wzruszył ramionami. – Wszędzie ich pełno.

* * *

Lucas z prawdziwą ulgą przyjął wiadomość, że tego dnia nie musi jechać do Springfield i że to Caroline będzie towarzyszyć Barbarze w drodze do szpitala. Mimo upływających dni, nadal nie potrafił zaakceptować dziecka swojej dziewczyny. Wcześniej myślał, że będzie mu łatwiej, ale gdy tylko zobaczył pierwszy raz tę pomarszczoną istotkę, nie poczuł do niej niczego, oprócz złości. Tak, był po prostu zły, że to dziecko jest łącznikiem pomiędzy Barbarą i Roderickiem. Że to ciało z ciała i krew z krwi

Robillarda.

Przeklęty Obrządek Początku! Czasem zastanawiał się, czy sam dałby radę go przeprowadzić, ale wyobrażenie Barbary w ramionach innego, sprawiało, że wolał nigdy nie mieć własnych potomków. Właściwie nawet dziwił się Patronom, których stać było na coś tak nienaturalnego i odrażającego.

Odprowadził Barbarę do samochodu Caroline i zanim pomógł jej wsiąść do środka, przytrzymał ją w swoich ramionach, zaciągając się zapachem jej włosów.

– Kochany, chciałabym ci przypomnieć, że mamy w planach podróż do Springfield, nie tulenie się na podwórzu. – Caroline przerwała te czułości, delikatnie zwracając mu uwagę. Z jednej strony cieszyła się, że między nimi tak dobrze się układa, jednak z drugiej strony cały czas miała wrażenie, że w oczach Barbary nie dostrzega tego czegoś, czego świadkiem była w Anchorage.

– Tylko jedź ostrożnie – upomniał siostrę, wypuszczając swoją dziewczynę z objęć i otwierając przed nią przednie drzwiczki BMW.

– A kiedy nie jechałam ostrożnie? – oburzyła się na takie insynuacje. – Akurat tego nie możesz mi zarzucić.

– Wiem, ale wiesz mój największy skarb. – Uśmiechnął się do Barbary, zanim zatrzasnął drzwiczki.

– Trzeba było jechać z nami, to nie musiałbyś się z nią rozstawać. – Caroline jeszcze nie wsiadła. Trzymała dłoń na klamce samochodu i patrzyła na brata. – Może jednak?

– Muszę przygotować wszystko na ślub. – Wymigał

się szybko.

– Przecież masz jeszcze ponad półtora miesiąca czasu. Na pewno zdążysz.

– Tak, ale lubię perfekcję. No i przede wszystkim remont domu... Umówiłem się na dziś z robotnikami.

– To baw się dobrze. – Pomachała do niego drugą ręką i zajęła miejsce za kierownicą. – Gotowa? – Zerknęła na Barbarę.

Panna Bennett skinęła głową, nie odpowiadając na pytanie. Caroline dostrzegła jej nienaturalnie ściągniętą twarz, na której uśmiech wyglądał niezwykle sztucznie. Znowu poczuła ukłucie niepokoju. Uruchomiła silnik samochodu i zgrabnie manewrując kierownicą, wycofała tyłem pojazd na drogę.

* * *

Podróż do Springfield mijiała w ciszy. Caroline słuchała muzyki z CD i tak jak to miała w zwyczaju, nuciła do społu z wykonawcami. Barbara przez większość czasu wpatrywała się w szybę, jakby widoki za oknem należały do wyjątkowo ciekawych.

– Nie wiesz, gdzie on jest? – zapytała niespodziewanie, sprawiając, że Caroline w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co jej chodzi.

– Kto?

– Erick.

– Nie wiem. – Nie powinna o to pytać! Jeśli zapytała, to znaczy, że ciągle o nim myśli, że nie potrafi zapomnieć. Co do cholery stało się na Alasce?

– Myślałam, że wróci...

– To wolny duch. Idzie tam, gdzie chce. Nie przywiązuje się ani do miejsc, ani do ludzi – odpowiedziała, zastanawiając się nad każdym słowem. – Nie powinnaś się nim przejmować, bo wierz mi – on na pewno o tobie nie myśli. Chyba że...

– Chyba, że co? – podchwyciła Barbara.

– Chyba, że jest coś, o czym ja nie wiem. Może ty mi powiesz, co wydarzyło się na Alasce?

Milczenie Bennettówny było aż nazbyt wymowne. Caroline z trudem skupiała się na drodze, rozumiejąc, że na Alasce wydarzyło się coś niezwykłego. Coś, co nigdy nie powinno się stać.

– Czy chcesz mi o czymś powiedzieć Barbaro? Jeśli stało się coś...

– Nic się nie stało – odpowiedziała, znowu wpatrując się w szybę.

– Jesteś pewna? Byliście przez tyle czasu zupełnie sami. Mówiłaś mi o tym, co czujesz do niego...

– Ale on nie czuje do mnie nic.

– To rozumiałe. Roderick nie potrafi kochać, nie potrafi obdarzyć miłością. W jego życiu liczyła się tylko Elizabeth. Chciałabym, abyś to rozumiała...

– Rozumiem – przerwała jej. – Nie musisz się o nic martwić. Wiem, że Lucas jest najlepszą rzeczą, jaką dostałam od losu i to z nim chcę być. To, co czuję, naprawdę nie ma znaczenia. Ot głupie, szczeniackie uczucie.

– Kochana, nie chcę abyś cierpiała, a widzę w twoich

oczach coś, co mnie niepokoi. Twoje spojrzenie, gdy patrzyłaś na Rodericka, jest zupełnie inne od tego, jakim obdarzasz Lucasa. Proszę, odpowiedz mi uczciwie – czy na Alasce między tobą a Roderickiem coś zaszło?

– Nie – skłamała. Nie mogła jej o tym opowiedzieć. Nikomu nie mogła. To tylko jej sekret. Mała tajemnica, ukryta na samym dnie duszy.

* * *

Lady Katherine Ramsey była około trzydziestoletnią, wysoką, szczupłą kobietą o niezwykle jasnej karnacji skóry i złotym odcieniu długich, kręconych włosów. Jej szlachetne rysy twarzy czyniły z niej kobietę bardzo urodziwą, a duże zielone oczy, błyszczały dziwnym blaskiem, nadając spojrzeniu pewnej tajemniczości.

Nosiła się z przesadną wręcz elegancją i dbałością o szczegóły stroju. Nawet po domu chodziła ubrana tak, jakby za chwilę miała wybrać się na przyjęcie w pałacu Buckingham. Krótka, prosta, ale bardzo szykowna, zielona sukienka, kończąca się tuż przed kolanami, odsłaniała jej zgrabne nogi, obute w srebrne szpileczki na niebotycznie wysokim obcasie. Pasek z przodu butów wysadzany był zielonymi kamyczkami, idealnie pasującymi do odcienia sukienki.

Lady Katherine unikała biżuterii i nigdy nie przywiązywała do niej większej wagi. Jediną ozdobą stroju były niewielkie kolczyki – wkręty ze szmaragdowymi oczkami.

W chwili, gdy pokojówka zaanonsowała przybycie

Ericka Robillarda i Honorii Sacchetti, wdowa po hrabim Ramsey siedziała na tarasie swojego pałacu i zagłębiona w wysokim, wiklinowym fotelu, czytała książkę. Lektura była na tyle ciekawa, że nawet w pierwszej chwili nie usłyszała informacji i służąca musiała znacząco chrząknąć, aby oderwać ją od tekstu.

– O co chodzi, Martho? – Z lekką irytacją uniosła głowę znad książki i spojrzała na zatrwożone dziewczę.

– Bo mówiłam, że... – zaczęła nieśmiało nieszczęsna służka, przeklinając się w duszy, że zgodziła na pracę u tej „czarownicy”. Wszyscy w okolicy nie nazywali inaczej lady Katherine.

– Nie zaczyna się zdania od „bo” – zauważyła, odkładając książkę na kolana.

– Przepraszam. – Pokojówka dygnęła. – Przyjechał pan Erick Robillard wraz z panią Honorią Sacchetti i...

– Kto? – Lady Katherine na moment zapomniała o swoim opanowaniu i dobrych manierach. Gwałtownie zerwała się z fotela, tak iż książka z hukiem upadła na podłogę. Pokojówka momentalnie schyliła się po nią, ale wystarczył rzut okiem na okładkę, aby wykrzywiła twarz z niesmakiem. Ostrożnie ujmując tom w dwa palce, podała go swojej pani, oddychając z ulgą, gdy ta go wreszcie odebrała. „Okultyzm, czary, mody kulturalne”[3] – ktoś czyta coś takiego? Tylko wiedźma!

– Mówiłaś, że kto przyjechał? – Lady Katherine nie zauważyła miny służącej, zbyt bardzo zaabsorbowana nazwiskiem, jakie przed chwilą usłyszała.

- Erick Robillard i...
- Gdzie jest? – Ponownie przerwała.
- W salonie...

Kobieta wyminęła pokojówkę i przez tarasowe drzwi weszła do pokoju. Nie zatrzymując się, szybko przemierzyła pomieszczenie i wyszedłszy na korytarz, skierowała się w stronę salonu.

Robillard... Erick Robillard. To nie może być zbieg okoliczności. Na pewno to nie przypadek. Tak nazywał się ostatni dziedzic Bewcastle, który według legendy przeszedł na stronę ciemności i zyskał nieśmiertelność. Tak nazywał się ten, który zniszczył jej rodzinę. Jeśli to on...

Zdecydowanym ruchem pchnęła przymknięte drzwi i weszła do pokoju. Od razu dostrzegła, stojącego przy oknie mężczyznę i siedzącą na fotelu starszą kobietę.

– Jestem lady Katherine Ramsey – przedstawiła się, podchodząc do Rodericka. W napięciu przyglądała się jego twarzy. Te rysy... Rozpoznałaby je wszędzie. Chociaż minęło tyle lat, nadal pamiętała dokładnie każdą rysę twarzy osoby, która przeciwstawiła się Duncanom. Legenda nie kłamała! Roderick zyskał nieśmiertelność!

– Erick Robillard, a to moja towarzyszka Honoria Sacchetti. – Z kurtuazją ucałował jej dłoń i wskazał na Honorę, która w międzyczasie wstała z fotela i także do nich podeszła.

– Niesamowite. – Katherine przygryzła wargę, nie odrywając wzroku od Rodericka. – Mam wrażenie, że przeżywam *deja vu*[4].

– Dlaczego? – Roderick starał się wniknąć do umysłu kobiety, ale okazało się to niemożliwe, tak jakby chroniło ją jakieś specjalne pole siłowe, podobne do tego, które wytwarzał amulet Billa.

– Zaraz się pan przekona. Czemu jednak zawdzięczam tę wizytę?

– Prawdę mówiąc, przyszliśmy tu w interesach. – Honoria doszła do wniosku, że lepiej będzie jeśli to ona zabierze głos.

– W interesach? – Wskazała im wolne fotele i sama zajęła jeden. – Może napiją się państwo herbaty albo kawy... – Umilkła na moment, a następnie patrząc Roderickowi prosto w oczy, dokończyła – a może jeszcze czegoś innego?

– Dziękujemy, ale nie musi sobie pani robić sobie kłopotu. – Honorii nie podobał się ton głosu Katherine i to jej spojrzenie, jakim obdarzała Robillarda. Miało się wrażenie, że rozbiera go niemalże wzrokiem.

– Cóż więc za interes sprowadza państwa do mnie? – Lady Ramsey nadal patrzyła tylko na bruneta, całkowicie ignorując obecność jego towarzyszki.

– Bewcastle. Dowiedzieliśmy się, że niedawno je pani kupiła.

– A tak... To bardzo fascynujące miejsce. Lubię takie. Krążą o nim pewne legendy... Ale czemu państwa interesuje ta ziemia?

– Można powiedzieć, że to część naszego dziedzictwa. Dalecy przodkowie Ericka byli jej właścicielami i...

– Robillard... Znam to nazwisko, tylko akurat tak się składa, że cała linia tej rodziny przestała istnieć. Raczej nie jest możliwe, aby mieli państwo jakichś wspólnych przodków, chyba że... No cóż, jak już wspomniałam, gdy tu weszłam, doznałam czegoś na kształt *deja vu*. Jeśli pan pozwoli? – Wstała z fotela i podeszła do drzwi. – Chciałabym panu coś pokazać. Pani niech tu poczeka – zarządziła, widząc, że i Honoria podnosi się z miejsca.

– Wszystko w porządku – uspokoił swoją towarzyszkę. – Dam sobie radę. Nie musisz się o mnie martwić Honorio.

Wyszli z salonu, a pani Sacchetti wyjęła z kieszeni sukienki różaniec i zaczęła odmawiać modlitwę. Lady Katherine nie przypadła jej do gustu i już rozumiała, dlaczego barman mówił o niej z taką pogardą.

* * *

Lady Ramsey poprowadziła Rodericka korytarzem, do miejsca, gdzie mieściło się wejście do piwnic. Drewnianymi schodami zeszli na dół i mijając regały z setkami leżakujących butelek z winem, doszli do kamiennej ściany. Roderick pamiętał to pomieszczenie i wiedział, co znajduje się za pozornie litą skałą. To była sekretna komnata, gdzie jego rodzina przechowywała najcenniejsze skarby. Ostatni raz był tu wtedy, przed wiekami, gdy zaczął swoje nowe życie.

Katherine sprawnie odszukała odpowiedni kamień i nacisnąwszy go, spowodowała, że ściana rozsunęła się, ukazując duże, ciemne pomieszczenie. Chwilę trwało za-

nim kobieta odnalazła włącznik i zapaliła światło.

– Idziemy z postępem – wyjaśniła, widząc jego zdziwienie. – Prąd założyłam tutaj w zeszłym roku. Lubię tę komnatę i często spędzam tu dużo czasu. Świece są strasznie niepraktyczne i kopcą.

Weszli do środka, a ściana za nimi zasunęła się z cichym szumem. Roderick uważnie rozejrzał się dookoła.

– Dużo się zmieniło? – zapytała jakby od niechcienia.

– Nie wiem, nigdy tu nie byłem – odpowiedział. – Po co mnie tu pani przyprowadziła?

– Tak... Już wyjaśniam. – Podeszła do jednej ze ścian, zasłoniętej w tym momencie zieloną, ciężką kotarą. – Pozwoli pan, że przedstawię panu kogoś. – Schwyciła za uchwyt i pociągnawszy go, rozsunęła zasłonę. Oczom Rodericka ukazał się portret. Pamiętał go bardzo dobrze. Pozował do niego przez dwa tygodnie. To było wyjątkowo nudne zajęcie, ale trzeba przyznać, że artysta naprawdę wiernie oddał podobiznę. – Oto Roderick Robillard, ostatni dziedzic Bewcastle.

– Zadziwiające. – Udał, że widzi obraz po raz pierwszy. Zbliżywszy się, przyglądał się mu z uwagą. – Dostrzegam pewne podobieństwo...

– Pewne? – Roześmiała się. – Ja bym powiedziała, że jesteście identyczni.

– Może trochę...

– Zna pan tę legendę? Wie pan, co stało się z rodziną Robillardów?

– Coś słyszałem, ale oczywiście nie wierzę w takie

bdury. Pani wierzy?

– Jestem antropologiem. – Dotknęła dłonią płótna obrazu. – Muszę w to wierzyć. Roderick Robillard podpisał pakt z siłami ciemności i przeszedł na ich stronę. Mimo iż umarł, otrzymał życie wieczne. Ciągłe jest piękny, młody... Ciągłe jest taki jak na tym portrecie. I może tu wrócić... Dlaczego nie wrócił do tej pory? Dlaczego dopiero dziś? – Odwróciła się w jego stronę.

– Nie wiem, co pani ma na myśli.

– Wiesz dobrze Rodericku.

– Zapewniam panią, że nie. A na imię mam Erick. Robillardowie z Bewcastle byli bardzo dalekimi krewnymi mojej rodziny.

– Nie musisz kłamać Rodericku. Ja znam prawdę. To jesteś ty. Czekałam na ciebie tyle wieków, ale byłam pewna, że kiedyś powrócisz. – Podeszła bliżej i położyła dłonie na jego piersiach. – Tak długo kazałeś mi czekać...

– Przepraszam. – Zdecydowanym ruchem odsunął się od niej. – Przykro mi, że muszę panią rozczarować, ale naprawdę nie mam zielonego pojęcia, o czym pani mówi. Widzę panią pierwszy raz w życiu.

– W takim razie to ja przepraszam. Żyję tymi wszystkimi legendami... – Umknęła spojrzeniem w bok i odeszła pod przeciwległą ścianę, gdzie na drewnianym stole, stał metalowy kuferek. Powoli otworzyła wieko i włożyła dłoń do środka. Zanim Roderick się zorientował, wyciągnęła z wnętrza sztylet i przyskakując do niego, gwałtownym ruchem zadała cios, raniąc go w wierzchnią stronę dłoni.

Była szybka, zadziwiająco szybka, a mimo to nie wyczuwał w niej takiej istoty, jaką sam był.

– Dlaczego to pani zrobiła? – Zasłonił ranę drugą ręką, chcąc ją ukryć przed jej wzrokiem.

– Nie wysilaj się mój drogi. – Wzruszyła ramionami. – Za moment po tej ranie nie będzie śladu. Gdybym użyła srebrnego ostrza, zostałaaby blizna. Jeśli chcesz, mogę jeszcze spróbować z solą, ale i bez tego wiem kim jesteś. Jesteś wampirem. Jesteś Robillardem z Bewcastle. Jesteś bestią.

Puścił dłoń i oczom Katherine ukazała się gładka skóra, bez jakiegokolwiek, nawet najdrobniejszego śladu skaleczenia.

– A nie mówiłam? – triumfowała.

– No dobrze, to zna już pani prawdę. I co teraz?

– Przez setki lat marzyłam o tym, abyś żył i abym mogła się zemścić za to, co mi zrobiłeś. Obmyślałam szczegóły, napawałam się samą świadomością, że mogłabym cię unicestwić i wiesz co? Dziś, gdy wróciłeś, poczułam, że moje marzenie wreszcie się spełni. Opłacało się czekać. Te wszystkie godziny, gdy wpatrywałam się w ten portret, ucząc się na pamięć twoich rysów, nie poszły na marne. Rozpoznałam cię od razu. Zabrałeś mi życie, zniszczyłeś wszystko, co się dla mnie liczyło. Widziałam, jak zabijasz mojego męża, patrzyłam jak odbierasz mi synów. Mnie oszczędziłeś, bo byłam człowiekiem? Nie byłam nim! Pomyliłeś się! Duncan nie dał mi wieczności, takiej jaką sam miał, ale ofiarował mi magię. Dzięki niej

moja dusza potrafiła opuścić martwe ciało i znaleźć sobie kolejne. Przez stulecia miałam tyle różnych postaci, wiodłam tak niezwykle życia... I czekałam. Cierpliwie czekałam, aż spotkam kogoś takiego, jak ty. Po co, zapytasz? Po to, aby dostać to, co było udziałem mego męża! Aby przestać się osłabiać i móc pozostać w jednym ciele na całą wieczność! Szukałam was, sama będąc dla was niewidoczną. Na pewno zdziwiłeś się, gdy spostrzegłeś, że nie możesz zajrzeć do mego umysłu, że nie potrafisz narzucić mi swojej woli. Są znaki, które chronią mnie przed wami. – Rozpięła trzy guziczki pod szyją i odsłoniła prawe przedramię. Tatuaż w kształcie koła z pięcioramienną gwiazdą w środku i kolejnym kołem zamkniętym w gwieździe. – To Duncan mnie tego nauczył. On mnie kochał i dbał o mnie jak nikt. Byliśmy szczęśliwi dopóki ty i ta twoja rodzinka, nie zechcieliście wtargnąć do naszego życia.

– Jest pani żoną księcia Duncana? – Z trudem przypomniał sobie kobietę, którą pojмали i zamknęli w lochu. Nie zabili jej, bo była człowiekiem, tylko skazali na wieczne uwięzienie. Ale tama kobieta była starą, około sześćdziesięcioletnią osobą o siwych włosach i stalowo-niebieskich oczach. W niczym nie przypominała lady Ramsey.

– Teraz wyglądam inaczej niż przed wiekami. Cóż, to ciało jest bardziej atrakcyjne, od mojej pierwotnej powłoki – zaśmiała się złowrogo. – Jak widzisz istnieje sprawiedliwość na świecie. Zabrałeś mi wszystko, teraz musisz mi to oddać. Myślałam, aby cię zabić, ale chyba mam lepszy

plan. – Jej oczy złowrogo zaślniły. – Wiem wszystko o prawach Patronów i ich mocach, i jestem prawie pewna, że przemieniła cię Caroline, przypadkowy bachor mego męża. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego oszczędził jej matkę, a już zupełnie zaskoczyła mnie jego decyzja o tym, aby napoić tę nędznicę swoją krwią. Ona wam pomagała, dzięki jej sztuczkom mogliście się równać z Duncanem i naszymi synami.

– Do czego zmierzasz?

– Możesz ocalić swoje życie, przystając do mnie. Obrządek Początku to cudowny rytuał! Spłodzimy niezwykle potomstwo, które odbuduje potęgę mojej rodziny. Opanujemy świat, a ty dasz mi wieczność!

– Niestety ja pani w tym nie pomogę. – Wytrzymał napór jej spojrzenia. – Być może popełniłem błąd, darując pani wtedy życie. Mogłem się domyślić, że będąc tak długo u boku Duncana, przesiąknęła pani jego złem. – Dopadł do niej i zacisnął palce na jej szyi.

Roześmiała się chrapliwie, a on poczuł, że dłonie palą go, więc szybko oderwał je od jej ciała. Spojrzał na ręce i zobaczył poparzoną skórę.

– Chroni mnie magia – przypomniała łaskawie. – Przecież ci mówiłam. Zastanów się jeszcze – to moja ostatnia propozycja.

– Nie! – Odwrócił się i podszedł do ściany. Bez problemu odszukał kamień otwierający przejście i nacisnął go.

– Nie pozwolę ci odejść! – Katherine ponownie podbiegła do kuferka i wyciągnęła z niego srebrny, zastrzony

kołek. – Jeśli jesteś na tyle głupi, że odrzucasz moją ofertę, to wystarczy mi jedynie napić się twojej krwi, a do tego nie jesteś mi potrzebny żywy.

Chciał uskoczyć, miał przecież swoje nadprzyrodzone zdolności, ale dziwnym trafem, w tej piwnicy jego umiejętności zdawały się nie działać. Nagle poczuł się zupełnie bezbronny. Miał wrażenie, że oto wreszcie dotarł do kresu swej drogi. Rodzinna posiadłość jego matki – tu dokona swego żywota. Tyle wieków po czasie. Szkoda tylko, że nie dane mu już będzie zobaczyć Barbary i Hope. Oby były szczęśliwe. Lucas na pewno o nie zadba.

Stał sparaliżowany, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu, czekając na cios. Jak w zwolnionym tempie widział zbliżającą się Katherine i słyszał jej śmiech.

– Barbara – szepnął, spodziewając się końca.

Ktoś z tyłu szarpnął go gwałtownie za ramię i nim się zorientował, Honoria zasłoniła go swoim ciałem. W dłoni ścisnęła różaniec, który uniosła do góry, ukazując go Katherine. Lady Ramsey zastygła w bezruchu, po czym upadła na kolana, wypuszczając z rąk srebrny kołek, który z głuchym łoskotem potoczył się po podłodze. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, przybierający na sile z każdą chwilą. Wyglądała tak, jakby dostała ataku padaczki. Roderick zobaczył, że z ust kobiety zaczyna się sączyć żółta piana.

– *Sancte Michael Archangele, defende nos in proelio; contra nequitiam et insidias diaboli esto praesidium. Imperat illi Deus; supplices deprecamur: tuque, Princeps militiae coelestis, Satanam aliosque spiritus malignos, qui*

ad perditionem animarum pervagantur in mundo, divina virtute in infernum detrude. Amen.[5] – Honoria uroczy-
stym tonem, wymawiała łaciński tekst, a gdy go skończyła,
ręką w której trzymała różaniec, uczyniła w powietrzu
znak krzyża. – Idziemy stąd Rodericku! – Pchnęła męż-
czyznę w stronę wyjścia. – To zbyt słaby egzorcyzm, aby
ją powstrzymać na dłużej, a ja niestety nie znam potęż-
niejszych.

– Egzorcyzm?

Po schodach wydostali się na korytarz, w pobliżu
kuchni. Honoria pociągnęła Rodericka w stronę drzwi
wejściowych.

– Przeciwno opętaniu. To modlitwa do Archaniola
Michała. Jak widzisz mój pobyt w zakonie Sióstr Służeb-
niczek Anielskich był częścią większego planu. Musiałam
być tu z tobą dzisiaj i cię uratować. Ta kobieta naprawdę
ma kontakt z siłami nadprzyrodzonymi.

Wyminęli przerażoną służącą i niezatrzymywani przez
nikogo wyszli na podjazd, gdzie czekał na nich wypoży-
czony samochód.

– Nie rozumiem, co się tam stało. – Roderick uru-
chomił silnik. – Byłem jak sparaliżowany, zupełnie bez-
wolny. Mogła mnie zabić.

– I zrobiłaby to, gdyby nie Bóg. To on mnie posłał za
tobą. – Honoria obracała w dłoniach różaniec. – Nic nie
dzieje się bez powodu.

* * *

Katherine z trudem podniosła się z ziemi. Podtrzy-

mując się prawą ręką ściany, niepewnie stanęła na nogach. W głowie nadal jej szumiało, a przed oczami latały dziwne, ciemne plamy. Serce waliło jak szalone, zdając się prawie wyskakiwać z piersi. Na wargach i brodzie kobiety widoczna była jeszcze żółta piana, która także poplamiała jej elegancką sukienkę.

Lady Ramsey uniosła dłoń do ust i jej wierzchem otarła resztki piany. Ze wstrętem popatrzyła na żółtą smugę, jaka pozostała na skórze. Jakże w tej chwili nie nawidziła Rodericka i jego towarzyszek. Gdyby nie to wstrętne babsko z różańcem i kiepskim egzorcyzmem, już dziś dopięłaby swego. Już nie musiałyby obawiać się śmierci. Tak, śmierć była tym, co napawało ją prawdziwym przerażeniem. Już raz umarła i przez wiele lat błąkała się po świecie, szukając dla siebie odpowiedniego ciała. Kilkakrotnie zmieniała swoich nosicieli, ale wiedziała, że każde kolejne przejęcie ciała, wyczerpuje jej siły żywotne i jeżeli nie znajdzie możliwości uzyskania wieczności, kiedyś nadejdzie czas, że po prostu przestanie istnieć.

Całe wieki pogłębiała wiedzę tajemną i poznawała tajniki świata nadprzyrodzonego. Zdawała sobie sprawę, że takie istoty jak ona, nie są jedynymi. Oprócz dusz, które nie wróciły do cyklu ponownych narodzin, ani nie dostały zaszczytu przekroczenia granic Wiecznej Krainy, Ziemię zamieszkiwała cała plejada stworów. Większość z nich nie mogła jej pomóc, ale wśród nich znajdowały się też i takie, które dysponowały nieśmiertelnością, tą samą, co jej mąż.

Wampiry. Tylko one mogły dać Katherine to, czego potrzebowała. Wtedy na zawsze zostałaaby zaklęta w tym ciele, które przejęła i które dobrze jej służyło. Dlatego cierpliwie prowadziła swoje poszukiwania, nie szcędząc przy tym czasu ani pieniędzy. Studiując wierzenia różnych ludów oraz ich legendy, sporządziła mapę, dzięki której zaznaczyła obszary, gdzie owe istoty się pojawiały. Skupowała takie majątki z nadzieją, że prędzej czy później jeden z poprzednich właścicieli wróci, wiedziony wspomnieniami. Nie myślała tylko, że to będzie właśnie ktoś z Robillardów. Ich ziemie kupiła z czystej zemsty – chciała, aby wszelki ślad po nich zagańał. I oto proszę, dziś zjawił się tu ostatni przedstawiciel znienawidzonego rodu. Ten, który kiedyś wstąpił na ścieżkę zła i doprowadził do zagłady jej rodziny. Ten, który wiódł wieczne życie.

Z nienawiścią popatrzyła na portret Rodericka. Postąpiła kilka kroków i schylając się po srebrny kołek, który uprzednio wypadł z jej rąk, podniosła go. Podeszła do obrazu.

– Nie myśl, że to już koniec – wysyczała. – Teraz, gdy już cię znalazłam, nie pozwolę abyś zabrał mi to, na czym tak mi zależy. Potrzebuję wieczności i uzyskam ją, nawet jeśli musiałabym zniszczyć wszystkich, którzy coś dla ciebie znaczą. Zapłacisz mi za wszystko. Zapłacisz!

Z rozmachem uderzyła kołkiem w płótno, wbijając go prosto w serce namalowanej postaci.

[1] *Iustitia et pietas duo sunt regnorum omnium fundamenta* – (łac) Sprawiedliwość i pobożność to dwie pod-

stawy wszystkich królestw

[2] *Deo Optimo Maximo* – (łac) Boże wielki i dobry

[3] *Okultyzm, czary, mody kulturalne*, Mircea Eliade

[4] *déjà vu* (fr. już widziane) – odczucie, że przeżywana obecnie sytuacja wydarzyła się już kiedyś, w jakiejś nieokreślonej przeszłości, połączone z pewnością, że to niemożliwe.

[5] *Święty Michale Archaniele! Broń nas w walce, a przeciw niegodziwości i zasadzkom złego ducha bądź naszą obroną. Oby go Bóg pogromić raczył, pokornie o to prosimy, a Ty, Książę niebieskich zastępów, Szatana i inne duchy złe, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą, mocą Bożą strąć do piekła. Amen*

RÓWNIA POCHYŁA

Angelina patrzyła przez okno na dostawczy samochód, z którego na podjazd wysiedli robotnicy w szarych, roboczych kombinezonach. Wiedziała, po co się tu zjawili i nie była tym zachwycona. Pomysł Lucasa z przebudową domu, aby uczynić go bardziej funkcjonalnym dla rodziny, nie przypadł jej do gustu. Może, gdyby to ona stała się częścią tej rodziny, wykazałaby większy entuzjazm, jednak zdawała sobie sprawę, że wszystko to robione jest z myślą o Barbarze. Że też ta zdzira musiała przetrwać na Alasce! A już się tak ładnie układało...

– Hej. – Drzwi pokoju otworzyły się i w progu stanął Lucas. Angelina momentalnie odwróciła się w jego stronę.
– Co słychać?

– W porządku – odburknęła mało uprzejmie i odsunęła się od okna. Podeszła do łóżka, z którego podniosła jedną z kilku rozrzuconych na narzucie bluzek. Ostentacyjnie, tak aby Lucas dobrze to widział, schowała ubranie do otwartej, stojącej na podłodze walizki. – Pakuję się.

– Na razie nie musisz się wyprowadzać. – Uważnie śledził jej ruchy. – Ja i tak mieszkam u Bennettów. – Specjalnie, znając jej uczucia, wolał nie wymawiać imienia swojej dziewczyny.

– Tak. – Uśmiechnęła się sarkastycznie. – Można to zauważyć. Ale wiesz... Chyba moja rola tutaj dobiegła końca. Zjawiłam się, kiedy mnie potrzebowałeś, dziś jestem ci już zbędna. Lepiej będzie, jak odejdę...

– Gdzie? – Przerwał jej, podchodząc bliżej. – Chcesz wrócić do swojego domu, czy znowu zniknąć?

– A kto by się tym przejmował? – Wzruszyła ramionami. – Jestem tak mało istotną osobą, że nikt nawet nie zauważy mojej nieobecności.

– Ja zauważę. Na pewno.

Już sięgała po kolejną bluzkę, ale wypuściła ją z rąk, pozwalając aby opadła z powrotem na narzutę i spojrzała na Lucasa. Stał teraz tak blisko niej. Mimowolnie wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka. Pod palcami poczuła niewielki, kłujący zarost.

– Nie mogę mieć tego, czego bym pragnęła... To za bardzo boli, abym mogła zostać. Myślałam, że...

– Nie kończ – poprosił, wtulając twarz w jej dłoń. – Jestem ci wdzięczny za to, iż byłaś przy mnie i pomogłaś mi uwierzyć w sens życia, gdy wydawało się mi, że straciłem już wszystko. Miałaś tyle cierpliwości. Nigdy ci za to nie podziękowałem.

– Mylisz się. – Tak bardzo miała ochotę go pocałować, posmakować tych kuszących ust. Zagryzła wargi, starając się skupić na czymś innym. Droga, asfaltowa droga, wijąca się wśród lasów. Lasów? W lesie wtedy... Czy wszystko już zawsze będzie się jej kojarzyć z Lucasem?

– Zapominasz, że widzę twoje myśli – przypomniał łagodnie i odsunął się od niej. Wolno opuściła rękę wzdłuż ciała.

– Tak, tylko ja jestem wybrakowanym egzemplarzem i nie mogę zobaczyć twoich. – W jej głosie zabrzmiała

złość. Ciagle nie rozumiała jakim cudem jako jedyna nie otrzymała pełnych mocy przynależnych Patronom. Była przecież równa Lucasowi i Roderickowi, powinna dysponować takimi samymi zdolnościami.

– Może jeszcze to w sobie odkryjesz – zasugerował, aby podnieść ją trochę na duchu, chociaż sam w to wątpił.

– Wiesz, przeszłaś już niezłą metamorfozę, od złośliwej, egoistycznej, zapatrzonej w siebie Angeliny, do życzliwej, pomocnej, troszczącej się o innych dziewczyny.

– I co mi z tego przyszło? – Powróciła do pakowania, koncentrując się na tej czynności. Systematycznie sięgała po bluzki i składając je w kostkę, chowała do walizki. Wszystko to czyniła niemalże mechanicznie.

– To kiedy chcesz się wyprowadzić? – zapytał, zmieniając temat.

– Może jeszcze dziś – odpowiedziała, nawet na niego nie patrząc. – Zbyt długo korzystałam z twojej gościnności.

– Angelino, nie chciałbym abyś przeze mnie opuściła Elizabeth Town. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby cię zabraknąć na moim ślubie...

– Na ślubie? – krzyknęła, gwałtownie miętosząc, trzymaną właśnie w dłoniach jedwabną koszulkę. – No chyba nie będziesz wymagał ode mnie, abym brała w tym udział? Nie możesz być, aż tak bezduszny!

– Angelino, ja...

– Tak wiem, traktujesz mnie jak przyjaciółkę, jak siostrę, ale mnie to nie wystarcza. Kocham cię nie jak brata, ale jak mężczyznę! Widzisz moje myśli, dlaczego więc

nadal sprawiasz mi ból?

– Wybacz...

– Nie! To ty wybacz! Moja miłość do ciebie jest czymś tak silnym, że nie potrafię sobie z nią poradzić. Przesłaniaś mi cały świat! Gdy wydawało się, że Barbara umarła, byłam najszczęśliwszą kobietą na Ziemi, bo zobaczyłam dla siebie szansę. Zajmowałam się tobą, nie dlatego że jestem taka miła i życzliwa, ale dlatego, że to byłeś ty. Miałam nadzieję, że wreszcie dostrzeżesz we mnie kogoś więcej. I dostrzegłbyś! Tego jestem pewna! Wtedy w lesie... Przecież tak niewiele brakowało... Ale niestety ona musiała to zepsuć! Jak ja jej nienawidzę! Nie mogę wprost na nią patrzeć! Zabrała mi wszystko, co nadawało sens mojemu życiu! To ona wtula się w twoje ramiona, to ona otrzymuje twoje pocałunki! Nie ja! Nie ja! A czy myślałeś, czy chociaż zastanawiałeś się nad tym, co robiła przez te miesiące spędzone na Alasce? Nie była wtedy sama! Chciałabym ci przypomnieć, że był z nią Roderick, a dobrze wiesz, że on nie przepuści żadnej kobiecie. Wyobrażałeś sobie ją w jego objęciach? Może kochali się namiętnie raz za razem? Może umierała z rozkoszy w jego ramionach? Myślałeś o tym? No powiedz, myślałeś?

– Ty najlepiej wiesz, co może czuć kobieta w ramionach Rodericka. – Twarz Lucasa spoważniała, jakby zastygła. Nawet oczy straciły swój blask, stały się wyblakłe, poszarzałe. To, co powiedziała Angelina, nie dawało mu spokoju odkąd wszedł do szpitalnego pokoju w Anchorage i zobaczył Rodericka pochylonego nad łóż-

kiem Barbary. Nie potrafił jednak zapytać o to swojej ukochanej. Nie chciał do tego wracać. Zadręczał się, ale nieświadomość była lepsza niż okrutna prawda. Jakby się zachował, gdyby uzyskał potwierdzenie swych obaw?

– Masz rację! – Angelina ze złością kopnęła walizkę, tak iż ta przesunęła się aż pod samo okno. – Wiem, co może czuć kobieta będąca pod wpływem Rodericka. Nie panowałam nad swoim ciałem, miałam wrażenie, że to nie ja. Tak jakbym na moment stała się kimś innym. Te wszystkie uczucia... Ale po co ja ci to mówię? Po co się tłumaczę? Co cię obchodzi, z kim sypiam? Przecież jestem dla ciebie nikim! Liczy się tylko Barbara i to jej dziwne dziecko... Zostałeś ojcem, chociaż to nie ty dałeś mu życie. Bądźcie sobie szczęśliwi, a mnie zostawcie w świętym spokoju!

Nie odezwał się, tylko w milczeniu podszedł do drzwi i wyszedł na korytarz. Angelina przez chwilę stała nieruchomo, patrząc za nim. Chciała go zawołać, przeprosić za ten wybuch. Powiedziała tyle niepotrzebnych słów. Żałowała tego, ale przecież czasu nie można cofnąć. Niepewnie postąpiła kilka kroków do przodu, po czym rzuciła się biegiem w ślad za odchodzącym. Jednak na progu zatrzymała się. Wszystkie siły opuściły ją niczym powietrze ulatniające się z balonu. Miała wrażenie, że jest pusta w środku. Wyciągnęła rękę i położyła ją na metalowej klamce. Czuła chłód stali i to zimno, rozchodziło się po jej całym ciele. Stało się, powiedziała mu to, czego nie powinna. Może wreszcie przejrzy na oczy. Może zrozumie. Gwałtownym ruchem szarpnęła klamkę i zatrzasnęła

drzwi.

* * *

Czarny ford zatrzymał się przed zamkniętą, metalową bramą dawnej rezydencji Westmoorów i z wnętrza samochodu wysiadł Roderick. Wolnym krokiem podszedł do fantazyjnie powyginanych prętów, blokujących dalszą drogę.

Honorcia, siedząca na miejscu dla pasażera, wołała mu teraz nie przeszkadzać. Rozumiała jego odczucia – w końcu tu zaczęło się dla niego ponowne, ludzkie życie. Przez przednią szybę obserwowała poczynania swego towarzysza.

Roderick stał wyprostowany, z uniesioną do góry głową i lekko przymknąwszy oczy, starał się odtworzyć w myślach to wszystko, co wydarzyło się półtora wieku temu. Elizabeth... Zapraagnął znaleźć się po drugiej stronie ogrodzenia. Teraz, natychmiast, nie czekając na pośrednika w sprzedaży nieruchomości, z którym był tu umówiony. Nie namyślając się więc dłużej, odbił się od ziemi i przeskoczył przez wysokie ogrodzenie. Honorcia widząc to krzyknęła cicho, gdyż nadal ciężko jej było zaakceptować nadludzkie moce Robillarda. Przypomniała sobie chwilę, gdy zjawił się przed jej domem i zabił tych wszystkich Niemców...

Roderick ruszył w stronę budynku mieszkalnego. Dwa szpalery wysokich drzew, obsadzonych po obu stronach drogi, powiodły go na podjazd. Dawniej zwirowana nawierzchnia została zastąpiona asfaltową. Pusty dziedziniec

przed domem, napełnił go smutkiem. Pokruszone, marmurowe barierki tarasu i obtłuczone schody dopełniały obrazu zniszczenia, a zabite deskami okna, zdawały się pogłębiać ten nastrój.

Okrażył budynek, przedzierając się zarośniętą dróżką na tyły, tam gdzie był kiedyś ogród. Roślinność pozbawiona nadzoru ręki ogrodnika, wybujała we wszystkie strony, przemieniając to miejsce w prawdziwą dżunglę. Roderick z trudem torował sobie przejście pomiędzy wysokimi krzakami, zarastającymi wytyczoną przed laty ścieżkę. Wiedział gdzie iść, nadal pamiętał drogę, ale jakże się zdziwił, gdy zamiast wierzby płaczącej zobaczył złamany pień drzewa i zbutwiałe resztki wystające z błotnistej kałuży, która kiedyś była stawem. Tu spotykał się z Elizabeth. Tu pierwszy raz trzymał ją w swoich ramionach.

Zawrócił w stronę dworu. Dłuższy moment zajęło mu odszukanie okna pokoju Elizabeth. Tam na piętrze... Często stawała przy szybie i patrzyła na ogród. Obserwował ją z ukrycia. Była taka piękna...

W oka mgnieniu znalazł się na parapecie i jednym szarpnięciem oderwał deski zasłaniające okno. Jego oczom ukazał się pozbawiony szyby otwór, ziejący pustką, chłodem i zapachem stęchlizny. Zeskoczył na podłogę pokoju. Bez mebli, pomieszczenie wyglądało na takie obce, a przecież to tu uczył Elizabeth miłości, tu uczynił ją kobietą.

Drzwi nie były zamknięte. Nieprzyjemnie zaskrzy-

biały, kiedy pchnął je do przodu. Pusty korytarz z poobtłukiwanym tynkiem, marmurowa, popękana posadzka. Doszedł do schodów i spojrzał w dół. Tu stała Elizabeth, kiedy przyszedł pierwszy raz do tego domu. Ubrana w zwiewną koszulę nocną, z rozpuszczonymi włosami i boso. Chowiała się za barierkami, pozostając niewidoczną dla swego brata, ale Roderick ją widział. Czuł jej zapach. Wiedział, że nigdy nie zapomni tego widoku. I nie zapomniał.

W domu panował półmrok, gdyż wszystkie okna były pozabijane deskami, ale Roderick nie potrzebował światła. Jego wzrok radził sobie doskonale w zupełnej ciemności. Zszedł na dół, wsłuchując się w odgłos wydawany przez własne kroki. Echo roznosiło ten dźwięk po pustych wnętrzach. Salon... Wspólna gra na pianinie. Elizabeth siedziała wtedy tak blisko niego. Ich palce ślizgały się po klawiaturze.

Czuł związek z tym miejscem, może nawet większy niż z ziemią swoich przodków. Tu zaczęło się dla niego nowe życie, tam się ono skończyło. Już wiedział, co zrobić. Po prostu musiał to zrobić. Może tym samym unieszczęśliwi się jeszcze bardziej, ale lepsze takie tortury, niż świadomość, że pozwolił, aby dom Elizabeth obrócił się w totalną ruinę.

Wrócił na górę i przez wybite okno, zeskoczył na ziemię. Dotarł pod bramę, którą pokonał w ten sam sposób jak wcześniej.

– I jak? – Honoria dopiero teraz wysiadła na zewnątrz.

– W porządku – odpowiedział, patrząc na drogę, którą właśnie nadjeżdżał czerwony samochód sportowy. Po dłuższej chwili auto zatrzymało się obok nich.

– Jak mniemam pan Erick Robillard? – Młody, jasnowłosa mężczyzna w okularach słonecznych na twarzy, uśmiechnął się sympatycznie, pokazując przy tym równe, białe zęby.

– Dokładnie. – Roderick skinął głową.

– Ian Rax. – Młodzian, zgrabnie wyskoczył z samochodu, nawet nie otwierając drzwiczek i wyciągnął do Robillarda prawą rękę. Roderick uścisnął mocno jego prawicę.

– To moja... – zastanowił się jak ma przedstawić Honorię, gdyż nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Kiedyś uchodzili za rodzeństwo, teraz jednak była między nimi zbyt duża różnica wieku.

– Jestem ciotką Ericka. Nazywam się Honoria Sacchetti. – Wyczuła jego zażenowanie i sama przyszła mu z pomocą.

– Miło mi. – Młodzian skinął jej głową. – To co, chcą państwo zobaczyć dwór?

– Nie trzeba – odpowiedział Roderick, wprawiając tym Iana w osłupienie.

– Nie trzeba? – powtórzył zaskoczony Rax. To po to pokonał tak długą drogę, aby ten nadęty bogacz, zrezygnował z zakupu? I to jeszcze przed obejrzeniem?

– Oczywiście. – Roderick skinął głową. – Kupuję.

– Co? – Teraz dopiero Ian całkowicie stracił orienta-

cję. Szeroko otworzył usta, co wcale nie wyglądało zbyt kulturalnie. W jego głowie szalały tysiące myśli. Kupuje bez oglądania? Tę rudere? Szaleniec!

– Kupuję – powtórzył spokojnie Robillard. – Nie muszę oglądać, aby podjąć decyzję. To miejsce ma niepowtarzalny klimat i po prostu zapragnąłem je mieć.

– Tak, oczywiście... – Młodzian zdjął z oczu okulary i spojrzał na budynek widoczny w dali. Przez ostatnie pięć lat nie znalazł się żaden chętny, aby kupić tę podupadającą posiadłość, a teraz proszę dwóch chętnych i to w odstępie trzech dni. Kobieta, która oglądała dom wcześniej, poważnie była zainteresowana zakupem, tylko chciała się targować. Obiecał, że skontaktuje się z właścicielem i przedyskutuje pomysł obniżenia ceny, ale nim zdążył uzgodnić szczegóły, zjawił się ten dziwny, mężczyzna w czerni.

– Dopełnijmy formalności – zaproponował Roderick. – Chciałbym jak najszybciej rozpocząć odrestaurowywanie obiektu.

– Oczywiście... – powtórzył. – Ale orientuje się pan w cenie? Nie ma pan co do niej żadnych zastrzeżeń? Bo wie pan, mam już jedną klientkę, która wstępnie wyraziła chęć zakupu posiadłości i...

– Klientkę? – Roderick zmarszczył brwi. W umyśle Iana bez trudu uzyskał odpowiedź na nurtujące go pytanie. Katherine Ramsey. Tak, tego mógł się spodziewać. – Płacę gotówką, a cena to akurat ostatnia rzecz jaką bym się przejmował. Jestem zdecydowany na przeprowadzenie

transakcji i to natychmiast.

Agent jeszcze przez chwilę rozważał, co powinien zrobić. Obiecał lady Ramsey, że dopilnuje, aby nabyła tę posiadłość, ale teraz przeliczając szybko korzyści wynikające z transakcji, wiedział, że bardziej opłaca się mu oferta Robillarda. Słowo zobowiązuje, ale to pieniądze rządzą światem.

– W takim razie może pojedziemy do biura? – Podjął ostateczną decyzję.

– Tak, załatwmy to szybko. – Roderick ponownie uścisnął mu dłoń i zanim wszedł do samochodu, jeszcze raz spojrzął na dom Westmoorów. Chociaż tyle udało mu się ocalić. Chociaż tyle.

* * *

Katherine ze złością cisnęła telefon, który przeleciał przez szerokość pokoju i wydając metaliczny dźwięk, uderzył w pokrytą boazerią ścianę. Rozpadając się na kilka części, upadł na podłogę.

– Cholera! – zaklęła. – Cholera!

Rozwścieczona chwyciła zdobiony dzban, stojący na małym, okrągłym stoliczku i jego także cisnęła w stronę ściany. Porcelanowe skorupy trzystuletniego wazonu pokryły podłogę, a lady Ramsey nie ustawała w swoim niszczycielskim obłędzie. Podbiegła do okna i jednym, potężnym szarpnięciem, zerwała ciężkie, aksamitne, zielone zasłony. Kilkoma szybkimi krokami przebiegła odległość dzielącą ją od toaletki i zaczęła zrzucać na ziemię przybory kosmetyczne. Pudry, cienie do powiek, kremy –

wszystko to lądowało na podłodze, a z potłuczonych, popękanych pojemniczków wydostawała się ich zawartość. Wkrótce marmurowe kafle mieniły się różnorodnością barw i mnóstwem szklanych odpadków.

Wreszcie Katherine zdołała się opanować. Powiodła wzrokiem po pobojuwisku, którego sama stała się przyczyną i podszedłszy do stoliczka nocnego, stojącego przy dużym łóżu, ozdobionym zielonym baldachimem, wyjęła z szuflady niewielki telefon komórkowy.

Wyszukała w spisie kontaktów potrzebny numer i nacisnęła przycisk wybierania. Czekaając na połączenie, usiadła na brzegu łóżka.

– Witaj Bartholomeo – rzuciła sucho do słuchawki. – Mam dla ciebie kolejne zlecenie. Nie, nie masz szukać rezydencji, o których krążą dziwne legendy, tylko pewnego człowieka. Tak... Zapłacę ci jak zawsze. Chcę, abyś namierzył niejakiego Ericka Robillarda. Nie wiem gdzie mieszka i co porabia. Gdybym to wiedziała, nie marnowałabym pieniędzy na taką kreaturę jak ty! Dziś przeprowadził transakcję kupna rezydencji Westmoorów, więc może tam znajdziesz coś, co pozwoli ci go wyśledzić. Umowę kupna... Ty mi mówisz, że to dokument chroniony? Przecież od tego cię mam, żebyś zdobywał to, co wydaje się nie do zdobycia. Nie wiem i nie obchodzi mnie, jak tego dokonasz! To ty masz te swoje znajomości! Rusz mózgownicą! Acha i znajdź coś o Honorii Sacchetti. A skąd mam wiedzieć, co to za jedna? Pomaga Robillardowi, a to wystarczy, aby trafiła na moją czarną listę. Jeśli

się postarasz dorzucę coś ekstra. Ile? Materialista z ciebie i pazerna świnia. Powiedzmy dwadzieścia procent. Żartujesz? Trzydzieści to moje ostatnie słowo, albo szukam sobie innego pomocnika. Ok. W takim razie jesteśmy umówieni. Oczywiście, zwracam koszty. Tylko bez ekstrawagancji, takich jak ostatnim razem. Nie musisz mieszkać w Ritzu! Pamiętaj Erick Robillard i Honoria Sacchetti.

Rozłączyła się, nie słuchając dalszych słów swego rozmówcy. Powiedziała mu już wszystko, co chciała, i nie zamierzała marnować swojego cennego czasu na ludzi takiego pokroju jak on. To tylko nędzny robak, który pomaga jej w realizacji planu.

Odłożyła telefon na narzutę i wyciągnęła się w poprzek łóżka. Robillard przegiął! Nie powinien z nią zadzierać. To błąd, duży błąd. Może i ma tę swoją nieśmiertelność, ale co mu po niej, gdy srebrny kołek przebije jego serce? Mógł po dobroci użyć jej swojej krwi, cóż by mu szkodziło?

Katherine przymknęła powieki, przypominając sobie portret Rodericka. Tyle godzin spędziła wpatrując się w jego oblicze, nienawidząc i pogardzając. Żałując, że nie może zemścić się na nim za to, co zrobił jej najbliższemu. A gdy zjawiał się w jej rezydencji, gdy przekonała się, że otrzymał nieśmiertelność, zmieniła swój plan. On mógł jej zwrócić to, co kiedyś odebrał. Razem mieliby u swoich stóp cały świat. Dwie istoty obdarzone niemalże boskimi mocami... Głupiec! Jak śmiał odmówić? Ale zapłaci za to! Zapłaci za wszystko! Nikt bezkarnie nie zadziera z lady

Ramsey, nawet jeśli jest istotą nie z tego świata.

* * *

– Wiesz, co to oznacza? – Honoria uważnie obserwowała Rodericka, który zajęty był kierowaniem samochodem. Milczał, więc powtórzyła swoje pytanie. – Wiesz, co właśnie zrobiłeś?

– Kupiłem posiadłość Elizabeth – odpowiedział spokojnie, nie odrywając wzroku od drogi.

– Tak, ale po raz kolejny naraziłeś się lady Katherine Ramsey. Ona tego tak nie zostawi.

– Cóż może mi zrobić? Tylko zabić! Zresztą nie będę tu mieszkał. Kupiłem tę posiadłość również i po to, aby ona nie położyła na niej swoich brudnych łap. Zapewniam cię, że nie czuję przed nią lęku.

– A powinieneś. To zły duch, dusza potępiona, która nie ma dla siebie miejsca. Jest demonem, szukającym schronienia w ludzkim ciele. Pozbawiłeś ją rodziny, zabiłeś najbliższych... Ona nie cofnie się przed niczym. Sprzeciwiłeś się jej i to dwa razy.

– Naprawdę mam to gdzieś.

– Pozwolisz jednak, że ja nie będę tak obojętna jak ty?

– A co zamierzasz? – zainteresował się, wreszcie spoglądając na siedzącą obok kobietę. Zagłębił się w jej myślach, szukając odpowiedzi.

– Ojciec Ignacio.

– Kto?

– Kilka lat temu przyjechał na rekolekcje do naszego zakonu. Opowiadał o egzorcyzmach i duszach potępio-

nych. On zajmuje się tym od bardzo dawna i można powiedzieć, że jest ekspertem w tej dziedzinie. Na pewno nam poradzi, co zrobić z lady Katherine.

– Tak, najlepiej naślizmy go na nią – zadrwił.

– Mówię poważnie Rodericku. Dowiemy się jak radzić sobie z demonami, poznamy silniejszy egzorcyzm.

– Naprawdę uważasz, że to konieczne?

– Nie zaszkodzi, jeśli będziemy przygotowani. Jakoś mam dziwne przeczucie, że Katherine nie odpuści, a ty nie dasz rady jej pokonać. Tylko ojciec Ignacio może nam pomóc.

– Dobrze, rób jak uważasz. – zgodził się. Nie bał się Katherine, ale słowa Honorii dały mu do myślenia. Pamiętał, że gdy próbował zaatakować lady Ramsey, chroniąca ją magia, uniemożliwiła mu to. Tylko różaniec i modlitwa Honorii osłabiły potęgę kobiety. Jeśli ojciec Ignacio zna potężniejszy egzorcyzm, który na dobre może unieszkodliwić demona zamieszkującego ciało Katherine, to warto spróbować. Na pewno informacja o podkupieniu posiadłości Westmoorów nie wpłynie na polepszenie stosunków z obecną właścicielką Bewcastle. Czego można się spodziewać po demonie?

Zaprawdę, świat zaludniają przedziwne stwory, o których istnieniu ludzie nie mają pojęcia. Owszem, snują swoje bajania na ich temat, wymyślają przedziwne historie, ale nie zdają sobie sprawy, że tuż za ścianą, obok nich, ta niby sympatyczna staruszka albo ten przystojny młodzieniec nie są tacy zupełnie zwyczajni. Że w głębi duszy, pod

tą cielesną, jakże normalną powłoką, skrywają mroczną tajemnicę. Gdyby wiedzieli... Czasem lepiej żyć w nieświadomości. Prawda może skomplikować życie.

* * *

Ledwie Barbara weszła na salę wcześniaków, gdzie w inkubatorze przebywała jej córeczka, z przerażeniem zauważyła, że miejsce do tej pory zajmowane przez Hope jest puste. Stała w progu nie wiedząc, co zrobić. Serce ścisnął jej lęk, że maleństwu mogło się coś stać. A jeśli... Wolą nawet o tym nie myśleć.

– O pani Bennett. – Gruba, siwowłosa pielęgniarka, podeszła do niej i uśmiechnęła się serdecznie.

– Gdzie jest Hope? – Ledwie wydukała. – Boże, co się z nią stało?

– Ależ wszystko w porządku. – Pielęgniarka ujęła dziewczynę pod ramię i poprowadziła korytarzem w stronę drzwi oznaczonych napisem „Oddział noworodków”. – Mała nie potrzebuje już respiratora i przenieśliśmy ją na inną salę.

– Nie potrzebuje?

– To silna dziewczuszka. Wczoraj wieczorem wypła swoją porcję mleczka i zasnęła jak aniołek. Widać, że wyrośnie z niej panna na schwał.

Razem weszły do pomieszczenia, gdzie w plastikowych, przezroczystych łóżeczkach na kółkach, spały malutkie istotki. Barbara od razu rozpoznała swoją córeczkę, gdyż jako jedyna miała główkę pokrytą gęstymi, czarnymi włoskami.

Podeszła do łóżeczka i czule dotknęła różowego kocyka, w który była zawinięta Hope. Patrzyła na malutką twarzyczkę, przymknięte powieki i śliczny nosek. Wreszcie bez tych wszystkich rurek i kabli. Wreszcie tak jak powinno być.

– Moja malutka – wyszeptała, napawając się widokiem córki.

– Śmiało, może ją pani wziąć na ręce – zaproponowała pielęgniarka. – Jestem pewna, że o tym właśnie pani marzy. – Sprawnie wyjęła śpiące dziecko i ostrożnie włożyła je w ramiona Barbary. – Pięknie razem wyglądacie – stwierdziła, odsuwając się do tyłu. – Te śliczne, czarne włoski to chyba córuś ma po tatusiu?

– Tak – potwierdziła, przyglądając się Hope. Trzymając dziecko w objęciach, miała wrażenie, że ma przy sobie Rodericka. Dopiero teraz poczuła jak bardzo jej go brakuje. Nic nie mogło go zastąpić.

– A tatuś zajęty, nigdy się nie zjawia? – Pielęgniarka widać była dość ciekawską osobą i postanowiła dowiedzieć się jak najwięcej o rodzinie swojej małej pacjentki. – Nie interesuje go kruszynka? Tylko mamusia ciągle przyjeżdża...

Barbara nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Lucas zawsze znalazł coś, aby tylko uniknąć odwiedzin w szpitalu. Nawet dziś, chociaż przyjechał z nią do Springfield, to jednak wymigał się, tłumacząc, że jest umówiony z projektantem wnętrz. Miała nawet o to do niego żal, ale z drugiej strony nie mogła przecież wyma-

gać, aby tak bez słowa sprzeciwu zaakceptował dziecko innego. Tym bardziej, że tym kimś innym był Roderick.

– Czyżby ktoś mówił o mnie? – W tym momencie na progu sali pojawił się Lucas. Błękitna koszula niezwykle pasowała do jego granatowych oczu, a kasztanowe włosy z jaśniejszymi pasemkami, niesfornie opadały na kołnierzyk.

– A pan kogo szuka? – Pielęgniarka odwróciła się w jego stronę. – Tu nie wolno wchodzić, bo to jest sala noworodków.

– Jedno z tych noworodków to moje dziecko. – Z trudem przyszło mu to powiedzieć, ale jednak się przemógł. Podeszedł do Barbary i spojrzał na śpiącą w jej ramionach Hope. Objął dziewczynę ramieniem. – Teraz jesteśmy w komplecie – wyszeptał prosto do jej ucha.

– To ojciec Hope – wyjaśniła, uśmiechając się do pielęgniarki.

– Ojciec? – Kobieta jeszcze raz zerknęła na kruczoczarne włoski maleństwa, a następnie na Lucasa. Nie dostrzegła żadnego, nawet minimalnego podobieństwa.

Westmoore widział jej myśli i nie były mu one miłe. Nie dał jednak po sobie niczego poznać. Delikatnie dotknął jednym palcem, malutkiej, zaciśniętej piąstki Hope.

Na szczęście z innej sali odezwał się dzwonek wzywający pielęgniarkę, więc wścibska kobieta poszła sprawdzić, o co chodzi. Lucas i Barbara zostali sami z dzieckiem.

– Przyszedeś... – Uniosła na niego wzrok. – Nie są-

dziłam, że jednak...

– To nasze dziecko Barbaro – przerwał jej delikatnie, acz zdecydowanie. – Potrzebowałem chwili czasu, aby to zaakceptować. Gdy ciebie porwali i gdy myślałem, że straciłem cię na zawsze... To było straszne... A potem zjawiałaś się razem z dzieckiem. Byłem przeschęśliwy, ale to stało się tak nagle. Zniknęłaś, nie było cię i nagle wracasz, ale już nie sama... Wybacz, naprawdę nie było mi łatwo. Kocham cię najbardziej na świecie, ale to dziecko... Teraz jednak już wiem, że jesteście rodziną. Kocham was obie. Jesteście najważniejszymi kobietami mego życia. Ty i Hope.

– Dziękuję.

– Nie, to ja dziękuję. Dzięki tobie jestem prawdziwym człowiekiem. Mam rodzinę i życie, o jakim zawsze marzyłem. Wreszcie czuję, że moje istnienie ma sens. Będę dobrym ojcem Barbaro. Najlepszym na świecie.

Pochyliła twarz nad córeczką i pocałowała ją w czółko. Najlepszym ojcem na świecie? A gdzie jest jej prawdziwy tato? Gdzie ten, który dał jej życie?

* * *

Ojciec Ignacio był wysokim, szczupłym mężczyzną o pogodnym obliczu i bujnej, ciemnej czuprynie. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, ale według tego co mówiła Honoria, przekroczył już pięćdziesiątkę. Ubrany w długi, biały habit, siedział na krześle i podparłszy brodę złożonymi dłońmi, przyglądał się siedzącym naprzeciwko gościom.

Nie spodziewał się tej wizyty i gdy odebrał telefon od Honorii, był naprawdę zaskoczony, tym bardziej, że doszły go już słuchy, iż matka przełożona ze zgromadzenia Sióstr Służebniczek Anielskich opuściła zakon. Zaintrygowało go, dlaczego skontaktowała się z nim, a gdy pojawiła się na spotkaniu wraz ze swoim dziwnym, tajemniczym towarzyszem, jego zaciekawienie jeszcze wzrosło.

Spotkali się w niewielkiej kafejce na krakowskim rynku. Podróż do Polski była wprawdzie Roderickowi nie po drodze, ale ponieważ Honoria nalegała na jak najszybsze skonsultowanie się z ojcem Ignacio, uwzględnił tę zmianę w swoich planach. Nigdy wcześniej nie odwiedzał tych rejonów, ale został pozytywnie zaskoczony. Polska, która jawiła mu się jako kraj odległy i trochę zacofany, zadziwiła go różnorodnością kolorów, kultur i bogactwem zabytków. Nie miał czasu na zwiedzanie, ale z okien samochodu widział mijane stare budynki, które zachwycaly swoją architekturą.

– Cieszę się Honorio, że pamiętałaś o mnie. – Ignacio swoimi brązowymi oczyma przypatrywał się uważnie znajomej, której nigdy nie widział w stroju cywilnym. Wydawała mu się kimś zupełnie innym. – Mniemam, że coś ważnego skłoniło cię do odbycia tak długiej podróży.

– Masz rację. – Ostrożnie wzięła do rąk małą, porcelanową filiżankę i upiła łyk herbaty. – Jak widzisz Bóg pokierował inaczej moimi losami.

– Jesteś pewna, że to Bóg? Czasem Szatan, podszywa się pod niego.

– Wiem, ale jestem pewna, że to Bóg chciał, abym opuściła zakon. Tam zrobiłam już wszystko, co mogłam, teraz jestem potrzebna gdzie indziej.

– Tak... – Przeniósł wzrok na Rodericka, ale spojrzenie bruneta było takie intensywne, że Ignacio nie dał rady go znieść. Pospieszenie odwrócił głowę w bok, zerkając na szybę, za którą widać było tłum turystów.

– Kiedyś opowiadałeś o tym, czym się zajmujesz. O egzorcyzmach – zniżyła głos. – O świecie demonów i dusz potępionych.

– To nie jest najważniejszy temat na rozmowę – przerwał jej.

– Tak, ale potrzebujemy twojej pomocy.

– Wy? – Znowu spojrzał na Rodericka. Ten brunet miał w sobie coś demonicznego, mrocznego. Czyżby to on stał się przyczyną decyzji podjętej przez Honorię?

– To była jej własna decyzja, ja nie miałem z tym nic wspólnego – odpowiedział, chociaż Ignacio nie zadał pytania na głos.

Zakonnik wyprostował się na krześle i odruchowo przyłożył prawą dłoń do krzyża zawieszzonego na piersiach.

– Spokojnie, on nie jest demonem. – Honoria uśmiechnęła się, kładąc swoją pomarszczoną dłoń na rękę Rodericka. – To mój wybawca. Dzięki niemu mogłam zrobić tyle dobrych rzeczy. Ale to nie czas i miejsce, aby mówić o nim. Mamy inny problem.

– Może powiedz, o co wam chodzi – zaproponował zakonnik – a ja zobaczę, czy faktycznie mogę pomóc.

– Poznaliśmy osobę... kobietę. To arystokratka, mająca duże wpływy i ogromny majątek. Spotkaliśmy się z nią, gdyż Roderick chciał odkupić od niej ziemie należące przed wiekami do jego przodków. Ta kobieta... Ona nie jest człowiekiem. To znaczy pozornie wygląda jak człowiek, ale miejsce jej duszy zajął demon.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Ulękła się różańca i egzorcyzmu Archanioła Michała. Widziałam, jak pod ich wpływem upadła na kolana, wijąc się z bólu, a z jej ust toczyła się żółta piana.

– To za słaby egzorcyzm. – Pokręcił głową. – Nie wypędzi z niej demona.

– Otóż to! Dzięki niemu jednak uzyskaliśmy czas, aby uciec. Obawiam się, że ta kobieta nam nie odpuści. Mamy coś, czego bardzo pragnie.

– Jeśli demon czegoś chce, zrobi wszystko, aby to otrzymać.

– Dlatego postanowiłam spotkać się z tobą. Ty wiesz jak można ją unicestwić, może będziesz w stanie nam pomóc. Podpowiesz co zrobić, jak przed nią uciec.

– Demon, gdy ma jakiś cel, nie ustanie, dopóki go nie zrealizuje i nie zatrzyma się przed niczym. Jedyne co można zrobić, to tylko odprawić pełne egzorcyzmy. Najlepiej całą mszę.

– To będzie trudne, raczej niewykonalne – westchnęła.

– Jeśli macie coś, na czym bardzo jej zależy, możecie ją tym zwabić i zamknąwszy w pułapce, przeprowadzić cały obrzęd.

– A jeśli będziemy jej unikać? – zapytał Roderick. – Jeśli wyjedziemy daleko? Może nas nigdy nie znaleźć?

– Jest taka możliwość – przyznał – ale raczej bym na to nie liczył. Wszystko zależy od tego, czego od was chce.

– Ignacio, wiem, że proszę o wiele, ale chciałabym abyś nauczył mnie egzorcyzmowania – przemówiła łagodnie Honoria. – Może nie będzie to nam potrzebne, ale lepiej być przygotowanym. Nie chcemy wchodzić tej kobiecie w drogę i być może nigdy więcej jej nie spotkamy. Może to, czego od nas chciała, uzyska od kogoś innego. Nie wiem, ale wolę być gotowa na wszystko.

– Wiesz dobrze, że to nie takie proste. Tylko na filmach wystarczy wypowiedzieć jedną formułkę i sprawa załatwiona. Proces uwalniania ciała od demona może być czasem bardzo długi i wyczerpujący. Nie rzadko trzeba powtarzać obrządek kilka razy. Tu potrzebna jest duża odporność psychiczna. Honorio, nie mogę pozwolić, abyś się narażała. Na świecie jest tylko kilku egzorcystów, którzy...

Nie dokończył swojej przemowy, gdyż Roderick spojrzał mu prosto w oczy i w pełnym skupieniu przesłał swój przekaz myślowy. To polecenie, chociaż niewypowiedziane, miało większą moc niż wszystkie prośby Honorii. Ignacio nie mógł się mu sprzeciwić.

– Nauczę cię wszystkiego – zapewnił, a jego głos brzmiał dziwnie obco, tak jakby nie należał do niego.

* * *

Caroline od dobrych dwudziestu minut siedziała

oparta o zagłówek łóżka i wpatrywała się w twarz śpiącego Adama. Podczas snu wyglądał tak spokojnie, beztrąsko. Jego przystojną twarz przyciemniał niewielki zarost, pokrywający policzki i brodę. Dzięki temu wydawał się jeszcze bardziej męski.

Kochała go całą sobą i nie wyobrażała momentu, gdy będzie musiała go opuścić. A moment ten zbliżał się nieubłaganie. Obietnica złożona w Benacantil musiała zostać wypełniona.

Tak długo odwlekała moment powrotu do twierdzy. Trzymała się kurczowo życia, które musiała stracić. Próbowwała udawać, że wszystko jest jak dawniej, a przecież nie było. Jak ma dalej istnieć bez światła swojej duszy? Jak ma spędzić kolejne setki lat, wiedząc, że utraciła miłość swego życia.

Adam... Jej Adam. Te chwile spędzone razem, te słowa pełne miłości. Jego dotyk na jej skórze... Porzucić to wszystko, zapomnieć? Nie, tego się nie da wyrzucić z umysłu. To będzie ją prześladować przez resztę wieczności, sprawiając niewysłowiony ból. Ale tak musi się stać. To jej przeznaczenie. Pojawiła się na tym świecie jako istota, która nie miała prawa bytu. Przez Duncana rozpoczęła swoją ziemską wędrówkę i przez niego ją zakończy.

Dobrze chociaż, że Barbara i Lucas są szczęśliwi. Odnaleźli się w labiryncie czasu i przestrzeni, i mogą wieść spokojne, wspólne życie. Roderick. Za długo się nim przejmowała. Jest dorosły i to co robi to tylko jego wybory. Kiedyś powiedział jej, że nie jest jego matką i miał z tym

całkowitą rację. Jeśli wybierze samounicestwienie to zrobi to, a ona mu w tym nie przeszkodzi. A Angelina? Zawiedziona w uczuciu, samotna? To był błąd, że ją wtedy przemieniła. Mimowolnie sprawiła jej cierpienie. Może powinna je teraz zakończyć? Zabić ją? Pozbawić wieczności? Nie, tego nie mogła zrobić! Angelina udowodniła, że umie się zająć swoimi sprawami, a nawet zatroszczyć o innych. Da sobie radę.

Adam... Tak spokojnie śpi, nieświadomy tego, co nadciąga. Jest pewien, że Caroline nigdy go nie zawiedzie, a ona właśnie to musi zrobić. Musi kolejny raz pozbawić go miłości. Zapomni, nie będzie cierpiał. Nikt, nigdy nie odda mu wspomnień, bo Yadira już nie istnieje. To będzie ostateczne i nieodwracalne. Ale to jedyne wyjście. Gdy zapomni, łatwiej mu będzie zacząć nowe życie u boku normalnej, zwykłej dziewczyny. Będzie szczęśliwy, będzie miał dzieci. Może w snach czasem zobaczy postać tajemniczej blondynki, ale nie będzie wiedział, kto to taki. Te wszystkie wspólne chwile zostaną wymazane.

– Nie śpisz? – Adam otworzył oczy i spojrzał na Caroline. – Długo tak siedzisz?

– Patrzyłam na ciebie. – Pochyliła się nad nim i pocałowała go prosto w usta. – Chcę na zawsze zapamiętać twoją twarz.

– Przecież jestem tu z tobą i nigdzie się nie wybieram. – Roześmiał się i przyciągnął ją do siebie. – Jeszcze ci się znudzę.

– Nigdy mi się nie znudzisz – zapewniła żarliwie. –

Jesteś częścią mnie. Zawsze będę cię miała w swoim sercu.

– Ty znowu myślisz o Benacantil – westchnął, odsuwając się od niej. – Przestań się wreszcie tym zadręczać.

– Nie mogę. Chciałabym, ale dałam słowo.

– Słowo, słowo, słowo! – Zdenerwował się i gwałtownie usiadł na łóżku. – Naprawdę myślisz, że pozwoliłbym ci odejść? Jesteśmy razem na zawsze. Mnie też dałaś słowo. Pamiętasz? Jeśli zamkniesz się w tej twierdzy, to wiedz, że tylko razem ze mną.

– Co?

– Będę tam z tobą Caroline.

– Nie możesz! Ty masz swoje życie! Jesteś człowiekiem!

– Moje życie to ty. Chcesz mi znowu odebrać wspomnienia? Domyślam się, że właśnie nad tym się zastanawiałaś. Obiecałaś, że już nigdy tego nie zrobisz. Zrozum Caroline, że ja naprawdę cię kocham i chcę być z tobą, nie ważne czy tu, czy w Benacantil. Najważniejsze, abyśmy byli razem.

– Nie możesz się poświęcać dla mnie! – Rozpłakała się, a on objął ją delikatnie i przytulił do siebie.

– To nie poświęcenie. To miłość. To nasze przeznaczenie. Ja to ty, ty to ja. Pamiętasz? Nic nas nie rozdzieli.

* * *

Alena Bennett wolała mieć osobiście oko na wszystkie przygotowania ślubne. Wreszcie czuła się w swoim żywiole. Ta starsza, zazwyczaj milcząca, nieufna, surowa kobieta, okazała się niespożytym wulkanem energii, który

prawie cały czas mógł przygotowywać menu na przyjęcie weselne, dobierać kwiaty, dodatki, rozplanowywać listę gości, wypisywać zaproszenia. Caroline i Barbara musiały ją stopować, bo tak bardzo pochłoneły ją te obowiązki, że zupełnie przestała myśleć o sobie i mało by brakowało, żeby zapomniała odebrać własną garsonkę od krawca. Na szczęście Caroline miała bardzo dobrą pamięć i w porę jej o tym przypomniała.

Panna Westmoore na siebie wzięła wszelkie sprawy związane z modą i to właśnie dzięki jej podpowiedzi została zaprojektowana suknia ślubna oraz kreacje druhen. Druhny były dwie: Caroline i Flo. Początkowo Barbara chciała, aby i Angelina dołączyła do tej ekipy, ale blondynka zdecydowanie odmówiła uczestnictwa w ceremonii. Barbara nawet ją rozumiała, gdyż uczucie panny Stewart do Westmoora było wszystkim znane, dlatego też nie należała. Uszanowała jej decyzję. Świadkami Lucasa zaś zostali Adam i Zac.

Robotnicy zatrudnieni do remontu domu Westmoorów, szybko uporali się ze zleceniem i już na dwa tygodnie przed ślubem, wszystko było gotowe na przyjęcie nowych lokatorów. Wystrój wewnątrz zmienił się całkowicie. Lucas zadbał, aby pokoje zostały urządzone elegancko, funkcjonalnie i ze smakiem. Swój dotychczasowy pokój na górze, przekształcił w sypialnię małżeńską, z ogromnym, stylowym łóżem, zaś pokój Caroline przemienił w prawdziwie baśniową krainę malucha, gdzie na ścianach namalowane zostały bajecznie kolorowe motylki, kwiatki,

krasnoludki, muchomorki, wróżki, krzaki paproci, a sufit zdobiły złote gwiazdy, które po zmroku rozbłyskiwały delikatnym światłem. Różowa kołyska z baldachimem, różowe dziecinne mebelki oraz różowe firaneczki upięte po bokach za pomocą klamerek w kształcie motylków, podkreślały, że pokój ten będzie własnością małej przedstawicielki płci pięknej.

Ciekawostką pokoju była rozsuwana ściana, za którą znajdowało się kolejne pomieszczenie, będące bawialnią. Równie kolorowe tapety, miękka wykładzina i stosy przeróżnych zabawek, począwszy od pluszaków, poprzez zjeżdżalnię, huśtawkę, klocki, a na dużych rozmiarów pałacu dla lalek skończywszy, mogłyby być spełnieniem marzeń każdego dziecka. Widać, że Lucas nie żałował pieniędzy na naprawdę luksusowe i bezpieczne rzeczy.

Na górze były jeszcze dwie sypialnie, każda wyposażona we własną łazienkę, mające służyć jako pokoje gościnne. Parter domu zachował swój charakter, tyle tylko, że meble w części kuchennej zostały zastąpione bardziej wyszukаныmi, na wskroś nowoczesnymi, utrzymanymi w kolorystyce czerni i czerwieni, z błyszczącymi chromowanymi elementami. Nawet wyspa oddzielająca salon nie uniknęła przebudowy. Poszerzono ją i wbudowano pod marmurowy blat zmywarę oraz mini barek z lodówką do napojów.

Wszystko było gotowe i czekało na moment, gdy po ślubie Lucas przeniesie swoją wybrankę przez próg. Tydzień czasu – tyle zostało do tej chwili. Lucas odliczał

każdy kolejny dzień, niecierpliwie wyglądając tego upragnionego. Barbara udawała radość, ale nie potrafiła się cieszyć tak jak on. Ciągłe żyła nadzieją, że zdarzy się cud i wróci Roderick. Właściwie nawet łudziła się, że tak na pewno będzie. Jednak dni płynęły, ślub się zbliżał, a Robillard nadal nie dał znaku życia. Widocznie nic go nie obchodziła, a to co zaszło między nimi na Alasce, naprawdę nie miało żadnego znaczenia. Może jednak tylko dla niego. Barbara była pewna, że to co czuła, było prawdziwe. Tęskniła za tym, ale coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że przyjdzie jej spędzić wieczność u boku Lucasa.

Czy powinna się z tego powodu smucić? Przecież kiedyś marzyła, aby być z Westmoorem. Wtedy, gdy wzięli udział w Pikniku Założycielek, gdy ubrani w stroje z epoki, odtwarzali scenkę założycielską, gdy tańczyli swój pierwszy, wspólny taniec. Ale wtedy był Nat, który ich rozdzielał, a Lucas był nauczycielem i wydawał się nieosiągalny.

Wspominała ich pierwsze spotkanie na zalanej deszczem szosie, gdy zatrzymał swój samochód, aby podwieźć ją do szkoły. Od razu wydał się jej kimś szczególnym. Pamiętała jego oczy, jego tembr głosu i ten zapach, który wtedy wypełniał wnętrze auta. Zioła... Magia, która okazała się zwiastunem innego świata. Gdy poznała prawdę, nie wiedziała, co zrobić, jak się zachować. Bała się Lucasa, ale jednocześnie ta aura tajemniczości, która go otaczała, fascynowała ją. Drżała na samą myśl o jego spojrzeniu.

Czyżby po prostu zawsze tęskniła za tym, co niemożliwe? Czyżby kochała Lucasa, tylko dlatego, że nie mogła z nim być? Czy tak samo byłoby z Roderickiem? Czy gdyby mogła być z Robillardem, to przestałaby o nim marzyć?

A może wcale nie kochała Lucasa? Czymże więc było to uczucie, które przesłaniało jej wtedy świat? Zauroczeniem? Kaprysem? Ulotną miłością? Ale czy miłość może być chwilowa? Czy może przeminąć i znaleźć dla siebie nowy obiekt? Po tym wszystkim, co razem przeszli, jak mogła tak po prostu zastąpić Lucasa Roderickiem? A może to coś więcej? Przeznaczenie?

Coraz częściej zastanawiała się nad swoimi snami. Analizowała je po tysiącokroć, ale nie potrafiła zrozumieć. Kim był ten mężczyzna w bieli, który kazał jej wrócić na Ziemię, który kazał się wsłuchać w bicie własnego serca? Miała wrażenie, że go zna, ale nie wiedziała skąd. To tak, jakby był w głębi jej duszy. Ktoś bliski, znajomy, ale zarazem obcy. On chciał jej coś przekazać, wytłumaczyć, tylko co to mogło być?

I dlaczego widzi takie dziwne miejsca i ludzi, którzy wyglądają na żyjących w innej epoce? Jakby wspominała starodawny film. Może to faktycznie film. Ale jaki? I czemu sama w nim występuje? Elizabeth... To imię się z tym łączy. Może podświadomie chciałyby być Elizabeth i dzięki temu zyskać Rodericka? Pewnie tak! To musi być wytłumaczenie! Chciałyby być Elizabeth! Ale nie jest i nie będzie. To nie ona jest miłością jego życia. Nie ona...

Żal... Tak niewiele dni zostało do ślubu. Powinna być

szczęśliwa. Powinna cieszyć się ze swego losu. Pasma nieszczęść wreszcie się zakończyło. Już wkrótce podąży do ołtarza i będzie ślubować Lucasowi wieczną miłość... Okłamię go w obecności kapłana. Zapewni o czymś, co nigdy się nie stanie. Jak pokochać kogoś, kto wprowadzie dużo dla niej znaczy, ale nie jest tym wyśnionym? Jak można żyć tylko w świetle księżyca, jeśli poznało się słoneczny blask? Lucas i Roderick... Rozum podpowiada, że dokonała mądrego wyboru, jednak serce pęka z rozpacz. Lucas i Roderick... Dlaczego życie nie może być prostsze?

* * *

Lucas zdecydowanym ruchem ręki pchnął cmentarną furtkę i wszedł na ścieżkę pomiędzy mogiłami. Dostrzegł Barbarę stojącą przy pomniku Elizabeth. Podszedł do niej i stanął tuż za jej plecami.

Usłyszała jego kroki na zwirowanej dróżce, gdyż nie korzystał ze swoich mocy. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się leciutko.

– Wiedziałem, że cię tu spotkam. – Objął ją w pasie i przytulił do jej pleców. – Często tu przychodzisz.

– To pierwsze miejsce, jakie poznałam po przyjeździe do Elizabeth Town. Tamtego ranka, spotkałam tu Caroline. Nawet nie minął jeszcze rok, a wydarzyło się tyle rzeczy. Jadąc tu, nie myślałam, że moje życie aż tak bardzo się zmieni. Spodziewałam się nudy, a tymczasem trafiłam w samo centrum krwawych porachunków pomiędzy istotami nie z tego świata.

– Żałujesz? – zapytał, patrząc na pomnik swojej sio-

stry.

– Nie wiem – szepnęła cicho. – Czasem myślę, że to tylko sen...

– Ale ten sen to nie koszmar – zapewnił. – On będzie miał szczęśliwe zakończenie. Ty, ja i nasza córeczka.

– Tak – przyznała, chociaż akurat nie takiego zakończenia pragnęła. Roderick oszczędł i pewnie już nie wróci. Ale jeśli uciekł to przed czym? Może coś poczuł? Może obudziło się w nim dawno zapomniane uczucie? Może to ona stała się tego sprawcą? Z przerażeniem odkryła, że na samą myśl o Rodericku jej serce zaczyna szybciej bić. Tak jak wtedy na Alasce, kiedy śniła. Oby tylko Lucas tego nie spostrzegł.

– Denerwujesz się? – Jednak on wyczuł jej przyspieszone tętno. – Czy coś się stało?

– Nie – pospieszyła z wyjaśnieniami. Kolejne kłamstwa? Raczej drobne naginanie prawdy. – Egzamin z prawa jazdy.

– Wreszcie będziesz mogła jeździć swoim autkiem. Będziesz niezależna.

– Najpierw trzeba zdać. – Wyswobodziła się z jego objęć i przeżegnawszy się nad grobem Elizabeth, odwróciła w stronę wyjścia. Lucas przepuścił ją przed sobą, pozwalając iść pierwszej, jako że ścieżka była zbyt wąska dla dwóch osób. Kiedy jednak wyszli za furtkę, natychmiast ujął jej dłoń w swoją rękę.

– Zdasz. Zobaczysz, że zdasz – zapewnił ją. – Widziałem, jak sobie radziłaś na jazdach. Nawet trochę się

martwię, bo już nie będę ci potrzebny.

– Dużo ci zawdzięczam...

– Nie kochana, to ja jestem twoim dłużnikiem. Sprawiałaś, że moje życie nabrało innego znaczenia, że wieczność przestała być tak strasznie samotna. Kiedy prosiłem Caroline o przemianę, nie zdawałem sobie sprawy, jak to jest być z kimś innym. Cieszyłem się z nieśmiertelności i tych wszystkich nieograniczonych możliwości, jakie się przede mną otworzyły. Nie brałem jednak pod uwagę faktu, że będę z tym całkiem sam. Tyle lat samotności... Caroline była cudowną siostrą, ale tylko siostrą. Na początku próbowaliśmy stworzyć parę, jednak pod tym względem nie pasowaliśmy do siebie. Jako rodzeństwo jesteśmy idealni. Owszem, nie będę cię oszukiwał, miałem parę kobiet, do których jednak nic nie czułem. To, co łączy mnie z tobą jest szczególne. Od pierwszej chwili miałem świadomość, że jesteśmy sobie bliscy. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, ale zrozumiałem wtedy, że to właśnie na ciebie czekałem przez te wieki. To tak, jakbym odzyskał wreszcie część swojej duszy. Chwila, gdy powiedziałaś, że też mnie kochasz, była dla mnie najwspanialsza na świecie.

– Wiem Lucasie. – Dlaczego ciągle musi go kłamać? Dlaczego udaje coś, czego nie czuje? Czy mogłaby teraz wyznać mu prawdę? Czy mogłaby go aż tak zranić?

Przystanąła na środku piaszczystej drogi i spojrzała na Westmoora. Za tydzień zakończenie roku szkolnego, a następnego dnia po nim, ślub. Postara się być jak najlepszą żoną. To wszystko, co wydarzyło się na Alasce, nie

może przesłonić jej racjonalnego myślenia. Lucas jest wyjątkowym mężczyzną: kocha ją, troszczy się o nią, nawet obdarzył swoim uczuciem jej dziecko. Zawsze będzie przy niej i nie pozwoli, aby stała się jej jakaś krzywda. W końcu sama też coś do niego czuje. Może nie jest to taka miłość jak do Rodericka, ale przecież kto powiedział, że uczucie musi być aż tak gorące i namiętne? Przecież przyjaźń to wspaniała podwalina pod coś trwałego. Na pewno go pokocha, na pewno wszystko się ułoży.

– Jesteś taka smutna. – Patrzył jej prosto w twarz. W jego ciemnoniebieskich oczach migotał słoneczny blask. – Ciagle mam wrażenie, że mimo iż jesteś przy mnie, myślami znajdujesz się gdzieś bardzo daleko.

– Jestem z tobą i tylko z tobą. – Wspięła się na palce i pocałowała go w usta, na co on chwycił ją w objęcia i obsypał deszczem pocałunków. Próbowwała dać się unieść namiętności, ale nie potrafiła. Brakowało jej tego żaru, który towarzyszył wspólnym chwilom z Roderickiem. Przymknęła powieki, starając się wyobrazić, że to Robillard trzyma ją w ramionach.

Przy cmentarnej furtce stała kobieta w błękitnej sukni balowej i pełnym smutku wzrokiem przypatrywała się całującej parze. Nie zauważyła, kiedy obok pojawił się mężczyzna w bieli.

– Jeszcze nie wszystko stracone Elizabeth – odezwał się do niej.

– Jak możesz tak mówić Billu? Za tydzień połączy ich węzeł małżeński. – Nawet nie spojrzała w jego stronę. – To

nie tak miało być! Przecież ona kocha Rodericka! Przecież ona to ja!

* * *

– Lucas padnie z wrażenia. – Caroline siedziała w fotelu i przyglądała się stojącej na podwyższeniu Barbarze. Panna Bennett ubrana była w długą do ziemi, białą suknię ślubną, uszytą z delikatnego, lekko błyszczącego materiału. Kreacja była prosta, ale bardzo efektowna. Krój syrenki charakteryzujący się idealnym podkreśleniem biustu, tali i bioder oraz rozszerzeniem w dolnej partii na wysokości kolan, wspaniale eksponował zgrabne ciało dziewczyny. Odkryte ramiona i duży dekolt dodawały jej seksapilu, a ponieważ miała naturalną, ciemną karnację skóry, w zestawieniu ze śnieżną bielą kreacji efekt był niesamowity.

Jedyną ozdobę sukni stanowił pas dużych, białych róż, naszytych na linii od której rozpoczynało się rozszerzenie materiału. Dół sukni z tyłu był odrobinę dłuższy tworząc niewielki tren.

Barbara powoli obróciła się dookoła, zerkając przy tym w ogromne lustro, ustawione tuż przed nią, a pomocna konsultantka równo rozłożyła materiał sukni, prezentując w całej okazałości to istne dzieło sztuki.

– Jeszcze welon. – Przypomniała Caroline.

– Tak, oczywiście. – Konsultantka odeszła, aby go przynieść, a panna Westmoore wstała i podeszła do Barbary.

– Wyglądasz jak księżniczka.

– A nie wydaje ci się, że ta suknia jest zbyt wyzywająca? – Barbara dotknęła obiema dłońmi do dekoltu. – Czuję się, jakbym była naga.

– Przesadzasz kochanie, wyglądasz w niej olśniewająco – zapewniła. – Taka seksowna panna młoda. Wszyscy w kościele będą zazdrościć Lucasowi.

Znowu pomyślała o Rodericku, a jej dłonie mimowolnie przesunęły się do zawieszzonego na szyi talizmanu.

– Oj, on tu nie pasuje – zauważyła Caroline. – Zdecydowanie. Zresztą już go nie potrzebujesz.

– Ale...

– Na ślub będziesz musiała go zdjąć. No chyba, że jest coś, co nie pozwala ci ujawnić swoich myśli? Czy jest coś takiego? – zapytała podejrzliwie.

– Nie – odpowiedziała trochę zbyt szybko. Och, tylko nie talizman! Nie może go zdjąć! Nie przy Lucasie!

Na szczęście wróciła konsultantka niosąca welon. Z wprawą wpięła z tyłu głowy, w rozpuszczone włosy Barbary, przepaskę z identycznymi różami jak na sukni. Od tych kwiatów spływał cieniutki, prześwitujący, dwuwarstwowy materiał, który kończył się na wysokości kolan.

Panna młoda... Barbara przestała zwracać uwagę na wykrzykującą pochwały Caroline i usłużną konsultantkę. Widziała tylko swoje odbicie w lustrze. O tym dniu marzy chyba każda dziewczyna. Ona też... Ale nie tak to sobie wyobrażała. Jest wprawdzie piękna suknia, jest welon. Będzie piętrowy tort, goście i alejka usłana płatkami

kwiatów. Będzie pastor i przystojny wybranek. Tylko... No właśnie. W tym wszystkim brakuje jednego – prawdziwej miłości. To Roderick powinien stać na miejscu Lucasa. To on powinien patrzeć na nią, gdy będzie zbliżała się do ołtarza. To on powinien ująć jej dłoń i założyć na palec obrączkę.

Zakręciło się jej w głowie. Nagle zobaczyła przedziwną scenę. Niebo zasnuwane chmurami i bezkres oceanu. Statek? Na pokładzie zgromadzeni ludzie w strasznie dziwnych, starodawnych strojach. Widziała też siebie. Czowała, że jest w tym śnie, chociaż nie mogła zobaczyć swojej twarzy. Również ubrana staromodnie w długą, granatową, ciężką suknię. Ktoś trzymał jej dłoń. Spojrzała i zamarła. Rozpoznała Rodericka. Jak zwykle spowity w czerń, jak zwykle oszałamiająco piękny. Mówił coś do niej, ale nie słyszała. Poczowała tylko dotyk, gdy wsunął na jej palec złoty krążek.

– Ja Elizabeth... – Usłyszała swój własny głos, ale w tym samym momencie straciła przytomność.

– O Boże, co się stało? – Caroline już klęczała przy Barbarze i uniósłszy jej głowę, położyła na swoich kolanach. Konsultantka pobiegła po szklanekę wody.

– Barbaro. Słyszysz mnie Barbaro? – Caroline delikatnie klepała dziewczynę po policzku. – Proszę powiedz, że mnie słyszysz.

– Statek... – wyszeptała, otwierając oczy.

– Statek?

– Ja... – Rozpoznała Caroline i przypomniała sobie, że

mierzyła właśnie suknię ślubną. Pospiesznie chciała się podnieść z podłogi, aby nie pognieść kreacji, ale Caroline ją powstrzymała. Ostrożnie pomogła jej usiąść, a następnie wspierając ramieniem podniosła i podprowadziła do krzesła. W tym momencie wróciła konsultantka ze szklanką wody w dłoni i w towarzystwie swojej przełożonej. Obie troskliwie zajęły się Barbarą.

– To tylko stres przedślubny – wyjaśniła, gdy napiła się już wody i poczuła lepiej. – Miałam lekki zawrót głowy...

– Ale już wszystko dobrze? – dopytywała Caroline. – Lucas chyba by mnie zabił, gdyby coś ci się stało.

– Wszystko w porządku – zapewniła, chociaż wcale nie było w porządku. Za dużo tych niezrozumiałych snów. Cały czas wracają i pozostawiają po sobie to dziwne wrażenie. Roderick... Tak jakby ciągle był w jej podświadomości. Prześladował ją na jawie i nawiedzał w snach. Nie potrafiła przestać o nim myśleć. Statek? Dziwne stroje? Elizabeth? O co w tym wszystkim chodzi? O co do cholery w tym wszystkim chodzi?

* * *

– Możemy iść, zaraz powinien podjechać po nas Adam. – Oznajmiła panna Westmoore, patrząc na koleżankę wychodzącą z przymierzalni. Barbara pozbyła się już ślubnej kreacji, którą zamieniła na czarne legginsy i tunikę w orientalne wzory. – Dzwoniłam do niego, że już skończyłyśmy. Trochę mi głupio być zależną od innych. Że też mój samochód, musiał właśnie dziś odmówić posłu-

szeństwa.

– Caroline, proszę nie wspominać Lucasowi o tym incydencie w salonie – poprosiła, zgrabnie zbierając włosy do tyłu i spinając je w koński ogon. – Znowu zacznie się denerwować.

– On zdecydowanie ma hopla na twoim punkcie – przyznała blondynka. – Nic się nie martw, nie powiem mu.

– Dzięki.

Razem podeszły do lady, za którą stało kilka konsultantek, w tym i ta, która uprzednio obsługiwała Barbarę.

– Dostarczymy suknię pod wskazany adres. – Ekspedientka uśmiechnęła się do dziewczyn.

– Tylko proszę się nie spóźnić – przestrzegła Caroline. – Ceremonia zaczyna się o szesnastej.

– Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, abyśmy mieli jakieś opóźnienie – zapewniła pospiesznie druga z konsultantek.

– Dbamy o komfort naszych klientów.

– Sukienki drухen są już spakowane, zabierają je panie teraz, tak? – Znowu odezwała się pierwsza ekspedientka.

– Oczywiście. Druhny muszą być gotowe przed panną młodą.

Konsultantka podeszła do metalowego pałaka zawieszzonego na ścianie za ladą i zdjęła z niego dwa wieszaki z kreacjami zasłoniętymi nieprześwitującym pokrowcem. Jeszcze raz zerknęła na kartki doczepione do folii, aby upewnić się, czy nazwiska się zgadzają, a widząc, że wszystko jest w porządku, położyła oba stroje na blacie.

– Dziękujemy. – Caroline zgrabnie uniosła podane

wieszaki i przełożyła sobie przez lewą rękę.

– Najlepsze życzenia na nową drogę życia. – Konsultantka wyszła z za lady i usłużnie otworzyła drzwi.

Barbara wiedziała, że powinna coś powiedzieć, jakoś zareagować, ale nie potrafiła wydusić z siebie słowa. W chwili, gdy usłyszała życzenia, poczuła, że znowu zaczyna brakować jej powietrza. Nowa droga życia... Pospiesznie, nawet nie patrząc na ekspedientki, przepchnęła się do przodu, aby tylko jak najprędzej wyjść ze sklepu. Gdyby została tu chociaż minutę dłużej, na pewno by się udusiła.

Stała na chodniku przed wystawą salonu i gwałtownie zaczerpnęła powietrze. Caroline podążyła za nią i przystanęła, przyglądając się jej podejrzliwie.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała.

Skinęła głową, chociaż nic nie było w porządku. Jeszcze kilka dni i popełni największy błąd swego życia. Błąd, który może zaważyć na losach wielu osób. Jeszcze ma czas, jeszcze wszystko można odwołać. Jeszcze tli się nadzieja. Ale po co to robić? Po co rezygnować ze ślubu? Miłość to tylko puste słowa. Cóż znaczy miłość? Być z kimś, ufać komuś, zawierzyć mu i oddać całą siebie... Nie kłamać...

– Barbaro, co się z tobą dzieje? – Caroline wolną ręką złapała dziewczynę za ramię. – Czy ty masz jakiś problem?

– Nie – wydusiła z siebie.

– Może jest coś, co powinnaś mi powiedzieć? Pamiętaj, że zawsze ci pomogę. Nie ma takiego problemu, któ-

rego razem byśmy nie rozwiązały. No chyba, że chodzi o Rodericka... – znacząco zawiesiła głos.

Rodericka. Och, jakże chciałaby to z siebie wyrzucić, wreszcie wyznać komuś, co naprawdę czuje, co wydarzyło się na Alasce. Ale czy to coś by zmieniło? Może tylko zraniłoby bardziej Caroline i Lucasa. Nie, nie mogła nikomu o tym powiedzieć. To tylko jej sekret. Jej brzemię, które będzie dźwigać już do końca wieczności.

– Boję się ślubu – wyszeptała. – Przeraza mnie to wszystko... A jeśli coś się nie uda?

– Co ma się nie udać? Będę tam z tobą i dopilnuję wszystkiego. Zapewniam cię, że nie pozwolę nikomu zakłócić tego wyjątkowego dnia. Ty musisz tylko pięknie wyglądać i odpowiedzieć tak, gdy pastor zada ci pytanie.

– Hej dziewczyny. – Nie zauważyły kiedy tuż obok nich, przy krawężniku, zatrzymał się samochód Lucasa i z auta wysiadł sam Westmoore we własnej osobie. – Widzę, że zdążyliśmy na czas.

– Zdążyliśmy? – Caroline spojrzała w jego stronę. Lucas okrążył pojazd i podszedł do drzwiczek z tyłu. – I co ty tu właściwie robisz? Adam miał nas stąd zabrać.

– Mała zmiana planów siostrzyczko. – Mrugnął do niej porozumiewawczo okiem. – Adam ma coś innego do załatwienia, a ja korzystając ze sposobności przygotowałem niespodziankę. – Wyciągnął prawą rękę do Barbary, a lewą otworzył drzwiczki.

– Zaczynam podejrzewać, że to wszystko było ukarowane. – Caroline pogroziła mu palcem. – Czyżby awaria

mojego auta, to też twoja sprawka?

– Czasem losowi trzeba troszkę pomóc – roześmiał się, patrząc na minę Barbary, która właśnie podeszła do niego i zobaczyła fotelik samochodowy, zamontowany na tylnym siedzeniu. Nachyliła się do środka jednocześnie z Caroline, która także już odkryła prawdę. W foteliku, bezpiecznie zapięta pasami leżała Hope.

– Skąd... – Barbara przyłożyła dłoń do serca. – Przecież...

– To niespodzianka. Chciałem, abyś miała przy sobie córeczkę. – Był taki dumny z siebie. – Hope weźmie udział w naszym ślubie. Lekarz uznał, że może już zamieszkać z nami.

– Chyba nie pomogłeś mu w podjęciu decyzji? – zaniepokoiła się Caroline.

– Nie zrobiłbym czegoś tak głupiego. Najważniejsze jest zdrowie i życie dziecka.

– Lucasie! – Barbara rzuciła się mu prosto w ramiona. – Nie wiem, jak mam ci dziękować. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile to dla mnie znaczy.

Przytulił ją do siebie. Miał wszystko, co było mu potrzebne do szczęścia. Czegóż pragnąć więcej?

STRACONE NADZIEJE

– Ta przemowa jest durna! – Caroline ze złością zmięła w dłoniach kartkę papieru, na której przed chwilą coś pisała i rzuciła ją na podłogę. – No nie mogę wymyślić nic sensownego.

– Dasz radę. – Adam podniósł papierowa kulkę i celując, zgrabnie wrzucił ją do stojącego koło drzwi kosa. – Ja w ciebie wierzę.

– To masz dobrze, bo ja straciłam wiarę! – Przygryzła końcówkę ołówka, marszcząc przy tym czoło, tak jakby nad czymś intensywnie myślała. – Zakończenie szkoły i ślub... Kurczę, ale zakręcony tydzień!

– Myślałem, że lubisz wyzwania. – Stał przy biurku, za którym siedziała dziewczyna, i popatrzył na nią uważnie. – Co to dla ciebie.

– Przeceniasz mnie.

– Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

– Kiedy? – zapytała, chociaż wiedziała, o co mu chodzi. Nie chciała teraz poruszać tego tematu Benacantil...

– Nie udawaj Caroline – zniecierpliwził się odrobinę. Położył obie dłonie na blacie biurka i pochylił się w jej stronę. – Przecież potrafisz czytać w myślach.

– Nie chcę teraz do tego wracać. Pozwól mi cieszyć się ślubem Barbary. Porozmawiamy później, dobrze?

– Nie Caroline. Porozmawiamy teraz. – Okrążył biurko i stanął tuż koło niej. Ujął ją za ramiona, podnosząc do góry. – Ja podjąłem decyzję i chcę, abyś ją uszanowała.

Patrzyła mu prosto w oczy, czytając w jego myślach jak w otwartej księdze. Wiedziała, że mówi prawdę i że bardzo ją kocha, nie potrafiła jednak skazać go na takie cierpienie. Zamkniecie w twierdzy to wyrok.

– Porozmawiamy o tym później. – Starła się, aby jej głos był spokojny. Nie chciała okazać swego zdenerwowania.

– Caroline zbyt dobrze cię znam i podejrzewam, że znowu zamierzasz mnie wykluczyć ze swego życia. Dlaczego ciągle podejmujesz decyzje za innych?

– Może dlatego, że chcę cię chronić? – Wyswobodziła się z jego uścisku. – Ja wiem, co znaczy pobyt w Benacantil. To nie bez troskie wakacje.

– Dokładnie zdaję sobie z tego sprawę. Jakbyś nie pamiętała, to byłem tam z tobą. Widziałem tamto miejsce i ludzi...

– Oni nie są ludźmi – zaprotestowała. – Tak samo jak i ja. Ty masz życie.

– Co mi po życiu bez ciebie? Proszę, zaakceptuj, że chcę z tobą być. Pozwól mi na to. Nie pozbawiaj mnie wspomnień.

– Adamie...

– Nie Caroline, teraz mi nie przerywaj. – Przyłożył palec do jej ust, a drugą ręką sięgnął do kieszeni jeansowych spodni i wyjął z nich małe, granatowe pudełeczko. Przyklęknął przed zaskoczoną dziewczyną i wyjął z obitego aksamitem pudełeczka złoty prosty pierścionek, przypominający bardziej obrączkę, ale dookoła wysadzany

malutkimi, czerwonymi rubinami. – Wiem, że masz nade mną przewagę. Ja jestem tylko zwykłym, słabym człowiekiem. Nie mogę zaoferować ci nic ponad swoją miłość. Nawet nie mam wieczności, aby ją z tobą spędzić. Moje życie jest krótkie i kruche. Dziś jestem, jutro może mnie nie być. Cokolwiek się stanie, jakkolwiek podejmiesz decyzję, chcę, abyś przyjęła ten pierścionek, jako symbol łączącego nas uczucia. Caroline proszę, zostań moją żoną.

– Czy ty mnie właśnie poprosiłeś o rękę? – Cofnęła się o krok.

– Tak jak widzisz. – Nadal klęczał i uniósłszy głowę do góry, patrzył jej prosto w oczy. – Caroline wyjdiesz za mnie?

– Ja... – Przenosiła wzrok z jego twarzy na pierścionek, który trzymał w ręku. Nikt, nigdy się jej nie oświadczył. Czekala na tą chwilę tyle wieków, a teraz, gdy wreszcie nastąpiła, nie potrafiła się cieszyć, tak jakby chciała. Gdyby nie Benacantil i ci pieprzeni Patroni! Gdyby nie jej ojciec!

– Caroline, to proste pytanie. Wyjdiesz za mnie?

Przymknęła powieki i zaczerpnęła głęboko powietrze. Kochała go, tego była pewna. To on był tym wyśnionym, jedynym. Ale czy miała prawo go unieszczęśliwić?

– Tak. Wyjdę za ciebie! – Gwałtownie otworzyła oczy. Ten ból chyba nigdy nie minie, ale co tam! Najważniejsza jest miłość i pamięć. Będzie pamiętała, będzie tym żyć. Nawet jeśli rozdzieli ich Benacantil.

Podala mu swoją prawą dłoń, a on delikatnie wsunął

pierścionek na jej serdeczny palec. Wstał z kolan i pocałował Caroline w policzek.

– Wiesz, że jesteś szaleńcem? – zapytała, patrząc na klejnot. – Właśnie poprosiłeś o rękę wampirzycę, córkę najbardziej znienawidzonego Patrona wszech czasów, zwanego przez ludzi Szatanem.

– Nie. Poprosiłem, o rękę ciebie – Caroline. Wspomniała, miłą dziewczynę, która ma dobre serce i chce nieść ludziom dobro.

– Widzisz we mnie kogoś, kim nie jestem. – Uśmiechnęła się lekko.

– Widzę kogoś, kogo kocham. To ty, Caroline, tak naprawdę nie znasz siebie. Jesteś bardziej ludzka, niż myślisz.

– Wariat – powtórzyła ze śmiechem, przy okazji mierzwiąc mu dłonią włosy. – Teraz rozumiem dlaczego to Lucas po nas przyjechał, gdy byłyśmy na przymiarce sukni ślubnej i dlaczego unieruchomiliście mój samochód. Przebiegłe z was bestie. Że też niczego nie spostrzegłam... Widzę twoje myśli a tego nie widziałam...

– Plan był mój, a Lucas pomógł mi w jego realizacji, przy okazji przyszykując niespodziankę dla Barbary. Na pewno była bardzo szczęśliwa widząc Hope. A kiedy on was odbierał, ja w tym czasie mogłem zakupić pewien mały drobiazg, który masz właśnie na palcu. Co do myśli, to musiałem się bardzo pilnować w twojej obecności. – Zaśmiał się i złapawszy ją na ręce zakręcił się w miejscu po czym podszedł do łóżka.

– Muszę napisać przemowę – przypomniała, wskazując głową na biurko.

– To może poczekać. Mamy teraz pilniejsze sprawy. W końcu się zaręczyliśmy! – Położył ją na posłaniu, a sam pochylił się nad nią. Zarzuciła mu ręce na szyję. Benacantil było teraz tak daleko, zdawało się nie istnieć. Wieczność jest nieskończenie długa, zanim więc skarże się na bezkresne cierpienia, weźmie od życia, tyle ile tylko zdoła. Prawdziwa miłość nigdy się nie kończy, ona zostaje w naszych sercach, w naszych wspomnieniach. Trwa, na przekór światu.

* * *

Alena z miejsca zakochała się w małej Hope i do swoich licznych obowiązków związanych z przygotowaniem ślubu dołożyła jeszcze opiekę nad dzieckiem. Uznała, że młodym w tych ich ostatnich dniach narzeczeństwa należy się odrobina swobody i nie słuchając protestów Barbary, wstawiła kołyskę do swojego pokoju.

– To tylko kilka nocy – odpowiedziała na usilne nalegania dziewczyny, aby jednak pozwoliła jej zajmować się córeczką. – Wyszalej się, póki możesz. Po ślubie przeprowadzicie się i będziesz mieć Hope tylko dla siebie. Pozwól starej ciotce nacieszyć się maluchem.

Lucas poparł Alenę w stu procentach. Dziecko było przecież w domu, a dzieliła ich zaledwie odległość kilku metrów. Barbara mogła w każdej chwili wejść do pokoju ciotki i zobaczyć, co słyhać u malutkiej.

Barbara uległa namowom, ale każdą wolną chwilę

spędzała wraz z Hope. Wielką radość sprawiało jej samo patrzenie na córeczkę. W rysach jej twarzyczki doszukiwała się podobieństwa do Rodericka. Ileż by dała, aby Robillard był tu razem z nią. To, co wydarzyło się na Alasce, na zawsze zostawiło ślad w jej duszy. Czuła wielką pustkę, tak jakby właśnie utraciła coś najcenniejszego, jakby pozbawiono ją części samej siebie. Ten brak dawał się wyraźnie we znaki. Każda godzina wydawała się nieskończonością. Każda godzina bez Rodericka... A miało ich być jeszcze tyle.

Oddałyby wszystko, aby cofnąć czas i znowu znaleźć się w tym zasypanym śniegiem domu na pustkowiu. Aby znowu poczuć jego czułe uściski. Te pocałunki na skórze, ten delikatny powiew oddechu. Serce... Ono nie kłamie. Tak mocno bije na samą myśl o Rodericku. Zdaje się przyzywać go ze wszystkich sił. Ale jego nie ma. Odszedł i nie ma zamiaru wracać. Pewnie dobrze się bawi, nawet jej nie wspominając. Tylko Hope jej została. Tylko ona.

Lucas lubił przyglądać się swojej dziewczynie, gdy siedziała w głębokim fotelu i przytulała do siebie tę małą istotkę. Córkę Rodericka. Ta myśl nie potrafiła opuścić jego umysłu i prześladowała go ciągle, ale powoli uczył się z nią żyć. Najważniejsze, że Barbara była szczęśliwa i za kilka dni miała zostać jego żoną. Roderick ich nie rozdzielił, nie mógł. Ich miłość była silniejsza.

Zresztą po Robillardzie śluch zaginął. Od wyjazdu z Anchorage, nie dał znaku życia. To nawet do niego podobne. Po śmierci Elizabeth też zniknął i pojawił się do-

piero sto pięćdziesiąt lat później. Może i tym razem jego nieobecność będzie równie długa. Oby! Lucas nie miał zamiaru patrzeć na Robillarda, ani słuchać jego głosu. Nie wiedział, co wydarzyło się między nim a Barbarą na Alasce, ale instynktownie wyczuwał niebezpieczeństwo. To spojrzenie Rodericka w szpitalu, gdy spoglądał na Barbarę, nie wróżyło niczego dobrego. Lepiej, że odszedł. Niech nigdy nie wraca!

* * *

Angelina nie miała zamiaru brać udziału w wieczorze panieńskim Barbary. Już wcześniej powiadomiła Lucasa, że nie zjawi się na ślubie, a teraz konsekwentnie odmówiła jakiegokolwiek związku z wszelkimi przygotowaniem do tego wydarzenia. Co miałyby świętować? Z czego się cieszyć? To najsmutniejszy i najtragiczniejszy moment w jej życiu! Mężczyzna, którego kocha ponad wszystko, ma poślubić inną. Nie! Nie potrafiła aż tak udawać, że jest jej to obojętne. Nie było i nigdy nie będzie.

Zza firanki obserwowała Caroline wsiadającą do srebrnego BMW oraz Adama zajmującego miejsce za kierownicą swojego Lincolna. Jechali, aby bawić się wraz z narzeczonymi.

Zagryzła wargi, a w jej oczach pojawiły się łzy. Gdyby Barbara umarła, to ona być może wyszłaby za Lucasa. Tam w lesie tak niewiele brakowało... Pocałował ją, a ten pocałunek zwiastował coś więcej. Tyle czekała i wreszcie mogła otrzymać upragnioną nagrodę, ale nie... Los znowu sobie z niej zadrwił!

Siedziała w pokoju, próbując znaleźć dla siebie jakieś zajęcie. Zaczęła czytać książkę, ale nie rozumiała żadnego wyrazu. Litery zlewały się w jedną, bezsensowną całość. Odłożyła więc książkę na łóżko i wyjąwszy zdjęcia z szuflady, przeglądała fotografie zrobione na zeszłorocznym Pikniku Założycielek. Lucas... Gdzie by nie spojrzała, widziała jego twarz. Rzuciła zdjęcia na podłogę i wstała z posłania.

Wyszła na korytarz. Przez chwilę krążyła po holu, przystając przy kolejnych drzwiach. Rezydencja Robillardów była bardzo przestronna i miała tyle pomieszczeń – niektóre z nich nie były wcale używane. Spacerując po domu, natrafiła na pokój dziecinny, który jednak nie przypadł jej do gustu. Poczowała się w nim nieswojo. Wspomnienia Elizabeth, które miała gdzieś w głębi swego umysłu, wywołały u niej wręcz paniczny lęk.

Nie miała zamiaru zaglądać do reszty pokoi. Doszła do końca korytarza i zaczęła schodzić po schodach w dół. Była już mniej więcej w połowie drogi, gdy nagle drzwi wejściowe otworzyły się i do holu wkroczył Roderick. Tuż za nim postępowała, nieznana Angelinie, starsza kobieta w niemodnej, brązowej sukience. Panna Stewart zatrzymała się na stopniach i oparłszy dłonie o balustradę, wychyliła do dołu. Roderick spojrzał w jej stronę.

– Wróciłaś – zauważył ze spokojem, tak jakby to, co między nimi zaszło, nigdy nie miało miejsca.

– Ty też. – Odpowiedziała szybko. – I to nie sam.

– To moja przyjaciółka Honoria Sacchetti, a to...

Hym... To Angelina Stewart, która jak widać ponownie tu mieszka.

– Miło mi. – Honoria uśmiechnęła się ciepło.

Angelina nie odpowiedziała, tylko zeszła na dół i podeszła do kobiety. Uważnie przyglądała się jej pomarszczonej skórze, siwym włosom, uczesany w niezbyt twarzowego koka, wąskim, bladym ustom, zielonym oczom otoczonym siateczką zmarszczek. Honoria wytrzymała siłę jej spojrzenia, przez cały czas uśmiechając się pogodnie.

– Możesz odpuścić? – zapytał Roderick, wnosząc do holu dwie duże walizki.

– Coraz starsze panienki sobie sprowadzasz. – zardrwiła, ale zaraz pożałowała swoich słów, gdyż brunet puścił walizki i dopadłszy do niej jednym skokiem, złapał ją za ramiona.

– Nigdy więcej tak nie mów! – krzyknął. – Honoria to ktoś wyjątkowy. Osoba bliska mi jak matka. Ufam jej bezgranicznie i wymagam, abyś i ty obdarzyła ją szacunkiem.

– No teraz toś sobie strzelił... – prychnęła pogardliwie.

– Rodericku spokojnie. – Honoria położyła dłoń na rękę mężczyzny, a ten niczym pod wpływem dotknięcia czarodziejskiej różdżki, zwolnił uścisk na ramionach Angeliny.

– Nigdy więcej tak nie mów. – Przestrzegł jeszcze raz dziewczynę.

– Tak... – zadrwiła. – Na pewno.

– Caroline jest na górze? – Starał się nie zwracać na nią uwagi. Miała prawo tak się do niego odnosić, zwłaszcza po tym co jej ostatnio zrobił, ale powinna zachować umiar w stosunku do Honorii.

– Nie. – Potrząsnęła przecząco głową. – Pojechała do Barbary. Organizują coś tak durnego, jak wieczór panieński.

– Wieczór panieński? – Znieruchomiał. Tego się nie spodziewał. To było jak kubeł zimnej wody wylany na głowę.

– Dokładnie. – Wzruszyła ramionami. – Jutro mamy zakończenie szkoły, a pojutrze ślub.

– Ślub? – powtórzył.

– Słodka Barbara wychodzi za Lucasa. – Zacisnęła wargi.

– Pojutrze?

– Przecież mówię. Jutro uroczyste zakończenie szkoły, a następnego dnia ślub. I Caroline szaleje. Normalnie odbiło jej. Zresztą Lucas też postradał zmysły. Jakby nie było ciekawszych rzeczy. Dziś zrobili sobie wieczór panieński i kawalerski. Normalnie powariowali.

– Widzę za to, że ty zachowałeś rozsądek – odezwała się Honoria. – Ciebie to nie dotyczy?

– Mam to gdzieś – przyznała. – Na pewno nie będę udawać, że cieszę się ich szczęściem. Możecie sobie świętować, ale beze mnie! – Odwróciła się do nich plecami i z powrotem pobiegła na górę.

– Więc to jest ta dziewczyna, o której wspominałeś? Ta najmłodsza w waszej rodzinie?

– Tak – odpowiedział machinalnie, cały czas pochłonięty tym, co usłyszał. Za dwa dni Barbara miała poślubić Lucasa. Nic się nie zmieniło. Zresztą czego się spodziewał? Tam, na Alasce, to było coś innego... Nierealnego. Życie to nie bajka, tym bardziej dla takich istot jak on. Barbara, jego Elizabeth, wkrótce poślubi innego, tego, który kiedyś, w innym jej wcieleniu był jej bratem. Cóż za ironia! Odebrał mu ją wtedy, a teraz on odzyska swoją własność. Złodzieje zazwyczaj źle kończą, a Roderick był przecież tylko marnym złodziejaszkiem, który pragnął dla siebie czegoś niemożliwego.

– Ona mówiła o ślubie tej...

– Tak Honorio, dokładnie o tym mówiła. Barbara wychodzi za mąż za Lucasa. Wybrała jego. Mnie nie pamięta i nigdy sobie nie przypomni. To już nie ona! Elizabeth umarła!

– Ale przecież ją kochasz. Odkryłeś, że to w niej odrodziła się dusza twojej zmarłej żony.

– Co z tego? To tylko moje uczucia. One nie są ważne. Barbara nic do mnie nie czuje. Nie mam prawa wymagać od niej niczego.

– A to, co było między wami na Alasce? To się nie liczy? Opowiadałeś mi o wszystkim. Nie sędzę, aby była aż tak pozbawiona uczuć i traktowała cię jedynie jako chwilową rozrywkę. Może po prostu czuje się zagubiona, nie wie co robić...

– Nie powinniśmy tu wracać. Lepiej jak natychmiast wyjedziemy! – Podbiegł do walizek i złapał za uchwyty. – Wyjedźmy stąd jak najprędzej!

– A ja myślę, że Bóg by tego nie chciał – zaprotestowała. – Jeśli zjawiliśmy się tu w takim momencie, to na pewno jest w tym jego ręka.

– Chciał, abym bardziej cierpiał? – zadrwił.

– Może chciał, abyś dostał swoją nagrodę...

– Mylisz się Honorio! Jak nagrodą może być dla mnie widok ukochanej kobiety, poślubiającej innego? Jak mogę patrzeć na moją jedyną miłość, która oddaje się innemu na wieki? Szukałem jej tyle czasu, a gdy wreszcie znalazłem, znowu muszę ją stracić. I teraz już bezpowrotnie. To ponad moje siły...

– Nigdy nie trać nadziei. – Objęła go i przytuliła do siebie. – Nadzieja to ostatnia rzecz, która pozwala nam odnaleźć właściwą ścieżkę.

* * *

– Masz przemowę? – Flo odwróciła się w stronę wchodzącej do pokoju Caroline. – Proszę, powiedz, że napisałaś. Męczysz ją już od tygodnia...

– Właściwie to nie. – Uśmiechnęła się przepraszająco do siedzących na łóżku koleżanek. – Ostatnio miałam coś innego do roboty i jakoś tak przemowa zeszła na plan dalszy. – Odpowiedziała, czerwieniąc się. – Coś ważniejszego, niż przemowa? – Flo pokręciła głową. – Przecież jutro mamy zakończenie!

– Wiem, ale tylko zobaczcie! – Uniosła do góry prawą

dłoń i wskazała na pierścionek zdobiący jej serdeczny palec.

– Czy to jest to, o czym myślę? – Barbara uklękła na posłaniu.

– Tak! Zareczyłam się! – wykrzyknęła radośnie.

– Gratuluję! – Flo poderwała się z łóżka i ucałowała koleżankę w oba policzki. – Rozumiem, że powiedziałaś tak, a tym szczęśliwcem, który to usłyszał, jest Adam.

– Dokładnie – potwierdziła, siadając koło Barbary. Flo zajęła miejsce obok.

– Bardzo się cieszę. – Panna Bennett uścisnęła przyjaciółkę. – Adam nie mógł dokonać lepszego wyboru.

– Fakt, farciarz z niego! – Caroline wybuchła śmiechem. Była taka szczęśliwa. Nie myślała o Benacantil. Teraz nie czas na to. – Uknuli to razem z Lucasem.

– No proszę, ty wychodzisz pojutrze za mąż, ty się zareczyłaś, a mnie Zac zaprosił na kręgle. – Flo udała naburmuszenie.

– Będiesz się dobrze bawić. Kręgle są super – zapewniła Caroline.

– Tak, na pewno. – Teraz i Flo wybuchnęła śmiechem. Po chwili trzy dziewczyny zgodnie leżały na posłaniu i zaśmiewały się do łez. Nawet i Barbara przestała myśleć o swoim ślubie.

– Hej, wieczór paniński nie może być taki drętwy! – Caroline pierwsza podniosła się do pozycji siedzącej. – Musimy coś wymyślić.

– Chyba raczej napisać przemowę. Nie zapominaj, że

jutro zakończenie szkoły. – Flo ostudziła zapal koleżanki. –
Wszyscy czekają na twoje wystąpienie.

– Chrzanić to!

– Flo ma rację. – Barbara z trudem opanowała śmiech.
– Zresztą co to za wieczór panieński, jak jest nas tak mało?
Zróbmy coś pożytecznego i napiszmy przemowę.

– Przynudzacie. – Caroline znowu spojrzała na swój
pierścionek.

– Angelina nie przyjdzie? – Flo wstała i podeszła do
biurka, na którym ustawiona była taca z kanapkami, cia-
stem oraz dzbanek z sokiem i puste szklanki. Wzięła jedną
ze szklanek i naląła sobie napoju.

– Nie. – Caroline przestała się uśmiechać. – Musimy
jej jednak to wybaczyć. Rozumiecie o co chodzi...

– Jasne, ale to uczucie kiedyś jej minie i będzie żało-
wać, że nie była tu z nami.

– I nie pisała przemowy – dokończyła Barbara, się-
gając do szuflady nocnego stoliczka, skąd wyjęła zeszyt
w kratkę i ołówek.

– Czyli jednak przynudzamy. – Caroline westchnęła
żałośnie. – W taki dzień? Jestem pewna, że chłopaki bawią
się lepiej od nas.

– Na pewno! – Flo zakrztusiła się sokiem. – Zac
zdradził mi, że zabierają Lucasa na kręgielnię. Ostatnio
dostał świra na punkcie tej gry. Cały czas gada tylko
o kulach, stylach rzucania i innych równie durnych rze-
czach.

– Oj – pisnęła panna Westmoore. – Lucas nienawidzi

kręgli. Chyba, że... Może coś źle zrozumiałaś Flo? Może Zac mówił o krągłościach, które pokażą Lucasowi? – Zachichotała ubawiona.

– Krągłościach? – nie rozumiała Barbara.

– No! – Flo ruchem ręki zademonstrowała biust i pośladki. – A my nie mamy żadnego ciacha. Chociażby jednego...

– Mylisz się, mamy ich całe mnóstwo! – Caroline wskazała na tacę z ciastem. – Nie krępuj się, bierz ile chcesz.

Kolejna salwa śmiechu rozległa się w pokoju. Może to ostatnie takie chwile radości? Nie myśleć o tym, nie teraz!

* * *

Stał przy oknie w swojej sypialni i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w pejzaż widoczny za szybą. Wrócił, ale po co? Lepiej było omijać to miejsce z daleka, udawać, że nie istnieje. Tyle złego go tu spotkało, ale zarazem i tyle szczęścia. Tu przez dwa lata mieszkał z Elizabeth i Kyle'em. Dwa najpiękniejsze lata swojego życia... Tak piękne, jak te miesiące na Alasce.

Zacisnął dłonie w pięści i uderzył w marmurowy parapet z taką siłą, że na nieskazitelnej powierzchni pojawiły się pęknięcia. Kolejny raz traci to, co najcenniejsze. Za dwa dni Barbara poślubi Lucasa. Pójdzie w białej sukni do ołtarza i będzie ślubować mu miłość oraz wierność. Odda mu całą siebie. Na zawsze.

A co z nim? Jak ma dalej żyć? Jak ma starać się udawać, że wszystko jest w porządku? Przecież nie jest! Nie

może być! Nie bez niej! Jego Elizabeth... Jego przeznaczenie. Mieli być razem, a los... a może Bóg, specjalnie poplątał ich losy. Sprawił, że był przy niej, gdy umierała. Trzymał ją w swoich ramionach i patrzył na gasnący wzrok. Nie zatrzymał, chociaż mógł. To był błąd! Nie walczył o nią tak, jak powinien. A później te wszystkie lata poszukiwań... Te wypatrywanie jej pośród tysięcy, milionów kobiet. Każdy kolejny dzień dawał nadzieję, że wreszcie ją odnajdzie, a każda kolejna noc przynosiła rozczarowanie i samotność. Sto pięćdziesiąt lat cierpień i życia w złudzeniu. Sto pięćdziesiąt lat oczekiwania, tylko na co? Na kolejne pożegnanie?

Barbara... Spotkał ją w tak dramatycznych okolicznościach – znalazł na pustej, bocznej drodze, zmaltratoowaną i bliską śmierci. To ewidentny znak, że zjawił się w odpowiednim momencie. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Nie przypominała Elizabeth, była bardziej dziecinna, niezdecydowana, bała się własnych uczuć. Właśnie ta jej bezradność i zagubienie zmyliły go. Elizabeth miała w sobie ogromną siłę, nie lękała się niczego, dumnie stawiała czoła kolejnym niebezpieczeństwom. Nie zawahała się ani chwili, gdy musiała oddać swoje życie, aby ocalić najbliższych.

Elizabeth pokochał od pierwszego wejrzenia, miłość do Barbary pojawiała się stopniowo, tak iż nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Traktował ją jak koleżankę, kogoś bliskiego, ale mało istotnego. Patrzył na nią, rozmawiał z nią, był blisko, jednak nie czuł w sercu ukłucia,

które mogłoby świadczyć, że to właśnie ona jest tą wyteknioną, poszukiwaną, jedyną. Wiedziony chęcią pomocy, użył nawet swej mocy, aby przekonać ją, iż kocha Lucasa miłością bezgraniczną i prawdziwą. Cóż za kretyn!

A gdy wreszcie odkrył, że ją kocha? A gdy zrozumiał, że nie jest mu obojętna? Nadal nie powiązał jej z Elizabeth, obwinił się, że potrafił pokochać inną kobietą. Miał wyrzuty sumienia, że kogoś innego, niż swoją żonę, obdarzył uczuciem. Nie słuchał swego serca, tylko rozumu! Chciał zagłuszyć wewnętrzny głos, chciał zapomnieć o wszystkim. Zatracił się jak szaleniec, zmierzając wprost do samounicestwienia.

Te kobiety... tyle ich było, przewijały się przez jego łóżko, niczym pasażerowie tramwaju. Nie pamiętał ich twarzy, nie chciał nawet o nich myśleć. Gardził sobą za to, co z nimi robił. Niczym zwierzę, którym w końcu był. Jak najwięcej alkoholu, jak najwięcej zaliczonych pańienek. Rozpusta i zatracenie. A później pojawiła się Yadira... To napawało go wręcz obrzydzeniem. Sięgnął dna, a nawet spadł jeszcze niżej. Nurzał się w rynsztoku, będąc kimś obcym nawet samemu sobie.

Gdyby nie porwanie i pobyt na Alasce, pewnie stałby się bestią, gorszą od tej, którą był kiedyś. Przekroczył wszelkie granice. Pił ludzką krew, zabijał, a co najgorsze, w tym szaleństwie odnajdywał spokój. Te krótkie chwile, gdy tracił świadomość, dawały mu wytchnienie i pozwalały zapomnieć o straconej miłości. Dlatego chciał więcej i więcej. Dlatego tak rozpaczliwie rzucał się

w ramiona kolejnych kobiet i sięgał po alkohol. Jakże żałował, że chwilowa ulga tak szybko mija. Szukał różnych sposobów, aby ją przedłużyć, ale nawet najsilniejsze narkotyki na długo nie otumaniały jego umysłu. To przekleństwo bycia nieśmiertelnym, gdyby był normalnym człowiekiem, mógłby zapieć się na śmierć lub wstrzyknąć sobie większą dawkę w żyłę. Wieczne życie wcale nie jest błogosławieństwem, czasem śmierć to najlepsze rozwiązanie.

Barbara... Barbara... Barbara... Jej krew... Wtedy, gdy dała mu się jej napić, gdy poczuł ten smak w swoich ustach... Zrozumiał. To było jak błyskawica, rozświetlająca czarne niebo. Elizabeth i Barbara to jedno. Cały czas, miał ją tak blisko siebie i tego nie dostrzegał, a przecież duch, jawiący mu się w snach, mówił o tym wyraźnie. Była tuż obok. Tuż obok. I przecież ją kochał. Tylko ona nie kochała jego... Wybrała Lucasa, mężczyznę, który w dawnym jej wcieleniu był jej bratem. Może tak właśnie musiało być?

Nie! Nie! Nie! Nigdy! Przecież to on miał być z Elizabeth! Połączyła ich wieczna miłość, uczucie tak silne, że nawet śmierć ich nie rozłączy. A jednak rozłączyła. I jak ma żyć bez niej? Jak ma patrzeć na jej szczęście?

Jadąc tu, miał nadzieję. Liczył, że będzie mu dane z nią porozmawiać, że wyzna jej swoje uczucia. To co wydarzyło się na Alasce, dawało mu prawo myśleć, że nie jest jej tak zupełnie obojętny. Powinni wcześniej o tym pomówić, powinni sobie wszystko wyjaśnić. Gdyby nie

talizman, który nosiła, poznałby jej myśli. To by wiele ułatwiło, ale oczywiście amulet Billa po raz kolejny skomplikował mu życie.

A teraz już za późno... Już nigdy nie powie jej tego, co zamierzał. Barbara wychodzi za Lucasa. Ma swoją rodzinę i szczęście, o którym marzyła. Może tam na Alasce, Kochając się z nim, myślała o Westmoorze? Może to wszystko to tylko wymysł jego chorego umysłu? Może tak naprawdę nigdy niczego między nimi nie było? Nie było Alaski i tego wszystkiego?

Odsunął się od okna i szybkim krokiem podszedł do drzwi. Jednym szarpnięciem otworzył je szeroko. Wybiegł na korytarz, ale ledwie przekroczył próg pokoju, gdy z sąsiedniej sypialni wyjrzała zwabiona hałasem Honoria.

– Czy coś się stało? – zapytała, patrząc na niego z niepokojem. Przeraziła ją jego bladość i ta dziwna moc, bijąca z oczu. Przez chwilę zobaczyła go takim jak wtedy, podczas wojny, gdy zabił Niemców, którzy rozstrzelali jej bliskich.

– Nic. – Zatrzymał się na wprost niej.

– Idziesz z nią porozmawiać?

– Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? Ona już dokonała wyboru. Błędem było wracać tu. Wybacz Honorio, ale popełniłem błąd. Ja nie jestem człowiekiem, chociaż usilnie starasz się wmówić mi coś innego. Ja nie chcę już być człowiekiem, nie chcę cierpieć i pamiętać! To już koniec. Koniec! – Odwrócił się i pobiegł w stronę schodów.

– Rodericku, poczekaj! – krzyknęła za nim, ale jej nie słuchał. W mgnieniu oka znalazł się na dole i wybiegł z domu. Zdążyła tylko dojść do otwartych, frontowych drzwi, aby zobaczyć tył odjeżdżającego, czarnego mercedesa. – Co ty chcesz zrobić? – zapytała ciszej, bezradnie opuszczając ręce wzdłuż ciała. Wiedziała, że nikt nie udzieli jej odpowiedzi na to pytanie, ale po prostu musiała je zadać. Bała się, okropnie się bała, że Roderick robi coś głupiego. Nie chciała, aby stała mu się krzywda. To zranione, samotne serce, zasługiwało wreszcie na odrobinę wytchnienia. – Boże, jeśli mnie słyszysz, pomóż mu – wyszeptała. – To istota, która zamieszkuje stworzony przez ciebie świat. Jestem pewna, że i ty jesteś jej stwórcą. On nie jest zły, tylko zagubiony. Miej litość nad nim. Wspomóż go swoim miłosierdziem.

* * *

Przez chwilę zapragnął pojechać pod dom Barbary, ale szybko zmienił zdanie. Czegóż miał tam szukać? Oglądać jej szczęśliwą twarz, przysłuchiwać się słowom zachwytu dotyczącym zbliżającego się ślubu? Zdecydowanie nie miał na to ochoty. A może jego widok, przypomniałby jej to, o czym chciała zapomnieć? Alaskę...

Nie patrzył na wskaźnik szybkościomierza, tylko do oporu dociskał pedał gazu. Drzewa za szybą migąły w przelocie, zlewając się w jedną zielono-brązową plamę. Jechał przed siebie, jak najdalej od tego miejsca i od niej. Od swojej Elizabeth.

Było już ciemno, kiedy przekroczył granice

Springfield. Tak jak wtedy, zajechał na tę spokojną, senną uliczkę, zabudowaną po obu stronach niewysokimi domkami z ogródkami. Typowe rodzinne gniazdka. Bez trudu rozpoznał budynek z charakterystycznymi niebieskimi ścianami i spadzistym dachem.

Zaparkował samochód na ulicy i niczym zwyczajny spacerowicz, ruszył chodnikiem w stronę domu. Zatrzymał się pod rozłożystym bukiem i z uwagą obserwował rozświetlone okna na parterze. Dostrzegł stół, za którym siedział mały, może ośmioletni chłopczyk. Dzięki swojemu nadludzkiemu wzrokowi bardzo wyraźnie widział smutną twarz malca. Zabił mu matkę... Pozbawił ją życia w tym właśnie domu.

Nagle do pokoju wszedł znany mu już z cmentarza mężczyzna. W ręku niósł talerz z pieczenią, którą postawił na stole przed chłopcem. Dzieciak rozpromienił się na widok ojca, a ten radośnie zmierzwił mu czuprynę dłonią, po czym usiadł obok niego, jednak nie zabrali się do spożywania posiłku. Najwyraźniej na coś czekali. Na co?

Ciekawość Rodericka wzrosła. W pełnym skupieniu patrzył na rodzinę, którą sam, własnoręcznie zniszczył. Pozbawił ich radości, zabrał im ukochaną osobę, a oni przetrwali i nadal potrafią się uśmiechać. Przez drzwi kuchenne do pokoju weszła niewysoka, jasnowłosa kobieta, niosąca talerz z frytkami i sosjerkę. Gdy położyła je na stole, wzięła dużą łyżkę i po kolei nałożyła każdemu porcję stawy. Na koniec podeszła do wolnego krzesła, stojącego po lewej stronie chłopczyka, a mężczyzna zerwał się ze

swego miejsca, aby pomóc jej usiąść. Kiedy odwróciła się bokiem, Roderick dostrzegł jej duży brzuch, na którym czule położyła jedną dłoń i roześmiała się, mówiąc coś do swego towarzysza. Ten natychmiast również przyłożył dłoń do jej brzucha i również się roześmiał. Nawet chłopczyk podniósł się ze swojego miejsca i stanął koło starszych. Wyglądał na trochę zakłopotanego, tak jakby nie wiedział co zrobić, kobieta jednak szybko rozwiała jego wątpliwości, bowiem pochyliła się nad nim i wyszeptała mu coś do ucha, na co na twarzy malca pojawił się uśmiech. Ujęła jego dłoń i przyłożyła do swojego brzucha. Chłopczyk pisnął radośnie, a mężczyzna objął go jedną ręką i przytulił do siebie, drugą zaś objął kobietę. Roderick widział przepełniające ich szczęście.

Wycofał się z powrotem do samochodu. Czego był świadkiem? Doprowadził tę rodzinę do ruiny, odebrał im wszelką radość życia, pozbawił ukochanej matki i żony. Odebrał wszystko, co najważniejsze. Zdawało się, że powinni zatracić się w cierpieniu, że powinni stracić sens życia, a tymczasem na zgliszczach szczęścia, rozkwitło nowe uczucie. Może jeszcze silniejsze i pełniejsze niż to pierwsze. Czyżby to kolejny znak?

Uruchomił silnik i pojechał dalej. Nie chciał o tym myśleć, gdyż każda kolejna myśl powodowała ból. Jedyne czego pragnął, to zapomnieć. Inni odnajdują szczęście wbrew przeciwnościom losu, a on jeden ciągle tonie w rozpacz. Cóż mu zostało? Nie ma po co udawać, nie ma po co zachowywać pozorów. Trzeba spróbować zagłuszyć

ten głos, który tak przeraźliwie rozbrzmiewa w jego głowie.

Ulica rozpusty. Często tu przyjeżdżał. Z okna samochodu patrzył na mijane dziewczyny, czekające na okazję zarobku. Jeszcze się wahał, jeszcze miał opory. Od czasu Alaski, nie miał żadnej kobiety, nie chciał ich mieć. Liczyła się tylko Barbara, ale teraz już nie ma po co być jej wiernym. Ona dokonała wyboru i oddała się innemu. A on może mieć wszystkie kobiety świata – stać go na to.

Zwolnił i zatrzymał się koło szczupłej blondynki w króciutkiej skórzanej spódniczce i czerwonej bluzce z ogromnym dekoltem, który eksponował prawie cały jej biust.

– Hej przystojniaku. – Natychmiast podeszła do niego i zapukała w szybę. – Masz ochotę na dobrą zabawę?

Uchylił okno, patrząc na jej długie, zgrabne, opalone nogi, obute w czerwone szpilki.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Jak tylko zapragniesz – roześmiała się.

– Chcę poznać twoje prawdziwe imię – nie ustąpił, wyciągając z kieszeni banknot studolarowy i podając go jej przez okno.

– Edith. – Skwapliwie schowała otrzymane pieniądze.

– Masz szczęście, bo jestem prawdziwą mistrzynią rozkoszy.

– Masz koleżankę?

– Co?

– Mam ochotę na zabawę w większym gronie.

– Trójkącik? Ale to będzie kosztowało ekstra – zaznaczyła.

– Wystarczy? – Ponownie sięgnął do kieszeni i wyjął kilka studolarowych banknotów.

– Pewnie. – Złapała pieniądze i odwrócił się w stronę stojących w pobliżu dziewcząt. – Nicole, chodźcie tu! Mamy wymagającego klienta.

* * *

Słońce wpadało przez niezasunięte okna i swoim blaskiem spowijało cały pokój. Ostatni dzień szkoły zapowiadał się na bardzo pogodny. Barbara obudziła się pierwsza i spojrzała na leżącą obok Caroline. Wczoraj, po wieczorze panieńskim, Flo wróciła do siebie, ale panna Westmoore została na noc. Barbara była pewna, że to Lucas prosił o to swoją siostrę. Nadal nie chciał, aby została sama.

Wstała i podeszła do okna, które otworzyła na oścież. Zaciągnęła się zapachem płynącym od lasu.

– Dzień dobry. – Caroline usiadła na posłaniu i przeciągnęła się, ziewając przy tym szeroko. – Jak samopoczucie?

– W porządku – odpowiedziała, opierając dłonie o parapet i patrząc w stronę cmentarza.

– Wiesz, ile razy przechodziłam już przez ostatni dzień w szkole? W pewnym momencie można się znudzić. Chyba mam już dość udawania nastolatki. – Panna Westmoore zeskoczyła na podłogę i zrobiła kilka przysiadów. – Trzeba rozprostować stare kości – zażartowała.

Barbara odwróciła się w jej stronę. Caroline z tymi potarganymi blond lokami, wyglądała nad wyraz słodko. Różowa koszulka nocna, kończąca się tuż przed kolanami dodawała jej seksapilu.

– Widzę, że tęsknisz za Lucasem. – Uśmiech blondynki był nad wyraz szczery. – Nie martw się, jeszcze tylko jeden dzień i już zawsze będziecie razem.

Znowu poczuła to dziwne uczucie braku powietrza. Jakby płuca odmawiały posłuszeństwa i nie chciały zaczerpnąć kolejnego haustu życiodajnego gazu. Jakby chciały skrócić jej cierpienia.

– Ciekawe jak tam wieczór kawalerski naszych pań. – Caroline nie zauważyła przerażenia widocznego w oczach przyjaciółki. – Mam nadzieję, że bawili się lepiej od nas. Na pewno weselej, bo nie musieli pisać tej durnej przemowy. Pozwolisz, że wykapię się pierwsza? – Podeszła do drzwi od łazienki. – Wiesz, muszę się zrobić na bóstwo, bo będę występować przed tymi wszystkimi ludźmi... Oj i najważniejsze. – Zawróciła do łóżka i sięgnęła po swoją torebkę, leżącą na podłodze. Odpięła zamek błyskawiczny i wyjęła z środka plastikowy woreczek z krwią. – Zapomniałabym o tym małym dodatku – wyjaśniła.

Barbara pobladła i przyłożyła dłoń do ust. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Nie chciała patrzeć na Caroline posilającą się w jej obecności.

– Przepraszam. – Blondynka dostrzegła jej gest. – Ciągle zapominam, że jeszcze jesteś człowiekiem. Kiedy

staniesz się taka jak ja... – Nie dokończyła, gdyż weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy stanie się taka sama jak Caroline? O matko, dlaczego o tym nie pomyślała? Wychodzi za wampira, chce stworzyć z nim rodzinę, czego więc się spodziewała? Myślała, że pozwolą jej pozostać człowiekiem? Ale co z Hope? Jak będzie mogła się nią zajmować? Czy nie wyrządzi jej krzywdy? A co szykują dla jej dziecka?

Podbiegła do otwartego okna i zaczęła głęboko oddychać, starając się opanować rozszalałe zmysły. Nie! Nie! Nie! Nie chce takiej wieczności! Nie chce cierpieć przez nieskończoność! Bez Rodericka? To ponad jej siły!

* * *

Katherine wyszła przez automatycznie rozsuwane drzwi lotniska i rozejrzała się dookoła. Podróż do Springfield bardzo się jej dłużyła, ale cóż, była ona konieczna. Bartolomeo dość szybko zebrał potrzebne informacje, z których wynikało, że po zakupieniu rezydencji Westmoorów, Robillard wraz ze swoją towarzyszką wrócili do Ameryki. Z pośród kilku adresów, które przekazał detektyw, od razu w oczy rzucił się jej ten w Elizabeth Town. Już gdzieś słyszała tę nazwę. Chwilę zajęło jej przejrzanie notatek, ale wreszcie odnalazła wzmiankę o Elizabeth Town założonym przez Rodericka Robillarda i jego żonę Elizabeth. Zrozumiała, że odkryła nową siedzibę swego wroga.

– I co teraz? – Do stojącej przed wejściem lady Ramsey, podszedł chudy, wysoki, ciemnoskóry mężczyzna,

którego twarz obdarzona była charakterystycznym, długim, garbatym nosem. Wyglądał przez to bardzo ponuro, wręcz odpychająco, a jego wąskie, blade wargi tylko pogłęgały to wrażenie. Mężczyzna pchał przed sobą wózek załadowany kilkoma dużymi walizkami.

– Będziemy zwiedzać. – Katherine wzruszyła ramionami. – Na początek idź wypożyczyć samochód.

– Ja? – zdziwił się niepomiernie.

– Za coś ci chyba płacę Bartolomeo. – Wykrzywiła twarz w grymasie, który miał udawać uśmiech. – Musimy dostać się do Elizabeth Town.

* * *

Przez całą noc Honoria nie mogła zasnąć. Dręczyło ją wspomnienie spojrzenia Rodericka, które widziała, gdy odchodził. Wszedł i nie wrócił. Spacerowała po pokoju, co chwila podchodząc do okna, sprawdzając, czy nie widzi wracającego Robillarda. Gdzie mógł pojechać? Co zrobić? Oby nic głupiego!

Bała się, że jej obawy nie są bezpodstawne. W stanie, w jakim się znajdował, był gotowy na wszystko. Może powinna go była zatrzymać? Ale jak? Nie miała z nim żadnych szans. Wrócili w złym momencie. W bardzo złym.

Dochodziła godzina siódma rano, gdy wreszcie wyszła z sypialni i zeszła na dół. Nie wiedziała, gdzie jest kuchnia, ale odszukała ją i zrobiła sobie herbatę. Usiadła na wysokim krzeselku, stojącym przy blacie kuchennym i wolno piła orzeźwiający napój. Próbowwała się uspokoić, ale było

to niewykonalne.

– Twój ulubieniec właśnie wrócił. – Nie zauważyła, kiedy w progu pojawiła się Angelina. Ubrana w krótką, granatową sukienkę z białym paseczkiem pod biustem i niewielką kokardą z przodu, oraz w granatowe pantofelki na niewielkim obcasie, wyglądała nad wyraz skromnie i elegancko.

– Wrócił? – Honoria podniosła się z krzeselka i w tym momencie usłyszała śmiechy, dobiegające z holu.

– Nie jest sam – zauważyła Angelina.

Honoria pospieszyła do drzwi wejściowych i zamarła w bezruchu, widząc Rodericka trzymającego w objęciach dwie dziewczyny, ubrane w bardzo wyzywające, wręcz nieprzyzwoite stroje.

– Rodericku! – tyle tylko zdołała z siebie wydusić.

– A to kto? – Jedna z dziewcząt, czarnowłosa z krwisto czerwonymi wargami i w białej, niemalże prześwitującej sukience, która swoją długością przypominała koszulę, obrzuciła kobietę lekceważącym spojrzeniem. – Twoja babka?

Przelotnie zerknął na Honorię i przez jedną małą chwilkę poczuł wyrzuty sumienia. Ona była jego sumieniem.

– Nikt ważny. – Skrzywił się, mocniej przyciągając do siebie dziewczyny i bezwstydnie łapiąc je za piersi. Był pewien, że Honoria to widzi. Chciał, aby cierpiała, aby czuła żal. W końcu to ona namówiła go na powrót!

Dziewczyny zachichotały. Jedna z nich zaczęła cało-

wać go po szyi, a druga bładziła dłonią po jego torsie, widocznym pod rozpiętą koszulą.

– Idziemy na górę. – Wyswobodził się z ich uścisku i klepnął je w pośladki. – Zrobimy sobie małą imprezkę. Mamy co świętować! Będziemy pić i bawić się na całego! Zapomnimy o tym pieprzonym świecie.

– Rodericku! – Honoria zebrała w sobie siły i zastąpiła mu drogę, odgradzając od schodów i pańienek lekkich obyczajów, które zatrzymały się na pierwszym stopniu i obejrzały do tyłu, ciekawe co się wydarzy.

– Nie marudź Honorio. Nie mam ochoty słuchać twoich umoralniających opowieści. Powiedziałem ci, że to już koniec! Twój Bóg, doprowadził do tego, że nie chcę być człowiekiem! Podziękuj mu ode mnie. Teraz nie będę już cierpieć. Mam zamiar dobrze się bawić i nikt mi w tym nie przeszkodzi. Nawet ty.

– Nie możesz tego zrobić! – Złapała go za rękaw koszuli. Z łatwością mógłby ją odtrącić, ale nie zrobił tego. – Nie jesteś kimś takim. Znam cię zbyt dobrze.

– Przestań! Żyj swoim życiem, a mnie zostaw moje! Straciłem ją! Rozumiesz? Straciłem na zawsze! Wybrała Lucasa! To jego kocha! Dlaczego mam być jej wierny? Dlaczego mam się starać? Po co? Powiedz mi do cholery po co? Podaj chociaż jeden powód!

– Ponieważ ją kochasz...

– Kochasz! Tylko tyle? A czym jest ta miłość? No czym? Ty też mnie kochałaś, prawda? Wzdychałaś do mnie i marzyłaś, abyśmy byli razem. I co? Potrafiłaś zapomnieć,

zacząć nowe życie! Znalazłaś dla siebie nowy sens istnienia. Nie ma czegoś takiego jak miłość! To tylko puste słowa! One nic nie znaczą.

– Mylisz się... – zaprotestowała.

– Mylę się? – W jego oczach znowu pojawiły się złowrogie błyski. – Jeśli tak uważasz, to znaczy, że nadal mnie kochasz. No powiedz Honorio, kochasz mnie? – Przybliżył twarz do jej twarzy, tak iż poczuła jego oddech na swoim policzku.

– Zawsze cię kochałam i zawsze będę – przyznała.

– Tak? – zadrwił i nagle chwycił ją jedną ręką za ramię. – To może dołączysz do naszej trójeczki? Zobaczysz, jak wygląda ta miłość, o której marzyłaś, dla której zrezygnowałaś z życia. Masz ochotę? – Złapał za zapięcie jej bluzki i szarpnął, rozrywając materiał. – Chcesz się przekonać, jak wygląda miłość? – powtórzył.

Nie broniła się. Patrzyła tylko na niego ze smutkiem. Bezgłośnie modliła się do Boga o ratunek, ale nie dla siebie – dla niego.

Nagle jego wzrok spoczął na odsłoniętym, pomarszczonym dekolcie Honorii. Gwałtownie puścił jej ramię i cofnął się do tyłu. Zobaczył złoty łańcuszek z krzyżykiem, ten sam, który przed laty zdjął z szyi jej martwej matki. Zasłonił oczy dłońmi i wyminawszy Honorie wbiegł na schody.

– Na górę! – krzyknął na zaskoczone dziewczyny. – Jazda na górę!

Kroki na schodach ucichły i z góry doleciał dźwięk

zatrzaszkiwanych drzwi, a Honoria nadal stała w tym samym miejscu, przyciskając dłonią rozdarte poły sukienki. Z jej szeroko otwartych oczu spływały łzy.

– On się nigdy nie zmieni. – Angelina podeszła do niej. Nie lubiła tej kobiety, ale czuła to co ona. W pewien sposób zostały potraktowane identycznie.

– Roderick nie jest taki. – Honoria spojrzała na dziewczynę. – Nie osądzaj go zbyt pochopnie. To zagubiona dusza.

– Dziwna jesteś. – Panna Stewart wzruszyła ramionami. – Naprawdę nie dostrzegasz jego prawdziwego oblicza?

– Ależ kochanie, ja je właśnie bardzo wyraźnie widzę. To jak się zachowuje, to tylko przykrywka. On cierpi...

– Ciekawe – prychnęła. – No dobra, to współczuj mu dalej i wierz w te swoje brednie. Ja jadę do szkoły odebrać dyplom i zobaczyć oblicze kogoś, kogo mam serdecznie dość. Barbara...

– Barbara? – Drgnęła słysząc to imię.

– Tak. Nasza świętoszkowata, cudna wybranka Lucasa. – Angelina pogardliwie wydeła usta.

– Ona też tam będzie? – upewniła się Honoria.

– Jasne! Przecież kończy szkołę, tak jak i ja.

– Czy możesz mnie zabrać ze sobą? – zapytała.

– Do szkoły? Chcesz zobaczyć wręczanie dyplomów? Ale dlaczego?

– Proszę, zabierz mnie do szkoły – poprosiła. – Przebiorę się tylko i możemy jechać.

– Dobra, ale pospiesz się – mruknęła niechętnie.

– Zaraz będę. – Honoria niczym nastolatka wbiegła po schodach na górę. Zasapała się trochę, gdyż w jej wieku, takie wyczyny były niewskazane, ale sytuacja wymagała pośpiechu. Przechodząc obok pokoju Rodericka, usłyszała śmiechy dobiegające zza zamkniętych drzwi. Nie mogła jednak zapobiec temu, co się tam odbywało. Tylko jedna osoba, była w stanie powstrzymać Rodericka przed kolejnym pogrążeniem się w otchłani. Tylko Barbara. Honoria wiedziała już, co musi zrobić.

ZEMSTA LADY KATHERINE

Pani Lee stała przy ostatnim rzędzie krzeseł, ustawionych na szkolnym trawniku, i skinieniem głowy witała kolejnych uczniów oraz ich rodziców, którzy przybyli na rozdanie dyplomów. Wyraźnie wypatrywała kogoś wśród gości. Gdy wreszcie dostrzegła znajomą sylwetkę, mentalnie ruszyła do przodu, torując sobie drogę wśród zgromadzonych ludzi.

– Panie Westmoore! – Zamachała ręką do Lucasa.

Spojrzał w jej stronę i podszedł do niej.

– A gdzie pańska narzeczona? – Rozejrzała się dookoła. – Nie zjawi się po dyplom?

– Przyjedzie z moją siostrą – odparł uprzejmym, ale chłodnym tonem głosu.

– Ach tak. – Nerwowo poprawiła okulary, zsuwające się na czubek nosa. – Oczywiście słyszał już pan, że od nowego roku to ja zostaję dyrektorką szkoły?

– Moje gratulacje. – Uśmiechnął się. – Uważam, że w pełni pani na to zasłużyła. Ta szkoła potrzebuje właśnie takiego dyrektora. Nie oszukujmy się, ale pan Watson nie był zbyt dobrym zarządcą.

– Postaram się godnie wypełniać powierzone mi obowiązki i właśnie dlatego chciałam z panem porozmawiać.

– Ze mną? Ale ja już tu nie pracuję. Nie wydaje mi się, żebym mógł być w czymś pomocny, ale jeśli pani tak uważa... – W tym momencie zobaczył jej myśli.

– Chciałam prosić, aby rozważył pan możliwość po-

wrotu. Na szczęście sprawa tego nieszczęsnego romansu została zatuszowana przez dyrektora i nie poniósł pan konsekwencji prawnych... Barbara kończy szkołę i będzie mógł pan związać się z nią oficjalnie. Młódzież pana lubiła, miał pan z nią dobry kontakt i co najważniejsze wyniki testów potwierdziły, że w okresie, gdy był pan u nas nauczycielem historii, znacznie wzrosła wiedza uczniów dotycząca tego przedmiotu.

– Bardzo mnie to cieszy, ale nie sądzę...

– Zależy mi, aby pan to rozważył. Proszę nie podejmować decyzji zbyt pochopnie. To co się zdarzyło, nie powinno mieć wprawdzie miejsca, ale w końcu nie możemy odpowiadać za swoje uczucia.

– Obiecuję, że się zastanowię, ale chwilowo nie mam do tego głowy. – Dostrzegł Caroline zmierzającą w stronę podwyższenia dla kadry i mówców. – Sama pani rozumie, jutro biorę ślub.

– Tak, tak. – Przytaknęła głową. – I gratuluję narodzin córeczki. W każdym razie proszę zastanowić się nad moją propozycją.

– Daję pani na to moje słowo. – Skinął jej głową i skierował się w stronę siostry. Doszedł do niej, zanim ta zdążyła wejść na podwyższenie, niemalże zatrzymał ją tuż przed postawieniem nogi na pierwszym stopniu.

– Gdzie Barbara? – zapytał.

– Spokojnie – uśmiechnęła się do niego. – Jest z Adamem. Zapomniała biretu z samochodu i wrócili na parking. A jak ja podobam się ci w tym uroczym stroju? –

Rozłożyła ręce prezentując długi, obszerny, granatowy płaszcz z błękitnymi obszyciami i zabawnie przekrzywiła głowę, tak iż niebieski chwościk opadł jej na twarz.

– Jak zawsze bosko. – Rozejrzał się w poszukiwaniu Barbary.

– Nie martw się. – Caroline położyła mu dłoń na ramieniu. – Idź, usiądź na miejscu. Barbara jest pod opieką swego brata. Naprawdę tu nic jej nie grozi.

Poszedł do pierwszego rzędu, gdzie siedziała już ciotka Alena, obok której stał wózek ze śpiącą Hope.

– Siadaj. – Kobieta klepnęła w siedzenie wolnego krzesła. – Zaraz się zaczniesz.

– Ale nie ma Barbary. – Nadal szukał jej wzrokiem.

– Wreszcie przestań być przewrażliwiony na jej punkcie. Zaraz przyjdzie. Przecież i tak nie będzie siedzieć z nami, tylko ze swoją klasą. – Uspokoila go i pociągnęła za rękaw, zmuszając, aby zajął miejsce. Posłusznie usiadł, ale mimo to nadal oglądał się do tyłu, wypatrując swojej narzeczonej. Nie opuszczało go dziwne przeczucie, że zdarzy się coś strasznego.

* * *

– No jak? Znalazłaś? – Adam podszedł do samochodu i uchylił tylne drzwiczki. Zajrzał do środka. Barbara siedziała skulona na fotelu i najwyraźniej nie miała zamiaru wyjść. – Co się dzieje? – zapytał z troską. – Źle się czujesz.

Przecząco pokręciła głową, ale nadal nie ruszyła się z miejsca.

– Nie chcesz odebrać dyplomu? – Ukucnął koło

drzwiczek. – O co chodzi Barbaro? Jestem twoim bratem, możesz mi się zwierzyć.

Chciała, naprawdę chciała wszystko mu wyznać, ale nie potrafiła. Nie rozumiałaby jej obaw i uczuć. Westchnęła tylko i ukryła twarz w dłoniach.

– Chodzi ci o jutrzejszy ślub? – zaczął zgadywać. – Ogarnęła cię panika przedślubna? Ale przecież dzisiaj odbierasz tylko dyplom.

– Co się tak modlisz? – Angelina ubrana w togę i biret zatrzymała się tuż przy nim, i zerknęła do wnętrza samochodu. – O kogo my tu mamy – zadrwiła.

– Dałabyś już spokój. – Adam wyprostował się i z góry spojrzał na niższą od siebie dziewczynę. – Lepiej pędź na uroczystość, bo zaraz się zaczniesz.

– A twoja siostra? – zapytała, wskazując na nią głową. – Odbiło jej czy coś?

– Proszę, idź – ponaglił zniecierpliwiony.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami, po czym zwróciła się do stojącej w pobliżu kobiety w brązowej, plisowanej spódnicy i białej bluzce z żabotem. – To jest właśnie nasze słodkie dziewczę – Barbara.

Barbara. Honoria drgnęła na dźwięk tego imienia.

– No to chodźmy. – Angelina odwróciła się w stronę szkoły i niespiesznym krokiem ruszyła przed siebie, zatrzymała się jednak i zerknęła na Honorę. – Nie idziesz? – zapytała.

– Zaraz. Chyba muszę chwilę odpocząć...

– Rób, co chcesz, tylko później czekaj na mnie przy

samochodzie, bo nie mam zamiaru cię szukać! – Odrzuciła włosy do tyłu i już więcej nie przejmując się ani Honorią, ani Barbarą, poszła na uroczystość.

Honorია tymczasem zbliżyła się do Adama.

– Przepraszam młody człowieku – odezwała się, jednocześnie delikatnie dotykając jego ramienia. – My się nie znamy, a Angelina nie zdażyła nas sobie przedstawić. Jestem Honoria Sacchetti i przyjechałam tu wczoraj razem z Roderickiem Robillardem. Jestem jego dobrą znajomą, właściwie członkiem rodziny.

– Adam Bennett. – Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

Barbara usłyszała wymawiane przez Honorię imię i natychmiast wysiadła z samochodu. Biret trzymała w dłoni, a jej kasztanowe włosy luźno opadały na ramiona i plecy. Intensywnie błękitne oczy, przesłonięte firanką czarnych rzęs, patrzyły na Honorię z zaciekawieniem i nadzieją.

– Witaj drogie dziecko. – Honoria uśmiechnęła się do Barbary. – Wiele o tobie słyszałam. Wydajesz się młodszą, niż myślałam.

– Powiedziała pani, że przyjechała tu razem z Erickiem. Czy to znaczy, że on... – Nie zważała na swojego brata, który w zupełnym osłupieniu przyglądał się całej scenie. – Czy on wrócił?

– Tak kochanie. Dobrze myślisz. Erick wrócił... a ty zgadnij dlaczego. – Honoria obdarzyła dziewczynę zagadkowym uśmiechem, po czym odwróciła się i zamiast na uroczystość, ruszyła w stronę drogi. Była pewna, że Bar-

bara pójdzie za nią. Na pewno to zrobi, jeśli naprawdę kocha Rodericka.

Wrócił! Barbara miała wrażenie, że serce zaraz jej wyskoczy – biło jak opętane. Przyłożyła dłoń do lewej piersi, tak jakby chciała je uspokoić, uciszyć. Roderick wrócił. Wspominał o niej! O Boże, Boże!

– Barbaro, dyplom – przypomniał Adam, wymownie patrząc na ręczny zegarek. – Spóźnisz się na rozdanie.

– Ja... – Niepewnie spojrzała na brata, a następnie przeniosła wzrok na Honorię. Nie chciała iść na uroczystość, nie teraz, gdy dowiedziała się, że Roderick jest w Elizabeth Town.

– Musimy iść – ponaglił.

– Idź sam! – krzyknęła nagle.

– Co?

– Ja... Ja nie mogę iść z tobą! – Wepchnęła bilet w rękę oszołomionego Adama i unosząc do góry połę togi, pobiegła za Honorią.

– Barbaro! – krzyknął, ale udała, że nie słyszy.

– Zostaw ją. – Za swoimi plecami usłyszał spokojny głos Angeliny. Odwrócił się i zobaczył blondynkę, której powrotu nie zauważył. Chwyciła go za ramię, powstrzymując przed udaniem się w pogoń za siostrą.

– Żartujesz? – Strząsnął jej rękę. – O co w tym wszystkim chodzi? Kim do cholery jest ta kobieta? I czego chce od mojej siostry?

– Nie goń jej – powiedziała wolno, wpatrując się intensywnie w jego oczy i zupełnie ignorując zadane pytania.

– Zostaw ją, niech idzie, gdzie chce. A ty wróć na rozdanie dyplomów, tak jakby nic się nie stało. Nie będziesz pamiętał dzisiejszego spotkania ze mną, ani Honorią. Nie wiesz, gdzie poszła Barbara i nic cię to nie obchodzi.

Ledwie skończyła to mówić, poczuła dziwną błogość, coś jakby spokój wypełniający jej wnętrze. Ten spokój rozniósł się po całym ciele, docierając do najmniejszej komórki. Przez chwilę nie widziała nic, ale momentalnie do jej świadomości dotarło całe mnóstwo obrazów. Ten widok zaskoczył ją. Zobaczyła Caroline w momencie, gdy Adam zakładał jej pierścionek zaręczynowy na palec.

Otrząsnęła się, cofając o krok do tyłu. Z niedowierzaniem obserwowała Bennetta, który w jakiś dziwny sposób zastosował się do jej poleceń. Jakim cudem? Sama nie rozumiała tego, co stało się przed chwilą. Miała wrażenie, że to ktoś inny wypowiadał słowa jej głosem. Tak jak wtedy, gdy Elizabeth zawładnęła jej ciałem.

* * *

Lady Katherine prowadziła wypożyczonego Forda, zdając się nie dostrzegać obecności, siedzącego obok Bartolomea, który bez reszty zajęty był studiowaniem mapy okolicy. Katherine zaciskała dłonie na kierownicy, uważnie obserwując mijane miejsca i ludzi. Gdy wjechali do Elizabeth Town zwolniła, aby przypadkiem nie przeoczyć Rodericka lub Honorii.

Zauważyła, iż większość mieszkańców miasta udaje się w jednym kierunku, postanowiła więc sprawdzić, co się

tam dzieje. Słusznie rozumowała, że jeśli odbywa się tu jakaś ciekawa impreza, to najłatwiej będzie odnaleźć poszukiwanych, właśnie w takim miejscu. Nie pomyliła się. Ledwie skręciła w boczną drogę, która jak głosił napis, wiodła do Elizabeth Town High School, a dostrzegła idącą poboczem Honorię. Od razu ją rozpoznała, nie chciała jednak ujawniać swojej obecności. Przejechała jeszcze kilka metrów i zaparkowała samochód pod lasem.

Bartolomeo spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Dlaczego się zatrzymujemy? – zapytał.

Uciszyła go ruchem ręki, po czym wysiadła z samochodu i kryjąc się pomiędzy drzewami, podążyła za Honorią. Skradając się zobaczyła, że za panią Sacchetti biegnie jakaś dziewczyna, ubraną w długi, granatowy płaszcz absolwenta.

Lady Ramsey była demonem. Nie miała przed sobą wieczności w ludzkim ciele, ale miała przeróżne zdolności, a jedną z nich był doskonały słuch. Postanowiła posłuchać rozmowy kobiet, upatrując w tym kolejnej okazji do odkrycia sekretów skrywanych przez Robillarda.

– Proszę pani! – Barbara dogoniła Honorię. – Proszę poczekać.

– Tak moje dziecko? – Staruszka przystanąła i odwróciła się do niej. – W czym mogę ci pomóc?

– Powiedziała pani, że Erick wrócił... Czy on... czy on wrócił tu w jakimś konkretnym celu? – zapytała z drżeniem w głosie.

– Tak. – Honoria uśmiechnęła się. – Myślę, że ty wiesz

w jakim.

– Ja wiem?

– Moje dziecko, a dlaczego byś mnie goniła?

– Ale on... – Aby pokryć zażenowanie, bawiła się zapięciem togi. Obracała w palcach jeden guziczek.

– Wy młodzi ludzie jesteście tacy dziwni. – Honoria westchnęła i objęła dziewczynę ramieniem. – Tak bardzo szukacie miłości, czekacie na nią, a gdy jest tuż obok was, udajecie, że jej nie dostrzegacie.

– Miłości... – powtórzyła.

– Powiedz mi kochanie – Honoria przemawiała spokojnym, kojącym tonem głosu, jakim zazwyczaj zwracała się do nieszczęśników szukających wsparcia w jej zakonie – co do niego czujesz?

Barbara nie wiedziała, co odpowiedzieć. Bezradnie wpatrywała się w swoje dłonie, które nadal nie przestawały bawić się guziczkiem.

– To proste pytanie. Kochasz go?

– Tak, ale on nie kocha mnie – wydusiła z siebie, czując przy tym ogromny wstyd. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

– Co też opowiadasz? – Honoria roześmiała się pogodnie. Na taką odpowiedź liczyła. Roderick będzie miał swoją nagrodę. – On ciebie nie kocha? Moja droga, jesteś dla niego całym światem! Nie zrozumiałaś tego na Alasce? Naprawdę jesteś tak mało domyślna?

– Kocha mnie? – powtórzyła z niedowierzaniem. – A te wszystkie kobiety?

– Tylko ty jedna liczysz się w jego życiu. Tylko ty. Tamte kobiety miały jedynie zatrzeć twój obraz. Miały sprawić, że zapomni o tobie. Ale nie były w stanie mu pomóc. On nie potrafi bez ciebie żyć. Jesteś dla niego wszystkim. Każdy kolejny dzień bez ciebie, to dla niego bezgraniczne cierpienie. Chciał wyrzucić cię ze swego serca, bo myślał, że wybrałaś Lucasa. Dlaczego nie porozmawiałaś z nim? O miłości trzeba mówić, nie wystarczy tylko się z kimś przespać. Dlaczego nigdy nie powiedziałaś mu, co czujesz?

– On też mi nigdy tego nie powiedział – zauważyła.

– Tak, ale gdy cię poznał, byłaś już dziewczyną innego. Czy myślisz, że ryzykowałby dla ciebie, jeśli nic by do ciebie nie czuł? Opiekował się tobą przez te wszystkie miesiące na Alasce. A później uciekł, nie mogąc patrzeć jak wtulasz się w ramiona innego. Wróciliśmy, bo wytłumaczyłam mu, że powinien zawalczyć o uczucie, ale gdy tylko się tu zjawiliśmy, dowiedzieliśmy się, że wychodzisz za mąż. To był dla niego ostateczny cios. Uwierz mi, to wspaniałe mężczyzna, któremu zawdzięczam życie, a teraz patrzę jak się unicestwia, jak zmierza do samozagłady. Nie chcę tego, ale nie jestem w stanie mu pomóc. Tylko ty i twoja miłość, możecie go uratować. Zastanów się dobrze Barbaro, bo to poważna decyzja. Kochasz go i chcesz z nim być? Chcesz go uratować, spróbujesz wybaczyć te wszystkie kobiety? Czy też wybierasz spokojną, stabilną przyszłość u boku mężczyzny, którego nie darzysz miłością? Pomyśl Barbaro, możesz unieszczęśliwić wiele osób,

w tym samą siebie. Wszystko zależy od decyzji, jaką podejmiesz. Masz w ogóle odwagę ją podjąć?

Czy miała odwagę? Bała się okropnie, panicznie się bała, ale pragnęła tego. Wiedziała, że przy Lucasie nie zazna takiej miłości, jak przy Rodericku. Cała jej dusza, całe ciało zdawały się krzyczeć, że chcą należeć do Rodericka. Mało tego! Podświadomie czuła, że już jest jego własnością. Dlatego tak bardzo przerażała ją myśl o ślubie z innym, dlatego nie mogła kochać się z Lucasem. Przez cały czas, gdzieś w zakamarkach świadomości, była pewna, że tylko Roderick nadaje sens jej życiu.

Poczuła, że odnalazła coś, co straciła. Straciła? Tak, to było najlepsze porównanie. Przez cały czas czuła się niekompletna, zagubiona, pozbawiona ważnej części samej siebie, teraz zrozumiała dlaczego. Ogarnął ją błogi spokój i radość. Roderick ją kocha, wrócił tu! Jest niedaleko! Wreszcie wyznają sobie prawdę!

Uniosła dłoń do góry i rozpięła guziczki togi pod szyją. Szarpnęła za rzemyk, na którym powieszony miała talizman Billa. Ozdoba wysunęła się z jej palców i upadła w trawę wprost pod stopy. Wreszcie pozbyła się tej bariery, która ją odgradzała od Rodericka.

– Gdzie on jest? – zapytała, podejmując decyzję.

– W rezydencji. – Honoria złapała ją za rękę. – Ale nie jest sam. Bardzo cierpiał, gdy dowiedział się o twoim ślubie...

– Pojedziemy tam! – Barbara zawróciła w stronę szkoły, zaś Honoria poszła za nią, nie chcąc jej teraz zo-

stawiać samej. Razem podążyły na parking, gdzie pozostał samochód Adama.

Katherine usłyszała wszystko, co chciała. Uśmiech pełen triumfu wykwitł na jej wargach. Również zawróciła do samochodu i zajmwszy miejsce za kierownicą, wykręciła auto do tyłu.

– I czego się dowiedziałaś? – Bartolomeo nadal przeglądał mapy.

– Bardzo ważnych rzeczy. Nasz drogi Roderick wkrótce zrozumie, co znaczy narazić się lady Ramsey!

* * *

Barbara dziękowała Bogu, gdy zobaczyła, że Adam nie zamknął samochodu, a co więcej zostawił kluczki w stacyjce. Wprawdzie nie miała jeszcze prawa jazdy, ale uczęszczała na kurs i zaliczyła już kilka jazd, postanowiła więc złamać prawo. W końcu okoliczności to usprawiedliwiały.

Uruchomiła silnik i wyjechała z parkingu. Siedząca obok niej Honoria, zgodnie z przepisami zapięła pasy, ale Barbara była zbyt rozemocjonowana, aby pamiętać o takiej drobnostce. Wszystkie jej myśli pochłaniał teraz Roderick. Kochał ją! Naprawdę ją kochał! Te chwile, gdy tak bardzo się bała, gdy tak mocno za nim tęskniła, wydawały się teraz mało istotne. Najważniejsze, że on wrócił, że pragnął z nią być.

Droga była pusta, nie musiała więc ograniczać szybkości, tym bardziej, że wyjechali już z terenu zabudowanego i teraz mieli do przebycia kilka kilometrów prostą

szosą, porośniętą po obu stronach lasem.

– Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć – odezwała się Honoria. – To bardzo ważne.

– O czym? – Przelotnie zerknęła na swoją towarzyszkę. Ciekawa była skąd Roderick ją zna, ale miała nadzieję, że wkrótce się tego dowie. Będą mieć dla siebie tyle czasu. A Lucas? Dopiero teraz przypomniała sobie o swoim narzeczonym. Na pewno zrani go jej decyzja, ale przecież nie może podjąć innej. Nie może się unieszczęśliwiać! Nie może ciągle kłamać!

Zachowała się podle. Skrzywdziła Westmoora, który przecież okazał jej tyle serca. Naprawdę na początku była pewna, że go kocha, ale to nie była miłość. Po prostu czuła w nim pokrewną duszę. Podziwiała go, fascynował ją, podobał się. Myślała, że to miłość i tak było, tyle że była to miłość braterska. Dokładnie. Wreszcie zdała sobie z tego sprawę i zrozumiała, dlaczego miała takie opory przed całowaniem się z nim.

– Kochanie zwolnij – poprosiła Honoria. – Mamy czas. Najpierw posłuchaj tego, co jeszcze mam ci do powiedzenia.

Lekko spuściła nogę z hamulca, Honoria miała rację – te kilka chwil opóźnienia nic przecież nie zmieni. Będą mieć przed sobą całą wieczność.

Spojrzała we wsteczne lustro i zobaczyła doganiającego ich forda. Zjechała na bok, aby umożliwić mu wyminięcie ich. Obserwowała jak samochód się zbliża, jak zrównuje z nimi. Przez okno dostrzegła mężczyznę

i kobietę siedzących z przodu. Kobieta zwróciła twarz w jej stronę i uśmiechnęła się. Odpowiedziała uśmiechem.

Ford wyminął ich i z dużą szybkością odjechał na sporą odległość.

– O czym chciałaś mi jeszcze powiedzieć? – zapytała, odwracając się do Honorii.

– Roderick bardzo cię kocha. Połączyło was uczucie silniejsze niż śmierć... Nie pamiętasz tego, ale... Ty jesteś jego zmarłą żoną! To w tobie, odrodziła się dusza Elizabeth!

– Co? – Tętno jej przyspieszyło, a głośnie bicie serca zagłuszyło inne odgłosy. Czuła pulsowanie krwi w głowie. Ona jest Elizabeth? I nagle przyszło olśnienie – te wszystkie obrazy, dziwne sny, nabrały wreszcie sensu. To były wspomnienia poprzedniego życia. Niemożliwe? A jednak!

Przez chwilę nie koncentrowała się na drodze. Myślała tylko o tym, co powiedziała jej Honoria. Docisnęła pedał gazu, przybliżając się do forda.

– Nie tak szybko – poprosiła ponownie Honoria, ale jej nie posłuchała. Jest Elizabeth! Jest jego żoną w wieczności! To dlatego czuła to wszystko! Tak musiało być!

Nagle jadący przed nimi ford gwałtownie zahamował. Zatrzymał się w miejscu.

– Uważaj! – krzyk Honorii otrzeźwił Barbarę. Puściła nogę z gazu, a docisnęła hamulec. Niestety była zbyt blisko szarego auta, a dodatkowo jechała ze zbyt dużą szybkością. Odruchowo skręciła kierownicą, pragnąc wyminąć prze-

szkodę. Koła samochodu zatańczyły na asfalcie, znacząc drogę hamowania. Barbara straciła orientację, świat zawirował jej przed oczami. Drzewa, szosa, szary ford. Auto z całym impetem wbiło się w pień przydrożnego drzewa, gruchocząc maskę z przodu, od strony kierowcy.

Szary ford, bezpośrednia przyczyna wypadku, nadal stał na drodze, nawet nie draśnięty. Lady Ramsey z uśmiechem pełnym triumfu patrzyła na wrak Lincolna, spod maski którego, wydobywały się kłęby dymu.

– Co ty zrobiłaś? – Bartolomeo wreszcie odłożył mapę. W jego oczach nie widać było przerażenia, tylko ciekawość. Wyglądał wręcz na zafascynowanego.

– Tak właśnie załatwia się sprawy po mojemu – odpowiedziała spokojnie, jakby nic się nie stało. – Roderick mi odmówił, a ja nie przyjmuję odmowy. Może to go czegoś nauczy.

– Lepiej być twoim przyjacielem, niż wrogiem.

– Masz rację Bartolomeo, w końcu nie od dziś mi pomagasz. Ja potrafię odwdzięczyć się za pomoc. Za to ci, którzy mi się narażają...

– Tak... – Uśmiechnął się, patrząc na dymiący wrak. – To co? Zobaczymy, co z nich zostało?

– Liczymy się my, nie oni! Nie mam ochoty oglądać ścierwa! – przerwała categorycznym tonem, nie mając zamiaru dalej słuchać jego słów. Zresztą zdanie Bartolomea w ogóle jej ni interesowało. Przekręciła kluczyk w stacyjce, uruchamiając silnik. Odjechali z miejsca, zostawiając dymiący, rozbity samochód i znajdujące się

w nim ofiary.

Z przodu, z głową wciśniętą w poduszkę powietrzną, siedziała nieprzytomna Honoria. Miejsce kierowcy było puste. Na odłamkach wybitej szyby i na pogiętej karoserii lincolna widoczny był krwawy ślad. Kłęby dymu coraz mocniej spowijały samochód.

* * *

Na skraju lasu, tuż przy wraku, stała dziewczyna w błękitnej sukni balowej i patrzyła na leżące nieopodal ciało.

– Obiecałeś Billu, że mi pomożesz. Obiecałeś, że zwrócisz mi moje życie. To nie tak miało być...

– I dotrzymuję słowa. – Mężczyzna ubrany w białą, długą do kolan koszulę i w również białe, lniane spodnie, objął ją ramieniem, delikatnie odciągając od miejsca wypadku. – Jak myślisz, kto wstąpił w Angelinę, aby zatrzymać Adama?

– To byłeś ty? – Uniosła na niego zalane łzami oczy.

– Nic nie dzieje się bez przyczyny. Ludzkie losy nie są przypadkowe. Dzisiejszy dzień musiał się zdarzyć. To nie koniec, lecz dopiero początek. Dla ciebie opuściłem Wieczną Krainę, dla ciebie sprzeciwiłem się boskim prawom. Będziesz mieć życie, o którym tak marzyłaś.

* * *

Lucas niespokojnie rozglądał się w poszukiwaniu Barbary. Odetchnął widząc nadchodzącego Adama, jednak zaraz zaniepokoił się ponownie, gdyż Bennett szedł sam, bez Barbary, a dodatkowo zachowywał się tak, jakby

obudził się z pijackiego snu i za bardzo nie wiedział, gdzie się znajduje. Przepychał się między rzędami krzeseł, potrącając kolejnych ludzi, nie mogąc trafić na zarezerwowane dla siebie krzesło.

– Adam! – Lucas podniósł się i pomachał do chłopaka.
– Tutaj!

Bennett wreszcie dotarł do niego i z wyraźną ulgą zajął miejsce obok.

– Gdzie Barbara? – zapytał szeptem Westmoore. – Była z tobą?

– Barbara? – Zdziwienie było doskonale widoczne na twarzy mężczyzny. – A tak Barbara... Była i... – umilkł, próbując przypomnieć sobie, co mogło stać się z siostrą.

Lucas zagłębił się w umyśle Adama, ale nawet tam nie znalazł odpowiedzi na swoje pytanie. Miał wrażenie jakby ktoś wyczyścił chłopakowi ostatnie wspomnienia. Ale kto? Caroline siedziała na podwyższeniu, Angelina nie miała zdolności, a żaden inny wampir na pewno nie pojawił się w okolicy. Przecież wyczułby każdy obcy zapach. Na pewno w pobliżu nie było żadnego nowego wampira.

Wstał z krzesła, i mimo iż właśnie na mównicę wszedł dyrektor, nie zwracał uwagi na słowa przemowy. Wszyscy ucichli, wsłuchując się w to, co mówił pan Watson, tylko Lucas był zajęty innymi sprawami. Barbara zniknęła. Czyżby powtórzyła się historia z grudnia? Wtedy też porwali ją z terenu szkoły.

– Szanowni państwo. Dzisiejszy dzień jest szczególny dla tych młodych ludzi, którzy kończą swoją edukację

w Elizabeth Town High School i rozpoczynają dorosłe życie. Jakie ono będzie? To wszystko zależy od nich samych. Państwo przekazaliście im wartości moralne, my staraliśmy się przekazać wiedzę, to jednak oni sami podejmą decyzję, co z tym zrobią. Dorosłość to termin, który nie ma ściśle określonych ram czasowych. Kiedy stajemy się dorośli? Czy wtedy, kiedy kończymy szkołę? Czy wtedy, kiedy zakładamy własną rodzinę? A może wtedy, gdy podejmujemy pracę i jesteśmy samowystarczalni? Ja śmiem twierdzić, że dorosłość to zdolność do podejmowania ważnych decyzji. Każdy z tych młodych ludzi może decydować o swoim losie. Niektórzy rozpoczną studia, niektórzy wybiorą pracę. Każde z nich pójdzie swoją własną ścieżką – drogą, która nie będzie łatwa. To nie autostrada, gdzie pędzi się z ogromną prędkością, zachłystując życiem. Życie to boczna, wyboista droga, na której czeka wiele niespodzianek, wiele wyborów. Mam nadzieję, że to czego się dowiedzieliście, co wam wpoiliśmy, pozwoli wam, podejmować same słuszne decyzje. Ale nawet jeśli pobłądzicie, jeśli zboczycie z kursu, to pamiętajcie, że nie jesteście sami i zawsze możecie prosić o pomoc. To nic złego, poprosić kogoś o wsparcie...

Również Caroline zauważyła nadejście Adama, który o dziwo zjawił się sam, bez Barbary. Dostrzegła zdenerwowanie Lucasa i w pełni je podzielała. Jakaś dziwna niepewność, obawa, wkradła się do jej duszy. Trzymała w dłoniach dwie kartki, zapisane tekstem przemowy, przygotowanej na zakończenie szkoły, ale nie potrafiła się

na niej skupić. Nie słyszała wystąpienia dyrektora, cały czas śledziła wzrokiem Lucasa, który wstał i poszedł na parking. Po minucie wrócił i z oddali wysłał jej przekaz myślowy.

– „Nie ma Barbary, ani samochodu Adama.”

– „Co się stało?” – zapytała również w myślach, machinalnie bijąc brawo na zakończenie przemówienia dyrektora.

– „Nie wiem, ale Adam zachowuje się dziwnie, jakby był pod wpływem uroku.”

– „Jakiś wampir? Nie wyczuwam żadnego.”

– „Ja też nie, ale nie znajduję innego wytłumaczenia.”

– Caroline. – Flo szturchnęła dziewczynę w ramię. – Twoja kolej.

Wstała z krzesła i podeszła do mównicy. Położyła na blacie obie kartki papieru. Spojrzała na Lucasa, przeniosła wzrok na Adama, a na końcu odszukała Angelinę. Zaintrygował ją wyraz twarzy blondynki. Miała wrażenie, że panna Stewart jest dziwnie spokojna, jakby uduchowiona.

Korzystając ze swojej mocy wtargnęła do umysłu koleżanki. O Boże, Roderick!

– Ty przeczytaj – poprosiła, wciskając jej przemówienie do rąk.

– Ja? – Flo wyglądała na całkowicie zaskoczoną.

– Tak! – Caroline zbiegła na dół i nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia, pobiegła na parking. – Roderick wrócił! – krzyknęła do Lucasa, który zjawił się tuż koło niej.

– Cholera! Wiedziałem, że ten drań jeszcze namiesza!
– zaklął, otwierając drzwiczki swojego samochodu i wsiadając za kierownicę. Caroline pospiesznie zajęła miejsce obok. – Alaska... Tam pomiędzy nimi musiało wydarzyć się coś ważnego. Byli tyle czasu sami... Jeśli on... Jeśli on mi ją odbierze...

– Nie pozwolimy na to – zapewniła, chociaż w głębi serca poczuła strach. Jutrzejszy ślub, szczęście Lucasa – wszystko teraz wydawało się takie odległe. Czy Westmore potrafiłby normalnie żyć, gdyby stracił miłość swego życia? Nie! Za żadne skarby świata nie mogła dopuścić do tego, aby Barbara związała się z Roderickiem. Nic teraz nie wydawało się tak ważne, jak powstrzymanie Bennetówny przed spotkaniem z Robillardem. – Barbra kocha tylko ciebie i żadna Alaska tego nie zmieni. Ona to zrozumie... Myślę, że to tylko chwilowe zauroczenie i strach przed ślubem. Ponoć kobiety tak mają...

– Oby, bo daję słowo, zabiję drania, nawet jeśli sam musiałbym to przypłacić życiem. Nie oddam mu Barbary! Nigdy! Rozumiesz Caroline? Nigdy!

Samochód z piskiem opon ruszył z miejsca.

* * *

Lucas od razu zauważył dymiący wrak samochodu, wbity w przydrożny pień. Jeszcze miał nadzieję, że to nie jest pojazd Adama, ale wkrótce ją stracił. Caroline pierwsza wysiadła na szosę i podbiegła do tego, co jeszcze chwilę temu było lincolnem. Wewnątrz wraku dostrzegła zakrwawioną, starszą kobietę, przypiętą pasami do fotela.

Z łatwością wyrwała drzwiczki i odpiąwszy pas, uwolniła nieszczęsną. Przeniosła ją na pobocze, z dala od dymiącego niebezpiecznie pojazdu.

Lucas sprawdził z drugiej strony, jednak za kierownicą nikt nie siedział. Krwawa smuga na pogiętej, przedniej części karoserii była niczym drogowskaz. Podążając za nią wzrokiem, odkrył leżącą pomiędzy drzewami, na pokrytej odłamkami szkła ziemi, drobną postać, spowitą w granatową togę absolwenta Elizabeth Town High School. Serce przestało mu bić. Nie chciał widzieć kto to, chociaż znał prawdę. Łudził się, wmawiał sobie, że to jakaś inna dziewczyna. Dopóki nie zobaczy jej twarzy, będzie żył nadzieją. Może lepiej nie sprawdzać?

Stał przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w to spowiewierane ciało, które niczym drewniany pajacyk, leżało zgięte w nienaturalnej pozie. W ciszy panującej dookoła odbierał słabe uderzenia serca ofiary. Żyła! Błyskawicznie znalazł się przy niej i odwrócił twarzą do siebie. Barbara! Z ran na twarzy i rękach sączyła się krew, która wypływała również z ust i nosa dziewczyny. Ukląkł koło niej i ostrożnie uniósł, biorąc na ręce. Niczym bezcenny skarb wyniósł z pomiędzy drzew i odszedłszy na bezpieczną odległość, usiadł na poboczu, nieopodal Caroline i Honorii. Cały czas trzymał w ramionach Barbarę i gładził jej splecione, ubrudzone krwią włosy. Odkrył głęboką ranę za jej prawym uchem.

Caroline widziała myśli Lucasa, czuła to co on. Ogarnięty straszną rozpaczą, nie przejmował się czymś tak

banalnym jak osłona. Wszystkie jego odczucia były bardzo wyraźne.

Spod maski samochodu oprócz dymu zaczęły wylać się płomienie i po chwili pojazd eksplodował. Caroline odruchowo przysłoniła sobie oczy dłonią.

– Co się stało? – Huk wybuchu ocucił nieprzytomną Honorię. Z trudem otworzyła powieki i spojrzała na Caroline.

– Nic pani nie będzie. Na szczęście była pani przypięta pasami. – Blondynka pochyliła się nad nią i dokładnie obejrzała obrażenia kobiety.

– A Barbara? – Honoria spróbowała usiąść, ale Caroline ją przed tym powstrzymała. Skorzystała ze swych mocy, dostając się do umysłu kobiety i narzucając jej swoją wolę. Jednak to, co zobaczyła w myślach Honorii, zupełnie ją zaskoczyło. Przez chwilę badała wspomnienia kobiety i poznawała sekret Rodericka. Odwróciła się w stronę Lucasa, tulącego Barbarę. On nie może się o tym dowiedzieć! O Boże, to nie może być prawda! I co teraz?

Ponownie spojrzała prosto w oczy Honorii.

– Co z Barbarą – ponowiła pytanie kobieta. Caroline westchnęła. Nie chciała tego robić, ale musiała. Zbyt wiele osób by ucierpiało. Cóż znaczy cierpienie jednego Rodericka w porównaniu z tak ogromną tragedią? Znowu musi interweniować, znowu musi wpłynąć na życie innych ludzi. Ale tak trzeba! To konieczność! Kiedyś mówiła Roderickowi, że nie wolno bawić się w Boga, a oto sama ponownie uda stwórcę. Jednak wcale nie jest taka inna, niż

jej ojciec!

Caroline wciągnęła głęboko powietrze do płuc. Jej spojrzenie stało się bardziej intensywne, skupiła w sobie całą moc. Wzrok Honorii zaszedł mgłą. Wszystkie wspomnienia związane z Roderickiem i Barbarą zaczęły rozplýwać się, zanikać. Po chwili nie pamiętała już niczego. Zapadła w sen.

Panna Westmoore zostawiła ranną i podeszła do Lucasa. Przykucnęła koło niego. Ciągłe gładził włosy Barbary. Jego twarz była tak bardzo ściągnięta bólem, wydawała się wręcz wykuta w marmurze. Żaden mięsień nie drgnął na jego policzku. Nie płakał, nie miał na to siły. Wydawało się mu, że wyczerpał już limit żalu. Ile jeszcze ma przejść?

– Lucasie. – Delikatnie dotknęła ramienia brata. Jej wzrok spoczął na poranionej twarzy Bennettówny. Znała prawdę i mogła ją teraz wyznać, ale nie chciała. Nie mogła skazać Lucasa na takie cierpienie. On kochał Barbarę i gdyby ją stracił... Już raz była świadkiem takiej straty. Cierpienia Rodericka były wręcz nie do opisania. Sama go na nie skazała, ale teraz nie skarze już nikogo więcej. Robillard stracił swoją szansę, Lucas jednak ma prawo do szczęścia. Ona, Caroline, mu to szczęście zapewni, nawet kosztem kolejnego kłamstwa! To przecież kłamstwo w dobrej wierze! Całkowicie usprawiedliwione! Honoria zapomniała i nigdy już sobie nie przypomni. Nie zaszkodzi Lucasowi. Tylko Roderick zna prawdę... Trzeba będzie się tym zająć, uciszyć go. Nie będzie to proste, ale czegoż się

nie robi w imię wyższej idei? Najważniejsze jednak, aby Barbara przeżyła, a sądząc po odgłosie wydawanym przez jej serce, śmierć jest coraz bliżej. Caroline nie miała żadnych złudzeń – nikt na świecie nie mógł pomóc Barbarze. Nikt, oprócz nich. – Teraz nie pora na żal. Ona umiera – starała się mówić wolno, bardzo wyraźnie. – Wiem, co czujesz Lucasie, ale nie mamy czasu... Możesz ją ocalić.

– Myślałem o tym wielokrotnie. – Przytulił do siebie Barbarę. – Zastanawiałem się nad naszą przyszłością, nigdy jednak nie myślałem, że to ja będę musiał podjąć za nią tę decyzję.

– Kochany, nie mamy czasu na takie rozważania – powtórzyła. – Chcesz pozwolić jej odejść, tak jak zrobił Roderick? Chcesz cierpieć przez resztę wieczności, szukając jej kolejnych wcieleń? To nie jest takie proste... Możecie być razem, ale musisz zdecydować się szybko...

– Nie potrafię bez niej żyć. Ona jest dla mnie wszystkim. Nie wiem, czy nie znienawidzi mnie po tym, co jej zrobię, ale gdyby umarła... Może jestem egoistą, ale muszę ją zatrzymać.

– Nie jesteś egoistą. Kochasz ją i ja to rozumiem. Zrób to Lucasie. Zatrzymaj ją. Nie skazuj się na wieczne cierpienia.

Pocałował czoło dziewczyny, po czym podniósł rękę i wgryzł się w przegub swojej dłoni. Wyszarpnął spory kawałek mięsa, aby krew płynęła obficie. Odchylił głowę Barbary i delikatnie otworzywszy jej wargi, przyłożył ranę do jej ust.

* * *

Roderick ocknął się z drzemki, mając dziwne uczucie. Nie potrafił go sprecyzować, ale jakiś ciężki kamień przygniatał mu serce, powodując prawdziwie fizyczny ból. Przecież wampiry nie czują bólu!

Spojrzał na leżące obok dwie nagie dziewczyny i przypomniał sobie ostatnie wydarzenia. Ze wstrętem odsunął się od śpiących pańienek, dostrzegając przy okazji ślady ugryzienia na ich szyjach. Znowu to zrobił. Zatracił się w szaleństwie. To był ostry, dziki seks, bardziej zwierzęcy niż ludzki.

Wstał i założył na siebie spodnie. Ominął lustro, aby nie patrzeć na swoje odbicie. Nie chciał na siebie patrzeć. Stracił wszystko, nawet godność.

I wtedy ją zobaczył. Barbara. Stała na tle okna, a jej postać była ulotna, niczym utkana z mgły. Błękitne oczy dziewczyny, jak zwykle zasnutę były smutkiem, ale teraz ten smutek był wyraźniejszy, bardziej głęboki.

– Barbaro – szepnął, zatrzymując się przed nią, a ona wyciągnęła do niego obie ręce. – Przepraszam... Pozwoliłem ci odejść, nie potrafiłem odnaleźć, a gdy wreszcie odkryłem, gdzie się skryłaś, nie miałem wystarczająco siły, aby walczyć o ciebie. Oto co mi zostało. – Wskazał głową na łóżko, na którym leżały nagie dziewczyny.

Barbara dotknęła dłońmi jego policzków. Poczuł ten dotyk, który przypominał muśnięcie wiatru. Jej twarz przybliżyła się do jego. Miał wrażenie, że zaraz go pocałuje, ale nic takiego się nie stało. Nagle po prostu postać

Barbary zniknęła. Kolejne zwidy chorego umysłu.

* * *

Pogotowie zabrało Honorię do szpitala w Springfield, zaś policja zajęła się oględzinami miejsca zdarzenia. Caroline, która zgłosiła wypadek, została, aby złożyć zeznania jako świadek, ale wykorzystując swoją moc, sprawiła, że nikt nie zadawał zbędnych pytań i nikt nie dociekał dlaczego ślady pasów na ciele Honorii nie odpowiadają śladowi pasów, jakie powstałyby, gdyby faktycznie siedziała na fotelu kierowcy. Również fakt, iż Honoria prowadziła samochód należący do Adama, dzięki interwencji Caroline, został uznany za całkiem normalny i oczywisty. Bennett bez problemu potwierdził, iż wypożyczył auto pani Sacchetti.

Lucas jeszcze przed przyjazdem wezwanych służb, zagłębił się w las, tuląc w ramionach nieprzytomną Barbarę. Napoił ją swoją krwią, dając możliwość wiecznego życia. Nie tak to sobie wyobrażał, nie w przeddzień ślubu. Czy kiedykolwiek mu to wybaczy? W końcu zmienił ją w potwora.

Krążąc po lesie, bez przeszkód dotarł do swojego domu, który już był przygotowany na przyjęcie nowożeńców. Gdy otworzył drzwi od razu dostrzegł duży transparent z napisem „Witamy na nowej drodze życia”. Cóż za ironia! Przeniósł Barbarę przez próg, żałując, że musi to zrobić w takich okolicznościach. Gdyby nie dzisiejszy dzień... Znowu jej nie dopilnował!

Po schodach wszedł na piętro i skierował się do mał-

żeńskie sypialni. Na widocznym miejscu powieszony był nowy, elegancki smoking, przyszykowany na jutrzejszą uroczystość. Starał się na niego nie patrzeć, gdy ostrożnie kładł ciało dziewczyny na cienkiej, haftowanej pościeli. Wyprostował się i jednym ruchem zdjął wieszak ze smokingiem z drzwi szafy, po czym wrzucił strój do wnętrza. Na chwilę wyszedł do łazienki, ale wrócił za moment z miską napełnioną wodą i dwoma bawełnianymi ręcznikami.

Rozpiął togę dziewczyny i delikatnie uwolnił ją od zwojów materiału. Na chwilę podniósł ją i oparł o siebie, aby móc rozsunąć ekspres z tyłu niebieskiej sukienki. Gdy Barbara została w samej bieliźnie, umoczył ręcznik w wodzie z miski, po czym powolutku obmył twarz dziewczyny z krwi. Tą samą czynność powtórzył kolejno z szyją, dekoltem, rękoma i nogami narzeczonej. Woda zabarwiła się na czerwono, poszedł więc ją wylać i nalać świeżej.

Kiedy wreszcie była czysta, przykrył ją kołdrą, otulając troskliwie, niczym małe dziecko. Wyglądała zupełnie normalnie, jakby po prostu spała. Rany zabiżniały się, świadcząc o tym, że proces przemiany został zapoczątkowany, jednak nadal słyszał bicie jej serca, co było znakiem, że do jego zakończenia zostało jeszcze trochę czasu.

Po godzinie zjawiała się Caroline z Adamem. Bennett jak oszalały wpadł do sypialni i chciał od razu podbiec do łóżka, na którym leżała jego siostra, ale Caroline wraz z Lucasem powstrzymali go przed tym. Caroline objęła go

mocno i wyprowadziła za drzwi.

– Co z nią? – zapytał gniewnie. – Dlaczego nie pozwalacie mi do niej podejść?

– Uspokój się. – Caroline złapała go za głowę i spojrzała mu prosto w oczy. – Żyje, ale jest nieprzytomna. Odniosła bardzo poważne obrażenia.

– Uzdrowicie ją, tak jak wtedy? Uratujecie ją, prawda?

– Zrobiliśmy wszystko, co możliwe. Jej obrażenia były śmiertelne. Nie miała żadnych szans.

– Ale przecież wy możecie więcej. Uzdrowiliście ją, prawda?

– Tak, ale nie w sposób, o jakim myślisz. – Lucas stanął na progu i poważnym wzrokiem patrzył na Bennetta. – Dałem jej swoją krew.

– To dobrze. Wasza krew leczy.

– My jej nie uleczyliśmy, my ją przemieniliśmy – odpowiedziała Caroline. – Uwierz mi, to była jedyna szansa. Umarłaby, gdyby nie nasza interwencja.

– Będzie taka jak wy? – Przenosił wzrok z Caroline na Lucasa i z powrotem. – Chcecie mi powiedzieć, że stała się wampirem?

– Na razie czekamy na zakończenie przemiany. Gdy jej serce przestanie bić, zacznie nowe życie, jednak aby stać się kimś takim jak my, musi skosztować krwi człowieka lub zwierzęcia. Na razie będziesz musiał ograniczyć kontakty z nią. Jesteś człowiekiem... Ona początkowo nie będzie panować nad swoimi emocjami. Potrzebuje czasu. Nauczy się normalnie funkcjonować.

– Najważniejsze, że będzie żyć. – Odetchnął z ulgą. – Mogę ją zobaczyć chociażby z daleka?

– Ok. – Lucas skinął głową i wszedł do środka. Podszedł do łóżka Barbary i usiadł na brzegu. Był gotowy w razie czego ją powstrzymać.

Caroline wprowadziła Adama. Również ona zachowała pełne skupienie. Nowo przemieniony wampir pragnie krwi i jedyne co nim kieruje, to przemożna chęć zaspokojenia tego głodu. W pierwszych dniach po przemianie towarzystwo ludzi jest niewskazane.

Barbara nadal spała. Jej twarz wyglądała na spokojną, odprężoną. Po obrażeniach nie było już żadnego śladu. Nie wyglądała na kogoś groźnego, ale pozory czasem bywają bardzo mylące. Caroline o tym wiedziała. Sama była taką bestią. Okłamała najbliższych. Kolejny raz zdecydowała o ich życiu! Jest prawdziwym Patronem, godnym następcą swego ojca!

* * *

Roderick szukał Honorii, ale nie znalazł jej w całym domu. Wszedł do ogrodu, ale i tam nie spotkał swojej przyjaciółki. Miał wyrzuty sumienia, że potraktował ją tak okrutnie. Znowu zranił najbliższą sobie osobę.

Wrócił do pokoju i zobaczył, że panienki, które zaprosił nadal śpią. Podszedł do łóżka i bezceremonialnie szarpnął Edith za ramię.

– Wstawaj – burknął.

– Co? – Otworzyła oczy, przetarła je ręką i usiadła na posłaniu. – O widzę, że już wstałeś. – Uśmiechnęła się do

niego. – Muszę ci powiedzieć, że miałam już wielu klientów, ale to co przeżyłam z tobą, nie może się z niczym równać. Gdybyś jeszcze kiedyś chciał, to...

– Raczej nie będę zainteresowany – przerwał zdecydowanie. – Obudź koleżankę, ubierzcie się i spadajcie stąd. Tu macie jeszcze trochę forsy. – Rzucił na łóżko kilka banknotów.

– A może malutka powtóreczka? – Pospiesznie zgarnęła pieniądze. Nie zrażona tonem mężczyzny, wstała z łóżka i podszedłszy do niego, dotknęła wierzchem dłoni jego policzka. – Jeszcze jeden szybki numerek? Teraz tylko my dwoje, bez Nicole?

– Powiedziałem dość! – Odepchnął ją od siebie, tak iż z powrotem upadła na łóżko. – To był ostatni raz! Ubierajcie się i jazda stąd.

– Klient nasz pan. – Wzruszyła ramionami i sięgnęła po leżącą na szafce nocnej bluzkę. Wciągnęła ją na siebie, po czym szturchnęła nadal śpiącą Nicole. – Wstawaj, koniec zabawy.

Troszkę trwało nim brunetka doszła do siebie, ale ona w przeciwieństwie do koleżanki, posłusznie zaczęła przygotowywać się do wyjścia. Roderick widząc to wziął telefon komórkowy i zadzwonił po taksówkę.

– To było niezapomniane przeżycie. – Edith nadal nie rezygnowała. Już ubrana ponownie podeszła do Rodericka i podała mu swoją wizytówkę. – Będę cię wspominać i marzyć o ponownym spotkaniu.

– Wątpię. – Spojrzał jej prosto w oczy, nakazując na-

tychmiastowe zapomnienie wszystkiego, a następnie podszedł do Nicole i powtórzył swój rozkaz myślowy. Przedarł wizytówkę na pół, rzucając skrawki na podłogę.

Patrzył jak dziewczyny zgodnie podeszły do drzwi i zeszły na dół. Poszedł za nimi, ale nie wszedł do holu. Wychylając się przez balustradę schodów obserwował, gdy wychodziły z domu. W progu minęły się z wracającą Angeliną.

– O widzę, że twoje damy już cię opuściły. – Zażartowała. – Chyba zostałeś całkiem sam. A swoją drogą, to wiesz, podziwiam cię bardzo. Twoja stara przyjaciółeczka właśnie walczy o życie, a ty się najspokojniej w świecie zabawiasz z dziwkami.

– Co powiedziałaś? – Przeskoczył przez balustradę i opadł na ziemię tuż obok zaskoczonej Angeliny. – Wiesz, gdzie jest Honoria?

– No cóż, po tym jak podle ją potraktowałeś, postanowiła, że pojedzie wraz ze mną na rozdanie dyplomów. Zabrałam starowinkę, a co będzie siedziała i słuchała jęków dobiegających z twojego pokoju.

– Możesz się streszczać? – Zabrzmiało to nieco groźnie.

– Jasne. – Machnęła ręką. – Niestety napotkaliśmy świętoszkowatą Barbarę i twoja przyjaciółeczka zaniepokoiła się jej dziwnymi fochami. Została z nią na parkingu i z tego co mi wiadomo, wsiadły razem do samochodu.

– O czym ty mówisz? – Złapał ją za ramiona i wniknął do jej umysłu. To co zobaczył, sprawiło, że pociemniało

mu przed oczami. Gwałtownie puścił Angelinę, tak iż zatonęła się i upadła na podłogę. – Ale dlaczego jechały tym samochodem? Co Honoria jej powiedziała?

– O to już musisz zapytać się swojej przyjaciółeczki, jeśli odzyska przytomność. – Podniosła się z podłogi i sięgnęła po zrolowany dyplom, który podczas upadku wypadł jej z rąk. – Nie mam ochoty wysłuchiwać twoich żali. Ja też dziś straciłam coś ważnego, może najważniejszego w życiu. Mam tylko to! – Machnęła Roderickowi dyplomem przed oczami. – Pieprzony dyplom!

– Co z Barbarą? – Nie słuchał jej słów. Znał odpowiedź na to pytanie, gdyż poznał je w umyśle Angeliny, ale chciał to usłyszeć wypowiedziane na głos.

– Lucas ją zabrał. Chciałam do niego jechać, ale Caroline mnie powstrzymała. Barbara umierała i Lucas ją przemienił. Już zawsze będą razem! Cholerny happy end, tylko nie dla każdego!

Roderick odwrócił się w stronę wiszącego na wprost wejścia portretu Elizabeth. Spojrzenie błękitnych oczu dziewczyny zdawało się docierać aż do wnętrza jego duszy.

Nie miał zamiaru wracać na górę, aby skompletować garderobę, jaką miał na sobie. W samych spodniach i boso, wybiegł przed dom, gdzie właśnie dwie panienki lekkich obyczajów wsiadały do taksówki.

Otworzył drzwiczki swego mercedesa i zasiadł za kierownicą. Ruszył z piskiem opon, pozostawiając za sobą tylko smugę kurzu.

Jechał szybko, nigdy nie zwracał uwagi na szybkościomierz, tym bardziej teraz, gdy ważyły się losy jego miłości. Odległość dzielącą go od domu Westmoora pokonał w rekordowym tempie. Na podjeździe zauważył samochód Lucasa oraz wysłużonego grata ciotki Aleny. Bez pukania pchnął drzwi wejściowe i wszedł do środka.

Caroline usłyszała nadjeżdżający samochód i wyszła z salonu, gdzie siedziała wraz z pogrążonym w smutku Adamem. Zastąpiła drogę Robillardowi, uniemożliwiając mu dojście do schodów.

– Co z nią? – krzyknął, próbując wyminąć blondynkę.
– Nie możesz mnie z nią rozdzielić! Nie znasz całej prawdy!

– Mylisz się. – Mocno schwyciła go pod ramię i zmusiła, aby wyszedł wraz z nią przed dom. Nie chciała, aby Adam słyszał tę rozmowę. – Wiem o wszystkim. Już dawno się domyślałam, ale nie wierzyłam, że to prawda. Miałam podejrzenia od chwili, gdy zobaczyłam twoje spojrzenie, kiedy patrzyłeś na Barbarę leżącą w szpitalu w Anchorage. Dziś uzyskałam potwierdzenie, zaglądając do umysłu twojej przyjaciółki z Włoch.

– Wiesz, że Barbara...

– Tak, wiem, że to Elizabeth – przyznała, puszczając jego ramię.

– Dlaczego więc mnie powstrzymałaś przed spotkaniem z nią? Ja muszę z nią być! Gdy się obudzi, będzie pamiętać swoje poprzednie wcielenia... Jesteśmy jednością.

– To nie takie proste Rodericku. Lucas ją kocha...

– A ja? Myślisz, że ja jej nie Kocham! Ona jest sensem mego życia! – Oburzyły go jej słowa.

– Obiecałam ci, że jeszcze kiedyś będziecie razem, ale najwidoczniej się myliłam. Nie możesz z nią być! Lucas by oszalał, gdyby ją stracił! Nie widziałeś jego twarzy, gdy trzymał ją w ramionach. Nie widziałeś jego myśli... Odślonił się przede mną i zobaczyłam wszystko. Wiem, przez co przeszedłeś i ile cię to kosztowało. Naprawdę to wiem i płaczę razem z tobą. Chcesz, aby i Lucas cierpiał, aby szalał z rozpacz? Chcesz, aby stał się bestią? Pozwalając umrzeć Elizabeth, pozbawiłeś go siostry. Odebrałeś mu jedyną osobę, którą kochał, teraz chcesz znowu zrobić to samo? Jestem pewna, że Barbara przypomni sobie swoje poprzednie wcielenie i będzie pragnęła być z tobą. Ona i w tym wcieleniu cię kochała. Gdybym pozwoliła wam być razem, skazałabym niewinną osobę na okrutne katusze. Drugi raz pozbawiłbyś Lucasa ukochanej osoby! Drugi raz odebrałbyś mu wszystko! Proszę cię o dużo, o bardzo dużo, może aż o zbyt wiele, ale nie chcę, aby ktoś jeszcze przechodził przez to co ty. Nie bądź egoistą, nie myśl tylko o sobie i swoim uczuciu. Obudź w sobie uśpione resztki człowieczeństwa. Kto bardziej od Lucasa zasługuje na szczęście? Kto ocalił życie Barbarze? Kto o nią zadba? Kto nie musi wstydzić się przed nią swojej przeszłości?

Miała rację i Roderick dobrze to wiedział. Zdawał sobie sprawę, że nie jest już godny miłości Barbary. Sam pogrzebał tę miłość, swoimi uczynkami. Jak mógłby teraz

chcieć odzyskać coś, co już do niego nie należało?

– Nie potrafię bez niej żyć – wyszeptał zrezygnowany.
– Nie radzę sobie z tym wszystkim. Już nie wiem, kim jestem i czego chcę...

– Pamiętasz Benacantil? To miejsce, gdzie żyją pierwsi z pierwszych – Rada Najwyższa Patronów. Udałam się tam, po przejęciu dziedzictwa Duncanów.

Skinął głową, chociaż nie rozumiał, co to ma z nim wspólnego.

– Gdy Barbara została porwana, pojechałam tam ponownie, tym razem z prośbą o pomoc. Oni namierzyli Basita i powiedzieli mi, że jesteście na Alasce. Nie zrobili tego jednak zupełnie bezinteresownie. W zamian obiecałam im, że wrócę do nich i dobrowolnie zostanę z nimi w ich twierdzy. Ja, albo ktoś z osób, które przemieniłam – dokończyła ciszej. – Rozumiesz Rodericku? Może to jest dla ciebie rozwiązanie? Zamkniesz się z nimi z dala od świata i odetniesz się od wspomnień. Pozwolisz Barbarze na szczęśliwe życie, mnie zwrócisz wolność... Nie ukrywam, że z ciężkim sercem spełniłabym swoją obietnicę powrotu do Benacantil. Tu mam chłopaka, zaręczyliśmy się... Gdybyś nam pomógł, zmazałbyś wszystkie swoje winy. Wiem, że obiecywałam ci coś innego, ale...

Milczał, słuchając jej słów. Zamknąć się w Benacantil, zapomnieć o Barbarze i życiu na wolności? Czy to będzie wyzwolenie, czy kolejna porcja niekończących się tortur? Bóg miał być dla niego łaskawy? Honoria się myliła! Nie ma Boga, nie ma miłosierdzia, nie ma niczego!

– Rozumiem, że możesz odmówić. Nie mogę tego od ciebie wymagać. Chcę tylko, abyś podjął odpowiednią decyzję.

– Czy mogę ją zobaczyć? Ostatni raz...

– Nie. – Przecząco pokręciła głową. – Lepiej nie.

– Ale przecież ona przypomni sobie swoje poprzednie wcielenia. Będzie mnie pamiętała... Co jej powiesz?

– Będę przy niej i gdy tylko ocknie się, wymażę jej wspomnienia związane z tobą. Uwierz mi, tak będzie lepiej dla nas wszystkich. Ona teraz to już zupełnie inna osoba i gdyby nie ty, naprawdę pokochałaby Lucasa. Pozwól im na szczęście.

– Elizabeth kiedyś oddała za mnie życie, abym mógł dalej istnieć, ja dziś mogę odpłacić się jej tym samym. Jeśli uważasz, że beze mnie będzie szczęśliwsza...

– Będzie – zapewniła, chociaż dobrze wiedziała, jak bardzo Barbara go kocha. Kolejne kłamstwo? Ale przecież w dobrej wierze.

– Odejdę. – Pochylił głowę. – Niech będzie tak, jakby mnie nigdy nie było. Pojadę do Benacantil.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. – Ruszył w stronę samochodu, ale tym razem jego kroki były wolne, tak jakby odwlekał moment pożegnania. Jakby miał nadzieję, że Barbara lada moment odzyska świadomość i zbiegnie do niego, wprost w jego ramiona. Nic takiego jednak się nie stało. – Nie powinnaś była mnie wskrzeszać, gdy umierałem. – Zatrzymał się i otworzył drzwiczki. – Moje istnienie to ciągle pasmo

umierania. Jestem martwy i pusty w środku. Straciłem życie, straciłem duszę, straciłem miłość. Żegnaj Caroline i bądź szczęśliwa. Wszyscy bądźcie. I dbaj o moją córkę.

Z trudem powstrzymywała łzy, gdyż nie chciała, aby on był ich świadkiem. Dopiero kiedy odjechał, rozplakała się jak małe dziecko. Szlochała, przyciskając dłonie do twarzy.

– Co się stało? – Lucas zszedł na dół. – Roderick tu był? – Wyczuł go natychmiast. – Powiedział ci coś przykrego? Zabiję go!

– Nie! – Złapała go za rękę. – Przyszedł się pożegnać. Wyjeżdża do Benacantil i nigdy już nie wróci.

WEDLE WYROKÓW NIEBA

Nadszedł wieczór, a Barbara nadal nie odzyskała przytomności. Lucas siedział przy niej przez cały czas, a Caroline zaglądała tam tak często, jak tylko mogła, jednak nie dostrzegała żadnych oznak przemiany. Barbara nadal była człowiekiem, chociaż nie powinna. Nie po tym, ile wampirzej krwi otrzymała. Panna Westmoore nie rozumiała tego, ale zaczynała podejrzewać, że ma to coś wspólnego z dziedzictwem Bennettów. Być może ludzie–niedźwiedzie są odporni na przemianę, ale przecież Patroni by chyba o tym wiedzieli, dlaczego więc Yadira proponowała Adamowi, aby stał się wampirem, jeśli zadawała sobie sprawę, że i tak nie dostąpi wieczności? Chyba że... Tak! Chyba, że krew wampira zabija ludzi–niedźwiedzi! Ale przecież, Barbara nadal żyła i jak widać, jej rany goiły się. Cóż, po prostu trzeba czekać. Tylko to im teraz zostało.

– Caroline, muszę jechać do domu. Ciotka jest sama z Hope i umiera z niepokoju o Barbarę. Jutro miał być ślub... – Adam stanął za fotelem, na którym siedziała Caroline i położył obie dłonie na jej ramionach.

– Tak. – Uniosła głowę na niego.

– Pojedziesz ze mną i użyjesz swojej magii?

– Ja... Zaraz. – Wstała z fotela. – Poczekaj chwilę. –

Wbiegła na schody, zdążając do sypialni na górze.

Ostrożnie otworzyła drzwi. Lucas siedział na brzegu łóżka i ścisnął w swej dłoni rękę Barbary. Był taki skupiony, poważny. Cały czas wpatrywał się w twarz dziew-

czyny.

– I jak? – Podeszła do niego.

– Bez zmian – odpowiedział cicho. – Ciągłe śpi. To trwa już bardzo długo, za długo. Zaczynam się bać.

– Na to nie ma reguły – pocieszyła go. – Jedni reagują szybciej, inni potrzebują nieco więcej czasu. Widzisz jednak, że zdrowieje. To dobry znak.

– Ale ile to może potrwać? – zapytał. – Tracę zmysły, patrząc na nią taką nieprzytomną.

– Może teraz ja cię zastąpię? Adam chce jechać do domu, bo musi przecież porozmawiać z ciotką. Trzeba jej jakoś wytłumaczyć, dlaczego zaplanowany na jutro ślub się nie odbędzie. Pojechałbyś z nim i użył swojej mocy?

– Ty nie możesz? Nie chcę jej opuszczać.

– Sam mówiłeś, że patrzenie na nią sprawia ci cierpienie. Oderwij się na moment od tego. Pojedź z Adamem. Ja zajmę się Barbarą. Obiecuję, że się nią zaopiekuję. Przecież możesz mi ufać. Jestem w końcu twoją siostrą. – Musiała zrobić wszystko, aby zostać przy Barbarze. Gdy panna Bennett ocknie się, będzie pamiętać swoją przeszłość, a gdyby wtedy był przy niej Lucas... Musi dopilnować, aby wspomnienia poprzednich wcieleń zostały skutecznie wymazane, tak aby już nigdy więcej nie zagroziły szczęściu Westmoora.

Uniósł dłoń Barbary do ust i ucałował, po czym powolutku położył na białej kołdrze. Wstał z łóżka.

– Ale nie opuszczaj jej nawet na chwilę – poprosił.

– Daję słowo – obiecała. – Będę przy niej siedzieć

przez cały czas.

– Zaraz wracam. – Podeszedł do drzwi, ale w progu odwrócił się jeszcze na chwilę i popatrzył na nieprzytomną dziewczynę. Trudno było mu ją zostawić.

– Nie musisz się martwić. – Caroline usiadła obok Barbary. – To tylko chwila. Ona nawet tego nie zauważy.

– A jeśli obudzi się, gdy mnie nie będzie?

– To cię wytłumaczę. Na pewno zrozumie i będzie ci wdzięczna, że pomyślałeś o jej córce i ciotce.

– Dziękuję. – Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Zszedł na dół.

– Gdzie Caroline? – Adam stał przy wyjściu, gotowy do drogi.

– Ja z tobą pojedę – odpowiedział Lucas. – Przy okazji zobaczę co z Hope. Barbara na pewno by chciała, abym zajął się dzieckiem.

Otworzył drzwi i twarze mężczyzn owiał gwałtowny podmuch wiatru. Wieczorne niebo zasnuło się chmurami, które przyniosły ze sobą ochłodzenie. Pierwsze krople deszczu opadły na ziemię, zwiastując burzę.

* * *

– Co robisz? – Angelina zajrzała do pokoju Rodericka. Zobaczyła otwartą walizkę postawioną na środku pokoju, do której Robillrad pakował wyjmowane z szafy rzeczy. – Wybierasz się gdzieś?

– Nic mnie już tu nie trzyma – odburknął, nie przerywając pakowania.

– Nic? – Zdziwiła się. Przekroczyła próg i podeszła do

walizki.

– Nie przeszkadzaj. – Zdecydowanym ruchem przesunął ją na bok. – Chciałbym jeszcze dzisiaj wyjechać.

– Tak w nocy?

– A od kiedy noc jest przeszkodą? Co ty taka ciekawa się zrobiłaś? Pilnuj lepiej swego nosa.

– Uciekasz, tak jak ja to zrobiłam, ale uwierz mi, ucieczka nie jest rozwiązaniem.

– Nie uciekam, po prostu to nie jest moje miejsce. Tu wszystko przypomina mi przeszłość. Chcę zacząć życie od nowa, z dala od Elizabeth Town i... Barbary.

– Kochasz ją, prawda? – Trochę bała się zadać to pytanie, ale jednak się odważyła. Jakoś podświadomie czuła, że Roderick jest jedyną osobą, która może jej pomóc.

– To nie twoja sprawa – uciął krótko, wchodząc do łazienki po swoje przybory toaletowe.

– Mylisz się, to również moja sprawa. Pamiętasz ten dzień, gdy Caroline z Patronami pojechali po choinkę. Kochaliśmy się wtedy i...

– I to daje ci prawo ingerencji w moje życie? – zdrwił, stając ponownie na progu. – Gdyby tak było, to setki kobiet w tej chwili dobijały by się do tych drzwi. – Wskazał na wejście do pokoju. – Nie byłaś jedyna.

– Wiem, ale ja byłam szczególna...

– Nie pochlebiaj sobie, miałem lepsze kochanki od ciebie.

Uraził ją, ale cóż z tego? Jeśli uniosłaby się honorem, mogłaby stracić ostatnią szansę na odzyskanie Lucasa.

– To nie byłam ja... Gdy się kochaliśmy w moim ciele był duch twojej żony.

– Znowu zaczynasz! – Zirytował się. – Już to mówiłaś. Wybacz, ale nie mam czasu słuchać twoich głupich dowcipów.

– Była we mnie – zapewniła. – Czułam to co ona. Widziałam tę wierzbę, pod którą się spotykaliście, ten ołtarz, na którym dała ci się napić swojej krwi. To we mnie zostało. Głęboko na dnie duszy...

– Kto ci o tym opowiadał? Caroline? – Dopadł do niej i ścisnął za ramiona. – Dlaczego kpisz sobie ze mnie?

– Nie kpię i nikt mi nic nie opowiadał. Niektóre wspomnienia Elizabeth zostały we mnie, tak jak to, gdy kochałeś się z nią pierwszy raz. Pamiętasz? To ona cię o to prosiła. Opierałeś się, ale ona była uparta i dopięła swego. To stało się w jej pokoju, w rezydencji jej brata.

Puścił ją i upadł na kolana, chowając twarz w dłoniach. Kolejne tortury? Dlaczego nawet odejście jest takie trudne?

– Elizabeth chciała, abyś był z Barbarą. Pojechała do niej tej nocy, gdy się kochaliśmy, ale ktoś ją zatrzymał... Uwolnił ją z mego ciała. Jeśli mi nie wierzysz, zajrzyj do mego umysłu i sprawdź, czy kłamię. Byłam wtedy Elizabeth, naprawdę nią byłam.

Oderwał dłonie od twarzy i spojrzał prosto w oczy Angeliny. Przeglądał jej wspomnienia, nie potrafiąc jednak odnaleźć tych, o których mówiła. Kolejne kadry z jej życia, przemykały przez jego głowę, niczym film puszczoney

w przyspieszonym tempie. I nagle... Wspomnienia Elizabeth mieszały się z tymi Angeliny. Niewyraźne, zamazane, ale jednak prawdziwe. Jęknął, zdając sobie sprawę, co zrobił.

– To naprawdę była ona – wyszeptał – a ja ją tak potraktowałem...

– Ona ci to wybaczyła, wiedziała, jak bardzo cierpisz. Chciała tylko, abyś był szczęśliwy.

– Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej? – krzyknął, podnosząc się z kolan.

– Początkowo te wspomnienia były ukryte, nie zdawałam sobie z nich dobrze sprawy. Zaczęły się pojawiać stopniowo, tak jakby wyłaniać z mroku. Dopiero dziś na rozdaniu dyplomów... Nie wiem, jak to się stało, po prostu w pewnej chwili wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Nadal mam luki, nadal brakuje części układanki, ale ten ślad, który pozostał we mnie, jest wspomnieniem Elizabeth. Jej życia, tego jaka była. Zmieniłam się przez nią. To dziwne, ale nigdy wcześniej nie myślałam o innych, dopiero dzięki niej zrozumiałam, że liczą się również pozostali ludzie, nie tylko ja. Elizabeth chciała, abyś był z naszym słodziaczkiem. To o to jej chodziło. Chciała was połączyć!

– To już nieważne. Za późno... – Zawrócił do szafy i wyjął ostatnie dwie koszule, które następnie włożył do walizki. Zasunął ekspres. – Dziękuję, że mi to powiedziałaś. Przepraszam, że zachowałem się jak totalny dupek. Nie byłem godny ani Elizabeth, ani Barbary. Moje całe życie to

pasmo wielkich pomyłek, ale wreszcie dość.

– Nie będziesz o nią walczyć?

– Ona zasługuje na szczęście z kimś takim jak Lucas. Nie ze mną... Przykro mi Angelino, ale to już postanowione. Dziś wyjeżdżam. Jeszcze tylko muszę załatwić jedną sprawę...

Wyminął ją i wyszedł z pokoju.

– Jaką sprawę? – Podążyła za nim.

– Muszę pożegnać Elizabeth, tym razem już na zawsze.

* * *

Zatrzymał samochód na poboczu, i w strugach deszczu, grzęznąc nogami w rozmokłej, błotnistej drodze, doszedł do cmentarnej furtki. Zanim ją otworzył, obejrzał się na dom Bennettów. W oknach na parterze dostrzegł światło. Barbary tam nie było, ale przecież pozostała Hope – jego córka.

Pchnął furtkę i wszedł pomiędzy groby. Krople deszczu rozpryskiwały się na kamieniach. Mijał kolejne mogiły, zmierzając prosto do pomnika Elizabeth. Włosy oblepły mu twarz, przemoczone ubranie przylgnęło do ciała.

Przystanął przy rzeźbie przedstawiającej zamyśloną kobietę, prawą dłoń położył na mokrym marmurze.

– Wybacz mi Elizabeth, co innego ci obiecałem, ale nie mogę przecież niszczyć twego szczęścia. Przepraszam...

– Cóż za piękna scena! – Odwrócił się do tyłu, tam skąd dochodził głos. Lucas stał na dróżce i patrzył na Ro-

dericka z ironią. – Co tu jeszcze robisz? Słyszałem, że udajesz się do Benacantil. Jeśli mam być szczery to uważam, że to twoja pierwsza, rozsądna decyzja.

– Nie wysilaj się na dowcip. Zapewniam cię, że wkrótce zniknę z twego życia. Naprawdę chcę, abyś był szczęśliwy... aby Barbara była...

– Nie wymawiaj jej imienia! – Lucas doskoczył do niego i pchnął na mogiłę, tak iż Roderick się przewrócił. – Zabraniam ci mówić o niej! Spieprzaj stąd! Przez ciebie umarła moja siostra. Przez ciebie pozostał mi po niej tylko ten głaz. Ja nie popełniłem twego błędu, zatrzymałem Barbarę. Będę z nią! Rozumiesz? Nie jestem tak głupi jak ty.

– Wiem i naprawdę dobrze ci życzę. – Podniósł się i wyprostował. Stał spokojnie, patrząc na Westmoora. Lucas nie znał prawdy i niech tak lepiej pozostanie.

– Po co tu przyszedłeś?

– Aby się pożegnać. Chyba tego mi nie zabronisz?

– Pożegnania wychodzą ci najlepiej – zadrwił.

– A ty co? Śledzisz mnie? – odwzajemnił się.

– Byłem uspokoić Alenę, ale musiałem zostać trochę dłużej, gdyż Hope dostała gorączki.

– Hope? – zaniepokoił się.

– Zapomnij, to nie jest już twoja córka. Nigdy nią nie była i nie będzie! – powtórzył z mocą.

– Wiem. Ale czy wszystko z nią w porządku?

Nie miał ochoty odpowiadać na pytanie Rodericka, czuł jednak, że nie powinien odmawiać mu tej ostatniej

przysługi. Wprawdzie Robillard nie zasługiwał na szacunek i jakiegokolwiek względy, ale jednak Hope była jego córką.

– Wszystko w porządku. Dzieci ponoć tak mają, a niewielki wzrost temperatury to nic takiego. Alena po prostu jest przewrażliwiona, no i jeszcze teraz ta sprawa z Barbarą... Nie powiedzieliśmy jej prawdy, myśli, że Barbara przestraszyła się ślubu i potrzebuje chwili na przemyślenie wszystkiego jeszcze raz.

– Dziękuję. Naprawdę nigdy nie chciałem skrzywdzić twojej siostry. Kochałem ją i nie wyobrażałem sobie, że mógłbym uczynić z niej potwora, jakim sam byłem. Wiem, że to był błąd i bardzo tego żałuję, jednak nie cofnę już czasu. Ty miałaś więcej rozumu i zatrzymałaś ukochaną. Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi. Życzę wam tego z całego serca. Kto jak kto, ale ty na pewno zasługujesz na szczęście.

Ruszył w stronę furtki, nie patrząc na Lucasa. Powiedział już wszystko, co mógł. To i tak ponad jego siły. Oddał mu największą, jedyną miłość swego życia. Może tak miało być od samego początku?

* * *

Angelina biegła przez ciemny las, zgrabnie lawirując pomiędzy drzewami. Krople deszczu bębniły o liście i skapywały na ziemię. Ulewa z każdą chwilą przybierała na sile. Wiatr i deszcz smagały twarz panny Stewart, ale ona nie zwracała na to uwagi. Od czasu do czasu, nie przestając biec, unosiła tylko dłoń do góry i odgarniała

z oczu mokre kosmyki przesłaniające widok.

Spieszyła się, bardzo się spieszyła. Musiała zdążyć! Roderick pojechał na grób Elizabeth, a ona chciała załatwić tę sprawę przed jego powrotem. Jeśli się spóźni, wszystko będzie stracone. Lucas i szczęście, które jest przecież w zasięgu ręki.

Wreszcie w dali zobaczyła światła w oknie domu Westmoora. Z ulgą przebiegła ostatnie metry i dopadła do zamkniętych drzwi. Załomotała w nie obiema pięściami, nie przejmując się tym, że robi to zdecydowanie za głośno.

Po chwili, która dłużyła się jej w nieskończoność, drzwi otworzy się, a w szparze pokazała się twarz Caroline.

– Angelina? – wykrzyknęła, widząc przemoczoną dziewczynę. – Co ty tu robisz?

– Lucas nie może poślubić Barbary! – Wpadła do środka i rozejrzała się dookoła. – Lucas, gdzie jesteś? Nie możesz jej poślubić!

– Uspokój się w tej chwili. Lucasa tu nie ma. Pojechał z Adamem do Aleny Bennett. Miał zaraz wrócić, ale Hope dostała gorączki i czekają na lekarza.

– On nie może poślubić Barbary! – Angelina schwyła ją za rękę. – Nie może! Elizabeth chciała, aby to Roderick z nią był! Wiem to, wreszcie to zrozumiałam.

– Tak? – Caroline odruchowo spojrzała na górę, tam gdzie w sypialni spała nieprzytomna Barbara, po czym wskazała Angelinie, aby udała się wraz z nią do salonu.

– Już pamiętam, o co chodziło Elizabeth, gdy była we

mnie. Chciała, abym pojechała do Bennettów. Robiła wszystko, aby połączyć Barbarę z Roderickiem.

– Co jeszcze wiesz? – zapytała chłodnym tonem, ale Angelina tego nie zauważyła.

– Tylko tyle.

– Ciekawe... – Panna Stewart popatrzyła uważnie na koleżankę, zagłębiając się do jej umysłu. Zobaczyła rozmowę, którą ta odbyła z Roderickiem i ze złości aż zacisnęła pięści. Na szczęście Robillard zachował się honorowo. Tylko Angelina była teraz problemem. Ale to drobiazg.

– Muszę dzwonić do Lucasa. Powiem mu to i... – Angelina rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu telefonu, ale zanim zdążyła podejść do aparatu, Caroline zastąpiła jej drogę.

– Myślisz, że ci uwierzy?

– Pokażę mu moje wspomnienia. On nie może poślubić Barbary.

– Jakie wspomnienia? – Spojrzenie Caroline było bardzo intensywne. Używając swoich mocy, zabrała się za porządkowanie umysłu Angeliny. – Nie masz żadnych wspomnień. Barbara już nie jest Elizabeth, nigdy nie będzie z Roderickiem. Jej życie związane jest z Lucasem. Nie przeszkodzisz mu.

– Wspomnienia... – powtórzyła panna Stewart, próbując sobie przypomnieć o czym myślała, jednak ogarnęła ją dziwna błogość, tak jakby nagle wszystko straciło na znaczeniu. Ślad zostawiony przez Elizabeth został na dobre

zatarły.

* * *

Otworzyła oczy i przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje. Z trudem uzmysłowiła sobie, że leży. Ostrożnie uniosła nieco głowę do góry i rozejrzała się dookoła. Zobaczyła duże, małżeńskie łóżce posłane haftowaną pościelą, na której obecnie leżała, okna zasunięte grubymi, bordowymi kotarami, toaletkę z lustrem, oprawionym w pozłacaną ramę. Meble były zrobione inaczej niż te, do których przywykła. No i to światło! Czegoś takiego nigdy nie widziała. U góry zamiast żyrandola ze świecami, znajdowały się małe, okrągłe punkty, jakby zatopione w suficie, z których sączyło się światło.

Usiadła i z jeszcze większym przerażeniem odkryła, że jest prawie naga. Jej jedynym odzieniem były koronkowe majteczki i jakiś strasznie skąpy gorset, pozbawiony jednak sznurówek i zasłaniający sam biust.

Skąd się tu wzięła i gdzie w ogóle jest? Nie знаła tego miejsca i była pewna, że nigdy wcześniej tu nie była. A może umarła i trafiła do nieba? Czy to jest niebo? To światło wypływające z sufitu...

Przypomniała sobie ostatnie wydarzenia. Porwanie Kyle'a, wyprawa do kopalni, zawalenie się ściany. Była ranna... Dłonią dotknęła do brzucha, w miejscu gdzie wbił się jej żelazny pręt. Odkryła podłużną bliznę ciągnącą się od pępka w dół. Obejrzała dokładnie swoje ciało, ale nie dostrzegła żadnych innych zadrapań, ran, ani tym podobnych uszkodzeń.

Roderick! Był z nią. Wyniósł ją z kopalni. Trzymał w ramionach. Pamiętała wyraz jego twarzy. Gdzie jest teraz?

Wstała z łóżka i podeszła do szafy. Otworzyła ją w poszukiwaniu jakichś rzeczy, które mogłaby założyć na siebie, aby ukryć nagość, jednak oprócz samych męskich ubrań, nie znalazła niczego należącego do kobiety. Z rezygnacją wyjęła białą koszulę i założyła na siebie. Zapinając guziczki podeszła do lustra.

To co zobaczyła, przeraziło ją jeszcze bardziej. Z lustrzanej tafli patrzyło na nią odbicie nieznanej dziewczyny o śniadej cerze i zupełnie innych rysach twarzy. Tylko oczy były te same. Ta kobieta w lustrze... Jednak było w niej coś znajomego. Tylko co?

Kopalnia, wybuch, statek, farma wśród pól, pociąg pędzący przed siebie, światła sceny, huragan, wypadek... Przed jej oczami pojawiły się nagle setki przeróżnych obrazów. Patrzyła na nie, powoli uzmysławiając sobie prawdę. Już wiedziała, co się stało i kim jest. Jej wszystkie wcielenia, aż do teraz.

Roderick! Jechała do niego! Dowiedziała się, że ją kocha. Tak bardzo się spieszyła i ten samochód... Drzewo, na które wpadli i szyba rozlatująca się w drobny mak... Ale przecież nie czuje żadnego bólu, nic się jej nie stało.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i wyszła na korytarz. Jej bose stopy miękko zagłębiły się w grubej wykładzinie, tłumiąc odgłos kroków. Doszła do schodów, nasłuchując głosów dobiegających z dołu.

– Muszę dzwonić do Lucasa. Powiem mu to i... – Rozpoznała głos Angeliny. Zaciekawilo ją, co panna Stewart chciała powiedziec Lucasowi. Zaczęła nasłuchiwać.

– Myślisz, że ci uwierzy? – Caroline. Ten głos należał do siostry Westmoora, ale był dziwnie obcy, jakby pełen złości.

– Pokażę mu swoje wspomnienia. On nie może poślubić Barbary.

– Jakie wspomnienia? Nie masz żadnych wspomnień. Barbara już nie jest Elizabeth, nigdy nie będzie z Roderickiem. Jej życie związane jest z Lucasem. Nie przeszkodzisz mu.

Barbara zadrżała na te słowa. Nie spodziewała się czegoś takiego po Caroline. Jak to możliwe, aby przyjaciółka ją zdradziła, aby knuła za jej plecami? Chciała rozdzielić ją z Roderickiem, ale dlaczego?

Usłyszała, jak Caroline prowadzi Angelinę do łazienki znajdującej się na dole.

– Musisz się osuszyć i przebrać – tłumaczyła panna Westmoore, znowu udając miłą i sympatyczną. – Doprowadziłaś się do takiego stanu, tylko po to aby zobaczyć jak czuje się koleżanka? Oj kochana, zaskakujesz mnie. Barbarze będzie miło, że się tak o nią troszczysz.

– To chyba normalne. W końcu jesteśmy prawdziwymi przyjaciółkami. – Barbara wywnioskowała, że Angelina znajduje się pod wpływem czaru rzuconego przez Caroline i oprócz tego, że straciła wspomnienia, otrzymała dodatkowo nową wersję swego życia, w której ponownie

darzy ją sympatią. Jak Caroline może tak manipulować ludzkimi losami?

Poczekwała, aż dziewczyny wejdą do łazienki i szybko zbiegła po schodach. Dopadła do drzwi i otworzywszy je, wybiegła na podjazd, na którym stał samochód Lucasa.

Rzęsisty deszcz od razu przemoczył całą koszulę, sprawiając, że materiał przylgnał do ciała, ziębiąc je, ale nie zwracała na to uwagi. Podbiegając do samochodu, modliła się tylko o to, aby drzwiczki były otwarte. Miała szczęście, tak jakby niebiosa wyjątkowo jej sprzyjały. Oprócz otwartych drzwiczek, w stacyjce były pozostawione kluczyki.

Wsiadła do środka nie przejmując się, że moczy tapicerkę. Przypomniała sobie ten dzień, gdy pierwszy raz spotkała Lucasa, wtedy też padał deszcz i też wsiadła do jego samochodu. Miała wrażenie, jakby zatoczyła koło i ponownie znalazła się w tym samym miejscu. Ale tym razem wszystko było inaczej, a ona wiedziała już jaką podjąć decyzję. Teraz miała jasność sytuacji. To wszystko, co do tej pory utrudniało jej życie i powodowało jej niezdecydowanie, okazało się celowym działaniem podświadomości. Nie potrafiła odczytać znaków, które pchały ją w ramiona Rodericka, ale wreszcie je zrozumiała.

Uruchomiła silnik i od razu docisnęła pedał gazu, aby jak najprędzej odjechać z tego miejsca. Teraz musiała tylko odnaleźć Rodericka i wyznać mu całą prawdę. Szybko, zanim Caroline pokrzyżuje jej plany.

* * *

Roderick wszedł do holu i zatrzymał się przed portretem Elizabeth. Jej niebieskie oczy wpatrywały się prosto w niego. Miał wrażenie, że dostrzega w nich ból, który sam odczuwał. Udał się po schodach na górę, do swojego pokoju. Rozejrzał się dookoła, wspominając chwile spędzone z Elizabeth. Dwa lata, cudowne dwa lata. Warto było.

Wziął walizkę i wolnym krokiem opuścił sypialnię. Szedł przez pusty korytarz, wsłuchując się w odgłos swoich kroków. Przechodząc obok pokoju Kyle'a, wstrzymał na moment oddech. Miał rodzinę, był szczęśliwy... Stracił to.

Na dole jeszcze na moment zatrzymał się przed portretem Elizabeth. Wyciągnął dłoń i dotknął jej policzka. Poglądził płótno.

– Żegnaj moja miłości – wyszeptał.

Głuchy dźwięk zamykanych drzwi, był niczym wyrok. Skończyło się. Już nie ma powrotu. Elizabeth, Barbara... Pozostało tylko Benacantil.

* * *

Lucas już z daleka zauważył brak swojego samochodu na podjeździe, a gdy podszedł bliżej, przekonał się, że drzwi wejściowe są jedynie przymknięte. Wszedł do środka i rozejrzał się dookoła. Miał jakieś dziwne, złe przeczucie. W tym momencie z łazienki wyszła Caroline, a tuż za nią pojawiła się Angelina otulona w biały szlafrok.

– Gdzie jest mój samochód i dlaczego drzwi wejściowe nie były zamknięte? – zapytał, wchodząc na schody. – I najważniejsze pytanie, dlaczego nie siedzisz przy

Barbarze?

– Nie ma twojego samochodu? – Podbiegła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz. – Cholera! Ktoś go ukradł!

– Ukradli samochód sprzed domu wampirów? Jak mi to wytłumaczysz? – Szybko pokonał stopnie, a dziewczyny podążały tuż za nim. Prawie równocześnie dotarli pod drzwi sypialni. Jeszcze zanim je otworzyli, już poznali prawdę – wewnątrz nie wyczuwali nikogo.

– Gdzie ona jest? – Lucas jak oszalały biegał po pomieszczeniu, zaglądał do łazienki, odsuwał zasłony. Szukał Barbary, chociaż wiedział, że jej tu nie ma.

– O Boże! – Caroline stanęła jak wryta, niezdolna do wypowiedzenia konkretnego, sensownego zdania. Barbara musiała się ocknąć, gdy były w łazience i korzystając z wolnej chwili, opuściła dom. To mogło oznaczać tylko jedno – pojechała do Rodericka.

– Miałaś jej pilnować! – Zatrzymał się przed Caroline i oskarżycielsko wycelował palec w jej pierś. – Znowu mnie zawiodłaś! Jak mam ci zaufać? Teraz młody, nie-doświadczony wampir jest gdzieś na wolności i może narazić się na niebezpieczeństwo!

Nie tego bała się Caroline. Gorsza była świadomość, że Barbara przypomniała sobie swoje wcześniejsze wcielenia i z całą pewnością udała się odnaleźć Robillarda. Jeśli się jej uda... Jeśli się spotkają...

– Musimy ją znaleźć! – krzyknęła.

– Geniusz z ciebie – zadrwił. – Gdzie możemy znaleźć dopiero co przemienionego, spragnionego krwi wampira?

Tam, gdzie jest dużo ludzi! – odpowiedział sam sobie. – Pojechała do miasta!

Zbiegli na dół i przez specjalne drzwi wewnątrz domu, dostali się do garażu, gdzie stał samochód kupiony dla Barbary.

– Ja poprowadzę! – Caroline kategorycznie odsunęła Lucasa od drzwiczek kierowcy. – Wybacz, ale w twoim stanie nie powinieneś prowadzić.

– Dobra! – warknął, siadając z przodu, obok niej. Angelina zajęła miejsce z tyłu.

* * *

Samochód Rodericka wyjechał na pustą szosę. Rezydencja Robillardów została w tyle. Posepna bryła budynku tonęła w mroku, nie oświetlona żadnymi światłami. Ten dom był tak samo martwy jak dusza Rodericka. Bez Barbary już nic nie będzie takie samo.

Deszcz przybierał na sile i wycieraczki nie nadążały z usuwaniem potoków, spływających po szybie. Zdawało się, że i niebo płacze nad losem nieszczęśliwych kochanków.

Przypomniawszy sobie chwilę pożegnania z Elizabeth. Wtedy wschodziło słońce, a jego blask spowijał ziemię. Ciepłe promienie oświetlały polankę, na której zakończyła swoje życie. Trzymał ją w ramionach, wsłuchiwał się w zanikające bicie serca. To jej spojrzenie...

Poczuł, że łzy napływają mu do oczu, więc jedną ręką szybko je obtarł. Nie czas na łzy. One nic nie zwrócą. Po co płakać? Po co wspominać? Po co się zadręczać? Czy

szczęście zawsze musi mieć tak wysoką cenę?

* * *

Już tak niedaleko. W oddali, w mroku majaczyła sylwetka rezydencji Robillardów. Barbara skręciła w drogę dojazdową i już po chwili parkowała na ogromnym podjeździe. Dlaczego jest tu tak ciemno?

Pamiętała te schody – to po nich zeszła ostatni raz, udając się do kopalni, aby uwolnić Kyle’a. Teraz przebiegła je szybko, rozchlapując bosymi stopami, nagromadzoną na nich wodę.

– Rodericku! – Załomotała w drzwi. – To ja Rodericku!

Cisza. Przytłaczająca cisza, którą zakłóca tylko jednostajny szum deszczu. Przerazające uczucie powodujące strach, uniemożliwiający zebranie myśli. Pustka. Nicość. Samotność.

Przekręciła gałkę, chcąc otworzyć drzwi, ale okazały się zamknięte, a ona nie miała klucza. Usiadła na schodach i skuliła się, dotykając czołem do kolan. Strugi deszczu smagały ją z każdej strony, a wiatr szarpał poły cienkiej, przemoczonej koszuli. Czuła się taka bezradna.

Jechała tu z nadzieją, że spotka Rodericka, że wpadnie prosto w jego ramiona i wyzna wszystko, co skrywała jej dusza. Kochał ją, była przecież Elizabeth. Mogliby być razem. Oni dwoje i ich córka.

Hope. Wspomnienie córki dodało jej siły. Nie mogła zawieść swego dziecka. Cóż byłaby z niej za matka? Przecież Hope jest najważniejsza! Nie może pozbawiać jej

prawdziwego ojca. Mała ma prawo dorastać u boku tego, kto dał jej życie, nawet jeśli miało to miejsce za sprawą Obrządku Początku.

Zerwała się gwałtownie ze schodów i zbiegłszy na dół, z powrotem wsiadła do samochodu. Jeśli Rodericka nie ma w domu i jeśli nie spotkała go po drodze tutaj, to znaczy, że pojechał do Springfield. Musi jechać za nim, musi go szukać. Nie pozwoli mu odejść! Nie teraz, kiedy wreszcie się odnaleźli!

* * *

Caroline z daleka dostrzegła samochód wyjeżdżający z drogi dojazdowej do rezydencji Robillardów. Barbara! Więc jednak nie spotkała Rodericka! Panna Westmoore poczuła niewysłowioną ulgę, chociaż z drugiej strony żal ścisnął jej serce. Sprzeciwiła się losowi, zniszczyła szczęście osób, które były sobie pisane. A gdyby ją ktoś rozdzielił z Adamem?

Spojrzała na siedzącego obok Lucasa. Był jej bratem przez sto pięćdziesiąt lat. To kawał czasu. Wreszcie miała rodzinę, wreszcie czuła, co to znaczy rodzinne ciepło. Chciała tylko oszczędzić bratu cierpień. Chciała tylko, aby spełniło się jego marzenie. Przecież chciała dobrze!

Roderick poniósł ofiarę, ale była ona konieczna. Takie jest życie – nic nie ma za darmo. Aby ktoś był szczęśliwy, ktoś inny musi przelać wiele łez. Lucas zasługuje na wszystko, co najlepsze. A Roderick?

Przypomniała sobie chwilę tuż po przemianie Robillarda, gdy ocknął się do nowego życia. Nie rozumiał, co się

z nim stało, ale odczuwał wszystkie zmiany. Przywiązany do łóżka, bezlitośnie spętany, aby nie uczynił krzywdy nikomu z domowników. Dyszał ciężko i ciągle próbował się uwolnić. Szarpał się, miotając na posłaniu, ale więzy były mocne, nie mógł ich rozerwać.

– Co mi zrobiłaś? – Wychrypiał wreszcie. Wiedziała, że trudno mu jest mówić, bo gardło ma wysuszone pragnieniem. Podeszła do niego z ziołami i wlała mu odrobinę do ust. Wypluł wszystko ze wstrętem. – Co mi zrobiłaś? – powtórzył.

Co mu zrobiła? Powstrzymała proces śmierci, zamknęła w wieczności, pozbawiła ludzkich uczuć, dała moc zabijania. Uczyniła z niego potwora! A kiedy ten potwór, pokonał własne instynkty, gdy odnalazł w sobie człowieczeństwo i pokochał Elizabeth, pozwoliła aby wypełniło się przeznaczenie. Mogła je zmienić – miała taką władzę, ale z niej nie skorzystała. Patrzyła na rozpacz Rodericka, gdy tracił miłość swego życia. Obiecała mu, że jeszcze kiedyś będą razem, a gdy ją wreszcie po wielu latach odnalazł, poprosiła go, aby w imię miłości do Elizabeth, pozwolił jej na życie u boku innego. Miała czelność żądać tego od niego! Po tym wszystkim, co stało się za jej przyczyną.

Nie! Nie może być taka bezduszna! Tak łatwo manipuluje ludźmi. Odebrała wspomnienia Honorii, Angelinie, teraz chce to samo zrobić z Barbarą! Kimże jest, aby decydować o losach innych? Nieodrodna córka swojego ojca! Patroni mieli rację, mówiąc, że nie jest inna niż Duncan.

W końcu płynie w niej jego krew. Ale nie chce być taka! Przecież nie musi! Przecież jeszcze wszystko może zmienić!

* * *

Barbara wpatrywała się w zalaną deszczem szybę. Wycieraczki pracowały na pełnych obrotach, usuwając strugi wody, ale nowe krople szybko tworzyły kolejne strumienie, zasłaniające widoczność.

Dociskała bosą stopą pedał gazu, modląc się w duszy, aby zdążyła dogonić Rodericka. Nie wiedziała kiedy wyjechał, ale miała wewnętrzne przeczucie, że jeszcze nie wszystko stracone. A nawet jeśli już go tu nie ma, to ona go odnajdzie. Będzie go szukać do końca swoich dni. On jest jej miłością, jej całym światem. Nie spocznie, dopóki znowu nie znajdzie się w jego ramionach.

W oddali dostrzegła tylne światła samochodu. Na razie była jeszcze zbyt daleko, aby w mroku nocy rozpoznać markę samochodu, ale dystans między nimi zmniejszał się z każdą sekundą.

– Boże, oby to był on! – wyszeptała, zaciskając dłonie na obręczy kierownicy. Miała nadzieję, ogromną nadzieję, że ta modlitwa zostanie wysłuchana.

* * *

Roderick jechał wolno. Dziś wyjątkowo nie miał ochoty się spieszyć, tak jakby przeciągał to ostateczne pożegnanie z Elizabeth Town i okolicą. W końcu już nigdy więcej tu nie wróci.

Deszcz padał nieprzerwanie, a potoki wody zalewały

szybę. Na szczęście droga była pusta, a do zjazdu na autostradę zostało jeszcze ładnych kilkanaście kilometrów. Zawsze kiedyś nadchodzi koniec, dziś nadszedł dla niego. Świat bez Elizabeth, bez Barbary nie ma mu już nic do zaoferowania.

Przestał oddychać i zatrzymał swoje serce. Nie ma po co dłużej udawać człowieka. Nie ma po co się oszukiwać. Dla kogo? Już nic się nie liczy, nic nie jest ważne. Wieczność w Benacantil? A może śmierć? O, gdyby to było takie łatwe! Wampir nie może zabić się sam, nie może zginąć z ręki równego sobie. Rada Najwyższych za bardzo go potrzebuje, aby spełnić tę jego prośbę, ale przecież może znaleźć innych, takich jak Monique i Justin. Są gdzieś, kryją się w mroku. Trzeba ich odnaleźć i wydać się w ich ręce.

Postanowił, że tak zrobi. Nie zamknie się na wieczność w twierdzy, nie będzie cierpiał niekończących się katuszy. Odszuka żyjące w ciemności potwory i pozwoli, aby zakończyły jego nędzny żywot.

A Caroline? Obiecał, że wypełni jej zobowiązanie, że zastąpi ją wśród Rady Najwyższej. Co z tego? Ona też mu coś kiedyś obiecała i nie dotrzymała słowa! Chrzanić Caroline!

We wstecznym lusterku zauważył światła jadącego za nim samochodu. Ktoś jechał bardzo szybko, nie zważając na fatalne warunki pogodowe. Jakiś wariat, któremu obrzydło życie?

Samochód zbliżał się i blask świateł robił się coraz

intensywniejszy. Przez odgłos padającego deszczu przebił się odgłos klaksonu.

* * *

Dystans między jadącym z przodu samochodem, a jej pojazdem wyraźnie się zmniejszał, gdy nagle silnik auta wydał dziwny odgłos. Coś jakby kichnęło, parsknęło, zagruchotało. Mimo iż nadal trzymała nogę na pedale gazu, pojazd wytracił prędkość. Dotarło do niej, że silnik przestał pracować, a samochód toczy się jeszcze tylko siłą rozpędu.

– Proszę nie! – krzyknęła, patrząc jak jadący przed nią pojazd, znowu zaczyna się oddalać. Z całej siły nacisnęła na przycisk klaksonu.

* * *

Zauważył, że samochód jadący za nim zwolnił. Dystans pomiędzy nimi znowu się powiększył i tylko ten przeraźliwy dźwięk klaksonu nie dawał mu spokoju. Ktoś trąbił tak rozpaczliwie, jakby od tego zależało jego życie. Ale co go to obchodzi? Niech sobie trąbi!

Ponownie zerknął we wsteczne lusterko. Samochód został w tyle. Światła robiły się coraz mniejsze i...

Nacisnął na pedał hamulca.

* * *

Samochód Barbary zatrzymał się na drodze. Otworzyła drzwiczki i wybiegła na zalany deszczem asfalt. Zimne strugi zacinały ją z każdej strony. Stała taka przemoczona, zziębnięta i patrzyła na niknące w dali światła pojazdu.

Zadygotała z zimna, gdyż przemoczona koszula nie

chroniła ani przed deszczem, ani przed wiatrem. Usłyszała, jak z tyłu podjeżdża drugi samochód, ale nie miała siły, aby się odwrócić. Cały czas wpatrywała się przed siebie, tam gdzie odjechał ten, który był sensem jej życia.

– Barbaro! – Lucas dopadł do niej i chwycił ją w ramiona. – Boże, kochanie, co ty wyprawiasz?

Uniosła na niego twarz, na której ślady łez mieszały się z kroplami deszczu.

– Barbaro! – Zza kierownicy wysiadła Caroline i też do niej podeszła. Tuż za panną Westmoore postępowała owinięta w szlafrok Angelina.

– On odjechał – wyszeptała. – Zostawił mnie, a ja nie potrafię bez niego żyć.

Lucas nie wiedział, co powiedzieć. Trzymał Barbarę w objęciach, ale instynktownie czuł, że ona do niego już nie należy. Nie mógł zagłębić się w jej myślach, chociaż próbował, a to jeszcze bardziej go niepokoiło, gdyż nie miała na sobie ochronnego amuletu. Najdziwniejsze jednak było to, iż mimo krwi, którą ją napoił, nadal była człowiekiem. Jakim cudem?

– Nie odjechał... – Caroline pierwsza zobaczyła, idącego w strugach deszczu Rodericka. – Nic i nikt nie może was rozdzielić. Nawet ja.

Barbara odwróciła się w stronę, w którą patrzyła panna Westmoore i z trudem dostrzegła niewyraźny zarys, zbliżającej się sylwetki człowieka. Deszcz zalewał jej oczy, ale przesłoniła je dłonią i jak urzeczona, wpatrywała się w nadchodzącego. Roderick? Wrócił?

Szarpnęła się w uścisku Lucasa, próbując się wyswobodzić, ale on trzymał mocno. Za nic w świecie jej nie odda. Kocha ją ponad wszystko. Nie pozwoli jej odejść.

– Proszę, puść mnie – wyrywała się rozpaczliwie. – Proszę.

– Puść ją Lucasie. Jeszcze nie rozumiesz, co się stało?

– Rozumiem! – krzyknął, wzmacniając uścisk. – On znowu chce mi ją odebrać. Zabrał mi Elizabeth, teraz to samo chce zrobić z Barbarą! Ale nie pozwolę...

– Nie rozumiesz. – Caroline pokręciła głową. – Elizabeth i Barbara to jedna i ta sama osoba. To w ciele Barbary odrodziła się dusza twojej siostry.

– Co? – Zadrżał na te słowa. Jego uścisk zelżał tak, iż Barbara wreszcie mogła się wyswobodzić. Niczym zwierzak, zerwany z uwięzi, rzuciła się biegiem w stronę Rodericka.

– To jej przeznaczenie. – Caroline położyła dłoń na ramieniu brata. – Nie możemy z tym walczyć.

* * *

Widział Barbarę w objęciach Lucasa, oraz Caroline i Angelinę, które stały tuż obok. Szedł w ich stronę powoli, nie spiesząc się. Nie wiedział, o co chodzi, ale czuł, że stało się coś ważnego. Caroline wysłała mu przekaz myślowy, który wszystko mu wyjaśnił.

Zobaczył jak Barbara uwalnia się z uścisku Lucasa, jak zaczyna biec w jego stronę. W strugach deszczu, szarpana przez podmuchy wiatru. Przyspieszył kroku, pragnąc wyjść jej naprzeciw. Teraz i on biegł.

Te kilka chwil wydawało mu się nieskończonością. Poczul jej zapach, była już tak blisko. Nie chciał korzystać ze swych nadludzkich mocy, chciał powitać ją tak jak człowiek.

Zatrzymali się prawie równocześnie – dzieliły ich tylko dwa kroki. Stali na wprost siebie, chłonąc się nawzajem wzrokiem. Deszcz zacinał bezlitośnie, ale teraz wydawało mu się, że niebiosa płaczą ze szczęścia, nie ze smutku.

– Jesteś – wyszeptał.

– Jestem – odpowiedziała.

Padli sobie w ramiona, czując, że nareszcie pokonali wszystkie przeszkody. Lata samotności, zagubienia odeszły w niepamięć. Liczyło się tylko tu i teraz. Jego usta łąpczywie całowały jej mokre policzki, odnajdując w końcu spragnione pocałunków wargi. W tym deszczu, na tej zalanej deszczem drodze, byli najszczęśliwszymi istotami na świecie.

* * *

Lucas nie mógł na to patrzeć, odwrócił się i podszedł do samochodu, którym przyjechali. Na moment zatrzymał się przy drzwiczkach i zapytał.

– Wiedziałaś, że ona jest Elizabeth i nic mi nie powiedziałaś?

– Nie miałam pewności. Zaczęłam coś podejrzewać w Anchorage, gdy Barbara się odnalazła, ale dopiero dziś zrozumiałam wszystko. – Głos Caroline drżał od emocji. Mówiła cicho, starając się wolno dobierać słowa.

– Wiedziałaś wcześniej niż ja... Dlaczego mi nie powiedziałaś, dlaczego chciałaś, abym ją poślubił.

– Chciałam tylko twojego szczęścia.

– Szczęścia? – Parsknął śmiechem. – Jesteś bardzo zabawna. Cokolwiek robisz, kierujesz się niby dobrem innych? Jakoś ci nie wierzę. Tyle razy mnie okłamałaś, tyle razy zawiodłaś. Wybaczyłem wszystko, a ty nadal kierowałaś się tymi swoimi, głupimi zasadami. Czy wiesz, co chciałaś uczynić? Brzydzę się tobą!

– Ja...

– Naprawdę nie obchodzi mnie już nic, co jest związane z tobą! – Wsiadł za kierownicę, a Angelina natychmiast dopadła do drzwiczek z drugiej strony i pośpiesznie zajęła miejsce obok.

– Jadę z tobą!

Uruchomił silnik i wykręciwszy, skierował samochód w stronę miasta.

* * *

Stali pośrodku szosy i całowali się namiętnie, tak jakby chcieli wynagrodzić sobie każdą chwilę rozdzielenia. Nie liczył się deszcz, ani wiatr. Byli tylko oni dwoje i ich miłość. Nagle ulewa ustała, a w koło nich pojawiło się dziwne światło, jakby snop jasności spływającej z nieba. Przestali się całować. Objęci razem patrzyli, jak otacza ich milion jaśniejących niczym gwiazdy drobinek. Był to widok piękny i niezwykły zarazem. Poza okręgiem padał rzęsisty deszcz, a oni znajdowali się jakby w zawieszeniu, odgradzeni od tych zimnych strug.

– Obiecałem i dotrzymuję słowa. – W jasności pojawił się Bill. W przeciwieństwie do nich był zupełnie suchy, a jego śnieżnobiała koszula i spodnie, ostro kontrastowały z ich przemoczonymi ubraniami.

– To ty byłeś na Alasce. – Teraz już go rozpoznała i pamiętała wszystko. – Myślałam, że to tylko sen.

– Bo to był sen – przyznał z uśmiechem. – Nie mogłem ci pokazać się jako człowiek, gdyż już nim nie jestem. Przychodziłem do ciebie w snach.

– Bill – Roderick nie wypuszczając z objęć ukochanej, postąpił krok w jego stronę. – Skąd się tu wzięłeś?

– Przyszedłem, aby dotrzymać obietnicy. Pamiętasz Rodericku? Przekazałeś mi ją i powiedziałeś, że teraz jest moja. I była. Opiekowałem się nią przez cały ten czas. Dałem jej nawet swoją rodzinę. Teraz jesteśmy już połączeni na zawsze. W jej żyłach płynie moja krew. A teraz nadszedł czas, abym ci ją zwrócił.

– Kim jesteś Billu? – Granicę okręgu przekroczyła Caroline.

– Witaj. – Spojrzał na nią. – Troszkę namieszałaś, ale na szczęście prawdziwa miłość zwyciężyła.

– Kim jesteś? – powtórzyła.

– Tym, kim był twój ojciec, zanim podjął decyzję o niezależności. My, ludzie–niedźwiedzie przybyliśmy na Ziemię, aby chronić jej mieszkańców przed złem przyniesionym przez Duncana. Jesteśmy duchami światłości, zamieszkującymi krainę, gdzie ci, którzy są prawi, znajdują dla siebie przystań. Jesteśmy czystą energią, wiecznością,

nieskończonością. Jesteśmy częścią większej całości i strzeżemy odwiecznych praw. Jesteśmy, jak to mówią ludzie, aniołami. Gdy Duncan się wyłamał spośród naszych szeregów, pozwolono nam zamieszkać na Ziemi i wieść życie wśród ludzi. Abyśmy odróżniali się od zbuntowanych przedstawicieli naszej krainy, dostaliśmy również zwierzęce powłoki. Żyliśmy jak ludzie, będąc nimi, a jednocześnie jako zwierzęta, mające niezwykłą moc. Byliśmy śmiertelni, a nasza śmierć oznaczała powrót do Wiecznej Krainy. Nasze potomstwo, dziedzicząc skórę, przejmowało na siebie obowiązki zleczone przez... – zawahał się – Boga. Ale jak pamiętasz, zło potrafi zawrócić w głowie. Moi bracia wystąpili przeciwko świętym prawom. Popełnili zbrodnię, za którą zostali pozbawieni swoich mocy. Zostałem ja jeden. Barbara jest moją prawnuczką. Pierwszą kobietą od czasów Lomasi, która otrzymała dziedzictwo. Ona zmasała winy przodków. Stała się kluczem do wieczności.

– Ja? – Barbara wtuliła się w ramiona Rodericka.

– Ty. – Bill podszedł do niej i wyciągnawszy dłoń, dotknął jej twarzy. – Tak było zapisane na Zwoju Cienia, który zabrał Duncan. Dziecko zrodzone z dwóch sił ma w sobie ogromną moc. Jesteś moim potomkiem, płynie w tobie krew istot światła. W chwili gdy umierałaś Lucas, chcąc uchronić cię przed śmiercią, napoił cię swoją krwią. Dał ci jej tyle, że powinnaś stać się taka jak on. Jednak jak widzisz zmiana nie nastąpiła. Nie umarłaś, otrzymałaś dar życia, ale inny od tego, który miał się stać twoim udziałem.

Krew Lucasa jest krwią Duncana, przekazaną mu przez Caroline, czyli należy do istoty mroku. Obie te moce połączyły się w tobie, dając ci coś, co było pragnieniem wielu. Stałaś się doskonałością i kluczem otwierającym bramę niebios. Patroni myśleli, że tylko twoje dziecko będzie miało tę moc, a nie brali pod uwagę ciebie. Przeoczyli najoczywistsze. Tak miało być i tak się stało. Wszystko jest częścią wielkiego planu. Nic nie dzieje się bez przyczyny.

Wszystko jest częścią większego planu? Te słowa powtarzała Honoria. Jej Bóg istnieje, a ona o tym dobrze wiedziała. Tylko ten Bóg jest inny, niż ten, do którego modlą się ludzie. Chociaż... Nic nie dzieje się bez przyczyny...

– To kim teraz jestem? – zapytała z lękiem.

– Wybrańcem. Ty i twoje dziecko jesteście szczególne, jedyne. Łączycie w sobie oba boskie pierwiastki. Możecie pomóc wrócić tym, którzy zbłądzili, a którzy czują skruchę. Rozpoczęłaś nowy rozdział naszych losów na Ziemi, ale zanim zaczniesz swoją misję, pozwól, że najpierw doprowadzę jedną sprawę do końca, tak abyś wreszcie stała się kompletna. – Odwrócił się w bok. – Elizabeth, możesz wracać. – Na te słowa w okręgu pojawiła się postać ubrana w błękitną suknię balową.

– Elizabeth – wyszeptał Roderick, rozpoznając swoją żonę.

– Witaj. – Uśmiechnęła się do męża, jednocześnie podając dłoń Billowi, który poprowadził ją przed oblicze

Barbary.

– Oto oddaję ci twoje życie – powiedział, patrząc Elizabeth prosto w oczy. – Tak musiało się stać. Nasze dusze zostały połączone na wieki już u zarania dziejów, a tu tylko wypełniliśmy nasze przeznaczenie. Teraz to wiem. Żadna droga nie jest tak prosta, jakby się chciało, ale dziś wreszcie dotarłaś do jej kresu. Już nie musisz tęsknić i czekać – wreszcie masz to wszystko, co straciłaś, co poświęciłaś dla swoich najbliższych. Zaprawdę, powiadam ci, twoje poświęcenie nie poszło na marne.

– A co z tobą Billu? Co będzie z tobą? – Elizabeth z czułością dotknęła jego policzka.

– Ja właśnie wypełniłem swoje zadanie na Ziemi. Moje miejsce jest w Wiecznej Krainie. Wróciłem tu tylko po to, aby ci pomóc. Teraz nic mnie już tu nie trzyma.

– Czyli to pożegnanie?

– Tylko chwilowe – zapewnił, muskając wargami jej dłoń. – Nic nas nigdy nie rozdzieli. Wszyscy jesteśmy częścią składową wieczności.

– Dziękuję ci.

– Nie dziękuj. Idź i żyj swoim życiem. Zasłużyłaś na to. Bądź szczęśliwa. – Puścił rękę dziewczyny i chciał odsunąć się na bok, ale Elizabeth jednym zwinnym ruchem dopadła do niego i wspiąwszy się na palce, złożyła krótki pocałunek na jego ustach.

Jej zachowanie zaskoczyło go, ale zanim zdążył zareagować lub coś powiedzieć, Elizabeth odwróciła się w stronę Barbary i przymknąwszy powieki uczyniła ostatni

krok, dzielący ją od dziewczyny. Jej zwiewna, mglista sylwetka wtopiła się w ciało panny Bennett, stając wraz z nią jednością.

– Barbaro? – Roderick podtrzymał ukochaną, która zachwiała się tak, jakby miała zamiar upaść.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała, uśmiechając się niepewnie. W głowie lekko jej szumiało, tysiące myśli próbowało ułożyć się w sensowną całość, w której wspomnienia nie mieszałyby się z rzeczywistością, ale nie chciała pokazać przerażenia. Jest wybrańcem? Ma zacząć misję na Ziemi? Nie tego chciała! Nie o tym marzyła! Jedynym jej pragnieniem było znaleźć się u boku Rodericka. Jak ma sobie poradzić? Czy da radę? Jak teraz będzie wyglądać jej życie?

– Nie martw się tym wszystkim. – Bill jako jedyny czytał w jej myślach i odpowiedział na niezadane pytanie. – Liczy się to, że będziecie razem, że wasza miłość przewyciężyła śmierć i różnice was dzielące. – Uniósł głowę do góry i spojrzał w jasność spływającą z nieba. – A później wróćcie tam, gdzie jest wasze miejsce. Ale to już zależy tylko od was... Macie wybór. Barbara jest kluczem, który otworzy wam drzwi. Uzyskała niezwykłą moc. Wystarczy kilka kropel jej krwi, aby zwrócić ludzkie życie istocie mroku. Jeśli będziecie chcieli, możecie stać się ludźmi. Wasze winy zostaną zmasane i zaczniecie wszystko od początku. Nie mogę wam tylko zagwarantować ponownych narodzin. Wraz z waszą śmiercią tu, wróćcie do Wiecznej Krainy, lub jeśli popełnicie błędy,

skażecie się na potępienie. Ach, zapomniałbym o jeszcze jednym. – Spojrzał na Caroline. – Jesteś ostatnim, żyjącym potomkiem Duncana. Aby dar Barbary mógł zadziałać, potrzebna jest twoja zgodna na stanie się człowiekiem i powrót. Musisz dobrowolnie wrócić i ukorzyć się przed Doskonałością. Oddać całą siebie, nie patrząc na konsekwencje. Tylko to zagwarantuje, że wszyscy zesłani na wygnanie, będą mogli cieszyć się łaską.

– Co się ze mną stanie?

– A czy to takie ważne? Nie myślisz o swoich bliskich, o ich szczęściu? Cóż znaczy twoje życie w porównaniu z ich losami? Zachowasz się jak egoistka Caroline? Ulęknieś się tego, co cię czeka? A może udowodnisz, że jednak nie jesteś taka jak twój ojciec?

Taka jak jej ojciec? Nie chciała być do niego podobna, a jednak wszystko co do tej pory robiła, sprowadzało się do tego, że unieszczęśliwiała swoich bliskich. Jeśli jej poświęcenie mogłoby pomóc tym, których kochała, to powinna się zdecydować, nie patrząc na konsekwencje. Adam... Utracić go? Ale jeśli to jedyna możliwość...

– Wszystko zależy od ciebie. – Bill nie spuszczał z niej wzroku, dokładnie widząc każdą myśl dziewczyny. Wiedział, że nie jest jej łatwo, że toczy wewnętrzną walkę.

Mogła albo pomóc bliskim, albo dotrzymać słowa danego Patronom. Poświęcenie się, lub wieczne zamknięcie w twierdzy Benacantil. Co wybrać?

– Wrócę i ukorzę się przed Doskonałością. Oddam swoje życie, jeśli to jest konieczne. Jestem do dyspozycji. –

Przymknęła powieki, spodziewając się rychłego końca, ale takowy nie nastąpił. Nadal panowała cisza i nic się nie działo.

Otworzyła oczy i zobaczyła, jak sylwetka Billa rozplywa się wśród milionów srebrnych drobinek. Błyszczące punkciki pochłoneły Bennetta, po czym wszystkie razem wzbił się do góry. Jasność zniknęła, deszcz znowu zaczął padać, zalewając potokami wody, stojące na drodze trzy ludzkie postacie.

Roderick objął mocniej Barbarę i ponownie ją pocałował. Odzyskał swoją największą miłość, jedyną kobietę, która sprawiła, że znów czuł się człowiekiem. Odwzajemniła pocałunek. Wreszcie byli razem i nic nie mogło ich rozdzielić. Oni mieli pewność – wieczna miłość istnieje, nawet jeśli inni w to wątpią.

* * *

Samochód kierowany przez Lucasa minął ostatecznie, miejskie zabudowania i skręcił w drogę wiodącą na wzgórze. Jechali nad urwiskiem, pozostawiając w dole Elizabeth Town. Wreszcie dotarli na platformę widokową, która była ulubionym miejscem spotkań okolicznej młodzieży. Jednak, przy takiej pogodzie jak dziś, byli jedynymi osobami odwiedzającymi to miejsce.

Westmoore zaparkował przy barierce odgradzającej plac od przepaści i wyłączył światła. Zatonęli w zupełnej ciemności, chociaż nie sprawiało to różnicy, gdyż widzieli w mroku tak samo dobrze, jak w dzień. Deszcz uderzał o dach samochodu, potoki wody zalewały szyby. Było tak

cicho i spokojnie.

Angelina milczała, zerkając ukradkiem na Lucasa, który zacisnął obie dłonie na kierownicy i pochylił głowę, czołem dotykając chłodnej obręczy. Z jego mokrych włosów skapywały kropelki wody.

– Wiedziałaś? – zapytał w pewnym momencie.

– Nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą, gdyż Caroline wymazała jej wspomnienia. – Gdybym się dowiedziała, na pewno bym cię o tym poinformowała.

– Tak... – westchnął. – Naprawdę ją kochałem.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Odpięła pas i przysunęła się bliżej do niego. Wahala się przez chwilę, ale w końcu przemożna chęć zwyciężyła w niej i wyciągnawszy rękę, objęła go za ramiona. Nie wzbraniał się.

– Dlaczego? – Podniósł głowę, patrząc jej prosto w oczy. – Dlaczego to wszystko przytrafia się mnie? Przecież nie chciałem wiele. Chciałem tylko, aby ktoś odwzajemnił moje uczucia. Czy to tak dużo?

– Czasem pragniemy niemożliwego. Znam to uczucie, bo ja... – urwała.

– Ty... Zawsze byłaś przy mnie. Gdy cierpiałem po stracie Barbary, wspierałaś mnie i pokazywałaś, że warto dalej żyć. Teraz też jesteś ze mną.

– I będę nadal – dodała. – Od chwili, gdy cię zobaczyłam, wiedziałam, że jesteś jedynym mężczyzną liczącym się w moim życiu. Na lekcjach wpatrywałam się w ciebie, wyobrażając sobie przeróżne historie. Gdyby nie

Barbara to wszystko mogłoby się ziścić. Wtedy, tam w lesie... Pocałowałaś mnie i wiem, że to nie był zwyczajny pocałunek.

Wypuścił z rąk kierownicę i uniósłszy dłoń, odgarnął mokry kosmyk włosów z jej twarzy. Patrzył na nią, tak jakby zobaczył pierwszy raz. Regularne rysy, zgrabny nosek, jasna cera, zielone oczy. Tak inna od Barbary.

– Nie czuję do ciebie tego, co do niej. Przepraszam. – Powiódł palcem po jej policzku, zdążając do ust i obrysowując ich zarys. – Być może nigdy nie poczuję. Nie mogę ci robić nadziei na coś, czego być może nigdy nie dostaniesz.

– A jeśli mimo wszystko ja tego chcę? Jeśli godzę się na taki układ? – Sięgnęła do troczków szlafroka, którymi była przewiązana i rozsypała je. Rozchyliła materiał, ukazując Lucasowi nagie ciało.

– Przestań! – Próbował ją powstrzymać. Złapał za poły szlafroka i zakrył Angelinę, ale ona nie rezygnowała. Położyła dłonie na jego klatce piersiowej i ostrożnie zaczęła rozpinać guziczki mokrej koszuli. – Myślisz, że jestem zupełnie bez serca? Dopiero straciłem dziewczynę, a ty spodziewasz się, że będę się z tobą kochał? Ja jutro miałem wziąć ślub! Rozumiesz! Miałem zacząć nowe życie. Miałem mieć rodzinę! I nie mam nic...

– Masz mnie, a ja nigdy cię nie opuszczę. Byłam, jestem i będę przy tobie. Odpychaj mnie, jeśli właśnie tego chcesz, ale któregoś dnia, zrozumiesz i przyjdiesz do mnie. A ja będę na ciebie czekać. Zawsze będę czekać.

– Angelino! – Chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął. – Dlaczego Angelino?

Stracił Barbarę, która tak naprawdę była kimś zupełnie innym – jego siostrą. Elizabeth... Przeznaczenie się wypełniło. Znowu była ze swoim Roderickiem. Kolejny raz Robillard wtargnął do jego życia i zburzył spokój. Odebrał wszystko, co najcenniejsze. Nawet Caroline ponownie zawiodła. Został sam, zupełnie sam. Wieczność w pojedynkę – to nie jest najlepsze rozwiązanie. Ale przecież miał Angelinę. To nie była miłość, nie taka jak do Barbary, ale musiał przyznać, że od momentu, gdy panna Stewart pomogła mu podnieść się, gdy pogrążył się w rozpacz, patrzył na nią zupełnie inaczej. Pamiętał ten pocałunek w lesie i wiedział, że gdyby nie telefon od Adama, wydarzyłoby się wtedy więcej. Czy żałowałby tego? Był pewien, że nie.

– Bo cię kocham!

Westchnął i puścił jej ramiona. Jego ręce bezwładnie opadły w dół. Nie miał siły z tym walczyć. Dziś było jeszcze za wcześnie, aby miał jej ulec, ale być może w przyszłości... Kto wie... Mieli przecież przed sobą całą wieczność.

– Jeśli poczekaś...

– Poczekać – zapewniła. Już wiedziała, że pośpiech przy nim nie jest wskazany, że tylko mógłby go do niej zniechęcić. Oparła się o fotel i na powrót zawiązała troczki przemoczonego szlafroka. Zapatrzyła się na strugi wody spływające po szybie.

Nie mógł przestać myśleć o Barbarze. Zdradziła go, oszukała, ale przecież nie była temu winna. To przeznaczenie pokierowało jej losami. To ślepy los sprawił, że dusza Elizabeth odrodziła się w jej ciele. Ze wszystkich kobiet na świecie właśnie w niej. Przeklinał dzień, w który spotkał ją na zalanej deszczem drodze, kiedy zgodził się podwieźć ją do szkoły. Od razu dostrzegł jej oczy – tak bardzo podobne do oczu Elizabeth. Dlaczego jednak nie wzbudziło to w nim żadnych podejrzeń? Dlaczego był aż tak mało spostrzegawczy?

I później, gdy prawie zginęła z rąk Nata... Roderick zjawił się w odpowiednim momencie, aby ją uratować. Tak jakby było mu to pisane. Raz ocalił Elizabeth w lesie przed wilkiem, drugi raz w kaplicy, zapobiegając ślubowi z Duncanem. Po półtora wieku później, ponownie przybył z odsieczą. Nawet na Alasce to nie Lucas, ale Robillard wydierał ją ze szponów śmierci. Za każdym razem on. Była mu sądzona. Wyroków niebios nikt nie ma prawa zmieniać.

A jeśli jego przeznaczeniem jest Angelina? Spojrzał na jej zamyśloną twarz i poczuł dziwny spokój. Świadomość, że jest u jego boku, dodała mu pewności. Odpęrzył się i popatrzył na szybę.

– I co, długo będziemy tak siedzieć? – zapytała cicho.

– Aż przestanie padać – odpowiedział, lecz nie chodziło mu o deszcz. Czasem płacze się bez łez, a ból jest wtedy jeszcze większy. Jego dusza wyła z rozpacz. Czuł, że te krople spływające po szybie to łzy, wydobywające się

z głębi jego serca.

* * *

Dochodziła godzina dwudziesta czwarta, gdy samochód Rodericka zatrzymał się przed domostwem Bennetów. Deszcz nadal padał, a błyskawice raz po raz przecinały niebo. Porywisty wiatr pochylał gałęzie drzew.

– Jesteś pewna, że dzisiejszą noc chcesz spędzić tutaj?
– zapytał, zerkając na siedzącą obok Barbarę. – Wolałbym już nigdy nie rozstawać się z tobą.

– Muszę porozmawiać z ciocią i jej wyjaśnić – westchnęła. – Przecież jutro miałam wziąć ślub. Wszystko jest przygotowane...

– Chcesz, abym poszedł z tobą?

– Lepiej nie. – Pokręciła przecząco głową. – Lepiej będzie, jak sama to zrobię. Dam sobie radę bez twoich magicznych sztuczek.

– Boję się o ciebie. – Przyciągnął ją do siebie. – Boję się, że jak tam wejdiesz, znowu cię stracę.

– Zupełnie niepotrzebnie. – Pogładziła go po policzku.
– Przecież już wiesz, że nic nas nie rozdzieli. To tylko jedna noc.

– Ale z samego rana przyjeżdżam po ciebie i zabieram stąd – zaznaczył z mocą. – Nie chcę dłużej czekać. Ty i Hope musicie być ze mną.

– Będziemy. – Odsunęła się i otworzywszy drzwiczki, wysiadła. Roderick błyskawicznie wyskoczył z samochodu i znalazłszy się przy niej, złapał ją w objęcia. Nie zwracał uwagi na strugi deszczu, gdyż i tak byli już

oboje przemoczeni.

– Do rana – szepnęła, całując go w policzek i wyswobadzając z uścisku. Odeszła od niego dwa kroki, gdy na werandzie zapaliło się światło i w progu pojawiła się Alena, ubrana w brązowy szlafrok.

– Barbara? – Ze zdziwieniem popatrzyła na dziewczynę, którą okrywała jedynie przemoczona, lepiąca się do ciała męska koszula. – Co ty wyprawiasz? Jak ty wyglądasz? Wiesz, która jest godzina? Jutro wychodzisz za mąż! Nie stój tak na tym deszczu, bo jeszcze dostaniesz zapalenia płuc!

Roderick bez słowa ponownie zasiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwiczki. Przez moment obserwował swoją ukochaną wchodzącą do domu i Alenę, która spojrzała w jego stronę z nieukrywaną wrogością. Wyczuł, że boi się o Barbarę i nawet ją rozumiał – w końcu sam cały czas się o nią lękał.

Uruchomił silnik samochodu i wykręcił do tyłu. Koła grzęzły w rozmokłej nawierzchni, chlapiąc błotem. Przejechał obok cmentarza i wyjechał na asfaltową szosę.

* * *

Caroline biegła przez ciemny las. Miała dość wszystkiego, a przede wszystkim samej siebie. Jak mogła zachować się tak głupio? Jak mogła myśleć, że uda się jej rozdzielić wieczną miłość? Zrobiła coś strasznego, coś niewybaczalnego. Wiedziała, że sama sobie nie będzie potrafiła wybaczyć.

Najgorsze w tym wszystkim było to, iż zdradziła

swoich najbliższych. Oszukała Lucasa i Barbarę, manipulowała umysłami innych. Czym się kierowała, bo chyba jednak nie szczęściem Lucasa. Zrozumiała, że łącząc go z Barbarą, która w poprzednim wcieleniu była Elizabeth, jego siostrą, sprawiłaby mu tylko więcej bólu. Gdyby się kiedyś dowiedział, gdyby prawda wyszła na jaw... Skąd miała wiedzieć, że panna Bennett jest wybrańcem?

Być człowiekiem. O tak! Znowu się nim stać! Mieć zwykłe, normalne życie, które kiedyś się kończy. Śmiertelnicy marzą o nieśmiertelności, istoty, które są wieczne, zazdroszczą ludziom ich krótkiego żywota. Wieczność to nie tylko pasmo szczęścia, to przede wszystkim niekończące się cierpienie i ciągła tułaczka. Ci, których kochasz przemijają, miejsca, które znasz przestają istnieć lub ulegają całkowitej przemianie. Ulubione kawiarnie, kina, teatry... Przechodzisz obok i widzisz, że tam, gdzie jeszcze niedawno stały, znajdują się już inne budowle. Zostają wspomnienia, które tylko pogłębiają ból i tęsknotę.

A co potem? Co czeka ją po powrocie do Wiecznej Krainy? Unicestwienie? Uwięzienie? Może wieczne cierpienie, będące zapłatą za winy ojca? Ale czy to istotne? Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Zasłużyła na to i z pokorą przyjmie wyroki bogów.

Przystanąła pod drzewem, wsłuchując się w odgłosy grzmotów. Burza. Błyskawice cięły niebo, sprawiając, że mrok nocy stawał się dniem. W lesie panowała cisza. Nie było słychać żadnych zwierząt. Tylko jednostajny szum deszczu – stukot kropel, uderzających o konary i liście

drzew.

Osunęła się na kolana, nie bacząc na to, że jej mokra sukienka cała ubrudzi się błotem. Ukryła twarz w dłoniach i szlochała spazmatycznie, uwalniając ze swego wnętrza wszystkie pokłady nagromadzonych uczuć.

* * *

Roderick wysiadł z samochodu i po marmurowych schodach wbiegł na górę. Wyciągnął z kieszeni klucz i spróbował włożyć go do zamka, gdy nagle spostrzegł, że drzwi nie są zamknięte. Niewielka szpara między futryną wskazywała na to, iż ktoś je otworzył i nie domknął.

Zaczął węszyć, ale nie rozpoznał żadnych dziwnych zapachów. Czyżby sam tak lekkomyślnie pozostawił uchylone drzwi? Ale przecież opuszczając dom trzasnął nimi tak, że było to słychać. Może to Angelina?

Pchnął drzwi i wszedł do środka. Przystanął w progu, rozglądając się dookoła. Nadal nie zauważył niczego dziwnego, ani nie wyczuł zagrożenia. W tej chwili przeniósł wzrok na portret Elizabeth i aż jęknął, gdy zobaczył, co zostało z malowidła. Całe płótno zostało pocięte jakimś ostrym narzędziem i teraz smętne płaty, zwieszały się z nietkniętej ramy i zaścielały podłogę.

Podszedł bliżej i ostrożnie podniósł jeden ze strzępów. Smutne, niebieskie oczy, pozbawione reszty twarzy, zdały się patrzeć prosto na niego.

– Kogóż my tu mamy? – Usłyszawszy niespodziewanie kobiecy głos, wypuścił z dłoni kawałek płótna i odwrócił się w stronę, skąd dobiegał. Na tle wejścia do

salonu, rozświetlona z tyłu błyskawicami, widocznymi przez znajdujące się za nią okno, stała postać, którą od razu rozpoznał. Lady Ramsey.

– Katherine? – Rzucił się do niej, ale nie zdołał dobiec, gdyż kobieta wyciągnęła przed siebie lewą rękę i niezwykłą mocą odepchnęła go od siebie, rzucając z całym rozmachem o przeciwległą ścianę.

– Jak to miło, że tym razem mnie poznałeś – roześmiała się, postępując ku niemu. – Ale dla przypomnienia powiem ci, że moje prawdziwe imię brzmi Briangan. To imię nosiłam, gdy zabiłeś mego męża i rozdzieliłeś mnie z synami!

– Czego chcesz? – Spróbował się poruszyć, jednak miał wrażenie, że przytłacza go niezwykłych rozmiarów ciężar, który uniemożliwia wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Mógł tylko stać, przyciśnięty do ściany i patrzeć jak lady Ramsey, cały czas trzymając wyciągniętą przed siebie lewą rękę, podchodzi do niego coraz bliżej.

– Chciałam sprawdzić, jak się będziesz czuł, gdy odbiorę ci to, co ty odebrałeś mnie. Portret twojej żony był zabytkowy? Oj jaka szkoda, chyba właśnie został zniszczony. – Prawą dłoń skierowała w stronę resztek portretu i momentalnie płótno zajęło się ogniem. Płomienie bezdusznie pożerały dzieło rąk Billa, nie oszczędzając i ramy. Co dziwne nie zapaliło się nic więcej oprócz obrazu.

– Myślisz, że mnie tym zraniłaś? – zadrwił. – To tylko portret.

– Zgadza się. – Opuściła obie ręce i Roderick upadł na

posadzkę. – Mam jednak nadzieję, że to, co stanie się z twoją ukochaną... Jak jej tam? Barbarą? Mam nadzieję, że to cię zaboli. Że zrozumiesz, co ja czułam, gdy odebrałam mi męża i synów...

– Nie mieszaj jej w to! Ona w niczym nie zawiniła! Duncan był potworem, nie zasługiwał na życie! – Jakże się cieszył, że Barbara nie przyjechała z nim do domu. Jakby ją ochronił?

– Nie tobie decydować, kto jest potworem, a kto nie! – Zdenerwowała się i ponownie wskazała na niego ręką, powodując, że niewidzialna obręcz zacisnęła się na jego szyi, osłabiając wszystkie moce, jakimi dysponował. Znowu czuł się bezradny i wydany na jej łaskę. – Barbara miała szczęście, twoi przyjaciele ją uratowali. Wiem o wszystkim, jest was tu więcej. To będzie niezła zabawa. Najpierw ponownie odwiedzę twoją wybranekę i urządzę sobie małe przedstawienie. Samochód nie zdał egzaminu, ale co powiesz na pożar? Miłe, ciepłe płomienie, które strawią wszystko. Ogień unicestwia całkowicie. Pamiętasz? Spaliłeś mego męża. Żył jeszcze, gdy podłożyłeś ogień... Twoja Barbara przeżyła wypadek, ale z płomieniami nie wygra.

– To byłaś ty? Ty spowodowałaś wypadek? – Czuł wściekłość, która ogarniała wszystkie jego zmysły. Dlaczego nie zabił jej przed wiekami? Powinien wcześniej wyzbyć się swoich ludzkich uczuć. Oszczędził ją, zwiódł go jej udawany strach, rozpacz. Śmierć zamienił na dożywotnie uwięzienie. Skąd mógł wiedzieć, że Briangan

przeszła na ciemną stronę?

– Ja we własnej osobie. – Zatrzymała się tuż przy nim i trąciła nogą jego bezwładne ciało. – A później zabiorę się za twoich przyjaciół. Cóż, nasza świętoszkowata, kiepska egzorcystka na razie ma chwilę wytchnienia, ale i na nią przyjdzie pora. Na początek zajmę się bękartem Duncana i tą drugą uroczą blondynką oraz przystojniakiem, który za bardzo za tobą nie przepada. Może nawet namówię go na współpracę? W każdym razie ty będziesz to wszystko obserwował i cierpieć, tak jak ja cierpiełam.

– Wiesz Katherine, a może Briangan... Nieważne... Wiesz, twój plan jest genialny, tylko jednego nie wzięłaś pod uwagę.

– A to niby czego? – Kolejny kopniak dosięgnął jego ciała. Najwyraźniej napawała się swoją władzą nad tą niezwyciężoną przeciwieństwem istotą.

– Honorii – spojrzał jej prosto w oczy i chociaż nie mógł narzucić swojej woli, ani zobaczyć jej myśli, był pewien, że coś na kształt strachu pojawiło się na pięknej twarzy demonicy.

– Tej starej wariatki z różańcem? – Zaśmiała się upiornie. – Przecież jej tu nie ma i nie pomoże ci z tymi swoimi świętymi sztuczkami.

– Owszem jej nie ma, ale dzięki niej ja potrafię to. – Zaczerpnął powietrze i nie spuszczał z niej wzroku, zaczął recytować tekst, którego nauczył ich ojciec Ignacio. – *Exorcizo te, immundissime spíritus, omnis incúrsio adversáarii, omne phantasma, omnis légio, in nómine Dómini*

nostrī Jesu Christi eradicāre, et effugāre ab hoc plāsmate Dei.

– Natychmiast przestań! – krzyknęła, cofając się do tyłu, ale on nie zamierzał jej słuchać. Niewidzialna obręcz ściskająca jego szyję zniknęła i poczuł powracające moce. Podciągnął się do pozycji siedzącej, a następnie podpierając się rękoma, wstał, nie zaprzestając przy tym recytacji.

– Ipse tibi imperat, qui te de supérnis ccaelórum in inferióra terrć demérgei prccépit. Ipse tibi imperat, qui mari, ventis et tempestátibus imperávit. Audi ergo, et time, sátana, inimice fidei, hostis géneris humáni, mortis addúctor, vitć raptor, justitić declinátor, malórum radix, fomes vitiórum, sedúctor hóminum, próditur géntium, incitátor invidić, origo avaritić, causa discórdić, excitátor dolórum: quid stas, et resistis, cum scias, Christum Dóminum vias tuas pérdere? Illum métue, qui in Isaac immolátus est, in Joseph venúndatus, in agno occísus, in hómine crucifixus, deinde inférni triumphátor fuit.

– Zamknij się! – Zatkęła uszy dłońmi, a z jej ust zaczęła się wydobywać żółta piana. Krzyk lady Ramsey przerodził się w upiorne wycie. Miotęła się po holu, tracąc orientację, gdzie się znajduje i gdzie może szukać ucieczki. Jej stopy plętały się, tak jakby chodzenie stało się niezwykle trudną umiejętnością. Obijała się o ściany, zataczała niczym pijana i cały czas krzyczała. Chroniące ją zaklęcie traciło moc. Znak wytatuowany na ciele zajaśniał niezwykłym blaskiem, przeświecając przez ubranie.

Roderick z kieszeni spodni wyjął mały flakonik

i odkręciwszy nakrętkę, chlusnął jego zawartością na kobietę. Świecona woda w zetknięciu z jej skórą wydała nieprzyjemny świst, przypominający skwierczenie przypalanego mięsa. Katherine zawyła z jeszcze większą siłą. Dusza demona ostatkiem sił trzymała się jeszcze tego wątłego ciała.

– *Sequentes crucis fiat in fronte obsessi. Recéde ergo in nómine Patris, et Fílii, et Spíritus Sancti: da locum Spíritui Sancto, per hoc signum sancté Crucis Jesu Christi Dómini nostri: Qui cum Patre et eódem Spíritu Sancto ...*

W tym momencie drzwi wejściowe otworzyły się i do pomieszczenia wpadła przemoczona Caroline. Kosmyki włosów obklejały jej twarz, a resztki makijażu zostawiły na policzkach ciemne smugi. Bez chwili namysłu dobiegła do miotającej się nieprzytomnie lady Ramsey i nim Roderick zdołał ją powstrzymać, zadała cios, zagłębiając swoją rękę w jej piersi.

Katherine znieruchomiała, po czym bezwładnie osunęła się na ziemię. Caroline stała nad jej ciałem, trzymając w zaciśniętej, zakrwawionej dłoni jej serce.

– *Vivit et regnat Deus, per ómnia sćcula sćculórum. Amen.* [1] – dokończył Roderick, podchodząc do zwłok, leżących na marmurowej posadzce. Ostatni członek rodu Duncanów został unicestwiony. Miał nadzieję, że egzorcyzm zadziałał i zły duch, opuścił to sponiewierane ciało. Musiało się tak stać, gdyż moc demonicy nie ochroniła jej przed atakiem Caroline. Wtedy w Alston nie dał rady pokonać Katherine, gdyż chroniły ją czary. Dziś najwyraźniej

jej magia osłabła.

Pochylił się i rozchylił kołnierzyk jej bluzki. W miejscu gdzie uprzednio miała wytatuowany magiczny znak, obecnie znajdowało się wypalone miejsce. Co ciekawe spalona była tylko skóra, materiał tkaniny ją okrywającej pozostał nienaruszony.

Wyprostował się i przeniósł wzrok na Caroline. Dostrzegł zakrwawiony strzęp, będący sercem, ściśnięty teraz w dłoni dziewczyny. Lady Katherine Ramsey była tylko niewinną ofiarą, kimś, kto przez przypadek znalazł się na drodze demona. W pewien sposób nawet jej współczuł. Ktoś podjął za nią decyzję i pozbawił własnej świadomości. Gdyby dokończył rytuał, zanim interweniowała panna Stewart, być może Katherine miałyby szansę na normalne życie. Być może... Czy jednak demoniczna dusza nie wyrządziła szkód w jej umyśle? Może to i lepiej, że stało się właśnie tak.

– Musimy spalić ciało – wydał krótkie polecenie, będąc pewnym, że Caroline pomoże. Tym razem chciał zająć się o wszystkie szczegóły, tak aby nic w przyszłości nie zagroziło jego najbliższemu. Miał nadzieję, że to ostatni problem stojący na drodze ku ich szczęściu. Teraz liczył już tylko na zwykłe, normalne, ludzkie życie.

[1] Pełny tekst polskiego przekładu: *Zaklinam cię przez Boga żywego, przez Boga prawdziwego, przez Boga świętego, duchu nieczysty, wrogu wiary, nieprzyjacielu rodzaju ludzkiego, sprawco śmierci, ojczyźnie kłamstwa, korzeniu zła, zwodzicielu ludzi, zarzewie cierpień. Zaklinam*

cię, złośliwy smoku, w imię naszego Pana Jezusa Chrystusa, odstęp precz od tego Bożego stworzenia. Nakazuje ci to sam Chrystus, który z wyżyny niebios strącił cię do podziemnych otchłani. Nakazuje ci to Chrystus, któremu morze, wichry i nawałnice były posłuszne. Nakazuje ci to Chrystus, odwieczne Słowo Boże, które stało się ciałem; Chrystus, który dla zbawienia ludzkości zgubionej przez twoją nienawiść, unżył samego siebie i stał się posłuszny aż do śmierci. Uchodź przed Tym, który w Izaaku został ofiarowany, w Józefie sprzedany do Egiptu; zabity jako baranek i ukrzyżowany jako człowiek, a potem jako zwycięzca powstał z otchłani. Ustąp miejsca Chrystusowi, na którego nie miałeś żadnego wpływu. Ugnij się pod wszechmocną prawicą Boga, nich cię przerazi i odpędzi wezwanie przez nas świętego imienia Jezusa, przed którym drżą mieszkańcy otchłani, któremu poddane są Moce niebios, Potęgi i Panowania; którego Cherubini i Serafini wychwalają nieustannymi hymnami uwielbienia, śpiewając Święty, Święty, Święty Pan Bóg Zastępów. Odejdź więc w imię Ojca + i Syna, + i Ducha + Świętego. Ustąp miejsca Duchowi Świętemu przez ten znak świętego Krzyża + naszego Pana Jezusa Chrystusa, który żyje i króluje na wieki wieków. Amen.

ŁZY SZCZĘŚCIA, ŁZY ROZPACZY

Barbara wykąpała się i wysuszyła, po czym założyła niebieską piżamę. Jeszcze przez moment stała przed lustrem, patrząc na swoje oblicze i rozpamiętując wydarzenia dzisiejszego dnia. W jej umyśle kłębiło się tyle nieznananych do tej pory wspomnień. Wszystkie kolejne wcielenia od czasu, gdy była Elizabeth. Wtedy musiała narodzić się po raz pierwszy, jako część niezwykłego planu. Teraz już rozumiała, że każdy jej krok, każde zdarzenie z przeszłości, było wcześniej ustalone. Właściwie nie miała wpływu na całe swoje życie, w każdym z wcieleń.

Nigdy nie była szczęśliwa. Zawsze brakowało jej czegoś, czego nie potrafiła określić. Życie na farmie w Idaho nie należało przecież do najgorszych: jedyna córka zamożnego farmera cieszyła się względami wszystkich okolicznych młodzieńców. Zakochała się i dokonała wyboru, zaakceptowanego w pełni przez ojca. Cóż z tego? Jack okazał się człowiekiem nieodpowiedzialnym, rozrywkowym, nie stroniącym od kobiet i hazardu. Bardzo szybko stracił majątek, jaki otrzymała od ojca. Gdy umierała, wydając na świat swoje pierwsze dziecko, on bawił się w mieście, nie przejmując zupełnie losem żony ani syna.

Kolejne wcielenie było równie tragiczne. Londyn z przełomu wieków. Szara, biedna uliczka, przesiąknięta zapachem starych ryb i zatechłych ekskrementów. Z tego życia pamiętała przejmujące zimno i wieczny głód. Była

dzieckiem, niekochanym, samotnym, błakającym się po ulicach. Nie zdążyła dorosnąć. W pewien sposób śmierć okazała się wybawieniem.

Ze swych poprzednich żyć, szczególnie pamiętała przedostatnie. Znowu bieda i nieszczęśliwe dzieciństwo. Później szybki ślub z chłopakiem, którego nawet nie kochała. Cztery lata trwało to niezbyt udane małżeństwo. Pracowała ciężko, czekając na cud, który faktycznie nastąpił. Ktoś ją dostrzegł, zachwycił się urodą. Zaczęła pozować do zdjęć. Później pojawiła się propozycja występu w filmie. To były małe rólki, nic ciekawego nie wnoszące, ale maszyna już się zaczęła kręcić, a ona stała się jednym z jej trybików. Sama nawet nie wiedziała kiedy, okrzyknięto ją gwiazdą, a niewielkie epizody przemieniły się w pierwszoplanowe role.

Jej życie zmieniło się. Miała pieniądze, rzesze fanów, mężczyzn, którzy na jedno jej skinienie gotowi byli obсыпать ją brylantami. Ale żaden z nich nie potrafił jej dać tego, czego naprawdę pragnęła. Kolejne małżeństwa były próbą uchwycenia czegoś ulotnego. Próbą nieudaną. Najpiękniejsza kobieta świata – jak o niej mówiono, była tylko zagubioną, samotną dziewczynką. Nie znalazł się nikt, kto obdarzyłby ją prawdziwym uczuciem, kto pomógłby jej odnaleźć sens życia. Nie miała już sił na dalszą walkę. Zamknęła się w swojej sypialni i zażyła całe opakowanie środków nasennych. W przypiływie lęku sięgnęła po słuchawkę telefonu, aby zadzwonić i pożegnać się z tym, który jako ostatni złamał jej serce. Nie zdążyła wybrać

numeru.

Rozmyślenia Barbary przerwał płacz Hope dobiegający z sypialni ciotki. Wyszła ze swego pokoju i cicho przemknęła do pokoju Aleny. Ostrożnie otworzyła drzwi. Obawiała się rozmowy z ciotką, ale zdawała sobie sprawę, że to konieczne. Gdy wróciła dziś w nocy do domu, Alena nie wypytywała jej o szczegóły zniknięcia tuż przed rozdaniem dyplomów, tylko kazała jak najszybciej doprowadzić się do porządku i wysuszyć. Barbara była jej nawet za to wdzięczna, bo miała chwilę czasu, aby wszystko sobie ułożyć. Nie chciała okłamywać ciotki, wiedząc, że nadszedł moment, aby zdecydować się na szczerłość. Tylko jak przekazać starszej kobiecie tak szokujące fakty? No cóż, jakoś będzie musiała to zrobić.

Alena stała przy oknie i tuliła w ramionach płaczące dziecko, ale słysząc skrzypienie drzwi, odwróciła się do wejścia.

– Nie śpisz? – zdziwiła się, patrząc na dziewczynę. – Jutro jest twój wielki dzień. Musisz wyglądać na wypoczętą.

– Ja właśnie w związku z tym... – Zbliżyła się do ciotki i odebrała od niej maleństwo. Hope momentalnie przestała płakać, a na jej twarzączce pojawił się wyraz zadowolenia. – Chciałam z ciocią porozmawiać...

– Boisz się ślubu? Lucas mi mówił, że nie pojawiłaś się na rozdaniu dyplomów, bo chciałaś wszystko jeszcze raz przemyśleć. Masz wątpliwości? – Alena usiadła na brzegu łóżka. – To całkiem normalne uczucie. Ja też się

bałam, chociaż gdy wychodziłam za mąż, byłam o wiele starsza od ciebie. Jeśli się kochacie, to przetrwacie każdą zawieruchę. Ja nie ingeruję w twoje życie, Barbaro. Nie powiedziałam nic, jak zobaczyłam cię dziś w tej męskiej koszuli... Nie wiem co robiłaś, ale ci ufam. W życiu najważniejsza jest miłość i zaufanie i jeśli je macie do siebie, to....

– Właśnie o to chodzi. – Wpatrywała się w twarzyczkę Hope, unikając kontaktu wzrokowego z Aleną. – Ja nie kocham Lucasa!

– Co? – Ciotka pobladła. – O czym ty do cholery mówisz? – Musiała być bardzo wzburzona, gdyż zabluzniła, co nie było w jej zwyczaju. Ta starsza kobieta zawsze przykładała dużą wagę do zasad kulturalnego wysławiania się i tępiła używanie słów niecenzuralnych.

– Nie kocham go tak, jak powinno kochać się męża – zaczęła wyjaśniać. – Jest dla mnie jak brat.

– Jak brat? Przecież macie dziecko!

– Hope nie jest jego dzieckiem! – Wreszcie to powiedziała. Wreszcie wyrzuciła z siebie prawdę. Niepewnie zerknęła na ciotkę, która przyglądała się jej niczym kosmicie z odległej planety.

– Boisz się, więc wymyślasz niestworzone historie. – Alena podniosła się, po czym podeszła do Barbary. – Wszystko będzie dobrze. Naprawdę będzie dobrze. Zobaczysz, weźmiecie ślub i.....

– Ale ja go nie kocham – powtórzyła z rozpaczą. – Hope jest córką Ericka.

– Żartujesz? Proszę powiedź, że żartujesz!

– Mówię prawdę. Hope jest córką Ericka Robillarda i to jego kocham.

– Robillarda? On jest potomkiem założycieli... Tych... – umilkła uzmysławiając sobie, kim naprawdę może być Erick. – To z nim byłaś na Alasce i to on cię dziś odwiózł, prawda? Wy chyba nie wymyśliliście tego porwania? Nie moglibyście być aż tak perfidni... – Nagle coś ją tknęło.

– Nie ciociu, nie wymyśliliśmy tego. Porwanie było prawdziwe, a później na Alasce... Ja i Erick... – umilkła nie mogąc zdobyć się na powiedzenie tego, co stało się podczas zimowych miesięcy na śnieżnym odludziu. – Wreszcie zrozumiałam, jak bardzo go kocham i że tylko z nim mogę być.

– Ty i ten Erick... Wy razem? To wasze dziecko? Więc czemu wmówiłaś Lucasowi coś innego? Dlaczego go okłamałaś?

– On wiedział – pochyliła głowę – wiedział, że Hope jest córką Ericka. Nigdy nie łączyło mnie nic z Lucasem. Po prostu był przy mnie i...

– O Boże! Jeśli znał prawdę, a mimo to trwał przy twoim boku, nie zważając na konsekwencje, jakie go za to czekają, to znak, że żywił do ciebie szczere uczucia. A ty go zwodziłaś. Mamiłaś... Obiecywałaś coś, czego nie byłaś w stanie dać. O mój Boże... Jak mogłaś? I po co, jeśli kochałaś innego? Nie byłaś pewna tamtego, prawda? Nigdy ci nie powiedział, że chce być z tobą. Zostawił cię

w szpitalu i odszedł... A teraz pojawił się ponownie i znowu zawrócił ci w głowie. Dla niego chcesz wystawić na pośmiewisko osobę, która nieba by ci przychyliła? Nie pomyślałaś, jak będzie czuł się Lucas? Powiedz, co z nim? Czy wzięłaś jego uczucia pod uwagę? – Alena wyglądała na zrozpaczoną. Zastanawiała się, jak ma zachować się, co zrobić. Barbara wyznała jej straszną prawdę, coś tak okropnego, że aż bała się o tym myśleć. Oszukała Lucasa, zniszczyła mu reputację i przyczyniła się do tego, że zwolnili go z pracy. Jak tak mogła?

– Lucas zrozumie. – Przytuliła córeczkę. – Nigdy nie moglibyśmy być razem. Moje przeznaczenie to Erick.

– O Boże! I co my zrobimy? – Alena załamała rękę. – Wszystko jest gotowe, jutro zaczną schodzić się goście... Jak im o tym powiemy? Nie spodziewałam się tego po tobie. Wydawałaś się taka grzeczna, zagubiona. Nawet było mi ciebie żal. Nigdy nie przypuszczałam, że mogłabyś zrobić coś takiego! Taki wstyd! Taki okropny wstyd! – Nerwowo zaczęła krążyć po pokoju.

– Przepraszam, że ciocię zawiodłam. Powinnam już dawno temu wyznać prawdę, ale tak jak ciocia powiedziała, bałam się, że Erick nie odwzajemnia moich uczuć. Nie chciałam być sama. Tak bardzo się bałam... Nikt nie mógł mi pomóc. Ani ty, ani Adam. Kłamałam, oszukiwałam, ale sama chciałam w to wierzyć. Próbowałam, naprawdę próbowałam. Gdyby nie Alaska... Tam wiele się wydarzyło. Byłam z Erickiem sam na sam i wtedy zrozumiałam, że mogę należeć tylko do niego. Jeśli kochałaś

kogoś ciociu... jeśli kochałaś mego dziadka, to powinnaś mnie zrozumieć.

– Jak śmiesz porównywać swoje grzeszne uczucie do tego, co połączyło mnie i Martina? – Ciotka podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. – Opuść ten pokój, bo nie mogę dłużej na ciebie patrzeć. Mierzi mnie twój widok. Oszukałaś nas wszystkich!

– Przepraszam. – Położyła dziecko do kołyski i wolnym krokiem ruszyła w stronę wyjścia.

– Myślisz, że zwykle przepraszam załatwi sprawę? Nie będę ingerować w twoje życie, ale wiedz, że postępujesz wielce nagannie. Jak ja spojrzę ludziom w oczy? Ale co to ciebie obchodzi? Lucas tu dziś był. Tak bardzo martwił się o ciebie i tak przejmował się tym maleństwem. Nigdy cię nie zrozumiem i nie wybaczę!

– Zrozumiesz, kiedy poznasz całą prawdę. – Zatrzymała się przed otwartymi drzwiami i zdecydowanym ruchem zamknęła je. Musiała powiedzieć ciotce wszystko.

– Co robisz? Miałaś wyjść!

– Wyjdę, ale najpierw opowiem ci pewną historię. Dawno temu, w dziewiętnastowiecznej Anglii przysłała na świat pewna dziewczynka, której rodzice dali na imię Elizabeth...

* * *

Barbara położyła się spać dopiero o godzinie czwartej rano, gdyż po zakończeniu długiej opowieści musiała jeszcze odpowiedzieć na pytania ciotki. Całe szczęście, że Hope zasnęła i spokojnie przespała cały ten czas. Alena

była zaskoczona usłyszana, niezwykłą historią, ale nie miała powodów, aby w nią wątpić. Martin zdradził jej sekret Robillardów i wiedziała, kim jest obecny właściciel majątku, który zjawił się w Elizabeth Town w zeszłym roku. Martin kazał chronić Robillardów i ich przyjaciół, a ona chociaż nie posiadała odpowiedniej mocy, była gotowa spełnić polecenie swego męża.

Barbara zakochała się w Rodericku, była nowym wcieleniem jego żony. Lucas, mężczyzna którego miała poślubić, okazał się jej bratem z poprzedniego życia. To wszystko wydawało się zbyt skomplikowane, jak na rozum zwykłego śmiertelnika, a Alena była przecież tylko człowiekiem. Jeśli bogowie zaplanowali taki scenariusz, to ona nie miała prawa w to ingerować. Zaprawdę ścieżki ludzkich losów są czasem tak zagmatwane.

Zanim się rozstali, ustaliły, że rano odwołają ceremonię zaślubin, a przybyłych gości zaproszą na przyjęcie, które już przecież było gotowe. Barbara wróciła do swojego pokoju, zaś Alena została we własnej sypialni razem z Hope, która słodko spała w kołysce.

Barbara po długiej i obfitującej w wydarzenia nocy, nie czuła jednak zmęczenia. Leżała w łóżku, przewracając się z boku na bok i nie mogąc zasnąć. Natłok informacji skutecznie uniemożliwiał jej zapadnięcie w sen. Z ulgą powitała brzask. Po deszczowej, burzowej nocy, poranek był trochę chłodny, ale na niebie nie widać było ani jednej chmurki. Pierwsze, nieśmiałe promienie słońca czule muskały mokłą ziemię, osuszając ją swoim ciepłem. Dzień

zapowiadał się słoneczny i pogodny.

Wstała po cichutku i umywszy się, ubrała długie, jeansowe spodnie i czerwoną podkoszulkę z krótkim rękawkiem. Bezszelestnie, starając się, aby skrzypieniem drzwi nie zakłócić ciszy panującej w domu, wyszła na korytarz. Nogami obutymi w czerwone baletki ostrożnie stawiała kroki, uważając na wypaczone deski podłogi, które mogłyby ją zdradzić. Z westchnieniem ulgi zeszła po schodach w dół i podeszła do drzwi wejściowych.

Rześkie powietrze owionęło ją od razu po przekroczeniu progu. Wzdrygnęła się, czując ten chłód. Przez chwilę rozważała możliwość powrotu po kurtkę, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Nie chciała ryzykować obudzenia ciotki. Próbując omijać kałuże, ruszyła w stronę cmentarza.

Droga była rozmokła, poorana w bruzdy. Baletki Barbary szybko pokryły się błotem i przemiękły. Przystanęła i zdjęła buty. Wywinęła nogawki spodni po czym wzięła obuwanie do ręki i bosą udała się dalej. Jej stopy zapadały się w miękką, nasiąkniętą wodą ziemię.

Dotarła do cmentarza i pchnąwszy furtkę, wkroczyła na zwirowaną ścieżkę. Szła prosto do mogiły Elizabeth. Zatrzymała się przed pomnikiem i położywszy buty na sąsiednim kamieniu, przykucnęła przy nagrobku. Uważnie wpatrywała się w wyryty napis.

Tu było miejsce jej spoczynku. Elizabeth Robillard. Pamiętała moment swojej śmierci. Roderick był z nią wtedy, trzymał ją w ramionach. Zdawało się jej, że to

zdarzyło się wczoraj, a przecież od tego czasu minęło tyle lat. Rodziła się jeszcze kilkakrotnie. Każde kolejne życie, było tak inne, ale wszystkie łączyło jedno – nigdy nie znalazła szczęścia. Zawsze czuła się samotna, niekochana, niekompletna. Zawsze miała poczucie pustki, nieokreślonej bliżej straty. Brakowało jej czegoś, czego nie potrafiła zrozumieć. Teraz już wiedziała, za czym tak tęskniła. Jej szczęście było tylko przy Rodericku i wreszcie teraz dotarła do swojej przystani.

– Barbaro.

Drgnęła na dźwięk tego głosu i bardzo powolnym ruchem odwróciła się do tyłu. Tuż za nią stał Lucas. Podniosła się i wyprostowała. Spojrzała w jego oczy.

– Wiedziałem, że cię tu zastanę. – Był poważny, skupiony, w jego spojrzeniu widoczny był smutek.

– To miejsce zawsze mnie przyzywało. Czułam tu taki spokój. Myślałam, że to cmentarz na mnie tak działa, ale to nie było to. Po prostu podświadomie czułam, że jestem z tym miejscem związana.

– Masz takie same oczy jak ona, ale poza tym jesteś zupełnie inna... Nigdy, nawet przez moment nie sądziłem, że możesz być nią.

– Nie chciałam cię skrzywdzić – zapewniła gorąco. – Kocham cię, naprawdę cię kocham, ale tylko i wyłącznie tak jak brata. Na początku pomyliłam to uczucie z miłością. Wiem, że źle wyszło...

– Zawsze kochałaś tylko jego, prawda? – przerwał. – Nawet, gdy nie pamiętałaś.

– Lucasie proszę, wybacz mi. Powinnam wcześniej powiedzieć ci o moich uczuciach. – Wyciągnęła rękę, chcąc położyć mu dłoń na ramieniu, ale cofnął się przed jej dotykiem.

– Oszukałaś mnie – stwierdził. – Ukrywałaś to przede mną. Spałaś z nim na Alasce, prawda? Powiedz, czy z nim spałaś?

– Tak. – Pochyliła głowę.

– A mnie za każdym razem odtrącałaś! – wybuchnął. – Unikałaś moich pocałunków.

– Może to dlatego, że instynktownie czułam, że jesteśmy sobie bliscy w inny sposób? W końcu byłam kiedyś twoją siostrą...

– Ale już nią nie jesteś! Tamta Elizabeth umarła! Jej dusza odrodziła się w twoim ciele, ale to nie to samo! Nie jesteś nią!

– Pamiętam wszystko, co przydarzyło się Elizabeth. Jestem nią, nawet jeśli ty uważasz inaczej.

– Nie jesteś moją siostrą i nigdy nie będziesz – powtórzył z uporem. – Moja siostra umarła i tu spoczywają jej szczątki.

– Nie mów tak! Wiem, że strasznie cię zraniłam, ale pozwól mi to naprawić.

– Niby jak? – zadrwił.

– Mogę zwrócić ci człowieczeństwo. Będziesz żyć tak jak każdy.

– Jak chciałabyś tego dokonać?

– Gdy umierałam, dałaś mi swoją krew, aby uratować

moje istnienie w jedyny możliwy sposób – przemieniając mnie w istotę taką jak ty. Jednak jak widzisz nie uległam przemianie. Jestem potomkiem ludzi–niedźwiedzi i w moich żyłach płynie krew istot światła. W chwili gdy nakarmiłeś mnie swoją krwią, otrzymałam cząstkę istot mroku. Te dwie siły połączyły się w jedno, dając mi szczególną moc. Mogę takim jak ty zwrócić szansę na powrót do Wiecznej Krainy. Mogę sprawić, że znowu staniecie się ludźmi, a po śmierci tutaj, wróćcie tam, skąd przybyli wasi przodkowie, wasi stwórcy.

– Wybacz, ale wieczność w twoim towarzystwie nie wydaje mi się już tak kusząca. Chciałem stać się tym, kim jestem. To był mój świadomy wybór i nie mam zamiaru z niego rezygnować. Być znowu człowiekiem? Zestarzeć się i umrzeć? Nie, dziękuję!

– Przemyśl to jeszcze. To szansa, którą dali bogowie.

– Gdybym tę szansę otrzymał kilka miesięcy temu, gdy byłem pewien, że mnie kochasz, gdy nie znałem prawdy, przystałbym na tę propozycję bez chwili wahania. Dla ciebie chciałbym znowu być człowiekiem. Jednak teraz... Nie mam żadnego powodu, aby decydować się na tak głupi krok.

– Wybaczysz mi kiedyś? – zapytała cicho, jednocześnie zdejmując z palca zaręczynowy pierścionek. Ten sam, który zgubiła w dniu porwania.

– Czy ci wybaczę? Nie wiem i nie pytaj mnie o to. Dziś miał być nasz ślub... Czekałem na niego, marzyłem o tej chwili i nigdy nie pomyślałem, że to będzie najtra-

gicniejszy dzień mojego życia. – Patrzył, jak wyciąga do niego dłoń z pierścionkiem, ale nie sięgnął po niego. W końcu Barbara znudzona czekaniem sama wcisnęła mu go do ręki.

Lucas nawet nie drgnął. Stał obojętny, obcy, zupełnie inny niż zawsze. Wiedziała, że dzieli ich mur nie do pokonania.

– Przepraszam, że nie potrafiłam cię pokochać tak, jak na to zasługujesz. Możesz mnie nienawidzić przez resztę życia, ale nie mścij się na nas. Pozwól mi i Erickowi na szczęśliwe życie.

– Tak myślisz? – W jego oczach dostrzegła gniew. – Uważasz, że chcę się na was mścić? O, jak mało mnie jeszcze znasz! I nigdy już nie poznasz! Przyszedłem tu, bo mimo wszystko nadal cię Kocham! – Gwałtownie złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Przestraszyła się, gdyż nigdy wcześniej nie widziała go tak rozwścieczonego. – Chciałem cię zobaczyć! Jak dureń, chciałem spojrzeć na ciebie ostatni raz. Pokochałem cię od pierwszej chwili, gdy wsiadłaś do mojego samochodu. Nigdy nie zapomnę tego momentu. Na zawsze pozostaniesz w moim sercu. – Pochylił się i przywarł ustami do jej warg. Jego pocałunek był brutalny, pełen namiętności. Broniła się, ale trzymał ją mocno. Poczowała, że zaczyna jej brakować powietrza, że jeszcze chwila i się udusi. I wtedy ją puścił. Odkoczyła do tyłu, łapczywie chwytając oddech. a gdy spojrzała w stronę, gdzie jeszcze przed chwilą stał, już go nie dostrzegła.

Odwróciła się powoli w stronę pomnika Elizabeth. Przedziwne zjawisko przyciągnęło jej wzrok. Na omszałym kamieniu leżał niepotrzebny już nikomu złoty pierścionek zaręczynowy, a zdobiące go brylanty mieniły się w promieniach wschodzącego słońca.

* * *

Caroline czekała na brata przed jego domem. Gdy się zjawiała, Angelina poinformowała ją, iż Lucas wybrał się na poranny spacer, ale nie zaproponowała przybyłej gościny. Panna Westmoore doskonale widziała jej odczucia i zdawała sobie sprawę, że nie jest tu mile widziana. Nie po tym co zrobiła. A przecież Angelina nie знаła całej prawdy! Jak by zareagowała, gdyby dowiedziała się, iż Caroline wymazała jej wspomnienia?

Trzask zamykanych drzwi nie był najprzyjemniejszym odgłosem. Miała wrażenie, że to zamykają się przed nią wrota wieczności i odgradzają ją od wszystkich, których przecież kochała. Odeszła spod progu, ale nie zamierzała rezygnować ze spotkania z Lucasem. Postanowiła na niego poczekać.

Przynajmniej Roderick starał się ją zrozumieć. Właśnie on, ten, któremu chciała odebrać wszystko. Ten, którego skreśliła. Ta świadomość powodowała, że czuła jeszcze większe wyrzuty sumienia. Bo to musiało być sumienie!

W końcu zauważyła wracającego Lucasa, ale ku swojemu zmartwieniu dostrzegła, że jest w bardzo kiepski nastroju. Może lepiej przełożyć tę rozmowę? Ale po co?

Niech już będzie po!

– Czy pozwolisz mi wszystko wyjaśnić? – Pojawiła się tuż przed nim, zagradzając mu drogę.

– Tu nie ma nic do wyjaśniania! – Wyminął ją, ale ona powtórnie stanęła przed nim.

– Nie osądzaj mnie zbyt szybko.

– I ty o to prosisz? Ty, Caroline? Ty, która jesteś mistrzynią kłamstwa i obłudy? To straszne, ale dopiero teraz widzę, że otaczały mnie same kłamliwe, podstępne istoty, a ty byłaś najgorszą z nich!

– Początkowo nie wiedziałam, że ona jest Elizabeth! Nie miałam o niczym zielonego pojęcia! – wykrzyknęła z rozpaczą. – Widziałam twoje szczęście i cieszyłam się razem z tobą. W twoich oczach widoczny był taki niesamowity blask. Nie chciałam, abyś to stracił.

– I dlatego uknułaś całą tę intrygę? Dlatego byłaś gotowa unieszczęśliwić innych, aby tylko ofiarować mi to, o czym marzyłem?

– Jesteś moim bratem...

– Stop! – Wrzasnął nieludzkim głosem. – Nigdy więcej tak nie mów! Nie byłaś, nie jesteś i nie będziesz moja siostrą! Ja nie mam żadnej rodziny! Jestem sam! Zupełnie sam!

– Lucasie... – jęknęła.

– Przestań! Nie chcę słyszeć twojego głosu. Kłamałaś mnie przez cały czas. Pamiętasz sprawę z Patronami? Jakimś dziwnym trafem zapomniałaś mnie o niej poinformować. Twój ojciec? No właśnie, nawet tego nie raczyłaś

mi powiedzieć. Czy tak zachowuje się ktoś bliski, ktoś, kto śmie nazywać się siostrą? Caroline, między nami wszystko skończone. Definitywnie i raz na zawsze!

– Nie chciałam tego...

– Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj. Najlepiej zamknij się w tym swoim Benacantil! To jest odpowiednie miejsce dla ciebie.

– W Benacantil – powtórzyła. – O uwierz mi, chciałabym, ale mój los jest inny.

– Ciekawe. Znowu jakieś kłamstwa? Czyżbyś chciała mnie teraz uraczyć jakąś ckliwą historyjką?

– Nie. Barbara ma moc, dzięki której znowu możemy być ludźmi, a po śmierci wrócić do Wiecznej Krainy. To stamtąd przybył ten, którego nazywasz moim ojcem. Możemy wrócić i stać się tym, kim byli nasi przodkowie.

– Świetny koniec – zaśmiał się – wręcz idealny. Za te wszystkie twoje kłamstwa, dostąpisz nagrody w wieczności. Zaprawdę bogowie są bardzo łaskawi.

– Nie drwij – upomniała go. – Ja nie dostąpię tej szczęśliwości. Mój powrót tam, ma być ofiarą złożoną dla przebłagania za winy mego ojca i innych Patronów.

– Wzruszyłem się – zadrwił, uśmiechając się ironicznie. – Normalnie nie mogę powstrzymać łez. Caroline wielka odkupicielka!

– Mogłabym pojechać do Benacantil i wypiąć się na was wszystkich. Mogłabym zostać przywódcą wampirów i zaprowadzić nowe rządy na Ziemi. Mogłabym, ale nie zrobię tego! Uważasz mnie za kogoś złego, kłamliwego

i niegodnego zaufania? Trudno, jakoś będę z tym żyć. Złamałam słowo dane Patronom, zdradziłam przyjaciół... Nie ma dla mnie kary. Zrobię chociaż tyle, abyście wy mogli otrzymać to, co należy się wam z racji pochodzenia.

– Dobra, skończ już z tym! – Lekceważąco machnął ręką i podszedł do drzwi. – I nie przychodź tu więcej. Naprawdę nie chcę cię oglądać!

* * *

Adam za bardzo nie rozumiał, co się stało. Przy śniadaniu wysłuchał skróconej wersji opowieści Barbary i prawdę mówiąc był zszokowany. Przywykł już wprawdzie do istnienia istot nie z tego świata, ale wiadomość o wędrowce dusz i ponownych narodzinach Elizabeth w ciele Barbary mocno nim wstrząsnęła. W milczeniu przyglądał się siostrze, która siedząc po przeciwnej stronie kuchennego stołu, próbowała zjeść kanapkę. Kęs za kęsem... Wolno. Tak jakby jedzenie wymagało nadludzkiego wysiłku.

Ciotka Alena jak zwykle krzątała się przy piecu, stukając głośno garnkami. Od czasu do czasu zerkała na rodzzeństwo i zastanawiała się, jakie jeszcze niespodzianki przyniesie los.

A przeznaczenie szykowało naprawdę niezwykłą niespodziankę. Równo z wybiciem godziny dziewiątej rano, przed dom Bennettów zajechał czarny mercedes Robillarda i po chwili do uszu domowników doleciało energiczne pukanie.

Ciotka spojrzała na Barbarę, ale nie podeszła do drzwi.

Adam wstał od stołu z zamiarem otworzenia gościowi, jednak zanim wykonał jakikolwiek ruch, Barbara zerwała się z krzesła i pobiegła do holu. Przekręciła zamek, uwalniając blokadę. Drzwi otworzyły się, a za nimi ukazał się Roderick. Czarna, jedwabna koszula i eleganckie, również czarne spodnie, jak zwykle doskonale na nim leżały. Włosy opadały mu na kołnierzyk koszuli i ramiona, nadając twarzy wyrazu subtelności. Uśmiechnął się na widok dziewczyny i wyciągnął w jej stronę bukiet kremowych róż, takich jakie uwielbiała Elizabeth.

– Te kilka godzin dłużyło mi się w nieskończoność – wyszeptał, przyciągając ją do siebie i zaciągając jej zapachem. – To były ostatnie godziny bez ciebie. Gdzie jest Hope? – zapytał, wchodząc do środka. – Dawno jej nie widziałem. Mógłbym ją zobaczyć?

– Śpi w sypialni ciotki – odpowiedziała, zamykając drzwi i prowadząc go po schodach na górę. – Tylko jej nie obudź – przestrzegła, przepuszczając go w wejściu do pokoju.

– Nie musisz się obawiać – uśmiechnął się do niej i wolnym krokiem podszedł do ustawionej koło łóżka kołyski. Tyle nieznanych mu do tej pory uczuć, zawładnęło nim bez reszty. Jego córka... Ostatni raz widział ją zaraz po urodzeniu, gdy tak dzielnie walczyła o życie. I wygrała tę walkę. Bóg wysłuchał jego modlitw. Honoria miała rację, niepotrzebnie wątpił, niepotrzebnie stracił wiarę. Droga do szczęścia wiedzie przez łzy, ale najważniejsze, że wreszcie dotarł do jej kresu. Ma to, na co tak długo czekał.

Pochylił się zaglądając pod różowy baldachim. Hope spała, a na jej malutkiej twarzyczce igrał delikatny uśmiezek. Zapragnął wziąć ją na ręce i przytulić, ale nie chcąc przerywać słodkiego snu maleństwa, musiał wstrzymać się z tymi czułościami. W milczeniu, ze wzrokiem pełnym zachwytu, wpatrywał się w dziecko, będące częścią jego samego.

– Urosła – wyszeptał do Barbary, która stanęła tuż za nim. – Jest jeszcze piękniejsza, niż była. Nasza córka... – Odwrócił się do niej i przyciągnął ją do siebie, uważając na bukiet, który nadal trzymała w ręku. – Wreszcie jesteśmy razem. Jesteśmy rodziną.

Przez chwilę całowali się namiętnie, spragnieni swojej bliskości. Ich usta zdawały się stapiać w jedność, zachłannie nacierając na siebie. Barbara pierwsza opanowała rozszalałe emocje. Nieznacznie odsunęła się od ukochanego i wolną ręką ujęła go pod ramię.

– Chodź na dół. Niech mała jeszcze pośpi. Późno zasnęła.

– Masz rację. Nie będziemy jej przeszkadzać, zresztą chciałem porozmawiać z twoją ciotką. Jak przyjęła wiadomość o zerwaniu zaręczyn z Lucasem?

– Nie było łatwo, ale wszystko jej opowiedziałam – westchnęła z rezygnacją. – Nadal jednak czuje do mnie żal, że okłamywałam ją przez tyle czasu.

Opuścili sypialnię Aleny i po drewnianych stopniach, które lekko skrzypiały pod naciskiem ich stóp, zeszli na parter. Ciotka wraz z Adamem nadal siedzieli w kuchni,

tam więc Barbara zaprowadziła Rodericka.

– Dzień dobry. – Przekroczywszy próg pomieszczenia Robillard powitał domowników zgromadzonych przy stole.

– Dzień dobry. – Alena popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Pamiętała tego mężczyznę – to on nocował u nich, gdy przybył do miasta, ale wtedy nie wiedziała, kim naprawdę jest. Dziś już miała świadomość, co to za jeden. – A więc to pan. Ludzie dużo o panu gadają.

– Kto by słuchał tego, co gadają ludzie – roześmiał się.

– Ja lubię słuchać, bo w każdej opowieści jest ziarnko prawdy – zauważyła. – Tak jak w tej historii o założycielach miasta.

Przestał się uśmiechać. Skłonił głowę, na znak, że ją rozumie.

– Barbara wszystko mi wyjaśniła. Musi mi pan wybaczyć, ale jestem tylko człowiekiem i trochę trudno mi się do tego przyzwyczaić. Byłam pewna, że dobrze wypełnię zadanie powierzone mi przez Martina. Myliłam się. Miałam pilnować skóry, aby umożliwić wam powrót, ale straciłam ją...

– Proszę się tym nie przejmować. Skóra nie będzie już nam potrzebna. Już nikt nam nigdy nie zagrozi. Zaczniemy nowe życie... Właściwie już dziś chciałbym je zacząć i dlatego mam pewną propozycję. – Odwrócił się w stronę Barbary, która podczas rozmowy Rodericka z ciotką wzięła wazon i nalawszy wody, wstawiła do niego otrzymane kwiaty. Teraz właśnie, z naczyniem w dłoni, zmie-

rzała w stronę kredensu, aby postawić na nim dzban. – Myślę, że nie trzeba odwoływać dzisiejszego ślubu. Przed przyjazdem tu byłem u pastora i z nim rozmawiałem. Jeśli zgodzisz się Barbaro wyjść za mnie, to wszystko jest już załatwione.

– Co? – Wazon wypadł z rąk dziewczyny, rozbijając się o ziemię. Woda prysła, ochlapując jej spodnie. Pochyliła się, aby podnieść kwiaty i zamaskować zaskoczenie.

Przyklęknął przy niej w kałuży, nie bacząc ani na wodę, ani na odłamki szkła.

– Wyjdź za mnie Barbaro. Wiem, że nasze dusze są ze sobą połączone na wieki, ale chciałbym, abyśmy wzięli ludzki ślub. Taki normalny z białą suknią, pastorem, tortem. Abyś szła w szpalerze kwiatów wprost do ołtarza, przy którym będę na ciebie czekał. Zawsze marzyłem o tej chwili, wyobrażałem ją sobie po tysiącokroć... Teraz, gdy cię odnalazłem, gdy wreszcie jesteś przy mnie, nie chcę dłużej zwlekać.

– Ericku... – zaczęła niepewnie również przyklękając i sięgając po jeden z okruchów szkła. Uczyniła to machinalnie nie zwracając uwagi na to co robi, pochłonięta bez reszty słowami zasłyszczanymi od Rodericka. Bezwiednie zacisnęła palce na ostrym przedmiocie, którego brzeg natychmiast przeciął delikatną skórę dłoni, wrzynając się w ciało. Krzyknęła wypuszczając zakrwawiony odłamek.

– Kochanie. – Erick delikatnie ujął jej rękę i utkwiał wzrok w ranie znaczącej wewnątrz dłoni. Widok krwi uzmysłowił mu, że dziś jeszcze się nie posilał, ale nie to

było najważniejsze. Nad głodem mógł zapanować. Instyktownie wyczuwał, że to skaleczenie nie było przypadkowe, że tak właśnie miało się stać. Wszystko jest częścią większego planu. Nawet ta chwila... Tak, jakby niebiosa dawały znak. – Chcę być z tobą na dobre i złe, w zdrowiu i chorobie – oświadczył z powagą. – Pragnę zestarzeć się u twego boku i odejść stąd wiedząc, że spotkamy się w innym świecie... Chcę być człowiekiem. Czy pozwolisz mi nim być?

– Ja... – Serce waliło jej jak opętane. Gdzieś w zakamarkach podświadomości czaił się lęk, że wszystko się zmieni, że nic już nie będzie takie samo. Może jako człowiek przestanie ją kochać? Jednak wiedziała, że nie ma prawa odmówić. Pragnęła wieść zwykłe, ludzkie życie, nawet jeśli miałoby trwać tylko moment. Cóż znaczy bezmiar wieczności, przy jednej chwili prawdziwego szczęścia?

– Kocham cię Barbaro i zawsze będę kochał. Nic tego nie zmieni. – Domyślał się jej obaw i ze wszystkich sił chciał ją zapewnić, że są one zupełnie bezpodstawne. Jego serca nic nie mogło odmienić. Kochać ją było jego przeznaczeniem. – Pozwól mi być człowiekiem.

Skinęła wolno głową. To było nieme tak. Przyzwolenie i zarazem dar życia.

Pochylił się nad jej dłonią i przywarł wargami do rany, z której płynęła stróżka krwi. Czując dotyk jego ust na swojej skórze mimowolnie zamknęła oczy. A więc niech się stanie!

– Święci pańscy! – Alena zachwiała się i pospiesznie oparła o piec. Nie była przygotowana na taki widok. Opowieści Martina odżyły ze zdwojoną mocą. To wszystko, co słyszała, nabrało realnych kształtów. Wiedziała, że wampiry istnieją, a oto teraz miała przed sobą jednego z przedstawicieli tego gatunku, w dodatku samego założyciela Elizabeth Town – legendarnego Rodericka Robillarda. Co więcej, ów jegomość właśnie zamierzał posilać się krwią Barbary. Czy powinna zaprotestować? Jak powinna się zachować? Dlaczego Martin nic nie powiedział o takiej ewentualności?

– Cholera! – Kęs kanapki utknął Adamowi w przełyku i musiał szybko popić, aby się nie udławić. On również, mimo iż sam spotykał się z dziewczyną wampirzycą nie był do tej pory świadkiem takich scen.

– Wyjdiesz za mnie? – Po chwili, zanim którykolwiek ze świadków tej sceny zdołał zareagować, Roderick odsunął usta od dłoni Barbary i z napięciem spojrzał na jej twarz. – Zostaniesz moją żoną?

– Tak – szepnęła, otwierając powieki. – Wedle wyroków nieba już jesteśmy małżeństwem.

Kłęczeli na wprost siebie w kałuży wody, wśród odłamków szkła i rozrzuconych bezładnie kremowych róż, i czuli więź, która na wieki połączyła ich dusze. Byli sobie pisani już u zarania dziejów, a teraz wypełniła się tylko wola niebios. Dwa serca zagubione w czasie i przestrzeni. Samotne, sponiewierane przez los, a jednak dążące do szczęścia. Szukające swojej drogi nieraz wśród ostępów

i nieprzebytych chaszczy. Ale oto nadszedł kres. Słońce wzeszło po burzy. Noc dobiegła końca. Czas na życie. Zwyczajne, wypełnione codziennymi problemami, a jednak wspaniałe i niepowtarzalne bo ich własne.

Spletli dłonie i przybliżyli do siebie twarze. Nic nie mogło ich rozdzielić. Pocałunek, który miał słodki, lekko metaliczny posmak, przypieczętował obietnicę. Barbara wiedziała, że to smak jej krwi.

* * *

– Ślub się odbędzie? – Caroline ścisnęła w dłoni telefon komórkowy. – Nie spodziewałam się tego. Roderick o niczym mi nie wspomniał. Nie wiem Adamie, czy to dobry pomysł, abym zjawiała się na uroczystości. Tak, jestem druhną, ale od wczoraj wiele się zmieniło. Być może Barbara nie życzyłaby sobie mojej obecności. Ja też cię kocham, ale nie wiesz o wszystkim... Trochę namieszałam. Właściwie bardzo. Chciałam dobrze, wyszło źle... Ok. Dobrze, już dobrze. Przyjadę, ale nie obiecuję, że zostanę. Jeśli Barbara nie będzie chciała mnie widzieć...

Nacisnęła przycisk rozłączenia rozmowy i odrzuciła telefon na łóżko. Roderick nic nie napomknął o swoich planach. W nocy wspólnie uprzątnęli zwłoki Katherine i usunęli ślady jej obecności. Cwiartowanie ciała i spalenie go w piecu na dole, zajęło im trochę czasu. Później jeszcze trzeba było pozbyć się popiołu i tych niewielkich resztek tego, co zostało z lady Ramsey. Kopanie dołu w lesie, podczas ulewy, przy blasku błyskawic nie jest czymś najprzyjemniejszym, a dodatkowo ziemia tak szybko nasiąka

wodą. Z trudem udało się im wreszcie, zasłaniając miejsce kopania parasolem, wydrążyć dół na tyle głęboki, że byle zwierzę go nie rozkopie. Zagrzebali w nim nieszczęsne resztki i łopata wyrównali nawierzchnię.

Myślała, że wspólna praca zbliżyła ich do siebie, jednak jak widać myliła się. Może i wybaczył jej to, co zrobiła, ale w tak ważnym dla siebie dniu, nie chciał, aby była blisko. Taki jej los. Ciekawe jak zareaguje Adam, gdy pozna prawdę. Może też starci do niej zaufanie, może też nie będzie chciał jej znać? Bała się tego, ale wiedziała, że nie stać jej na więcej kłamstw. Nie pozwoli, aby coś rozdzieliło ją z Adamem. Nie po tym wszystkim, co przeszła.

* * *

Adam z uwagą wysłuchał spowiedzi Caroline. Powiedziała mu o wszystkim: o swoim pochodzeniu, które ukrywała przed bliskimi, o decyzji jaką musiała podjąć przed laty w sprawie Elizabeth, o tym jak próbowała ukryć przed Lucasem prawdę dotyczącą Barbary.

Milczał, nie przerywając jej przemowy. Patrzył na twarz ukochanej, która chociaż była istotą nadprzyrodzoną, miała te same wady, co zwykły człowiek. Do tej pory ją idealizował, teraz stała się mu bardziej bliska, bardziej ludzka. Płakała opowiadając swoje losy.

Gdy skończyła, podszedł do niej i bez słowa przytulił do siebie. Wiedział, że straciła wszystko i tylko on jeden jest teraz jej ostoją.

– Ty mnie nie potępiasz? – Jej głos drżał, gdy zadawała to pytanie.

– Jakże bym mógł? Któż z nas nie popełnia błędów. Wiesz co jest najważniejsze? To, że można wyciągnąć nauzkę i zrozumieć. Ty rozumiałaś.

– O Boże, Adamie! – Rozszłochała się, kryjąc twarz na jego piersi. – Chociaż ty jeden mnie nie winisz.

– Jestem pewien, że Barbara też nie chowa do ciebie urazy.

– Chciałabym, aby tak było. Naprawdę bardzo zależy mi na przyjaźni z nią. To moja pierwsza i jedyna przyjaciółka.

– No to co tu jeszcze robisz? – Odsunął ją od siebie i spojrzał na jej zalane łzami oczy. – Gdzie powinna być drużna przed ślubem? Chodź, podwiozę cię do miasta.

– Myślisz, że powinnam? – Jeszcze się bała, ale w jej sercu zagościła nadzieja.

– Jasne. Obmyj twarz i jedziemy. Do ślubu zostały dwie godziny. Kto upnie Barbarze welon? Czekał, wezmę tylko swój frak. – Podeszedł do szafy i otworzywszy drzwi, wyjął z wnętrza wieszak z długim, czarnym pokrowcem. – Gotowa? – zapytał, widząc, że Caroline wraca już z łazienki.

– Tak. – Skinęła głową.

– No to w drogę.

* * *

Roderick stał przed lustrem i patrzył na swoje odbicie. Czarny frak, kupiony w zeszłym roku, gdy wybierał się na przyjęcie w ambasadzie, wreszcie mógł się przydać. Przez chwilę zastanawiał się nad założeniem czarnej koszuli, ale

zmienił zdanie. To był wyjątkowy dzień, a on miał stać się człowiekiem. Może już dość tej żałoby?

Wprawdzie we własnej garderobie nie miał białych koszul, ale na szczęście Adam zaoferował mu jedną ze swoich, zakupionych na ślub Barbary. Jak się okazało koszula pasowała idealnie. Pierwsza biała od wieków. Założył ją na siebie z pewnym wahaniem, ale gdy wciągnął frak, biel już tak bardzo nie raziła. Gdy dodatkowo wywiązał bordowy plastron[1] i spiął go ozdobną szpilą zakończoną perłą, całkowicie zasłonił koszulę, z której widoczny pozostawał tylko specjalnie złamany kołnierzyk.

Wpinając szpilę, niechcący drasnął się w rękę. Zaskoczyło go to, iż poczuł ból, ale nie przywiązał do tego zbyt wielkiej wagi, dochodząc do wniosku, że widocznie zapinka musiała być wykonana ze srebra. Na skaleczonej skórze pojawiły się drobne krople krwi. Pospiesznie wytarł dłoń w papierową chusteczkę, pewien, że rana momentalnie się zagoi. Jakże się zdziwił, kiedy spostrzegł, że krew nadal leci. Kolejna kropla pojawiła się w miejscu ukłucia.

Czyżby już stał się człowiekiem? Tak po prostu? Przecież nie poczuł żadnej różnicy. Nie poczuł różnicy? Dopiero teraz to do niego dotarło. Nie czuł tych wszystkich zapachów, które mu do tej pory towarzyszyły, ani nie słyszał odgłosów, które zazwyczaj bombardowały go z każdej strony. Dookoła panowała przejmująca cisza.

Wysłuchał się w odgłos swego serca i spróbował je zatrzymać, ale nie dał rady. Wciągnął głęboko powietrze do płuc. Co się dzieje? Próba wstrzymania oddechu także się

nie powiodła.

Szybkim krokiem podszedł do drzwi pokoju i wyjrzał na korytarz. Przykościelny hol był prawie zupełnie pusty, pod oknem stał tylko młody mężczyzna w szarym fraku i nerwowo bębnił palcami w parapet. Roderick skoncentrował się na nim, ale nie zobaczył jego myśli.

– Hej ty! – zawołał do młodzieńca, który na dźwięk głosu odwrócił się w jego stronę.

– Mnie wołasz? – Podszedł do niego. – Ty jesteś tym gościem, który zamiast Lucasa bierze ślub z Barbarą?

– Tak. A ty kim jesteś? – zapytał. Pierwszy raz od setek lat, nie znał odpowiedzi na zadawane przez siebie pytanie. Było to bardzo dziwne uczucie, ale nawet przyjemne. I ta cisza w głowie.

– Zac. Miałem być drużbą Lucasa, ale jak widać zaszły pewne zmiany...

– Tak się złożyło... Wiesz, nie znam tu zbyt wielu ludzi i właściwie byłbym ci wdzięczny, gdybyś zgodził się nadal piastować tę zaszczytną funkcję. Czy mógłbyś zostać moim drużbą? – zaproponował.

– Twoim? – Usta chłopaka wykrzywił ironiczny uśmiezek. – Wybacz kolego, ale raczej nie. Wielki multimilioner zawrócił w głowie słodkiej Barbarze i odbił ją Westmoorowi...

– Nie jest tak jak myślisz – pokręcił głową. – Zakończyliśmy się w sobie na Alasce. Nie planowaliśmy tego. – To była wersja przygotowana na potrzeby innych, ustalona wraz z Barbarą i jej ciotką.

– Mniejsza z tym. – Nagle wyraz twarzy Zaca uległ diametralnej metamorfozie – miejsce ironicznego grymasu zajął sympatyczny uśmiech. Nawet jego głos nie brzmiał już tak nieprzyjemnie. – Mam ten durny frak, w kieszeni trzymam pudełeczko z obrączkami... Kurczę, głupia sytuacja. No właściwie mogę robić za twego družbę.

– Dzięki. – Roderick wyciągnął do niego rękę, zaskoczony tak gwałtowną zmianą nastroju, ale w tej chwili spostrzegł stojącą w wejściu Caroline. Czyżby to ona sprawiła, że Zac zmienił zdanie? – Poczekaj chwilę, ale muszę z kimś koniecznie porozmawiać.

Szybko podszedł do panny Westmoore.

– Nieźle wyglądasz we fraku. – Uśmiechnęła się do niego. – Zresztą tak jak we wszystkim innym. No i jesteś człowiekiem.

– Skąd wiesz?

– Przecież to czuć. No nie mów, że zapomniałeś, jak to jest znajdować się w pobliżu człowieka. Krew ludzka tak miło szumi, tak cudownie pieści nasze zmysły.

– Czy to ty, wpłynęłaś na Zaca? – przerwał jej, nie mając ochoty, słuchać o tym, co już go nie dotyczyło.

– Ktoś musiał ci pomóc.

– Nie potrafisz przestać?

– Przestałam. To był ostatni raz. Pan młody bez družby to raczej głupia sytuacja. A właśnie, kolejny družba już nadciąga. – Przesunęła się w bok, odsłaniając nadchodzącego Adama.

– Cholera, zapomniałem wziąć frak z samochodu

i musiałem się wracać. – Bennett potrząsnął wieszakiem z czarnym pokrowcem. – To gdzie mogę się przebrać.

– Tam. – Roderick wskazał głową na otwarte drzwi pokoju, w którym wcześniej sam się szykował i ruszył w stronę otwartych drzwi. Drużbowie podążyli za nim.

– Barbara już jest? – Caroline zatrzymała Robillarda, zanim wszedł do salki.

– Tak. Znajdziesz ją z drugiej strony kaplicy.

– Myślisz, że powinnam do niej pójść? – Niepewnie popatrzyła na niego.

– Myślę, że panna młoda bez drużby, to raczej głupia sytuacja – odpowiedział, puszczając do niej oko i zamykając drzwi.

* * *

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i do kościelnej salki nieśmiało zajrzała Caroline. Cała odwaga opuściła ją w momencie, gdy położyła dłoń na klamce. Nie powinna tu przychodzić, nie po tym co zrobiła. Była winna zarówno śmierci Elizabeth jak i próbie rozdzielenia Barbary z Roderickiem. Czy coś takiego można wybaczyć i zapomnieć? Na co liczyła mając czelność zjawić się tu dziś, w tym tak wyjątkowym przecież dniu? Powinna uciec, wyjechać jak najdalej stąd i nigdy nie wracać. Oszukała przyjaciół, zawiodła ich zaufanie. A najgorsza była właśnie w stosunku do Barbary.

W dużym, stojącym lustrze dostrzegła odbicie panny Bennett ubranej w długą, ślubną suknię. Zatrzymała się w progu niezdolna do wykonania najprostszego ruchu.

– Przyszłam – wyszeptała niepewnie – ale chyba nie powinnam. Moje przepraszam nic tu nie zmieni. Zachowałam się podle i nie liczę na twoje przebaczenie.

– Caroline? – Barbara odwróciła się tyłem do lustra i podtrzymując dół sukienki zeszła z podwyższenia, aby podejść do koleżanki.

– To wszystko moja wina... Chciałam... Ja chciałam...

– Wiem o wszystkim. – We wzroku Barbary widoczny był smutek. – Ocknęłam się w domu Lucasa i niechcący podsłuchałam twoją rozmowę z Angeliną. Nie chciałaś, abym była z Roderickiem. Staralaś się nas rozdzielić.

– Tak. – Pochyliła głowę. – Uczyniłam to i wiele innych rzeczy. Rozumiem twój gniew i przepraszam, że ośmieliłam się w tym szczególnym dla ciebie dniu narzucać się ze swoją obecnością. Lepiej będzie jak pójdę.

– Kochana – Barbara gwałtownym ruchem złapała ją za ramię uniemożliwiając odejście – przyznaję, byłam na ciebie zła. Ba, byłam nawet wściekła. Bolało mnie, że udawałaś moją przyjaciółkę, a cały czas oszukiwałaś. Jednak kiedy zaczęłam na spokojnie o tym myśleć, zrozumiałam...

– Zrozumiałaś? Co takiego? – Caroline z niedowierzaniem popatrzyła na Barbarę.

– Tylko tyle, że nie zrobiłaś niczego, czego ja nie zrobiłabym dla Adama. Martwiłaś się o swego brata, chciałaś za wszelką cenę zapewnić mu szczęście. Lucas kochał mnie szczerą miłością, a ty pragnęłaś, usunąć

wszelkie przeszkody stojące mu na drodze. Nie robiłaś tego z czystej złośliwości czy też podłości, po prostu chciałaś pomóc ukochanej osobie. Naprawdę cię za to nie winię.

– Nie winisz mnie? – Zaskoczenie było widoczne na twarzy Caroline.

– Oczywiście! Wszystko co zrobiłaś, uczyniłaś z miłości. Wiem, że nie chciałaś nikogo skrzywdzić, chociaż niestety, gdyby tak jak zamierzałaś, udało się ci doprowadzić wszystko do końca, unieszczęśliwiłabyś wielu. Przede wszystkim Lucasa, który zasługuje na prawdziwą miłość, a w związku ze mną nie mógłby jej odnaleźć. Łudził by się czymś, co tak naprawdę nie istnieje. Unieszczęśliwiłabyś mnie, bo moje serce i dusza od zara-
nia dziejów należą do Ericka. Nawet gdybym nie pamiętała, nie mogłabym zaznać szczęścia. Erick cierpiałby jeszcze mocniej, bo on pamiętał i dobrowolnie zgodził się zrezygnować z miłości. Lecz najbardziej pokrzywdzoną osobą byłabyś ty, Caroline. Dzień po dniu musiałabyś żyć patrząc na nas i mając świadomość, że jesteś odpowiedzialna za to wszystko. Ten ciężar przygniótłby twoje barki niczym stutonowy głaz i sprawił, że sama straciłabyś radość życia. Moja miłość do Ericka jest darem, świętością... Nic nie może jej powstrzymać. Przecież powinnaś o tym wiedzieć. Sama mi ją przepowiedziałaś przed wiekami.

– Masz rację. Byłam głupia próbując was rozdzielić. Jesteście sobie sądzeni i żadna siła na ziemi, ani w niebie nie jest w stanie sprzeciwić się temu. Straciłam brata... Teraz już na zawsze. Lucas nigdy mi nie wybaczy. No

i zawiodłam przyjaźń, którą mnie obdarzyłaś...

– Nawet tak nie mów! Byłaś pierwszą osobą w Elizabeth Town, która zaopiekowała się mną, po mojej przeprowadzce z Nowego Orleanu. Zbłądziłaś, tak jak może zbłądzić każdy człowiek. Jednak zdajesz sobie sprawę ze swego błędu i szczerze żałujesz. Nasza przyjaźń nie byłaby prawdziwą przyjaźnią, gdybym nie potrafiła ci wybaczyć.

– Wybaczysz mi? – W oczach Caroline pojawiły się łzy. – Naprawdę będziesz potrafiła mi wybaczyć?

– Tak kochana. Przyjaźń na tym właśnie polega. Przyjaźń to wzajemne wybaczenie sobie błędów. Nie można być przyjacielem tylko wtedy, gdy wszystko świetnie się układa. Prawdziwy przyjaciel trwa przy nas, nawet gdy błądzimy i ranimy innych.

– Dziękuję. Och, dziękuję! Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczą twoje słowa. Postąpiłam podle i wyrzuty sumienia będą mi towarzyszyć przez resztę dni, ale jestem ci wdzięczna, że starasz się mnie usprawiedliwić. Przysięgam, że już więcej nie zawiodę twojego zaufania. Gdybym mogła cofnąć czas na pewno zmieniałabym wszystko... Nie umarłabyś wtedy i...

– Ależ kochanie, tak właśnie musiało się stać. Teraz to wiem i jestem ci wdzięczna, że pomogłaś mi podjąć taką decyzję. Gdyby nie ty... Czasem na prawdziwe szczęście warto długo czekać i wiele przejść. Wtedy naprawdę docenia się jego wartość. Jednak nie wracajmy już do tego. Ten temat uważam za zamknięty. Liczy się tu i teraz.

A teraz czas na mój ślub! Przebierz się lepiej szybko, bo drużna powinna pomagać pannie młodej w przygotowaniach, a jak widzisz moje pomocnice coś nie dopisały. Jedna cała tonie we łzach, a druga... Zupełnie nie wiem, gdzie jest Flo. Dzwoniłam do niej kilka razy, lecz jej telefon milczy. .

– Nie rozmawiałam z nią... – Caroline pospiesznie zaczęła przeszukiwać kieszenie spodni w poszukiwaniu chusteczki, ale niestety nie znalazła żadnej. Barbara podeszła do toaletki i wzięwszy w rękę pudełko z chusteczkami podała je koleżance. Panna Westmoore wytarła załzawione oczy. – Teraz jestem gotowa, aby pełnić obowiązki drużny, jeśli nadal chcesz, abym nią była.

– Chcę. Nie wyobrażam sobie nikogo innego na tym miejscu. W końcu ktoś musi złapać mój bukiet. Mam w tym względzie pewne instrukcje od Adama. – Uśmiechnęła się i puściła oczko do Caroline. – To co, pomożesz mi zasznurować gorset sukni? I ten welon... Zupełnie nie wiem, jak go upiąć.

– Jasne! Zaraz we wszystkim ci pomogę. Jestem taka wdzięczna, że...

– Miałyśmy już o tym nie rozmawiać. – Barbara machnęła lekceważąco ręką. – Na dowód, że między nami wszystko jest ok., przyjmij ten mały podarek. – Z wiszącej na oparciu krzesła, beżowej torebki wyjęła coś, co mieściło się w dłoni. Trzymając zaciśniętą pięść wyciągnęła ją w stronę przyjaciółki. – Tylko uważaj, jak będziesz piła, aby nie poplamić mi sukienki. Krew ciężko jest sprać.

– Czy to jest... – Caroline odebrała od koleżanki niepozornie wyglądający przedmiot – małą, szklaną fiolkę wypełnioną ciemną, rubinową substancją.

– Twoje człowieczeństwo. Nowy początek dla każdego z nas.

* * *

Angelina siedziała za kierownicą i patrzyła na Lucasa, który zajmował miejsce obok. Zaparkowała na kościelnym parkingu, ale mimo iż stali tu już od dobrych kilkunastu minut, nadal nie zdecydowali się aby wyjść na zewnątrz.

– Może lepiej stąd pojedziemy? – zapytała w końcu. Miała dość tego oczekiwania nie wiadomo na co. Lucas najwyraźniej lubił się umartwiać, ale po jakie licho zadaje sobie aż takie katusze? Widok ukochanej kobiety idącej do ślubu z innym? Trzeba być prawdziwym masochistą.

– Nie! – Potrząsnął głową. – Chcę zostać.

– Jesteś pewien?

– Jak niczego innego. Chcę ją zobaczyć. – Był pewien. Właściwie tylko to teraz miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Dziś miał się odbyć ich ślub. W tym kościele, o tej właśnie godzinie. To on miał czekać na nią przy ołtarzu, a ona miała iść w białej sukni pomiędzy dwoma rzędami udekorowanych odświętnie ławek. Mieli stać się prawdziwą rodziną.

– To może wejdziemy do kościoła? – zaproponowała, chociaż zdawała sobie sprawę, że on się na to nigdy nie zgodzi.

– Nie! – krzyknął.

Umilkła, nie chcąc więcej go denerwować. Widziała jaki był spięty. Przeniosła wzrok na wejście do świątyni, przystrojone girlandami białych, żywych kwiatów i tiulem. Goście weszli już do środka i przy wejściu stały tylko trzy osoby, rozmawiające o czymś ze sobą. Angelina miała pewność, że dyskutują o tym niezwykłym ślubie, a raczej o nieoczekiwanej wymianie pana młodego. Cóż, Elizabeth Town będzie miało teraz temat do rozmów na bardzo długi czas.

* * *

Roderick stał przy ołtarzu, patrząc uważnie na drzwi wejściowe kościoła, do których wiódł długi, czerwony dywan. Rzędy siedzeń, po obu stronach przejścia udekorowane były buketami białych kwiatów, przystrojonych tiulem, a pomiędzy kolejnymi ławami zwieszały się białe, również tiulowe serpentyny.

Goście tłumnie zapełnili wnętrze kaplicy, zajmując wszystkie miejsca siedzące, a także dużą przestrzeń z tyłu. Odnosiło się wrażenie, że całe Elizabeth Town zebrało się w świątyni, aby wziąć udział w tym niezwykłym wydarzeniu. Przedziwna symfonia szeptów roznosiła się po pomieszczeniu, a chociaż Roderick nie potrafił już ich odróżnić, był stuprocentowo pewien, że wszystkie rozmowy dotyczą właśnie jego. To raczej mało spotykane, aby w dzień ślubu zmienić pana młodego.

Organy zaczęły grać, chór zgromadzony na specjalnym podwyższeniu zaintonował pierwsze wersy pieśni.

– Gotowy? – Adam pochylił się do ucha Rodericka.

Szepty ucichły, a goście odwrócili się do tyłu, czekając na pojawienie się panny młodej.

Pierwsza weszła drużna w osobie Caroline. Flo nadal się nie zjawiała, a jej telefon milczał. Panna Westmoore ubrana w długą kremową suknię, ozdobioną bordowymi różyczkami i trzymająca w dłoniach malutki bukietik również bordowych róż, szła powoli, majestatycznym krokiem. Mijała ławy zajęte przez gości, zmierzając wprost do ołtarza. Zatrzymała się przy stopniach i stanęła z lewej strony, na wprost Rodericka i jego drużbów.

Roderick czuł, jak serce zaczyna mu szybciej bić. Tyle emocji, których istnienia prawie zapomniał, wreszcie powróciło. Strach, niepewność, oczekiwanie, radość, szczęście, miłość. Wszystko tak ludzkie, zwyczajne, a przecież jakże piękne. Wreszcie mógł to docenić.

W drzwiach do kościoła pojawiła się Barbara. Cienki welon zakrywał jej twarz i gołe ramiona. Biała suknia o kroju syrenki cudownie podkreślała jej kształty. Prostota a zarazem elegancja stroju sprawiały, że ta kreacja była wyjątkowa. Jediną jej ozdobą był rząd białych, dużych róż, naszytych powyżej kolan, w miejscu, gdzie suknia się rozszerzała.

Jego wybranka. Miłość, którą spotkał półtora wieku temu i na którą tak długo czekał, szła teraz do ołtarza, uśmiechając się niczym anioł. W prawej dłoni trzymała niewielki, okrągły bukietik żywych, bordowych róż.

Była coraz bliżej, z każdym krokiem przybliżała się do niego. Już nigdy nie pozwoli jej odejść. Napawał się jej

pięknem, widocznym poprzez cieniutki materiał welonu. Włosy zebrane do tyłu i ułożone w misternego koka, ze spuszczanymi do dołu lokami. Śniada cera tak wspaniale kontrastująca z bielą sukni.

Podeszła do niego, a on wyciągnął do niej rękę. Podała mu swoją dłoń. Już dawno temu stali się jednością, dziś w obecności pastora chcieli tylko przypieczętować swoją miłość.

* * *

Przebrzmiały ostatnie takty Ave Maria i nowożeńcy ruszyli w stronę wyjścia. Caroline, Zac i Adam szli tuż za nimi. Wszyscy przystanęli na stopniach kościoła, ustawiając się do fotografii, kiedy nagle zjawiała się Flo. Ubrana w identyczną sukienkę jak Caroline, z kaskadą, luźno opadających na ramiona, czarnych loków, z bukietem bordowych różyczek w dłoni, zasapana i wyraźnie zmieszana.

– Przepraszam, ale zatrzasnęłam się w łazience – wydyszała z trudem, podchodząc do panny młodej. – Nawaliłam, wiem.

– Nic się nie stało. – Barbara pocałowała ją w policzek. – Najważniejsze, że zdarzyłaś na pamiątkową fotkę. Stań koło Caroline.

Przez chwilę pozowali do zdjęć, zmieniając pozy, zależnie od wizji artystycznej fotografa, utrwalającego na kliszy ten doniosły i jakże szczęśliwy moment.

– Jeszcze jedno poprosimy – zawołał Roderick, odwracając się do stojącej z boku Aleny i odbierając z jej rąk

becik z dzieckiem. – Jeszcze z naszą córką.

Czule przytulił do siebie maleństwo, które właśnie otworzyło powieki i popatrzyło na niego swoimi ślicznymi, ciemnymi oczkami. Ostrożnie ucałował czółko dziecka. Jego córeczka. Wreszcie ma to, o czym marzył, czego tak wyczekiwał. Jest człowiekiem, poślubił ukochaną kobietę i razem z Hope tworzą rodzinę.

Lucas obserwował wszystko z okna samochodu. Barbara wyglądała tak pięknie w sukni ślubnej, zaś jej twarz promieniała radością. Pochylała się w stronę Rodericka, całowała go czule, szeptała mu coś na ucho, a i on nie pozostawał jej dłużny. Trzymał na ręku dziecko i wyglądał na takiego zadowolonego. Cóż, w końcu otrzymał swoją obiecaną nagrodę. I był człowiekiem.

Westmoore zaciskał dłonie w pięści, patrząc na to, co przecież od dziś miało stać się częścią jego życia, ale nigdy nie będzie. Barbara, dziecko, rodzina, szczęście. Nie ma nic. Zupełnie nic. Oprócz wieczności...

– Naprawdę chcesz się aż tak torturować? Po co ci to wszystko? – Angelina z troską dotknęła jego zaciśniętej pięści. Czule przykryła ją swoją dłonią.

– Aby pamiętać – odpowiedział. – Teraz tylko to mi zostało.

[1] Plastron (inaczej ascot) – rodzaj szarfy z końcami o jednakowej szerokości, które po zawiązaniu w fantazyjny węzeł i spięciu ozdobną szpilą, zachodzą jeden na drugi i sięgają prawie do paska spodni.

ZAPISANE W GWIAZDACH

Pierwszy taniec należał do Barbary i Rodericka. Zatrzeni w siebie, objęci, nie zwracający uwagi na tańczących obok gości. Całowali się w tańcu, mając gdzieś to, co pomyślał sobie inni. Dla nich, tak jak sto pięćdziesiąt lat temu na Pikniku Założycielek, liczyła się tylko miłość.

Caroline przytulona do Adama obserwowała zakochanych, w pewien sposób zazdroszcząc im ich szczęścia. Oczami wyobraźni widziała siebie idącą do ślubu z bratem Barbary. Czy jej marzenie kiedyś się ziści?

– To kiedy nasza kolej? – wyszeptał do jej ucha Adam, tak jakby znał jej myśli. – Nie mam zamiaru zbyt długo czekać. Co powiesz na wrzesień? – zaproponował, bawiąc się jednym z loków ukochanej. Powoli nawijał na palec jasny pukiel.

– Wolałabym grudzień. Wiesz święta i ta cała śnieżna oprawa. Zresztą wtedy będę miała przerwę na uczelni. – odpowiedziała spokojnie, chociaż serce biło jej jak oszalała. Czy to deklaracja, czy tylko niewinny żart? Gdyby nadal miała swoje moce...

– Czyli jednak podejmujesz studia? – Odsunął się od niej odrobinę, tak aby lepiej widzieć jej twarz. Złoty lok zsunął się z jego palca i niczym sprężynka powrócił na swoje miejsce, łagodnie opadając na ramię dziewczyny.

– Tak. W końcu zostałam człowiekiem i muszę przeżyć to życie, najlepiej jak potrafię. To moja ostatnia szansa.

– Człowiekiem? – O mało nie zakrztusił się śliną.

Puknęła go kilka razy energicznie w plecy i wreszcie przestał kasłać.

– Dzięki twojej siostrze stało się to możliwe. Mimo, iż postąpiłam tak podle... Wybaczyła mi z całego serca i dała szansę na bycie człowiekiem. Dziś, przed ślubem, gdy pomagałam jej szykować się na uroczystość... Teraz jestem tak samo śmiertelna jak ty.

– Czyli Benacantil już nas nie dotyczy? – upewnił się.

– W żadnym razie. Możemy o nim zapomnieć – zapewniła ze śmiechem. Była pewna, że jest już zwolniona z tego przyrzeczenia. W końcu przestała być wampirzym Patronem, a jako człowiek nie była potrzebna mieszkańcom skalnej twierdzy, no chyba że jako przekąska. Nie wiedziała jednak, jak bardzo się myli i na jakie niebezpieczeństwo naraziła swoich bliskich. Rada Najwyższa nigdy nie zapomina i nie wybacza, a przysięga złożona Patronom jest święta.

* * *

Flo zostawiła Zaca samego i ukradkiem wymknęła się z przyjęcia. Wąska suknia druhny, jaką miała na sobie, trochę krępowała jej ruchy, uniosła więc dół spódnicy do góry, odsłaniając nogi. Rozglądając się dookoła, upewniając, czy nikt przypadkiem jej nie śledzi, dotarła do cmentarza za kościołem.

– I jak się czujesz w nowej skórze? – Z pomiędzy mogił wyszedł Bartolomeo ubrany w białą koszulę z krótkim rękawem i sztruksowe, brązowe spodnie. W jego ciemnej twarzy szczególnie widoczne były białka oczu

i lśniące bielą zęby.

– Cóż, wybrałaś dość młody model. – Wypuściła dół sukni i obiema dłońmi dotknęła do swojej twarzy. – Kolor skóry trochę mi nie odpowiada, ale nie będę się czepiać.

– Chciałaś, aby to była młoda kobieta, więc jest. O uprzedzeniach rasowych nic nie mówiłaś. – Wzruszył ramionami.

– Drobnostka. Masz mój testament? Jeśli tak, to wpisz imię i nazwisko tej dziewczyny, muszę w końcu zapewnić sobie życie na odpowiednim poziomie.

– Jasne. Wszystko według planu.

– I bardzo dobrze. – Zaśmiała się. – Ci głupcy nie zdają sobie sprawy z tego, co się stało. Myślą, że mnie wykończyli. Spalili moje ciało, ale to nie było moje ciało tylko tej durnej lady Ramsey. Moje kości są dobrze schowane i gwarantują mi powrót.

– Wiem, wiem... Już to przerabiałem poprzednim razem. Kiedy umiera twój nosiciel, trzeba odprawić Rytuał Powrotu, a wtedy dusza znajduje sobie nowe, lepsze ciało.

– Voodoo jest bardzo pomocne. Teraz mamy nad nimi przewagę i nie zmarnujemy jej. Ciało, które wybrałaś, należy do dobrej koleżanki tej całej Barbary. To może się nam przydać. Będziemy działać spokojniej, przecież się nam nie spieszy. Zyskamy ich zaufanie, poobserwujemy, a gdy przyjdzie odpowiedni moment, zapłacą nam za wszystko.

– Czyli co mam robić? – zainteresował się. – Masz dla

mnie jakieś nowe wytyczne?

– Nie Bartolomeo, nie mam dla ciebie żadnych rozkazów. Potraktuj to jako krótką przerwę. Odpoczywaj, ale bądź czujny. Kiedyś nadejdzie odpowiednia chwila, a wtedy poczują siłę mojej zemsty! – Jej śmiech odbił się echem od marmurowych pomników i wystraszył kruki siedzące w gałęziach rozłożystego dębu. Czarne ptaki wzbiły się do góry, kracząc przeraźliwie.

* * *

Czarny mercedes Rodericka zatrzymał się na podejździe rezydencji Robillardów. Noc była ciemna, ale przed domem paliły się dwie latarnie.

Roderick wysiadł z samochodu i okrążywszy go z przodu, otworzył drzwiczki po stronie pasażera.

– Oj, sama dam radę! – pisnęła Barbara, gdy brunet pochylił się, aby wyjąć ją z wnętrza pojazdu.

– Wybacz kochanie, ale tak nakazuje tradycja. – Zgrabnie wziął ją na ręce, uważając przy tym na delikatny materiał sukni ślubnej.

– Wariacie! – Przytuliła się do niego, opierając głowę o ramię mężczyzny.

– Wreszcie jest tak, jak miało być. – Wniósł ją po stopniach i zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi. Jedną ręką odszukał w kieszeni klucze i nie wypuszczając żony z objęć, otworzył zamek. – Witam w domu pani Robillard – wyszeptał, przenosząc ją przez próg. – Wracasz tu, gdzie jest twoje miejsce.

– Witam panie Robillard. – Uśmiechnęła się do niego,

a on ją pocałował.

Nogą zatrzęsnał drzwi i nadal trzymając Barbarę w ramionach, wszedł na schody, wiodące na piętro.

– Myślisz, że goście nie będą mieć nam za złe przedwczesnego zniknięcia z przyjęcia? – zapytała, czule gładząc go dłonią po policzku.

– Wybacz kochanie, ale w tym momencie raczej się nimi nie przejmuję. To w końcu nasza noc poślubna i nie zamierzam czekać już ani chwili dłużej. Chcę być z tobą, tylko z tobą. Po cóż nam inni ludzie? Nie pragniesz tego samego?

Nie odpowiedziała nic, wpatrując się w twarz męża, napawając jego pięknem. Wreszcie była z nim. Wreszcie po tylu latach odnaleźli się i przezwyciężyli trudności, jakie piętrzył przed nimi los. Teraz już nic nie mogło ich rozdzielić. Bogowie połączyli ich u zarania dziejów, ale dziś ich związek otrzymał ziemskie prawa. Byli małżeństwem.

* * *

Lucas wymknął się z domu, niezauważony przez Angelinę. Cieszył się z tego, bo ostatnią rzeczą jaką teraz potrzebował, było towarzystwo panny Stewart. Owszem blondynka bardzo się o niego troszczyła, ale on chciał wreszcie pobyć sam. Po prostu musiał pobyć sam.

Barbara poślubiła Rodericka. Stracił ją na zawsze. Był na ślubie i z ukrycia obserwował, gdy wchodziła do kościoła. Tak wyraźnie widział każdą fałdkę na jej sukni. Pragnął podbiec do niej, chwycić ją w ramiona i zabrać

z tamtego miejsca. Pragnął wyć z rozpaczy, ale powstrzymywał się ostatkiem sił.

Barbara – Elizabeth – jego siostra. Nawet jeśli kiedyś nią była, to teraz przecież nic ich nie łączyło. Nic, oprócz miłości, która przepełniała jego serce. Dlaczego to właśnie Barbara? Dlaczego ona? Czemu los jest aż tak bezlitosny? Dał mu poznać smak prawdziwej miłości tylko po to, by zaraz odebrać to co najcenniejsze. By stracić w otchłań bez dna.

Nie chciał myśleć, nie chciał zadrećzać się wspomnieniami, ale wszystko przypominało mu utraconą miłość. Wszystko zdawało się powtarzać jej imię. Nawet wiatr szeptał cicho – Barbara, Barbara...

Gdyby nie Angelina, pewnie by zwariował. To ona tuliła go, gdy rozpaczał, to ona cierpliwie wysłuchiwała jego słów pełnych żalu. Pilnowała, aby nie zrobił niczego głupiego. Ale niby co mógłby zrobić? Zabić Rodericka? W ten sposób skazałby Barbarę na cierpienie, a tego chyba by nie przeżył.

Biegł przez las, zatracając się w pędzie. Wiatr smagał go po twarzy i rozwiewał włosy. Nie zastanawiał się, gdzie się udaje, ale podświadomość sama zaprowadziła go pod rezydencję Robillardów.

Przystanął, dostrzegając w oddali zarys budowli. Światło migoczące w oknach, świadczyło o tym, że ktoś jest w domu. Stał przez chwilę, wpatrując się w ten zachęcający blask, po czym wolnym krokiem ruszył do przodu. Z każdym kolejnym, przebytym metrem zbliżał się

do miejsca, gdzie była Barbara. Czuł ją coraz wyraźniej, a zapach ten przysparzał mu jeszcze więcej bólu.

Okrzyżował budynek i znalazł się z tyłu, w ogrodzie. Bez trudu wypatrzył okno sypialni Robillardów. Odbił się od ziemi i bezszelestnie wylądował na szerokim parapecie. Przez szybę zajrzał do wnętrza pokoju.

Barbara. Jego Barbara... Stała przed toaletką i rozczesywała rozpuszczone włosy. Cieniutka, krótka koszulka nocna wspaniale podkreślała jej kształty, czyniąc jeszcze bardziej ponętą i seksowną. Lucas zagryzł wargi, próbując powstrzymać targające nim emocje.

W tej chwili drzwi uchyliły się i do sypialni wszedł Roderick. Barbara odłożyła szczotkę na blat toaletki i odwróciła się w jego stronę. Robillard podszedł do niej i objąwszy ją w pasie, przyciągnął do siebie. Pochylił głowę i jego usta dotknęły warg dziewczyny.

Coś nie pozwalało Lucasowi odejść od tego okna. To co widział, sprawiało mu ból, ale nie miał na tyle siły, aby uciec. Z rozpaczą patrzył jak Roderick zsuwa z ramion Barbary cieniutkie ramiączka koszulki, jak całuje jej dekolt, jak przenosi na ogromne łóżce.

Patrzył i cierpiał, tym bardziej, że miał pewność, iż tę dwójkę łączy prawdziwa miłość – uczucie, jakim jego Barbara nigdy nie obdarzyła. Zabiegał o nią, czekał, dochowywał wierności, a ona nigdy nie czuła do niego tego, co do Rodericka.

Dwójka kochanków zajęta sobą, nie była świadoma towarzystwa za oknem. Świat przestał dla nich istnieć, li-

czyli się tylko oni sami. Przepojone uczuciem szepty, gorące wyznania, uściski stapiające dwa ciała w jedno, przyspieszone oddechy, stające się jednym tchnieniem.

Lucas oparł czoło o zimną szybę i przymknął oczy. Nie mógł już więcej na to patrzeć. Spod jego powiek stoczyły się dwie łzy, zostawiając na policzkach mokry ślad. Zeskoczył na ziemię i dopiero, gdy poczuł pod stopami twardą nawierzchnię, otworzył oczy.

Odwrócił się plecami do budynku. To już przeszłość, to już minęło. Barbara ma swoją miłość, swoje szczęście. Nie będzie więcej mieszał się do ich życia. Ma swoje własne. Musi wrócić do domu. Musi nauczyć się normalnie żyć. Bez niej... Bez Barbary.

* * *

Reina wyszła z mroku i zatrzymała się na wprost niewielkiego budynku. Była zła, że musiała opuścić bezpieczne Benacantil i swoich współtowarzyszy. Zostało ich już tak niewielu, tylko trzech najwyższych z najwyższych. Cała świetność, wieki marzeń o chwale i władzy właśnie odchodziły w zapomnienie, a wszystko to przez córkę Duncana. Oszukała ich, wykorzystała! Zachowała się tak, jak jej ojciec. Przede wszystkim miała na względzie własne dobro, nie zaś wyższe cele. Stała się człowiekiem...

Głupia, była pewna, że to zwalnia ją z umowy. Obietnica zawarta z Patronami jest nierozzerwalna, przechodzi z pokolenia na pokolenie, trwa wiecznie. Po prostu musi być spełniona. Ceną za zdradę jest śmierć. Nie jakaś zwykła, normalna, ale pełna niewyobrażalnych cierpień.

Taki los spotka Caroline i jej bliskich, chyba że...

– Co robimy pani? – Strażnik Wrót, towarzyszący swojej władczyni, trzymał się trochę na uboczu.

– Ostatni Patron mieszka w tym domu. – Reina wskazała głową na budowlę. – Ostatni, który nie chciał stać się człowiekiem. W nim też płynie krew Duncana.

– O pani, ich jest dwoje. On i ta mała... – zwrócił uwagę albinos, przypominając władczyni o Angelinie.

– Dziewczyna nie jest pełnowartościowa. To jeno wybrakowany egzemplarz. Nie przyda się nam do niczego, ale on... Caroline obiecała, że wróci do nas, a jeśli nie, to zrobi to ktoś z jej bliskich. Stworzyła go, złożyła więc obietnicę i w jego imieniu. Idziemy! – Ruszyła w stronę wejścia, ale podszedłszy do drzwi, zatrzymała się przed nimi, czekając aż Strażnik Wrót je przed nią otworzy.

Mężczyzna zbliżył się do wejścia. Pchnął drzwi, które z ogromną siłą wpadły do środka i robiąc potężny huk, upadły na podłogę. Strażnik Wrót stanąwszy na nich, uważnie lustrował wzrokiem pograżone w ciemności pomieszczenie.

– Co jest? – U szczytu schodów pojawiła się zaspana Angelina. Z niedowierzaniem i lękiem spojrzała na znajdującego się na parterze, dziwnego gościa. W tym momencie do holu weszła Reina. – Lucas! – krzyk blondynki rozdarł ciszę nocy.

Westmoore wyszedł ze swojej sypialni, ubrany jedynie w długie spodnie od pizamy. W błyskawicznym tempie znalazł się koło Angeliny i popatrzył w dół. Wyczuł kim są

nocni goście. Instykt podpowiedział mu, iż ma przed sobą kogoś takiego jak Yadira i Basit. Kogoś, kto odpowiada za wszystko, co go spotkało.

Przeskoczył przez barierkę schodów i zeskoczył z pierwszego piętra na parter. Opadł na nogi, stając na wprost Strażnika.

– Czego chcecie? – Wytrzymał siłę spojrzenia swego przeciwnika.

– Brawo. – Reina zaklaskała w dłonie. – Doskonały pokaz tego, na co cię stać. Skok był boski. Jestem pod wrażeniem i nabieram coraz większej pewności, że jesteś idealnym kandydatem.

– Czego chcecie? – powtórzył, udając, że nie usłyszał jej wystąpienia. – Po co przyjechaliście? Nie jesteście tu mile widziani.

– Cóż, może i nie jesteśmy mile widziani, ale mamy prawo tu być. – Kobieta wyminęła Strażnika i zatrzymała się tuż przed Lucasem. Westmoore stał z nią twarzą w twarz. Widział jej stalowe oczy, jasne włosy, doskonałe rysy twarzy. Była niczym anioł, ale przynosiła ze sobą śmierć.

– Macie prawo?

– Tak. Caroline dała nam pełne pozwolenie, obiecując swój powrót do Benacantil.

– To idźcie do niej, nie do nas. Ona tu nie mieszka.

– Wiem – przerwała mu zniecierpliwiona. – Wybrała inny los. Myślała, że stając się człowiekiem przechytry nas. Tylko widzisz, zapomniała o jednym... Obiecała, że

albo ona, albo ktoś z jej bliskich wróci do Benacantil. Ktoś z jej bliskich – powtórzyła za naciskiem. – A tylko ty z jej trzódki, nadal pozostałeś nieśmiertelny.

– Żarty sobie robisz? Wynoście się natychmiast z mojego domu! To, co ustalała z wami Caroline, mnie nie dotyczy. Sam potrafię decydować o swoim losie.

– Mylisz się. To ona cię stworzyła i miała całkowite prawo podjąć za ciebie decyzję. Składając obietnicę, złożyła ją nie tylko w swoim imieniu, ale i w imieniu każdej stworzonej przez siebie istoty.

– No to będziecie musieli użyć siły, bo ja się nigdzie stąd nie ruszam. Mam gdzieś ten wasze Benacantil. – Roześmiał się. – Musicie mnie zabić.

– Znowu się mylisz. – Reina westchnęła i wyciągnawszy dłoń, dotknęła jego ramienia. Wzdrygnął się pod wpływem tego dotyku. Poczul zimno promieniujące od ramienia na całe ciało. Było to o tyle dziwne, że takie istoty jak on, nie odczuwają ani ziemna, ani ciepła. – Po cóż miałabym cię zabijać? Jesteś nam potrzebny żywy, ale Caroline i pozostali już nie... Jeśli nie wypełnisz obietnicy oni wszyscy stracą życie. A na początek słodka Barbara.

Dotykając go, weszła z nim w bezpośredni kontakt ponadmysłowy i chociaż stosował barierę ochronną, dotarła do jego najskrytszych myśli oraz wspomnień. Wiedziała, co może go zranić i za co oddałby wszystko. Barbara go skrzywdziła, ale on nadal ją kochał. Ta miłość była zdolna do największych poświęceń.

– Zamilcz – spróbował ją odepchnąć, ale nawet nie drgnęła. Za to Strażnik Wrót natychmiast uniósł obie dłonie i skierował je w stronę Lucasa. Westmoore zgiął się w pół, odczuwając nieznośny ból, spowijający całe ciało.

Widząc to, z góry zbiegła Angelina, ale nie zdołała dobiec do Lucasa, gdyż Reina spojrzawszy na nią, unieruchomiła ją wzrokiem.

– Zabiję twoją ukochaną Barbarę. – wysyczała, pochylając się nad zgiętym Westmoorem. – Zanim wyrwę jej serce, pozwolę patrzeć, jak rozrywam na strzępy jej dziecko. A prawda, to miało być i twoje dziecko... Ale nie jest... Będzie ci to obojętne? Pozwolisz na to?

– Czego chcesz? – wychrypiął z trudem, pomiędzy kolejnymi parkosyzmami bólu. Uniósł pobladłą, naznaczoną cierpieniem twarz spoglądając na swoją oprawczynię.

– Tylko twego powrotu do Benacantil. Chcę, abyś stał się jednym z nas. To nie kara, tylko wyróżnienie. Nie rozumiem, dlaczego tak się przed tym bronisz? Przecież w twoich żyłach krąży krew Duncana. Jesteś stworzony, aby być władcą, aby odbudować naszą potęgę.

– Jeśli wrócę, zostawicie Barbarę w spokoju?

– Wszystkich twoich bliskich zostawimy w spokoju – zapewniła. – Nawet cudną Caroline, która nas zdradziła. Cóż, jej los i tak jest przesądzony. Ktoś inny ukarze ją za winy ojca. Właściwie to postąpiła jak głupiec, odrzucając wieczność u naszego boku, po to, aby poświęcić się w imię przyjaźni. Trudno, jej wybór, ale dzięki temu ty otrzymałeś

szansę.

– Dobra, pojedę z wami. – Kropelki krwawego potu, spływały z jego czoła, jednak ledwie wymówił słowa zgody, ból całkowicie ustąpił, a on osunął się na kolana. Oparł dłonie o zimne, marmurowe kafle. Dyszał ciężko, jak po długim, męczącym biegu.

– Mądra decyzja – przyznała Reina. – Przepowiednia musi się wypełnić.

– Lucas. – Wreszcie i Angelina została uwolniona spod działania czaru niezwykłych przybyszów. Podbiegła do Westmoora i ukłękawszy obok, przylgnęła całą sobą do ciała mężczyzny. Jej drżące z emocji ręce zacisnęły się kurczowo na jego ramionach.

– Urocze. – Reina zaklaskała w dłonie. – Tyle w tym uczucia.

– Angelino, wszystko jest dobrze. – Lucas spojrzał w twarz blondynki. – Nic ci nie będzie. Możesz dołączyć do Barbary i Rodericka. Możesz stać się człowiekiem. Znowu będziesz wesołą, uroczą dziewczyną, za którą szaleją wszyscy mężczyźni.

– Ale ja nie chcę żyć bez ciebie! – wykrzyknęła, wybuchając niepohamowanym płaczem.

– O, to życzenie łatwo nam będzie spełnić. – Śmiech Reiny zabrzmiał wręcz upiornie. – Nie chcesz żyć, nie musisz.

– Zaraz! – Lucas zwrócił surowy wzrok na Patronkę. – Obiecałaś, że moim bliskim nic się nie stanie. Zgodziłem się wrócić z wami do Benacantil. Angelina ma być bez-

pieczna.

– Co mi po bezpieczeństwie bez ciebie? – Blondynka nie przestawała szlochać. – Dlaczego tego nie rozumiesz? Kocham cię!

– No i mamy melodramat. – Reina zmarszczyła brwi, myśląc nad czymś intensywnie. – Ale jest jeszcze i inne wyjście.

– Jakie? – Lucas przytulił do siebie Angelinę, próbując ją uspokoić. Ciałem dziewczyny wstrząsał szloch, a jej łzy obficie spływały po policzkach, pozostawiając mokre ślady na nagiej piersi mężczyzny.

– Przepowiednia mówi o królu i królowej, którzy powiodą nas ku wieczności. Może to wasza dwójka? Wprawdzie moce tej małej są okrojone, ale może to i lepiej... Będzie bardziej wiarygodna dla naszych poddanych. Będzie taka jak oni. Genialne! Że też od razu na to nie wpadłam!

– Nie! Nie możesz jej zmusić, aby zamknęła się w twierdzy!

– Nie zmuszam. Niech to będzie jej samodzielna decyzja. – Reina była pewna, jaką odpowiedź otrzyma od panny Stewart. Miłość to strasznie głupie uczucie.

– Pojadę z tobą, dokądkolwiek się udasz. – Na zalanej łzami twarzy Angeliny, pojawiły się nieśmiały uśmiech. – Nigdy cię nie opuszczę.

– Czy ty wiesz, na co się decydujesz? – Potrząsnął ją za ramiona. – Wiesz, co znaczy zamknięcie się w Benacantil? To wieczna udręka i niewola.

– Nie dramatyzuj – przerwała Reina. – To wieczna władza i moc. Dzięki wam możemy odbudować to, co straciliśmy. Mamy niepowtarzalną szansę zawładnąć na nowo Ziemią.

– Nie opuszczę cię – potwierdziła Angelina. – Nawet jeśli oznacza to uwięzienie. Bez ciebie nic nie ma dla mnie sensu. Kiedyś zrozumiesz i odwzajemnisz moje uczucie.

– Angelino... – W gardle mu zaschło ze wzruszenia. Wiedział, że może na niej polegać, ale nie spodziewał się, aż takiego poświęcenia. Kochała go. Naprawdę go kochała i zasługiwała na miłość.

– No to załatwione. – Reina obejrzała się na Strażnika Wrót. – Napraw drzwi, aby wszystko było tak jak należy. Nie potrzebujemy zostawiać po sobie śladów Potrafimy zadbać o porządek.

– Chwila. – Lucas wstał i podtrzymując Angelinę, podszedł do Patronki. – Mam jeden warunek.

– O jak miło. Jestem ciekawa, o co chcesz nas prosić.

– Nie proszę, tylko żądam! Nikt nie może dowiedzieć się, że wróciłem z wami do Benacantil. Niech myślą, że wyjechałem w długą podróż po świecie.

– Dlaczego właśnie tego chcesz? – zainteresowała się. – Nie zależy ci na ich wdzięczności? W końcu będą zawdzięczać ci życie.

– Właśnie nie chcę, aby myśleli, że coś mi zawdzięczają. Gdyby Barbara poznała prawdę, do końca życia czułaby wyrzuty sumienia. Nie chcę, aby ciągle się zadreślała, bo to zatręłoby jej szczęście. Niech myśli, że jest

mi obojętna, że potrafię bez niej normalnie żyć. Że wspa-
niale się bawię podróżując po świecie.

– Dobrze, nikt się nie dowie. – Skinęła głową na znak
zgody. – A teraz dopełnij do końca Obrzędu Przystąpienia.

– Czego? – Na moment przeniósł wzrok na Strażnika
Wrót, który właśnie podniósł drzwi i starał się włożyć je
w zawiasy.

– Obrzęd przyjęcia dziedzictwa przodków. Caroline
dopełniła go, pijąc krew swego brata. Ty musisz dopełnić
go, biorąc część mojej krwi. Staniemy się niczym rodzeń-
stwo. Odzyskasz siostrę, za którą tak tęskniłeś! – Zaśmiała
się.

– Czy to konieczne?

– Bezwzględnie. Krew Duncana płynąca w tobie nie
ma pełni mocy. Musisz otrzymać dodatkowy element – to
dziedzictwo, które posiada Rada Najwyższych.

– Boję się – szepnęła Angelina.

– Spokojnie. – Lucas delikatnie odsunął ją od siebie. –
Będzie dobrze. Obiecuję.

– Ty nie... – chciała coś powiedzieć, ale gwałtownym
ruchem pochylił się i uciszył ją, składając na jej ustach
pocałunek.

Odwrócił się do Reiny.

– Jestem gotowy.

– Doskonale. – Wyciągnęła w jego stronę swoją
szczupłą, bladą rękę. – No to uczyn ten ostatni krok. Do-
łącz do nas. Przyjmij swoje dziedzictwo.

Ostrożnie ujął jej chłodną dłoń i trzymając ją

w swoich rękach, wpatrywał się w gładką skórę. Dzie-
dzictwo przodków. Coś, czego nie chciał i coś, czego się
brzydził. Marzył o wieczności, ale nie spędzonej za mu-
rami Benacantil. Szczęście, miłość, wieczne życie...
Wszystko kiedyś się kończy, dla niego skończyło się zanim
tak naprawdę się zaczęło. Oto stanął u kresu swojej ziem-
skiej wędrówki. Gdy wbije zęby w ciało Patronki, zabije
w sobie resztki człowieczeństwa. Stanie się taki jak Yadira,
jak Basit. Będzie członkiem Rady Najwyższej.

Lucas Westmoore, hrabia urodzony w dziewiętnastym
wieku. Brat Elizabeth. Człowiek, który walczył ze złem
i szanował wartości moralne. Niezły koniec jak na ponad
półtora wieku życia.

– Lucas... – Szept Angeliny dotarł do jego uszu, ale go
zignorował. Nic nie mogło już go powstrzymać przed tym,
co musiał zrobić. Gdyby nie Caroline... Gdyby nie ona, nie
byłoby go tu dziś. Nie przeżyłby tego wszystkiego... Nie
poznałby Barbary. Mimo wszystko warto było.

Jego wargi dotknęły skóry Patronki. Jeszcze mógł się
wycofać. Czuł lekko słony smak jej ciała. Człowieczeń-
stwo, życie... Cóż to wszystko jest warte? Jego zęby za-
cisnęły się na skórze, zagłębiając się w niej niczym
w tkaninie. Krew wypełniła jego usta. Przełknął pierwszy
łyk, później drugi i trzeci. Zaczął pić nachalnie, dociskając
rękę Reiny, tak jakby chciał ją pochłonać. To, co do tej
pory było dla niego niedostępne, teraz zaczynało się wy-
łaniać z mgły. Cała przeszłość, wszystkie dzieje Patronów,
od momentu ich przybycia na Ziemię. Przepowiednia ze

Zwoju Cienia. Dziedzictwo... Od teraz był jego częścią.

* * *

Pół roku później.

– Ogłaszam was mężem i żoną. – Pastor z uśmiechem popatrzył na nowożeńców stojących przed ołtarzem. Tacy młodzi, tacy zakochani i tacy szczęśliwi. Pastor był świadomy tego, jak wiele związków rozpada się mimo uczucia łączącego na początku parę. Szara codzienność potrafi zabić to, co najpiękniejsze. Życie niesie tyle niespodzianek i wciąż piętrzy problemy. Oby tych dwoje nie zagubiło się wśród powodzi różnych, czasem tak mało istotnych spraw. Oby ich miłość nigdy nie przeminęła.

Caroline uśmiechnęła się do Adama, a on pocałował ją prosto w usta. Wreszcie jako własną żonę. Odwrócili się od ołtarza w stronę zebranych w kościele osób. W pierwszym rzędzie siedziała Barbara z Roderickiem, trzymającym na kolanach Hope ubraną w zabawny, biały płaszcz z kapturkiem.

Wśród gości brakowało tylko Lucasa i Angeliny, którzy jeszcze w czerwcu, tuż po ślubie Robillardów, nie mówiąc nic nikomu, wyjechali z Elizabeth Town i nie zamierzali wracać. Caroline żał było, iż mężczyzna, który przez sto pięćdziesiąt lat pełnił rolę jej brata, nie towarzyszy jej w tym, tak przecież ważnym dniu, ale nie mogła na to nic poradzić.

Prosto z kościoła, nowożeńcy wraz z zaproszonymi gośćmi, udali się do rezydencji Robillardów, gdzie wyprawiono kameralne przyjęcie dla najbliższych. Caroline

zależało, aby świętować w gronie rodzinnym i aby cała ceremonia była skromna. Tylko ekstrawagancji co do ślubnej sukni nie mogła sobie odmówić. Bordowa, długa, dopasowana do ciała, od kolan rozszerzająca się i ukazująca spodnią, śnieżnobiałą warstwę, zdobioną srebrnym, olśniewającym haftem. Gołe ramiona i duży dekolt, eksponowały nieskazitelne ciało dziewczyny, zaś misterne, srebrne aplikacje z malutkimi kryształkami opasały suknię bezpośrednio pod biustem. Druga aplikacja niczym girlanda bluszczu pięła się po biodrze w stronę tali. Na bordowym materiale ozdoby cudownie migotały w blasku świec. Z tyłu suknia rozchyłała się, ukazując białą, haftowaną srebrem warstwę, która niczym wachlarz rozpościerała się na posadzce, tworząc niewielki, ale jakże efektowny tren. Takiej ekstrawaganckiej w kroju i kolorze sukni nie miała żadna panna młoda w Elizabeth Town i wątpliwe, aby miało to ulec zmianie.

– Cieszę się Caroline, że wreszcie stałaś się członkiem mojej rodziny. – Barbara podeszła do przyjaciółki, która właśnie skończyła tańczyć z Roderickiem i wraz ze swym partnerem zmierzała w stronę jadalni, gdzie przy suto zastawionym stole siedział Adam.

– To ja zostawię was same i zobaczę, co robi Hope. – Roderick uśmiechnął się do żony. Nie mógł się powstrzymać i dłonią delikatnie musnął jej odkryte ramię. Musiał przyznać, że w tej granatowej, długiej, prostej sukni z dużym rozporkiem z boku, wygląda niezwykle seksownie. Wręcz nie mógł się opanować i jedyne o czym potrafił

myśleć, to o tym, aby znaleźć się z nią sam na sam i wyczuwać każdy milimetr jej ciała. – Alena i Honoria zajmują się małą przez cały czas, a nasza córeczka potrafi nieźle dać w kość.

– Masz rację. Ciotka i Honoria bardzo się zaprzyjaźniły, ale opieka nad naszym szkrabem wymaga zbyt dużo sił, a one lata młodości mają już za sobą – przyznała Barbara, głaskając męża po policzku. Ciągłe okazywali sobie czułości, zachowując się tak, jakby dopiero co się pobrali. Roderick ujął jej rękę i ucałował koniuszki palców, po czym wszedł na szerokie, marmurowe schody wiodące na piętro.

Caroline z prawdziwą przyjemnością patrzyła na swoich przyjaciół. Uczucie ich łączące, było bardzo wyraźnie widoczne. Cieszyła się, że jej wizja się sprawdziła, i że wreszcie Roderick odnalazł to, czego tak długo szukał.

– Jesteś szczęśliwa? – Barbara przeniosła wzrok z męża na blondynkę.

– Jak nigdy. Mieszkamy w ślicznym domku nad Zatoką San Francisco, chodzimy na uczelnię. Cieszę się, że Adam podjął decyzję o powrocie na studia. Żyjemy jak wiele podobnych nam, młodych par.

– A ty ponownie będziesz lekarzem – zaśmiała się cicho. – Pamiętam, jak Adam pokazał mi gazetę, w której pisano o twoich dawnych osiągnięciach.

– To zamierzchła prehistoria, ale faktycznie medycyna jest tym, co kocham. Ty ostatecznie zrezygnowałaś z dalszej nauki?

– Jak widzisz mam inne priorytety. Hope przesłania mi cały świat.

– Zazdroszczę ci tego – westchnęła Caroline. – Ja muszę poczekać, aż skończę studia i staż... Trochę to potrwa, ale mam nadzieję, że i mnie będzie kiedyś dane zostać matką.

– Kiedyś? Tylko nie odkładaj tego w nieskończoność. Zważ, że nie masz już tyle czasu, co dawniej – przypomniała łagodnym tonem, tak aby nie urazić przyjaciółki. – Jesteś człowiekiem.

– Wiem o tym i odczuwam na każdym kroku różnicę. Czasem kroję warzywa na sałatkę i zacinam się w palec. Skaleczenie boli, rana nie zabliznia się błyskawicznie. No i podczas ćwiczeń w laboratorium mam wreszcie spokój, gdyż zapach krwi na mnie nie działa. Poza tym muszę pamiętać, aby ciasto wyjmować z piekarnika w rękawiczkach.

– Uroki zwykłego życia.

– A wiesz, że zrobiłam analizę twojej krwi? – zapytała, prowadząc przyjaciółkę pod ścianę.

– I co ci wyszło?

– Jest całkiem normalna i nie wykazuje żadnych odchyleń od normy, jednak w zetknięciu z krwią wampira, działa niczym bomba atomowa. Wystarczy jedna kropla, aby zapoczątkować błyskawiczną reakcję łańcuchową. Pod mikroskopem wygląda to tak, jakby twoja krew pożerała krwinki wampira, oczyszczając je z toksyn. W ciągu kilku sekund następuje całkowita przemiana. Z tego, co zaob-

serwowałam na własnym przykładzie, proces ten jest niezauważalny, odbywa się w zupełnej tajemnicy. Na zewnątrz nie zachodzą żadne zmiany, ale wewnątrz to wprost rewolucja.

– Najważniejsze, że działa – Barbara uśmiechnęła się do przyjaciółki – na co mam niezbite dowody w postaci Ericka i ciebie.

– Szkoda, że Lucas nie chce skorzystać z tej szansy. – Nutka smutku zabrzmiała w głosie Caroline.

– A właśnie, co u Lucasa i Angeliny? – Barbara zadała dręczące ją od dawna pytanie, którego jednak do tej pory nie miała odwagi wymówić. Wreszcie nadarzyła się okazja. – Wyjechali tak nagle, bez pożegnania... Może coś wiesz...

– Niewiele... Dla Lucasa przestałam istnieć, a i Angelina nie ma mnie na liście swoich ulubieńców. Zresztą nie dziwię się temu po tym wszystkim, co zrobiłam... Odkąd wyjechali jedynie Flo ma z nimi jakiś kontakt. Nie dalej jak trzy dni temu rozmawiała telefonicznie z Angeliną. Nadal podróżują po świecie. Teraz są w RPA. – Caroline nie знаła prawdy. Tak jak wszyscy była pewna, że Lucas załamany po ślubie Barbary, opuścił w pośpiechu Elizabeth Town, z nikim się nie żegnając i nikomu nie mówiąc o celu swojej podróży. Po prostu wyjechał, zabierając ze sobą jedyną osobę, na której się nie zawiódł, która zawsze przy nim była.

– I jak się między nimi układa?

– Nijak. Niby są razem, ale nadal jest między nimi

pewien mur. Angelina jednak nie traci nadziei na coś więcej. Być może dla niego to jeszcze za wcześnie, aby się naprawdę zaangażować. Przez sto pięćdziesiąt lat, gdy byłam jego siostrą, zauważyłam, iż nie jest mu łatwo obdarzyć kogoś uczuciem. Byłaś pierwszą kobietą, która sprawiła, że odważył się otworzyć swoje serce.

– Lecz to właśnie ja tak bardzo go zraniłam. – Po-smutniała. – To wszystko moja wina.

– Nie myśl w ten sposób. – Caroline złapała ją za rękę. Niepotrzebnie zaczęły rozmawiać o Lucasie. Ten temat na razie powinien być zakazany.

– Kochanie, zobacz, kto chce z tobą zatańczyć? – Do dziewczyn podszedł Roderick, który wprawdzie zrezygnował już z wszechobecnej czerni, ale nadal ten kolor charakteryzował większość jego garderoby, chociaż tak jak i teraz, starał się go rozjaśniać innym akcentem. Biała koszula, rozpięta pod szyją, stanowiła przeciwagę dla czerni garnituru. Na rękach Robillard trzymał małą Hope, ubraną zgodnie z najnowszymi dziecięcymi trendami mody w różową krynolinę, upstrzoną mnóstwem falbanek, zakładek i kokardek. Na główce dziewczynka miała założoną również różową opaskę. – Mamusia zaraz z nami zatańczy, a ciocia Honoria i Alena wreszcie sobie odpoczną. – Udał, że nie usłyszał ostatniej części rozmowy, wiedząc, jak bardzo jego żona żałuje swojego zachowania względem Lucasa. Cóż, Westmoore, który przecież pragnął jedynie miłości, stał się niewinną ofiarą. Nie zasłużył na to, co go spotkało.

Barbara rozpogodziła się i objęła męża. Trzymając w objęciach córeczkę, odpłynęli w rytmie walca.

– Pięknie wyglądałaś. – Flo zastąpiła drogę Caroline. Długie, kręcone włosy panny Stanwick, jak zwykle niesforną kaskadą okalały jej ciemną, drobną twarzyczkę.

– Dziękuję, za to ty jak zwykle nie zdażyłaś do kościoła – zauważyła młoda mężatka. Spóźnianie się, weszło już w nawyk Flo. – Dwa razy nawaliłaś jako drużna. Wiesz, to staje się już prawie twoim znakiem rozpoznawczym. Uważaj, bo nikt więcej nie poprosi cię o pełnienie tej funkcji.

– Wybacz kochana, ale nie lubię kościelnych uroczystości. Możesz być jednak pewna, że myślami byłam z tobą cały czas.

– Przepraszam, ale powinnam zatańczyć z mężem. Walc to nasz ulubiony taniec. – Caroline skinęła koleżance głową i udała się w kierunku Adama, który widząc ją, zakończył rozmowę z Zackiem i wstał od stołu. Flo obserwowała, jak Bennett chwyta swoją żonę w objęcia, jak przechyla ją i całuje namiętnie w usta. Z trudem opanowała wściekłość, śledząc zachowanie nowożeńców.

Orkiestra przestała grać walca, a zamiast niego rozległy się bardziej współczesne takty. Adam, trzymając w pól Caroline, zbliżył się do Robillardów i objął w pasie swoją siostrę.

– Odnależliśmy swoje szczęście! – wykrzyknął radośnie, próbując przekrzyczeć muzykę.

Tak, odnaleźli. Wizja Caroline spełniła się, chociaż nie

całkowicie. Lucas był jedynym poszkodowanym. Dlaczego właśnie on? Przecież widziała i jego szczęście. Czyżby potrzebował więcej czasu? W końcu on ma go nadal bardzo dużo. Odrzucił możliwość zostania człowiekiem, tak samo jak odrzucił wszystko, co go z nimi łączyło. Zaczął od nowa, u boku Angeliny. Caroline miała nadzieję, że kiedyś odwzajemni uczucia dziewczyny. Oby tak się stało.

Flo odsunęła się na bok. Nie miała ochoty tańczyć, nie miała ochoty świętować. Szczęście Robillardów i Bennettów zbyt bardzo kuło w oczy. Niech się bawią, niech się cieszą! Teraz jeszcze mogą! Nadejdzie jednak taki dzień, kiedy odpowiedzą za wszystko, co zrobili Duncanom. Teraz są ludźmi, są zupełnie bezbronni. Ich dni są policzone, a gdy wreszcie zemsta się dopełni, to Flo zacznie świętować!

* * *

Roderick przytulił trzymaną na rękę Hope, prowadząc Barbarę do tarasowego okna. Stanęli przy szybie, za którą widoczny był okrągły księżyc, rozświetlający swym nikłym blaskiem, zasypany śniegiem ogród.

– Kocham cię – wyszeptał prosto do ucha żony.

– Ja ciebie też.

Hope zaczęła zabawnie gaworzyć, powodując, że obaj się roześmiali. Jakże podobało się im to ludzkie, zwyczajne życie. Było dokładnie takie, o jakim zawsze marzyli.

– Chyba najwyższa pora, abyśmy poszli na górę

i położyli małą spać – zaproponował Roderick. – Zrobiło się trochę późno, a my musimy zadbać o jej prawidłowy rozwój. Dzieci powinny wiedzieć, kiedy jest czas na spanie, a kiedy na zabawę.

– Kochanie, z ciebie zrobił się prawdziwie nadopiekuńczy tatuś. Już się boję, co będzie za kilkanaście lat, gdy ona dorośnie. Chyba nie będziesz nakładał jej szlabanu i kontrolował, z kim się spotyka? – Zabawnie zmarszczyła nos, wyraźnie z niego żartując.

– W końcu jestem ojcem i muszę się zachowywać tak, jak przystało – udał bardzo poważny ton, ale zaraz parsknął śmiechem. – Nie, no jasne, że taki straszny nie będę. Ale teraz naprawdę powinniśmy już położyć małą spać.

– Wydaje mi się, że coś planujesz... Chyba nie o zdrowy rozwój Hope ci chodzi. – Roześmiała się zalotnie, uderzając go przy tym delikatnie w ramię.

– Przejrzałaś mnie! Ale, aby mój plan wypalił, musimy mieć trochę czasu tylko dla siebie. Co powiesz na kolejną noc poślubną? – zaproponował, całując włosy żony.

– Noc poślubną? To chyba noc poślubna Caroline i Adama, my już swoją mieliśmy.

– Co nie znaczy, że nie możemy mieć ponownie. Dla mnie każda noc spędzona z tobą jest poślubną – zapewnił.

– A co z gośćmi? – Spojrzała na nadal bawiących się ludzi. – Mamy ich tak zostawić?

– Alena obiecała, że wszystkiego dopilnuje, a Honoria z pewnością jej pomoże.

– No proszę, zadbałeś o szczegóły.

– Jasne. Wiesz co dziś za data? To rocznica. Dziś jest ostatni dzień roku, dzień w którym zostałaś porwana. Wtedy zaczęła się nasza nowa historia. Gdyby nie Alaska, nie byłibyśmy tu teraz razem.

– Nawet tak nie mów! – zaprotestowała, przykładając dłoń do jego ust.

– To co, idziemy na górę? – Mrugnął do niej porozumiewawczo okiem.

– Idziemy! – zgodziła się, głaskając córeczkę po główce.

Roderick ponownie objął żonę w pasie i razem udali się w stronę schodów, wiodących na piętro rezydencji. Przechodząc obok pustego miejsca, na którym uprzednio wisiał portret Elizabeth, Barbara na moment przystanęła. Spojrzała na odnowioną ścianę. Bill namalował portret, aby dać jej drugie życie. To z nim związał ten skrawek jej duszy, który skrywał w swoim sercu. Wiedział, że po jego śmierci jej dusza pozostanie z obrazem i dzięki niemu będzie mieć możliwość obserwowania życia swoich bliskich. On jeden zdawał sobie z tego sprawę, nikt więcej nie znał prawdziwej roli obrazu. Dla innych był to tylko zwykły portret, tymczasem miał on niezwykłą moc.

– Mnie też go brakuje – szepnął Roderick – ale teraz mam ciebie. Jesteś moją Barbarą, moją Elizabeth. Jesteś dla mnie wszystkim.

Byli szczęśliwi.

* * *

Zachodzące słońce, chowając się w oceanie, rzucało

czerwoną poświatę na spokojną tafelę wody. Po plaży spacerowały grupki ludzi podziwiających ten codzienny rytuał lub po prostu upajających się gorącym, grudniowym wieczorem. Jakaś parka zakochanych, czule całowała się na tle czerwieniejącego nieba.

W tarasowym oknie luksusowego domku, zbudowanego przy samej plaży, stała ciemnowłosa kobieta, przypatrująca się tęsknym wzrokiem ludziom, idącym brzegiem oceanu. Lubiła takie chwile, gdy mogła w spokoju obserwować innych. Miała wszystko czego zawsze pragnęła. Osiągnęła to, co było jej celem, ale mimo to nie zaznała szczęścia. Dla tych ludzi była ucieleśnieniem amerykańskiego snu: biedna dziewczyna z przedmieść Nowego Orleanu, która dzięki własnemu uporowi i wytrwałości wspięła się na sam szczyt. Ale ile ją to kosztowało? Ile musiała poświęcić? Zapomniała o miłości, o wierności, o prawie. Nie uległa się niczego, nawet tego drugiego oblicza świata, o którym inni nie mieli pojęcia.

Dziś jest kimś. Dziś stać ją na wszystko. Na wszystko oprócz prawdziwej miłości. W jej ostygniętym sercu, nie ma już na nią miejsca. Jedyna osoba, którą naprawdę kocha to Jared...

Kobieta obiema rękoma objęła się w ramionach, tak jakby sama chciała obdarzyć się odrobiną czułości. Jej opalona skóra wspaniale współgrała z lekko mieniącą się czernią koktajlowej sukienki na szerokich ramiączkach, która kończyła się tuż przed kolanami, odsłaniając długie, zgrabne nogi, obute w wytworne, srebrne pantofelki na

bardzo wysokim, cienkim obcasie. Czarne włosy, zebrane w koński ogon, przewiązane srebrną, jedwabną apaszką, opadały na odkryte plecy, na których widoczny był wytatuowany jakiś orientalny napis.

Odwrócona tyłem do drzwi, nie zareagowała, gdy do pokoju weszła meksykańska służąca, trzymająca na rękach małe, około półroczne, płaczące dziecko.

– Seniora Hannah, Jared się obudził. – Ton głosu pokojówki wskazywał, że była już wykończona zajmowaniem się maluchem.

Hannah, przestała podziwiać zachód słońca i odwróciła się od okna. Na jej pięknej twarzy, którą niepotrzebnie jeszcze upiększała zbyt mocnym makijażem, można dostrzec było grymas niezadowolenia. Kilkanaście srebrnych bransoletek pobrzękiwało na przegubach rąk dziewczyny przy każdym jej kroku, zaś zwieszające się z uszu monstrualnie duże, również srebrne obręcze kolczyków, chygotały się na wszystkie strony. Wolno, niezwykle majestatycznie podeszła do służącej i odebrała od niej dziecko. Chłopczyk natychmiast się uspokoił, instynktownie wyczuwając, że wreszcie znalazł się w ramionach matki.

– Już dobrze, mamusia tu jest – wyszeptała czułym tonem, przytulając twarz do policzka malucha. – A ty, Juanito, lepiej mi się nie pokazuj, jeśli nie potrafisz zająć się dzieckiem – wysyczała w stronę służącej. – Chyba za coś ci płacę, nie?

– Tak proszę pani. – Dziewczyna dygnęła

i pospiesznie wyszła z pokoju, tymczasem Hannah trzymając w ramionach synka, podeszła do kojca ustawionego w rogu pokoju.

– Kochanie, przyszli państwo Ramirez. – Z sąsiedniego pomieszczenia doleciał ją męski, chrapliwy głos. Hannah zmarszczyła brwi i wykrzywiła pogardliwie usta. Schyliła się, wkładając dziecko do kojca.

– Mamusia musi iść do tego starego durnia. Mamusia go nie kocha, ty jesteś mamusi słoneczkiem, ale potrzebujemy pieniędzy, a ten staruch ma ich w nadmiarze. Kiedyś dorośniesz i odbierzesz swoje dziedzictwo, a wtedy nie będziemy potrzebować nikogo, aby osiągnąć to, czego chcemy. Jesteś wyjątkowy i jesteś jedyną radością mamusi. Jej malutkim misiaczkiem. – Ucałowała główkę dziecka i posadziła go na grubej, niedźwiedziej skórze.

– Kochanie idziesz? – Ponaglił ją wyraźnie zniecierpliwiony głos z pokoju.

– Idę! – odkrzyknęła, ale jeszcze na moment pochyliła się nad kojcem i pogłaskała szorstką, niedźwiedzią sierść. – To twoje dziedzictwo skarbie. Kiedyś wrócimy do Elizabeth Town i odbierzemy to, co ci się prawnie należy. Jesteś Bennettem, tak jak Nat... Tak jak i twój ojciec.